


Arkadij i Georgij **WAJNER**


AMBER
ZŁOTA SERIA



Spowiedź stalinowskiego kata
we wstrząsającej powieści
na miarę Gogola i Tołstoja
o totalitaryzmie
i najbardziej mrocznej
stronie człowieczeństwa

Ewangelia według kata

Arkadij i Georgij **WAJNER**

Ewangelia według kata

Przekład
Irena Kołodziej



Warszawa
2004

Pereat mundus, fiat iustitia.
(Niech zginie świat, byle sprawiedliwości stało się zadość).

1. Zaśnięcie Wielkiego Bossa

Wiedziałem, że tego mi robić nie wolno. Potrafiłem mu wierzyć, temu dziwnemu dyspozytorowi moich postępów, bez zastanowienia. Wyprzedzając rozum, wyprzedzając jakąkolwiek spójną myśl, wydawał bezbłędne polecenie: wolno! Albo: nie wolno!

Wierzyłem mu. Reprezentował inną, niedostępną nam mądrość.

I teraz wyraźnie usłyszałem jego głos: nie wolno!

A ja po raz pierwszy od wielu lat, być może po raz pierwszy od czasów dzieciństwa, nie posłuchałem go. Nie odważyłem się mu powiedzieć: zamknij się, tylko po prostu udałem, że nie słyszę. Tak jak uczeń, który uciekł z lekcji, udaje, że nie słyszy nauczyciela, wołającego za nim przez okno: wracaj!

Nie posłuchałem. Zostałem w prosektorium...

Nieśliśmy nosze we czterech. Tamtych trzech nie znałem, pewnie nigdy nawet nie widziałem ich na oczy. Gdybym widział – zapamiętałbym. Ale oni nie byli z ochrony. Tych dobrze odżywionych osiłków od razu można rozpoznać. Na dacy też ich nie zauważyłem. Miotał się tylko bez celu po ogromnym domu ich dowódca – szef „dziewiątki”, generał Własik.

Po jego urodziwej, ślepej z przerażenia twarzy ciekły łzy. Płakał naprawdę. Nie wiadomo dlaczego pytał każdego, kogo spotkał: a gdzie Wasia?

Wszyscy słyszeli, jak Wasia, pijany na smutno, coś tam mrucał i wykrzykiwał – a może śpiewał? – w niewielkim saloniku za gabinetem. Ale Własika z jakiegoś powodu unikał i ten, głuchy na wszystko, wciąż szukał swojego

przyjaciela i kompana od butelki. Syna Żrenicy Oka, której tyle lat strzegł, pilnował i chronił. A teraz Własik płakał.

Być może był mądrzejszy, niż mi się wtedy zdawało?

Być może płakał ze strachu? Tyle lat ochraniał największą moc tego świata, która już od trzech godzin jest martwa, i ochrania teraz coś, co nie istnieje. I czy w ogóle coś jeszcze ochrania?

Przywieziono nas tu sześcioma ogromnymi limuzynami – trzydziestu zuchów z wydziału operacyjnego, ale kiedy weszliśmy do domu, okazało się, że Ławrentij kazał już usunąć całą ochronę wewnętrzną.

Ławrentij nigdy nie ufał Własikowi. Wiedział, że w strasznej godzinie tamten będzie szczerze opłakiwać Tego, Kogo ochraniał. Ławr nie szanował ludzi oddanych. Wiedział, że na oddanych nie można polegać, jako że bazują oni na niepewnym fundamencie miłości i wdzięczności, czyli mówiąc ściślej – głupoty.

Uważano, że Własik według hierarchii służbowej podlega Ławrentijowi, ale nie była to prawda. On nie podlegał nikomu oprócz Tego, Kogo ochraniał. Należał do niego tak samo jak owczarek niemiecki Timofiej.

Własik był oddany, to znaczy kochał Tego, Kogo ochraniał. Był mu do zgonnie wdzięczny. Czyli, krótko mówiąc – głupi.

W stygnącym ciele na pewno sączyła się jeszcze krew, rosły paznokcie, cicho burczały gazy w żołądku, choć lusterko, podsunięte ku obfitym wąsom, nie mętniało już; i ledwie nasze długie czarne limuzyny ruszyły ze straszliwym wyciem syren z dziedzica Łubianki, Ławrentij rozkazał usunąć z dacy ochronę wewnętrzną.

Po domu chodziła zapłakana i zła ruda córka Swietłana, awanturował się pijany na smutno syn Wasilij. A wszystkim zarządzał jeszcze wierny głupiec – generał Własik.

Nie da się przewidzieć zachowania głupiego, kochającego, wdzięcznego człowieka. A niech go!

Własik podchodził do ludzi, coś tam mówił, ale nikt mu już nie odpowiadał, tak jakby naciągnął na siebie gigantyczną prezerwatywę i rozdał ją od wewnątrz swoim zagubieniem i rozpaczą w przezroczystry balon, który z nieartykułowanym pomrukiem zderzał się z każdym, kogo napotkał, i odlaty-

wał na bok, odrzucony siłą ich wzburzenia i kompletnego lekceważenia wobec niego. Nikt się już nim nie interesował.

Ten, Kogo ochraniał, umarł, a zatem nikogo już nie ochraniał. Ochronę wewnętrzną, podległą generalowi, usunięto z domu, a on obijał się po pokojach niczym pusty, nadęty, przezroczysty balon, nie mając wątpliwości, że skoro tylko Ławrentij sobie o nim przypomni, od razu ktoś przekluje mu powłokę i wszechmocny faworyt z lekkim sykiem – wraz ze swymi niedo-słyszalnymi słowami, niepotrzebnymi łzami i głupią ładną buźką – zniknie na zawsze.

Po raz pierwszy widziałem wszystkich wodzów razem. Nie licząc, naturalnie, uroczystych demonstracji, kiedy objawiali się na trybunie mauzoleum. Zdarzało mi się widzieć ich z bliska, ale każdego z osobna. A tu byli wszyscy razem. Każdy coś o kimś wiedział. A Ławrentij wiedział wszystko o wszystkich.

Mołotow patrzył niewidzącym wzrokiem prosto przed siebie. Na jego twarzy połyskiwały lekko szkiełka binokli, wczepionych w kartoflowaty nos. To nie była twarz, tylko kuper jego pancernego paccarda.

Najwyraźniej starał się oszacować, kto wyjdzie teraz na prowadzenie, żeby w porę sięgnąć liderowi na ogonie. Usiłował odgadnąć, komu trzeba będzie od samego rana lizać tyłek. Uważano go za drugiego, ale gotów był zostać choćby piątym.

Wielki Boss całkiem go zacukał.

Bułganin z roztargnieniem skubał klinuszek bródki, melancholijny i rozdrażniony, niczym buchalter umęczony porannym zaparciem. Podskubywanie bródki nie oznaczało, że zastanawia się, czy ściągnąć do Moskwy dywizję tamańską. Po prostu nie wiedział, czy usunąć tę maskaradową bródkę, ten sterczący z podbródka pędzelek, czy można ją jeszcze na razie zostawić?

Wielki Boss zezwalał na nią – może i tamci zezwolą?

Waleczka, jasnowłosa, pulchna kobieta bez wieku – zarządzająca domem i podściółka Bossa – pociągając zaczerwienionym noskiem, podawała wodzom herbatę i kanapki z szynką.

Okropnie chciało mi się jeść, ale mnie się te kanapki nie należały. Różowe plastry mięsa z białym obrzeżem tłuszczu zostały nakrojone dla wodzów w pokoju kredensowym przez pułkownika Duszeńkina. Z szynki, opatrzonej

ołowianą plombą z pieczęcią laboratorium specjalnego: SUBSTANCJI TRUJĄCYCH NIE WYKRYTO. Od dwudziestu lat pułkownik Duszeńkin próbował każdego dania sam, zanim podano je na stół Wielkiego Bossa.

Woroszyłowowi nie chciało się jeść. Wolałby się napić. Ale Waleczka żadnych trunków nie podawała. Poprosić najwyraźniej się krępował, a wyjść nie było jak: nie chciał pozostawiać pogrążonych w smutku towarzyszy broni. Na jego czerwono-brunatnej twarzy podstarzałego chomika malowała się udręka.

Chruszczow i Mikojan siedzieli przy małym stoliku, i kiedy jedli kanapki, podnosili filiżanki i przekazywali sobie nawzajem cukiernicę, miało się wrażenie, że grają w karty: zasępiali się, ciężko wzdychali, tarli oczy, uparczywie wpatrywali się jeden w drugiego w nadziei odkrycia kart przeciwnika.

Chytrłość ukraińskiego kułaka zderzała się z azjatycką pokrętnością handlarza z bazaru. Atmosfera przy stoliku iskrzyła od podejrzliwości i obłudy.

Drapieżny profil Mikojana ostro pochylał się nad stolikiem, kiedy przelikał on kolejny kęs. Sęp, który zre tylko mięso.

A najchętniej padlinę.

A Chruszczow rwał palcami plastry szynki i zjadał tylko tłuszcz. Odrzucał głowę daleko w tył, żeby łatwiej polykać. I przyglądał się temu Cyganowi – czy tam Ormianinowi, jeden czort! – który nie wiadomo jeszcze na jakiego postawi konia.

Z chęcią bym po nim zjadł te kęski soczystej różowej szynki, pozostawionej na talerzu. Wtedy jednak Chruszczow nic mi jeszcze nie proponował ze swojego stołu.

Jadłem je parę miesięcy później.

A wówczas siedział on w milczeniu i ugniatał na obrusie miększy chleba. Dopiero gdy zmienił się w brudnoszare kulki, z roztargnieniem wrzucał je do ust.

Nieciekawo facecik. Jakiś taki kusy.

Jakoś kiepsko pamiętam, co porabiał Kaganowicz. Siedział gdzieś w kącie, gruby, z obrzmiałą twarzą, ciężko dyszący – wypisz wymaluj żydowska dębowa szafa.

Mebel.

Tylko Ławrentij i Malenkow nie siedzieli – cały czas chodzili po ogromnym przedpokoju, trzymając się pod rączkę, niczym młodzi kochankowie. Nie było tylko jasne, kto tu kogo będzie dymał. I bez przerwy mówili, i coś tam jeden drugiemu wyjaśniali, naradzali się, w oczy zaglądali, i dyszeli sobie w twarz. Od razu było widać, iż to tacy przyjaciele, którzy nie potrafią się rozstać nawet na chwilę.

A tymczasem jeden drugiego wkrótce już zakatrupi.

Być może Ławrentij wiedział albo przeczuwał, że Wielki Boss umrze tej nocy. Albo i sam przyłożył do tego rękę – nie wiem, przecież przywieźli nas już po wszystkim. W każdym razie Ławr był przygotowany na ten świt.

Gdy wodzowie przyglądali się sobie bacznie, oceniając własne i cudze szanse, pałaszowali kanapki z szynką, oplombowaną przez pułkownika Duszeńkina, gdy obliczali, z czym wejdą w nowy dzień swego nowego życia, Ławrentij spacerował tam i z powrotem w objęciach z Malenkowem, któremu obwisłe fafle gładkich, babskich policzków opadały na kołnierz półwojskowej kurtki.

I pomalutku zaczęła ściągać w te szybko upływające minuty przedświt całą świta Ławrentija. Najpierw uchylił drzwi, przecisnął się przez szczelinę i jak cień stanął nieśmiało przy futrynie Diekanozow, posępny, zezowaty sadysta.

Przyniósł jakąś paczkę Sudopłatow, były dowódca partyzancki, wręczył ją Ławrentijowi, rozejrzął się i także zastygł w przedpokoju.

Nieogolony, z siną poranną szczecią, sapiąc i ziejąc czosnkiem, pojawił się Bogdan Kobiłow, tak gruby, że w jego biurku trzeba było wyciąć owalne wgłębienie na brzuch. Usiadł, nikogo nie pytając, w fotelu, obrzucił wodzów ciężkim spojrzeniem szaroniebieskich jak wschodnie śliwki oczu, i tak jakby zapadł w drzemkę. Ale nikt nie uwierzył, że drzemie.

A potem pojawili się następni.

Jego brat, zgrabny i urodziwy generał Amajak Kobiłow, radość oczu pe-
dała.

Czarnopopielaty, niczym osmalony kamień, generał Goglidze.

Coś tam szepczący do siebie zjadliwie-życzliwy Lach, Włodzimirski.

Rozglądający się wokół, jakby wypatrujący, co by tu można zwędzić, Mieszik.

Leniwie zagryzający suche wargi, straszliwy niczym dwu machnowców, generał Łońka Rajchman.

Tłustogęby parwienusz, naczelnik Wydziału Śledczego MGB* Riumin – Różowy Mińka.

Żałośnie wzdychający generał subtelnych uczuć Brawerman – szczywany wyga, pisarz, autor tekstów niemal wszystkich umów politycznych i programów centrów szpiegowskich, jakie zdemaskowano w ostatnich latach.

Wielu ich było.

I wszyscy byli w mundurach naszego Wydziału. Przez tyle lat niemal żadnego z nich nie widziałem w mundurze. Po co im mundur? I tak ich znaliśmy. Wszyscy, którym to było potrzebne, ich znali. A tu nagle pojawili się w generalskich mundurach.

Stali za Ławrem niczym kurtyna teatru Bolszoi: brokatowozłota i purpurowoczerwona.

Nie mówiąc ani słowa, Ławrentij demonstrował pomniejszonym wodzom, kto ma teraz siłę. A ci jak urzeczeni wpatrywali się w jego zbójcejką mordę, i wiedziałem, że dziś dostanie od nich wszystko, czego zażąda.

I właśnie wtedy zrozumiałem, że jeśli wodzowie się pośpieszą, to i z Ławrentijem niedługo skończą. Zbyt łatwo odniósł sukces. To skłania do beztrojski.

A ja – gdy tylko nadarzy się okazja – muszę spróbować przedostać się na drugą stronę. Repertuar tych wojaków wyczerpał się. Po Wielkim Bossie do jego roli może pretendować tylko kłown.

Długo jeszcze przyglądałbym się im z zainteresowaniem i satysfakcją przez ogromne oszklone drzwi gabinetu: żyli w tajemniczej głębi nierealnego świata, niby w brzuchu wielkiego telewizora, jak gdyby zmówiwszy się, by dać jedyny, niepowtarzalny występ amatorskiego zespołu teatralnego. Wszyscy grali – nieudolnie, ale nadzwyczaj gorliwie. Dla siebie samych, bez widowni, bez wyuczonego tekstu, improwizowali w natchnieniu, zrodzonym z zacieklego dążenia, by przetrwać.

Ale oto z sypialenki zmarłego Bossa wyszli lekarze, których białe kitle tak dziwnie wyglądały tu, pośród szarozielono-czarnego umundurowania pomniejszych wodzów i lśniącej złotem pagonów szaty Ławra. Byli tu nie na miejscu.

* *Ministerstwo Gosudarstwiennoj Biezopasnosti* – Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Widziałem, jak poruszają się ich usta. Uchyliła się ciężka powieka Bogdana Kobułowa; wewnątrz szaroniebieskiej śliwki oka widać było spęczniały, przekrwiony mięksisz białka. Z uwagą słuchał, co mówią lekarze. Spojrzał na Ławrentija, ten skinął głową. Kobułow bez trudu, jednym silnym rzutem poderwał swoje cielsko z głębin fotela, szybko, niczym atakujący nosorożec, przeszedł gabinet, podniósł słuchawkę telefonu, coś tam burknął.

Po czym wynurzył się zza przeszklonych drzwi – z głębi telewizora – ku mnie, na podest klatki schodowej.

– Zawieziesz towarzysza Stalina do kostnicy...

Dźwigaliśmy nosze we czterech. Z czarnej gardzieli sanitarki wyciągnęliśmy nosze i ponieśliśmy je długim dziedzińcem Instytutu Anatomii Patologicznej. Ciamkał pod nogami rozkisły marcowy śnieg, pachniało mokrymi topolami, porywisty, wilgotny wiatr zaciął w twarz mżawką. Zza płotu sterczał gigantyczny, falliczny symbol świata – szara w mroku nocy kopuła planetarium.

Śpiące miasto żegnało Gospodarza nieprzyzwoitym gestem.

A u wrót instytutu, na dziedzińcu, przed słabo oświetlonym służbowym wejściem tłoczyli się, snuli, kłębili nasi wspaniali, waleczni tuptusie. Niektórzy salutowali białemu workowi z rogoży, leżącemu na noszach, stawali na baczność, płakali. A na naszą czwórkę patrzyli z lękiem i czcią.

Głupki. Biorą nas za jakieś osobistości, za nieznanych im marszałków. Komuż innemu powierzono by taką misję?

Głupki. Książek nie czytają.

Mnie osobiście Kobułow wyznaczył do tej roli, bo wiedział, że w minutę mogę gołymi rękami zabić dziesięciu ludzi. To moja główna życiowa umiejętność. Jasne, że tych trzech pozostałych znalazło się tutaj z tej samej przyczyny.

Boss za życia był niezbyt wysoki, szczerze mówiąc, całkiem mikrogo wzrostu, i pod koniec jeszcze bardzo schudł, a mimo to ciężki był jak diabli. Pot nas oblewał, gdyśmy go nieśli. Ale oddać nosze któremuś z tych wałęsających się wokół darmozjadów – nie, to było nie do pomyslenia. Tylko nam przysługiwał ten zaszczyt.

W każdej epoce bazowaliśmy na tajemniczości, wewnątrz której tkwi po prostu głupota.

Błękitna latarenka nad wejściem, ciemnawe schody, mżące światło niewielkich lamp. Żelazne drzwi windy towarowej, ciężkie i ostateczne, niczym podwoje krematoryjnego pieca. Ta winda zawsze wozi martwy ładunek.

Ręce mi zdrętwiały, a windy nie ma. Utknęła gdzieś na górze. Ludzie wokół nas wałą pięściami w żelazne drzwi, klną po cichu, ktoś pobiegł po schodach na górę. Czuć kotami, formaliną, ścierwem.

Łódź Charona osiadła na mieliźnie. Ugrzęzła w mule na tamtym brzegu.

Wszyscy czterej marzymy, żeby postawić nosze na podłodze. Niechby utrudzone ręce choć odrobinę odpoczęły. Albo żeby chociaż zamienić się miejscami.

Nie wolno. Wybrano nas. Zastępujemy marszałków, którzy w tej chwili mają co innego na głowie. Zresztą dużo by tu oni natrzymali, stare dziady.

Coś ty, Bossie, taki ciężki? Skąd w tobie ten potworny, niepomierny ciężar?

Z góry biegnie ten, co poszedł po schodach, krzyczy z pierwszego piętra zduszonym szeptem: „Bezpiecznik! Korek wywalilo!”

– Idziemy! – mówię do osobistości z lewej i zaczynam zawracać nosze w kierunku schodów. Zawołałem najstarszego z tuptusiów, kazałem mu trzymać moją rączkę noszy, syknąłem groźnie: „Pamiętaj, że ci zaufano!”, a sam ruszyłem przodem, niby to patrzeć im pod nogi na schodach, żeby się, Boże uchronij, nie wywalili.

Razem ze zwłokami, ciężkimi jak ołów.

Niezmęczony, dumny – opowie wieczorem rodzinie, dłonie będzie pokazywać: „Patrzcie, o, tymi rękami...” – parł tuptuś w górę jak traktor, a ja szedłem przed nim, komenderowałem surowo, półgłosem – w lewo, w lewo, stój, nogi wyżej, teraz dobrze, tu wysoki stopień, teraz w prawo...

Na trzecim piętrze – sala sekcyjna. Chlusnęło w twarz jasnym światłem i smrodem.

Było tu wielu lekarzy: ci, których widziałem na dacy, koło sypialenki nieboszczyka Bossa, i jacyś inni – w białych fartuchach, włożonych wprost na bieliznę, z wysoko podciągniętymi rękawami. Zachowywali się jak gospodarze – surowo przepytывali tych, co wrócili z dacy, z powagą kiwali głowami i przez cały czas przerzucali się jakimiś uczonymi słówkami: balsamowanie... konserwant... konserwacja paliatywna... erozja tkanek...

Dzielne chłopcy! Nieduża ta nasza piramida, za to Cheops – kolos!

Przełożyliśmy Bossa z noszy na długi marmurowy stół, zalany osłepiającym mlecznym światłem, i ryży patroszyciel, podobny do rzeźnika z bazaru, krótko zakomenderował: „Jesteście wolni!”

Sekretny dyspozytor moich postępów krzyczał we mnie: Nie wolno! Uciekaj! Moja ukryta istota, moja prawdziwa natura, alter ego pułkownika MGB Chwatkina, próbowała uchronić mnie od jakiegoś strasznego rozczarowania, wielkiego niebezpieczeństwa, potwornego odkrycia.

Ale ja się nie podporządkowałem.

Wziąłem za ramiona swoich towarzyszy – a tuptusiowi nawet mówić nie było trzeba, oni są bardzo zdyscyplinowani – i poprowadziłem ich do wyjścia. Zamykając za nimi drzwi, szepnąłem:

– Nikogo nie wpuszczać, ja tu trochę pobędę.

Zsunięto prześcieradło z ciała. Ryży patroszyciel popatrzył na żółtawego starca, leżącego na szarym, kamiennym blacie sekcyjnego stołu, wziął szeroki, złowroźnie połyskujący nóż, ale dźgnąć się nie zdecydował. Drżały mu ręce. Obejrzał się, zobaczył mnie, już otworzył usta, żeby wyrzucić mnie z sali sekcyjnej – wiedziałem, że musi na kogoś ryknąć, żeby nabrać ducha.

Uprzedziłem go, mówiąc życzliwie, uspokajająco:

– Nie denerwujcie się, możecie zaczynać!

Wzruszył ze złością ramionami, mruknął coś – czort wie co! – przez zęby, i uznawszy widać, że postawiono mnie tu w charakterze ochrony, machnął ręką i wraził swój nóż Bossowi w gardło.

O Boże Ojczy Wszemogący!

Gdyby tak zobaczył ktoś spośród milionów ludzi, którzy marzyli, by rozpruć nożem gardło Wielkiemu Bossowi, jak żałośnie drgnęła ta ryżo-siwa, jakby pokryta gęstym łupieżem głowa!

Gdyby usłyszeli, jak głucho stuknęła pośród śmiertelnej ciszy potylica o kamień!

Spełnienie marzeń – to zawsze bzdet. Marzono, by zobaczyć nóż w gardle Ojczulka Narodów, obfitą, dymiącą strugę krwi. A tu wsadzili nóż w gardło zdechłemu starcowi i zamiast krwi wysączyła się ciemną strużką posoka.

Od dołka pod gardłem do wzgórka lonowego nóż nakreślił czarną bruzdę i skóra rozstępowała się z cichym trzaskiem, niczym kartka brystolu. Patroszyciel wsadził ręce w rozstęp, jakby włożył je pod koszulę i pod nią macał Bossa, zdzierając z niego tę ostatnią, niepotrzebną powłokę.

I od tych szarpnięć z trudem złączącej skóry głowa Bossa miotła się w prawo i w lewo po gładkim marmurze stołu, i podrygiwały, wygrażały jego ręce. Uderzały o kamień bardzo białe dłonie o krótkich, tłustych, okropnych palcach.

Spod półprzymkniętych powiek widać było żółte źrenice. Wydawało mi się, że on wciąż jeszcze widzi nas swoimi tygrysimi oczami, nieznanymi śmiechu ni miłosierdzia. Śledził proces swojego patroszenia. Zapamiętywał wszystkich.

Duży garbaty nos w rozpadlinach dziobów po ospie. Oto komu diabeł groch na twarzy młócił!

Obfite, sztywne wąsy osiadły na zapadłych ustach.

Gęste, pstre włosy. Niegdyś rude, z czasem pociemniały, potem pokryła je sól siwizny, a teraz namokły posoką.

Balsam zachowa dla potomności
Resztki śmiertelnej powłoki...

Z chrzęstem łamały szczytce kości klatki piersiowej. Patroszyciel wydobyl w całości mostek – przerażający czerwony trójkątny wachlarz.

A w otworze widniało serce – zwarta bryła, przecięta szramą. Ludzie odwoływali się do niego przez całe dziesięciolecia. Do mięśnia, zwapnionego przez sklerozę.

O, jakże bezlitosne było to serce! Znało tylko jeden ból – zawałowy.

I cały czas zerkałem na jego członek, na wydalający mocz organ rozrodczy. Było mi jakoś przykro, że taki jest mały, zmarszczony, fioletowy, niczym uschły daktyl. Jakie to głupie – niby ojciec narodów, a wszystko – jak u ludzi.

Anatomowie kroili Bossa, piłowali go i heblowali, wyciągali na stół przezroczyście błękitne kiszki, całe w białych błonkach, purpurowy glaz wątroby, ślizgały się po marmurze monstrialne fasolki nerek.

Boże! Cała ta krwawa mieszanina mięsa i starych, kruchych kości jeszcze wczoraj rządziła światem, była jego losem, była palcem, wskazującym drogę całej ludzkości!

Gdyby choć jeden władca świata mógł być obecny na własnej sekcji!

A potem zabrali się za głowę. Właśnie po to wytrzymałem przez dwie godziny cały ten koszmar. Chciałem mu zajrzeć do głowy.

Sam nie wiem, co spodziewałem się tam zobaczyć.

Maszynę elektroniczną?

Wyfruwającą czarnym dymem nieczystą siłę?

Maciupcich, mniejszych niż krasnoludki człowieczków – Marksika, Hitlerka, Leninka – kolejno podpowiadających mu zawsze bezbłędne decyzje?

Nie wiem. Nie wiem...

Ale przecież to okrągłe kościane pudełko kryje niezwykle sekret.

Jak on to wszystko zdołał zrobić?

Patroszyciel-prosektor chlasnął nożem rdzawo-popielatą czuprynę – od ucha do ucha – i fałdy zmarszczonej na czole trupa skóry skaziły tę garbonosą twarz o przymrużonych oczach grymasem straszego gniewu.

Wszyscy się cofnęli. Zamknąłem oczy.

Ledwie dosłyszalny trzask skóry. Stuk metalu o kamień. Cisza. I przenikliwie-zjadliwy wizg piły.

Kiedy znów otworzyłem oczy, z głowy zdjęto już skalp, a prosektor odpilo- wywał wierzch czaszki niklowanym ostrzem, rzucającym oślepiające błyski.

Bossowi narzucono na twarz jego własną fryzurę.

– Gotowe! – powiedział prosektor i zręcznie zdjął z czaszki wierzchnią część. Trzymał ją w wyciągniętych rękach, jakby zamierzał pić herbatę z tej czary.

Mózg. Żółtawoszare, poskręcane, pokryte brązowoczerwonymi plamami pagóry.

Kolosalny orzech. Tak, orzech. Ogromny zasuszony włoski orzech.

Orzech... Jak dobrze pamiętam ten wielki, twardy orzech, na solidnym ogonku, z dwoma rozłożystymi, szkarłatno-zielonymi liśćmi, który z głuchym łoskotem upadł rankiem na wysypaną żółtym piaskiem dróżkę w ogrodzie, otaczającym daczę Wielkiego Bossa w Picundzie.

Stałem na straży w ogrodzie pod jego oknami. I nagle zwrócił moją uwagę ten ledwie dosłyszalny dźwięk – orzech sam spadł z drzewa, jeszcze drżały jego grube liście.

Podniosłem go. Wierzchnia zielona łupina już odpadła, był jędmny, chłodnawy i odrobinę wilgotny od rosy, wypełniał całą garść. Wsunąłem koniuszek finki w wąski czarny otworek, przypominający tajemną szczelinę kobiecej pochwy, leciutko nacisnąłem, i połówki ze słabym trzaskiem rozchyliły się.

Gdzieś tam, w głębi skorupki, tkwiło jądro, pagórkowaty żółtawy mózg orzecha.

Ale przyjrzeć mu się nie zdołałem. Miliardy mikroskopijnych czerwonych mrówek, jak gdyby czekających, bym je uwolnił, wytrysnęły falą z wnętrza orzecha. Nie przyszło mi do głowy, by go natychmiast cisnąć, i w okamgnieniu pelzły mi już po rękach, całymi oddziałami atakowały mundur, przedostawały się pod koszulę.

Maszerowały po ostrzu noża.

Strzepywałem je z rąk, uderzałem dłońmi po spodniach, dusiłem je na szyi, na twarzy, a one kąsały mnie już i łaskotały pod pachami, w kroku.

Tłukłem je, rozgniatałem w brudne lepkie plamki. Wydzielały przenikliwą kwaśną woń, zwłaszcza te, które trafiły już do ust.

Małe, rude mrówki.

Rozebrałem się do naga i wskoczyłem do stawu. Mrówki spływały ze mnie jak marynarze ze statku, który zatonął. Brudnorudymi zaciekami poruszały się po ustałym, nieruchomym lustrze wody.

Na brzegu leżał porzucony orzech – w jednej połówce skorupy. W jego wnętrzu widać było żółtoszare, pagórkowate, poskręcane uschłe jądro.

Wypelzały ostatnie rude kreatury.

Stary mózg. Wyjedzony orzech. Jądro niegodziwości.

Obudziłem się po dwudziestu pięciu latach. W jakimś ciemnym, zatęchłym pokoiku. Obok mnie leżała goła kobieta.

Na łóżku z niklowanymi kulami przy wezglowiu i w nogach.

Szturchnąłem ją w bok, a kiedy podniosła z poduszki tłustą, zaspaną buźkę, spytałem:

– Kto ty jesteś?

– Ja? Tynkarka. – Opuściła bezwładnie głowę i zapadła w mocny, pijacki sen.

Po dwudziestu pięciu latach od zaśnięcia Wielkiego Bossa.

2. Skandal

Zasnęła, a ja rozbudziłem się na dobre. Przekleństwo kaca – poranne przebudzenie. Przekleństwo zbliżającej się starości.

Na starość i na kacu człowiek szczególnie wyraziście widzi, jak wielu rzeczy nie zrobił i jak mało zostało mu czasu. Spać się chce, a nieznaną siłą dźwiga cię i zaczyna, dręczyć, zawstydzają: myśl, kajaj się, prolonguj tę resztkę...

Nie czuję się starcem, ale ciężko mi myśleć: głowa boli, mdli mnie z lekka, brak powietrza.

Kobieta obok mnie oddychała głośno, z poświstem. Pewnie ma coś nie tak z migdałami. Tynkarka... Coś takiego. Skąd ja ją wziąłem?

Jechało od niej zapachem wiejskiego sklepu – skóry, mydła poziomkowego, perfum Carmen, śledzi.

Coś tam zamruczała przez sen, przewróciła się na bok, zarzuciła na mnie ciężkie, nabite udo i wciąż się nie budząc, zaczęła mnie głaskać. Chciała jeszcze.

Kiedy na mnie popatrzyła, wydało mi się, że ma sztuczne oko. Protezę. A może bielmo?

Boże. Gdzie mnie zaciągnęło?

Wyczerpany wczorajszym pijaństwem organizm podnosił alarm. Błagał o odrobinę piwa, wódeczki, o umycie go pod gorącym natryskiem i przelozienie z nikiłowanego łoża jednookiej tynkarki do jego prawowitego fińskiego wyrka. Żeby wreszcie pospać. W pojedynkę. Bez żadnych tam pogłaskiwań i zarzucania rozpalonych, nabitych ud.

Ale jak ja tu trafiłem?

Przenikliwy, podły zapach Carmen zagęszczał się wokół mnie, materializował, ucieleśniał, zmieniał w trującą lawę, która szybko twardniała, kamieniała... Aż stała się opoką. Dnem bezdennej kopalni czasu, na którym leżałem skurczony, przywalony rozpalonym półdupkiem jednookiej tynkarki. Woń Carmen poruszyła coś w moim śpiącym mózgu, swoją ohydną, natrętną ostrością nacisnęła jakiś guzik i cofnęła mnie o dwadzieścia pięć lat.

Odbiłem się od dna i popłynąłem w górę – na spotkanie dnia dzisiejszego.

Oto rozrzedził się smród Carmen, osłabł, a ja wpłynąłem w dumnie' zuchwaly fetor Czerwonej Moskwy. Rósł w siłę i zajadłość... Przepłynąłem przez fortissimo jego nieznośnego odoru i zawiąło mi zapaszkami niemal

zapomnianym – ostrym i zarazem subtelnym, niczym głosy ulubionych śpiewaczek Bossa – Ladowej i Pantielejewej. To płynęły obok mnie, nie mieszając się ze sobą, Srebrzysta Konwalia i Dama Pikowa.

Płynąłem poprzez czas, doganiałem dzień dzisiejszy. Przebijałem się przez geologiczne warstwy zapachów mego życia – zapachów wszystkich kobiet, które ze mną spały.

Lubieżna ościężałość arabskich perfum. Esencja płci, wytłoczyna z jąder. Erzac psych wizytówek na parkanach. Ambra niezaspokojonej jeszcze chuci.

Zamigotało światło: poczułem woń Chanel i Diorissimo. Wpływałem w dziś, a dokładniej – we wczoraj. Kobiety, z którymi byłem wczoraj, pachniały francuskimi perfumami.

To zapach mojego tu i teraz, to zapach moich kurew. Moich kosztownych wprawdzie, a jednak kochanych dziewczyn.

Przypomniałem sobie, co było wczoraj. Przypomniałem – i przestraszyłem się.

Wczoraj zostałem skazany na śmierć.

Co za idiotyzm! Diabelstwo jakieś. Nie cierpię mistyki. Jestem materialistą. Nie na zasadzie świadomości partyjnej, a na zasadzie życiowego doświadczenia.

Niestety, śmierć to najbardziej podstawowa realność naszego materialnego świata. Całe nasze życie do tej granicy – to mistyka.

Nieźle jest pomyśleć o tym wszystkim, kiedy człowiek leży w dusznej klitce, przyciśnięty do sprężynowego materaca nabitym udem tynkarki, której imię pozostaje tajemnicą.

A jak się nazywał tamten... tamten wczorajszy, odrażający i okropny? Jak o sobie powiedział?

– Jestem palaczem kotłowni Trzeciego Wydziału Piekła do Spraw Eksploatacji.

Głupi, bezsensowny żart. Żalosa zemsta za ciągłe poniżenia, jakim poddawałem go podczas tej niekończącej się wieczornej popijawy.

Palacz z kotłowni. Może ta tutaj, tynkarka, też jest z tego wydziału? Jakie ściany tynkujesz? Z czego robisz zaprawę?

Straciłem z siebie rozgrzane w piekielnym kotle udo i zacząłem wypelzać z łóżka. Czuję się jak człowiek wydostający się z bagnistej otchłani na

skrawek twardego gruntu. Trzeba wstać, znaleźć w tej wrednej ciemności i fetorze swoje ubranie.

Bezbronność nagości. Dreszcz chłodu i odrazy. Jak my się boimy mroku i obnażenia! W ciemności i na golasa łapią nas palacze ze straszliwej kotłowni.

Przysiadł się do nas w kulminacyjnym punkcie imprezy w knajpie Domu Kina.

Namacalem w ciemności spodnie, skarpetki, koszulę. Żabi chłód skórza-nej marynarki, walającej się po podłodze. Lubieżne posapywanie tynkarki. Nie mogę znaleźć kalesonów i krawata. Śpi jak zabita moja jednooka przyjaciółka, mój chutliwy cyklop na grubych nogach. Bez niej nie znajdę kalesonów i krawata.

Do diabła z nimi. Choć krawata szkoda: francuski, modny, wąski, prawie nienoszony. A z powodu kalesonów czeka mnie przeprawa z moją ukochaną żoną Mariną.

Jeśli palacza wczoraj nie było, jeśli jest on tylko wytworem zwariowanej pijackiej fantazji – to jakoś tam przeżyjemy te straty.

A jeśli palacz wczoraj przychodził, wszystko to – kalesony, krawat – do niczego mi już niepotrzebne.

Pełen nienawiści do siebie samego i do świata, gorzko żalując utraconych bezpowrotnie kalesonów i krawata, połączyłem makro- i mikroskop swoją odrazą i strachem, i włożyłem kremplinowe spodnie. Nieprzyjemnie chłodziły gołe ciało, potęgując wrażenie bezbronności i bezspodniowości.

Brakuje tylko, żebym zgubił też czapkę z piżmaków. Nie dość, że kosztuje teraz trzy razy tyle, to spróbuj ją dostać... Nie mogę żyć bez moich piżmaków. Generałowie i pułkownicy dostają z przydziału karakułowe papachy, a my – teraz cywile – uszanki z piżmaków. To nasz mundur. Papacha partyjna. Papacha państwowa*.

Papacha. Papić. Ojczulek. Ojciec Narodów. Wielki Boss.

Jak to się stało, Wielki Bossie, że zawitałeś do mnie tej nocy? A może to ja przyszedłem do ciebie na widzenie?

* Czapka z piżmaków była tak powszechnie noszona przez pracowników nomenklatury, że zamieszkanе przez nich dzielnice nazywano „piżmakowymi”.

Przywiódł mnie do ciebie ten przeklęty pałac. Skądś ty się wziął, robotniku diabła? Trzeci Wydział do spraw Eksploatacji...

Dawno, dawno temu, kiedy pracowałem jeszcze w swojej niewidzialnej i wszechobecnej instytucji, nazywaliśmy ją między sobą skromnie i z niejaką dumą – Wydział. Ale wydział był tylko jeden. Żadnego trzeciego, siódmego czy dziewiątego być nie mogło.

O, jest, leży mój piżmak, drogi mój – sto cztery przydziałowe talony – szczurek, piżmaczek mój kochany, jedyny, przywieziony do nas dawno temu z Ameryki.

Dlaczego ja nigdy nie widziałem Amerykanina w czapce z piżmaka?

Futerko pokrywa chropawy strup. Odór. Zaszkle w duchocie rzygowiny. Ohyda.

Pora uciekać, wydostać się z nory śpiącej tynkarki. Ale pozostała jeszcze jedna niewyjaśniona sprawa. Jak ja się z nią wczoraj umówilem – za pieniądze czy za miłość? A jeśli za pieniądze, to czy już dałem, czy obiecałem dać później?

Nie pamiętam. A zresztą to nieważne: wystarczy, że miała ze mnie pożytek. Nie należy wspierać prostytucji. To niedobrze, jeśli zapłaciłem wczoraj. Nie wolno być frajerem. Jeszcze młoda, zdrowa, niech zarabia tynkowaniem, a nie rozpustą.

Rzuciłem na stół paczkę gumy do żucia Edams – i do wyjścia.

W drzwiach na korytarz gruby łańcuch i trzy zamki. Ludzie, przed kim wy się tak zamykacie? Złodzieje nie przyjdą kraść waszej nędzy. A dla tych, kogo się boicie, wasze zamki to żadna przeszkoda.

Odsuwając po cichutku rygiel ostatniego, szczególnie złośliwego zamka, wymyśliłem nieskomplikowany kalambur: bogaci lubią zamki-fortece, a biedni – zamki-rygle.

Żałośnie zazgrzytała sprężyna rygla, otworzyłem na oścież drzwi na klatkę schodową i odór, który tam, w pokoiku tynkarki, brało się za powietrze, wyrzucił mnie na ulicę.

Tacy to nawet na normalne powietrze nie zasługują. I tak powinno być. Świat jest niewielki. Wszystkiego w nim za mało.

Dobrze by było się zorientować, gdzie jestem. Na mojej omedze nie wiadomo dlaczego została tylko jedna wskazówka, która utknęła między szóst-

ką a siódmką. Długo patrzyłem pod latarnią na dziwny cyferblat-inwalidę, dopóki nie pojawiła się druga wskazówka. Powoli, wstydliwie wypełzała spod pierwszej. Suka. Spółkowały. Płodziły sekundy. Robiły to na mojej ręce, jak owady.

Sekundy, nie zdążywszy się narodzić, szybko rosły w minuty. Minuty zaokrąślały się i puchły w godziny. Godziny stawały się brzemienne dniami, które wspólnymi siłami zmieniały w kwadratowym okienku kalendarza nazwę miesiąca.

Ale palacz powiedział wczoraj, że nie doczekam następnego miesiąca. Jak to możliwe? Bzdura, psiakrew. Przecież to absolutnie niemożliwe!

Och, żebym tak dostał cię teraz w ręce, ty wredny, śmierdzący szczurze! Właśnie teraz, kiedy ustawiłem jak należy wskazówki mojego życia... Jaja bym ci na uszy jak dzwonki naciągnął! Skurwiel pieprzony.

Ale palacza nie było. Była źle oświetlona, zaśnieżona ulica, składająca się z jednakowych szarych, czarno nakrapianych domów. Były przerażająco bezosobowe. Szare w czarne cętki, jak tyfusowe wszy.

I ludzi prawie nie widać. Gdzieś w dali, po drugiej stronie pośpiesznie przemknęły szare zziębłe cienie, ale bałem się na nie zawołać, bałem się je zatrzymać, żeby nie znikły, nie rozmyły się. Najstraszliwszy sen to sen przerwany.

Ale ja przecież już nie spałem! Obudziłem się w niklowanym łóżku tynkarki, wypadłem na ulicę i te śliskie zaśnieżone chodniki były z jawy. Buty tonęły w śniegu i z tęsknotą wspomniałem przepadłych na zawsze dozorców Tatarów. Dawno temu, w czasach Bossa, dozorcami w Moskwie nie wiadomo dlaczego byli Tatarzy, którzy bez żadnych maszyn, wyłącznie za pomocą łopat i mioteł, utrzymywali ulice w czystości. Ale Tatarzy stopniowo zniknęli, pozostawiając Moskwie śnieg, rzadkie błoto i smutne następstwa swojego tatarsko-mongolskiego jarzma.

Szczerze mówiąc – choćbym nie wiadomo ile myślał na ten temat – innych następstw osławionego jarzma, niż łajdactwa na ulicach i przyjemnie wyraziste kości policzkowe naszych bab, nie mogłem wyśledzić.

O tatarskim jarzmie mówił wczoraj palacz.

W ogóle gadał z polotem, z urzekającym luzem prowokatora. Powiedział, że lubi naszą ideologię za prostotę: skoro nie ma u nas warunków dla przestępczości, to znaczy, że zrodziły ją wpływy burżuazyjne i spuścizna

tatarsko-mongolskiego jarzma. A to, że od pięciuset lat Tatarzy są u nas wyłącznie dozorcami – nieważne. A to, że za samą próbę poddania się burżuazyjnym wpływom na drodze znajomości z cudzoziemcem od razu trafiasz do Wydziału – też nieważne...

Znalazłem się na pustej, zaśniewanej ulicy martwego miasta z koszmarnego snu. Ulica nie miała końca – tylko gdzieś daleko migał na skrzyżowaniu sygnalizator, słabo wybuchał żółtym siarkowym ogniem, mamił, obiecywał, gasł, znowu mamił. Na płaskich, martwych fasadach domów mdło połyskiwały krwawą poświatą nieliczne okna.

Nigdzie ani śladu drzewa. Nowe osiedle. Parkany. Zastygłe w pozycji wspiętego konia betonowe płyty, zwały rur, kosmiczne dziwolągi sterzących belek, pełne grozy znieruchomiałe strzały oszronionych, pokrytych śniegiem dźwigów i koparek. Ani śladu drzewa.

Latem – jeśli pojawia się tu lato – powinno być jeszcze okropniej.

Może trafiłem na Marsa?

– Hej, człowieku! Jak się ta miejscowość nazywa? – wrzasnąłem na spotkanie nadpelzającemu cieniowi. Cię sunął nisko nad ziemią w ciężkim obłoku siwuchy.

– Jak, jak... Wiadomo jak, Lanozowo!

O ja cię kręcę... Jak mnie tu zaniósł? Masz swoją tynkarkę! A zresztą ona nie ma tu nic do rzeczy... Wszystko przez tego cholernego palacza.

To on gna mnie teraz po tej potwornej ulicy, przemarzniętego, z mdłościami w gardle, przepelnionego strachem i wstydem, bez krawata i kalesonów.

Kiedy wczoraj pojawił się przy naszym stole, z początku myślałem, że to znajomy którejś z naszych dziewczyn. Nie zwracałem na niego uwagi, nie traktowałem poważnie. Był nikim.

Takie bywają bezpieczeństwa psy na podmiejskich osiedlach domków letniskowych. Tchórzliwe i bezczelne.

Jak on wyglądał? Jaką miał twarz? Nie pamiętam. Nie mogę sobie przypomnieć. Może on nie miał twarzy? Palaczu z piekielnej kotłowni, jaką ty masz twarz?

Nie pamiętam.

W pamięci zostało mi tylko tyle, że był długi, białawy, wijący się, jak wyciśnięty z nosa węgier. Z początku siedział cicho, wił się na końcu stołu.

Potem zaczął wtrącać się do rozmowy, aż wreszcie powiedział: „Znacie ten stary kawał?”

Dlaczego nawet palacze opowiadają wyłącznie stare kawały? A czy kawały bywają kiedykolwiek nowe? Świeże? Młode?

Pewnie los kawału jest taki sam, jak los mężczyzny – żeby zaistniał, stał się i pozostał kawałem, musi przetrwać. Kawałowi, tak jak koniakowi, jak mężczyźnie, potrzebny jest czas, by dojrzeć.

Kawały nigdy nie bywają takie, jak wczorajsza Lucynda. Siedziała obok mnie, przytulona do mego ramienia – młoda, opalona, słodka i chrzęszcząca jak wafłowa rurka z kremem.

Czemu, bałwanie jeden, nie pojechałeś na noc do Lucyndy? Czemu nie wpakowałeś z lubością swojego czekana w jej subtelnie różowe łono, popiskujące z rozkoszy jak ostrzyga?

Czemu nie poszedłem do łóżka z Lucyndą? Promieniuje od niej taki żar... Kąsała mnie leciutko w ramiona, w pierś – chciwie, jak lasica.

Cholerny palacz mnie zwiódł. Wkręcił się do naszego grona jak doświadczony tajniak z Wydziału. Jak agent światowego syjonizmu – niezauważalnie, nieodwracalnie, na zawsze. Potem mnie zezłościł, zirytował, doprowadził do skandalu, spoił mnie wódką, whisky, szampanem i piwem na przemian, nie wiadomo kiedy uprowadził gdzieś Lucyndę, całe towarzystwo od butelki przegonił precz i zawłókł mnie do Lanozowa – do jednookiej tynkarki, w rzygowiny, w duszny odór ciasnego pokoiku, w beznadziejność Carmen, zbutwiałej skóry, mydła za kopiejkę i śledzika, w dławiący ciężar rozpalonych ud, na upiorne, zdawałoby się, na zawsze zapomniane Zaśnięcie Wielkiego Bossa.

Nieprzenikniona, asfaltowa czerń ulicy zaczęła się powoli rozgadniać nieśmiałym błękitem. Ciemne, mroźne powietrze stawało się fioletowe, wilgotne, soczysta liliowość niespiesznie wymywała z nocy szarość i węglowy mrok. Zaczął padać śnieg. Wielkie płatki, nienaturalne, niczym kawałki waty, spadały pionowo na ulicę. Na mnie, znużonego do cna.

Zielona gwiazda spadająca leciała przez ulicę. Leciała mnie naprzeciw. Wprost na mnie.

W mętym błysku reflektorów ujrzałem zaszarganą żółtą wołgę. Taksówka. Statek ratunkowy, przysłany po mnie na tego Marsa, zamieszkanego przez cienie i jednooką tynkarkę. Na osiedle skazańców.

– Taxi, taxi! Hej, szefie! – wrzasnąłem na całe gardło, wybiegając na jezdnię. Gardło ścisnął mi spazm, i głowa pękała z bólu, i powoli płynęło auto, tak jakby straszny sen trwał nadal. – Stać! Ja jestem żywy! Wszyscy zginęli, a ja zostałem...

Kierowca przyhamował. Szarpnąłem za klamkę, ale drzwiczki były zamknięte i kierowca rozmawiał ze mną przez uchylone okno. Być może wiedział, że wszyscy tu powymierali, i brał mnie za ducha? Albo się bał, że ograbię go z utargu i zamorduję?

Nie bój się, głupi! Ja już od dawna nikogo nie zabijam. Po co mi to? A pieniądze zarabiam całkiem inaczej!

Coś tam gadał o końcu zmiany, o tym, że mu nie po drodze, że nie jest koniem... Jasne, ty durniu, nie jesteś koniem, to widać od razu. Jesteś leniwym osłem.

– Podwójna taryfa! – zaproponowałem i postanowiłem: jak odmówi, wyrzucę go z samochodu, dojadę nim do centrum i tam zostawię. Nie mogę dłużej szukać taksówki. Mdli mnie, boli mnie głowa, mam dreszcze, jestem bez krawata i kalesonów. Mam potwornego kaca. Wczoraj się urznąłem, a potem długo, bez satysfakcji trudziłem się nad cyklopem o tłustym zadzie. Nie mam już sił. Zostało mi ich tylko tyle, żeby błyskawicznie wsadzić rękę przez okno i przeciąć temu osłowi tętnicę szyjną. Poleży ociupinę na śniegu, nieuprzątniętym przez Tataro-Mongołów, którzy rozwiali się jak dym, i przyjdzie do siebie. A ja tymczasem będę w domu.

– Jedziemy – zdecydował, wybawiając siebie samego od niekorzystnych skutków nadmiernego strachu. Przecież nie mógłby sobie potem przypomnieć mojej twarzy, tak jak ja nie mogę sobie przypomnieć palacza.

Otworzyły się drzwiczki i dałem nura w duszne, nagrzane wnętrze starego rozklekotanego auta. Ciepło, woń benzyny, gumy i oleju, jednostajny rytm kołysania sprawiły, że natychmiast zaczęło mnie wciągać grzęzawisko snu. Już się prawie zdrzemnąłem...

Ale znowu wynurzył się Palacz, cienkim złośliwym głosem powiedział: „A znacie ten stary kawał?”

Fioletowy zmierzch snu uleciał, ustępując miejsca szarości wschodzącego poranka. Palacz nie przepadł, nie rozmył się w świetle dnia, przeciwnie, był coraz bardziej realny, namacalny, pamiętny.

Nierasowy. Moja matka mówiła o takich pozbawionych wyrazu typkach „nierasowy”.

Z szaroniebieskiej kłębiącej się mgły kaca coraz wyraźniej wylaniała się chuderława, długa twarz Palacza z ciężką grudą nosa. Miał twarz treflowego asa.

Usta rozciągały się wężowato, by pośród słonych żarcików i nieprzyzwoitych anegdot nieoczekiwanie opaść tragicznie w dół, a wtedy wydawało się, że Palacz zaraz zapłacze. Ale zapłakał później. Na samym końcu. Zapłakał naprawdę. I zaśmiał się równocześnie – radośnie i swobodnie. Tak jakby wypełnił misję, nietatwe i niebezpieczne zadanie, z jakim go do mnie przysłano.

Teraz przypomniałem to sobie wyraźnie. Znaczy, że naprawdę tam byłeś, przekłety Palaczu!

Samochód z rykiem wzbijał się na wzgórze wiaduktu, przemykał pod dudniącymi arkadami, wyprzedzał żółte, warczące pudełka autobusów – puszki, ciasno wypełnione nieświeżym ludzkim mięsem.

Poprzez slumsy Władykina, z ich neonową reklamą, migającą zagadkowo i nieprzyzwoicie „...cherskaja”*, poprzez arktyczne pulsowanie błękitnawych oranżerii marfińskich, obok zaśnieżonej czerni ostankińskiej dąbrowy, przypominającej opuszczony cmentarz, pod kolosalną figurą wieży telewizyjnej, zapadła pod ciężarem nocy i chmur, które pożarły migoczące na jej szczycie światelka.

Do domu, do domu! Szybciej!

Znaleźć się w łóżku. Nie, najpierw pod prysznic. Potrzebna mi jest gorąca woda, wrzątek niemal. Co prawda i wrzątek niczego nie zmyje, odcisków nie odmoczy.

Przecież zagotował go w swojej kotłowni piekielny Palacz...

Opowiedział kawał. Nawet nie kawał, a starą historyjkę. Zresztą, kto teraz dojdzie, co wymyślili, a co się zdarzyło naprawdę. Ludzką niepamięć, starczą amnezję, zastąpiła pamiętliwość progresywna. Nie pamiętamy, co było wczoraj, ale pamiętamy wszystko to, czego nigdy nie było.

Oto, co opowiedział:

Główny architekt Moskwy, Posochin, pokazywał Stalinowi projekt rekonstrukcji Placu Czerwonego. Wyjaśnił, że pseudoklasycystyczny budynek Muzeum Historycznego trzeba będzie rozebrać, potem zdjął z makiety

* Końcówka napisu *Parikmacherskaja* (Zakład Fryzjerski); *cher* – nieprzyzwoita nazwa członka męskiego.

hale targowe GUM-u*, w miejscu których miały być wzniesione trybuny. A kiedy złapał za kopułę cerkwi Wasyla Błogosławionego, chcąc pokazać, gdzie trzeba przenieść tę świątynię, Stalin ryknął: „Postaw na miejsce, psie!” – i architektka wynieśli z zawalem serca.

Wszyscy przy naszym stole ryknęli śmiechem. Palacz, zadowolony z efektu, uśmiechał się służalczo i gorączkowo zacierał sine, pewno zimne i wilgotne dłonie. Nie wiadomo dlaczego miał na sobie szkolną kurteczkę. A ja, choć nie wiedziałem jeszcze, że to Palacz, i tak się dziwiłem, dlaczego niezbyt młody człowiek chodzi w szkolnym mundurku. Może z biedy? A może to kurtka syna? Syn chodzi w niej rano do szkoły, a tatuś wieczorem do knajpy w Domu Kina.

Z rękawów kurtki wyłaziły chude, spierzchnięte przeguby, a z kołnierza wyrastał błąd jak kartofel kielek szyi o wystającej grdyce.

– Cha, cha, cha! „Postaw na miejsce, psie!” Cha, cha, cha!

Historyjka, dosyć głupia, wszystkim się podobała. Weselił się zwłaszcza Cezar Solonyj, syn proletariackiego poety Maksa Solonego, któremu, sądząc z pseudonimu, nie dawały spokoju laury Maksyma Gorkiego. Ale imię, jakie wykombinował ten Żyd dla swojego syneczka, świadczyło, że nie były mu też obce idee imperialne.

Cezar, wesoły babiarnik, mikroskopijnego kalibru pisarz, dobroduszny tajniaczek-amator, był moim starym kumplem i pomocnikiem.

Stanowimy z nim szczególną wspólnotę twórczą. Rak i promienica.

Ja jestem rakiem. A Cezar – promienicą.

Chichocząca promienica, o nosie jak haczyk, krzyczała poprzez stół do swego vis-à-vis, archimandryty ojca Aleksandra:

– Słyszałeś, świątobliwy ojcze? Całkiem niezłe powiedziane: „Postaw na miejsce!” A słyszałeś, jak Stalin przyszedł do Teatru Małego, kiedy oddali go do użytku po pięcioletnim remoncie? Nie? No więc prowadzi go do imperatorskiej łoży dyrektor teatru Szapowałow – wyjątkowy drań, połowę materiałów budowlanych wywiózł do siebie na dachę. Taak... Stalin bierze za kłamkę do łoży i... o, cholera! Kłamka odpada i zostaje w ręce wodza! Wszystkich na moment sparaliżowało. Stalin wyciąga rękę, podaje kłamkę Szapowałowowi, bez słowa robi w tył zwrot i wychodzi. Jeszcze tej nocy Szapowałow dostał w dupę. Szanowanko...

* *Główny Uniwersalny Magazyn* – Centralny Dom Towarowy.

Cha, cha, cha. Hu, hu, hu. Chi, chi, chi.

Kłamstwo. Stalin nigdy nie otwierał drzwi sam. Obawiał się, że w drzwiach może być ukryty samopał.

Palacz wił się jak wąż przy końcu stołu, jego biaława główka tłustego wągra gięła się, zwieszała na zwiedłym kielku szyi, zwieńczonej wystającą grdyką. Tak jakby rozmowy o Bossie dawały mu życie, karmiły niewidzialną, złą energią.

Ojciec Aleksander, przypominający rumianą, brodatą krowę, promieniał wszystkimi zmarszczkami swego dobrodusznego oblicza. Szczera, ufna, skłonna do zadumy twarz naciągacza profesjonalisty. Gładząc białą rączką brodę, zwrócił się do poetki Rity Mołoczkowej, naszej kierowniczkii literackiej, laureatki i zarazem okropnej lewaczki:

– Pamiętam, zdarzyła się kiedyś taka śmieszna historia... Stalin dowiedział się, że w Moskwie przebywa gruziński biskup, świątobliwy Herakliusz, z którym był w seminarium. Posłali po niego i ojciec Herakliusz, obawiając się, że może zdenerwować wodza, stawiał się nie w sutannie, a w świeckim garniturze...

– Tak jak ojciec w tej chwili! – radośnie zawołał przenikliwym głosem Palacz, wskazując chudą, kościstą ręką na elegancki fiński, trzyczęściowy garnitur popa.

Wszyscy tarzali się ze śmiechu. Ojciec Aleksander, decydując się na udział w tej rozmowie, złamał swoją zasadę powściągliwości – warunku koniecznego w trudnym życiu kłamcy i mistyfikatora, który w każdej chwili powinien pamiętać wszystkie wersje i wcielenia swego wielopostaciowego życia.

Tylko ukochana Cezara – kurewka o bezmyślnych, błękitnych oczach – niczego nie pojęła i niespokojnie kręciła na wszystkie strony swoją główką, plastikową piłeczką do ping-ponga. Bałem się, że piłeczka może spaść jej z ramion i potoczyć się pod czyjeś krzesło. Szukaj jej wtedy w tym intymnym półmroku!

A ta biedulka niepokoiła się. Całą swoją istotą wyrachowanego zwierzątka czuła, że koło jej plastikowych usteczek przemknął kęsek satysfakcji.

Z przymusem odśmiała swoje ojciec Aleksander, niby to pożartował chwilę sam z siebie, pomotał w palcach starannie rozczesaną, uperfumowaną brodę i dokończył swoją historyjkę:

– ...Stalin przyjął ojca Herakliusza serdecznie, wspominali przeszłość, pili gruzińskie wino, pieśni swoje śpiewali, a kiedy się już rozstawali, Stalin

złapał biskupa za klapę popielatej marynareczki: „Boisz się mnie... A Jego się nie boisz?” – i wskazał ręką na niebiosa...

Cha, cha, cha.

Palacz zakręcił się w miejscu, szykował się, żeby coś powiedzieć czy wykrzyknąć, i siedział już nie przy końcu stołu, a gdzieś niedaleko ode mnie, gdy ukochana Cezara z niepowtarzalną bystrością idiotek zwróciła się do ojca Aleksandra:

– Podobno ludzie noszą brody, żeby ukryć jakiś defekt twarzy. Pewnie ojciec też coś takiego ma?

Najwyraźniej chciała powetować sobie stratę i mieć wreszcie jakąś satysfakcję z tej rozmowy. I archimandryta jej pomógł.

Patrząc na nią ze współczuciem, powiedział:

– Tak. Mam przepuklinę.

– Nie może być! – z przerażeniem i zachwytem wykrzyknęło dziewczątka na tle zbiorowego wybuchu śmiechu.

Zaprawdę, kurewka Cezara jest poza wszelkim podejrzeniem.

– Gdzieś ty ją znalazł, Cezar? Taką niewinną? – krzyknąłem do niego.

– Na dole, w barze. Pełno ich tam jest. Skoczyć?

– Na razie nie trzeba – powiedziałem, obejmując Lucyndę, już podchmielony, w błogim nastroju.

Cezar zabrał się do opowiadania kolejnego kawału, a jego ukochana nachyliła się ku mnie i w dekolcie sukienki ujrzałem krągłe, twarde niczym odważniki piersi. Taka nie potrzebuje rozumu... Niemal obrażonym tonem szepnęła:

– Co wy tak wciąż na niego: cezarski i cezarski? Jak temu cezarskiemu na imię?

– Caius Julius.

Uszczęśliwiona zerwała się i zawołała na moją kędzierzawą promienicę:

– Julik, niech mi pan naleje szampana!

Cha, cha, cha!

Idioci mają dar prorokowania. Przecież on tak naprawdę faktycznie nazywa się Julik. Julik Zalcman. A nie żaden Cezar Solonyj.

Och, Żydzi! Och, wy komedianci! Z jakim przejęciem prawi coś Ricie Mołoczkowej, jak gniewnie gestykułuje! Doprawdy, wszyscy Żydzi to urodzone mimy. Poradzą sobie wszędzie. Bóg obdarzył ich uniwersalnym językiem gestów.

A Rita, o niewyraźnej, mętnej twarzy, pozieleniałej od nieustannego picia i jarania trawy, nie słuchała, tylko z pijacką podejrzliwością śledziła

manewry swojego gacha-dentysty wokół niewinnej, bezmózgiej klaczki Cezara.

Gach, krzepki młody byczek, pełen radości życia debil, nażłopawszy się wody i najadłszy smakołyków, zainteresował się teraz chętnym, różowym świeżym mięskiem. Przepalone, chude wdzięki naszej wszechwzwiązkowej Piewczynie Miłości obecnie go nie interesowały.

Manipulował pod stołem rękami, szukał krągłych, twardych jak jabłka kolanek błękitnookiego cielątka Cezara. Ciekawe, jakie by były ich dzieci? Na ich przykładzie można by bez wątpienia przesledzić wsteczną ewolucję ludzkości.

Ale Rita nie była zazdrosna. Miała go w nosie. Sama chętnie by się dobrała do tego apetycznego, bezmyślnego kęska mięsa, sama by pomacała, pogłaskała, polizala... .

I niepokoiła się, że zanim Cezar ze swoją żydowską dokładnością opowie wszystkie kawały, jej byczek może przechwycić panienkę.

O Ritulko, wzniosła, samotna duszo! O Safo nasza, artystyczna przywódczyni wszystkich panienek-dwururek w obwodzie krasnopriesieńskim!

O Lesbos, Lesbos, Lesbos!

Rozumiałem jej zdenerwowanie, współczułem jej z całego serca. Wskażalem głową na tego debila i spytałem:

– Po jaką cholere go trzymasz?

Odwrociła się ku mnie i dlugo mi się przyglądała. Mumia z wnętrza piramidy, z lekka nadpsuta od powietrza i światła.

– Nie lubię się budzić sama. Mam depresję. A ten bydlak jak wyłomocze mnie z samego rana... . Mało kości nie połamie. Człowiek czuje, że żyje, póki co.

I zaklęła jak szewc.

– Jak pani może! – rozległo się obok mnie.

Drgnąłem i odwróciłem głowę. Palacz siedział już na sąsiednim krześle. Spojrzałem po raz pierwszy w jego trzeźwe, obłąkane oczy – i poczułem niepokój. Palacz krzyczał do Rity:

– Przecież pani jest poetką! Jak pani może! Przecież tymi ustami będzie pani jeść, prawda?

A Lucyndy już koło mnie nie było.

– Co to za palant? – spytała obojętnie Rita, nie patrząc na Palacza.

Wzruszyłem ramionami. Myślałem, że to jeden z jej wielbicieli.

– Przecież pani pisze o miłości! Jak pani może! – zanosił się krzykiem Palacz.

Jego obecność źle na mnie działała. Nie od razu zdałem sobie sprawę, że jestem zdenerwowany. Mętnie po pijacku, w trudny do sprecyzowania sposób.

Skądś z boku pojawiła się moja promienica o haczykowatym nosie i wykrzyknęła dziarsko, bezczelnie:

– O miłości gada się wtedy, kiedy kutas już nie staje!

Palacz chciał coś powiedzieć. Wysuwał swój długi, czerwonosiny język, składał go wpół, wciągał z powrotem do ust i ze złością żuł go, ssał, cmokał.

Wciąż jeszcze chciałem uniknąć skandalu. Nie lubię skandali, nikt jeszcze niczego w życiu nie osiągnął krzykiem.

Skoro już nie da się inaczej – lepiej dźgnąć takiego nożykiem. Za uchem. Ale w bramie. Albo w podwórzu.

Niegołso, zupełnie spokojnie powiedziałem do Palacza:

– Słuchaj no, ty pieprznięty kogucie... Przestań się wysilać. Nie chcemy cię tutaj. Zabieraj się, i to szybko. Pókim dobry...

Palacz przywarł do mnie całym ciałem, dyszał gorącym, kwaśnym oddechem. Bez sensu zamruczał:

– Ach, wy dzieci nieodkupione... grzechy krwawe nieodpokutowane... Wasz ojciec to Josif Wissarionowicz Borgia... Josif Cezariew... Po uszy tkwicie wszyscy we krwi... Ludzka krew i łyż z rąk wam splywają... Spójrz na ręce swoje zbrukane! – i dźgnął we mnie palcem.

Nie wiem dlaczego – czy byłem pijany, osłabiony od alkoholu i dlatego straciłem na moment swoją zwykłą równowagę i czujność myślowego, czy też siła jego była tak wielka... Nie wiem. Ale nieoczekiwanie dla siebie samego spojrziałem na własne ręce.

I wszyscy przy stole unieśli się z krzeseł, przechylili się przez stół, żeby popatrzeć mi na ręce. Zapadła cisza.

A jemu gorzko opadły kąciki długich, węzowych ust, i nie żuł już i nie ssał swego wstrętnego języka.

Moje ręce były suche i czyste. Uspokoilem się. Nie wiedziałem, że mnie podpuszcza.

Spytałem:

– Coś ty za jeden, bydlaku?

A on się zaśmiał, wystawił na moment długą, siną strzałkę języka, błysnęły żółte, przydymione zęby.

– Nie jestem bydlakiem. Jestem odrażający, jak odrażająca jest prawda. Ale nie jestem bydlakiem. Jestem palaczem kotłowni Trzeciego Wydziału Piekla do spraw Eksploatacji.

Przy stole było cicho jak makiem zasiał.

Nigdy nie zastanawiam się, jak uderzyć. Decyzja rodzi się sama, bez mojego udziału. Gdyż ludzi bije się rozmaicie. W zależności od tego, po co.

Bije się:

- żeby poniżyć
- żeby zastraszyć
- żeby ukarać
- żeby sparaliżować
- żeby przysporzyć cierpienia...

Bije się, żeby zabić. Jednym uderzeniem.

Pojąłem, że sprawy stoją źle, że się przestraszyłem, że ma miejsce coś, czego nie przewidziałem, kiedy zdałem sobie sprawę, że zastanawiam się, jak uderzyć.

Poniżyć go – w tej szkolnej kurteczce pochlebcy – nie da się.

Wariata nie przestraszysz.

Karać go nie ma sensu, nie jestem jego ojcem, nigdy więcej go nie zobaczę.

Męczyć – też bez sensu, on aż się rwie, żeby zostać męczennikiem.

A zabijać go tu, na miejscu – nie wolno.

Choć z niezwykłą wyrazistością poczułem w sobie na nowo ożywioną gotowość – i pragnienie – żeby zabić.

– Won stąd, szcurze – powiedziałem cicho, a on wybuchnął głośnym śmiechem. Oczy zaślniły mu radością.

Nie wytrzymałem i plunąłem mu w twarz. Nie mogłem go zabić tu, na miejscu! Więc chociaż plunąłem.

A on unióśł dłoń ku swojej pociągłej, wyblakłej twarzy, ostrożnie wymacał na czole płwocinę, przycisnął niczym pieczęć do nasączonej tuszem poduszki, roztarł powoli i znowu kąciki jego ust opadły, i wielkie, mętne łzy potoczyły się po zmiętej, wychudłej gębie.

Podniósł ku mnie czarniawy, krzywy palec i powoli powiedział:

– Pokwitowałeś odbiór... Został ci miesiąc. Potem: koniec. Przyjdziesz złożyć sprawozdanie... Jesteś trupem – i zaśmiał się przez łzy, radośnie, jakby zyskiwał wolność.

Po czym wyszedł zza stołu i coraz szybszym krokiem ruszył ku drzwiom. Poprzez labirynt stolików, pośród wrzeszczących, pijących, weselących się

ludzi, opychających się i padających z wyczerpania od buzującego w nich soku żołądkowego, alkoholu i spermy, szedł ku drzwiom, szybko i zdecydowanie, niemal biegi.

A moi radośnie rozchukani towarzysze od butelki jakoś nie kpili, nie żartowali, nie wrzeszczeli, tylko patrzyli na mnie – wystraszeni i zmieszani.

Nie w ślad za Palaczem, tylko na mnie.

I przy naszym stole, oddzielonym od pozostałych niewysoką drewnianą barierką, zapadło przygnębiające, zalatujące spalenizną milczenie. Zdało się, drewniane ścianki barierki wyrosły aż do sufitu i oddzieliły nas – pogrążonych w zapomnieniu i trwodze – od wszystkich pozostałych.

Zerwałem się i rzuciłem za Palaczem. Zakatrupię lotra. Rozedrę na kawałki.

Ale Palacz już zniknął.

Rozbity, oszołomiony, zły, przeszedłem się po holu, zajrzałem do ubikacji, do szatni... Nigdzie go nie było.

Poszedłem do baru i wypilem na uspokojenie kieliszek koniaku. Potem jeszcze jeden. Z głośników walił jazz. Rude błyski miały się w przezroczystych, podświetlonych cylindrach butelek. Grubymi warstwami siał się papierosowy dym.

Przysiadłem na wysokim stołku, zamówiłem kielich zimnego szampana. Chciałem zapomnieć o Palaczu.

A za moimi plecami tłum biesów zgromadził się i zaczął rytmicznie wystukiwać kopytkami – po cichutku, potem coraz głośniejsze, coraz dźwięczniej, ze złością. Zawrzasnęły mi nad uchem przenikliwymi, ostrymi głosami marcowych kotów. Wabiły.

Wszystko się klębiło. Zamachały mi przed oczyma szkarłatnymi skrzydłami pokusy i zaczęły krążyć korowodem, głowa stawała się od tego ciężka, nieswoja. Zamroczyło mnie. Serce ścisnęło się z bólu, ostrego jak ocet.

Smutek mną owładnął.

Ubrałem się i wyszedłem.

A obudziłem się w odrażającym legowisku jednookiej tynkarki na przystanku Lanozowo. Na wymarłym osiedlu na Marsie.

3. Home coming

Taksówkarz skręcił pod mój dom, chlupiąc oponami, niczym kaloszami, w rzadkiej śnieżnej kaszy. Długo błądziłem po kieszeniach w poszukiwaniu portfela, wreszcie znalazłem go w tylnej kieszeni spodni.

Dzięki Bogu, tynkarka przynajmniej portfela mi nie zwędziła. Poza wszystkim innym znajdowało się w nim sto dolarów. Żal by było zielonych, a i nieprzyjemności mogłyby z tego wyniknąć – po co ma wiedzieć jakaś tynkarka, która wzięła się Bóg wie skąd, że mam w portfelu sto papierów! Za posiadanie setki wciąż tracących na wartości dolarów można pójść do mamra.

Zagadka socjalistycznego świata: im bardziej spada dolar, tym wyższa jest jego cena na naszym czarnym rynku. Widać niepiśmienni spekulanci nie sprawdzają notowań giełdowych w „Izwiestiach”.

Taksówkarz, przeliczając ruble, mamrotał z niezadowoleniem pod nosem:

– Ale pogoda, szlag by ją trafił! Ciut podmarznie i będzie bal... Zatańczą auta na drodze jak w balecie Igora Moisiejewicza...

Trzasnęła drzwiami i wołga odjechała, pozostawiając po sobie smród spalin i gorącego oleju. Podpełzał świt, wilgotny i szary jak zmokły kot. Zgrzytał łopata windziarz przy wejściu i każdy dźwięk skrobiącego o asfalt ostrza targał mi nerwy. Krótkim, zduszonym głosem ozwała się za parkiem kolejka podmiejska.

Minął mnie dozorca – z rozłożystą brodą, w złotych okularach, w kożuchu. Żyd. Postawił na chodniku miotłę i łopatę, służbiście uniósł karakulowy pierożek. Zuch chłopak. Piąty rok czeka na wizę wyjazdową.

Nawet mi ich żal.

– Co nowego, Mojżeszu Salomonowiczu?

Wzruszył ramionami.

– Czekamy.

– Stosunki z Ameryką jakby nieco się poprawiły. Może zaczną puszczać? – wysunąłem przypuszczenie.

– Może.

Dozorca jest profesorem. Elektronikiem, zdaje się. Wypuszczą go – na świętego Nigdy. Nie chodzi, rzecz jasna, o żadne jego tajemnice, które zresztą nie są już najprawdopodobniej dla nikogo tajemnicą.

Prawdziwy strach można podtrzymywać tylko niepewnością. Czterem zezwała się na wyjazd, piątemu – nie. Bez żadnych logicznych przyczyn, wyjaśnień. W tej grze jest tylko jedna reguła – brak jakichkolwiek reguł.

– Umyć panu samochód, kolego? – spytał Żyd.

Popatrzyłem na swego zaśniewzonego, zachlapanego błotem mercedesa, po czym przeniosłem spojrzenie na Żyda. Pokorne dostojeństwo. Nieśmiała duma. To ci narodek, Boże zmiłuj się! Wcale mu nie są potrzebne te trzy rubelki za umycie mojego auta. Oni po prostu nurzają się we własnym nie-szczęściu. Trojak po trojaku ciulają kapitał swoich niedoli, żeby tym drożej przehandlować go tam, kiedy już się stąd wydostaną. Chcą przypomnieć, że za Hitlera profesorowie czyścili ulice szczotkami do zębów. Kto wie, może zawnoczą gromadzą materiał dowodowy?

W takim razie na darmo się wysilają. Nikt nas sędzić nie będzie.

A dążenie do uczciwej pracy należy wspierać. Niech profesor fizyki umyje samochód profesorowi prawa.

– Proszę bardzo, niech pan umyje – i wyciągnąłem ku niemu piąta.

Sięgnął do skórzanej portmonetki, zaczął wyjmować resztę.

– Kosztuje trzy ruble – oznajmił statecznie.

Bezczelny Żyd.

– Dwa ruble to dodatek za stopień naukowy – ruszyłem ku wejściu, rzuciłem okiem na świeżo przyklejony na drzwiach świstek ogłoszenia i serce we mnie zamarło.

WYDZIAŁ EKSPLOATACJI MIESZKAŃ POSZUKUJE:

DOZORCÓW

PALACZY DO KOTŁOWNI.

I tu już się dostałeś, ty cholerniku?

Nie wiem dlaczego, ale obejrzałem się na profesora Żyda. Nieśpiesznie zmiatał miotełką śnieg z mojego samochodu. Nie, nie! On nie ma z tym nic wspólnego. Takich jak on jest w naszej dzielnicy wielu.

To przecież nie Lanozowo, nie wymarła marsjańska kolonia. To Aeroport. Elegancka dzielnica. Elitarne osiedle. Różowe getto. Oddychamy zepsutym powietrzem kłamstwa i strachu. Aeroport... Dokąd lecimy?

Diabelska sprawka. Nerwy mi puszczają. Muszę wleźć pod prysznic, a potem do łóżka. Spać, spać, spać.

Zza swej bariereki wstał portier, Tichon Iwanycz, zasalutował regulaminowo. Swojak, kość z kości, emerytowany żołnierz-konwojent. Nic o mnie nie wie, ale przez skórę czuje, że zawsze byłem jego zwierzchnikiem. I będę.

– Córka pańska wczoraj była... Na chwilę zajrzała do mieszkania...

Zuch chłop! Widział Majkę raptem parę razy, ale zapamiętał, wyczuł sytuację.

– Zagranicznym samochodem... Tak jakby nasz... Ale rejestracja nie nasza. Ktoś na nią czekał w wozie...

No proszę, co z niej wyrosło. Mój temperament... A niech tam, byle zdrowia sobie nie nadwerzężyła. Szkoda tylko, że z cudzoziemcem się zadaje. Jej nic z tego nie przyjdzie, a mnie może popsuć szyki. Wydział nie weźmie pod uwagę tego, że ja z tą rodziną już od tysiąca lat nie mieszkam. I znać jej nie chcę.

Ciekawe, kto ją tak wozi – pracownik zagranicznej firmy czy dyplomata? Kto ją ciupcia – demokrat, niezaangażowany czy kapitalista? W tym wszystkim liczą się niuanse. Miły mój strażnik, wołogodzki pies łańcuchowy Tichon Iwanycz, ich nie łapie, przy całym głębokim szacunku, jakim mnie darzy, przy całej naszej przyjaźni, w raporcie do rejonowego pełnomocnika Wydziału napisze po prostu: „...kontaktuje się z cudzoziemcami”. A mnie przy stosownej okazji o tym przypomną. Zasługi zasługami, a zasada życia zawsze jest taka sama: rozejrzyj się wokół siebie, czy ktoś cię przypadkiem nie jebie.

Wszystko to pomyślałem w ciągu krótkiej jak wystrzał sekundy, po czym lekko poklepałem stróża po ramieniu i zaśmiałem się wesoło:

– Pudło, Tichon! Rejestracja nie nasza, ale człowiek w samochodzie nasz. Mój człowiek. Tak trzeba...

I stróż zrzucił z ramion brzemień odpowiedzialności za nieporządek, jaki dało się zaobserwować w jego zonie. Przepotężne hasło „tak trzeba” skupiło w jednym punkcie, jak w ognisku soczewki, uciążliwe rozdwojenie jego sytuacji etatowej.

Tak trzeba. Uniwersalna odpowiedź na wszystkie nierozwiązane problemy życia. Tak trzeba. Absolutna przesłanka logiczna. Tak trzeba. Absolutny logiczny wniosek, niedopuszczający dalszych niewygodnych, niepotrzebnych pytań: Komu trzeba? Dlaczego trzeba? Jak dalece trzeba?

Tak trzeba. Koniec, kropka.

I dobroduszną, pomarszczoną chłopską twarz mego wiernego portiera-konwojenta promienieje pełnią satysfakcji. Bławatkowe oczy błyszczą, przejrzyste jak wiosenna woda. Płowe, szpakowate włoski są starannie założone za różowe małżowiny odstających uszu. Ze swoją spokojną, grzeczną przyzwoitością, ze swoim tuzinkowym prowincjonalnym obliczem, z tymi zabawnymi u starszego człowieka odstającymi uszami Tichon Iwanycz szalenie przypomina mi Egona Steinera.

Ani w śledztwie, ani na sali sądowej Egon Steiner nie mógł zrozumieć, o co się go oskarża. Nie udawał, on naprawdę nic nie rozumiał. Przecież nikogo nie zabijał. Zgodnie z rozkazem kierownictwa pracował na powierzonym mu odcinku – spełniając wszelkie wymogi technologii i przestrzegając zasad BHP, obsługiwał kompresory, które wprowadzały do hermetycznych pomieszczeń cyklon B, w rezultacie czego miało miejsce uśmiercanie Żydów, Cyganów, buntujących się Polaków i nieuleczalnie chorych.

Długo rozmawiałem z nim we Freiburgu, gdzie przyjechałem, by reprezentować interesy radzieckiego powództwa w procesie o ludobójstwo, wytoczonym grupie esesmanów, zatrzymanych przez bońską prokuraturę.

Steiner nie rozumiał oskarżenia i nie uważał się za winnego.

Mordercy – to zbrodniocy, gwałciciele ładu, bezprawnie pozbawiający ludzi życia i mienia. On, Steiner, nie jest mordercą, tylko porządnym mechanikiem, wszyscy wiedzą, że zawsze szanował prawo, jest człowiekiem wierzącym, ma żonę i dzieci i postępował zgodnie z jedynie słuszną zasadą, której na imię – prawo. Przestrzegał obowiązującego prawa. I nie jest jego winą, że ludzie tak często zmieniają prawne reguły. Każdy porządny człowiek powinien postępować zgodnie z regułami, obowiązującymi w jego kraju, i niegodziwością jest najpierw żądać ich nienagannego przestrzegania, a po paru latach nazywać takie zachowanie przestępstwem. A już całkiem nie do pomyślenia jest, by za to sądzić.

Było mi go żal. Rozumiałem go.

Przed sądem mówiłem, rzecz jasna, o łzach i krwi milionów ofiar, żądałem bezlitosnej kary dla zwyrodnialców. Ale nie wydawali mi się oni zwyrodnialcami. Wręcz przeciwnie, byli w moich oczach w pełni normalnym wytworem naszego oszalałego świata.

W głębi serca gorąco dziękowałem Stwórcy za to, że nikomu z nas nie grozi potworna gorycz Norymbergi, cała jej bezmyślna, niszczycielska prawda. Nie tylko we własnym imieniu dziękowałem! W imieniu nas wszystkich. A właściwie w imieniu całego narodu. Czegoś takiego lepiej nie wiedzieć. Utuczeni zachodni liberałowie po prostu nie pojęliby nawet połowy straszliwej prawdy, a my – tu, po naszej stronie – zniechęciłibyśmy się nawzajem na zawsze, zaczęlibyśmy się wzajemnie mordować, zmienili w stado rozwścieczonych, żądnych krwi bestii.

Nie, nam ta prawda nie jest potrzebna. Czas sam stopniowo zaleczy wszystkie rany, zapomnienie przysypie je pyłem dziesięcioleci.

No, powiedz, mój kochany błękitnooki staruszeku, Tichonie Iwanyczu – czy mieszkańcy naszego domu powinni wiedzieć, co wyprawiałeś w swojej zonie trzydzieści lat temu? Dziś witasz ich z miłym uśmiechem przy drzwiach, pomagasz wprowadzać dziecięce wózki, nosisz pod windę siatki z zakupami, a oni dają ci na święta karteczki z życzeniami, butelki wódki i czekoladę dla wnuków. I kochacie się nawzajem bez zastrzeżeń.

Nie wiedzą, że jesteś jak stary, ale porządnie zaskoczony obrzyn, schowany do czasu w miejskim gumnie – w holu naszego domu. Nie daj Bóg, żeby znowu zobaczyli cię przy robocie!

Kręciliby uczonymi głowami, unosili w górę słabe rączyny, niczym na oświęcimskim pomniku: „Mój Boże, jak to możliwe? Taki był z niego miły, usłużny człowiek! Skąd w nim tyle okrucieństwa?”

Dobrze, że nic o nas z Tichonem Iwanyczem nie wiedzą. Jeszcze by im przyszło do głowy nas zabić. Co prawda nie umieją zabijać. Umieemy to tylko ja i on.

– Bądź zdrow, stary. Pora odpocząć. Potrzebuję spokoju...

Już nacisnąłem guzik windy i stalowe drzwi zaczęły się rozsuwać, jak szykujący się do zadania ciosu nóż gilotyny, gdy konwojent zawołał za mną:

– Wczorsem pytał o pana jeszcze jakiś człowiek...

Odwróciłem się.

– Kto taki?

– Ano... taki jakiś nijaki – z zakamarków swojej omszałej pamięci stary szczytywał dla mnie orientacyjny portret: – Chudy, wzrostu wysokiego, przygarbiony, włosy popielate, twarz niesympatyczna, znaków szczególnych brak...

I znowu zamarło we mnie serce, znowu się wystraszyłem, straciłem kontrolę nad sobą i spytałem głupio:

– W szkolnym mundurku?

Stróż zerknął na mnie z zaskoczeniem:

– W szkolnym mundurku? No co pan! Gość był niemłody. Dziwny jakiś, do glisty podobny, cały czas się wiję, wierci czegoś, kręci...

Dokładnie. Palacz... Bezsilnie oparłem się o ścianę. Groźnie szczerknął mi nad głową przekaźnik windy, zamknęła się z łoskotem gilotyna drzwi.

I nie wiadomo dlaczego, strach wydobyl na powierzchnię dawno zapomniane wspomnienie...

Posępny, mocno owłosiony chłopak z Baku, kapitan Samed Rzajew osiągał znakomite rezultaty w śledztwie. Miał metodę. Zgniatał przesłuchiwanym

jaja w drzwiach. Przywiązywał podejrzanego do futryny, a sam naciskał na klamkę – najpierw lekko, potem coraz silniej. U niego przyznawali się wszyscy. Oprócz jednego dywersanta – nauczyciela młodszych klas. Samed nie zdążył nawet jeszcze nacisnąć jak należy, gdy tamten zmarł na skutek szoku.

Idiotyczne... Co za bzdury przychodzą człowiekowi do głowy! Co to ma wspólnego z Palaczem?

Nacisnąłem klawisz z napisem „16”, zamruczał gdzieś wysoko silnik, zadzwoniły, napinając się, stalowe liny, pomknęło w górę pudełko kabiny, w którym stałem ledwie żywy, z przymkniętymi w udręce oczyma, pojękując bezsilnie – zepsute jąderko w plastikowej skorupie kabiny.

Szczęk, stuk, zgrzyt – przyjechaliśmy. Otworzyłem oczy i ujrzałem na drzwiach windy przyklejoną kartkę wielkości szkolnego zeszytu.

Szkolnym pismem obwieszczała:

TRZECI WYDZIAŁ DO SPRAW EKSPLOATACJI...

POTRZEBUJE...

PALACZA...

ZAPŁATA...

W TERMINIE JEDNEGO MIESIĄCA...

Osaczył mnie, łotr. Kim on jest? Skąd się wziął? Przecież człowiek sam sobie nie powie: tak trzeba. Wiem dokładnie, że tego mi nie trzeba! Niezdecydowany stałem przed otwartymi drzwiami windy.

Bałem się wyjść na podest – z mroku klatki schodowej mógł wyskoczyć z przeraźliwym wrzaskiem Palacz i wpić się jak wampir w moją arterię szyjną. Bałem się zerwać kartkę z ogłoszeniem. I bałem się zostawić ją na drzwiach. Wiedziałem przecież, że to wiadomość dla mnie.

Dalej stać w otwartej windzie nie mogę, bo na dole jest stróż, który uważnie śledzi świetlną tablicę, już się pewnie zastanawia, co robię tyle czasu w windzie, dlaczego nie wysiadam na swoim piętrze. Może sam przykleił w kabinie tę karteczkę, może mnie sprawdza?

Co za idiotyzm! Co mnie naszło? Od pijaństwa i rozpusty całkiem mi odbiło. Trzeba wyjść z windy i iść do siebie, pod prysznic, do łóżka.

Ale pamięć dawnych nawyków, starych przyzwyczajzeń, niemal zapomnianych chwytów już rozsyłała niesłyszalne sygnały po wszystkich grupach mięśni i ścięgien. Napinały się i sprężyły, były teraz moim jedynym pewnym orężem, i ten ich bezdźwięczny alarm podziałal na mnie jak odciągnięcie bezpiecznika. Byłem jak gotów do strzału pistolet.

Skuliłem się i wyskoczyłem z kabiny – od razu na środek podestu. I natychmiast przywarłem plecami do ściany, a ręce wystawiłem na spotkanie miażdżącego ciosu.

Zamruczały i zatrzasnęły się drzwi windy. Od razu zrobiło się ciemniej. Cicho. Pusto na schodach.

A mimo to, wkładając klucz w otwór zamka, rozglądałem się nieustannie. Nie wstydzilem się swego strachu, bo moja zwierzęca intuicja bezbłędnie informowała mnie o groźącym niebezpieczeństwie.

A klucz, jak na złość, nie chciał wejść. Pełna ciepłego blasku, zamknięta kabina zjeżdżała w dół, do stróża Tichona Iwanycza. Brudne poranne światło osowiale sączyło się przez okno, wydawało mi się, że w ciszy słyszę szelest, jakiś plusk, podobny do szeptu albo do śmiechu. A może do cichego płaczu?

Rozejrzałem się.

Pałac... potrzebuje... zapłaty... w terminie jednego miesiąca...

Klucz nie wchodził. Podniosłem go do oczu i wściekłość mnie ogarnęła. Wsuwałem w drzwi klucz od mercedesa.

Co się ze mną dzieje? Przecież za pomocą pilnika do paznokci i kawałka gumy do żucia potrafię otworzyć każdy zamek!

W końcu szczęknęła sprężyna, drzwi stanęły otworem. W przedpokoju ciemno. Pośpiesznie, z rozkoszą zacząłem ściągać z siebie ubranie, czapkę, buty, przemokłe skarpetki – zimne, lepkie, wstrętne. I spodnie bym zrzucił, gdyby nie pozostawione u tynkarki kalesony.

Ciepły parkiet, miły, puszysty dywan pieściły zziębłe, czerwone stopy.

W stołowym siedziałam w fotelu Marina. Ubrana, umalowana, trzymała w rękach otwartą książkę. I żyrandol już się nie palił. Symbolicznie dawała mi poznać skandaliczność mojego postępowania, niedopuszczalność tego, by człowiek żonaty wracał do domu rano.

– Cześć, Marinka – powiedziałem życzliwie, bo po wszystkim, co przeżyłem, byłoby jeszcze gorzej, gdyby w fotelu siedział Pałac.

– Dzień dobry, mężulku – odpowiedziała cokolwiek sucho. – Jak się odpoczywało, jak się bawiło, mój ty nienasycony?

– Żle się odpoczywało i fatalnie się bawiło, jedyna moja! – zapewniłem gorąco. – Strasznie mi cię brakowało, przyjaciółko ukochana, wierna towarzysko życia...

– To czemu nie zadzwoniłeś? – uśmiechnęła się Marina. – Chętnie bym ci dotrzymała towarzystwa...

Między kącikami ust a nosem pojawiły się już u niej głębokie bruzdy. Mimo wszystko widać po niej upływ lat. Chociaż dzięki temu, że Marina się postarzała, pojawiło się w niej nawet coś ludzkiego.

Zrobiłem nieokreślony ruch ręką, a ona parła naprzód:

– Przecież wiesz, że ja jak dekabrystka – pójdę za tobą choćby na kraj świata.

– Jasne – kiwnąłem głową. – Choćby do lokalu, choćby na premierę, choćby na przyjęcie.

– Choćby na kurwy – zgodziła się. – Przecież jestem zgodna, charakter mam, że do rany przyłoż.

– To prawda. Trudno o lepszy. Słuchaj no, zgodna, dałabyś coś na ząb?

– Na ząb? – powtórzyła Marina, jak gdyby zastanawiając się, co będzie mi bardziej smakować, strychnina czy trutka na szczury. Po czym nagle wrzasnęła tak przenikliwie, że górne c zamieniło się w ultradźwięk, który przewiercił mi błony bębenkowe: – Na ząb niech ci dadzą twoje dziwki! Pizdę we własnym sosie! Skurwiel przeklęty, bydlak pierdolony! Ja ci dam na ząb... Wała ci w gardło wsadzić, gnoju śmierdzący! Jebaka! Łotr! Świnia! Bandycka morda!...

Z urody Mariny, z jej wiośnianej różaności nie pozostało w tej chwili nawet śladu – była jak purpurowo-błękitny płomień acetylenowego palnika. Potężną strugą, pod ciśnieniem wyrzucała z siebie nienawiść. Okropne czerwonosine plamy pokryły jej twarz. Była teraz podobna do surrealistycznej bestii. Szkarłatny lampart. Nie, z tymi obnażonymi zębami i coraz ciemniejszymi plamami na twarzy przypomina raczej czerwoną hięgę.

Siedziałem w ciepłym, miękkim fotelu, podwinąwszy nogi, tak było ciepłej i przytulniej, i z zainteresowaniem przyglądałem się mojej milej, mojej dozgonnej towarzyszce życia. Dozgonnej – niestety... Mój Boże, a przecież niektórzy mają trochę szczęścia! Jednego żona rzuciła, drugiemu wpadła pod samochód, trzeci szłocha, bo małżonkę zżera rak... A do mojej ukochanej żeby choć grypa z Hongkongu się przyczepiła!

Nic. Żadna cholera jej nie bierze. Krzepka jest moja luba jak czołg. Chociaż choruje moje złotko nieustannie – na jakieś niezwykle ciężkie, z założenia nieuleczalne, choć niedostrzegalne dla mnie choroby. Mogę ocenić ich powagę tylko na podstawie ilości pieniędzy, czasu i znajomości, jakie kosztuje mnie zdobywanie najnowszych amerykańskich czy szwajcarskich leków. Wszystkie momentalnie znikają. Wygląda na to, że je sprzedaje albo zamienia na francuskie kosmetyki.

– Szubrawiec! Bandzior! Aferzysta! Młodość mi zabrałeś! Życie mi zmarnowałeś! Szumowina! Amerykański rozpustnik!

Dlaczego rozpustnik musi być amerykański? Cholera go wie...

Ożeniłem się z ordynarą, wrzaskliwą kretynką. Ale niczego nie da się tu zmienić. Przecież współczesne małżeństwa są jak wojny, które wybuchają bez wypowiedzenia.

Przez cztery lata w jej oczach, w ślicznych miodowych brązowożółtych tęczówkach nieustannie lśniły złote krążki przyszłych ślubnych obrączek. Jak obrońca twierdzy brzeskiej, trzymałem się do ostatniego naboju, a po jego wystrzeleniu gotów byłem się bronić rękami, nogami i zębami, byle nie pozwolić sobie nałożyć malutkiego złotego kóleczka – pierwszego ogniwa łańcucha, którym przykuła mnie do siebie na amen.

Skuci łańcuchem.

Może bym się i obronił, ale zgubiła mnie idiotyczna lekkomyślność. Byłem wtedy promotorem pracy magisterskiej wesołego rzezimieszka, Kasy-mowa, zastępcy ministra spraw wewnętrznych Kazachstanu. Kiedy już załatwił sobie wszystko co trzeba, uroczyście zaprosił mnie na oficjalną obronę. A ja zdecydowałem się osłodzić Marinie pigułkę antykoncepcyjną naszego rozstania za pomocą porządnej hulanki i zabrałem ją ze sobą do Alma-Aty. Miło jej będzie później wspominać, a mnie...

A mnie z nią było bardzo dobrze w łóżku. I tu był pies pogrzebany. Dobrze aż do bólu. To zresztą rzecz gustu... Dziesiątki bab przechodzi człowiekowi przez łóżko jak przez tramwaj. Na następnym przystanku pani wysiada, do widzenia... A potem nagle wskakuje ci do wyrka ta jedna jedyna – i sam jeszcze o tym nie wiesz, ale gdy ją rozbierasz, od jednego dotknięcia, od pierwszych szybkich pocałunków, od ciepła między jej nogami ogarnia cię niesamowite podniecenie: serce wali, tchu brakuje w piersiach, drżysz, jakbyś znowu miał szesnaście lat, ociężałość zalewa ci łądzwie i czujesz w sobie taką siłę, że wiadro wody mógłbyś na swoim fiucie podnieść.

I wdzierasz się w nią – z chrzęstem i łomotem! I pogrążasz się z głową w tej czarownej, ohydnej, wścieklej rozkoszy, a ona jęczy pod tobą, stęka i zawodzi, i nagle uprzytamiasz sobie, że ona ma na twój tramwaj stały bilet, że będzie jeździć z tobą zawsze i nigdy ci się nie znudzi, bo jej cipka nie jest zwyczajna, tylko – dla ciebie – poślacana.

A jeszcze nie skończyłeś, nie wygięła cię jeszcze w łuk konwulsja szczęścia, jeszcze przed tobą ryk pełnej męki rozkoszy, kiedy pchnąwszy po raz ostatni poczujesz, jak chlusnąłeś w nią strumieniem swego życia, a już chcesz znowu – jeszcze raz! I jeszcze! I jeszcze!

A później – choćby ją nie wiem jak zniecierlił, choćby się stała nie wiadomo jak odpychająca i nudna – i tak będziesz miał na nią ochotę.

Ach, Marina, Marina! Wybierając się wtedy w gościnę do Kasymowa, żeby opowiedzieć na radzie naukowej o znaczącym wkładzie mego wesolego ucznia w teorię i praktykę łapownictwa, szantażu i zamordyzmu, a potem pobalować z fasonem przez jaki tydzień – chciałem cię trochę porozpieszczać. I dogodzić na ostatek sobie samemu.

Bo choć w tamtym czasie miałem cię już wyżej uszu, to wciąż jeszcze wzruszało mnie jedno wspomnienie: jak po raz pierwszy leżeliśmy obok siebie i od samego głaskania twojej smagłej, różanej skóry, pokrytej najdelikatniejszym jasnym puchem, zaczynały mi się trząść kolana. Od widoku twojego gładkiego, wklęsłego brzucha.

A na wzgórku łonowym rośnie ci lisia czapka. Bujna, dymno-ruda, ciemno podpalana. Jedwabista.

No więc poleciliśmy razem do Alma-Aty. Rada naukowa była wstrząśnięta głębią myśli mojego kazachskiego mafioso. Rada naukowa była mi głęboko wdzięczna za udział w ich pracy.

Dyplom magistra nauk prawnych wydrukowano, moim zdaniem, od razu, w sąsiednim pokoju. Skórę na okładkę ściągnięto z jakiegoś przestępcy, który był pod ręką. A może i nie z przestępcy. Po prostu z kogoś, kto był pod ręką.

I zaczęła się fantastyczna popijawa. Prawoznawca Kasymow rozesłał po okolicznych kolchozach swoich bandytów, i kawalkadą samochodów przejeżdżaliśmy z jednego aulu do drugiego, i wszędzie uszczęśliwieni tubylcy z dumą prezentowali nam sukcesy swojej hodowli i rozwoju społeczno-ekonomicznego.

Bieszbarmak, pieczone baranie jądra, pilaw, szaszłyki, manty, wędzona konina. I woda, woda, woda.

Kosmiczne pijaństwo, homeryczne obzarstwo. Nieprawdopodobne osiągnięcia.

Bohater, poseł, ukochany przez ludność przewodniczący kolchozu Wolny Kazachstan, Kakabaj Asyłbajew, zorganizował na naszą cześć na własnym kolchozowym stadionie święto sportu. A potem – z o wiele większą dumą – pokazał nam zbudowane metodą pospolitego ruszenia kolchozowe więzienie.

Nawet ja się zdziwiłem. Była to niewątpliwa penitencjarna innowacja. Więzienia pilnowali sami kolchoźnicy, wykapani basmacze.

Więzienie miało jedną obszerną celę i cztery izolatki. Karceru nie było.

Marina spytała Kasymowa, czy nikt się nie skarży.

A mój uczoney prawoznawca roześmiał się wesoło:

– Towarzysz Asyłbajew to człowiek rozumny i postępowy, nikogo nie wsadzi bez powodu...

Na wszelki wypadek nie zająłem do więzienia. Mnie to nie dotyczy, ja nic nie widziałem. Ale Kasymow wyczuł, że trochę jakby przeholowano: dał znak swoim zbirom, migiem załadowano nas do samochodów i pomknęliśmy do sąsiedniej wioski, gdzie kazał natychmiast zorganizować kolejny tradycyjny obrzęd, sięgający korzeniami czasów timurydów.

Wykąpali nas w basenie pełnym wina. Całkiem niezłego, wytrawnego wina. Po powierzchni pływały różane płatki i miseczki z czekoladowymi fińskimi cukierkami marki Marli. Jasne, timurydzi wcinali tylko fińską czekoladę...

W finale był, jak należało oczekiwać, ochłaj-gigant. Ja wysiadłem wcześniej. Ledwie trzymający się na nogach Kasymow całował Marinę po rękach i prosił, żeby zażądała od niego czegoś takiego, by mógł udowodnić mi swoją miłość i wdzięczność, swoją gotowość do obronienia w przyszłości również doktorskiej dysertacji.

Ja, rzecz jasna, tego nie widziałem, ale przecież dobrze znam swoje sprytne, różowe, wyrachowane cielątko! Zaśmiała się uroczo, odpychała Kasymowa i gruchała, szczebiotała, że niczego nam nie potrzeba, mamy wszystko, gdyż najważniejsze nasze bogactwo – to miłość. I nigdy dotąd nie była tak szczęśliwa, jak na gościnnej ziemi Kasymowa.

Chociaż... Przyszła jej do głowy pewna myśl. Tak, to świetny pomysł! Aby na zawsze utrwalić wspomnienie przeżytych tu chwil radości, gotowa byłaby wziąć ze mną od dawna planowany ślub właśnie tu, na tej starożytnej ziemi, pośród serdecznych przyjaciół, w zwykłej, zagubionej w stepie wiosce. Ale to przecież niemożliwe...

– Niemożliwe?! – ryknął mały satripa, urażony do głębi podejrzeniem, że nie może postąpić wbrew prawu. – Ja sam będę waszym świadkiem!

Natychmiast posłali kogoś, żeby wyciągnął z łóżka przewodniczącego rady wiejskiej, podstawili samochód, obudzili mnie szturchańcami. Nie miałem pojęcia, co się dzieje, byłem kompletnie pijany, a denerwowało mnie tylko to, że nie mogą, cholery, wytrzymać choć parę godzin i w środku nocy, zamiast spać i mnie dać odrobinę wytchnienia, wymyślają, sukinsyny, na gwałt jakieś kolejne tradycyjne obrzędy.

Prowadzili mnie pod ręce do samochodu, dokąś jechaliśmy, siedzieliśmy w jakimś dziwnym urządzie pod godłem i portretem Lenina, ktoś coś mówił,

potem gruchnęła salwa szampana, piana zalała godło, wszyscy wrzeszczeli: „hura!” i nie wiadomo dlaczego – „gorzko!”, obejmowali mnie, ściskali, Marina całowała mnie i głaskała delikatnie, potem znowu jechaliśmy autem. Potem spaliśmy. Byłem taki narąbany, że nawet jej nie przeleciałem, od razu zasnąłem jak kamień.

A rano zobaczyłem na stoliku przy łóżku nasze dowody, włożone jeden w drugi. Ze ślubnymi pieczęciami. Postarali się, żeby wszystko było zgodnie z prawem.

Skuci łańcuchem. Słodkie łańcuchy Hymena, prowadzące do sejfu Komitetu Partii.

– Zaraza! Gnój śmierdzący! Bydlak cholerny! Skurwysyn!

Oho, zaczęła się powtarzać. Znaczy, sprawa ma się ku końcowi. Nie ma w niej autentycznej hysterii, nie ma wigoru żywej nienawiści. Odstawia obowiązkowy numer. Tak naprawdę w nosie ma, gdzie się szlajałem. Realizuje program podtrzymywania życia rodzinnego. Liczy się dla niej tylko jedno – żeby były pieniądze, przydziały, kurorty, wyjazdy mercedesem, honorowe przedstawicielstwo we wszystkich twórczych stowarzyszeniach Moskwy. Żeby wszystkim znajomym można było dumnie, od niechcienia rzucić: „Ja do krawcowej nie chodzę”.

Boże, jaka szkoda, że ona jest taka głupia! Gdyby była choć odrobinę mądrzejsza, można by się jakoś dogadać po dobroci – ku zadowoleniu obu stron. Ale to debilka. I instynktownie, niczym chytre zwierzątko, czuje, że w każdej umowie mogę ją oszukać, wystrychnąć na dudka, dlatego nie powinna kombinować, tylko przeć naprzód, nie zmieniając kolein.

Czuje, że nie mogę się z nią rozwieść. Niby nic o mnie nie wie, a równocześnie wie dostatecznie dużo, żeby narobić mi sporych nieprzyjemności. U nas można robić wszystko, pod warunkiem, że nikt o tym nie wie.

Patrzyłem na jej lśniąca perłowo paznokietki, na ciemne plamy, coraz obficie występujące na twarzy, na wściekłość emanującą z jej kompletnie bezmyślnych miodowych oczu, i nie odczuwałem najlżejszego pragnienia, żeby ją uderzyć. Ani nawet plunąć, jak wczoraj na Palacza.

Miałbym ochotę ją poćwiartować. W przeciwnym razie jako roślina, absolutnie bezduszny twór przyrody, po jakimś czasie mogłaby znowu ożyć.

Trzeba ją poćwiartować. Jak hydrę. A kawałki rozrzucić. Porozwozić pociągami. A głowę utopić w miejskiej kanalizacji.

– Świnia! Łajdak! Jebaka! Bandyta!

Powtórka – początek końca.

Podniosłem się z fotela i powiedziałem zyczliwie:

– Uspokój się, złotko. Aleś ty głupia, w mordę...

I poczłapałem na bosaka do kuchni. Teraz Marina odrobinę popłacze, potem pomilczy dumnie parę dni, dopóki spekulantki nie przytargają jej jakiegoś deficytowego towaru. Wskoczy mi wtedy do łóżka i gorzko płacząc, że taki zrobiłem się dla niej chłodny, a ona przecież tak mnie kocha, wyssie ze mnie pieniądze.

Otworzyłem lodówkę – pusto. Myszy bawią się w berka, łapki rozkładają – jak wy możecie tak żyć?

Ano, tak właśnie żyjemy. Dwa topione serki, słoik miodu, orzechy włoskie – to widać jakaś nowa dieta. Nigdy nie ma u nas w domu nic do jedzenia. Najwyżej konserwy. Marina w ogóle nie gotuje. To jedna z jej nieuleczalnych chorób – alergią na ciepło. Nie wolno jej stać przy kuchennej płycie.

Pocieszam się myślą o tym, co ona zrobi ze swoją alergią na ciepło, jak będą ją kremować.

A na razie żywimy się w knajpach. Kosztuje to koszmarnie pieniądze. Ale najgorzej, że restauracyjne jedzenie niszczy organizm jeszcze bardziej, niż gdyby człowiek połknął bombę z opóźnionym zapłonem.

A, czort z nią! Niczego się już nie zmieni. No, chyba żeby się porządnie zastanowić, jak by ją najlepiej zakatrupić.

Marina stanęła na progu kuchni, obojętnie poobserwowała, jak na próżno szukam esencji herbacianej, po czym powiedziała bezbarwnie:

– Nienawidzę cię. Zmarnowałeś mi życie.

– To się rozwiedzmy – zaproponowałem szybko, aczkolwiek bez jakiegokolwiek nadziei. – Po dobroci.

– No jasne! Wiem, o czym marzysz! Wykorzystałeś mnie, jak byłem młoda, zniszczyłeś mi urodę, a teraz chcesz mnie zostawić!

Boże, co za podłość. I co za bezdena głupota.

– Zobaczysz, tak cię urządzę, że do końca życia mnie popamiętasz – obiecała obojętnym tonem, a ja wiedziałem, że za tą obojętnością kryje się tępy upór buldoga. W razie czego potrafi napisać do wszystkich instancji tysiące donosów. Buldożka zawsze wilka przydusi.

– Nienawidzę cię – powtórzyła machinalnie.

– Całkiem niesłusznie – zauważyłem. – Nasz wspólny przyjaciel, Aleksander, powiada, że kiedy człowieka ogarnia nienawiść, wpada w sidła szatana.

– Ty sam jesteś szatan – oznajmiła z przekonaniem. – Czort z piekła rodem. Bezwstydy...

Niech będzie. Szatan, czort, diabeł, demon, bies, kusy... Tylko odwal się ode mnie, na rany boskie!

Tak mi działała na nerwy, że nawet spać mi się odechciało.

– Słuchaj no, a po co była Majka?

Marina ze złością zacięła usta.

– Moja pasierbica nie uważa za stosowne, żeby się przede mną opowiadać! Westchnąłem boleśnie.

– Zastanów się, co ty gadasz! Twoja pasierbica jest o rok starsza od ciebie! I widziałaś ją wszystkiego ze dwa razy w życiu.

– To nie ma znaczenia! Skoro zdecydowała się wyjść za mąż, to mogłaby się poradzić bardziej doświadczonych od siebie...

– Kto wychodzi za mąż? Majka? – przerwałem jej, oszołomiony. Niczym kula przemknął mi przez głowę raport stróża: „rejestracja nie nasza...” Pracownik zagranicznej firmy? Dyplomata? Demokrat? Kapitalista? Niezangażowany?

Ogłuszyło mnie. Ta sprawa może mnie wykończyć.

Ma tatuś pociechę z córni.

Coś tam bez ustanku nadawała Marina, ale w żaden sposób nie potrafiłem wsłuchać się w jej słowa, wyłowić z nich sensu, powiązać w całość jej paplaniny. Jak w źle nagrany filmie, płynęły z jej ust jakieś niezrozumiałe dźwięki.

– W ogóle nie wyjaśniła... Wychodzi za mąż... Obcokrajowiec... Za miesiąc... Z RFN-u... Nie pamiętam miasta... Chyba z Topnika...

Z Topnika. Nie ma takiego miasta... A może jest? Z Topnika. Z Topnika. Palacz...*

Palacz wcielił się w Marinę. Ja byłem u tynkarki, a on był u Mariny.

Przywołała go swoją alergią na ciepło.

Kiepska sprawa.

4. *Ab ovo...*

Leżałem w ciepłych odmętach wanny, pośród białych pienistych fal Badusanu. W mieszkaniu było zupełnie cicho, tak jakby Marina tam, za drzwiami, umarła. Nadzieja zupełnie bezpodstawna, ale przyjemnie sobie pomarzyć. Jedyna przyjemność tego koszmarnego ranka.

* Gra słów. „Z Topnika” po rosyjsku brzmi: *iz Topnika*, a palacz to po rosyjsku *istopnik*.

Kiedy przygnębienie i strach stawały się nie do zniesienia, wynurzałem się z piany, sięgałem na półkę po napoczętą butelkę whisky i łapczywie pociągałem parę haustów, popijałem wodą z kranu i znowu opadałem w syczącą z cicha, szeleszczącą górę białych bąbelków. Byłem niewątpliwie podobny do cherubina, spoglądającego ze swego śnieżnobiałego obłoku na ohydny ziemski padół.

Marzyłem, żeby zdrzemnąć się w wannie, ale niepokój wewnętrzny, ostry, dojmujący, podobny do ataku mdłości, przegnał senność do cna. Cherubin zasrany...

A zatem – kłapa. Potrafię złamać każdego, nawet swoją lubą debilkę mogę zmusić, żeby robiła to, co jest wygodne dla mnie. Wszystko zależy od intensywności i skali zastosowanych środków.

Mogę zmusić wszystkich – oprócz Majki. Ona nie podporządkowuje mi się nigdy i w niczym. Z zasady. Myślę, że mnie nienawidzi. Pieści, pielęgnuje, kultywuje to uczucie niczym ogrodnik-selekcjoner rzadką odmianę róży.

Zwraca się do mnie niby to po przyjacielsku, tak współcześnie-nowocześnie: „Słuchaj, Chwatkin...”, „Chwatkin, daj spokój!”, „Chwatkin, ten numer nie przejdzie...”

Może bym się i nabral na podobną gadkę, może zmusiłbym siebie samego i uwierzył w tę rzekomą prostotę wzajemnych stosunków, gdyby nazywała się Chwatkina, a nie tak jak mamuńcia – Lurie. I to dziś! Dziś, kiedy każdy Żyd robi, co może, żeby schować się za wąty choćby parawanik jakiegokolwiek nazwiska – rosyjskiego, ormiańskiego, tatarskiego, chińskiego nawet, byle nie nosić żydowskiego!

Uważnie obserwowałem Majkę, kiedy w nieoczekiwanych sytuacjach zdarzało się jej wypowiadać słowo „tato”. Kurczyła jej się wtedy górną wargą, dolna rozciągała się w męce, jakby zmuszona była połknąć żabę.

Każdego innego przegnałbym na cztery wiatry, przeklął, rozerwał na strzępy. Każdego – oprócz Majki. Gdyż życie spletało mi ponury kawał.

Majka nie ma w sobie ani jednej mojej żyłki, ani jednej mojej kosteczki. Jest stuprocentową reprodukcją, idealnym obrazem, nowym wcieleniem swojej mamci – mojej pierwszej żony, Rimmy Lurie. I o ile w niebiosach, czy gdzieś tam w kosmicznych sferach, wszystko jest z góry zaplanowane, to widać tam właśnie zostało postanowione, że ja będę je kochał, a one będą mnie za to nienawidziły. A ja je, suki, będę za to dręczył.

Kąpiel i whisky rozgrzewały mój wyziębły organizm, ale wrażenie duchowych mdłości nie ustępowało. Kompletnie pusta głowa, ani jednej

sensownej myśli. Nie wiadomo dlaczego pomyślałem, że z przyszłym ziemciem i pogadać będzie trudno. Jestem przecież profesorem radzieckim, obcych języków mnie nie uczyli.

Znam tylko łacinę. Jakiś fajny gość wymyślił specjalnie dla takich inteligentów jak ja *Słownik wyrazów obcych*. Otwierasz, a tam na samym końcu zebrane jest wszystko, co najlepszego wymyślono w tym martwym języku cesarów i farmaceutów. Z podaniem rosyjskiej transkrypcji fonetycznej.

Mocząc w wannie swoje grzeszne ciało, zacząłem wspominać wszystko *ab ovo* – od jajka, od samego początku...

Od jesieni. Od jesieni czterdziestego dziewiątego roku.

Moskwa. Sokolniki. Zaulek Drugi Polny, dom numer 8. Lśniaca wilgocią szara kostka jezdnii. Jeszcze zielone, ale znużone już, pokryte pyłem łopianym. Liliowa wilgoć wieczornego powietrza. Czerwona zorza dogorywającego zachodu. Żółte plamy dalii więdnących powoli w ogródkach podmiejskich domków. Szmer wody ciurkającej z ulicznego hydrantu. W niewysokim płocie żelazna furteczka. Miękkie, różnokolorowe smugi światła z witrażu nad drzwiami wejściowymi. I gdzieś całkiem niedaleko wydziera się przez otwarty lufcik patefon:

Wyjdę, wyjdę ja na przystań o zachodzie.

I piękne dziewczę na spotkanie wyjdzie mi...

Tiritomba, tiritomba, tiritomba!

To był Majka, dom twojego dziadka, profesora Lwa Siemionowicza Lurie. Nigdy nie widziałaś swojego dziadka, umarł, zanim przyszałaś na świat. A z domu tego nie zostało nawet wspomnienie, wyburzyli tam całą dzielnicę, cały zaulek, cały kwartał i wzniesli ogromne niemieszkalne bloki, jak w Lanozowie.

Zanim wszedłem po raz pierwszy do tego domu, zatrzymałem się w ogrodzie. Na starej sękatej jabłoni wisiały jeszcze nieduże, zarumienione od słońca jabłka. Zerwałem jedno, nadgryzłem. Smak miało niezwykły. Słodkie, nieco przejrzyste, chłodne, pachnące ziemią. Z drobnymi, twardymi, gorzkawymi pestkami. Do tej pory pamiętam smak tych pestek. I to, jak zachłystywał się schryplą namiętnością patefon:

...bujne, złote jej kędziory wiatr rozwiewa,

a na ustach lekki uśmiech drży!

Tiritomba... tiritomba... tiritomba!

A potem zadzwoniłem do drzwi. Przyszedłem zaaresztować twojego dziadka. Był lekarzem, dywersantem i szpiegiem. Trzeba go było posadzić.

Ach, córeńko moja kochana, taka jesteś dzisiaj śmiała i taka bezczelna wobec mnie, bo nic, absolutnie nic nie wiesz o tamtych czasach. Czytałaś o nich w nielicznych książkach, dobrze poinformowane koleżanki szepczą to i owo na ucho, obce radiostacje napomykają, mamcia twoja też ci coś niecoś wyjawiała. Ale to wszystko nie to. Kto sam tego nie przeżył, kto nie doświadczył zwierzęcego przerażenia płynącego z poczucia, że jest się skazanym, całkowicie bezbronny, w pełni podporządkowanym czyjejś bezlitosnej, okrutnej woli, ten zrozumieć tego nie jest w stanie.

Każdego dnia, każdej nocy spodziewali się wtedy ludzie rewizji i aresztowania. Próbowali nawet zrekonstruować system stosowania kar – odgadnąć, za co teraz biorą.

Za zawód? Za pochodzenie? Za krewnych za granicą? Według alfabetu? Gdzie biorą?

W pracy? W domu? W sanatorium? Na przystanku tramwajowym? Tylko w Moskwie? Czy także na prowincji?

Kiedy biorą?

O świcie? W nocy? Przed kolacją? W ciągu dnia pracy, wywoławszy na chwilę z gabinetu?

I, rzecz prosta, żadnych prawidłowości nie dało się ustalić. Ludzie nie chcieli uwierzyć w to, że biorą wszędzie, zawsze, za wszystko, za nic.

Gdyby zdołali się zmusić do przyjęcia tej prawdy, pozostawałaby niewielka szansa na ratunek. Albo na godną śmierć. Ale oni tego nie potrafili. I dlatego, czekając latami, nigdy nie byli gotowi, i jak grom z jasnego nieba padały złowrogie słowa: „Jesteście aresztowani”.

Dziadek Lurie siedział przy stole, z którego nie zdążyli jeszcze sprzątnąć resztek kolacji. Prawdziwa profesorska jadalnia, z czarnymi meblami, z ciężkim żyrandolem z brązu. Aksamitne brunatne zasłony, wykończone lśniącymi frędzlami, połyskiwanie srebra, matowy odbłask starych grawiur na ścianie.

Dziadek był człowiekiem zamożnym, najlepszym urologiem w Moskwie, konsultantem Kremlówki.

Siedział nieruchomo przy stole – piękny, posiwiały Żyd – zaciskając z całych sił pięści, aby powstrzymać drżenie rąk. Udało mu się zachować przyzwoity wygląd i tylko żyłka, pulsująca gwałtownie na gładkiej szyi, zdradzała jego rozpacz. A w tej niemej, śmiertelnej ciszy wesoło, szydlerczo wydzierał się na ulicy patefon: *Tiritomba, tiritomba...*

– Przystąpić do rewizji! – wydałem komendę swoim orłom, którzy momentalnie rozbiegli się po domu.

Lurie podniósł na mnie wzrok i z wysiłkiem mrużąc oczy, by dojrzeć coś poprzez zapotniałe szkła okularów, spytał:

– Proszę powiedzieć, czego szukacie... Może będę mógł pomóc?

Szukaliśmy dowodów jego przestępczej działalności. Tiritomba, tiritomba, tiritomba!

Do przodu wyskoczył Mińka Riumin i warknął przez zęby:

– Milczeć! Nikt się was nie pyta!

Lurie gorzko pokiwał głową, głośnym, rozdzierającym szlochem zaniósł się jego żona.

– Fira, przestań, nie trzeba... Nie rań mi serca – poprosił Lurie. Powiedział to cicho i niewyraźnie, nie jak znakomity profesor w swojej pięknej, bogatej jadalni, ale jak małomiasteczkowy krawiec przed pogromem.

I stał się mały, zgarbiony, szary, cała jego żydowska pewność siebie znikła, a szlachetna siwizna zmatowiała, jakby pokrył ją lupież.

Żona skomliła już tylko cicho jak szczeniak, jakby zrozumiała, że to koniec. Niczym pies oplakujący nieboszczyka.

Bała się? Przeczuwała? Wiedziała? Tiritomba, tiritomba...

Co to takiego tiritomba? Może to imię?

Na górze ogromnego czarnego kredensu stało kartonowe pudełko. Spytałem żonę Luriego:

– Co tam jest?

– Serwis do herbaty, poza tym nic...

Mrugnąłem na Riumina. Przystawił do kredensu krzesło, niezdarnie włożył na nie – już wtedy miał krągły brzusek – z krzesła wszedł na blat, wspiąwszy się na palce, dosięgnął pudełka, przyciągnął je do brzegu i jednym ruchem ręki zwałił na podłogę.

Brzęk rozbijającej się w drobny mak zastawy zagłuszył nawet wycie tiritomby. I Fira Lurie natychmiast zrozumiała, co jest wart ich dom, ich życie, ich przyszłość. I zamilkła.

Z pudła rozleciały się po podłodze różnokolorowe odłamki porcelany. W samym pudle wciąż coś tam jeszcze postukiwało i podzwaniało żalśnie, gdy rozwarły się drzwi i do pokoju wpadła Rimma. Wracła z uczelni i najwyraźniej spóźniła się na wieczorną herbatę w gronie rodziny. Na zawsze.

Serwis dogorywał na podłodze, podzwaniając odłamkami. Bezsilnie i beznadziejnie.

A ja nie potrzebowałem wychodzić o zachodzie na przystań, żeby spotkać tam slicznotkę. Sama przyszła. Co prawda nie miała bujnych złocistych kędziorów, tylko długie, smolście czarne włosy, zebrane na karku w ciężki węzeł.

I nie miała na ustach żadnego uśmiechu. Bolesny skurcz rozciągał jej wargi w szpetnym grymasie, takim samym jak u ciebie, Majka, kiedy wymawiasz słowo „tato”.

Tiritomba, tiritomba, oto jest piosenka ma!

Miała na sobie brązową skórzaną kurtkę z paskiem i szeroką wełnianą spódniczkę w szkocką kratę. W rękach – modną studencką walizeczkę. Żółtą apaszkę na długiej, smukłej szyi, tak bezbronnej, że miało się ochotę zacisnąć wokół niej palce.

Szkoda, że tiritomba nie zaśpiewał nic na temat jej oczu... Och, te ogromne, czarne, leciutko wilgotne oczy, dziedziczone przez wieki od pramatki Racheli! A właściwie to wcale nie czarne – raczej ciemnobrązowe, jest w nich wieczność orzecha i słodycz miodu, bezdenność źrenic, przedświtowy błękit białek, lękliwe trzepotanie puszystych rzęs... Oko ofiarnego baranka.

Boże kochany! Czemu nikt się nie domyślił, że oczy nie są żadnym odbiciem, że same promieniują energią duszy! Jeśli posługiwać się ubogą terminologią współczesną – są radarami naszej istoty, naszej natury, naszego jestestwa. Inaczej niesposób zrozumieć, dlaczego kawałki tej samej ludzkiej tkanki – tęczęwka, rogówka, białko – na jednej twarzy są oknami duszy, a na drugiej – zmętniałymi ślepiami idioty.

Och, jakie ona miała oczy... Jak patrzyła na ojca, na sprofanowany przez nas dom, na nas!

Siedziałem w kącie, na grubej poręczy skórzanego fotela, i patrzyłem na nią. A ona patrzyła na ojca. I nie było w jej oczach ani zdziwienia, ani nawet strachu. Był ogromny smutek. Smutek zalewał ciemnością jej oczy, aż wreszcie nabrzmiały łzami jak wiśnia sokiem. Po dwóch krągłych, przejrzystych kroplach ukazały się kolejne dwie, i jeszcze, i jeszcze, i jeszcze... I potoczyły się cienkimi strużkami na kołnierz kurtki, na żółtą apaszkę.

Nie ocierała ich, pewnie ich nawet nie zauważyła. Stała nieruchoma jak głaz, i tylko podbródek podrygiwał jej boleśnie.

I ojciec także wpatrywał się w nią nieruchomymi, szeroko rozwartymi oczyma, ze wszystkich sił starał się zapamiętać ją aż do ostatniego szczegółu, zanotować w pamięci każdy najdrobniejszy rys.

Trudno uwierzyć, ale wówczas, gdy patrzyli tak na siebie – on, odchodzący w niesławę, mękę i śmierć, i ona, skompromitowana, usunięta już poza nawias społecznego życia, jutrzejsza sierota – na moment im pozazdrościłem.

To były relacje niedostępne nam, ulicznym bękartom. Nierasowym kundlom.

Miłość rodzicielska, miłość dziecięca – tak, wiemy o tym wszystkim, slyszeliśmy. I suczki kochają swoje szczenięta. I kotki liżą swoje kociecia.

Ale tych tutaj łączyło coś niezwykłego, jak nieprzecięta jeszcze pępowina. Milcząc, patrzyli na siebie nawzajem i samymi tylko oczami, w tej palącej ogniem ciszy, obiecali, przysięgali, prosili o przebaczenie, błogosławili, oplakiwali się nawzajem i modlili się.

Cóż to jest, co powiedzieliście sobie wzajemnie w ciągu paru sekund, bez otwierania ust?

Żydzi nie rozmnażają się tak jak my wszyscy, zwykli ludzie. Oni mnożą się przez podział.

I nie pomyślawszy jeszcze jak należy, samym tylko potwornym uciskiem w gruczole krokowym, ogłuszającym wyciem plemników, stupudowym ciężarem w mosznie poczułem, że niemożliwe jest dalsze życie bez tej dziewczyny, subtelnej żydowskiej *cacy*, ślicznego kwiatuszka doniczkowego, wyhodowanego na żyznej glebie semickiej troskliwości, w inspekcje profesorskiego domu.

Ab ovo. Od jajka...

I tak samo bez udziału świadomości poczułem nagle, że jej tatko powinien zniknąć. Nie zastanawiałem się wtedy, nie planowałem, nie kombinowałem, co z nim zrobić: zabić, zadusić w celi, posłać do diabła. Po prostu wiedziałem, że razem, w trójkę, nie wpisujemy się w złocisto-czarną wizję szczęścia, którą obiecywała ta dziewczyna. Dopóki on żyje, ona jest jego częścią, i część ta zawsze będzie mnie nienawidzić. A ja chciałem, żeby mnie kochała. Musiał zniknąć. Choćby miał wyparować.

Być może, gdyby kochała ojca odrobinę mniej, odrobinę mniej przeżywała jego aresztowanie, albo gdybym ja nie był takim profesjonalnym obserwatorem – pozostałby dotąd przy życiu dziadek Lowa, profesor od dolnych dziurek, reb Lurie.

Ale ja widziałem, jak oni patrzyli na siebie nawzajem.

Dzisiaj to się może wydać niezrozumiałe, dzisiaj mimo wszystko są inne czasy, ale wtedy moje zachowanie było w pełni normalne. Rzecz w tym, że czas płynął wtedy nie do przodu, tylko do tyłu. Minął rok – i ludzie cofnęli się o sto lat. Kolejny rok – kolejny wiek.

Czy można osądzać wojownika Czyngis-chana za to, że zdobywszy miasto, zabijał mężczyzn, a kobiety gwałcił? To przecież naturalne, leży

w naturze człowieka, na swój sposób jest motorem społecznego postępu. Tylko głupota i obłuda sprawiają, że ludzie nie chcą uznać tego, co oczywiste.

I o nic się nie obwiniam, bo w takim razie i samą Rimmę można by obwiniać o to, że jej ogromna miłość do ojca zgubiła go.

Ludzkie czyny, ludzka moralność są kształtowane przez czasy, przez epokę. I to epoka powinna przejmować za nie odpowiedzialność. Niegodziwością jest karać ludzi za ich wczorajszą ofiarność. Pod tym względem mój stróż, Tichon Iwanycz Steiner – ofiarny mój wologodczyk z Turynгии – ma rację.

A wtedy, w 1949 roku, zabrakło nam raptem dwóch wieków wstecz, żeby kobiety, które wpadły nam w oko, gwałcić od razu podczas rewizji. Cała reszta się już przecież dokonała. A w ogóle to nie lubię słowa „gwałt”. Wulgarnie, niestosowne słowo.

Po co gwałcić? Sama by dała.

Patrzyli na siebie i milczeli. Jak powiedzieliby Rzymianie – *cum tacent clamant*. Ich milczenie było podobne do krzyku. I nie wiem, czym by się zakończył ten straszliwy niemy krzyk, przypominający fotografię morderstwa, gdyby Mińka Riumin nie szturchnął Luriego w ramię:

– Koniec. Posiedzieliście – i dość. Zbierać się.

Wówczas ja ze swego kąta, z wygodnej, szerokiej poręczy, powiedziałem:

– A może by tak grzeczniej?

Mińka Riumin, niezastąpiony partner w tego typu sytuacjach, ryknął:

– I tak żeśmy się już z nimi wystarczająco długo cackali!

A ja pokiwałem głową i z wyrzutem powiedziałem:

– Wstyd, towarzyszu Riumin. Czekaście nie przystoi takie zachowanie.

I powtórzyłem, surowo:

– Wstyd. Zakarbujcie to sobie na nosie!

Mińka popatrzył na mnie z zainteresowaniem. A dziewczyna – z nadzieją. Stare to jak świat... Różnica potencjałów. Prąd ludzkiej sympatii zaczyna od razu płynąć od gorszego ku lepszemu. Jakąkolwiek nadzieję na uratowanie ojca dziewczyna mogła wiązać tylko ze mną.

Mińka domyślnie wyszczerzył w uśmiechu zęby i niedbale zasalutował pulchną dłonią:

– Rozkaz, towarzyszu naczelniku. – I zwrócił się do starego Luriego: – Proszę się ubierać...

Stary Lurie... Miał wtedy na pewno tyle lat, co ja teraz, ale był siwym, statecznym starcem. A ja nie jestem starcem. Ja jeszcze lubię baby. I jak na razie one też mnie lubią. A on najwyraźniej kochał wyłącznie swoją grubą żonę Firę. I swoją subtelną córeczkę Rimmę. W rodzinie człowiek starzeje się szybciej. Ja nie zdążyłem się zestarzeć w swoich rodzinach. No i do normalnej rodziny niezbyt one były podobne.

I praca mnie odmładzała. Krew sprawia, że człowiek żyje bardziej intensywnie, ale się nie starzeje.

Lurie wstał, wspierając się ręką o blat stołu, jakby nie był pewien siły swoich nóg. Żona, szlochając przeciągle, spazmatycznie, podawała mu szary gabardynowy płaszcz, sztywny filcowy kapelusz. Wkładał je niezgrabnymi, zdrętwiałymi rękami, a ja przeszedłem się po pokoju, niby przypadkiem znalazłem się obok Rimmy i nie patrząc na nią, jak piszą w sztukach – „na stronie”, szepnąłem:

– Ciepłe palto, szalik, czapka... – I wróciłem do kąta.

Rzuciła się do sypialni, słychać było jej szaleńcze przepychanki z przeprowadzającym rewizję funkcjonariuszem, po czym wyskoczyła, niosąc w objęciach kryte flauszem futro z tchórzy, papachę, długi, wlokący się po podłodze wełniany szal, i zaczęła narzucać to na ojca.

On nieporadnie odpychał jej ręce, powtarzając bezmyślnie:

– Po co, teraz ciepło...

– Wkładaj, wkładaj, jak ci mówią! – krzyknęła szorstko, i w krzyku tym wyraziła się cała jej męka. Zaczęła wpychać w rękawy ręce ojca, mającąc się bezwładnie, niby czarne ogonki tchórzy, którymi podbite było palto. Tak, najwyraźniej wraz z tym krzykiem wyczerpały się ich siły, skończyła ich odporność.

Chwycili się w objęcia i wybuchnęli płaczem.

– Żegnaj, moje życie... – szlochał. – Żegnaj...

I w jego niegłośnych starczych zawodzeniach słychać było nie strach o siebie, nie obawę przed śmiercią, nie ciężar hańby, nie żal za porzucanym na zawsze domem, nie gorzyc utraty ukochanego, cieszącego się szacunkiem zajęcia, a tylko ból i strach o nią, tę, która zostaje.

– Och, aleście wy nerwowi, Żydzi – powiedział z krzywym uśmiechem Mińka. – Żegnacie się jak na pogrzebie...

Mrugnąłem do niego: zabieraj go! I Mińka żelazną ręką wziął Luriego za ramię:

– Dość. Idziemy...

Krzyknąłem za nimi:

– Niedługo kończymy rewizję i wracamy!

Ciężko jest Żydom. A to dlatego, że nie mają naszego historycznego doświadczenia. Wszyscy przecież jesteśmy na pół Tatarami i przeżyliśmy tylko dlatego, że nasi męscy przodkowie pojęli: najeźdźcy trzeba oddać swoją babę, innego wyjścia nie ma. Stąd, być może, nasza giętkość niewolników, wypierdków wroga. Giętkość, tak sprzyjająca przetrwaniu.

Rewizję faktycznie zakończyliśmy szybko. Jakie tu mogły być ślady przestępczej działalności Luriego? Żeby truć i działać na szkodę, miał do dyspozycji całą klinikę. Rewizja to niepotrzebna formalność, tak samo jak obecność przy niej dwóch świadków – dozorczy i babki od sąsiadów. Bezmyślne, śmiertelnie wystraszone bałwany, rzekomo mające w razie czego zaświadczyć, że rewizja została przeprowadzona prawidłowo. Obywatelski nadzór. Reprezentacja społeczeństwa.

Firze Lurie tak się trzęsły ręce, że nie mogła podpisać protokołu rewizji. Nie patrząc na papier, byle jak złożyła na nim podpis Rimma. Funkcjonariusze i świadkowie ruszyli ku wyjściu, a ja zatrzymałem się, przeciągle popatrzyłem na nią.

– Boże mój, to przecież jakieś potworne nieporozumienie... – powiedziała bezradnie, ze zmieszaniem.

Pokiwałem głową i ledwie dosłyszalnie szepnąłem jej na ucho:

– To nie jest nieporozumienie. To jest nieszczęście.

Wpiła się paluszkami w kłapy mojego modnego skórzanego płaszcza, czepiała się mnie, tak jak spadający z urwiska czepia się wątlých badyli, zwiędłej trawy, grudek ziemi na stoku.

– Co robić? Co robić? Niech pan coś poradzi, błagam!...

Znów popatrzyłem w jej bezdenne żydowskie otchłanie, pełne czerni, słodczy, mojego jutrzejszego szczęścia.

– Czekajcie. Zrobię, co będę mógł. Czekajcie.

– A jak się dowiemy?

– Jutro, o szóstej, proszę przyjść do piekarni na rogu Srietienki...

Delikatnie oderwałem ją od siebie i zamknąłem za sobą drzwi.

Zamknąłem drzwi w Sokolnikach i wynurzyłem się u siebie, w wannie, w dzielnicy Aeroport.

Ad sum. Jestem tutaj.

Ogłuszająco dzwoni dzwonek u drzwi, niewyraźne głosy w przedpokoju. I serce gwałtownie podrywa się w piersi, ściśnięte spazmem przerażenia –

aż piana kręgami rozeszła się po powierzchni. To Palacz. Przyszedł po mnie. Z Mińką Riuminem. Mińka wyciągnie mnie, nagiego, z wanny, a Palacz szepnie do Mariny: „... palto, szalik, czapka...”

Bzdury! Co mnie napadło? Jaki Palacz? I skąd tu Mińka? Wieki temu rozstrzelali go na krytej strzelnicy obok garażu Wydziału. Na ulicy Pu-szcznej, w samym centrum, sto metrów od wspaniałego gabinetu wicemi-nistra. Przecież, można powiedzieć, zrobił on na moim rodzinnym dramacie niesłychaną, fantastyczną karierę. W cztery lata – od wszawego śledczego do zastępcy ministra do spraw śledztwa.

Mnie się to nie udało. Nie chciałem, żeby mnie rozstrzelali.

Ciekawe, czy wspomniał ten głupi, pazerny bydlak, którego stworzyłem z łajna i prochu, jak pobłażliwie, protekcyjnie poklepywał mnie po ramieniu: „Faktycznie, na cholerę ci te wszystkie głupoty, te odznaczenia, tytuły – ty jesteś taki nasz radziecki Skorzeny...”*

Czy pamiętał o tym, kiedy żołnierze plutonu konwojowego wlekli go po zarzyganej betonowej posadzce do piwnicy, kiedy z płaczem pełzał przed nimi na kolanach, całował po butach i błagał, żeby go nie rozstrzelowali? Czy zrozumiał przynajmniej wtedy, że nie powinien był poklepywać mnie po ramieniu?

Pewno nie zrozumiał. Cudze doświadczenie niczego nie uczy. A kiedy przychodzi Palacz – za późno na naukę...

Ja nie byłem wiceministrem, tylko zwykłym, swojskim, radzieckim Sko-rzenym. Dlatego nie rozstrzelali mnie i leżę teraz, ćwierć wieku później, w wypełnionej gorącą wodą wannie. Mimo to wstrząsa mną dreszcz, kiedy wsłuchuję się w dochodzące z przedpokoju głosy.

Tfu, do diabła! To przecież Majka! To jej głos, to jej coś odpowiada Mari-na. Czuję, że czeka mnie trudna rozmowa. Należałoby się przygotować. Ale w głowie mam tylko brzęk odłamków herbacianego serwisu, zrzuconego z szafy przed twoim urodzeniem.

Palacz urok na mnie rzucił.

Trzeba wyłączyć z wanny i zanurzyć się w koszmarze realnego życia. Wszystkie te wspomnienia nie sprawiają mi przyjemności, ale jest w nich stabilność tego, co już przeżyte. A rozmowa z Majką – to nienawiść, nie-pewność przyszłości, mrok grózb Palacza.

* Pułkownik Otto Skorzeny – dowódca komandosów Hitlera, Austriak z pochodzenia, mający opinię najniebezpieczniejszego człowieka świata, znany ze spektakularnych akcji – m.in. odbicia Mussoliniego z rąk oponentów, którzy chcieli wycofać Włochy z wojny i aliansu z hitlerowskimi Niemcami.

Naciągnąłem na siebie frotowy szlafrok, wyjąłem korek z wanny i biało-niebieska piana z łośkotem runęła w ciemną, oślizłą czelusć rur. Tak uchodzą wspomnienia w zakamarki mojej pamięci. Gdzie wypłyniecie na zewnątrz, straszliwe ścieki?

Majka siedziała w kuchni, a Marina referowała jej z przekonaniem:

– Nie, Maja, nawet mi nie mów – miłości już nie ma. Dlatego że nie ma facetów. To nie są faceci, tylko marni, zalatani urzędnicy. Naprawdę kochać może tylko niebieski ptak. Cała reszta nie ma na to ani siły, ani czasu...

Mimo wszystko biologia to wielka siła. Skoro zdołała za pomocą samych tylko hormonów doprowadzić do tak trafnych wniosków moją kretynekę...

– Cześć – powiedziała do mnie Majka.

– Cześć, córeczko – nachyliłem się ku niej, żeby ją pocałować. I ona też zwróciła się ku mnie całym ciałem, podstawiła się zręcznie, tak subtelnie zareagowała, że mój pocałunek wypadł gdzieś między łopatkami a karkiem. Co robić, gorące uczucia rodzinne nie znają granic.

Ale Marina patrzyła na nas podejrzliwie, z zazdrością. Moich krewnych traktuje wyłącznie jako przyszłych spadkobierców i z góry czuje do nich niechęć. To ona męczy się ze mną dniami i nocami, cierpiąc udreki potwornej alergii na ciepło, a oni, jak tylko zamknę oczy, natychmiast zlecą się, żeby dzielić wypracowane przez nas w pocie czoła kopiejski... Jak sępy do padliny! Kanalie!

Ach, jaskółeczko moja droga, synogarliczko pokorna! Nawet wyobrazić sobie nie jesteś w stanie, jaka cię czeka niespodzianka, jeśli wygrasz główny los na swojej loterii i zostaniesz wdową po profesorze Chwatkinie! Moje *caput mortus* – śmiertelne szczątki – jeszcze leżeć będą w domu, gdy ty staniesz się zwykłą dziadówką, przechodniem z ulicy, nędzną dziwką, mającą dokładnie takie prawa, co tynkarka z Lanozowa.

Na wszelki wypadek przewidziałem to, aczkolwiek mam w Bogu nadzieję, że nie będę zmuszony przyczyniać ci podobnego zmartwienia. Już lepiej wezmę na siebie trudną rolę pogrążonego w głęboki m smutku, ale ze wszystkich sił starającego się jakoś trzymać wdowca. No i uczucia moje będą wolne od jakiegokolwiek interesowności.

– Nie wyglądasz najlepiej – powiedziała moja córcia.

Marina powiodła czujnym spojrzeniem od Majki do mnie i z powrotem, wyteżyła z całej siły swój syntetyczny mózg – czy nie zmawiamy się przypadkiem przeciwko niej? Była bardzo ładna, podobna do dużej, rudej wiewiórki. Wiewiórki, której ktoś dla głupiego żartu ogolił puszysty ogon. I zmieniła się w szczura.

Od dawna wiem, że wiewiórki noszą ogon dla niepoznaki. Bez swojej słicznej kity są zwykłymi szczurami.

– Trochę jestem zmęczony – powiedziałem do Majki.

Przejawiła współczucie i niepokój:

– Bo żyjesz niezdrowo. Za dużo pracujesz, za dużo myślisz... Zabijasz się dla innych...

– Akurat! – oburzyła się Marina. – Zabija się, rzeczywiście! Już prędzej innych pozabija...

Chwytała nasze repliki w locie, ale ich nie rozumiała, zupełnie jakbyśmy mówili po khmersku. I dlatego szybko wzięła ciężar rozmowy na siebie: zaczęła się uskarżać na trudy życia ze mną, na to, że zwichnąłem jej los, a Majka, słuchając tych mrozących krew w żyłach historii, uśmiechała się ledwie dostrzegalnie, kącikami ust.

– Niech go pani rzuci, Marino – poradziła.

– Taak? – błysnęła oczami Marina. – On mi całe życie zmarnował, a ja go mam teraz rzucać? O, niedoczekanie! Nie dostanie ode mnie takiego prezentu, choćby miał zdechnąć!

I popatrzyła na Majkę z jeszcze większą wrogością. Już widziała, jak moja córka rzuca się z pazurami na spadek, żeby wyszarpać swoją dolę.

– Wobec tego życie sobie w pokoju i radości – zgodziła się Majka i zdusiła w popielniczce niedopałek papierosa.

W Moskwie nie kupi się takich fajek nawet za walutę. To papierosy z RFN-u.

– A jak z nim żyć? O, choćby dzisiaj: dopiero rano raczył się w domu pojawić! – szalała moja ukochana.

Dyplomaci palą marlboro, winstony, gitany. No, niechby bensony... Możliwe, że to biznesmen. Niemiec z RFN-u?

Rzadko się zdarza, żeby mętna paplanina Mariny nie doprowadzała mnie do szału. Tym razem jednak wszystkie te bzdury, które plotła i plotła bez końca, przynajmniej na krótko oddalały rozmowę z Majką. Ile to może trwać? Ciekawe, czy na dole czeka na nią szczęśliwy narzeczony?

Jeśli tak, to biedny Tichon Iwanycz nie może przez nią zejść z dyżuru. Przycupnął na pewno za węglem, zapisuje numer samochodu, wpatruje się w twarz mojego członka rodziny in spe, wścieka się w duchu, że przy tak odpowiedzialnej pracy nie ma do dyspozycji aparatu fotograficznego.

Widocznie Majka zatroskała się o mojego stróża, zrozumiała, jak trudno w jego wieku pelzać po śniegu pod zagranicznym samochodem o innym niż mój numerze rejestracyjnym.

Wstała z krzesła i twardo oznajmiła:

– Muszę z tobą pogadać. W cztery oczy. Nie mam zbyt wiele czasu.

Musiałem wstać i ja, a Marina zagryzła dolną wargę i upodobniła się już całkiem do wiewiórki, która podwinęła pod siebie długi różowy ogon.

– Cóż to, jakieś sekrety przede mną?

Majka uśmiechnęła się pobłaźliwie. Takim uśmiechem kwitujemy niedorzeczną odzywkę niedorozwiniętego dziecka.

– Marino, przecież już wczoraj zdradziłam pani ten sekret. A teraz musimy omówić czysto rodzinne szczegóły...

– A ja nie jestem członkiem rodziny? – spytała z oburzeniem moja kretynka.

– Jest pani. Ale tu chodzi o inną rodzinę.

I zdecydowanie wyszła z kuchni, kierując się w stronę mojego gabinetu. Charakterek mamusi. „Prawdę trzeba mówić prosto w oczy... kłamać to wstyd... oszukiwać to podłość... szeptać na ucho to nikczemność... milczeć to niegodziwość...” Boże święty, czy one mają dobrze w głowie?

Szczelnie zamknąłem za sobą drzwi gabinetu, wyjąłem z szuflady szklanekę i puszkę indyjskiej kawy Bond. To wyłącznie moja kawa. Skoro moja czuła wiewióreczka z wyskubanym ogonem ma alergię na ciepło, niech pije zimne siki. A ja lubię z rana gorącą kawę.

Sennie mruzczała woda w miedzianym tygielku, błękitne jęczyczki spirytusowego płomienia nerwowo pełgały w mikroskopijnym ognisku. Majka siedziała na poręczy fotela, machała nogą i patrzyła na mnie.

Lubi siedzieć na poręczy fotela. Tak jak ja kiedyś. W przepadłym na zawsze domu jej dziadka.

– Jak ty możesz żyć z tą rośliną? – spytała z zainteresowaniem.

– Ja z nią nie żyję.

– To znaczy?

– Ja z nią umieram.

Chociaż patrzyłem na kawę, z ledwie dosłyszalnego pomruku zorientowałem się, że trochę za wcześnie wziąłem wysoką, dramatycznie-żałobną nutę. Trzeba było odłożyć to na później, kiedy w rozmowie pojawi się temat końcowy – „tak niewiele mi zostało życia, proszę, nie śpiesz się, nie pchaj mnie na skraj przepaści, wszystko i tak niedługo się skończy”...

– Napijesz się? – zaproponowałem.

– Trochę za wcześnie. Jeszcze nie jadłam śniadania.

– A ja golnę sobie odrobinę. Z nerwami coś nie za bardzo...

– Widzę – uśmiechnęła się krzywo. – Popijasz teraz od rana?

– Nie, tylko po wczorajszym trochę mnie trzęsie.

Wzniosła się, wzbila brązowymi pagórkami pianka na wonnym płynie. Wyłączyłem maszynkę, nalałem kawy do filiżanek i chlusnąłem sobie do szklanki whisky. Niewiele zostało w butelce, solidnie sobie popilem, siedząc w wannie...

W tym momencie zadzwonił telefon. Mój wierny przyjaciel, niezawodna Promienica, Cezar Solonyj.

– Gdzieś ty wczoraj przepadł? Aleśmy potem zabalowali! Rzecz jasna, głowa mi pęka, ale zabawa była przednia... A ty gdzieś się podział?

Gdzie się podziałem? Pognałem za Palaczem i trafiłem do tynkarki. Jak mu to opowiedzieć przez telefon?

– Tak jakoś wyszło... – wymamrotałem. I choć wszystko we mnie się temu sprzeciwiało, spytałem niby to obojętnie, zerkając spode łba na Majkę: – Słuchaj, a co to za jeden... no wiesz... ten, co wczoraj przysiadł się do nas?

– Niby kto? – zdziwił się. – O kogo ci chodzi?

– No wiesz... taki blondasowaty... chudy... Kto to jest? Niebogaty z wyglądu...

Bardzo przeszkadzała mi Majka – no bo jak opowiadać przy niej o Palaczu? I w ogóle, co tu jest do opowiadania? Cholema Promienica, udaje, że to nie on wczoraj razem ze wszystkimi gapił się na moje ręce, rzekomo całe we krwi!

– Wiesz co, stary, jakoś nie mogę skojarzyć, kogo masz na myśli.

– Nie możesz skojarzyć? – przerwałem wściekły. I nieoczekiwanie dla siebie samego wrzasnąłem do słuchawki: – Palacz! Mam na myśli palacza, którego ktoś przyprowadził do naszego stołu...

I dopiero gdy to krzyknąłem, zdałem sobie sprawę, że po raz pierwszy wymówiłem na głos jego imię. Czy stanowisko. Czy przydomek. I wskutek tego jakby się zmaterializował i ostatecznie stał się realnym zagrożeniem.

PALACZ POTRZEBUJE MIESIĄCA...

Majka patrzyła na mnie z zainteresowaniem, uśmiechała się, machała nogą, popijała kawę, siedząc na poręczy fotela. To u nas rodzinne – w decydujących momentach życia siadać na poręczy fotela. Łatwiej zeskoczyć, łatwiej włączyć się do gry.

Po tamtej stronie drutu Cezar zamruczał coś niewyraźnie, po czym powiedział z namysłem:

– Słuchaj, jedno z dwojga: albo wczoraj załaleś się w pestkę, albo dzisiaj już od rana jesteś nawalony. Jaki palacz? O kim ty mówisz?

– O facecie, któremu plunąłem w twarz. I wyrzuciłem od stołu. Teraz sobie przypominasz, o kim mówię?

Cezar przez chwilę sapał w słuchawce, po czym ostrożnie zasugerował:

– Jeżeli to przed Mariną musisz odstawić jakiś numer, to mów, a ja tu będę ci potakiwał. To pod nią mówisz to wszystko, tak? Dobrze cię zrozumiałem?

– Ty kretynie! Matka cię w biegu urodziła i wałnęła czaszką o asfalt! Żyd, cholera... Podwójny z ciebie wyrodek: nie dość że Żyd dureń, to jeszcze i Żyd ochlapus! Co ty pieprzysz? Co tu ma do rzeczy Marina? Nie pamiętasz wczorajszego skandalu?

Promienica długo dyszała ze wzburzeniem, potem w jej głosie dał się słyszeć niepokój i współczucie zarazem:

– Stary, ty chyba coś nie tego... Może ciut przedawkowałeś?... Wczoraj nie było żadnego skandalu... Może się obraziłeś na kogoś?... Wszyscy żartowali, śmiali się... A ty nagle wstałeś i poszedłeś...

– Sam idź w cholerę! – I rzuciłem słuchawkę.

Odbiło mu. Jak można było nie zauważyć Palacza? Jak można było nie zwrócić uwagi na ten skandal?

– Aleście sobie pogadali od serca – zaśmiała się Majka.

– Ano, pogadaliśmy – pokiwałem ociężale głową.

A może mi się przywidziało? Może naprawdę żadnego Palacza nie było? Może to halucynacja?

– Wychodzę za mąż – bez żadnego wstępu oznajmiła Majka. – Żona cię na pewno powiadomiła?

– Powiadomiła.

– To czemu mi nie gratulujesz? Czemu się nie cieszysz? Czyżbyś się martwił, że ukochana córeczka wylatuje z rodzinnego gniazda? – pytała, leniwie machając nogą.

Płonna nadzieja – on wczoraj był. To nie halucynacja. Palacz był. Z jakiegoś miasteczka w RFN-ie. Z Topnika... Może Majka trzyma z Mariną?

Co za głupoty! Jej w ogóle nie jest do śmiechu, udaje tylko wesołą. Skoro była wczoraj, a dziś z samego rana znowu przyleciała, to znaczy, że czegoś na gwałt potrzebuje. Cała jest napięta.

– Z rodzinnego gniazda? – powtórzyłem pytanie. – A co jest dla ciebie rodzinnym gniazdem? Rodzicielski dom, rodzinne miasto czy może ojczyzna?

Majka parsknęła.

– W rodzicielskim domu, chwala Bogu, nigdy nie mieszkałam. Rodzinne miasto to pojęcie z gazet. Czy z ankiet. A moja ojczyzna jest baaardzo daleko stąd...

Powiedziała to przeciągle, mściwie, delektując się słowami.

– No a to wszystko dookoła nas – rozłożyłem szeroko ręce – co to jest?

Popatrzyła na mnie ze zdumieniem, jak na skończonego idiotę, po czym wzruszyła ramionami.

– To się nazywa zona. Zo-na. Z drutem kolczastym pod napięciem, z konwojentami i szcztutymi na ludzi psami.

Pokiwałem gorzko głową, westchnąłem ciężko:

– Obawiam się, że trudno nam się będzie dogadać. Człowiekowi, któremu obce jest tak naturalne uczucie, jak miłość do ziemi rodzinnej, bardzo trudno zrozumieć...

– Zapomniałeś jeszcze wspomnieć o miłości i szacunku dla rodziców – przerwała mi szybko.

Machnąłem ręką:

– Do tego to już nie mam pretensji. Ale człowiek, który nie wie, co to patriotyzm, wdzięczność wobec ziemi, która go wykarmiła i wychowała...

Majka zwała się z poręczy na siedzenie fotela, zamajtała z zachwytu nogami. Ma długie, kształtne nogi, tak samo jak jej mamuśka. Tyle że Rimma nie wiedziała, iż można je wyeksponować za pomocą dżinsów marki Wrangler. Wtedy dziewczyny nie nosiły jeszcze dżinsów. Zresztą chłopcy też nie nosili.

Godny, surowy i zbolaty siedziałem naprzeciwko niej przy stole i myślałem, czy nie zadzwonić by do ojca Aleksandra i nie spytać o Palacza. Nie, nie ma sensu... Pop na pewno by potwierdził, on nie pije na umór, tak jak ta moja wredna Promienica.

A Majka, naśmiawszy się, wyprostowała się w fotelu i powiedziała ugodowo:

– Słuchaj, Chwatkin, żeby nie przekształcać naszej typowo rodzinnej, można powiedzieć, intymnej rozmowy w zebranie partyjne, chcę ci powiedzieć, że nasz radziecki patriotyzm – to doprowadzone do absurdu naturalne poczucie więzi z własnymi korzeniami. To coś w rodzaju kompleksu Edypa, tylko o wiele niebezpieczniejszego, jako że Edyp, poznawszy smutną prawdę, oślepił się. A wy, na odwrót, oślepiacie innych, tych, którzy znają haniebną prawdę. Wszystko to zboczenie, które przerodziło się w głupią dumę gołodupców. I nie wracajmy więcej do tego tematu. Taka już jestem i nawet twój osobisty przykład nie zdoła zrobić ze mnie patriotki...

Śmieje się, mała. Ciekawe, co ona o mnie wie? Prawie nic. Ale wystarcząco dużo, żeby mnie nienawidzić.

Westchnąłem raz i drugi ze smutkiem, rozłożyłem ręce:

- Jak chcesz, to twoje życie... I któż to taki, ten twój wybranek?
- Bardzo miły, dobry, inteligentny człowiek.
- Moskwianin? Czy z prowincji?
- Z głębokiej prowincji. Z miasta Kolonia.
- Aha. Czy przypadkiem nie tam działa wyrotowe Radio Swoboda?
- O Jezu, nie wiem. Wiem, że to ośrodek klasy robotniczej zagłębia Ruhry.

– No i świetnie! Bo moja kretynka powiedziała, że on jest z jakiegoś Topnika...

– Poplątało się jej. Powiedziałam, że się urodził w Koepenick...

– Mniejsza o to... Boże wam dopomóż! Wszystkiego najlepszego! Gratuluję!

– Dzięki! Ale... muszę załatwić pewien drobiazg. Zwykła formalność.

Proszę. Formalność, drobiazg. Wy wszystko macie w nosie, dopóki nie pojawi się kwestia jakiejś formalności. Wtedy zaczynacie przylatywać wieczorem i o świcie. Żeby ot tak, przy okazji, załatwić sprawę, dopełnić formalności... Formalność to nie byle drobiazg. O nie! Bez tego drobiazgu twoim świadectwem ślubu można się będzie wyłącznie podetrzeć, a i to dopiero wtedy, kiedy się je porządnie zgniecie.

– Proszę bardzo, Majeczko. Wszystko, co tylko w mojej mocy...

– W przypadku małżeństwa z cudzoziemcem i ubiegania się o wyjazd do kraju zamieszkania współmałżonka wymagana jest u nas zgoda rodziców. Mama już podpisała.

– No to świetnie! Znaczący, wszystko w porządku.

– Trzeba żebyś i ty podpisał.

– Ja? Ja? Żebym co podpisał?...

– Zgodę na mój wyjazd do RFN-u.

– Proszę bardzo, nie mam nic przeciw temu.

– W takim razie podpisz ten papier.

– Eee... nie. Nie podpiszę.

– Dlaczego? Przecież powiedziałeś, że nie masz nic przeciw temu?

– Nie mam. Ale niczego podpisywać nie będę.

– Jak to? Przecież nie zaniósę im twojej zgody w torebce foliowej?

– No i nie zanoś. Po prostu powiedz, gdzie trzeba, że nie zgłaszam sprzeciwu.

– Ale sam przecież wiesz, że u nas niczego nie załatwia się na gębę. Wszystko musi być na piśmie.

– Niczego nie będę pisał.

– Ale dlaczego?

– Dlatego, że w moim długim i dosyć skomplikowanym życiu nauczyłem się, żeby nigdy nikomu nic nie pisać. Wierzę w czarodziejską moc słowa. Słowo płynie z serca...

– Drwisz sobie ze mnie?

– Nie. Ja chcę twój dobra.

– Ale w ten sposób złamiesz mi życie.

– Ależ skąd! Czy twój miły, dobry, inteligentny narzeczoney cię kocha?

– Myślę, że tak.

– To niech się przeprowadzi do Moskwy. Załatwię mu zgodę na zameldowanie.

– On chce żyć w mieście, gdzie nie jest potrzebna zgoda na zameldowanie. Gdzie człowiek zamieszka, tam żyje i kwita.

– To znaczy, że cię nie kocha, i tak czy owak nie będziecie szczęśliwi. Wykorzysta cię i rzuci. Albo jeszcze gorzej – sprzeda do domu publicznego. Tam byli obywatele radzieccy nie mają żadnych praw.

– Mam takie wrażenie, jakbym rozmawiała nie z tobą, a z twoją żoną Mariną. To sentencje w jej stylu.

– Co robić... Mąż i żona – to jedność. Tak że lepiej od razu go rzuć, znajdziesz sobie tutaj lepszego męża. Sama wiesz – im dłuższe pożegnanie, tym więcej łez.

– Patrę tak na ciebie i próbuję zrozumieć...

– Co chcesz zrozumieć, córeńko? Pytaj śmiało – jak będę mógł, wyjaśnię.

– Czy od życia, jakie prowadziłeś, pomieszało ci się w głowie, czy jesteś naprawdę aż tak fantastycznie złym człowiekiem?

– Jeśli chodzi o stan mojego umysłu, to nie mogę się wypowiadać, sam przecież nie jestem w stanie tego ocenić. A jeśli chodzi o to, czy jestem zły – odpowiem pytaniem. W czym przejawia się moje „zło”?

– W ogóle... we wszystkim.

– A przede wszystkim w tym, że nie chcę złożyć podpisu na dokumencie, który stawiałby mnie w położeniu zdrajcy ojczyzny. Tak?

– Ty naprawdę tak myślisz czy udajesz głupiego?

– Co ja myślę, tak naprawdę nie jest ważne. Ważne, że tak myślą wszyscy, dla których patriotyzm to nie zboczenie. A pojęcie ojczyzny – to nie przesąd, tylko świętość. Przecież ty, snując swoje radosne plany życia w kapita-

listycznym raj, na pewno nie pomyślałaś o tym, jaki skutek ta historia będzie miała dla mnie. A ja jeszcze nie umarłem. Mam na razie dopiero pięćdziesiąt pięć lat, jestem, jak to się mówi, w rozkwicie sił twórczych. Pomyślałaś, jak się ma twoje zamążpójście do moich życiowych planów? Jak zgrabnie mogą je wykorzystać wszyscy moi nieprzyjaciele, zawistnicy i konkurenci? Współpraca z wrogim obozem!

– Mam nadzieję, że taki kochający tatuś jak ty nie będzie ze względu na swoją ciepłą posadkę nadzorcy utrudniał córce ucieczki z więzienia!

– Pudło, córeńko! Dla jednego to więzienie, dla drugiego – kraj rodzinny. Dla jednego klawisz, dla drugiego – wierny żołnierz ojczyzny. Domyślałam się, że teraz już za późno cię uświadamiać, ale i ty powinnaś uszanować moje osobiste przekonania.

– W porządku, zostawmy twoje przekonania w spokoju.

Widziałem, że jest zmęczona. Nie, malutka, nie potrafisz się jeszcze ze mną zmierzyć. Wszystko zostało zaplanowane dawno temu: wy macie mnie nienawidzić, a ja was, żydowskie suki, mam dręczyć. Jasne, lepiej by było, gdybyśmy się nie spotkali w tym życiu, ale tak już wyszło.

Nawet w tej chwili pamiętam smak jabłkowych pestek...

– Dobrze – powiedziała z jawną odrazą. – Możesz na tym formularzu napisać, że kategorycznie sprzeciwiasz się mojemu małżeństwu i wyjazdowi za granicę.

– I co wtedy będzie?

– Twoi nieprzyjaciele i przełożeni nie będą mieli się do czego przyczepić, a ja zyskam możliwość złożenia skargi na twój zakaz. Zwrócę się do sądu.

– Nie możesz tak postąpić.

– Dlaczego?

– Bo to by była nieprawda. Ja się nie sprzeciwiam twojemu małżeństwu. Nawet nie znam tego twojego ukochanego... Czyli musiałbym kłamać. A kłamać nie mogę – jako komunista. Kłamstwo jest dla mnie jak ostry nóż. Nie obrażaj się, Majka, powiem ci otwarcie, tak z głębi serca: nawet ze względu na ciebie nie mogę na to pójść.

– Przestań się wygłupiać! Wytłumacz mi przynajmniej, dlaczego nie chcesz oficjalnie wyrazić sprzeciwu?

– Po pierwsze dlatego, że się nie sprzeciwiam. Przecież ci powiedziałem – nie mam nic przeciw temu. A po drugie – odmowa oznacza rozpatrzenie odwołania, czyli przekazanie sprawy do sądu, pytania, drażnienie, wyjaśnianie. Jednym słowem – niezdrowa sensacja, niepotrzebny rozgłos, itepe itede.

– A nie przyszło ci do głowy, że mogę wywołać tę niezdrową sensację i bez twojej zgody?

– Masz na myśli światową opinię publiczną? Obronę praw człowieka? O to chodzi, tak?

– No, chociażby...

Buźka jej pobladła, aż podsiniąła, jak lekko skwaśniałe mleko. Oczka, ze złości wąskie jak u Japonki, zioną nienawiścią. Zaśmiałem się dobrodusznie:

– Ech, głuptasku ty mój, za grosz jeszcze nie masz rozumu! Naprawdę do tej pory się jeszcze nie połapałeś, że każdy, kto zwraca się o pomoc do tamtej strony, od razu staje się wrogiem narodu i żadne prawa go już nie chronią?

– A jakież to prawa chronią mnie teraz?

– Wszystkie! Naród, partia, nawet nomenklatura, wszyscy staną po mojej stronie. Bóg widzi, a i inni też zobaczą, jak bardzo mi zależy, żeby cię uchronić od zgubnego kroku. Ludzie nie są przecież bez sumienia, bez mózgu – rozumieją, że nie wszystko jest w mocy rodziców...

Patrzyła na mnie w niemej wściekłości. Zdała już sobie sprawę, że ta rozmowa nie ma sensu. Tę rozmowę-udrękę można ciągnąć bez końca. Bez końca. To piekło straszliwych, bezsilnych namiętności. Piekło, w którym przegarnia swoje węgle Pałac.

Majka zakryła twarz dłonią i półgłosem powiedziała:

– Nie rozumiem, nie potrafię sobie wyobrazić, jak to się mogło stać, że jesteś moim ojcem...

Ach, moja kochana, jakie to szczęście, że nie wiesz, jak to się mogło stać. Nawet w najgorszym śnie nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić.

– Znam wielu łajdaków, radzieckich durniów, normalnych komunistów. Ale takiego jak ty jeszcze nie spotkałam. W tobie nie ma nic ludzkiego. Nie ma duszy, nie ma sumienia, nie ma serca...

Kiwałem ze zrozumieniem i współczuciem głową – tak, tak, tak, prawidłowo, jak mawiali dawni farmaceuci – *cor inscrutabile*. Nieprzeniknione serce.

– Jesteś potworem...

Głuptasku, nie jestem żadnym potworem. Jestem tutejszy, moskiewski Skorzeny. Duch naszej epoki, dżin, zakorkowany w dwupokojowym mieszkaniu w dzielnicy Aeroport. Dokąd lecimy?...

Wciąż jeszcze zgodnie kiwałem głową, wodząc łyżeczką po spodku, a ona milczała, przygnębiona i zbita z tropu. Wreszcie spytała bezbarwnym głosem:

– Nie masz nic przeciw temu, żeby spotkać się z moim narzeczonym?

– Po co, córeńko?

– Prosił o to. W przypadku, jeżeli nie zechcesz podpisać zgody.

A to spryciarz! Przewidział. Czort z nim, gdzie wsiadł, tam i wysiądzie. Mogą nam na wała skoczyć te zagraniczne lajzy.

– Proszę bardzo.

– Przyjdziemy wieczorem. Poznać kochanego tatusia...

Odprowadziłem ją na klatkę schodową, pomachałem na pożegnanie, kabina windy runęła w głąb szybu, odwróciłem się i zobaczyłem na drzwiach karteczkę.

Zerwałem ją trzęsącą się ręką. Nieporadne, szkolne fioletowe literki:

ZADŁUŻENIA W WYDZIALE EKSPLOATACJI NALEŻY UREGULOWAĆ
W TERMINIE JEDNEGO MIESIĄCA. 4 MARCA 1979 ROKU.

Zgniotłem kartkę, wepchnąłem do kieszeni, wbiegłem do mieszkania i wykręciłem numer ojca Aleksandra.

5. Opricznina*, oddział specjalny

Pisnęło słabo w słuchawce i rozlaży, ciastowaty głos matuszki Galiny zaczął się z niej wylewać jak przekwaszony zaczyn. Jest dla mnie życiwiwa. Lubi mnie.

W ich syte, monotonne życie wnoszę element odświętności. Popi też żyją u nas dosyć dziwnie. Przypominają bojarów z opery *Chowańszczyzna*, tyle że po spektaklu nie każą im się rozcharakteryzowywać i przebierać.

– Pawłusza nasz kochany! – rozplywała się popadia. – Całkiem o nas starych zapomniałeś, nie przychodzisz, i ojca Aleksandra nie chcesz widzieć...

* Opricznina – system rządów w państwie moskiewskim w latach 1565–1572, wprowadzony przez Iwana Groźnego. Opricznina miała na celu złamanie bojarsko-książęcej opozycji i umocnienie władzy absolutnej. Dla realizacji tych zamierzeń wyłączono z części terytorium państwa obszar zarządzany bezpośrednio przez dwór monarszy i nazwano go opriczniną; powołano zbrojnego wykonawcę zamierzonych reform, korpus opriczników.

Aha, znaczy że nie powiedział mój koleżka, świątobliwy ojciec, jak zabalowaliśmy wczoraj w Domu Kina. Nie złożył raportu w domu, gołąb mój przeczysty. Na baby widać później poszedł.

– Wpadłbyś do nas, nasmażę ci wieprzowych kotlecików z grzybkami, tak jak lubisz... I naleweczka porzeczkowa czeka na ciebie...

– Teraz kotlety, matko Galino? – spytałem złośliwie. – Drugi tydzień postu mija, o czym ty mówisz?

Galina pomyślała chwilę i nie zmieniając ani na jotę brzmienia głosu, powiedziała dobrotliwie:

– Kochaniutki, przecież to ty będziesz wieprzowinę, padlinę ohydną, grzeszne mięsiwo wcinać. A my tylko popatrzymy. My grzechu mieć nie będziemy, a tobie wszystko jedno.

– Och, Galina, to ja powinienem był się z tobą ożenić, a nie nasz świątobliwy ojciec. Ale dobrana by z nas była para – o-ooch!

– Za stara jestem dla ciebie, Pasza – skromnie zachichotała popadia. – Ty przecież lubisz wszystko co najmłodsze, cielęcinkę, prosięcinę... dziewczęcinkę... A ja już przy batiuszce dożyję swoich dni, jak Pan Bóg pozwoli.

Mają z Aleksandrem po czterdzieści lat. Czworo dzieci. Dom zapchany wszelkim dobrem po dach. Niby to starzy. Niby to pokorni. Niby to asceci. Jednym słowem – bojarzy z opery.

– Dobra, daj mi do telefonu swojego batiuszkę, z nim też chcę popoflirtować...

– A jak ja ci go mogę dać, Pasza! Popatrz na zegar: ojciec Aleksander południowe nabożeństwo odprawia. Dziś niedziela!

– O, do diabła... Całkiem zapomniałem! No jasne, niedziela... Znaczy tak, moja matko: jak tylko się pokaże, powiedz mu, żeby zaraz do mnie zadzwonił. Mam ważną sprawę...

– A co, pewnie znowu za granicę pojedziecie? – ożywiła się popadia.

– Pojedziemy, pojedziemy. Za granicę poznania... – i odłożyłem słuchawkę.

Wszyscy chcieliby za granicę. To po prostu jakieś szaleństwo. Mam takie wrażenie, że i obecni przywódcy chcieliby wyjechać za granicę – na te same stanowiska, ale za granicą. Zaczęło się to od czasów Chruszczowa, odkąd ten dureń z Kalinówki porąbał żelazną kurtynę na szczapy.

Czasami mi się wydaje, że jestem ostatnim patriotą tej ziemi. Ja bym za granicę nigdy nie wyjechał. Mnie i tutaj dobrze. Tam mi tak nie będzie. Tam rządzi mamona. Uczucia się nie liczą. Nie da się obłowić jak tutaj na głupcach i powszechnym burdelu. Tam liczą po niemiecku, każdy płaci za siebie. A u nas – wszystko wspólne. Wszyscy płacą za wszystkich, a zjadł tylko ten, co się ośmielił.

Nie, mnie zagranica niepotrzebna. Mogę się obejść importem. Rodzime brzoźki bliższe sercu. Mnie i tu dobrze.

Było dobrze. Do wczoraj.

Teraz nadciągają chmury. Wszystko ogarnia szara mgła.

Wykręciłem numer Rity Mołoczkowej. Przecież jest świadkiem *de visu* – na własne oczy widziała Palacza.

Długi sygnał.

– Ki diabeł? – odezwała się w końcu schrypniętym, zaspanym głosem.

– Bies Bezwstydnny! – odparłem błyskotliwie.

– To ty, Paszeńka? – ziewnęła Rita. – Niech cię cholera... Czemu nie śpisz, idioto?

– Z żoną się kłóczę od samego rana. A raczej ona ze mną.

Rita chrząknęła parę razy w słuchawkę, slychać było, jak pstryknęła tuż przy mikrofonie zapalniczka. Pali okropne kubańskie papierosy, czarne i śmierdzące. Zaciągnęła się i powiedziała ze współczuciem:

– Z tymi małżeństwami osób o przeciwnej płci same nieporozumienia i nieprzyjemności. Dla rozwiniętego duchowo człowieka jedyne wyjście to miłość homoseksualna.

– Tak, wyjście niezłe – uśmiechnąłem się. – Ale wejście nieszczególne.

Rita roześmiała się rozgłośnie, zaniósła ochryplym kaszlem i spytała z zadyszką:

– No to czego chcesz, diable rogaty?

– Pijawek. Żeby każda miała osiemnaście lat i ważyła tak z sześćdziesiąt kilo. Niech odciągną mi krew.

– Jeszcze czego! Moje pijaweczki zostaną przy mnie. Co to, własnych ci nie starcza? I w ogóle kłamiesz, nie po to zadzwoniłeś. Czego chcesz?

– Informacji. Twojego wyostzonego spojrzenia artysty. Kim był człowiek, którego wczoraj wyrzuciłem od stołu?

– Kiedy? – zdziwiła się Rita.

– Wczoraj. W knajpie.

Zamyśliła się, usiłując sobie przypomnieć, posapała w słuchawkę.

– Paszuta, to pewnie wtedy, jak myśmy już poszli... Nie pamiętam.

– Co ty gadasz, Rita? – wrzasnąłem. – Przecież sama go zwymyślałaś od palantów! Nie pamiętasz? Cały czas trzymał się blisko ciebie... Myślałem, że to jakiś wielbiciel twojego talentu. A ty go wyzwałaś od palantów. Pamiętasz?

– No to pewnie jest palantem, skoro go wyzwałam. Poeta ma bystre oko, słów na wiatr nie rzuca... A co cię to wzrusza? Jak go pogoniłam, to znaczy, że tam jego miejsce...

– Ale pamiętasz go?
– A skąd! Każdego śmiecia pamiętać... A po co ci on?
– Po nic – powiedziałem ze smutkiem. – Zwłaszcza w tej chwili.
– To pluń na niego i zapomnij.
– Dobra, plunę – obiecałem. I przypomniałem: – Ja mu wczoraj plunąłem w gębę.

– Komu?
– No, temu... Wczorajszemu... Znaczący, palantowi... – I pokonując opór, dodałem: – Palaczowi.

– Jakiemu znów palaczowi? Słuchaj, to jakieś idiotyzmy, nie przejmuj się tak – powiedziała Rita ze współczuciem i dodała: – Przecież fajny z siebie gość... Jakby interesowali mnie faceci, tobie pierwszemu bym dała...

I rzuciła słuchawkę.

Dzięki za dobre słowo. Całe życie marzyłem o takiej usmolonej kurwie.

Niedziela. Godzina dwunasta. Ojciec Aleksander odrabia końcówkę sumy, wierni z zapalem przysysają się do jego pulchnej rączki. Moja kędzierzawa Promienica – Solonyj – umówił się z jakąś pindą na śniadanie w Domu Literatów. Marina papie przez telefon ze swoją przyjaciółką-kretynką, już podwiązuje do swego gołego ogona puszysty pędzel, mutuje się ze szczura w wiewiórkę. Gdzieś tam krząta się wokół swoich małżeńskich spraw Majka. Zwawiej, zręczniejsię krzątaj, drogie dziecko! Ślub z cudzoziemcem to u nas krok poważny. O tak, poważny!

A co z jej mamuszką, pierwszą żoną moją ukochaną?

Staram się nigdy o niej nie myśleć, nie wspominać. I dopóki któraś z nich – ona czy jej córeczka – nie pojawi się, nie popatrzy na mnie tymi swoimi czarnymi, żydowskimi, przepastnymi ślepiami, nie wykrzywi się na mój widok z pogardy i nienawiści – zazwyczaj mi się to udaje. Nie myślę o nich – i cześć! Nie chcę – więc nie pamiętam. A im ich żydowska pamiętliwość spokoju nie daje. Same nie zapominają – i mnie zapomnieć nie dadzą.

Czy raczej nie zapomina Rimma. Majka prawie o niczym nie wie.

Bo dla Rimmy te dawne wspomnienia są tak nienawistne, tak straszne, tak wstydlive, że po dziś dzień nic Majce nie powiedziała. Po prostu tatuś twój, stwierdziła, niedobry się okazał, przestałam z nim żyć.

Wstyd – to wielka siła. Czasem może pokonać nawet strach.

No a ja, rzecz jasna, nie sprzeciwiam się. Ja całego tego poszukiwania prawdy ścierpieć nie mogę. Nie mam ochoty wspominać żalonych szcze-

głów tamtego przedwiecznego, dawno stającego życia. Teraz, po latach, trudno już się zorientować, kto z nas zawinił – Rimma czy ja.

Czy stary Lurie.

Nikt z nas nie zawinił. Zawiniło ówczesne życie, o ile w ogóle życie może być winne. Czy było słuszne, czy nie – bez sensu teraz osądzać. Przecież się go nie zmieni. I wtedy też nie można było go zmienić.

Nie można było go zmienić! Choćby dlatego, że wszyscy zaakceptowali wówczas swoje role. Rzecz jasna, mnie i Mińce Riuminowi nasze role podobaly się bardziej niż starem Luriemu – przydzielone mu emploi. Ale je zaakceptował. Tak samo jak zaakceptowali je w ów dawno zapomniany październikowy wieczór wszyscy ci eks-ludzie, siedzący na przyśrubowanych do podłogi taboretach w kątach niezliczonych gabinetów na piątym piętrze Wydziału, i starannie grali przydzielone im role wrogów narodu.

Swoich własnych wrogów.

Jedni już po pierwszym solidnym policzku przyznawali się do wszystkiego i wydawali swoich współników, nawet tych, o których po raz pierwszy usłyszeli na przesłuchaniu.

Inni wściekali się, sprzeciwiali do końca.

Ale nikt nie powiedział: „Świat oszalał, chcę umrzeć!”

Wszyscy chcieli stamtąd wyjść, wszyscy chcieli przetrwać w tym oszalałym świecie, zachować swoje żalosne życie.

Wszyscy. Zaświadczam. Każdy, kto na serio chciałby wtedy umrzeć, mógł to zrobić całkiem łatwo.

Ale to by było wyjście z roli. A wszyscy chcieli zagrać swoją rolę do końca: udowodnić funkcjonariuszowi, że organy się pomyliły. Każdy chciał dowieść, że jest krystalicznie czystym radzieckim człowiekiem, że bardzo mu się podoba to mroczne, pozbawione promyka nadziei życie, że jest ze wszystkiego zadowolony i będzie jeszcze bardziej zadowolony, jeśli tylko przestaną go bić i wypuszczą stąd. A jak nie – to żeby choć dali mniejszy paragraf, lżejszy zestaw przewinień.

Nikt nie rozumiał, że Mińki Riumina przebłagać się nie da. Że jest prawdę niezłomny, prawdę pryncypialny. I że najwyższa z jego niezłomych zasad polega na tym, że miał ich – absolutnie wszystkich – w dupie. Wszyscy jak jeden mąż tkwili w błędnym przekonaniu, że Mińka to człowiek, i oni – też ludzie, że zdołają mu wszystko wytłumaczyć, byle ich tylko wysłuchał. Do głowy im nie przychodziło, że z równym powodzeniem deski

mogłyby prosić cieślę, żeby ich nie heblował, nie piłował, nie rąbał, nie wbił gwoździ i nie ciskał nimi o ziemię.

Funkcjonariusz zła, cieśla przyszłego doskonałego świata Mińka Riumin ich nie żałował. I nie nienawdził. On ich po prostu nie uważał za ludzi. A potrzebni mu byli tylko do tego, żeby mógł zbudować swoją przyszłość.

Ach, jak wyraźnie pamiętam tamten dawny wieczór, kiedy wróciłem do Wydziału po rewizji domu w Sokolnikach i szedłem korytarzem wysłanym krwawoczerwonym chodnikiem, mijając niezliczone drzwi gabinetów śledczych. Oślepiającym żółtym światłem płonęły lampy na suficie, błyszczwały wypucowane mosiężne klamki, bezszelestnie przesuwali się jednakowi facci o szerokich barach, nieodróżnialni, podobni gwiazdkom na ich błyszczących pagonach. Czulo się już podniecenie rozpoczynającego się dnia pracy, albowiem dzień pracy zaczynał się tu o dziesiątej – jedenastej wieczorem, jako że ideę przewrócenia do góry nogami całego życia trzeba było doprowadzić do doskonałości.

Poruszaliśmy się w czasie wspak. Noc stała się dniem pracy, a dzień – nocą. Spalimy w dzień. Takie było życie. Tak żyliśmy.

Mińki Riumina, który zabrał ze sobą Luriego, nie było w gabinecie. Na pewno nie chciał przesłuchiwać starego sam, beze mnie, i poszedł do kumpli – poszwendac się po sąsiednich gabinetach.

A profesora – żeby zebrał myśli, przygotował się do poważnej rozmowy – wsadził do boks, ściennej szafy, pół metra na pół. Nie sposób usiąść, nie sposób się położyć. Można tylko stać na uginających się z napięcia, strachu i zmęczenia nogach. I szybko tracić rozeznanie czasu, miejsca i samego siebie.

Poszedłem więc szukać Mińki.

Krwistoczerwony chodnik, drzwi, drzwi, drzwi – jak w przedziale kolejowym. Nasz parowozie, rwij do przodu, komuna to nasz przystanek! Ekspres przekłeta przeszłość – miasto słońca relacji: Falanstery – Utopia – Moskwa. Z rzeczami – do wyjścia!

Otworzyłem drzwi do pierwszego przedziału, zapytałem:

– Riumin do was nie zaglądał?

Kapitan Katia Szugajkina zawołała:

– Właż, Paszeńka! Gdzieś tu się kręci, zaraz przyjdzie...

Katia lubiła, kiedy do niej przychodziłem. Lubiała ze mną rozmawiać, przyciskać się do mnie, niby to w żartach, częstować papierosami siewiernaja palmira, lubiała się poradzić, i zawsze proponowała, żebym u niej w ciągu

dnia przemocował. Podobałem się jej. Krzepka, jędrna dziewczucha o wesołej twarzy i wągrowatej cerze, niezmordowana w pieprzeniu się i piciu.

Spacerowała po gabinecie, kolebiąc nabitymi biodrami, autorytatywnie potrząsała koczkiem na karku i raz po raz wskazywała palcem smutnego Żyda o czerwonych od niewyspania i lez oczach, który przycupnął w kącie na taborecie:

– O, spójrz na niego, Paweł! Bezczelna morda... Jeszcze się odszczekuje! Co za naród, pieska wasza mać...

Do tej pory pamiętam jego nazwisko. Klubis. Zgodnie z dokumentami nazywał się Rubin Jankielewicz Klubis, ale, rzecz jasna, wszyscy znali go jako Romana Jakowlewicza. Komendant korpusu drugiej rangi-służb powietrzno-inżynierskich Roman Jakowlewicz Klubis. Kawaler orderów i laureat.

Przed wojną wymyślił nowy typ samolotu. Coś pośredniego między bombowcem a szturmowcem. Był zastępcą komisarza ludowego* przemysłu lotniczego. Czyli członkiem rządu. Sprytny był facet.

Sądząc chociażby z tego, że kiedy w trzydziestym dziewiątym zaczęli zgarniać wszystkich wojskowych i do jego gabinetu wkroczyła grupa operacyjna, z całkowitym opanowaniem powiedział im: jestem gotów, tylko mundur zdejmę, jakoś niezręcznie, powiada, żebyście mnie prowadzili w pełnym generalskim uniformie. A tamte gnojki, wszyscy w stopniu lejtnanta, stracili pewność siebie na widok generalskich naszywek i zgodzili się. Klubis przeszedł do położonego za gabinetem pokoju wypoczynkowego, skąd drzwi prowadziły prosto na korytarz.

Zanim się nasi połapali, zjechał windą na dół, wyszedł na ulicę, wsiadł do swojego osobistego zisa i kazał szoferowi zawieźć się na Dworzec Kazański. Chłopaki za nim – a jego już ani widu, ani słyhu. Na dworcu odprawił samochód i zadzwonił z automatu do domu – tak i tak, mówi, droga żono, zmuszony jestem na jakiś czas się ukryć, a ty nie martw się, czekaj na mnie. Przeszedł przez plac, wsiadł do pociągu i pojechał gdzieś pod Możajsk, a stamtąd w jeszcze większą głuszę, na kraj świata.

A tu tymczasem – sądny dzień! Naczelnik grupy operacyjnej Umrichin idzie pod sąd, u Klubisa w domu przez trzy miesiące zasadzka, podслушują telefon, przejmują całą pocztę. Ani słyhu, ani dychu.

I nic dziwnego! Gdyż zamieszkał Klubis we wsi, gdzie nie tylko telefonu nikt nie widział na oczy, ale nawet elektryczności jeszcze nie było. Przyszedł

* W nomenklaturze ZSRR odpowiednik ministra.

do przewodniczącego kolchozu, powiedział, że jest mechanikiem z kolchozu na Ukrainie, dlatego dokumentów nie ma, przed głodem się ratuje, po świecie wędruje, roboty szuka. Rzecz jasna, potrafił ten Rubin Jankielewicz Kulibin wszystko – i na ślusarce się znał, i na kowalstwie, i przegląd silnika w traktorze zrobił, i pompę naprawił... A do tego niepijący. No i żył sobie tu jak u Pana Boga za piecem.

Dopiero po roku wybrał się do Moskwy, zadzwonił do żony: żywy jestem i zdrow, wszystko w porządku, czekajcie na mnie, kochana rodzinko. I koniec rozmowy, i z powrotem na wiochę, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Tymczasem hałas ucichł, zapomnieli o nim. Jakiegoś innego generała zamiast niego, żeby rachunek się zgadzał, posadzili – i cześć!

Wybuchła wojna. Zmobilizowali kolchoźnika Rubina Jankielewicza, wysłali na front jako zwykłego żołnierzyka, w lichym szynelu, w onuckach. Ale takiemu zawsze się uda. Trafił, rzecz jasna, do jednostki inżynierskiej, obsługującej lotnisko, i od razu się okazało, że nikt nie kapuje tak jak on, jeśli chodzi o samoloty. W ciągu czterech lat ani jednego zranienia, osiem odznaczeń i stopień kapitana służb inżynierskich.

Wraca weteran w chwale na łono rodziny, do własnego domu, pod własnym nazwiskiem, z własnym ślicznym imieniem, zostaje kierownikiem wydziału w fabryce sprzętu lotniczego i żyje sobie śpiewająco – aż do przedwczoraj, kiedy to o godzinie trzeciej po południu na ulicy Kirowskiej, w sklepie z herbatą, spotyka się nos w nos z byłym kierownikiem grupy operacyjnej, obywatelem Umrichinem, który już swoje odsiedział, Umrichin złapał go za kołnier i zawłókł do Wydziału. Równo dziesięć lat później.

A teraz – od pojawienia się Palacza – trzydzieści.

Zapomnieć... Chciałbym, żeby wszyscy o wszystkim zapomnieli. Potrafimy się pogodzić. Ale... skoro ja pamiętam wszystko tak wyraziście, to znaczy, że są też inni, równie pamiętliwi. Ci, którym udało się zmienić rolę. I przetrwać.

Kati Szugajkinej nie udało się przetrwać. Umarła. Okropną miała śmierć.

Wtedy do głowy by jej nie przyszło, że i ona będzie siedziała w kącie gabinetu, na taborecie przyśrubowanym do podłogi. Na którym siedział teraz niezniszczalny Kłubis, żałośnie pociągając nosem. A Katia, hoża krwiożercza kobyła, stukwała obcasikami po gabinecie, od czasu do czasu podtykając mu kulał pod nos, i przygadywała ni to ze zdziwieniem, ni to z oburzeniem:

– Co za bezczelna morda! Jeszcze się odszczekuje...

Prawdę mówiąc, morda Rubina Jankielewicza bynajmniej nie była bezczelna w tym momencie. Może i była taka, kiedy z generalskimi rombami na błękitnych naszywkach siedział przy swoim ministerialnym biurku, albo kiedy przypinano mu medal Nagrody Stalinowskiej, albo kiedy dziadek Kalinin z brodą jak cap, nasza wszechwziązkowa marionetka, wręczał mu ordery.

Ale na tym przyśrubowanym do podłogi taborecie, w brudnym, podartym podkoszulku, nieogolony, z czerwonymi, jak gdyby zapłakаныmi oczami – był żalony, przybity i nieszczęśliwy. Już dowiedział się od Kati, że jest niemieckim szpiegiem, zwerbowanym w trzydziestym szóstym roku przez trockistów, który zorganizował spisek, mający na celu rozkład radzieckich sił powietrznych – do spółki z unieszkodliwionym już łajdakiem, któremu w swoim czasie dwukrotnie przyznano tytuł Bohatera Związku Radzieckiego, agentem Abwehry, byłym generałem Jakowem Smuszkiewiczem.

Pogodził się z tym. Już prawie zaakceptował swoją rolę.

I Szugajkina o tym wiedziała. Gdy tylko Kłubis próbował otworzyć usta, mówiła bez złości:

– Nie odszczekuj się, nie odszczekuj, ty ścierwo! Bądź mężczyzną! Umiałeś zdradzać – umieć się przyznać...

I groźnie potrząsała swoją napuszoną fryzurą. Kiedyś ubierała się przy mnie i, pękając ze śmiechu, odkryłem, że z tyłu głowy wkłada sobie puszkę po amerykańskich konserwach mięsnych. Porządną czerwoną blaszankę...

Kłubis usiłował wytłumaczyć, że jako Żyd nie mógł być agentem gestapo. Przecież był zastępcą komisarza – to po co Żyd na takim stanowisku miałby zostawać faszystowskim agentem?

A Katia odpowiadała: „nie odszczekuj się, nie odszczekuj” i podsuwała mu pięść pod nos.

Kłubis nie chciał uwierzyć, że wiruje w czerwonej blaszance po konserwie wieprzowej.

Dopaliłem papierosa i poszedłem. Nic ciekawego. Katia jest głupia, bez wyobraźni. Cały jej zapas zużyła na gry łózkowe. Takiego gościa jak Kłubis trzeba było przyfastrygować nie do rozstrzelanego generała, o którym dawno wszyscy zapomnieli, tylko do współcześnie działającego wrogiego ośrodka inżynierów syjonistów w fabryce imienia Stalina. O, to by była ciekawa gra! A tak – nic się z tego nie wycisnie. Za miesiąc dostanie czapę i cześć.

Również w sąsiednim gabinecie Miñki nie było. I tu nie działo się nic ciekawego. Śledczy Wasia Rakin bił nóżką od wiedeńskiego krzesła dyrektora sowchozu nazwiskiem Barszcz. Wasia już drugi tydzień robił sobie jaja w stołówce: „Ale człowiek ma szczęście – w dzień barszcz i w nocy Barszcz!”

Barszcz był niejadalny. Kościsty, chudy, cały z żył i ścięgien, siny ze strachu i nienawiści. Nienawidził obcych, rodziny, Wasi Rakina, władzy radzieckiej i bogatej zagranicy. Według mnie, krewnych i zagranicy nienawidził słusznie. Wasi i władzy radzieckiej – bo nie przemyślał sprawy do końca.

Gdzieś tam w Nowym Jorku, a może i w Kanadzie, zorganizowano wystawę na temat naszego przewspaniałego życia, pełnego niezwykłych zmian i zwalających z nóg sukcesów. Na jednym ze zdjęć dyrektor sowchozu Barszcz demonstrował coś związanego z rolnictwem – puch ze świni, czy mleko od kozła... W każdym razie zdjęcie zobaczyły jakieś kanadyjsko-amerykańskie Ukraince o tym samym pięknym nazwisku Barszcz. Zwiali tam jeszcze przed rewolucją. I tak się, łajzy, ucieszyli, że istnieje Barszcz uwarzony przez sowietów, że w nędzy swej i nieustającym zagrożeniu rujnacją zrzucili się i przysłali mu chevroleta. Niech, znaczy, Barszcz sobie nim jeździ i rodzinę swoją ukochaną dobrze wspomina.

Przebarszczyli Barszcze... Żeby jeszcze młockarnię przysłali albo kombajn czy inną tam snopowiązałkę – kit im w ucho! Przypomniano by, rzecz jasna, przy okazji naszemu Barszczowi ten smutny fakt podejrzanej szczodropliwości. Ale chevrolet! Całe naczelstwo okręgu, nie mówiąc już o rejonie, trzęsie się, w naszych gównianych, zdelowanych dryndach, pełnomocnik Wydziału pobiedą po rodzimych przysiółkach się telepie, a jakis tam Barszcz, zwykły kmiotek, cep – wiśniowym chevroletem?

Pieska jego mać, jak mawia Katia Szugajkina.

Trzeba było natychmiast chevroleta odebrać, a Barszcza wziąć w obroty. I teraz wszystkich nienawidzi, choć do związków z obcym wywiadem się przyznał. Ale innych agentów, hasła, szyfru i miejsca, gdzie zakopali radiostację, wydać nie chce. A Wasia Rakin ręce już sobie nadwerężył tą przy ciężką nogą od wiedeńskiego krzesła.

Z długą, wygiętą nóżką w rękach – jasnowlosy, zgrzany, z perkatym nosem i bezmyślnymi oczami, w których gorzał płomień zapалу – podobny był do znakomitego hokeisty Bobrowa, odbierającego trudne podanie.

A w kolejnym przedziale pisarz Tołkow opowiadał śledczemu Babicynowi kawały i obaj śmiali się wesoło. Pili słodką herbatę z ciastem Maria i na

wysokim, kopulastym czole Tołkowa lśniły przezroczyste krople potu. Panował tu klimat ugrzecznienia, życzliwości, niemal przyjaźni.

Tołkow był pięknym starcem. Męczennik, który odniósł sukces, psia jego mać... Tak, bo w gruncie rzeczy naprawdę odniósł sukces: przez ostatnie trzy lata pracował w łagrze przy krojeniu chleba jako starszy krojczy. A do tego czasu odsiedział raptem dwadzieścia dwa lata. I nagle wezwali go do Moskwy, żeby go podczepić do pewnej sympatycznej sprawy z cudzoziemcami – szykował mu się nowy wyroczek na jakieś dziesięć-piętnaście lat. Ale tym się pisarz nie trafił. Martwiło go jedynie, że przez ten czas, gdy wożą go z miejsca na miejsce w związku z tymi wszystkimi sprawkami, przepadnie mu na zawsze jego ciepłutkie miejsce w łagrze. Wszelako Babicyń przykładał dłoń do serca i przysięgał na godność czekisty, słowem bolszewika się kłął, że wróci Tołkow na swoje miejsce w łagrze, nadal będzie kroić chleb, byle tylko uczciwie, otwarcie i szczerze dostarczył śledztwu dowodów w sprawie, o której zaraz wszystkiego się dowie.

Niewątpliwie w tej inscenizacji wszyscy dobrze odegrali swoje role, bo po dwudziestu latach spotkałem Tołkowa na wolności. Był w komisji do spraw członkowskich Związku Pisarzy, gdzie złożyłem podanie o przyjęcie. On mnie, rzecz jasna, nie pamiętał. Nic dziwnego, przecież tamtego wieczoru nic konkretnego nie robiłem, po prostu szukałem Mińki, który gdzieś się zapodział. A on myślał o tym, że tak głupio może stracić stanowisko krojczego.

Chwała Bogu, że mnie nie zapamiętał. Jeszcze by nie zechciał mnie przyjąć. O kochanym Babicyń chciałby się czegoś dowiedzieć. A co bym miał mu powiedzieć o Babicyń? Żyje sobie pomalutku, zdrowie jako tako, rzodkiewkę na sprzedaż hoduje, emeryt, żyje cicho, spokojnie, do wszystkich się uśmiecha.

Łącznie odbębnił Tołkow, pisarz od krojenia chleba, dwadzieścia dziewięć lat i trzy miesiące. Drugi hrabia Monte Christo... Szkoda tylko, że opat Faria znalazł się w innym łagrze. Trzeba się teraz zadawałać emeryturą specjalną w wysokości stu dwudziestu rubli, trzykrotnie wyższą od normalnej. No i, ma się rozumieć, dwupokojowe mieszkanie mu dali.

A za sąsiednimi drzwiami lekarz z Białegostoku nie chciał zaakceptować swojej roli, chociaż przekonywano go bardzo usilnie. Został zaarrestowany pod zarzutem, że jest Polakiem. Lekarz częściowo zgadzał się ze stawianymi mu zarzutami – nie kwestionował swego pochodzenia, ale sprzeciwiał się, jakoby miało to znamiona przestępstwa.

Okrwawionymi, bezzębnymi ustami ryczał wściekle:

– Psiakre-ew!

Potem był chłopak, ósmoklasista, gamoń, tuman nieszczęsny. Przyniósł do szkoły luk, Wilhelm Tell zasrany, a teraz z płaczem przekonuje, że strzała trafiła w portret towarzysza Stalina, w samą pierś, całkiem przypadkowo. Jak można przypadkiem, nie celując, trafić wodza w pierś?

Matka gówniarza padła na kolana przed śledczym Pierieplotczikowem i bezsilnie zawodziła:

– Kochanieńki mój, gołąbeczku, łaskawco, do śmierci będę się modlić za ciebie, puść go, a toć on bez złego zamiaru, z głupoty tylko, jak to dzieciak, niechcąc trafił, nie podniósłby ręki naumyślnie, jakże to – toć jakby w ojca rodzonego celował, toć Józef Wissarionowicz ojcem jedynym nam jest, naszego na froncie zabili, oprócz chłopaczka tego nikogo nie mam, jako sprzętaczka w dwóch miejscach pracuję, nie widuję go, nie ma kto go w bojaźni rodzicielskiej chować, no i dokazuje odrobinę, ale poza tym cichy, spokojny, przebacz nam, na rany Chrystusa, dobroczyńco nasz łaskawy...

Łaskawy dobroczyńca Pierieplotczikow posępnie kiwał głową, mówiąc ze smutkiem:

– Nie, nie wywiązaliście się ze świętego matczynego obowiązku, nie wychowaliście go na patriotę. Nawet do Komsomołu się nie zapisał, tak czy nie?

– Mileńki, a toć on dopiero miesiąc temu piętnaście lat skończył...

– No to co? My w jego wieku na frontach ginęliśmy, w podziemiu walczyliśmy – westchnął z goryczą Pierieplotczikow, który jednakowoż, na szczęście, nigdzie nie zginął. – Nie, nie możemy wam powierzyć dalszego wychowywania syna...

No tak, sprawa jasna: dostanie chłopak piąta. Wychowają go u nas, przygotowują do walki w podziemiu...

Obok za ścianą milczał boleśnie znakomity lotnik wojskowy. Nie pamiętam już dokładnie: jakiś Kaki-naki czy tam Natie-kaki. Oblatywacz, bohater. Mamy ostatnio urodzaj na lotników. Ech wy, lotnicy myśliwcy... Dziwna to prawidłowość: im bardziej waleczny gość na wolności, im wyżej i śmieiej latał – tym cichszy i bardziej przygnębiony był u nas, tym szybciej godził się na nową, tak nieprzyjemną dla niego, gorzką rolę.

Może dlatego nasze orły tak lubiły zestrzeliwać stalinowskich sokołów?

A w ogóle to najlepiej trzymali się u nas chlopi. Szczególna nacja, dziś już całkiem wymarła, niczym Babilończycy. Albo starożytni Egipcjanie.

Nigdy donikąd nie latali. Nie było skąd spadać. I cierpieli z godnością, i umierali spokojnie. Twardo.

Zresztą nieważne, jak się umiera. Ważne, jak się żyje. A żyć trzeba dobrze, przyjemnie. I rozważnie. Tak, żeby samemu rozdawać role, a nie przyjmować je od Mińki Riumina, który szedł naprzeciwko mnie korytarzem, wycierając zatłuszczone usta kwiecistą chusteczką, obficie skropioną wodą kolońską Krasnaja Moskwa...

Czegoś ty się do mnie przyczepił, Palaczu? Czego ode mnie chcesz? Powinieneś zrozumieć, że my nie mieliśmy tam żadnego wyboru. Byłem zaledwie jednym z niezliczonych koni w kieracie, które, nie znając kierunku ni celu swego ruchu, miały rozkręcić oś historii w przeciwną stronę. Wszyscy razem...

Wtedy jeszcze nie miałem słownika wyrazów obcych, żeby użyć mądrej łacińskiej sentencji: *audi, vide, sile* – słuchaj, patrz, milcz. Jednak już wtedy to rozumiałem, bez jakichkolwiek słowników i nieboszczyków Rzymian. Po radziecku.

Słuchaj. Patrz. Milcz.

Mińka szedł z bufetu, zadowolony z życia, syty i leciutko pod gazem, znacząco marszcząc jasne brwi w swoim mądrym obliczu. Głupi ludzie nierzadko miewają mądre oblicza. Pewnie dlatego, że myślenie przychodzi im bez trudu.

Zobaczył mnie, uśmiechnął się i krzyknął:

– Cześć-cześć, jajca gnieść!

W głowie ma ciemność. Lekko tylko rozcieńczoną jakimiś sprośnymi idiotyzmami.

– Gdzie się włóczysz? – spytałem ze złością.

Choć i tak było to jasne. Mińka kochał tylko dwie rzeczy: żarcie i władzę. Jeśli nie było go u siebie, oznaczało to, że albo kręci się w pobliżu gabinetów szefostwa, albo żre w bufecie.

– No co, nie myślałem, że tak szybko będziesz z powrotem. Przecież wpadła ci w oko ta Żydóweczka, nie? Widziałem, widziałem...

Zarechotał ze smakiem i pomachał mi przed nosem swoim słynnym breloczkiem. Breloczek był fajny: człowieczek z brązu z ogromnym, sterczącym członkiem. Kiedy w czasie przesłuchania Mińka wpadał w ferwor, ścisnął człowieczka w pięści, tak by członek wystawał spomiędzy palców na centymetr, i uderzał nim jak kastetem. Jeśli po twarzy – nie zabijesz, ale dziurki w policzkach i wargach goją się bardzo długo.

A poza przesłuchaniami Mińka rozśmieszał nas swoim zabawnym breloczkiem. Funkcjonariuszki i maszynistki laskotał w rękę ciepłym członkiem brązowego ludzika i pytał z ciekawością: „podnieca?” Chichotały nasze dziewczyny, odpychały go dobrodusznie, a on mrugał do mnie: „ciebie baby lubią za urodę i spryt, a mnie – za bezpośredniość i humor!”

Ogólnie biorąc, miał rację. Mińka był człowiekiem bez fochów. Na jego prostej, zażywnej twarzy wypisana była gotowość, by zrobić dowolne świństwo za najskromniejsze wynagrodzenie. Nawet z dziwkami zadawał się jakoś bez przekonania. Zadowolenie, jakie z nich czerpał, nie wpisywało się w dwie jego główne życiowe namiętności: dziwka nie mogła być szefem, a i zjeść jej też raczej się nie dało.

Mińka otworzył gabinet, zapalił światło, statecznie zasiadł przy swoim orzechowym biurku, bez pośpiechu wybrał numer wartowni i polecił, by doprowadzić aresztowanego.

I niepostrzeżenie uszły z niego resztki tego, co ludzkie: z jednej strony był syty, z drugiej – dla doprowadzanego z boksu byłego profesora Luriego on sam był przecież teraz najważniejszą na świecie władzą.

– Zaczyniesz przesłuchanie? – zaproponował przez grzeczność.

Nie, nic nie zrozumiał, nie skojarzył, nie zwrócił uwagi na to, że nie usiadłem, jak zwykle, obok biurka, tylko odszedłem na bok i przysiadłem na krawędzi parapetu.

Pokręciłem odmownie głową, co w pełni go zadowoliło, albowiem wstępował wtedy w gwiazdny czas swego życia. Jak kiepski aktor, całym sercem oddany scenie, widział w swojej epizodycznej roli nieistniejący sens, wyciskał podtekst z nienapisanej jeszcze sztuki o nim samym, o Mińce-Szefie. Ani przez moment nie zastanawiał się nad tym, że jeśli roboczy dzień staje się roboczą nocą, jeśli czas porusza się wspaniale, jeśli najmniej istotną wartością na tym świecie staje się ludzkie życie, to i sztuka o Szefie jest tylko instrukcją wykorzystania kieratu do odkręcenia osi bytu w przeciwną stronę.

Patrzyłem przez okno na pustawy plac Dzierżyńskiego. Niczym ryby przełykały w głębi samochody, mętnie mrugając światłami. Przygaszono oświetlenie uliczne. Spod lukowatego sklepienia metra wypływały ostatnie wątle strużki pasażerów, nad którymi złowieszczco, niczym świeżo posiekane mięso, jarzyła się litera M.

Na Wieży Spasskiej kuranty wydzwoniły kwadrans. Za kwadrans dwunasta. Dla Luriego kończy się ostatni dzień życia na wolności. Pierwszy dzień

długiej, niewątpliwie ostatecznej niewoli. By stać się wolnym, musi narodzić się jeszcze raz. Wcielić się w coś innego. W ptaka, w drzewo, w kamień. Być może w Mińkę Riumina. Ciekawe, czy stary Lurie chciałby stać się Mińką Riuminem?

Sięgnąłem ze swego parapetu do głośnika, włączyłem go, i gabinet wypełniły rzewne pienia siostr Izchneli. *Czemo cici natela...* – zawodziły śpiewnie, głębokimi, niskimi głosami.

Mińka na poły niecierpliwie, na poły w zadumie postukiwał palcami o blat biurka. Krótkie, krzywo obcięte paznokcie nieprzyjemnie zgrzytały w zetknięciu z papierami. *Sichwaruli... Sichwaruli...* – piała słodko gruzińskie siostrzyczki świetlanej pamięci cara naszego Heroda, wielkiego naszego koryfeusza Bossa. A kiedy, zachłystując się nieśmiała namiętnością, zaśpiewały *Suliko*, otworzyły się na oścież drzwi i konwojent wprowadził starego Luriego.

Przenikliwie, falsetem Lurie krzyknął:

– To samowola! Bezprawie! Ja leczyłem towarzysza Mołotowa i Mikoja-
na! Żądam, by umożliwiono mi zatelefonowanie stąd do towarzysza Mołotowa!

Stojąc dwie godziny w boksie, zdołał wymyślić tylko tyle. Zebrał na progu ostatnie siły i krzyknął. Zmącił nastrój *Suliko*.

Siostrzyczki Izchneli przycichły na moment, ale jemu starczyło sił tylko na ten jeden okrzyk, i znów głośno, majestatycznie podjęły pienia ponad jego głowę. Obaj z Mińką milczeliśmy. Ja siedziałem na parapecie, a Mińka zaczął się prostować, unosić, wznosić nad swoim ciężkim orzechowym biurkiem jak burzowa chmura. I sam jego widok uświadomił Luriemu, że nie powinien zagłuszać słodkiego zawodzenia siostr Izchneli, których artyzm tak ceni nasz wielki Wódz. A może stracił głos, gdyż dokończył ochryłym szeptem:

– Proszę umożliwić mi zatelefonowanie do ministra zdrowia.

Zaszczutym wzrokiem rozejrzał się po gabinecie, jakby chciał ustalić, czy jest tu gdzieś telefon, i zaczął grzecznie zdejmować w kącie swoje staromodne kalosze, uświadomiwszy sobie, że znajduje się w miejsku urzędowym.

Mińka wyszedł zza biurka, majestatycznie przedefilował do drzwi i spytał lodowato:

– Jakie jeszcze będą prośby?

I, nachyliwszy się ku Luriemu tak, że dzieliły ich centymetry, popatrzył mu prosto w oczy.

A stary uczeplił się tego idiotycznego telefonu, jakby był podłączony bezpośrednio do świętego Piotra.

– Chciałbym zadzwonić... powiedzą wam... zrozumiecie...

Mińka, postępując, schylił się, podniósł z podłogi jeden z profesorskich kaloszy, podrzucił go, oceniając jego ciężar w ręce, niczym doświadczony gracz – kij do palanta, i nadszpedzanie szybko – tylko mignęła czerwona podszewka – wyrznął Luriego kaloszem w twarz.

Cisnął kalosz do kąta, z odrazą otrzepał dłonie, nachylił się nad leżącym na podłodze starcem:

– Są jeszcze jakieś prośby?

Lurie ostrożnie otworzył oczy, przeciągnął ręką po twarzy, i ze zdziwieniem patrząc na czerwoną dłoń, powiedział zmieszany:

– Krew? Moja krew?

Wyglądał na bezgranicznie zdumionego. Zasłużony pracownik nauki, członek Akademii Nauk, profesor medycyny Lurie dokonał największego odkrycia w swoim życiu: człowiekowi można upuścić krwi nie poprzez przystawienie pijawek, nie za pomocą narzędzi chirurgicznych, lecz... kaloszem. Brudnym kaloszem, bijąc nim po twarzy.

Z nosa, z kącika ust ściekały mu strużki ciemnej, gęstej krwi, pelzły czarnymi, rozmazanymi potokami po koszuli i klapach popielatej marynarki. Spróbował podnieść się na czworaki, wsparł się na rękach, ale znów upadł, i na żółtym jak jajecznica dębowym parkiecie od razu pojawiła się brunatna, lepka kałuża.

Mińka z niezadowoleniem potrząsnął głową, złapał profesora za chude kostki i przewłókl ździebko po podłodze – przez kałużę, podobną do podszewki wyrwanej z wnętrza kalosza, którym tak skłładnie wyrznął Luriego w jego żydowską mordę.

I przygadywał, burczał ze złością:

– Co mi tu podłogę brudzisz... cały parkiet mi zaświniłeś...

Po czym chwycił go mocno za kołnierz, podniósł, potrząsał przez chwilę w powietrzu i jednym ruchem, jednym sprawnym rzutem cisnął go na przyśrubowany w kącie gabinetu taboret. Starzec czy to zemdlął, czy obezwładniło go przerażenie, ale w całej jego postaci – w nieruchomej pozie, w zalaną krwią bródce, w półprzymkniętych powiekach – było coś, co przypominało skazanego na zarznięcie koguta. Nieuchronność zagłady.

Audi, vide, sile.

Mińka Riumin, sapiąc, nieco zmęczony pracą fizyczną, wgramolił się z powrotem za biurko. Widziałem, że jest bardzo zadowolony z efektownie ro-

zegranego wstępu. Milczeliśmy. Ciche pochlipywania starca, chrypienie poprzez zatłoczone krwawymi smarkami nos, zlewało się z namiętym, czułym zawodzeniem gruzińskich siostrzyczek.

Potem Lurie z wysiłkiem uchylił ciężkie powieki i niezdecydowanie, jak gdyby w malignie powiedział:

– Mam dwa Ordery Lenina...

Dlaczego to powiedział? Może chciał się zamienić z Mińką na jego Medal Za Zasługi Bojowe? Nie wiem. A Mińka nawet nie miał ochoty się nad tym zastanawiać. I zamienić się nie zamierzał – wiedział przecież, że niedługo zarwie własne ordery.

– Nie „mam”, tylko „miałem” – roześmiał się z tej starczej głupoty. – Jużemy je zatrzymali przy rewizji. Ojczyzna za zasługi daje, a za zdradę odbiera. I nie ma co się tu chwalić byłymi zasługami...

Ojczyzna – to Mińka. My wszyscy. Kalinin dał, Mińka zabrał.

– A o co jestem oskarżony? – nikłym, sepleniącym głosem spytał Lurie.

– O działalność dywersyjną. Nie chcecie się przyznać do winy? Szczerze i otwarcie?

– Przyznać się do winy? Szczerze i otwarcie? – lękliwie rozłożył ręce Lurie. – Przecież jestem lekarzem, jaką ja mogę się zajmować dywersją?

Mińka otworzył leżącą przed nim teczkę, zmarszczył białe, świńskie brewki, groźnie wbił w Luriego swoje mądre spojrzenie i wyrecytował:

– Jesteście oskarżeni o to, że mając na celu likwidację kadr kierowniczych, wkradliście się do kierownictwa kliniki urologii i świadomie stawialiście nieprawidłowe diagnozy, własnoręcznie wycinaliście zwracającym się do was o pomoc pracownikom partii i rządu zdrowe nerki, jakoby nie dysponując innymi możliwościami leczenia...

Lurie zachwiał się na taborecie, wyciągnął przed siebie brudne, umazane krwią dłonie, jakby Mińka znowu zamachnął się na niego kaloszem.

– Przestańcie... – poprosił. – Strach tego słuchać... ja chyba oszalałem... to nie dzieje się naprawdę...

– Strach słuchać? – Mińka zaśmiał się dobrodusznie i nachyliwszy się, spytał cicho, złowieszczo: – A wycinać ludziom zdrowe nerki, okaleczać ludzi zajmujących odpowiedzialne stanowiska nie było strach? Mielicie nadzieję, że was nie nakryjemy? Że się nie zorientujemy?

– Mówicie jakieś potworne rzeczy! – zebrał siły Lurie. – Lekarz nie może świadomie szkodzić pacjentowi! Przecież składał przysięgę Hipokratesa!

Na tak oczywisty idiotyzm Mińka po prostu zatoczył się ze śmiechu. Słowo daje, żeby coś takiego wymyślić – przysięga Hipokratesa!

Cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha, cha!

Aż łzy mu z oczu pociekły.

Otarł je chusteczką i zapytał:

– A nazistowscy lekarze-mordercy, którzy operowali w obozach koncentracyjnych? Oni też składali przysięgę Hipokratesa?

– Oni nie są ludźmi – nieoczekiwanie twardo powiedział profesor. – Zostali na zawsze przeklęci przez wszystkich lekarzy świata!

– No i was tak samo przeklną wszyscy uczciwi lekarze radzieccy! – Mińka wymierzył w Luriego palec wskazujący. – Dla radzieckiego lekarza wasza zaszra przysięga Hipokratesa to tyle co splunąć i rozetrzeć! Dla radzieckiego lekarza może być tylko jedna prawdziwa przysięga: na wierność partii i towarzysowi Stalinowi! Bo ze swoim głównianym Hipokratesem zawsze jesteście zdolni do uknuć spisku przeciwko narodowi...

No cóż, kiedy Mińka jest w formie, to nawet nie jest taki głupi. Chwacko załatwił profesora. Nie prowadzimy tu przecież dysputy naukowej, w której potrzebne są dowody i argumenty. U nas trzeba z miejsca przekonująco pokazać, że całe dotychczasowe życie niewarte jest nawet kopiejki, że czarny odmęt nocy – to jasny dzień roboczy, że jutro nastanie wczoraj, że Hipokrates uwielbiał wycinać zdrowe nerki, że oś czasu kręci się w przeciwną stronę.

Do Luriego najwyraźniej zaczynało to docierać. Siedział skulony, z opuszczoną na pierś siwą głową, świszcząc krwawymi skrzepami w nosie.

– To co, będziemy się bawić w głupiego Jasia? – spytał Mińka. – Czy zaczniemy powolutku zrzucić kamień z serca? Dokładniej mówiąc, wyciągać go zza pazuchy.

Lurie podniósł głowę, długo patrzył na nas, po czym, zwracając się do mnie – być może dlatego, że nie opowiadałem mu o nerkach i nie biłem go kaloszem po twarzy – zaczął powoli mówić:

– Istnieje coś takiego, jak choroba Biechtieriewa. Z powodu deformacji kręgosłupa człowiek może stać tylko zgięty, próba wyprostowania się wywołuje ostry ból. Nazywa się to pozycją petenta. I wydaje mi się, że wy chcecie wszystkich ustawić w pozycji petenta... Ale nie zdążycie... Ja do tego czasu umrę...

– A pozostali? – spytałem z ciekawością.

Z uwagą popatrzył mi w oczy, pokiwał głową:

– Wszystkie przestępstwa świata biorą się ze złudnej nadziei uniknięcia kary. Was, młodzi ludzie, okłamano, wpajając wam przekonanie, że czło-

wieka można bić kaloszem po twarzy czy wycinać mu zdrowe nerki. Was też zabiją... Po to, żeby ukryć to straszliwe kłamstwo...

I gorzko, jak dziecko, zaszlochał.

A Mińka, pojawiwszy wreszcie słowa Luriego, cisnął w niego marmurowym przyciskiem. Chrupnęły żebra i starzec spadł z taboretu...

Dzwonek. Dzwonek. Dzwonek.

Dzwoni telefon. Tu, na moim stole. Po trzydziestu latach. W Aeroporcie, z którego nie ma wylotu. Oszukał mnie stary – nie dałem się zabić. Zabili tylko Mińkę.

A do mnie przyszedł Palacz. Dzwoni telefon.

Halo, nie ma mnie w domu, jestem tam, daleko, w Wydziale, trzydzieści lat wstecz.

Nie, to archimandryta ojciec Aleksander mnie znalazł. Chichotał dobrotliwie po tamtej stronie drutu, cieszył się, coś tam opowiadał, odprężony, zadowolony z życia, różowutki, tłuściutki.

– ...nie, mimo wszystko świetnieśmy się wczoraj zabawili! – Uchwyciłem koniec zdania.

– Tak, było bardzo przyjemnie – zgodziłem się.

– A po co dzwoniłeś do mnie rano?

– Tak sobie, chciałem się dowiedzieć, jak ci leci. – Postanowiłem o nic go nie pytać. Jeszcze mnie uznają za schizofrenika.

– Aha. – Odpowiedź w pełni zadowolili popa. – Słuchaj, dzisiaj po sumie podszedł do mnie w świątyni jakiś dziwny człowiek...

– To znaczy?

– No, dziwny! Strasznie chudy, jasny blondyn, w oczy nie patrzy... W szkolnym mundurku! I poprosił mnie, żebym przekazał ci liścik...

– Spal go.

I butelka na stole już prawie pusta – whisky zostało ledwie na palec. Nieźle! Przecież napocząłem ją całkiem niedawno. I wyłączyłem się na długo. Na całe trzydzieści lat.

Trzeba się jeszcze napić. Czad w głowie...

6. Ty i ja, my oboje

Dobrze by coś wypić. Woda – to piąty żywioł. Najważniejszy. Zawiera w sobie wszystkie pozostałe. Jedyna ostoja w niepewnym świecie. Gaz, bez którego powietrze składa się wyłącznie z azotu. Płyn, zdolny zrosić popielisko duszy. Jedyny ogień, który jest w stanie nas ogrzać.

Trzeba by coś wypić.

Czegóż to nie nawymyślali pisarze-fantasty na temat innych światów! A takiej prostej rzeczy, głupki, nie potrafili sobie wyobrazić:

– butelka wódki – to mała cudowna rakieta, wypełniona po szyjkę czaro-dziejskim paliwem. Nie zna władzy czasu, przestrzeni, ziemskiego przycią-gania, uwalnia od strachu, biedy, odpowiedzialności;

– butelka wódki – to lot ku wolności, gwarancja natychmiastowego szczęścia;

– cały naród leci w zielonkawych, mętnych raketach. Dokąd? Co nas czeka tam, na końcu lotu – końcu dłużącego się dziesięciolecia? Gdzie wy-lądujemy?

Na lądowisku sygnalizuje, wymachuje chorągiewkami, wita podróżnych
Palacz.

Bezwarunkowo trzeba się zaraz napić. Niedziela. Środek dnia. Pusty czas. Wieczorem przyjdzie Majka ze swoim narzeczonym z Topnika czy z Koe-penick. Co za różnica...

Oczekują ode mnie odpowiedzi, głupcy, nie zdając sobie sprawy, że ja nie mogę odpowiedzieć: sam nie wiem bardzo wielu rzeczy. Ten i ów wie u nas to i owo. Parę osób na ćwierć miliarda wie dosyć dużo.

Wszystkiego nie wie nikt. Ci, co wiedzieli, umarli, zostali skazani, ulecie-li w zielonych raketach.

Zresztą nikomu to nie jest potrzebne! Kto próbuje wygrzebać tak zwaną prawdę z góry krwi i błota? Mądrzy intryganci i głupi idealisci. Rozrywki *ad vulgus* – żeby przypodobać się motlochowi.

Trzeba natychmiast coś wypić. W domu na pewno nie zostało ani kropli.

Trzeba wypić i zapomnieć o tych kretyńskich pytaniach. Przecież absurd polega na tym, że wszyscy ci niedawni ciekawscy, którzy ujrzeli skrawek strasznej prawdy, wstrząśnięci są niebywałymi rozmiarami popełnio-nych zbrodni. A przecież to bzdura! Iluzja! Wszystko to już było. W ludz-kiej historii było wszystko!

I przeważająca większość społeczeństwa bynajmniej nie upoważniła cię-kawskich do tego, by szukali prawdy. Oni w głębi duszy wcale prawdy nie pragną. Ludzie nigdy nie chcieli – a dziś nie chcą tym bardziej – myśleć o tym, co nieprzyjemne, denerwować się tym, co bolesne, pamiętać o tym, co straszne. I wszystko to pośpiesznie odsuwają od siebie, skwapliwie odwracają uwagę i ochoczo zapominają.

Powiedzmy, że ktoś pamięta o przeszłości. Tak jak ja pamiętam. Ale bynajmniej nie wynika stąd, że trzeba ze mnie wywlekać i podsuwać wszystkim pod nos cuchnące gnojem pomyje. Wybroczyny ludzkich namiętności.

Tak, tak! Pamiętam. Pamiętam!

No i co z tego? Malo to rzeczy pamiętam?

Pamiętam siebie wczorajszego. Pamiętam, co było trzydzieści lat temu. Co było czterysta lat temu. Galopowałem na wielkim gniadym ogierze. W krótkiej czarnej riasie, włożonej na koczugę. A do siodła przytroczony miałem psi czerep i miotłę.

Tylko imienia swego ówczesnego nie pamiętam. A, nieważne!

Na pewno wykielkowaliśmy na Rusi w tamtych czasach. Tylko nazwa nieco się zmieniała. Jak moje imię.

Opricznina. Opricz państwa, opricz kościoła, opricz praw.

Opricz znaczy: oprócz wszystkiego, poza wszystkim.

Niezależnie od kogokolwiek, ponad ludźmi, nie bacząc na pokrewieństwo, w oderwaniu od szacunku, miłości, dobra. Specjalni Wojownicy, Specjalna Ochrona Prześwietego Monarchy – Iwana Groźnego, jego Oddział Specjalny. Wydzielony z narodu.

Nie odradzamy się w nowym życiu jako kwiaty, ryby, dzieci.

Odradzamy się jako ci sami, którymi byliśmy w przeszłym życiu.

Ja byłem – bardzo dawno temu – opricznikiem, karzącym mieczem władzy. Możliwe, że i wtedy nazywałem się Chwatkin. A może – Maluta Bielski, Griażnyj czy Basmanow*. Ale to bez znaczenia.

Mój odwieczny los – to bycie członkiem specsłużb. Węsz, sobaczy czerepie! Wymiataj, żelazna miotło! Wszystkich! Obcych, a jeszcze lepiej – swoich! Kręć się, oszalały młynie – przecież krew cię napędza! Więcej krwi – drobniejszy przemiał!

Bij wszystkich!

Opricz Wielkiego Bossa.

* Maluta Bielski, Griażnyj, Basmanow – postaci z otoczenia Iwana Groźnego.

Poszukiwany:

Wielki Monarcha Iwan Groźny, onże – Soso Dżugaszwili, onże – Dawid, onże – Koba, onże – Nizeradze, onże – Czizikow, onże – Iwanowicz, onże – J.W. Stalin...

Cechy:

krępy, rudy, dziobaty, na lewej nodze „diabelskie zamię” – zrosnięty czwarty i piąty palec...

Znaki szczególne:

gorąco kochany, ubóstwiany przez miliony poddanych.

Mogę wam wyjawić pewien sekret. Ćśśś! Tylko wam! I nikomu poza tym ani słowa!

On jest zakopany w dwóch miejscach. Stare ciało – pod ołtarzem Soboru Uspieńskiego na Kremlu. A to nowsze – przy wejściu do mauzoleum, koło tylnych drzwi, pod ścianą.

Tylko nie lećcie odkopywać. Znajdziecie zbutwiałego kościotrupa i znowu przyjdziecie do mnie z pytaniami: a gdzie Alba, gdzie Borgia, gdzie Tamerlan, gdzie Attyla, gdzie Kaligula? A gdzie, do diabła, Herod Wielki?!

Nie odpowiem wam. Skąd mam wiedzieć? Nie jestem już stróżem gospodarzy moich.

Chcę się napić. Potrzebna mi jest jednoosobowa szklana rakieta. Muszę ulecieć w piąty żywioł. Zanurzyć się w piątym wymiarze. Pogrążyć się z głową w kwintesencję życia.

Boże, co za głupoty! Ileż to bezsensownych słów ludzie nawymyślali.

– Marina! Jest w domu coś do picia? – wrzasnąłem.

Coś tam zawarczała za drzwiami, zasyczała, zaświstała przez nos – i zamilkła. Niczym padły w kwiecie wieku odkurzacz.

Czort z nią, z tą zarazą.

Ale to mimo wszystko niesprawiedliwe: piękną Helenę, przyjaciółkę Tezeusza, wdowę po Parysie i Menelaosie, udusili w końcu liną z włosia, powiesili za nogi, jak Mussoliniego. A moja gadzina ciągle żyje! No nic, jeszcze i dla ciebie, klocku nieociosany, nastanie dies irae, doczekasz się dnia gniewu, padlino.

Gdzie są jakieś suche skarpetki? Och, co za porządek... Pójdę do tej przeszklonej kawiarni, na róg. Tam bufetowa sprzedaje wódkę spod lady – porządnym ludziom.

Pora wyjść na ulicę, zanurzyć się w zgrozę tego zgniętego marca, niespełnionej mokrej wiosny. Potem znów będzie brudny luty, przechodzący od razu w listopad. Pory roku będą się zmieniać jak rewolucje.

Pustynne schody, dymne słabe światło. I złapałem się na tym, że rozglądam się na boki – szukam listu od Palacza. Nasłuchuję: czy z niszy za windą pożarową nie dobiega jego sapanie?

Cicho. Osłabłem jakoś – czekając na windę, przywarłem do ściany, żeby utrzymać równowagę. Głowa ciężka, jak batyskaf zanurzający się w falach. Wreszcie winda połknęła mnie i długo wiozła w dół, mruczając i poskrzypując linami.

A Tichona Iwanycza – stróża mojego wologodzkiego, z rodu Steinerów z Meklemburgii – nie było na stanowisku. Poruszając się w czasie, zmieniamy nie przestrzeń, lecz wygląd i imię. Upiory, wcielające się w ludzi.

Śpi Tichon Iwanycz w swoim mieszkaniu, podobnym do wartowni, sił nabiera. W przedpokoju zamiast wieszaka stoją ustawione w kozioł karabiny. Musi odpocząć, żeby pod wieczór wydać sobie samemu komendę „do broni!” i zająć stanowisko przy naszym wejściu, które głupi mieszkańcy uważają za frontowe, ale Tichon przecież dobrze wie, że to tylko przed-zonnik, posterunek strażnika. Rano ich stąd wypuścił, niestety nie jako porządną kolumnę po pięciu w szeregu, z wyszkolonymi pieskami na flankach, tylko jako niechlujną, rozproszoną kupę, jakby byli jakimiś wstrętnymi wolniaczkami. Ale za to choć wieczorem powinien ich przeliczyć, starannie odhaczając na liście, czy wszyscy wrócili na teren zony. Nigdzie się nie podzieją. Nie mają gdzie się podziać. Przyjdą.

A może i nie śpi mój stróż, bo rozprawdzający wartę jeszcze go nie zmienił. Siedzi Tichon na tapczanie, buty tylko rozsuł, o moim zięciu myśli.

Rzęsisty deszcz na ulicy, zimne szaroniebieskie krupy. Nad miastem wisi mętna mgła, która wchłonęła w siebie całą wilgoć i szarość tającego śniegu. Fosforyzuje, jaśniej niż perła mój mercedes, obrasta powoli lodowymi brodawkami. W tym postawionym na głowie świcie jest swego rodzaju prawidłowość: profesor zawsze lepiej umyje samochód niż zgnuśniały, skacowany robot.

A ze szczeliny okna sterczy biały papierek, jak tamponik waty.

List od Palacza! A to bydlak! Zostawić? Wyrzucić bez czytania? Nie, bo dobierze się do niego Tichon.

Wyjąłem ze szczeliny i wbrew samemu sobie rozwinąłem.

Dwa ruble. Zawinięte w papierek dwa ruble.

Odpłynął chłód z serca, zniknął strach, a w jego miejsce przyszła złość. Resztę mi zostawił profesor... Aleś ty głupi, Żydzie! Zdaje ci się, że wymyśliłeś

sobie rolę, a u nas ról się nie wybiera, rozdają je nam. Stary dureń... Nie wam, żydowskiemu nasieniu, krzewić u nas bzdurną ideę uczciwości i bezinteresowności. Zbyt dobrze wam się żyło na naszych kłamstwach i waszych szwindlach. Od wieków wiadomo, że Rosjanin to łgarz bezinteresowny, natchniony, kłamie dla fantazji, zmyśla, by dać upust marzeniom. A wy słowa nieprawdy nie powiecie, jeśli nie macie w tym interesu. A za kopiejkę zysku nie tylko skłamać – zadusić jesteście gotowi!

Przemknął obok, bryznął na mnie fontanną błota, owionął sinym dymem motocyklista. Na głowie ma nocnik, w zębach ściska trojaka. Pojechał zamieniać motocykl na szklaną raketę. O, ten to nie zostawi dwóch rubli reszty, nakłamię ile wlezie, nie dla zysku wszakże, tylko za miejsce w szklanej rakiecie. W niej się przecież więcej niż trzech nie pomieści...

Otworzyłem drzwi zapotniałej, szklanej kawiarni. Pośrodku sali zasiadali moi pocieszyciele – Kiriasow i Wiedźmankin. Obaj już pijani, zmarniali. Pili wódę i spierali się o coś ostro. Z niecierpliwości, by dojść do głosu, nogami przebierali, tak jakby pilno im było do wychodka.

Łysy Kiriasow o czerwonej gębie szeroko rozkłada swoje graby i rzuca się przez stół ku leżącej przed nim na talerzu pomarszczonej, bladej główce Wiedźmankina. Od drzwi nie widać, że Wiedźmankin jest karłem, toteż wydaje się, że główeczka jego leży na brzegu stołu, na talerzu z resztkami jedzenia. Ramiona nie sięgają blatu.

– Cześć, artyści! – mruknąłem. Kiriasow rzucił się mnie całować, a Wiedźmankin powściągliwie skinął głową. Liliput – porządny gość, a ten bałwan tylko mnie obślinił. Tfu – nie cierpię tego obrzydliwego zwyczaju lizania się!

– Jeszcze raz pocałujesz mnie przy ludziach, a przegonię na cztery wiatry! – zagroziłem Kiriasowowi, ale on ma już wszystko w nosie: skoro przyszedłem, to znaczy, że będzie można jeszcze wypić za frajer.

– Dziewczynki! Dziewczynki! – wrzasnął ku barmankom, purpurowym babom duszegubkom. – Dziewczynki, zorganizujcie nam butelkę „konია”...

Zakrzętnął się, kazał Wiedźmankinowi zabrać gębę ze stołu, biegiem rzucił się po szklanki. Dziwny gatunek ludzi: wypity na sępa kwas siarkowy słodszy jest dla niego od miodu. I z tego, jak miotał się Kiriasow, domyśliłem się, że Wiedźmankin zakończył już na dzisiaj wydawanie kasy. Swoje już dziś wypilem, powiada, i bratania się na razie mi wystarczy, chcesz, to wyciągaj swoje trojaki.

Nie bądź idiotą, Wiedźmankin. W tym wódczanym sparringu z góry jesteś skazany na przegraną. Kiriasow naprawdę nie musi płacić za wódę: ma w sobie wytrwałość doświadczonego utrzymanka. Zawsze doczeka się przyjscia jakiegoś kumpla, sąsiada, znajomego, dawnego kolegi z pracy. Albo w ogóle nieznanego, ale udręczonego samotnością moczymordy. Albo mnie. Płaci ten, kto przychodzi ostatni.

A jutro znowu ty będziesz stawiać, Wiedźmankin. Zasada kolejności w naszym przypadku nie działa, gdyż Kiriasow jest ci bardziej potrzebny, niż ty jemu. Mojemu byłemu frontowemu towarzyszeni i koledze, Kiriasowowi, wesolemu drapieżnemu bydlakowi, w ogóle nie jest potrzebny smutny liliput. On potrzebuje tylko wypić za darmochę.

A Wiedźmankin musi się przed kimś wygasać, ukoić swój ból. W ogóle to liliputy należy osiedlać razem, na odległych wyspach, w izolacji od zwykłych ludzi. Swoim istnieniem godzą w naszą przodującą ideę równości i braterstwa wszystkich ludzi. Tylko że tę ideę wymyślono dla Kiriasowa, on nią nieświadomie żyje, jako że równy jest każdemu, kto podniesie szklankę, a bratem jest mu każdy, kto zostawi coś na dnie butelki. Wiedźmankina gnębi myśl, że tylko jego nieszczęście, kalectwo, zapewnia mu w cyrku zarobek, za który może kupić wódę, sprawiającą, że staje się równy temu skończonemu idiotcie Kiriasowowi. W dodatku, na skutek niedorzecznego kaprysu świadomości, Wiedźmankin jest antysemitą. Nie lubi Żydów. Mało kto ich zresztą lubi, ale czym się akurat jemu, karzelkowi, narazili? No i nie daje mu spokoju podstawowe pytanie: jak to będzie z liliputami i Żydami, gdy nastąpi ogólnoludzkie szczęście, w epoce ziszczonego komunizmu? Trudno przecież wyobrazić sobie jednych i drugich jako w pełni wolnych, równych innym. Jako braci normalnych ludzi. Wiedźmankin bardzo się denerwuje, że klasycy jakoś nie przewidzieli tego problemu, a sam wyjścia z tej zagmatwanej sytuacji nie widzi.

No i poi Kiriasowa, rozprawia z nim namiętnie, radzi się, a ten, wławszy w siebie kielicha, z przekonaniem go uspokaja:

– Nie przejmuj się, bracie, coś tam się z małym ludkiem wymyśli. Z Żydami, rzecz jasna, nie da rady, ale z liliputami na pewno jakoś tam będzie...

Teraz Kiriasow wiercił się koło mnie, nie mogąc się doczekać pieniędzy na już zamówionego „konja”. Liliput ze swoimi przyziemnymi problemami go nie interesował. A ja, choć sam marzyłem o tym, żeby jak najszybciej się napić, zwlekąłem mimo to, po sakiewkę nie sięgałem, delektowałem się męczarnią tego wydrwigrosza.

– No i co się tak grzebiesz? – spytałem z niezadowoleniem.

– Paszuta, najdroższy, przecież wiesz, że te złodziejki nie dadzą bez gotówki!

– Dlaczego bez gotówki? Weź za gotówkę.

– No i w tym właśnie cała rzecz, Paszuta! Sam wiesz, jak to jest – bez kasy ani rusz! Przecież szczytem szczęścia by dla mnie było, żebyś mógł mnie ugościć! Ale co zrobić, kiedy sprawiedliwości nie ma na tym świecie: ty nadziany, a ja cóż – spauperyzowany pracownik umysłowy...

– Raczej spauperyzowany alkoholik – zauważyłem i dodałem: – Ale przede wszystkim podlizuch i gównojad.

Popatrzyłem na niego z zainteresowaniem – obrazi się czy nie? Jak się obrazi – nie postawię mu butelki. Błazen i pochlebca nie ma prawa się obrażać. Nikt nie ma prawa zmieniać swojej roli, wszyscy obowiązani są odegrać swoją rolę tak, jak została zapisana w scenariuszu.

A Kiriasow rozciągnął od ucha do ucha swoje grube, mięsiste wargi, radośnie pokręcił głową i gromko zarechotał:

– Aleś wałnął, Paszka! Sto lat cię znam i wciąż taki sam... Dla kawału rodzoną matkę by sprzedał!

Wyciągnąłem ku niemu szeleszczący sturublowy papierek, a ten, zawodowy żebrak szantażysta, przycisnął go do serca:

– Gruziński rubel! – z szacunkiem, delikatnie rozpostarł go pod światło i uśmiechając się z czułością, wpatrywał się w blade prześwitujące oblicze wodza, który przepowiedział rychłą likwidację pieniędzy. – Ach, papciu ty mój najdroższy, żal cię rozmieniać, serce wprost z bólu pęka... Paszuta, podarujesz mi na pamiątkę jeden taki portrecik?

– Nie, kochany, portrety Iljicza daje się tylko komunistom. A ty co? Bezpartyjna hołota...

– O, przepraszam! Nie bezpartyjna, tylko wykluczona! Chwilowo jeszcze niezrehabilitowana. Ale nie jestem formalistą, na cholerę mi wszystkie te legitymacje, karty ewidencyjne i tak dalej... – Nadal czule przyciskał banknot do piersi. – Dla mnie ważne jest, żeby Iljicz zawsze na sercu leżał, szeleścił, mój najdroższy, jedyny! Wtedy, choć nie w waszych szeregach, góry mogą przynosić. Albo głowy. Przecież raczej od głów jesteśmy specjalistami, ja i ty, Paszeńka, no nie?

– Dostyc cię mam, sukinsynu! Dawaj ten koniak.

– *Ein minuten, zwei koniaken*, małemu nie trzeba, on i tak gotów... – I pomknął do baru.

Wiedźmankin popatrzył w ślad za nim, zwrócił ku mnie twarz, żółtą, porowatą, niczym serowa pascha, poznaczona rodzynekami, i ze smutkiem powiedział:

– Tak, Pawle Jegorowiczu, jednym słowem – *homo homini lupus est...*

Biedny liliput z cyrku. Uczony żywy inwentarz. Moja karykatura. A ja sam – czyją jestem karykaturą?

Nie wiem. Lubię kaleki. Mam ochotę wziąć Wiedźmankina na ręce. Posadzić go sobie na kolanach, żeby mruczał z cicha ludzkim głosem jak kot. Ale to by było dla niego obraźliwe. To jest sprzeczne z naszą ideą równości. Zgadza się tylko co do braterstwa. Ale, jak widać, braterstwo jest obrażą dla równości, tak jak odrażająca jest dla równości i swoboda.

Przybiegł Kiriasow z butelką okropnego odeskiego koniaku – te suki przepupki z czerwonymi gębami łupią za niego jak za martella. Normalka: w naszym bezbożnym państwie niedzielę uważa się za dzień trzeźwości. I w gruncie rzeczy – jaka różnica, czym przegonić Palacza, martellem czy odeskim „koniem”?

Kiriasow skwapliwie podsunął mi resztę, murowane, że zostawił sobie jakiegoś zaskórniaka. Rozlał do szklanek smołowaty, brązowy płyn, mamrocząc z podnieceniem:

– Żeby tyle człowiek musiał za wódeczkę płacić, pieska twoja niebieska! Te pieniądze to żadne pieniądze, zwykłe papierki, ni chuja niewarte, i wyglądu też nie mają... To nie pieniądze, tylko jakieś talony zasrane! Pamiętasz, Pasza, jakie pieniążki za wielkiego Ojczulka były? Jeszcze przed reformą? To były pieniądze! A nie jakieś papierki kolorowe do podcierania dla liliputów... Słyszysz, Wiedźmankin? Państwo pod twój kaliber pieniądze wypuszczają... W dawną setkę to by cię można było całego zawinąć, jak w prześcieradło! Bywało, że przygadasz dziewczynkę, to za te pieniądze i nakarmisz ją, i napoisz, i przelecisz. A teraz?... No, dalej, bracia, zanurmy się razem w rozkoszy! W ręce wasze, w gardła nasze! Chluśniem!

Chlusnęliśmy. Oparzyła mi wnętrzności ta terpentyna, straciłem dech. Ogień w środku zapłonął. Płynęliśmy długo, zanurzeni, w ciemności. Wreszcie wychynęliśmy na powierzchnię. Kiriasow był w siódmym niebie. Ja – w szambie. Z upierdliwą pijawką i smutnym liliputem.

Wiedźmankin z posępną miną słuchał rozanielonego Kiriasowa:

– No, powiedz uczciwie, mój mały, czy ja mogę uznać, że ta parszywa dziesiątka jest równa stalinowskiej setce? Jasne, że nie mogę, bo i pod tym względem Chruszcz naród swój wyjechał! Kiedyś pieniążki były wielkie i piękne, jak całe nasze życie! A Chruszcz, lichy człowieczyzna, całe życie nam okroił, tak samo jak dzisiejsze pieniądze. Zapamiętaj sobie, Wiedźmankin, jeśli za komunizmu wszystko będzie po sprawiedliwości, to mnie

będą płacić starymi pieniędzmi, a tobie, małemu, no i jeszcze Żydom, będą płacić dzisiejszymi...

– Dlaczego? – zainteresowałem się.

– Dlatego, że jestem duży i dużo mi potrzeba, a Wiedźmankin obejdzie się skromnym. A Żydom – za karę za ich chciwość. Żyd nigdy spragnionemu kielicha nie postawi!

Kiriasow zaczął nam szczegółowo opowiadać o swoim znajomym, na oko porządnym człowieku, ginekologu Efraimsonie, być może nawet kandydacie nauk, który otwiera paszczę niczym kaszalot, jak postawić mu kielicha, ale żeby sam postawił kielicha swojemu przyjacielowi i doradcy Kiriasowowi – to już raczej da się po raz drugi obrzezać. Mimo wszystko ta nacja ma jedną nieprzyjemną cechę – chciwość...

– Kiriasow, jest pan nietaktownym, niewdzięcznym człowiekiem – z godnością powiedział Wiedźmankin. – I po co panu duże pieniądze, skoro i tak zawsze pije pan za cudze? A o tym Żydzie to wszystko bujdy, bo nigdy pan nikomu kielicha nie postawi, nawet ginekologowi. Pewnie żadnego Efraimsona w ogóle nie ma na świecie, to tylko plód pańskiej wulgarnej wyobraźni...

Niepowstrzymanie wesoło, radośnie roześmiał się Kiriasow, tak jakby Wiedźmankin opowiedział mu niesamowicie śmieszny kawał. Długo chichotał, tak że w końcu i liliput rozciągnął w bladym uśmiechu szaroniebieskie usteczka.

I na przyklejonym do ściany kawiarni plakacie śmiali się atletyczni bezmózgowcy, kruszący za pomocą młotków opasujące kulę ziemską łańcuchy imperializmu.

Obejrzałem się: i pozostałe odpoczywające, pijące w kawiarni ludziki z czegoś się cieszyły, miały przyklejone do warg bezmyślne, drętwe uśmieški. I babki duszegubki za barem szczyrzyły zęby nad obrzydliwymi kotletami.

Ludzie, którzy się śmieją. Gwynplaine'owie*. Plemię szczęśliwych Gwynplaine'ów. Z czego się śmiejecie? Z czego się cieszycie?

– No to nurka, chłopaki! Zwiłźmy swoje wątroby, bracia! – radował się Kiriasow.

Pasażer bez biletu, wieczny gapowicz wódczanego pływania, był wniebowzięty, że w bezalkoholową niedzielę zdołał się przejechać w rakietach paru gości. A jeszcze nie wieczór.

* Gwynplaine – imię bohatera powieści W. Hugo *Człowiek śmiechu*. Był kuglarzem, któremu w dzieciństwie przecięto policzki nożyczkami, przedłużając usta, tak by stworzyć wrazenie nieustannego uśmiechu.

– Oj, aleś mnie rozśmieszył, mały... – ocierał z oczu nieprawdziwe, glicerynowe łzy. – No, a teraz walniemy po szklaneczce, i popłynie w nas koniaczek lekko, subtelnie, jakby sam Jezus Chrystus w łapciach po duszy się przespacerował. I od razu staniemy się młodzi i silni, jak...

Nie wymyślił – jak co, i śmiałym gestem, niby połykacz ognia, wlał w siebie „konia”, i przelknął tak, że wszystkie jego medale, odznaczenia i ordery na marynarce zadzwoniły.

I ja dałem nurka w koniak, jak w brudną mgłę, i wypłynąłem z mułem na zębach.

A liliput upił połowę, małymi łydkami, i skrzywił się boleśnie. Żał mi go było. Zasnął chłopak w pierwszej klasie, przespał trzydzieści lat, ocknął się – a tu rosnąć już za późno. Tylko różnych świnstw zdążył się nauczyć.

– Źle się dzisiaj czuję – poskarżył się liliput. – Kolega mi umarł.

– Też mały? – zainteresował się ze współczuciem Kiriasow.

– Nie – pokręcił dziecięcą, pomarszczoną główką liliput. – Rosły był...

Rosły. Punkt odniesienia. Pechowiec powinien żyć wśród liliputów. Będzie dla nich Guliwerem.

Wszyscy jesteśmy liliputami. A rządzą nami zasrane Guliwery. Wszyscy mają ich za wielkoludów, a oni nie nadają się w życiu do niczego, oprócz jednego – kierowania nami.

– No i... – ciągnął posępnie Wiedźmankin – był muzykiem... u nas w cyrku... w orkiestrze... grał na gitarze elektrycznej... fantastycznie grał... jak Rostropowicz... na występach w Saratowie pękła rura wodociągu... nastąpiło zwarcie w gitarze... no i prąd go zabił...

Kiriasow już-już chciał znowu zarechotać, ale w tym momencie intuicja gapowicza komunikacji butelkowo-rakietowej podpowiedziała mu, że istnieje lepsza możliwość.

– Musimy uczcić pamięć twojego przyjaciela, Wiedźmankin – zaproponował uroczyście. – Ty, mały, nie znasz się na tym, ale my z Paszutą jesteśmy weterani, frontowcy, my wiemy, co to stracić towarzysza boju. No, stawiaj butelkę za spokój duszy przyjaciela!

Liliput potulnie wy dostał sakiewkę i zaczął odliczać zmięte ruble. Kiriasow przestępował obok niego z nogi na nogę, przebierał odnóżami, nie mogąc się już doczekać, żeby załatwić sobie jeszcze raz miejsce w rakiecie – i z miejsca nabluzgać temu, kto go poi.

Bezsensowna historia.

Bezsensowni ludzie.

Bez sensu żyją.

Bez sensu umierają.

Elektryczna gitara w roli krzesła elektrycznego. Zabija krzepkiego, pełnego radości życia człowieka. Rosłego. Na pewno podobnego do Kiriasowa. A na aluminiowym krzeselku naprzeciwko mnie siedzi smutny liliput. Nóżki mu zwisają, nie dostają do podłogi. Lepiej by było dla niego, gdyby to on umarł nagle śmiercią – od porażenia prądem w szczytowym momencie gitarowej improwizacji, przy owacjach zachwyconych wielbicieli jego talentu. Większego niż Rostropowicza.

Dla wszystkich byłoby lepiej. Ale widocznie tak się nie da. Z jakiegoś powodu Wiedźmankin jest potrzebny. Na pewno pozbawionym talentu Guliwerom potrzebne są liliputy. Rosłych i tak jest za dużo.

Przycwałował uszczęśliwiony Kiriasow, szybko rozlał koniak do szklanek, zawołał:

– Czas wypić za Paszę! Hip, hip, hura! Hip, hip, hura! Żeby czerwonego Iljicza zawsze miał w kieszeni, a fiut mu stał jak drut!

Już zapomniał, że ta butelka ma być za duszę muzyka, który zmarł w wyniku zwarcia w gitarze.

Wiedźmankin potrząsnął trójkątnym serkiem swojej żółtej twarzy:

– Nam bez różnicy, czy tam panu stoi, czy nie stoi, Kiriasow! My z Pał Jegoryczem chcemy wypić za mojego nieboszczyka przyjaciela!

Gęsty całun przesłonił mi oczy. Oddychać jakoś trudno. Po szklanych ściankach kawiarni spływają obfite strużki cuchnącego potu. Śmieją się atleci z młotami na plakacie. Łokieć zsuwa się z krawędzi stołu.

– A czy ja się sprzeciwiam? – zdziwił się Kiriasow. – Chcecie wypić za swojego towarzysza? W porządku, ja z wami! Kiriasow nigdy, póki życia, nie porzuci przyjaciół w trudnej godzinie...

A zatem niepostrzeżenie zyskałem nowego towarzysza. Trzej towarzysze...

Trzej towarzysze. Skąd by tu wziąć dobrego pisarza, solidnego przedstawiciela realizmu socjalistycznego, żeby napisał o nas porywającą powieść?

Trzej towarzysze. Liliput, elektronieboszczyk i zawodowy zabójca. A to, że oprawca nie znalazł gitarzysty, a karzełek nic nie wie o opriczniku – to nawet lepiej. Fabuła jest ciekawsza, bardziej intrygująca.

Trąca w moją szklankę, stuka się ze mną Wiedźmankin. Daleko ode mnie siedzi, przy drugim końcu stołu, z trudem go rozróżniam, zupełnie jakbym patrzył na jego bezwłosą mordkę zbolalej małpy przez odwrócone szkło

powiększające, i napić mi się chce, ale jakoś nie mam odwagi: zupełnie jakby mazut pluskał w szklance, którą trzymam w dłoni.

Może babki już mazut do koniaku leją? Niemożliwe. Mazutem opala się kotłownie. A nie ludzi. Ale czasem kotłownie opala się ludźmi... Palacz... Co on tak nagle przycichł? Gdzie się przyszył?

Walnijmy mazutu! Czym to ludzie nie przepalają w sobie od czasu do czasu!

Koniak przepłynął przez gardło palącą strugą żywego ognia. Chciałbym umrzeć, grając na gitarze elektrycznej. Najpierw – piano, a potem forte, kiedy pod wpływem impulsu elektrycznego palce zacisną się w proszalnym geście.

Czego tam szczerzą za ladą zęby babki duszegubki? Czemu ludzie spływają w potokach potu ze szklanych ścian? Czemu wieszczysz posepnie, mały człowieku? Dlaczego skarżysz się na Boga, dlaczego nazywasz go Prokrustem?

– Pan jest niewiarygodnym człowiekiem, Kiriasow! A może i w ogóle nie jest pan człowiekiem, tylko zwykłym kaprysem przyrody – pijany ze smutku liliput płakał. – I nigdy nie uwierzę, że taki człowiek mógł służyć w naszych organach. Pan tylko pił całe życie na czyjś koszt! I nie wierzę, że to pańskie własne odznaczenia. Za co mogli pana odznaczyć? Ciekawe, skąd pan je wziął?

– Skąd je wziął? – wyrwałem się z odrętwienia, z trudem poruszając sztucznym językiem. – Skąd je wziął... Kupił. Żebyś wiedział, Wiedźmankin, on je ku-pił...

– Przestań zmyślać – leniwie opędział się Kiriasow. – Nie zmyślaj, Paszka! Ciekawe, co ty jeszcze zmyślisz?

– Jak to kupił? – zdziwił się liliput.

– Za pieniądze. Na rynku. Nie wierz mu, Wiedźmankin, że jest biedny. On jest bogatszy od nas obu. Ma schowane ciężkie pieniądze.

– Żartuje pan? – z niedowierzaniem spytał liliput.

– Paszka, daj spokój, co ty znów wymyślasz? Co za pieniądze? – ciężko kiwnął się ku nam Kiriasow.

– Z konfiskat! Tak, Wiedźmankin, on naprawdę służył w organach. I zajmował się konfiskatami.

– Konfiskatami?

Kiriasow nachmurzył się, spojrzął bykiem, przysunął do mnie:

– I ty, Paszka, na przyjaciela bez winy wszystko zwalasz? Przyjaciela kablujesz?

– Siadaj, gnojku – powiedziałem ze znużeniem. – Nie jesteś dla mnie przyjacielem, tylko podwładnym.

– Byłem podwładnym, ale teraz już nie jestem...

– Dla mnie zawsze będziesz podwładnym. A ty, Wiedźmankin, posłuchaj, skoro jesteśmy teraz przyjaciółmi na całe życie razem z twoim nieboszczykiem gitarzystą. Kiriasow po pracy nie kładł się spać, tak jak wszyscy, tylko ze swoim kolegą Filipem Podgarcem chodził po sądach i słuchał, w jakiej sprawie orzeczono konfiskatę. Następnego ranka wskakiwali w mundury i ruszali do mieszkania skazanego – konfiskata, szanowni państwo, proszę uprzejmie przekazać wszystkie wartościowe rzeczy!

– I oddawali? – z przerażeniem spytał karzełek.

– No a jak! Komu by przyszło do głowy, że dwóch takich przystojnych kapitanów działa nie w imieniu Wydziału, tylko w swoim własnym? Dwa lata się tak uwijali, dopóki pijany Podgariec gdzieś tam nie wygadał. Po milionie na twarz zgarnęli!

– A widziałeś je, kochanieńki? – obruszył się Kiriasow. – To czemu ich nie znaleźli?

– Dlatego ich nie znaleźli, durniu, że nie ja szukałem. Jakbym chciał znaleźć, to bym twój milion w jeden dzień z ciebie wycisnął razem z przedwczorajszym gównem. Ja cię, świniou, z przyjaźni starej kryłem, dzięki mnie poszedłeś pod sąd jako aferzysta, wykręciłeś się dwoma latami. Choć należało ci się – jako defraudantowi socjalistycznej własności – piętnaście. A ty mi tu jeszcze szczekasz...

– Nie lżyj, Paszka, ty nie z przyjaźni, tylko się bałeś, żebym nie wygadał, jak swoją kochanicę-Zydówkę do mnie wozileś... Tak, wozileś, do mnie, do mojego mieszkania...

Wiedźmankin spał. Spał już od dawna, wtuliwszy zmiętą mordkę w talerzyk z plasterkami cytryny. Gdyby nie spał, nie zacząłbym mu opowiadać o Kiriasowie. Jego to nie dotyczy. To z naszego życia, oddzielnego od nich, którego nawet nie są w stanie sobie wyobrazić. Wszyscy oni – mali i rośli – są nam obcy. My – to opricznina.

Niech śpi Wiedźmankin, niech ogląda swoje karłowate sny. Małe są jego radości, a i koszmary też niewielkie. Na pewno mu się śni, że gra na gitarze elektrycznej jak Rostropowicz.

Niech śpi. W ten sposób nie dowie się, że jego przyjaciel Kiriasow, niewiarygodny człowiek, powiedział tym razem prawdę: przed trzydziestoma laty rzeczywiście przywoziłem do jego mieszkania swoją kochanicę-Zydówkę. Najpiękniejszą kobietę na świecie, jaką znałem.

I być może właśnie wtedy – w odwecie za moją przeciwną naturze, zbrodniczą radość – zmienił Pan dziecięce łóżeczko Wiedźmankina w Prokrustowe łoże. Ktoś przecież musi być ukarany za cudze grzechy! Rośli płodzą liliputy.

Jak to dobrze, Wiedźmankin, że nigdy nie widziałeś kochanicy-Zydówki, którą przywoziłem do mieszkania Kiriasowa. Rimmy Lurie.

Jak to dobrze, że ty, mały, nie przytaileś się wtedy gdzieś za szafą czy pod tapczanem, nie podpatrzyłeś, jak ją pierwszy raz rozbierałem, a ona nieudolnie, z rezygnacją się broniła. Pozbyłbyś się wówczas głupiej nadziei, że w świetlanej przyszłości jakoś tam zostanie zorganizowany wasz lilipucios. Nie płałabyś się bezpłodnie i niedorzecznie w bolesnych rozmyślniach, tylko od razu znalazłbyś kamień węgielny, graniczną tykę, historyczny pępek ludzkości – punkt, w którym zrodziła się nasza przewyciężająca wszystko idea obowiązkowej równości.

Wymyślił ją liliput, który podpatrzył, jak rosłą krasawicę rozebrano, rozłożono, podgięto jej nóżki i wpakowano w jej aksamitne łono członek o rozmiarach jego nogi!

Liliput zobaczył i serce jego eksplodowało krzykiem, marzeniem niedościgłym i nierealnym: do tego mają prawo wszyscy! Nie chcę liliputek! Ja też mam prawo do rosłej!

Tak beznadziejnie, szaleńczo i pięknie marzy kot, uganiający się za tygrysią w cieczcze.

Liliputy i oszalałe koty przyobiecały wszystkim mit Rosłych. Ten wielki mit jest nieśmiertelny. Dopóki nie zniszczy Ziemi do cna. Wiedźmankin nie może przestać marzyć o tym, żeby się wgramolić na Rimmę Lurie. A do niej prawo mam tylko ja.

Rosłych, niestety, jest coraz mniej, liliputy zapełniają Ziemię...

O Boże, jaka ty byłaś wtedy piękna! Jak pachniało od ciebie deszczem, gorzkim żarem, goździkami! Chciałaś, głuptasku mój subtelny, rozmawiać ze mną surowo, starałaś się ze wszystkich sił podkreślać, że to tylko spotkanie w interesach, coś w rodzaju rozmowy klienta z adwokatem – trzeba tylko omówić gwarancje usługi i jej cenę. Ty głuptasku... Wymyśliłaś sobie grę, w ramach której postanowiłaś zachowywać się jak królowa. Tylko że na szachownicy swojego ówczesnego życia nie miałaś ani jednej figury, oprócz pilnowanego przez nas króla.

Śmieszna dziewczynko... Ty pojęcia nie miałaś o naszych wysuniętych na flanki gońcach, o beznadziei odciętych przez wieże pionów, o katastrofie grożącej z powodu skoczków, o niepowstrzymanym natarciu mojego króla.

Królewno moja! Utracona bezpowrotnie, na zawsze! Ukochana, nienawistna, przepadła na wieki! Pijany jestem teraz, słaby, wszystko mi jedno w tej chwili, nawet przed sobą samym nie próbuję udawać. Wszystko minęło, wszystko stało, nic już się więcej nie powtórzy. Nigdy już nikt – ani Marina, ani żadna panienka z Domu Kina, ani wszystkie tynkarki tego świata – nikt nie da mi takiej radości, jaką dawało mi złączenie z tobą. Ty byłaś jedyna na świecie. Takie jak ty już się nie rodzą. Może tylko twoja córeczka Maja. No i moja, rzecz jasna.

Ech, Majka, ty głupia ślicznotko, ty też nie jesteś w stanie pojąć, że jedyne elementarne ludzkie prawo – to niesprawiedliwość. Przecież sprawiedliwość to nic innego jak bateria o zwartych biegunach: prąd życia od razu przestaje płynąć.

I nasze wzajemne stosunki – to kolosalna niesprawiedliwość. Chociaż ja się nie uskarżam. Ja wiem, jakie jest podstawowe prawo. W przeciwieństwie do ciebie. Przyszłaś na świat, pojawiłaś się w tym bezsensownym życiu tylko dlatego, że zdołałem zmusić twoją matkę, żeby cię urodziła. Zwiodłem, zastraszyłem, zmusiłem – ona przecież nie chciała cię ze wszystkich sił swojej duszy. Ja ją zmusiłem.

Teraz ty mnie nienawidzisz, a ją kochasz. I to jest sprawiedliwe?

Gdybyś wiedziała o wszystkim, to teraz z patosem byś powiedziała, że najpierw zgwałciłem twoją matkę, a potem nie pozwalałem jej zrobić skrobanki, żeby ją tym silniej do siebie przywiązać. Że o tobie w tamtym czasie bynajmniej nie myślałem.

No cóż, to prawda. Prawda twojej matki.

Ale miłość bliźniego – to pusty, choć piękny wymysł. Bo jeśli zaczniemy kopać w nim coraz głębiej i głębiej, to w końcu dokopujemy się do stwierdzenia, że każdy człowiek na tej ziemi jest sam, samiuteńki, i nawet ten najbliższy z najbliższych – to jego wróg, pan jego losu, potencjalny morderca.

Pomyśl tylko, Majka – przecież twoja mamuska Rimma, którą tak kochasz, do której jesteś tak podobna, już chciała cię kiedyś zabić. Przecież ty już istniałaś – malutka, mniejsza niż Wiedźmankin – już żyłaś w jej łonie, a ona wynajęła mordercę w białym kitlu, który miał cię odszukać w ciepłym mroku macicy i rozrąbać ci głowę, stalowym ostrzem poharatać twoje niktę, słabe ciało na kawałki, wywlec na zewnątrz okrwawione strzępy delikatnego mięsa, miękkie chrząstki, cisnąć je do brudnej miednicy i wyrzucić cię – śliczną długonogą narzeczoną zagranicznego chwata z miasta Topnika – na śmietnik. Twoje resztki dojadłyby bezpańskie psy.

Podoba ci się to?

A ja nie pozwoliłem. Dlaczego – to już teraz nie takie ważne. Ważne jest tylko to, że nie pozwoliłem. Zastraszylem ją, oszukałem, zapędziłem w kozi róg. Ale nie pozwoliłem. Tylko to się liczy. Przyczyny nie mają w życiu znaczenia, znaczenie mają tylko rezultaty.

A ty mnie w rezultacie tego nienawidzisz.

Głuptasku, pobłogosław swoją nienawiść. Gdybym nie zabił twojego dziadka Lowy, nie zgwałcił, zastraszywszy uprzednio, twojej matki, wszystko by było cudownie. Twoja matka Rimma spotkałaby któregoś dnia milego młodego człowieka – nie mordercę i opricznika, tylko najprzyzwoitszego z przyzwoitych, medyka, obowiązkowo z profesorskiej żydowskiej rodziny, i pokochaliby się subtelną miłością, i nie powaliliby jej on na powgniatany, przesycony na wieki wonią potu i spermy tapczan Kiriasowa, a pocałowałby ją po raz pierwszy dopiero po zdjęciu z jej z głowy *fleur d'orange*. Takim tatusiem można by było się poszczycić, nie sposób by było go nie kochać.

Tylko że z tobą nie miałoby to żadnego związku. Ciebie by nie było.

Nie istniałabyś. Nie przyszłabyś na ten świat, żeby urosnąć, nienawidzić mnie, kochać swoją cudowną mamusię, która chciała cię zabić; żeby zostać szczęśliwą narzeczoną zagranicznego biznesmena, związanego z Trzecim Wydziałem Piekle do spraw Eksploatacji.

Wyciągnąłem dla ciebie los na loterii, jeden los na tryliony. Los, który wygrał.

Za to ty mnie nienawidzisz i coś tam składnie trzaskasz dziobkiem na temat sprawiedliwości. I kiedy chcę ci wytłumaczyć – dla twojego dobra przecież – że wszyscy ludzie to wrogowie, stawiasz pytanie: czy ty naprawdę jesteś aż tak złym człowiekiem?

A ja nie jestem zły. Jestem mądry. Wszystko widziałem i wszystko wiem. Wszystkich przeżyłem. Wszystko pamiętam. Dlatego wiem z całą pewnością, że takie rozmowy o dobroci – to albo głupota, albo oszustwo.

I twoja mamuśka – wtedy, trzydzieści lat temu – kiedy spotkała się ze mną na Wołchonce, cały czas mówiła o dobroci, o zbawczej roli dobrych uczynków. Rozmawiała ze mną jak z gliniarzem: z jednej strony sugerowała, że mój trud nie pozostanie bez nagrody, z drugiej – krępowała się zaproponować pieniądze. Przecież w waszym środowisku zawsze się uważało, że łapówka upokarza człowieka.

A ja prawie w ogóle jej nie odpowiadałem, ograniczałem się do lakonicznych uwag i rzeczowych pochrząkiwań. Trzymając ją mocno pod rękę,

szybko prowadziłem w stronę Łabędziego Zaułka, gdzie w małym podwórku, w oficynie, Kiriasow miał obskurny pokój, który teraz szumnie nazywa mieszkaniem.

Rimma z trudem dotrzymywała mi kroku, i dopiero kiedy skręcaliśmy w ciemne podsienie, spytała z niepokojem: dokąd mnie pan prowadzi?

Obejrzałem się: nikogo nie było widać w ciepłym, wilgotnym półmroku jesiennego wieczoru. Zatrzymałem się. W spoconej ze wzruszenia dłoni ścisnąłem klucz do nory Kiriasowa. Popatrzyłem jej w oczy i spytałem surowo:

– Zdaje sobie pani sprawę, że jestem w tej chwili jedynym człowiekiem, któremu może pani zaufać?

I Rimma, z wyrazem ni to zmieszania, ni to zaszczucia na twarzy, skinęła głową:

– Tak...

Roześmiałem się:

– Przecież nie w Teatrze Wielkim spotyka się wysokiej rangi oficer MGB z córką zdrajcy ojczyzny, wroga narodu... – zaśmiałem się.

– Jak to, więc pana też śledzą? – zdziwiła się Rimma.

– Śledzą nie mnie, tylko panią – powiedziałem i położyłem dłoń na jej ramieniu, które drgnęło lekko. – Ale od czasu do czasu mogą śledzić również mnie. U nas śledzą wszystkich.

Przeszliśmy przez podwórko, opustoszałe, jakby wymarłe. Błado mżyły tylko brudnym światłem niektóre okna. Weszliśmy po brudnych, cuchnących schodach na półpiętro i otworzyłem drzwi do pokoju Kiriasowa – byłej spiżarni zlikwidowanego jaśniepańskiego mieszkania.

Szukałem w ciemności lampy stołowej, jako że górne światło nie działało. Natknąłem się na zamarłą w bezruchu Rimkę – gorącą, gibką, miękką, wonną. Sama wpadła mi w ręce.

– Nie! Niech mnie pan nie dotyka... niech się pan nie waży!

– Od ciebie zależy los twojego ojca...

– Jest pan szantażystą... jest pan przestępcą...

– Głuptasku, możesz go uratować tylko wówczas, jeśli zostaniesz moją żoną...

– Oszukał mnie pan... Udawał pan współczucie...

– Za darmo tylko ptaszki śpiewają...

– My zapłacimy, tylko proszę powiedzieć ile!

– Już powiedziałem... Inna cena nie wchodzi w rachubę... Nie istnieje...

Kocham cię!

– A ja pana nienawidzę...
– Nie szkodzi... Potem pokochasz...
– To wstrętne... podle... Nie poważy się pan!
– Nie opowiadaj głupstw... Właśnie teraz rozstrzyga się twój los, i twoje-
go ojca... Zrozum, głuptasku, ja cię nie zmuszam... Chcę powiadomić wła-
dze, że się z tobą żenię... to pomoże złagodzić los twojego ojca...

Mówiliśmy jak w malignie – szybko, bezładnie, ze wzburzeniem – i cała nasza rozżarzona od emocji rozmowa sprowadzała się do mojego zażarte-
go, tryumfalnego „Tak!” i jej rozpaczliwego, bezsilnego, z góry skazanego
na przegraną „Nie!”

Gorączkowo błądziłem po niej rękami, rozpinając guziki, zatrzaski, zam-
ki błyskawiczne, a ona wciąż jeszcze usiłowała mnie powstrzymać. Ręce
miała żałośnie słabe, sparaliżowane strachem i niejasną nadzieją na urato-
wanie ojca, a ja stawałem się od tego wieloręki niczym Sziwa. Nie była
w stanie poradzić sobie ze mną, nie mogła mi przeszkodzić.

Ze łzami mamrotała coś spazmatycznie, przekonywała mnie, żebym po-
czekał, nie teraz, potem, tak, potem, zgadza się – wyjdzie za mnie za mąż,
bylebym tylko uratował ojca, ale nie teraz, nie można, to okropne, to wstyd,
ona jest niewinna, z nikim jeszcze nie była w takiej sytuacji, boi się, nie
dziś, może jutro, ona mi wierzy, ale teraz nie można – to okropne, przecież
nie jesteśmy zwierzętami, bydlętami, proszę, poczekajmy troszeczkę, ona
da mi słowo honoru...

A ja już rozpiąłem jej spódnicę, ściągnąłem bluzkę, kurtka już dawno
spadła na podłogę, jednym szarpnięciem zerwałem haftki pasa i pończochy
spłynęły w dół. Moja trzęsąca się ręka ześliznęła się po jej jedwabistym
biodrze aż do majtek, wymacała wilgotną szczelinę jej lona, i pojąłem, że
tracę rozum, nie mogę czekać dłużej ani sekundy, nie mam już sił, żeby ją
nakłaniać, tłumaczyć, argumentować.

Przyciskając ją do siebie z całej siły, wyciągnąłem ze spodni swego rozpa-
lonego kutasa, zaparłem się kolanami i wpakowałem go do jej wnętrza.

Krzyknęła i zmiękła, zwisła na mnie, jakbym ją nożem pchnął. Może
i straciła przytomność – nie pamiętam.

I tak ją dymałem – na stojąco.

Dopóki pod sam koniec, czując zbliżanie się straszliwej męki rozkoszy,
nie zwałiłem jej na tapczan Kiriasowa, powgniatany jak koryto od przewa-
lających się po nim w miłosnych zapasach ciała, cały przesiąknięty człowie-
czymi wydzielinami, i nie zawylem z radosnej udręki.

O, młodości miniona, życie pokręcone...

Ach, Majka, jak tobie się udało, że jestem taki, jaki jestem! Że jestem opricznikiem, silnym i złym. A nie nieszkodliwym, łagodnym starszkiem, jak na przykład Mahatma Gandhi z jego kretyńską ideą *brahmaczarii*. Gdybym się nią przejął, gdybym wyrzekł się życia seksualnego, twoja mamusia pozostałaby nietknięta. Ale ty byś się nie urodziła.

Ocknąłem się – nie ma całego życia, nie ma Łabędziego Zaulka, nie ma Rimmy.

Zapomniała, duszna kawiarnia. Zdrzemnąłem się. Zniknął liliput Wiedźmankin. Skuliwszy się, śpi Kiriasow, rzeźbi, przyciska się do mnie łysiną, chłodną i wilgotną jak wystygły kompres. Odepchnąłem go, a ten od razu otworzył oczy, ożył, zakrzętnął się z nadzieją:

– Zdrzemnąłeś się odrobinę... Nie chcieliśmy cię budzić. Pomyśleliśmy, że jak się obudzisz – to jeszcze po szklaneczce walniemy...

– A gdzie liliput?

– A poznał jakiegoś dupka. Ciekawy drań, kawały śmieszne opowiada... Ale pijak. Wiedźmankinowi kurtkę sprzedał...

– Jaką kurtkę?

– Szkolną. No wiesz, taką niebieską, od mundurka... Sprzedam, mówi, za rubla, będziesz nosić bez końca. Poszli obaj po portwajn. Wiesz, jaki kawał opowiedział? Architekt pokazuje Stalinowi makietę – jak trzeba przebudować plac Czerwony...

Porażony prądem gitarzysta, liliput i opricznik. I jeszcze Palacz. Tego już za wiele.

Wstałem z krzesła. Mocno kręciło mi się w głowie. Ulicą z piskiem przejechał samochód milicyjny. A może to Palacz z liliputem?... Zgiń, przepadnij! Nie, w uszach rozbrzmiewa uspokajający głos sygnału – karetka milicyjna, wóz strażacki albo pogotowie.

– „Postaw na miejsce, psie!” Cha, cha, cha...

7. Biesowszczyzna

Postaw na miejsce! Palczu, postaw mnie na miejsce. Odczep się. I tak mnie nie dostaniesz. W nosie mam termin, który mi wyznaczyłeś! Jaki miesiąc? Potrzebny mi jest jeszcze co najmniej rok. Dokładnie za rok będę miał urodziny.

Nie dziś, lecz za rok. Bo dzisiejszy dzień będzie za rok nie pierwszym marca, tylko dwudziestym dziewiątym lutego.

Urodziłem się „na Krzywego Kasjana”, dwudziestego dziewiątego lutego. Skończę pięćdziesiąt sześć lat. Ale to po ichniemu – według kretyńskiej rachuby liliputów. W rzeczywistości stuknie mi piętnasty roczek. Przystępny. Moje lata są długie, pełne. Wy byście takiego roku nie przeżyli. Ale ja muszę.

Trzeba tylko pokonać Palacza. Przetrwąć marzec.

Może porwie Wiedźmankina i da mi spokój?

Żeby tylko udało mi się dotrzeć do domu. Zmęczyłem się.

Deszcz ze śniegu. Brązowo-sine cuchnące kałuże – niczym jeziora rozlanej jodyny. Zimny opar wznosi się pionowo ku niebu. A nieba nie ma, dach wszechświata spoczywa na wątłych naszych ramionkach. Błędne ognie majaczą, wabią, sprowadzają z drogi. A drodze tej nie ma końca.

Jeszcze sto kroków.

Gdzie jesteś, latarniku, ty, który wskazujesz farwater ku mej przytulnej fińskiej koi? Gdzie jesteś, drogi mój Bawarczyku z Wołody rodem, Tichonie Iwanyczu? Czemu nie machasz latarnią z przystani bloku, czemu nie czekasz na moją zanurzoną po brzegi burt łódeczkę, ledwie przedzierającą się przez burzliwe fale marcowych kałuż?

Wystygły przedsiemek piekielnej kotłowni. Mokry wiatr pachnie ziemią i siarką. Rzućcie cumy, spuszczać trap. Chcę zajrzeć w przejrzyste, błękitne oczy mojego pławowego u wejścia, pogłaskać białe, delikatne, odrobinę rozczochrane włoski mego wiernego stróża, nieprzerwanie trwającego na wachcie, czule strząsnąć pył z jego odstających, czujnych uszu. Wiemy mój, nieustraszony oddział zaporowy.

Chcę usłyszeć jego głos, cichy i surowy niczym komunikat specjalny:

– Gości ma pan w domu... Już dawno... Z godzinę, jak przyszli.

Co za goście? My w gości nie chodzimy i do siebie nie zapraszamy. Przyjaźnimy się po knajpach. Z tymi, których żony można przelecieć. Nikt już nie przyjaźni się domami. Wszyscy przyjaźnią się damami.

– Córka pańska... z tym samym... taksówką przyjechali... Na wszelki wypadek zapamiętałem dla pana numerek.

Do ut des. Daję, abys i ty mi dał.

Drogi mój trzygłowy wołogodzki Cerberze, niestrudzony strażniku ła-giemnego Hadesu – niepotrzebny mi jest numerek taksówki. Ja i tak znam numerek mojego ewentualnego zięcia. Jest zapisany gdzieś w kartotece. Brzmi mniej więcej tak: 007.

Pomyka w górę pudełko windy, kołysze się w ciemności. Piszczy lina, grzechoczą tarcze, szcękają przekaźniki. Spirytus syczy, spala się szkarłatnymi i błękitnymi jęczyzkami w komorach mego serca.

Daleko jeszcze do moich urodzin, cały rok. Wśliznąłem się pomiędzy dnie, wcisnąłem między kartki kalendarza, schowałem w astronomicznej muszelce. Nie wydlubiecie mnie stamtąd swoim pieprzonym miesiącem! Takiego wała! Znacie mnie, ale nie za bardzo. Ja na Krzywego Kasjana się urodziłem, czternaście przestępnych lat wytrzymałem – sam przeciw wszystkim. Mam się bać jakiegoś głównianego Palacza? I tobie, zasrany imperialisto, kuzynku tych kutasów z Topnika, tobie też dam radę! Za krótkie jeszcze macie rączki na Chwatkina!

Moja karta starsza. Zawsze będę miał w ręku więcej atutów. Kiedy Pan, potasowawszy talię, na bank rozdawał – ja u niego pod lewą ręką siedziałem. Nie, szanowni panowie i drodzy towarzysze, nie wysilajcie się na próżno!

Moja karta starsza!

Nie mogąc znaleźć w kieszeni kluczy, z całej siły nacisnąłem guzik dzwonka. Rozglądałem się na boki – na wszelki wypadek – i mamrotałem, odgrażałem się, uspokajałem siebie samego:

– Nie strasz, Palaczu, nie strasz, gnoju, nie odwalaj Bóg wie kogo, łachu obszarpany, ja twoją zasraną kotłownię w popielnik dymałem...

– No co? – spytała strwożona Marina, otworzywszy na oścież drzwi.

– Gówno drogą szło! – warknąłem i wpadłem do przedpokoju. O mało co nie zwałiłem jej z nóg, ale za plecami zbawczo szcęknęła stalowa zapadka zamka.

Chodź, złap mnie teraz, ty skurwysyński Palaczu, w moim *home*, który naprawdę jest moim *castle*.

Szkoda tylko, że garnizon w mojej twierdzy – to szajs. Wyrachowani głupi najemnicy, ideowi zdrajcy. Chcą wpuścić do mojej dwupokojowej Troi drewnianego konia.

Jakże beznadziejna jest obrona spółdzielczej twierdzy na skraju Aeroportu, z którego nie ma dokąd odlecieć!

Ja, lokator Troi numer 123 na szesnastym piętrze, numer rachunku rozliczeniowego we Frunzeńskim oddziale Moststrojbanku 618153, gwałciłem i więziłem waszą nadobną dziewczycę, a potem wszcząłem Wojnę Żydowską.

Powiedzmy.

Ale to nie ja zabiłem waszego Achillesa. Zabiłem swojego syna Hektora. Wiecie o tym, prawda? Nie? No, to się dowiedzcie.

Wie o tym tylko jeden człowiek. No, może jeszcze dwóch-trzech. Teraz wiesz i ty, Palaczu.

Może wystarczy?

Zapomnijmy o wszystkim. Wówczas zdołamy się pojednać. Ja też jestem zmęczony. Nie ciebie się boję, Palaczu, nie z tobą chcę się jednać.

Chcę się pojednać ze światem. Chcę spokoju. Chcę doczekać starości – mam dopiero czternaście moich, przestępnych lat. Chcę znowu...

– Znowu pileś, bydłaku? – wibrującym szeptem spytała Marina. Niekłamaną wibracją namiętności, tak wibruje w bezsłownym jęku jej głos, kiedy przenikam ją w wyrku niemal na wylot, a ona zachłannie, ze złością finiszuje, już żalując, że rozkosz ma poza sobą, a czy będzie następna, nie wiadomo.

– Pilem, moja jedyna – przyznałem. – Pilem, moja różana jutrenko. Źle się czuję, jestem zmęczony. Chodźmy do łóżka, rozbierz mnie...

– Rozebrać cię? – Zerwana wiewiórcza kita przeleciała obok i znikła w tętniącej wibracji powietrza, odsłaniając czerwony, nagi szczurzy ogon. – A gdzie twoje kalesony, ścierwo? Kto ci ściągnął dzisiaj w nocy kalesony?

Zrobiła długą pauzę, która powinna była podkreślić jej rzekomo wielkie duchowe napięcie.

Gdzie ich uczą metody Stanisławskiego?

I znowu zastale powietrze w przedpokoju zaświstało, zadzwoniło, przecięte czerwoną nahajką jej szczurzego ogona:

– Gdzie twoje kalesony?

Rzeczywiście, gdzie są moje kalesony?

Daleka jednooka tynkarko! Czyż jesteś stróżem kalesonów moich? Coś ty z nimi zrobiła? Mogłaś je sprzedać. Zamienić na francuski biustonosz. Wyrzucić. Możesz je sama nosić – w mrozy przydadzą ci się, i to jeszcze jak! Albo możesz je wypchać watą i postawić u wezglowia na pamiątkę. Wstawisz w rozporek kawałek pasztetówki i masz gotowy mój wizerunek od pasa w dół. Kompozycja *Młody romantyk na stacji Lanozowo*. Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku kupi ją za duże pieniądze, a ty, mój chutliwy cyklopie, rzucisz tynkowanie kotłowni i wyjedziesz z narzeczonym z Topnika na Zachód.

– Gdzie są twoje kalesony?

– Powiewają nad kopułą Reichstagu – oznajmiłem z rezygnacją. – Doniołem je, zatknąłem i przeżegnałem. Wszyscy inni zginęli, wróciłem sam.

Odepchnąłem moją nierozłączną, błękitną, nierozzerwalną i wszedłem do pokoju.

A tam już stoi na stole trojański koń. Nazywa się – nie wiadomo dlaczego – Biały. Czyżby koń trojański był biały? Najprawdopodobniej był gniady. Albo kary. Kary White Horse. Dobry kukurydziany kary White Horse. Odrobinę zapotniały w ciepłe. I pasza na talerzykach gotowa: migdały, pomarańcze z czarnymi naklejkami na żółtych czołach, jak u hinduskich piękności.

Wszystko gotowe. I grupa desantowa, oddział szturmowy wypełził już z konia na zewnątrz – siedzą rozparci w niskich fotelach: ukochana córeczka Majka, krew z krwi, kość z kości, nierozłączna ze mną – w granicach naszej ojczyzny, i muskulamy, czarniawy drań, cały w kędziorach, breloczkach, łańcuszkach i bransoletach. Ale mi się trafił, widzieliście go – frajer z fabryki kondomów!

Za wcześniej wypełziliście, sukinsyny! Ja jeszcze nie śpię, nie uda wam się wyrznąć beztroskiej załogi mojego *castle*! Takiego wała!

– ...bardzo, bardzo, bardzo się cieszę! – powiedziałem do niego. – Wiele, wiele dobrego o tobie słyszałem! I oto Pan Bóg pozwolił osobiście dłoń uściskać! Chodź, synku, obejmijmy się po naszymu, po rosyjsku, po prostu, ucałujmy się trzykrotnie! Przecież jesteśmy teraz tak jakby krewni. Jak to się mówi: pokój – przyjaźń! Hindusy – Niemcy – Żydy – Rusczy, wiwat!

I całowałem tego pedała zawzięcie, ze ślinką, chuchając na niego – niech, skórkojad, powącha naszego przetrawionego samogonu, niech zliże ze mnie odór i śluz, niech się nawdycha smrodu odeskiego koniaku, stęchłej zakąski nieprzetrawionych rzygowin, potu przeszklonej knajpy, niech się zaciągnie siarczonym dymem Palacza, pleśnią Wiedźmankina.

A on nic, łotr! Zuch chłopak. Nie krzywi się, nie marszczy, śmieje się, po plecach mnie wesoło poklepuje. Niemcy – Rusczy też wiwat, mówi.

– A ty, córeńko, jagódka moja, czemu się z tatusiem nie przywitasz? – pytam Majkę, oczu jej pełnych nienawiści zza jego ramienia wypatruję.

– Słuchaj no, Chwatkin, daj spokój! Dosyć się już nacałowaliście, wystarczy tych powitań!

– Ojej, córuniu moja najśladza, a czemuż to taka jesteś szorstka? Ten młody człowiek, nasz przyszły zięć, Bóg wie co może sobie pomyśleć. Że taty swego nie szanujesz, nie kochasz, że autorytetu rodzicielskiego nie ma on u ciebie. Jakże więc zdrową, socjalistyczną rodzinę budować będziemy? Jak podciągniemy jej zapóźnionego ideowo członka do naszego dojrzałego poziomu politycznego? No, jak?

– Przestań się wygłupiać! Trzeba pogadać po ludzku.

– Panie Boże miłosierny! A ja to co? Nie po ludzku? Ja to po zwierzęcemu? Przecież ja całą duszą ku wam jestem zwrócony. Całą swoją zagadkową słowiańską duszą na was otwarty! Słówko mi tylko powiedzcie, a ja za was, za wasze szczęście, za wasz zagraniczny związek, za odprężenie między naszymi narodami przez okno wyskoczę, rękę sobie do ramienia odgrąbię, żonę ukochaną, Marinę, wam podaruję... A ty mnie, córeńko, aniele mój, tylko ukłuć, tylko zranić, tylko urazić pragniesz. To nieładnie, kochanie. Grzech to jest przed Panem naszym...

Spojrzenie Majki miało ciężar solidnej grobowej płyty. Ach, jak by chciała nakryć mnie nią ostatecznie, na zawsze! Niestety, rączki za krótkie. Trzeba wynajmować Palaczy. Znam was jak własną kieszeń, psy wygłodniałe.

Upiła ze szklanki trojańskiego trunku, kostką lodu na dywan splunęła.

– Pieprzysz, Chwatkin. Od pijaństwa całkiem ci się w głowie pomieszało...

– Ajajaj! – Chwyciłem się w boleści za głowę. – Przecież to w waszej żydowskiej księdze powiedziane jest: kto złorzeczy ojcu i matce swojej, nagłą śmiercią umrze! Czemu mi złorzeczysz? Czemu serce mi ranisz? A nuż tam prawdę napisali, i tak jak stoisz, padniesz na podłogę, nóżkami wierzgniesz, i szlus! No? Nie boisz się?

A zięciaszek mój importowany, czarniawy nordycki aryjczyk, Niemiec z RFN-u z solidną domieszką żydostwa, patrzył na mnie oszołomionym wzrokiem. Niewiasta upragniona, córeńka moja jedyna, wiele mu, rzecz jasna, o mnie opowiadała, jednak dopiero teraz pojął on, jak oczerniła rodzica swego, całkiem prostego rosyjskiego człowieka, czulego fatera, sympatycznego, niestarego jeszcze dziadka.

Obca rodzina, obca dusza – zagadkowy słowiański mrok. Dla takich zza granicy. Podszytych Żydem Niemców. Ormian z Berdyczowa.

Gdzieś na dalszym planie, zlewając się z tapetą, majaczyła niespokojna twarz Mariny, zdenerwowanej, że hańbię oto przed cudzoziemcem szlachetny wizerunek radzieckiego obywatela.

U nas każda dziwka – to Joanna d’Arc. Kraj powszechnego patriotyzmu. Etniczna rasa patriotów.

Ale ja ten naród kocham. To mój naród. Rosjo – jam twoim synem. Krew z krwi. Gałązka potężnego drzewa. Ja i naród – to jedno. Oni wszyscy – za mnie, ja jeden – za nich wszystkich. I kocham go wierną synowską miłością, do ucisku w sercu, do łez w oczach, do rżnięcia w jajach.

Nie, mnie z narodem nikt nie skłóci. Jeszcze dojdziemy ze sobą do ładu. Każdy dostanie, co mu się należy – według zasług. I zapanuje wówczas

pokój, i łagodność zrodzi się w sercach ludu radzieckiego, i wszechogarniająca społeczna miłość. Tylko wrogów, jeśli się nie poddadzą – zlikwidujemy.

– A ty dla nas, synku, zięciu mój kochany zagraniczno-handlowy, nie jesteś wrogiem. Wierzę, że wstąpiłeś w dom nasz, niosąc dobro! Pokój i przyjaźń! Jesteśmy za handlem i wymianą kulturalną. Ku wzajemnej wygodzie i bez ograniczeń politycznych! Ale przeciwko przrzucaniu mostów! Jesteśmy przeciwni mostom. Nie nasz, nie rosyjski to wymysł: mosty. *Pace* – ideologiczne! Zrozumiałeś, synku?

Synek zrozumiał. Kiwał statecznie głową, uśmiechał się, patrzył za mnie z zainteresowaniem. Patrz sobie, patrz, mrugaj swoimi grubymi żydowskimi powiekami! Jeszcze zobaczysz to i owo...

– Zapamiętaj, synku: my ludzie prości, kamienia za pazuchą nie trzymamy. Jesteśmy za równoprawną wymianą: rzeczy wasze, a idee nasze. Rzeczy, nie można powiedzieć, macie w porządku, ale idea nasza jest niezwyknięta...

Śmiać mi się zachciało, całkiem jakby mnie ktoś pod pachami połaskotał, taki śmiech mnie napadł, że aż mnie skręcało.

Synek, patrząc na mnie, uśmiechał się z lekka. Majka zagryzała wargi, popatrywała na mnie z nienawiścią. A Marina poklepała mnie leciutko po ramieniu:

– Hej, co z tobą?

– Oj, nie mogę... Pęknę ze śmiechu! Przecież nasza wielka idea pojawiła się najpierw u nich: wymyślił ją taki jeden brodaty Żyd, zapomniałem nazwiska, ale oni, dumnie, nie ustrzegli idei, mewa białoskrzydłej, no i przefrunęła do nas, wzniosła, świetlista! I męczą się teraz, barany z rzeczami, ale bez idei. A idea należy teraz do nas, o tamtym parchu brodatym wszyscy dawno zapomnieli. Aha! Zyg-zyg! Idejka nasza dumnie szybuje nad ziemią, jak zwiastująca burzę błyskawica! Prawdę mówię, synku? No powiedz, prawdę mówię, nie?

– Prawdę – zgodził się synek i odchyliwszy głowę, cały czas patrzył na mnie uważnie, zupełnie jakby na muszce mnie trzymał, żalując ostatniego naboju. Co, synku, nie podoba ci się twój kochany teść, narzeczonej twojej drogocenny *fater*? Dobra, dobra, celuj sobie, ja i tak strzelam z podrzutu.

– I o to chodzi, synku! Najważniejsze, to zrozumieć się nawzajem! A wtedy i przebaczyć sobie wszystko można! Tylko wojny, tego, coście tu wyprawiali, co robiliście z naszym narodem – nie, tego ci nie wybaczę! Nawet nie proś... Nie wybaczę.

Odczrząknął synek sucho, leniwie rozciągnął twarde wargi:

– Ja tu niczego nie wyprawiałem.

– A tatuś twój? Co *fater* twój tutaj nawyprawiał wiesz? Przecież to tylko u nas syn nie odpowiada za ojca, a u was jeszcze jak odpowiada! *Fater* twój, według ciebie, też nie ma tu nic do rzeczy?

– I *mein Fater* nie ma tu nic do rzeczy – odpowiedział cicho zięciaszek i podciągnął ku oczom złe wachlarzyki zmarszczek. – Mój ojciec został zabity w marcu czterdziestego piątego roku.

– Czyżby komunista? – rozpromieniłem się.

– Nie. Chwała Bogu, nie...

– No, dobra. Niech tam. Kto ich tam teraz rozróżni, martwych, kto prawy, kto winowajca... Wypijmy, synku, za spotkanie. To jak się nazywasz?

Uniósł się synek, skłonił lekko – mimo wszystko to dobrze wychowana nacja – i oznajmił:

– Doktor filozofii Magnus T. Borowitz...

Magnust Borowicz. A tak naprawdę, ani chybi, Mordka Boruchowicz. To ci narodek, pieska ich mać! Zmieniają skórę jak kameleony.

– Dobra, czort z tobą, Magnust, chodź, napijemy się wódeczki za braterstwo miast, za połączenie rodzin, za zbliżenie narodów. Nawet jeśli jesteśmy przeciwko konwergencji, to nie mamy nic przeciwko osobnikom dokonującym konwersji... Nalewaj, Magnust...

Audi, vide, sile.

Chlupnął Magnust do szklanek na palec – nawet lód nie ma po czym pływać. Zagraniczna miarka.

– Nie, synku, u nas tak się nie robi, my, mój kochany, nie tak pijemy. Dusze nasze niezglębione, żołądki nasze bezdenne! Daj no mi to szkło...

Ująłem mocno gładką pierś białego konika, tak jak jakieś czterysta lat temu chwytałem za grzywę swego gniado-karego *white horse*, uderzyłem szpicrutą po drewnianych trojańskich bokach, ścisnąłem gardło, aż zarzęził, i chlusnęła do szklanek obfita bursztynowa struga. Po brzegi.

– O! Tak pić będziemy! Po naszemu!

– No, no, nieźle. – Uśmiechnął się Magnust, wzruszył ramionami i podniósł swoją szklankę na wysokość oczu. Żółty, przezrysty, niewypity jeszcze trunek już zaczął go zdradzać, albowiem magiczną swą soczewką powiększył, uwydatnił, wyostrzył jastrzębią drapieżność ciężkiego nosa, wydusił z czaszki raczą wylupiastotę bystrzych oczu. Nie było w nich źrenic. Tylko czarne tarcze tęczówek.

Po czym wypił całą szklanicę – bez trudu, niespiesznie, wydymając tylko z odrazą pełną dolną wargę. Postawił szklanę na stole – nie zakąsił deficytową pomarańczką, nie popił dobrą rosyjską wodą borżomi, nie skrzywił się. Uniósł jedynie brew i poruszył nozdrzami. I zapalił.

Teraz mogę i ja.

No, ruszaj, stary! Wio, wio, mój trojański, wyścigowy, bojowy, wrony *white horse*!

Ach, soku kukurydziany, spirytusie samogonny! Walisz po wątrobie, aż w dołku ściska!

Uch! Wziął *white horse* zakręt, pomknął po moich arteriach, po wirażach żył, po zaułkach naczyń włoskowatych.

Żwawiej pędź, koniku! Bije dzwon szklanek – zaraz będzie kolejny bieg. Co ty, Magnust, trzymasz go za uzdę?

– Szanowny profesorze, Maja na pewno powiedziała panu, że chcemy...

– Eee, Magnust, synku, tak to nie da rady! Cóż to za ceremonie: szanowny profesorze! My ludzie prości, my takiej Francji-elegancji nie uznajemy! W ten sposób to zaczniesz mi jeszcze mówić „wielce zasłużony pisarzu”, „szacowny prezesie federacji piłki nożnej” czy „panie laureacie”! Nie, tak nie da rady! Mów mi po prostu tato, czy, po waszemu, *lieber Fater*...

– Przestań świrować, bydlaku! – zasyczała sina z nienawiści Majka. Ach, lazurowe córeczki, błękitne dziewczątka Degasa!

I Magnustowi nie spodobało się jej zachowanie – chlasnął ją spojrzeniem jak pałką. Przycichła córcia. No, widać oni na poważnie.

– Czemu nie, Majeczko? – łagodnie spytał Magnust. – Dla mnie to nic trudnego. Mogę zwracać się do naszego *lieben Fater* także per „panie pułkowniku”, jeśli sprawi to mu przyjemność...

Zuch córeczka, zuch Majeczka, nie ma co! Wszystko wypaplała, gnida parszywa. Taak... Ale ja już krzepko siedzę wierzchem na *white horse*, na ich własnym trojańskim koniku-garbusku – nic mnie teraz nie obchodzi.

– *Also*... A zatem, postanowiliśmy, drogi tato. pobrać się z pańską córką, i prosimy pana o współpracę...

No, proszę, czego doczekałem, w mordę: w moim domu mówi się *also* – jak na filmie o gestapo. No, niechby tak Tichon Iwanycz, mój Stirlitz z Wołogdy, posłuchał – ale by się ucieszył! Dojdzie do tego, że niedługo u mnie przy stole będzie się szwargotać w jidysz.

– Bardzo się cieszę, synku, gratuluję wam z całego serca, niech wam Bóg da, mój drogi, wszystko co najlepsze.

– Ale mamy pewne trudności...

– A kto ich, kochany, nie ma? Wszyscy miewamy trudności. Zwłaszcza w pierwszym okresie małżeństwa. O, zapamiętajcie, dzieci, co mówi Talmud: „Trudniej Bogu szczęśliwe małżeństwo stworzyć, niż zmusić do rozstąpienia się Morze Czerwone”.

– Zaczynam myśleć – powiedział Magnust – że jeszcze trudniej jest Bogu zmusić do rozstąpienia się granicę radziecką...

– Magnustik, kochany, a po cóż ona się ma rozstępować? Ona przecież tylko dla Majki jest zamknięta, a dla ciebie otwarta na oścież! Przeprowadzaj się do nas, wydzielimy wam z Marineczką jeden pokój z naszych dwóch, zameldowanko ci czasowe załatwię, i będziemy sobie żyli wszyscy razem, w rodzinnym gronie, jak u Pana Boga za piecem. A tam będziecie musieli czekać w kolejce do spółdzielni. No jak? Zgoda?

Magnus uśmiechnął się powściągliwie:

– Mówi pan poważnie?

– A można żartować w takich sprawach? Małżeństwo to w ogóle rzecz poważna. Ja osobiście gotów jestem dla was na wszystko. Gdybym szkielec z ciała mógł wyjąć sobie za życia, też bym go wam oddał... Przecież oprócz was nie mam nikogo... No i Marineczki, pocieszycielki starości mojej...

Już w momencie, gdy padły słowa o wydzieleniu pokoju, Marina trwożnie poruszyła się w swoim kącie, zakręciła się na krześle, zafalowała piersią – miała ochotę odezwać się, zakrzyczeć, wczepić się dziatkom w gardła. Ale niewiadomym sposobem, dzięki jakiemuś słabemu impulsowi w limfatycznym mózdzku domyśliła się: jeśli otworzy usta – rozwałę jej łeb.

– Niepotrzebny nam pański szkielec, proszę korzystać z niego na zdrowie – powiedział Magnust. – Potrzebna jest nam pańska pisemna zgoda na ślub.

– Aleście wy, cudzoziemcy, przywiązani do papierów – zauważyłem z goryczą. – Świstek papieru droższy jest dla was niż to, co najświętsze. Przecież radzę wam z głębi serca: mieszkać tutaj...

– Dzięki, ale to nas nie urządza – uciał Magnust, a w oczach Majki zabłysnęła sierocy żal.

– No cóż, drogie dziatki – wyrzekłem. – W takim razie, jak powiedział przed egzekucją Jezus Chrystus do Poncjusza Piłata, umyвам ręce.

Pomilczeliśmy wszyscy w zadumie. Chlusnąłem sobie do szklanki białego konika i ze smakiem wypilem. Głęboko poszło, gorąco, mocno, po śledzienie walnęło.

Zwróciłem się do zięcia serdecznie:

– Nie trap się, Magnustik, nie złość się, nie narzekaj. Lepiej spróbuj nas zrozumieć. Jesteśmy narodem szczególnym, do nikogo niepodobnym. Ty myślisz, że Majka chce z tobą wyjechać? To nie całkiem tak. Choć ma domieszkę krwi żydowskiej – mimo wszystko to nasz człowiek, rosyjski! U was ciężko jej będzie żyć w tym dobrobycie, nudno, jałowo. Zateśkni szybko za domem, zapragnie wrócić z powrotem. A tu rnie wolno! No i będzie miała kłopot: rzuci cię, z rąk do rąk pójdzie...

Ani jedna żyłka w jego smagłej twarzy nie drgnęła, uśmiechnął się tylko grzecznie:

– Patrząc na pana, gotów jestem uwierzyć, że jesteście narodem szczególnym, do nikogo niepodobnym...

– I słusznie! Wierz mi! Ja cię nie oszukam! Wiesz, jak nazywa się Rosja po łacinie? Nie? Rutenia! To słowo na pewno pochodzi od rutyny. A rutyna to powielanie obyczaju, tradycji, legendy. I nie ma u nas takiej tradycji, żeby rozdawać córki...

Pokiwał swą kędzierzawą, uczoną, hebrajską głową, nalał sobie pewną ręką whisky do szklanki, i to nie na palec – na dłoń, i bez drgnienia powiek wlał w gardło. W ogóle zachowywał się spokojnie, z opanowaniem.

I z jego spokoju, z tego, jak cicho zachowywała się przy nim Majka, wiedziałem – wyczuwałem instynktem starego karciarza, hazardzisty – że nie wszystkie atuty zostały wyłożone na stół. Ostateczna rozgrywka jeszcze przed nami.

Ale on i tak nie ma szans. Moja karta zawsze będzie starsza.

– I los pańskich dzieci, pańskich wnuków też nie ma dla pana znaczenia? – spytał leniwie Magnust.

I nagle mnie tknęło, usłyszałem sygnał dalekiego alarmu: on mnie nie oskarża, nie szuka na mnie haczyka, i nie wypytuje tak po prostu. On prowadzi, według jakiejś dziwnej taktyki, wstępne przesłuchanie. On ma plan – nie chodzi mu o moją pisemną zgodę na ślub, ale o coś większego. Ważniejszego. Bardzo dla mnie niebezpiecznego. Ale o co mianowicie?

– To macie już dzieci? – zdziwiłem się.

– Na razie nie. Jak Bóg da, będą.

– No, to pogadamy, jak będą. Choć ja bym ci, Magnust, nie radził. Po licha ci one? Wielkiemu człowiekowi, prawdziwemu mężczyźnie, działaczowi, dzieci niepotrzebne. Odwracają uwagę, przeszkadzają, rozstrajają. Facet z dziećmi na rękach nie przebije się do czołówki. Weź na przykład waszego Adolfa, Schicklgrubbera, czy zostałby führerem, gdyby piątka maluchów mu się po domu pałętała? W zyciu...

– Jasne – kiwnął głową niedoszły zięć. – Podobnie jak wasz Lenin. Ten sam przypadek.

Majka wycedziła przez zęby:

– Muły się nie rozmnażają; przyroda nie pozwala na takie bezceństwa.

– Ech, Majeczko, Majeczko! – Pokiwałem ze smutkiem głową. – No i po co się tak nieładnie wyrażać o świętym człowieku? Poza tym w przypadku Rosji nie jest to prawidłowość historyczna. Towarzysz Stalin miał dzieci...

– Aha! Przypomnij jeszcze Iwana Groźnego i Piotra Wielkiego. – Majka roześmiała się przenikliwie. – Miło pomyśleć, że każdy z tych tyranów miał jedno dziecko, zdrajcę, a drugie własnoręcznie zamordował...

– Głupia suczko, nie rań mi serca. Co ty o nich wiesz? Co wiesz o mnie? Ja przecież nie jestem tyranem, jestem tylko opricznikiem. Dlaczego i mnie spotkał ten sam los – jedno dziecko zabite, a drugie to zdrajca?

– Uważa pan, że ma pan prawo decydować o naszym losie? – zapytał Magnust.

Roześmiałem się z całego serca:

– Ale z ciebie zabawny gość! A kto komu daje prawa? Dają tylko obowiązki. A co do praw, to ile kto ich sobie wziął, tyle ma!

Wsluchiwałem się w ciszę, w siebie, w spalanie się alkoholu w moich żyłach, obserwowałem burzliwe reakcje chemiczne w moim organizmie. Wszystko było tam w porządku.

– Pan się nigdy nikogo nie boi? – spytał nagle cicho, niemal dobrotnie Magnust, i od tego dobrotnego głosu z sykiem trysnęła mi do krwi adrenalina, zamarło na moment serce, zgubiło rytm, a potem jak szalone ruszyło galopem. Przeciwożarowe systemy schładzania wyrzuciły poprzez rozpylacz porów strużki potu, krótkim łomotem ozwała się awaryjna sygnalizacja w uszach, a rezerwuuar pęcherza napiął zawór zwieracza, gotów momentalnie upuścić nadmiar moczu.

Atut został ujawniony.

Atut – to piki.

Odwrócone do góry nogami czarne serce.

Piki – to strach.

„Wy się nigdy niczego nie boicie?”

Słyszałem już to pytanie. Słyszałem ten głos. Może nie głos, a intonację. Życzliwą, dobrotną, przerażającą.

Kto zadawał to pytanie? Gdzie? Kiedy? W jakich okolicznościach?

Boże! To przecież mój głos! To ja zadawałem to pytanie! Ja!
Komu?

Audi, vide, sile.

Czy mogę sobie ich wszystkich przypomnieć?... Uniosłem głowę i zobaczyłem, że Magnus patrzy mi prosto w oczy. Po raz pierwszy. Koszmarne czarne krążki strzelniczych tarcz wparły mi się prosto w mózg.

Znaczy, że postawiłeś na piki, drogi zięciu? No cóż, tym gorzej dla ciebie – ja też lubię bezlitosną, twardą grę.

– Pan się nigdy niczego nie boi?

– Oj, synku, nie rozumiem cię. A czegoż miałbym się bać? Przecież ja, o, popatrz, cały jestem jak na dłoni! Czego mam się bać?

Nachylił się ku mnie przez stół, oczy jego były tuż obok, nieprzyjemnie brzęknęły wszystkie te jego szamańskie łańcuszki i bransolety, i powiedział tak cicho, że tylko ja jeden usłyszałem, zupełnie jakby poprzez artykulację warg przekazał mi umówiony sygnał.

– Na przykład sądu...

I tak samo ledwie dosłyszalnie odpowiedziałem mu:

– Nie ma takiego sądu. I sędziów nie ma nad nami. I powodów już nie ma...

– Są – odparł twardo. – Ja twierdzę, że są.

A ja powiedziałem:

– Nie. Nie ma już takich ludzi. Wszyscy umarli.

Uśmiechnął się kątem swoich złych, mocnych ust i zapewnił mnie:

– Są. Nie wszyscy umarli.

– Ciekawe kto? A w ogóle to nie masz prawa z nimi rozmawiać!

Magnust przyknął na moment oczy i szepnął z przekonaniem:

– Co do praw, to ile kto sobie wziął, tyle ma!

Ach, ty żydowska mordo...

Nie, on nie ma mordy, tylko twarz. Mordy mają nasze moški. A ich – twarze.

Ech, wypić by teraz! Tylko że nie ma co – trojański *white horse* wyzionął kukurydzianego ducha, zwałił się na bok, wykorkował.

I w domu ani kropli, żoneczka dba przecież o mnie, strzeże mego zdrowia, pilnuje, żeby na szmaty dla niej starczyło.

Och, ta potworna udręka niedopicia! Rozpalona otchłań pod wyschłymi niebiosami. Wściekłość przerwane*go coitus*. Tęsknota głodu*jącego* za wyrwanym z ust kęsem. Wysychająca energia mego nienasyconego serca.

Przycichłe po kątach baby. I obojętnie spokojny zięciaszek naprzeciwno. Spokój odwiedzonego kurka, zwisającej nad głową cegły, rozwartego w ciemności kanalizacyjnego luku.

Jemu niepotrzebny jest papierek. Jemu potrzebna jest moja głowa. Na mniej się nie zgodzi. Tym gorzej dla niego.

Jemu na pewno i Majka nie jest potrzebna. Mnie szukał, podlec.

– Czyżbyś mi groził, synku?

– Nie. Ja tylko wyjaśniam panu zasady gry.

– Czegoś tu nie rozumiem. Bądź tak dobry, opowiedz mi dokładniej o tej grze.

– To nie jest właściwy moment – Magnust wstał i dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że jest tego samego wzrostu co ja. Sto osiemdziesiąt jeden centymetrów. *King size*.

Uśmiechnął się życzliwie, skarcił mnie z lekka:

– Nie należy przekształcać rodzinnej wizyty w spotkanie służbowe. O grach porozmawiamy jutro. Dziś jesteśmy mile poruszeni, nieco zmęczeni, radośnie wzruszeni. Powinniśmy odpocząć i uspokoić się. Dobranoc, drogi *Fater*...

Wyciągnął do mnie rękę. Wcale nie marzyłem o tym, żeby ucisnąć mu dłoń na pożegnanie, ale miałem ochotę sprawdzić siłę jego uchwytu. Dłoń jak z dębowej deski wystrugana. Parkiet z takich można układać.

Skądś z przedpokoju dobiegł jego głos, miękki jak prośba:

– Proszę przemyśleć sobie wszystko bez pośpiechu... Przypomnieć sobie to, co poszło w zapomnienie... Pytań będzie sporo...

I cisza.

Teraz wychodzą z Majką z windy, defilują obok mego stróża, meklemburskiego wołogodczyka, a on nie dostał rozkazu – i wypuszcza ich z zony bez przeszkód, tylko ptaszka na tekturce postawił, nie wie bratnia dusza, Tichon Iwanycz, że można im teraz po plecach długą serią przejechać – potem spisujemy na straty jako uciekinierów... Ach, co za głupota! I psów już się nie da wypuścić na ich zagraniczny ślad, żydowski zapach – wyszli na deszcz,

a na spotkanie już im podprowadza samochód Palacz, w oczy swemu zleceniodawcy zagląda, spocone rączki zaciera, wije się, wdzięczy, w przemo-
klej szkolnej kurteczce kurczy się ze szczęścia...

Odjechali, lotry, odjechali...

Boże, jak mi się chce napić! Ostatnie kropelki alkoholu dogorywają błękitnymi ognikami w gasnącym ognisku moich nadpalonych wnętrzo-
ści.

Wszystko jedno co – byle wypić! Gdzieś mam wygląd, dodatki, wypeł-
niacze... Potrzebne mi jest moje paliwo – czarodziejska substancja o kaba-
listycznym imieniu C_2H_5OH .

O, boska słodyczy ogórkowego płynu do opalania! Prześladuje mnie twój
aromat pól.

Urzeka mnie i mam tropikalna, cienista zieleń wody kolońskiej Chypre.

Męski kopniak – palący haust bezbarwnego płynu przeciwko poceniu się
stóp.

Moja pociecha – Dinoczka – błękit niebios, czarowny spokój denaturatu.

Miły zapach leśnej rosy – diabelskiego mleka – nalewki na grzybie „cza-
ga”.

Cisza aksamitnej czerni Paula Robsona – czystego, nierozcieńczonego
kleju BF.

No, choćby flakonik francuskich perfum na szklankę wody! Będę bekać
fiolkami Montmartre, roztaczać aromaty placu Pigalle, porzygam się Etoile
i zesram Ścianą Komunardów...

„Nie ma w życiu szczęścia”. Nie ma nic do picia, nie ma dobrych dzieci,
nie ma niezawodnych ludzi, nie ma porządných kurew.

„Nie zapomnę mej matuli”.

„Pójdę szukać jej po świecie”^{*} – szukać, gdzie można wypić choć łyżek.

– Marina, podaj palto!

– Gdzie cię czort po nocy niesie? – krzyknęła z sypialni.

– „Lubię, kochani, pójść w Leninowskie Gó-ó-óry... – zaśpiewałem słod-
ko. – Tak miło tam we dwoje witać świt...”

Dopełzłem jakoś do przedpokoju, wsadziłem rękę do szafy, starając się
namacać kozuch.

^{*} Trzy zacytowane teksty, to popularne w przestępczym świecie ZSRR tatuaże, przy czym
zwykle na jednym ramieniu było wytatuowane: „Nie zapomnę mej matuli”, a na drugim –
„Pójdę szukać jej po świecie”.

A jego, skurczybyka, nie było.

Zapaliłem światło, otworzyłem na oścież szafę – i odskoczyłem.

Na wieszaku parowała deszczową wilgocią niebieska szkolna kurteczka.

8. Lukullus na obiedzie u Lukullusa

Q*uo vadis?* – spytał mnie rodowity meklemburczyk wologodzkiej narodowości, Tichon Iwanowicz Steiner.

– Żeby coś wypić – powiedziałem konfidencjonalnie.

Zaśmiał się ze zrozumieniem, ukazując brązowe zęby, błysnął błękitnymi, dziecięcymi oczami, ale nie uwierzył. I miał rację, rzecz jasna.

Ale wybaczył mi, powiedział troskliwie i współczująco:

– Długi dzionek miał pan dzisiaj. Odpocząłby pan trochę... – I odwołał się do autorytetu naszej rytualnej księgi: – „Spać, odpoczywać na leżąco, nie rozbierając się”.

Paragraf 28 regulaminu służby wartowniczej wojsk konwojowych.

O, wielka harmonio regulaminów! Ewangeliczna wzniosłości waszych artykułów! Talmudyczna mądrości paragrafów i rozdzierająca serce rozkoszy przypisów!

Po co, głupi ludzie, męczycie się sami i męczycie innych, nie chcąc zrozumieć, że wasze poszukiwanie Boga, dobra, piękna i sprawiedliwości – to bzdura, nonsens, próżna, daremna biegania?

O, bezgraniczna swoboda wojskowej dyscypliny!

Czarodziejska sztuka słusznej subordynacji!

Dobrotliwy humorze batalionowych koszar!

Upajająca uroda szyku naszych oddziałów!

Majestatyczna duchowa głębio rozkazów sierżanta...

Nie podoba się wam?

Nie chcecie?

No to kit wam w ucho. Życie, jak macie ochotę. Gdybyśmy tylko mieli z Tichonem Iwanyczem taką możliwość, to byśmy wam to szczęście gwałtem do gardła wepchnęli. Ale na razie nic z tego. Kto wie – może z czasem się opamiętacie. Wtedy spróbujemy jeszcze raz.

Bo przecież, jeżeli podejść do sprawy uczciwie, jeśli mówić szczerze, z ręką na sercu – ludziom niepotrzebna jest wolność. Po co im ona? Od

narodzenia swego, od półmroku zarania – nie był człowiek wolny. Wymyślili tę głupotę – samowolę – dopiero w czasach słabości ludzkiej.

Brzucho zawsze pożałowało wolności, kiszki najgłośniej ze wszystkich wołały. Radowały się, że praw mają coraz więcej, a mięśnie słabły coraz bardziej, aż wreszcie skończyło się to przepukliną. Do kolan worek zwisa, co z nim teraz zrobić? I niewygodnie, i nieestetycznie. I niebezpiecznie. Zamiast dwóch niedużych życiodajnych jąderek masz teraz pełną moszną burczących, poplątanych kiszek. Noś je i rozmyślaj o ograniczeniu ich praw... No, komu to potrzebne?

– Kto ma przepuklinę? – spytał z zainteresowaniem mój wartownik Tichon Iwanycz i rzucił się już, żeby sprawdzić, czy ma to odnotowane w swoich zapiskach.

Zacząłem na głos myśleć. Niedobrze. Moja dusza pragnie swobody, przepuklina jej się marzy. Właśnie do niej zmierzasz, idiotko skończona. Szkoda tylko, że jajom żyć przeszkodzisz, pytaniami głowę będziesz zawracać.

– Myślę, Tichonie Iwanyczu, że ludzkość dostała przepukliny – powiedziałem z udręką, przepelniony szczerym bólem.

– Tak? – zdziwił się. Pomyślał i poradził: – Bandaż trzeba nałożyć, porządny...

Objąłem go, prostego człowieka pracy, mądrego prastarą mądrością, pobożnego pobożnością żywiółów, ucałowałem po trzykroć według obyczaju naszego pradawnego – i poszedłem. W zgniliznę marcowej nocy.

Rutenia. Legenda, obyczaj.

Oślepiająco biały błysk przecinający niebo – szare, niskie, wiszące tuż nad głową.

Błyskawica – rozczłonkowana niczym pęk sznurków – przebija się poprzez wojlokową kopułę obłoków.

Pionowe strugi deszczu, nasiąkłe fioletowym odbłaskiem, rozmywają resztki śniegu – czarnego, śmierdzącego dymem, zmarniałego.

Marcowa burza – histeria przyrody, wybryk tego oszalonego świata.

Liliowe rozbłyski pływają po widnokręgu – w piekielnej kotłowni pioruny wybuchają, Palacz zajadłe przegarnia węgle w palenisku.

Trzeba dać nurka w przytulną kapsułę miękkiego wnętrza mercedesa, zatrzasnąć za sobą z hukiem szczelne drzwiczki, odseparować się od wilgotnego mroku tej obłąkanej nocy, przekręcić kluczyk w stacyjce – i ozwie się równy, drobny tupot setki koni, zastałych pod derką w wilgoci i chłodzie, ruszą z kopyta galopem, zarzą basem, zaplaszczą po kałużach miękkimi, niepodkutymi kopytami, i w kibitkę mojego odosobnienia ześlą światło,

ciepło, zabrzmią z głośników homoseksualne, słodkie jak konfitury pienia Demisa Russosa.

O, mój piękny, stalowy tabunie koloru popielatego, Pegazy moje benzynowe, wykarmione jędrnym owsem, napojone źródlaną wodą w stajniach złego, starego Flika – koniki moje kochane, wspaniała rączka stadnino, numer rejestracyjny MKT- 77 77, zawieźcie mnie na łąki Edenu, a najlepiej – na Pola Elizejskie. „Następny przystanek – plac Zgody!”

Tam zostaną wybawiony od Palacza. Tam Palacze nie istnieją. Palacze – to nasz twór: marcowych burz, ponurego pijaństwa, zapiekłej złości wszystkich na wszystkich.

Jedziemy. Uciekniemy stąd.

Wsunąłem rękę do kieszeni jesionki, a kluczyków nie ma. W kożuchu były. Palacz je zabrał.

Ukradł poganiaczowi bat.

Pójdziemy piechotą. Do Pól Elizejskich za daleko. Pójdę do hotelu Sowetskaja.

Dwie przecznice do metra, a stamtąd – jeden przystanek. Nie, nie pojadę metrem. Nienawidzę go. Wszystkie te podziemne przejścia, tunele, schody – to szare jelita miasta, po których ganiają złe przetrawionych, śmierdzących obywateli.

Niech żyje mądry system służbowych samochodów dla kierownictwa! Zapewnia on przejazd na lewo każdemu porządnemu obywatelowi miasta. Za rozsądną opłatę. Oto zaleta nieformalnego rozdziału dóbr.

I jedyna okazja do wolnego głosowania: stoisz sobie na chodniku, machasz ręką na kogo chcesz – na zaporozca, na żiguli czy choćby na kursowy autobus. A w pierwszej kolejności – na służbową czarną wołgę.

Demokraci! Głosujcie na śmieciarki!

Radykałowie! Podnieście swe ręce na rzecz wozów strażackich!

Palacze wszystkich krajów! Oddajcie głosy na karawany i czarne kruki*!

Aha, a oto i mój samochód, wolny, przez nikogo niezajęty, dla mnie przez naród przygotowany. „Lewacy” całego północno-zachodniego rejonu naszej wielkiej stolicy słyszą miły szelest rubli w mojej kieszeni.

Szary motylek, który przebił się, idąc za miękkim światłem mojego rubelka, przez grozę marcowej niepogody, sfatygowany moskwicz pogotowia ratunkowego z portretem niezapomnianego Bossa za przednią szybą, drogiego Józefa Wissarionowicza Stalina, przyjaciela wszystkich sportowców i podróżników.

* Tak nazywano karetkę służącą do przewozu aresztantów.

Pochwycił mnie mokrym skrzydełkiem powgniatanych drzwi i uwiózł, by udzielić mi natychmiastowej pomocy.

- Dokąd? – spytał kierowca, miły młodzieniec o twarzy degenerata.
- Hotel Sowietskaja.

Zamyślił się i auto dwukrotnie podskoczyło na głębokich wyrwach w jezdni, po czym rzekł uroczyście:

- Sowietskaja... Sowietskaja... A gdzie to jest?
- Najpierw pojedziemy Czerwonej Armii, potem Czerwonych Kursantów, potem Czerwonej Gwardii, skręcimy w Czerwonego Proletariatu, wjedziemy w Czerwonych Koszar, przetniemy Czerwonych Bohaterów, zawrócimy na placu Czerwonym, stamtąd w dół Czerwonych Sowietów i będziemy na miejscu. Jasne?
- Jasne. – Skinął głową szofer. – Ale nie całkiem...
- To jedź prosto, frajerze – powiedziałem od serca.

Moskwicz znowu zapadł się w rów, o mało co nie rozwałił w nieprzeniknionej mgłę zapory z desek, zarzucił zadem po oblodzeniu i potoczył się naprzód.

– Mimo wszystko drogi mamy do dupy. – Podzielił się ze mną zdziwieniem kierowca. – Wszędzie bajzel...

Na jego tępej twarzy nie było gniewu ani złości. Bajzel to rzecz normalna, część przyrody.

- A czemu wozisz portret Stalina? – spytałem.
- To prawdziwy przywódca... za jego czasów porządek był!
- Odrobinę pocieplało mi w sercu, pożałowałem go, ciołka.
- Na lewo – odpowiedziałem mu na ulicy Raskowej. – Teraz na prawo. Teraz w ten prześwit...
- Tutaj nie wolno – nieśmiało zauważył szofer. – Zakaz.
- Skręcaj, powiedziałem! Mnie wolno. A teraz hamuj.
- Już jesteśmy? A tyle pan naopowiadał...

Wyciągnąłem ku niemu rubla i otwierając drzwi, powiedziałem:

– Teraz wysił swój kurzy mózdzek i postaraj się zapamiętać, co ci powiedział człowiek, który osobiście znał Stalina. Gdyby Boss zmartwychwstał i zaczął przywracać porządek, o którym tak marzysz, to jako pierwszych rozstrzelałby tych, co wożą na przedniej szybie jego portret.

- Dlaczego? – Chłopakowi zadrżał ze strachu zmięty podbródek.
- Pomyśl, dumniu! Porządek opiera się na dyscyplinie...

Nieszczęsne matolki. Nijak nie potrafią zrozumieć, że świetlany gmach ludzkiej harmonii, szczyt stosunków międzyludzkich – piramida totalitarnej

władzy – dławi swoim majestatem nie tych z lewa i nie tych z prawa, nie swoich i nie cudzych. Ona unicestwia samodzielność. Religia tego wzniosłego sytemu – to posłuch. Kiedy będzie trzeba, wówczas ci, co trzeba, zajmą tym, kogo to dotyczy, dopuszczalny zakres ich protestu i stopień ich zachwytu.

Kto tego nie rozumie, ten jest jak nasz wiejski głupek Anufrij, który biegł ulicą, zachłystując się pełnym zachwytu krzykiem: „Niech żyją Lenin, Trocki i Bojko!” Lenin był prorokiem rewolucji, Trocki – pierwszym apostołem, a Bojko – to był nasz wiejski milicjant. Wszystkim się to podobało. Potem jednak okazało się, że Trocki to najgorszy wróg naszej partii, naszego narodu, naszego państwa i naszego wodza. I nie sposób było tego wytłumaczyć kretynowi Anufrijowi, on nie rozumiał nie tylko praw walki klasowej, ale nawet imienia swego właściwie zapamiętać nie potrafił. I tym sposobem zmusił jednego z trzech swoich idoli – Bojkę – by odwiózł go do rejonowego GPU. My, chłopaki, bieglśmy za furmanką, a Anufrij, stojąc niczym cesarz na rydwanie, krzyczał ku nam radośnie: „Niech żyje Lenin, Trocki i Bojko!” Powożący koniem Bojko rzucał lejce i w środku zdania zatykał idiocie usta, żeby swoimi antyradzieckimi okrzykami nie zaraził zgnilizną naszych czystych pionierskich duszyczek.

Tej samej nocy, bez zbytecznej biurokratycznej mitręgi i matactw żądnych zysku prawników, zaduszono Anufrija w piwnicy uzdeczką, a Bojko, serdecznie bolejąc po swoim umilkłym trubadurze, zakopał go pod murem starego cmentarza.

Ale spirala losu jeszcze nie zakończyła swych dziwacznych manewrów i w trzydziestym siódmym roku kazała milicjantowi Bojce stłuczryżego ochlapusa i złodzieja Pryżowa, pisarza z rady wiejskiej, który nazajutrz, udęczone kacem, poinformował NKWD, że osobiście widział, jak Bojko gorzko płakał, dowiedziawszy się o straceniu zatwardziałego trockisty Anufrija Bezimienego, poplecznika kulaków, symulującego chorobę psychiczną, by skutecznie prowadzić antyradziecką propagandę. Po Bojkę nawet nie przyjechali, a po prostu wezwali go do rejonu. Po tygodniu odesłano konia wraz z furmanką.

Wydawałoby się, że na tym koniec? Wystarczy? Ale dziwactwom losu właściwe jest tajemnicze dążenie, by postawić kropkę nad i. W czasie wojny przez tydzień stacjonowali w naszej wsi Niemcy. Wystarczyło im tego czasu na to, żeby zjeść wszystkie kury, powiesić kulawego przewodniczącego kolchozu i wyznaczyć na starostę Pryżowa. Dlatego, kiedy Niemców

wyrzucono, na spotkanie naszych wojsk biegła, wyprzedzając własny krzyk, wdowa po milicjancie Bojko z opowieścią o zdradzie Pryżowa. Trzeba było załatwić i Pryżowa.

Nasze normalne radzieckie *ius talionis* – oko za oko.

Któż wie, kto potrafi wyjaśnić, do czego potrzebne były losowi takie homeryckie motywy w nędznym, zapitym siedlisku dzikich włościan? Żeby na budynku rady wiejskiej wisiał teraz purpurowy transparent z jednym imieniem, bez żadnych podczepionych bezprawnie opryszków?

Niech żyje wielki Lenin. I kropka.

Stukałem monetą w szybę witryny obok drzwi – tajnego wjazdu, wejścia do zamkniętego hotelu, i usiłowałem sobie przypomnieć, co połączyło w moim rozpalonym mózgu Lenina na budynku rady wiejskiej i Stalina na przedniej szybie samochodu? I z kłębowiska zmiętych twarzy, krzyczących ust, zatykanych przez pulchne dłonie, z wijących się uzdeczek, z głębokich wyrw na drodze – być może rozkopanych, zapomnianych grobów – z przygnębienia i grozy marcowej nocy wyrastało coś potwornego, beznadziejnego, odrażającego...

...Mangust. Zdolny chłopak. Do wszystkiego. Niby nie rzuca się w oczy, ale jest szybki. No, zobaczymy. Jeszcze zobaczymy, kto z nas szybszy.

Nie ma nad nami sędziów. I ty, Mangust, też nim nie będziesz.

Chcesz urządzić w teatrze cieni autentyczny przelew krwi? No cóż – przecież to nie ja cię szukałem, to ty mnie znalazłeś...

– Otwieraj, Kowszuk! To ja! – I w owalu szyby, schlastanej lodowatą marcową ulewą, pojawiła się biała, nalana twarz Mangustowego losu, prosta, beznamiętna i nieubłagana.

Twarcz patrzyła na mnie obojętnie, krzaczaste brwi nie uniosły się ani o milimetr. A przecież poznał mnie od razu: zapamiętywanie ludzi raz na zawsze i rozpoznawanie ich natychmiast to był jego zawód, i pomylić się nie mógł. Wargi ledwie dostrzegalnie poruszyły się i gotów byłem przysiąc na wszystkich przeklętych tego świata, że szepnął: „A jednak przyszedłeś!”

Tak, przyszedłem do ciebie, Kowszuk, otwieraj, ukaż mi swoje oblicze anioła śmierci. Ruszaj się zza progu, stary toporze, ździebko zardzewiały, a mimo to wiecznie naostrzony.

Wskazał głową na prawo: idź do drzwi!

Szczęknął brązowy rygiel, uchylili się zapraszająco potężne podwoje. Dałem nurka w zbawcze ciepło przedsionka, powitał mnie gorący, stepowy

podmuchał kaloryferów, pomknąłem w fioletowy półmrok westybulu – na spotkanie admirała Kowszuka.

O, szczęście mimikry, czarodziejska sztuka zmiany wcielenia!

O, czarne sukno munduru, złote galony, złoty hafcie kaszkietu!

Admirał floty szwajcarskiej...

Bezmyślni wielbicieli morza, czy słyszał kiedykolwiek ktoś z was szum ludzkiego oceanu, który pluszcze u stóp Kowszuka, na jprawdziwszego kontradmirała? Czy znany jest wam słony wicher nałogu, buszujący w gwałtownych porywach po kątach jego przystani?

A zawziętość abordażowych potyczek pod drzwiami restauracji?

Skarby Flinta, zabrane w charakterze napiwku wystraszonemu konsumentom?

Nieznane kontynenty i wyspy, odkryte podczas handlu wymiennego z łątwoiernymi tubylcami, którzy przyplłynęli na czarnych pirogach wołg?

Badania hydrograficzne w marmurowym wychodku?...

Przyjacielu mój Kowszuku, współbojowniku mój i kontynuatorze dzieła Uszakowa i Nachimowa, przyszedłem do ciebie, żeby pogawędzić troszeczkę, drogi mój antyadmirał, wychowawco mój i nauczycielu, towarzyszu starszy szwajcarze. Nie ściągaj tak surowo swoich kosmatych brwi, nie dręcz mnie obcością swych zaciśniętych warg, nie przytłaczaj mroczną obwisłością tłustych białych fafli!

Wszak jesteś stary, mądry i zły, wszak wiesz – nie chodzi o to, że ty jesteś Kowszuk, a ja – Chwatkin, żeśmy się wiele lat nie widzieli, że ty jesteś szwajcarskim admirałem, a ja – profesorem bezprawia, że, wreszcie, obaj jesteśmy patriotami, towarzyszami partyjnymi i ludźmi radzieckimi.

My przecież, Siemion, jesteśmy opricznikami. Od tego donikąd uciec się nie da. Jesteśmy czymś w rodzaju mrówek czy pszczoł – wołę, rozum i cel mamy ten sam. Niby każdy zajmuje się sobą, ale zadanie mrowisko czy rój mają wspólne – przetrwać. Żyjemy osobno, ale jeśli umieramy – to wspólnie.

– Tak, jasne... – odpowiedział na moje myśli Kowszuk. A ja poklepałem go po ramieniu i zaproponowałem:

– Traktuj mnie, Sienia, jak pleśń penicylinową: odrażająca, a jednak szalenie pożyteczna.

Z godnością skinął swoim admirałskim kaszkietem i poprowadził mnie do pokoiku za szatnią.

A pozostała admiralicja – szatniarze, portierzy i dziadki klozetowe, dorodne tyse przystojniaki, szwajcarscy gwardziści – patrzyli na mnie z ukosa,

z szacunkiem i obawą, gdyż prowadził mnie do siebie, do kabiny dowodzenia, sam starszy kontradmirał.

Och, ta szwajcarska konfederacja! Zapamiętaj mnie, niestety, doskonale te sukinsyny – tak jakbym został sfotografowany. Toż to wszystko nasi ludzie: emeryci, rezerwiści i zwolnieni za niemoralne prowadzenie się.

Ale tak czy owak, innego wyjścia nie miałem. Nie miałem czasu na zakonspirowane spotkania z Siemionem – mój zięciaszek Mangust sprawiał wrażenie niezwykle szybkiego gościa.

W kabinie dowodzenia wrzała praca, szykowano się do nocnego szturm. Postawny, przypominający kardynała szwajcar i zwinny czarniawy kelner z restauracji sporządzali „śmietankę”. Szczyt geniuszu, oślepiający gejzer alkoholowego manufacturingu – oto czym jest „śmietanka”.

Ze wszystkich kieliszków, stopek, pucharków, szklanek, czar, butelek – wszystko, co zostało niedopite przy stolikach ogromnej restauracji, zlewano teraz do ocynkowanego zbiornika. Kotłowały się w nim strugi wytrawnego wina i zwietrzałego szampana, skrzepy likierów, bezsilne męty koktajli, ciężka zawiesina podłych portwajnow i siarkowa tęcza wódki. Do tego – kubek brązowego syropu z palonego cukru i butelka technicznego spirytusu.

Prosimy bardzo, „śmietanka”* gotowa!

Co państwo piją? Muskat z południa? Szampana brut? Likier kawowy czy marascan? Balsam ryski czy calvados? Dżin? Whisky?

Co jeszcze piją prawdziwi mężczyźni i kobiety, amatorzy słodkiego życia, utracjusze, wesółki, nocne hulaki?

Wszystko to możecie dostać – po dwa ruble szklanka – u admirała, gdy zaczniecie dobijać się po północy do jego okienka, jako że w całym ogromnym mieście nawet za milion nie sposób kupić butelki normalnego trunku.

Wobec tego i „śmietanka” z admirałskich piwnic, rocznik 1979, sprzedaje się znakomicie.

– Idźcie, chłopaki, ja tu sam dokończę. – Zwolnił swoich podręcznych winiarzy Kowszuk. Zawołał tylko w ślad za kardynałem: – Stiopa, weź jeszcze kierowników sali, za chwilę pijaki się zwalą, pindy swoje zaczną rozpieszczać...

Kardynał Stiopa statecznie kiwnął głową, a Kowszuk troskliwie przypomniał:

* Ros. *slivki*, przy czym słowo to można rozumieć również jako „zlewki” – od czasownika *slivat’* – zlewać.

– A tych tulipanów to niżej trójki nie sprzedawaj, do jutra jeszcze postoją...

Drzwi zatrzasnęły się i długo patrzyliśmy w milczeniu na siebie nawzajem. Nie wiem, co tam mógł wypatrzeć Kowszuk w mojej kościstej gębie, ale wydało mi się, że kuriozalne wąsy, przyklejone mu przez Stwórcę nad oczami, są lekko, jakby ze smutkiem opuszczone. A oczu w ogóle nie było widać – utonęły w wezbranych pagórkach obrzęklej, białej mordy.

– Jak to się mówi, przyjaciele znowu się spotykają – mruknął Kowszuk.

– Owszem – przytaknałem. – Choć prawdę mówiąc, należałoby powiedzieć, że jest to spotkanie nauczyciela i ucznia...

– A co ze mnie za nauczyciel? – Rozłożył ręce Kowszuk. Dłonie miał duże i białe, jak u topielca. – Ty, Paweł, taki bystry jesteś, że i uczyć cię nie było potrzeby...

– Nie bądź taki skromny, Siemion. Pewien poeta powiedział: „Nauczycielu, wychowaj sobie ucznia, żebyś miał potem u kogo się uczyć...”

– No, wierszy to ja nie czytam, ale tego i owego się od ciebie nauczyłem.

– I słusznie postąpiłeś, Sioma. Jestem mądry... Masz tu u siebie coś do picia?

Siemion przeniósł spojrzenie na kociół ze „śmietanką”, ale nawet mu ust otworzyć nie dałem:

– Sioma, Sioma, ja drogich trunków nie piję! Dla mnie coś zwykleszego...

Kowszuk chrząknął, poruszył się na krześle, ale ja przechwyciłem jego spojrzenie, wiedziałem już, że wódka znajduje się w szafce za stołem, skoczyłem żwawo, otworzyłem drzwiczki z dykty, złapałem z piramidki wierzchnią butelkę i z ufnym uśmiechem wyciągnąłem ją ku gospodarzowi:

– Dawaj, Siemion, walniemy sobie za nasze spotkanie, za długie rozstanie, za przyszłe wspólne życie...

Kowszuk ze złością poruszył kosmatymi brwiami, z niezadowoleniem sięgnął je w poprzek nalanej gęby, po czym machnął ręką:

– Dawaj...

O, głupia człowiecza próżności! Bezrozumna pogoni za wydumanymi regaliaми i wyróżnieniami – orderami, stopniami, tytułami! Oto prawdziwy znak wyróżnienia – wziąć bez pozwolenia butelkę Kowszuka na jego oczach. Każdego innego oprócz mnie by poćwiartował.

Kowszuk rozlał wódkę do szklanek, pokręcił w zdumieniu głową:

– Och, Paszka, nie człowiek z ciebie, a kamikadze.

Podniosłem swoją szklanę starorosyjskiej wódki, wyprodukowanej „na podstawie dawnych przepisów z wyborowego ziarna najlepszych gatunków pszenicy”, popatrzyłem pod światło na spływające po ściankach tłuste krople nafty i powiedziałem z głębi serca:

– Obaj jesteście kamikadze, Sioma. Żeby zabić wroga, nie żalowaliśmy życia. Życia innego wroga. A może i nie wroga, tylko po prostu jakiegoś dumia. My jesteście, Sioma, kamikadze szczególnego rodzaju; zabijając wrogów, zawsze pozostajemy żywi...

– Pewnie tak... – Wzruszył ramionami Kowszuk, stuknął się ze mną i wypił. I ja troskliwie ująłem w dłonie swe naczynie, graniasty mętny zbiorniczek, brudną czarę, i przelałem w siebie palącą ciecz, cudo radzieckiej alchemii, która nauczyła się destylować pszeniczną wódkę z sosnowych trocin i gównianej nafty.

Wezbrała nienawiścią ku mnie wątroba, zachłysnęła się na moment paliwem jak przepełniony karburator i poniosła mnie, lekkiego i silnego. Słyszałem w sobie huk spirytusowego płomienia, poświst mknącej jak szalona krwi, żółte ognie migają przed oczami, znikają po bokach.

– Słyszałem, Paszunia, że ważny z ciebie gość – powiedział Kowszuk. – Opowiadaj, jak żyjesz, pochwal się sukcesami...

– Obaj mamy takie same sukcesy, Sioma. Jak w piosence: „...siedzimy sobie dwaj na brzegu klozetu, niczym orły bliźniacze na wierzchach Tybetu...”

– Nie słyszałem takiej piosenki, a na życie swoje się nie skarzę. Radzę sobie pomału, pół emerytury dają, pensja, i na boku trochę kapnie...

Otworzyły się drzwi i ten sam co poprzednio sprytny kelner wniósł wielką miednicę niedojedzonych mięsnych resztek.

– Siemionie Gawriłczu, pora zakąskę szykować, zaraz ludziska się zwalą. Może już zacznę?

– Nie trzeba, synku, idź, ja tu sam dam sobie radę. Chleba nakroiłicie?

– Oczywiście, w tej torbie.

Kowszuk wziął ze stołu kuchenny, bardzo ostry nóż i ze zdumiewającą szybkością zaczął siekać w miednicy wszystkie te kawałki niedojedzonych kotletów, szaszłyków, bitek, rumsztyków, antrykotów, kurczaków, befsztyków, mieszając to wszystko z gęstym, sraczkowatym sosem strogonowa. Zdawało się, zapomniał o mnie, zręcznie rozkładając na tacy kromki chleba i garściami nakładając na nie mięsną krajanę.

– To dla nas? – zapytałem z odrazą.

– No co ty... Zaraz naród po „śmietankę” się zwali, zakąskę im szykujemy, po połówce za porcję...

O, obfitości nocnego życia, bezmyślna rozrzutności wytwornej libacji, wynaturzona wykwintności uciech!

– Nie musisz milczeć, Pasza, mów, ja cię słyszę, mnie rozmowa w pracy nie przeszkadza.

A, co mi tam! Ostatecznie wszystko jest kwestią skali. Przecież właśnie od takiej roboty zaczął swoją niesłychaną karierę młody Siemion Kowszuk.

Czterdzieści lat temu. Wielki Boss zdecydował, że pora zlikwidować komisarza ludowego Balickiego, który zdążył już ukatrupić wszystkich na Ukrainie, zagarnął zbyt wiele władzy i otoczył się swoimi ludźmi. Sam zadzwonił do Kijowa i kazał Balickiemu wyjechać z tysiącem najbardziej zaufanych współpracowników do Moskwy, jeszcze tej samej nocy. W celu likwidacji ogromnego spisku.

Dwa ekspresy odjechały nocą z Kijowa, ale o świcie ich pasażerowie obudzili się nie w Moskwie, tylko na bezludnym odcinku za chutorem Michajłowskim, na zapasowym torze między dwoma pociągami pancernymi. Do wagonu-salonki generała Balickiego wszedł wysoki młodzieniec o bladej, nalanej twarzy – nieuzbrojony, w cywilu, z czerwoną kopertą, na której widniał nadruk: Od towarzysza J.W. Stalina dla Balickiego.

Wystraszony Balicki przyjął go w gabinecie. Młodzieniec – był to Kowszuk – wyciągnął ku niemu kopertę, i Balicki trzęsącymi się rękami zabrał się do rozpieczętowywania przesyłki. A Kowszuk podszedł z boku i finką poderżnął mu gardło – od ucha do ucha.

Potem wyjrzał do poczekalni i powiedział adiutantowi, że generał prosi swojego zastępcę Biernackiego. Po minucie Biernacki wszedł do gabinetu i momentalnie zginął, pchnięty finką w gardło – po rękojeść.

Z genialnym uporem idioty wyjrzał Kowszuk znowu do poczekalni i zawezwał naczelnika eszelonu. Jego zabijać nie było trzeba – i tak zszedł jak nieboszczyk, zobaczywszy przy stole Balickiego z oderżniętą głową.

– Każ wszystkim wyjść z wagonów – powiedział Kowszuk do komendanta i leciutko pchnął go nożem w pierś.

Na wydany rozkaz około tysiąca wyborowych żołnierzy, wyrafinowanych speców od mokrej roboty, chwackich pracowników operacyjnych i śledczych, uzbrojonych po zęby, wyszło grzecznie z wagonów, ustawiło się w kolumnę po pięciu w szeregu, i sprawnie przemaszerowało do najbliższego wąwozu, gdzie wszyscy zostali rozstrzelani z karabinów maszynowych.

Świętej pamięci minister, niezapomniany nasz Wiktor Siemionycz Abakumow, stał na krawędzi jaru, chichotał jak rusalka, poklepywał przyjaźnie Kowszuka po plecach, wesoło pogadywał:

- Zuch z ciebie, Sieńka! Daleko zajdziesz...
- Daleko zaszedł mój nauczyciel Kowszuk, zostawszy szwajcarskim admirałem. Lubi i potrafi kroić mięso.
- Rutenio, ojczyzno moja! Prostoto obyczajów, siło tradycji...
- Wypijmy, Sieńka! Za ciebie, za twoją pracę!
- Alkohol wszystko zmywa. Wieczny rozpuszczalnik trosk naszych – kochana moja wódeczka, pszeniczno-drzewno-siarkowa!
- Praca jak praca – mądrze zauważył Kowszuk. – A u ciebie co, lepiej?
- A skąd, Sioma. Wiesz, jak to jest, życie zaczyna się zaczynać. Wiary w siebie coraz mniej...
- To niedobrze. – Machnął bladymi faflami policzków Siemion. – Po pięćdziesiątce człowiek powinien traktować siebie z szacunkiem. W młodości masz nadzieję, że z czasem będziesz kimś. A jak ci stuknął szósty krzyżyk, to albo siebie szanujesz, albo poszedł w pizdu...
- Sień, a powiedz mi tak po starej przyjaźni: ty siebie za co szanujesz?
- Za wszystko – z przekonaniem powiedział Kowszuk. – Za to, że przeżyłem. Wiesz, gdzie ja się urodziłem?
- Wiem, gdzieś na Syberii. – Skinąłem głową i niby to mimochodem przypomniałem mu: – Przecież czytałem twoje akta.
- Czytać czytałeś. – Rozchylił zaciśniętą szczelinę ust Kowszuk. – Ale przecież nie ja cię interesowałem, tylko to, co tam jest na mój temat. A ja się urodziłem na wyspie Sachalin, nad Zatoką Cierpliwości, w miasteczku Paranajsk. I proszę, jestem tu z tobą, a ziomki moje, paranoiki, wciąż jeszcze siedzą nad brzegiem oceanu, nędzę cierpią, pogody czekają. To jak mam siebie nie szanować?
- Przyjaciół mój Siemion nie szanował swoich ziomków-paranoików, którzy nie mieli jego talentu.
- Ty jesteś, Pasza, całkiem inny człowiek niż ja, trudno ci mnie zrozumieć. Ty przez całe życie przeszedłeś z fantazją, tobie hazard jest potrzebny, gra, ryzyko, chytre świństwa, ściganie się. A dla mnie to wszystko bez znaczenia. Mnie potrzebne było normalne życie. Po uszy się nacierpiałem w Zatoce Cierpliwości. I paranoikiem być nie miałem ochoty...
- Możliwe, że on naprawdę nie kłamie. Może nie miał ochoty być także opricznikiem?
- Zrozum, Pasz, ja takiego życia jak twoje za darmo bym nie chciał. To tyś się zawsze koło najważniejszych szefów kręcił, tyś ciągle coś kombinował, zawsześ był koło pieniędzy i zawsze w długach, zawsze u ciebie dwie baby swoje i trzy cudze... Na co mi to?

– A co ci jest potrzebne?
– Spokój i dostatek. Żeby nikt się mnie nie czepiał. Zacząłem służyć dzie-
sięć lat wcześniej niż ty, a teraz ja jestem zdegradowanym majorem, a z cie-
bie pułkownik w papasze, o mały włos w generały nie poszedłeś...

– No i co z tego?
– To, że ty nadal kombinujesz, wciąż coś tam chcesz osiągnąć, a mnie cała
przeszłość do niczego nie jest potrzebna. Jakby mnie czterdzieści lat temu
przyjęli tu za szwajcara, to myślisz, że różnąłbym ludzi? W życiu! Ale wy-
szło inaczej. No to ich zabijałem – nie ze złości, ja ich przecież w ogóle nie
znałem...

Siedział naprzeciwko mnie, złożony na brzuchu swoje ogromne ręce
topielca, znużony, spokojny, zatroskany. Tak samo na pewno siedział jego
ojciec, rozmyślając o marnych widokach na zbiory na ich trudnej, nieuro-
dzajnej ziemi nad Zatoką Cierpliwości.

Otworzyły się drzwi, ze śmiechem wbiegły dwie dziwki.

– Gawrzyłycz! Dawaj szybciej tę wódkę! Frajerzy się doczekać nie mogą,
zaraz w spodnie popuszczą... Ruszaj się, stary trupie!

Były już mocno pod gazem. Wtykały Kowszukowi dziesiątaki, obejmo-
wały go, klepały po brzuchu, pakowały łapy w portki. Wyjmując wódkę
z szafki, Kowszuk opędział się do broszki:

– Odczepcie się, pindy... Zabierajcie wódkę i zmywajcie się, jałówki nie-
dociupciane...

Jedna podskoczyła ku mnie, rączki opalone wyciągnęła:

– A to co za jeden, taki wymuskany? Chodź z nami, co masz z tym starym
kutasem siedzieć!

– Bo zaraz cię, suko, na deszcz wyrzucę! – rozżółcił się Siemion. – Man-
dat zabiorę!

A ona roześmiała się, wzięła pod boki i powiedziała do broszki:

– Nie pieprz, wujek! Mój mandat to moja pinda, nikt mi go zabrać nie
może!

Druga aż zapiszczała z zachwytem:

– Nadzka! Daj Gawrzyłyczowi sprawdzić swój mandat! Sama bym mu
zapropozowała, ale ręce mam wodą zajęte!

Nadzka momentalnie złapała podolek szerokiej spódnicy i zadarła ją aż
po pachy, ukazując na świat boży dwa mlecznobiałe uda, połączone u góry
czarnym włochatym trójkątem mandatu. Na ile znam się na tych sprawach –
w pełni autentycznego, niesfałszowanego. Sam bym nie miał nic przeciw
temu, by zamoczyć tam ogóreczka.

– Nie irytujcie, dziewczyny, Siemiona – powiedziałem. – On nie od tych spraw. Przyjdźcie, jak trzeba będzie was udusić.

Wypchnąłem je za drzwi, a Siemion z niezadowoleniem stwierdził:

– Nie cierpię kurewstwa. Kurwa to najbardziej niepewny człowiek.

– Za to najprzyjemniejszy – zapewniłem go ze szczerego serca. – Ja oświadczyłem, że kurwy szanuję i wierzę w nie głęboko. W trudnych dla ojczyzny chwilach kurwy to prawdziwa kuźnia bohaterów narodowych...

– Tfu, zarazy plugawe! Jakby mi nie były potrzebne, żeby interes się kręcił, noga ich by tu nie powstała!

Wciąż ta sama nieustająca walka między powinnością a powołaniem! Beznadziejność pojedynku między koniecznością a tym, na co człowiek ma ochotę.

– Sienia? – spytałem cicho.

– No?

– A Grubera też zabiłeś z konieczności?

Podniósł wiechy brwi do samego daszka admirałskiego kaszkietu – nawet pojawiły się maciupękie oczka.

– Po to przyszedłeś? – spytał.

– Nie. Chciałem ci powiedzieć, że ja i ty wcale tak się nie różnimy. Jesteśmy tacy sami. W jednym łonie zostaliśmy poczęci, w jednej macicy wynoszeni, jedną krwią wykarmieni. Jesteśmy jak bracia-bliźniacy...

– W czym niby tacyśmy do siebie podobni? – podejrzliwie zapytał Kowczuk.

– Zawsze w tym samym! Zabijaliśmy ludzi nie dlatego, że było trzeba, i nie dlatego, żeśmy chcieli, i nie dlatego, że się nam to podobało!

– A dlaczego?

– Dlatego, że wiedzieliśmy: wolno. Nam wolno. I Grubera zabiłeś tylko dlatego, że wiedziałeś: jego wolno zabić.

*Do starszego pełnomocnika do zadań specjalnych
przy Ministrze Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR,
podpułkownika służb bezpieczeństwa państwowego
tow. P.E. Chwatkina
od tajnego współpracownika „Cyrkowca”*

DONIESIENIE

Wczoraj, dnia 26 października 1948 roku, na wieczorze z okazji urodzin zasłużonej artystki RSFRR Margarity Koch, obecny na nim artysta

moskiewskiego cyrku państwowego, Borys Fiodorowicz Tedder, treser dra-
pieźników, będąc w stanie upojenia alkoholowego, opowiedział zebranym
co następuje.

Kilka dni wcześniej wracał z gościnnych występów w Krasnodarze. Po-
ciąg do Moskwy spóźniał się z powodu ulewnych deszczów. Zwierzęta znaj-
dowały się w pomieszczeniach działu bagażowego krasnodarskiego dwor-
ca, w klatkach, i były bardzo rozdrażnione, ponieważ przez całą dobę, kiedy
czekano na pociąg, nie można było ich nakarmić. Około północy do działu
bagażowego weszło trzech ludzi, z których jeden zameldował się dyżurne-
mu dworcowego oddziału MGB. Zgodnie z tym, co mówił Tedder, był on
niskiego wzrostu, bardzo szeroki w ramionach, wyglądający na obywatela
narodowości ormiańskiej. Drugi zachowywał się jak szef, a Ormianin zwracał
się do niego: „towarzyszu Kowszuk”. Trzeci był mocno pobity: twarz
w krwawych sińcach i zadrapaniach, z kajdankami na przegubach.

Dyżurny dworcowego oddziału MGB zażądał od Teddera, by ten udo-
stępnił mu wolną klatkę, gdzie dyżurny zamierzał wsadzić aresztanta na
czas, gdy wraz z tow. Kowszukiem pójdą na kolację.

Tedder miał wrażenie, że są oni mocno pijani, i wyjaśnił, że wolnej klatki
nie ma, zwierzęta i tak przetrzymywane są w ciasnocie, wbrew zasadom
BHP, i lepiej aresztanta zaprowadzić na dworcowy posterunek milicji czy
MGB.

Na co tow. Kowszuk szturchnął Teddera w brzuch, niby to żartem, ale
bardzo boleśnie, i powiedział, żeby te rady zachował dla swoich bydłat. Po
czym kopniakami zagnał zatrzymanego do kąta, wraz z dyżurnym wyjęli
z kieszeni trzy butelki wódki moskiewskiej, otworzyli paczkę z kielbasą,
pomidorami i chlebem i kazali Tedderowi, żeby siadł wraz z nimi i pił.

Tedder próbował odmówić, ale Ormianin powiedział, że zdejmie aresz-
tantowi kajdanki i założy jemu.

Podczas spożywania napojów spirytusowych Ormianin wznosił toast naj-
pierw za tow. Stalina, a potem za słynnych czekistów i treserów - jak
powiedział: „za wszystkich, którym przypadła w udziale ciężka praca z be-
stiami, niemającymi w sobie nic ludzkiego”.

W swoim opowiadaniu na wieczorze u obywatelki Koch Tedder podkre-
ślił, że na skutek wypicia bez zakąski prawie całej butelki wódki, a także
na skutek zdenerwowania, szybko się upił i dlatego nie pamięta szczegółów,
tak że nie potrafi powiedzieć, kto wpadł na pomysł, żeby pożartować z aresz-
tantem...

Ja potrafię powiedzieć. Na pomysł wpadł Oganies Babajan. Tedder nie wiedział, że Babajan był naczelnikiem oddziału MGB Kolei Północnokaukaskiej. Wzrostu miał metr w kapeluszu, urósł bardziej wszerek niż w górę. Taka niewielka, ale bardzo silna, owłosiona małpa. Na lewym ramieniu miał wytatuowane: „Nie zapomnę brata Alberta który zginął przez jednego babę*”. Na prawym epitafium było nieco bardziej pocieszające: „Śpij spokojnie bracie Albercie zabilem tego babę”.

Straszny facet, krwiozerczy Ormiaszka z tyfliskiego Awłabaru.

Oczywiście to on miał ochotę pożartować sobie z Gruberem, pomylnym Żydem, który zamiast siedzieć sobie spokojnie w domu i ciupciać „jednego babę” czy coś w tym stylu, wymyślił trzydziesty drugi nieformalny sposób udowodnienia twierdzenia Pitagorasa. Tym nikomu niepotrzebnym odkryciem tak się wszystkim na uniwersytecie naprzykrzył, że zrobili z niego kosmopolitę i wygnali go. Wtedy wymyślił nowy idiotyzm: udowodnił stereonaturę układu okresowego Mendelejewa. Złożył tablicę jak kartonik po mleku i okazało się, że wszystkie te sody, potasy i chlory oprócz wartościowości mają jeszcze jakąś niepojętą właściwość, bardzo ważną w chemii fizycznej.

Pytam się: w czym mu, idiocie nieszczęsnemu, przeszkadzała stara tablica? Wisiała sobie spokojnie na ścianie, nikomu w drogę nie wchodziła. Podejdz, człowieku, kiedy potrzebujesz, sprawdź sobie ciężar atomowy, liczbę porządkową, liczbę elektronów – i dość, siadaj i nie zwracaj głowy.

Nie. Żydowska dociekliwość nie dawała mu spokoju. A jakby tak tablicę złożyć – to co będzie?

Co będzie? Dupa błada! Głęboka i nieprzenikniona.

W Moskwie akurat zaczęli sadzać biologów-genetyków. Całą tę żydowską bandę – Mendla, Morgana, Weissmana, Rapaporta i innych rabinowiczów. No i zdecydowano nadać temu spiskowi stereonaturę – złożyć go po przekątnej, nadać mu głębię, objętość, szerokie rozgałęzienie. I zaczęto wyszukiwać na prowincji interesujących figurantów.

Dwie doby magłowali Grubera w Krasnodarze, a ten cherlawy zdechłak do niczego się nie przyznał. Wtedy przyjechał po niego Kowszuk – żeby przewieźć go do Moskwy, spróbować przyfastrygować do głównego śledztwa...

* „Baba” – ojciec, w południowych republikach ZSRR szef grupy przestępczej.

Tedder mówił, że dokładnie pamięta, jak Kowszuk wywlócił aresztanta z kąta i kazał mu się przyznawać. Jeśli aresztant nie powie całej prawdy, powiedział, to zaraz mu pokażą, jak się prawdę z flaków wypruwa. Aresztant nie odpowiadał, kręcił tylko głową. Tedder zauważył, że aresztant miał wybite wszystkie zęby i wyrwaną część włosów z głowy. Był bardzo chudy, stary, niedołążny...

Gruber miał trzydzieści dziewięć lat.

Ormianin podbiegł do klatki z lwem Szachem i odsunął zasuwę. Tedder próbował mu przeszkodzić, ale Ormianin odepchnął go i zagroził, że jego samego wrzuci do klatki. Tow. Kowszuk podniósł aresztanta za kołnierz, Ormianin uchylił drzwi i Kowszuk wrzucił starca do klatki.

Co działo się dalej, trudno mi w pełni wiarygodnie przekazać, gdyż w tym miejscu opowiadanie Teddera stało się niezrozumiałe, wpadł w histerię i z powodu silnego upojenia płakał i krzyczał beztładnie: „bandyci!”, „mordercy!”, z czego wywnioskowałem, że lew rozszarpał aresztanta.

Donoszę, że oprócz gospodarzy domu opowiadania Teddera słuchali: historyk sztuki profesor Dmitrijew, kłown Rumiancew (Ołówek), artysta Utiosow i pewien nieznan mi człowiek. Nikt z obecnych nie ustosunkował się do opowiadania Teddera, z wyjątkiem kłowna Ołówka, który zauważył „też fajnie” i szybko opuścił zgromadzenie. Pozostali powstrzymali się od ocen, a Utiosow zaprowadził Teddera do łazienki, żeby go doprowadzić do porządku.

Uważam, że tego typu świadome złośliwe zmyślenia mogą narazić na szwank autorytet naszych wspianiałych organów bezpieczeństwa.

O czym donoszę
Taj. wsp. „Cyrkowiec”
27 października 1948 r.

Słusznie napisał „Cyrkowiec” – opowiadanie Teddera było świadomym zmyśleniem. Gdyż lew Szach nie rozszarpał Grubera. Nawet nie zdążył go dotknąć.

Gruber sam umarł. Na zawał serca. W klatce Szacha.

Jako gladiator nie wart był nawet kopiejki.

Gladiatorem mógł zostać Tedder, który nie bał się w ogóle drapieżnych zwierząt. Ale kiedy siedział przede mną w gabinecie i wyjaśniał tę historię, to myślę, że w spodnie narobił ze strachu. Tak że wygląda na to, że i on na gladiatora się nie nadawał.

A przecież go nie biłem! Nie wybijalem mu zębów, jak Oganies Babajan Gruberowi, nie wrywałem mu włosów z głowy, nie groziłem, że wrzucę go do klatki z nieznanym mu osobicie lwem. Nie krzyczałem na niego, tylko spokojnie, grzecznie wypytywałem. A on omal nie zemdleł. I jak tu zrozumieć ludzi po tym wszystkim, ocenić, kto ile wart?

Poprosilem Teddera – i napisał mi szczegółową notatkę, wyjaśniającą zdarzenie, jakie miało miejsce na dworcu w Krasnodarze – w przybliżeniu to samo, co doniósł mi „Cyrkowiec”.

Gdyby ten papier trafił wyżej, Kowszuc miałby ogromne nieprzyjemności. Nie dlatego, że w dziale kadr bardzo by się zdenerwowano z powodu skandalicznego zachowania tych bęcwałów. Zdenerwowaliby się w dziale śledczym, jako że chuligański wybryk dwóch pijanych idiotów doprowadził do utraty bardzo dobrego figuranta, który nadawał stereonaturę spiskowi genetyków.

Dlatego zamknąłem notatkę Teddera w sejfie i kazałem mu napisać drugą: o tym, jak Gruber zmarł na jego oczach, ni stąd, ni zowąd, troskliwie prowadzony pod ręce przez Kowszuka i Oganesa Babajana.

Kandydat na gladiatora posłusznie napisał.

Następnie polecilem Tedderowi, by obszedł gości zasłużonej artystki Margarity Koch i poinformował ich, że cała historia to pijacki belkot, że została od początku do końca zmyślona.

Obszedł i poinformował. Nikt z gości nie ustosunkował się do nowej wersji, oprócz kłowna Olówka, który zauważył: „Też fajnie...”

Wówczas polecilem Tedderowi, żeby zapomniał tę historię na zawsze. Jakby nigdy jej nie było.

I Tedder zapomniał.

A ja pamiętam.

– Popatrz, popatrz, jakiś ty pamiętliwy – uśmiechnął się Kowszuc. – Znaczy, pamiętasz Grubera...

– Ja wszystko pamiętam, Sienia – zapewniłem go i wyjąłem z kieszeni dwie złożone kartki papieru.

Stare były, pożółkłe po brzegach, ale w środku – całkiem niczego, w ogóle niezniszczone, były przecież składane i rozkładane raptem dwa razy: kiedy dawno temu wyniosłem je z Wydziału, i teraz, kiedy wyjąłem je z sekretarzyka, wybierając się z wizytą do starego druha.

– Wszystko pamiętasz? – zdziwił się Kowszuc.

– Wszystko! – potwierdziłem.

– No, no, coś takiego... – Pokręcił głową. Jakaś tajemna pogroźka emanowała z jego nieruchomej sylwetki, mimo to wyciągnąłem ku niemu karteczki. Gra stała się do bólu poważna. O dużą stawkę po obu stronach. Głowa za głowę.

– Weź, Sienia, tobie się bardziej przydadzą. Kiedyś, przy okazji wyjąłem je z twoich akt...

Wziął kartki i zaczął je czytać, powoli poruszając wąskimi wargami, a kosmate brwi unosiły się i opadały na fajansowym spodku jego twarzy leniwie, niczym syte myszy.

Trzymał notatkę Teddera, zawierającą opis wyczynów jego i Oganesa Babajana, z dala od oczu. Czytał długo, dokładnie, starając się najwyraźniej zapamiętać każde słowo.

Po czym położył kartki na stole, przycisnął je wielką obrzmiałą dłonią, zwrócił się ku mnie, ale nie zdążył niczego powiedzieć, bo w drzwi wśliznęła się kardynał Stiopa, nuncjusz w radzieckiej szwajcarii:

– Siemionie Gawriłyczu, wezmę kanapki, zakąski ludziom brakuje...

– Bierz, Stiopuszka, bierz. „Śmietanka” dobrze schodzi?

– Ledwie z nalewaniem nadążamy!

– Patrz, Stiopa, na ręce: więcej niż trzy szklanki jednemu nie dawaj. Inaczej nawalą się tu jak bisurmanie, skandal będzie, milicja zacznie się czeplić. Po co nam to...

Z encykliką oną i tacą gównianych kanapek uszedł nuncjusz – nakarmić łaknący pod drzwiami lud, a Siemion powiedział:

– Ja przecież wiedziałem, Paszeńka, że któregoś dnia do mnie przyjdiesz.

– Nie może być! – wykrzyknąłem z zaskoczeniem. – Skąd wiedziałeś?

– Stąd, że ty, Paszeńka, jesteś inny człowiek niż wszyscy. Dla ciebie nie istnieje ani przyjaźń, ani miłość, ani wierność, ani rodzina... Nic. Nawet wilki w stadzie mają jakieś zasady. A ty nie masz nic: diabeł w tobie siedzi!

– Przestań, Sioma, nie wymyślaj, nie strasz mnie. Nie podłamuj. Bo się rozplączę...

– Ciebie, Pasza, trudno czymś podłamać. Ile lat trzymałeś te papiery, żeby je dzisiaj przynieść?

– Przecież umiesz czytać, nie na darmo z Paranojska uciekłeś. Popatrz na datę, tam jest napisane.

– Trzydzieści lat – pokiwał głową Kowszuk. – Zastraszyc mnie chciałeś czy co?

– Odbiło ci? To po co bym ci te kartki oddawał, jakbym cię chciał zastraszyć?

– Nie wiem – uczciwie przyznał Kowszuk. – Twój pokrętny rozumek zawsze szybciej od mojego pracował. Trzeba ci było szachistą zostać, może i Karpowa byś pokonał. Zawsze myślisz z wyprzedzeniem...

– Och, Sienia, prawdę mówią ludzie: ani jeden dobry uczynek nie pozostaje bez kary! Ładnie mi dziękujesz za przyjacielską przysługę...

Kowszuk uśmiechnął się krzywo.

– Przecież ty nie oczekujesz ode mnie słownej wdzięczności. Czego chcesz za „przyjacielską przysługę”?

Odetchnąłem głęboko i obojętnie powiedziałem:

– Jest tu taki jeden człowiek... całkiem zbędny...

– Całkiem?...

– Całkiem.

Kowszuk milczał. Nie tak jak milczymy, kiedy zastanawiamy się nad stojącym przed nami zadaniem, ale jakby był nieobecny, daleko stąd, i wspominał zamierzchłą przeszłość.

– Jeśli umrę... – zaczął mówić nieśpiesznie, i sądząc po tej solenności, nie miał wątpliwości co do istnienia tej alternatywy. Ale z jakiegoś powodu zamilkł, cały zatonął w swoich niewesołych wspomnieniach.

– Co się stanie, jeśli umrzesz? – zainteresowałem się.

On jednak machnął ręką.

– Nic, nieważne. Powiedz mi tylko, Paweł, po co ci to?

– Trudno to wytłumaczyć. Najkrócej mówiąc: chcę wygrać w życiu.

Siemion pokręcił swoim czarnym, admirańskim kaszkietem:

– W życiu nie da się wygrać, Paszeńka. Życie to gra, w której się zawsze przegrywa... Może nawet nie warto było wyjeżdżać z Paranojska... – I, westchnąwszy, stwierdził: – Tak czy tak, życie zawsze kończy się śmiercią!

– Sienia, śmierć to nie przegrana. Śmierć to koniec gry.

– Na jedno wychodzi – powiedział ze znużeniem i przesunął w moją stronę po stole kartki z wyjaśnieniami Teddera. – Zabierz je, Pasza, niepotrzebne mi to...

Słabo buczała świetlówka, deszcz stukał o szybę, jakaś ubzdrygolona dziwka wesolutko zaśpiewała na ulicy na cały głos: „Księżycu misa lśni, świat cały zwisa mi!”

Wyjąłem zapalniczkę, uniosłem karteczki nad stołem i pstryknąłem zapalniczką pod lewym dolnym rogiem, gdzie fioletowym atramentem, tęczo-wo pozieleniałym od upływu czasu, widniał napisany trzęsącą się ręką niedarny podpis: *B.F. Tedder. 28 października 1948 r.*

Żółto-błękitny płomycek łagodnie oblizal kartkę, skrzył ją w czarny zwitek, pobiegł w górę, owionął mi żarem palce, i wówczas upuściłem ten

żywy, pulsujący kęsek ognia do wielkiej żelaznej popielniczki. Strzeliło parę razy ogniem papierowe ognisko, owiało pokój siwym dymem, a ja roztarłem palcem wąty, potrzaskujący popiół. Na spopielalym skrawku przez chwilę widniało srebrzyste słowo „Gruber”, ale wkrótce wszystko zniknęło.

Pamięć o Gruberze została skremowana. Teraz już na zawsze.

– No to jak, Sienia, znaczy: nie?

– Dlaczego „nie”? W porządku. Usunę go.

– No to dobrze.

– A czemu ty sam tego nie załatwisz? Niegorzej ode mnie potrafisz...

– Ja nie mogę. Jestem zbyt blisko niego.

– Dobra, zrobione. Kto to jest?

– Jutro ci go pokażę.

– W porządku. – Kiwnął głową Kowszuk i wziął ze stołu swój brudny kuchenny nóż ostry jak brzytwa. – Może być?

– Jak najbardziej.

Zamilkliśmy.

I wydało mi się, że Kowszuk westchnął z ulgą:

– Dobrze, że przyszedłeś. Niezręcznie mi jakoś było; byłem twoim dłużnikiem...

– Daj spokój! Jakie między nami mogą być rachunki?

– Nie opowiadaj! Długi trzeba oddawać.

Boże, co za szczęście, że mimo wszystko niewiele wiemy o sobie nawzajem! Jak skomplikowałyby nasze życie niepotrzebna wiedza! Gdyby Sieron wiedział wszystko, to być może od razu chlasnąłby mnie swoim nożem...

– To co, Paweł, do jutra?

– Raczej do dziś. Przyjdę o trzeciej.

– W takim razie bywaj zdrów.

– Na razie.

Pod drzwiami hotelu weseliła się, żartowała z kardynałem Stiopą prostytutka Nadia. Zobaczyła mnie i krzyknęła:

– O, jest mój przystojniaczek nadziany!

– A gdzie twoi frajerzy? – spytałem.

– A pies z nimi tańcował! Hołota, dzikusy... Wstawiłam im jakąś ciemnotę i wróciłam. Jedziemy do mnie?

– Jedziemy. Masz czerwońca, kup od Gawryłczya butelkę.

Pobiegła do mojego znakomitego admirała, który już wciągnął na maszt „wesołego Rogera”.

A ja wyszedłem na deszcz i pomyślałem, że po raz pierwszy udało mi się przechytryć Palacza, odczepić się od niego. Pewnie dlatego, że zanurzyłem się w dawne życie. Do niego nie miał wstępu.

Wyskoczyła w ślad za mną Nadźka, szarpnęła mnie za rękaw:

– O, lewak jedzie, głosuj szybciej!

Zszedłem na jezdnię i zamachałem z całej siły na sunącą powoli przez kałuże czarną wołgę. Zahamowała koło nas. Nachyliłem się do okienka kierowcy, ten opuścił szybę – i nagle zaśmiał się piskliwie.

– Wujek, coś ty, oszalał? – spytała go Nadźka.

A ja patrzyłem jak skamieniały na tę odpływającą powoli, histerycznie śmiejącą się gębę, długą, wyblakłą, o wężowatym nosie, z niewytartym rozmazem plwociny na policzku...

Ryknął silnik, pisnęły opony i auto zniknęło.

– Kretyn! – krzyknęła za nim ze złością Nadźka, obryzgana fontanną wody. Otrząsnęła się i spytała:

– A co, on cię zna?

9. Pęknięta kijanka

Śpiewałem:

– ...*miasto ukochane może spać spo-okojnje...*

Może, naturalnie. Jeśli ma ochotę. Tak czy owak w moim ukochanym mieście, Moskwie-krasawicy, stolicy świata, sercu całej Rosji – trudno w nocy robić coś innego. My nie lubimy nocnego życia. Po cholere nam cały ten jazzowy łomot, powódź reklamowych świateł? U nas chodzi się spać wczesnie, nam te prymitywne rozrywki potrzebne jak dziura w moście. Rzucamy się w noc niecierpliwie, bez oglądania się, niczym w mętną wodę, głową naprzód. A następnego dnia czeka nas dręcząca radość porannego kaca i euforia stojącego przed nami planu.

Nie, my się bawić nie lubimy! Lubimy pracować. A może i nie lubimy. Tak czy owak, nie ma nic innego do roboty.

Wygląda na to, że tylko ja jeden lubię się bawić po nocy. A może nie tylko ja jeden? Tak czy owak od nikogo się nie dowiesz – wszyscy śpią.

W czuwających nocą ludziach jest niepokój, niepewność, trwoga. Tylko śpiący mogą zaznać równowagi ducha, spokoju, niczym nieboszczycy.

Ciemność, ziąb, lecąca z wiatrem woda, gęsta lepka maź pod kołami. Mrowisko, tonące w nocnej powodzi. Czarne rudery betonowych pudeł, mroczna pustka słotnych dróg, mętne polyskiwanie latarni. Kto wymyślił te okropne lampy, emanujące oparami jodu i świeżą, dymiącą żółcią?

Wszyscy śpią. Tylko my z Nadźką nie śpimy. Czuwamy. Stoimy w deszczu na chodniku, wódeczkę z gwinta popijamy, odprowadzamy wzrokiem autobus sanitarny z przyjemnym napisem na boku: SŁUŻBY PRZECIWEPIDEMIOLOGICZNE – PRZEWOZY SPECJALNE. Ciekawe, kogo tu do nas przewoził? Gruźlików? Syfilyków? Zadzumionych? Trędowatych?

Nam to bez różnicy. My się zarazy nie boimy. Sami możemy kogoś zarażić.

Takie przewozy specjalne to fajne auto, złego słowa nie powiem. Jużeśmy się z Nadźką całkiem na serio zabierali, żeby się pociupciać na noszach, ale trzęsionka mnie ukołysała, od benzynowych spalin zakręciło mi się w głowie, podczas gdy panienska gmerala mi w rozporoku zwinnymi, zimnymi palcami. Przysnąłem odrobinę.

A potem Nadźka zaczęła mnie szturchać – „wychodź, wychodź, bo cię zostawię – na kwarantannę cię zawiozą!” Wypadliśmy na ulicę, na zacinający przenikliwy deszcz, w podświetloną jodowo ciemność, w przerażenie i wewnętrzny dreszcz na wpół obudzonego człowieka. Nadźka wyciągnęła z torby butelkę, ostrymi psimi zębami zerwała z gwinta nakrętkę, wsadziła mi w rękę: masz, pociągnij, od razu dojdiesz do siebie!

Zna się na rzeczy. Rzeczywiście zeżało. Staliśmy objęci, żeby było odrobinę cieplej. Nadźka trzymała mnie za głowę i łapczywie, zawzięcie całowała, jakby mnie całego zamierzała wciągnąć do ust, i jęczyczką swoim żwawym, twardym, pieściła, głaskała, wsysała. A ja byłem znużony, trzęsło mnie i w dolku czułem ogromną pustkę, zupełnie jakbym połknął nadmuchany balonik.

Niezła parka – byczek i dojarka... Udręczony ludobójca i zakochany kurwison.

Czułem ustami metaliczny chłód jej koronek, nozdrza chłonęły świeży odór wódki.

Odsunąłem ją od siebie, przyjrzałem się jej uważnie. Miała wesole i bezmyślne oczy. Niezwykle szeroko rozstawione. Jakby wisiały jej nad uszami.

– Nadzieńdo, piękna moja, elfie uroczy, pojedźmy razem do miasta Topnika!

– A po kiego mi to! – zaśmiała się głośno Nadźka. – Mnie i tu całkiem dobrze!

– Zgadzam się z tobą, Nadźka: Moskwa to rzeczywiście najprzyjemniejsze miasto na świecie, najbardziej promienne i beztroskie! Z chęcią bym żył i umarł w Paryżu, gdyby nie było takiego miasta jak Moskwa!

– Przestań pieprzyć! – ofuknęła mnie Nadźka. – Wszyscy wy, szychy, lżecie jak z nut! „Promienne”, „beztroskie”... A jakby cię tak ze służbowego wozu wysadzić na jakimś Bibiriowie czy Dangauerowce, w życiu do domu nie trafisz...

– Nadźka, przyjaciółko błękitnooka, gołąbko szaroskrzydła, sama pieprzysz! Jaka ze mnie szycha? Jestem poetą smutku i rozłąki, udęczonym opricznikiem... Nie mam żadnego służbowego wozu, mam tylko własne skromne auto marki mercedes, model 220, numer rejestracyjny MKT 77 77...

– Ale picuje! – radośnie zapiszczała Nadźka. – Ale gadkę wstawia! Od razu cię wypatrzyłam, złociutki, na czole masz dwa słowa wołowymi literami napisane!

– Palant i frajer, tak?

– Nie. – Błysnęła oczami Nadźka. – Bezczelny i picer! Tak jest, mój słodziutki!

Zaśmiałem się i na wszelki wypadek spytałem:

– A ty co masz napisane?

– Ja? – zdziwiła się. – A ty co, czytać nie umiesz? Zobacz: „Nadia Kręciglówka, świeżutka jak miętówka, jak landrynka laseczka, wałdajska* panielczka!”

– Kręciglówka to ty?

– No chyba, że nie ty? To co, będziemy tak dalej stać na deszczu? Może lepiej wejdziemy do domu?

– Prowadź mnie, Kręciglówko, zakręć mi ostro w głowie, niech wszystko zginie-przepadnie...

U wejścia do dziewięciopiętrowej brudnej rudery przenikliwie śmierdziało moczem – ciepła, amoniakalna atmosfera Wenus. Pyliste chmury amoniaku i metanu unosiły się na zagazowanych schodach, mętne żarówki wznosiły się krzywym korowodem planet na swoim wenerycznym nieboskłonie.

Byliśmy z Nadźką pierwszymi Ziemianami, którzy wyszli bez skafandrów w otwartą, trującą atmosferę Wenus na Przejeździe Trzecim Dangauerowskim.

* Wałdaj – miejscowość w środkowej Rosji. Położona przy szlaku komunikacyjnym w polowie drogi między Moskwą a Petersburgiem, stanowiła tradycyjne miejsce popasu i zmiany koni. Wałdajskie panny, stałe obracające się wśród obcych ludzi, podróżnych, miały opinię dziewcząt lekkich obyczajów.

O, losie badacza-pioniera! Zanosisz mnie to na Marsa, do jednonokiej tynkarki, to na Wenus, do wesołej Nadżki z oczami na uszach...

O, niepewności ratunku w module lądowania windy! Rozchwierutana skrzypiąca kapsuła Snoopy, wioząca nas ku statkowi kosmicznemu mieszkalnej powierzchni Nadżki! Nieszczęsna drżąca kabinko, trzymająca się tylko na chujach, którymi pokryte są jak leci twoje kruche ścianki! Niedościągła rosyjska kabała – mistyczna matematyko, całkowicie nieeuklidesowa, składająca się wyłącznie z iksów, igreków i odwróconych N*! Boże mój, czyż nikt nie zdaje sobie sprawy, że tylko rosyjski umysł Łobaczewskiego, od niemowlęctwa zajęty analizowaniem tych tajemniczych znaków X, Y, na każdej wolnej powierzchni naszego świata – mógł zrodzić nowe wyobrażenie przestrzeni?

– Co ty tam nadajesz, czubku ty mój landrynkowy? – gruchała Nadżka, wypychając mnie z windy.

– Do widzenia, Wenero, do widzenia! – Machałem słabnącymi rączynami ku pogrążającej się w szybie kabinie, patrząc, jak Nadżka otwiera drzwi do mieszkania. – Na pylistych bezdrożach dalekich ciał niebieskich pozostaną na wieki nasze ślady!** – krzyczałem w ślad za znikającym modulem głosem Ziemianina-kosmonauty i modliłem się, żeby się nie rozleciał w trakcie lądowania na Wenus, bo wówczas przyjdzie mi resztę życia spędzić u Nadżki.

– No, włącz, włączże wreszcie, łajzo ty moja brzozkwiniowa!

I weszliśmy do komory śluzowej, zamykając szczelnie luki. Lądowanie zakończone.

Cisnąłem na podłogę jesionkę, zrzuciłem mokre trzewiki, westchnąłem z ulgą, odwróciłem się i zobaczyłem w drzwiach człowieka.

Baaardzo dziwnego...

Uśmiechał się gościnnie. Jakiś taki fircykowaty – na bosaka, w czarno-białych kalesonach z mającymi się troczkami, w efektownym podkoszulku, niezbyt znoszonym, z napisem na temat futbolowych rozgrywek o puchar świata w 1966 roku w Londynie. Taki ruski tysięjacy hipis.

– ...dobry! – powiedziałem do niego uprzejmie, rozczarowany. Po kiego diabła on mi tu potrzebny? Pewnie jest dowódcą kosmicznej wyprawy badawczej o nazwisku Armstrong-Tierieszkow: kiedy my z Nadżką Kręcigłówką buszowaliśmy po Wenus, on krążył po orbicie, krążył niezmordowanie, oczekiwał nas.

* Chodzi o rosyjską pisownię słowa „chuj”.

** Fragment popularnej w ZSRR piosenki, wylansowanej po locie kosmicznym Hermana Titowa.

– ...dobry! Witam serdecznie! – wykrzyknął radośnie dowódca wenerycznego statku i z wyciągniętą rączką rzucił się mi na spotkanie, zupełnie jak karateka podczas ataku. Ten wilgotny uścisk ręki, szybki, chłodny, nieoczekiwany, budził lęk jak przypadkowe muśnięcie nietoperza w ciemności.

A Nadźka przemknęła obok niego do kuchni, cmoknęła go w locie w policzek:

– Serwus, Władilenczik! Chodź no tu, leniu, zakąskę szykuj!

Władilenczik, dysząc życzliwością i starym moszczem, prowadził mnie uprzejmie pod rączkę, promieniał zmarszczkami, szepcząc niezmordowanie:

– Cybikow moje nazwisko, Władilen Michałycz, a na obraźliwe odzywki Nadiuszki proszę nie zwracać uwagi. Choć chlapnie od czasu do czasu to czy tamto, ale serce ma dobre. I gościom zawsze jesteśmy radzi. Z człowiekiem mądrym, bywałym pogadać, to jakby wody źródlanej się napić...

Niezdarnie dreptał na swych bładych stopach nędznego mieszczucha. Usadził mnie przy stole w zapyziałej kuchni, wyciągnął skądś owinięty w bajorowy koc rondel, rzucił, parząc się, pokrywkę, i w sufit uderzył tęgi aromat gotowanych w mundurkach kartofli.

– O, proszę, zjemy sobie ciepłutkich ziemniaczków, cały czas pilnowałem ich dla Nadiuszki: przyjdzie Bóg wie kiedy, zmarznięta na kość, a wtedy nie ma nic lepszego dla zdrowia niż gorące kartofelki!

Malutka głowa, byle jak oklejona rudawym puchem, kościste wąskie ramiona, wyrastające wprost z rozdętego brzucha. A wszystko to osadzone było na bazie wielkiego tyłka, pod którym powoli gmerały obrzękle, białe odnóża. Słowo daję – normalny kangur. Kangur ze slumsów, złowiony na pustynnych śmietnikach Dangauerowki.

Obgryzione kawałki chleba, dwie główki śledzi, krwawa kasza konserw w tomacie w dawno otwartej puszcze. Grzałem dłonie, przerzucając z ręki do ręki gorący, parujący kartofel.

– To nalej – mruknęła Nadźka, zwracając się nie wiadomo do kogo, do mnie czy do swojego kangura w futbolowej koszulce.

Ale Cybikow już mknął ku stolowi niczym walec drogowy, przewalając się na krągłych brylach ud, przebijając niepewnymi kopytami. Niósł w rękach trzy pseudokryształowe szklanki, przecierał je w biegu zatłuszczonym rąbkiem swojego londyńskiego podkoszulka. Migiem napelnił je wódką z naporczytej przez nas z Nadźką jeszcze na Wenus butelki i usiadł z boku, założywszy krótkie rączki pod obfitą wdowią pierśią. I z oddaniem popatrzył Nadźce w oczy. Wypisz wymaluj – „W świecie zwierząt”.

Nadźka podniosła szklankę, zwróciła się do mnie:

– No to golnijmy za Władilenczika! Za męża mojego nieformalnego, za towarzysza życia mojego bezcennego, za duszę jego gołębią. Och, jak ja go kocham!

– I ja cię bardzo kocham! – zapewniłem kangura. – Od razu przypadłeś mi do serca... Ja też mam gołębią duszę!

Jeszcze nie zniknął w gardle kipiący bąbel wódki, a kangur już skoczył w moją stronę, żeby się całować, bratać, jednoczyć w ekstazie przyjaźni.

– Bez rąk! Bez rąk! – zakrzyczałem rozpaczliwie. – Bruderszaft na dytans! Jeszcze nie wypróbowaliśmy naszych uczuć!

Nadżka zachichotała:

– Och, Paszeczka, ale ty potrafisz! Och, ty mój bydlaku...

Odegnany kangur ociężale wdrapał się na krzesło, mrugał z rzadka nalany powiekami, patrzył na mnie ze smutkiem. Faktycznie: Waldaj – to skok na linie między dwiema stolicami.

Pół drogi, pół troski, zmiana koni,

I nocny postój, i wino się leje,

I gospodarska córeczka,

Jakżeby – panienczka...

Zaburzyła się we mnie wódka, zakrążyła w żyłach, i nawet irytacja gdzieś się ulotniła. Przeszło mi bara-bara koło nosa, no i co z tego? Kiedy byłem młody, wszyscyśmy wierzyli w mit, że mężczyzna ma na całe życie przydzielone wiadro spermy. Rozdzielaj ją jak chcesz: rozbryzgaj w młodości czy w wieku dojrzałym ze znanstwem spożytkuj, albo niech kiśnie w tobie do starości. Nie wiem, skąd się wzięła podobna teoria, ale najprawdopodobniej zrodziła ją psychologia odwiecznego systemu kartkowego, nieustannego racjonowania produktów spożywczych i przemysłowych. Ja w każdym razie potwierdzić tego medycznego fenomenu nie mogę.

Może to z racji naszej krępkiej wiejskiej rasy, może dlatego, że przez całe życie nabywałem produkty żywnościowe w niedostępnych dla ogółu sklepach w ilościach przekraczających jakiegokolwiek normy, a może z jakiegoś innego powodu, ale okazało się, że pojemność mojego wiadra to nie żałosne dwadzieścia cztery funty – odwieczny standart – że rozrosło się w beczkę do piwa, pełną chlupoczącej we mnie chłodnawej meduziej wilgoci. Do śmierci się jej nie pozbędę, mojej perłowej plazmy życia.

Spermatozaur, jak zauważył kiedyś, będąc pod gazem, mój druh – Promienica...

Czort z tym! Tak czy owak na świecie nie ma dobra i zrozumienia. Mój rodzinny fundusz należałoby przekazać profesorowi Danielowi Petruccio, ten by w swoich próbkach taką Czerwoną Brygadę wyhodował, że te włoskie łajzy w dupę by ich całowały!

Zgiń, przepadnij, niespełniona kopulacja! Jako dla artysty słowa znajomość z Nadźką i wykluwająca się przyjaźń z kangurem są dla mnie ważniejsze! Przecież nie samym ciupcianiem człowiek żyje, tak czy nie?

– ...mam przyjaciela, Turkiem jest – plółł coś tam kangur.

– Kto?

– Turek, Kurban się nazywa. Z Turkmenii, z miasta Mara.

Nadźka z poszarzałą twarzą siedziała naprzeciwko, leniwie machała nogą, wytrzeszczała senne oczy, żeby powieki się nie sklejały.

– Nie daje rady, biedna. – Współczuł Nadźce mąż nieformalny, towarzysz życia Cybikow. – Życie robi się coraz trudniejsze... Martwię się o nią... Ona to moje hobby...

– Wypijmy! – zaproponowałem.

Kangur z trudem dźwignął się z taboretu na swoje obrzmiałe kończyny, ochoczo nalał nam jeszcze do połówce.

– Chodzi mi po głowie taki jeden pomysł... – zabelkotał – żeby ludzie lepiej się nawzajem rozumieli... Chcę wypić za to, żeby ludzie byli lepsi...

– Zuch z ciebie, Cybikow – podkręciłem go. – Niegłupie masz pomysły! Znaczący, lykniemy po kieliszeczku za wzajemne zrozumienie. Obywatelko Kręcigłówka, coście tak przycichli?

– A, dajcie mi spokój... Zmęczona jestem... – Popatrzyła na mnie swoimi szeroko rozstawionymi oczyskami, uśmiechnęła się i wychyliła zawartość szklanki. Skrzywiła się, splunęła na podłogę, pogroziła mi paluszkami, pijana w drobny mak: – Kwiatusek mój nocne motylki zapylają...

A kangur perorował z zapalem:

– Przyjaciela mam... Artystę... Mówią, że to geniusz... Śliczny obraz niedawno namalował. Nazywa się *Gwałt*... Szkoda, że na razie nikt go nie chce kupić... Podobno trzeba poczekać. Dzisiaj go ludzie nie rozumieją...

Zapaliłem papierosa, usiadłem wygodniej. Oczywiście należałoby pojechać do domu. Ale tutaj było ciepło i przytulnie. A poza tym, jak znaleźć teraz, w deszcz, w środku nocy, samochód?

– Lubi pan kubańskie papierosy? Mam parę paczek... Nie, sam nie palę, tak sobie kolekcjonuję. I kawior też mam... Czerwony i czarny, po jednej puszcze. A whisky pan ma? Nie? Szkoda! Ja mam... Węgierską whisky,

Klub-69 się nazywa... A przedrewolucyjne wydanie Szekspira pan ma? Nie? A Johna Locke'a też nie? To niedobrze... Ja cenię go za ilustracje...

Kangur funkcjonował na zasadzie zapomnianego przez wszystkich magnetofonu. Nie ulegało wątpliwości, że za jakiś czas kliknie przełącznik automatycznego wyłączenia i on, niestety, zamilknie, zgaśnie dioda jego wyblakłego, bezmyślnego oka. Kochał mnie w tej chwili gorącą miłością artysty-amatora, grającego swój benefis przed wdzięczną widownią. A ja byłem publicznością. Całą salą. Auditorium. Całym światem, z którym pragnął podzielić się swoimi cennymi życiowymi obserwacjami.

I instynkt aktorski podpowiadał mu, że trzeba się śpieszyć, trzeba zdążyć powiedzieć jak najwięcej, gdyż sukcesy na scenie nie trwają wiecznie. Na przykład zmęczy się publiczność. Zgaśnie światło. Albo drzemiący inscenizator tego awangardowego przedstawienia, obywatelka Nadżka Kręcigłówka, przegoni wszystkich na cztery wiatry. Mnóstwo niebezpieczeństw czyha na natchnionego artystę.

– ...a latem na kempingu pracowałem... jako dozorca... Napatrzyłem się... czego tylko chcieć... Cudzoziemcy ze wszystkich kontynentów... Z Kuby... z Bułgarii... nawet z Wietnamu... Kobiety wszystkie chude jak szczapy. Jasne: niedojadają... Jedzą tylko kanapki... Co to za jedzenie? Płatek chleba i listek kielbaski... A jak ślicznie urządzili im ten kemping, po prostu ogrody Semiramidy... Cudzoziemcy się nas boją... w pojedynkę nie chodzą, tylko całą gromadą...

Kangur tokował namiętnie, radośnie, przeżywał ekstazę bliską rozkoszy płciowej.

– ...i nasze życie z Nadiuszką nieproste... Jak w książce, jest takie opowiadanie, w telewizji niedawno pokazywali... *Kameleon* się nazywa... Tam też profesor wziął sobie na wychowanie dziewczynę z ulicy... A ona wyśoko zaszła...

– Może *Pigmalion*?

– A może i *Pigmalion*. Tak, na pewno *Pigmalion*...

– To chodź, wypijmy, co zostało, wspaniały rzeźbiarzu – powiedziałem. – Wypijmy za naszą przyjaciółkę Galateę Kręcigłówkę, i za ciebie, wielki profesorze Higgins.

– No i przeżywa mnie pan. – Ze smutkiem pokiwał głową kangur. – A niepotrzebnie... Ja na obrazę nie zasługuję... Życie nieszczęśliwie mi się ułożyło... Mojego ojca rozstrzelali... Wrogowie narodu... Gdyby nie to, nie tak bym żył...

– I leż ty masz latek, Cybikow? – spytałem z niedowierzaniem.

– Trzydzieści dwa. Niedługo trzydzieści trzy będzie... W tym roku kończę tyle co nasz Zbawiciel...

– Ohoho! – Podniosła ciężką główkę nasza subtelna Galatea. – Nieźle sobie jednak pożyłeś, gamoniu.

Bez problemu dałbym mu pięćdziesiąt. Albo szesnaście. On nie miał wieku. Nie żył. Był homunkulusem. Ludzką kijanką.

Kijanka. Jakieś dawne, zapomniane na amen wspomnienie poruszyło się we mnie.

– A kim byś był, Cybikow, gdyby twojego tatuśka nie załatwili wrogowie narodu?

– Ja?! O Jezu!... Kim tylko bym chciał! Mój tata w organach służył... Wiceministrem był...

Zaśmiałem się: kangur nie był zwykłym odtwórcą gotowych tekstów, był natchnionym improwizatorem.

– Wiceminister Cybikow? Jakoś sobie nie przypominam – zauważyłem.

– Dłaczego Cybikow? – obraził się kangur. – To moja mamusia tak się nazywała, i dała mi swoje nazwisko, żeby uchronić mnie przed zemstą wrogów narodu. To była taka jej konspiracja. A mój tata nazywał się Riumin...

Riumin. Mińka Riumin...

De profundis. Z otchłani...

O ja pierdołę!!!

Jak ja mogłem zapomnieć, że ona się nazywała Cybikowa!

Wesoła blondyneczka o zuchwałych oczach, zręczna siostrzyczka z naszej polikliniki, o lubieżnie falującej, krągłej dupeczce, zwinna i gibka, jakby na przegubach, drobna, smukła, a z dekoltu białego, chrzęszczącego krochmalem fartuszcza zawsze wycierały dwa mleczne półksiężycy potężnych piersi. Wyszukał ją gdzieś tam dla siebie minister Abakumow, a kiedy nasycił się, pochwyił ten słodki kąsek Mińka. I był z nią szczęśliwy. Ona też odnosiła się do niego nie najgorzej, sterując nim lekko, ale twardo, jak rowerem.

Głupi, ślepy kangurze! Całkiem możliwe, że twoim ojcem był nie zastępca ministra Mińka, nieszczęsny ograniczony krótkodystansowiec, o którym po roku zaginał wszelki śluch, a sam niezwyknięty szef wszechzwiązkowej bezpieki, generał Wiktor Siemionycz! Możliwe, że z racji nieodpartego powabu twojej mamusi masz znacznie lepszą genealogię. Ale co to ma teraz za znaczenie – obu rozstrzelali wrogowie narodu.

Rozwarła się otchłań czasu, jak powiedziałby poeta. Obywatelu kangurze, drogi towarzyszu Cybikow – pokłońcie się do ziemi waszemu hobby, wesolej waszej towarzyszcze życia, waszej ożyłej pośród wielkiej płyty Galatei! To ona poderwała mnie w holu hotelowym i przywiozła tu epidemiologiczną furgonetkę. Ona dostarczyła wam człowieka bywałego, z którym rozmowa jest dla was jak źródłana woda.

Pijcie więc przejrzystą wodę minionego czasu! Chłepczcie destylat dziesięcioleci, które odeszły w niebyt!

Zaświadczam niniejszym, że to ja byłem ostatnim, który widział twoich ojców – którykolwiek by się nim w rzeczywistości okazał – w pełni władzy, na wolności. Gdyż tak to już wyszło, biedny kangurze, że to ja aresztowałem ich obu. A rozstrzelali ich później, już bez mojego udziału, inni. Wrogowie narodu.

Wrogowie narodu...

Takie to buty, niedorzeczny zwierzu z antypodów.

De profundis, ja cię kręcę...

– Nie słuchaj tego pleciugi! – krzyknęła Nadźka. – Zmyśla, aż się kurzy! Przecież to stuknięty! Jak się napije, to zaraz zaczyna nawijać o swoim tacie, co go nigdy nie było, ministrze jakimś czy tam wiceministrze. To włóczęga, bidula z domu dziecka. Podrzutek...

– Nadia, Nadieczka, i po co opowiadasz takie rzeczy? – spytał zgnębnym głosem Cybikow. – Dlaczego w duszę mi plujesz? Za co mnie obrażasz? Musisz mnie pozbawić ostatniej radości w życiu? No dobrze, ojca nie znam. Ale mamę pamiętam doskonale...

– Oj, Władik, potąd mam tego! Przestań się wreszcie wymądrzać... Generały, ministry, myślałby kto... Skoro to prawda, skoro twojemu staremu tak za nic kulkę w łeb dali, to idź do NKWD i żądaj za niego renty. Jak był taką szychą, to może ci odpałą pół stówki na miesiąc.

– Nadia, Nadia – wyszeptał kangur i oczy jego wezbrały łzami. – Boję się, Nadia, boję się... Straszno mi iść tam i straszno...

Serce podskoczyło mi w piersi. Czas zatoczył wielkie koło. Ten cherlawy, bezpłciowy stwór powiedział głosem swojej matki: „straszno mi...”

Kijanka dojrzała.

– Straszno mi – powiedziała.

Jak ona miała na imię? Zabij – nie pamiętam. Leżeliśmy z nią w wysokiej trawie na brzegu zarosłego leśnego stawu w Rassudowie. Jak tam trafiliśmy

– nie wiem. Po prostu wsiedliśmy do kolejki i jechali jakiś czas. A potem wysiedliśmy na przypadkowej stacji. Nikt nas tu nie mógł znać. I my nikogo nie znaleźliśmy. W mieście nie mogliśmy się spotkać, i samochodem też tu przyjechać nie mogliśmy: mąż byłej pielęgniareczki był już nie wszawym majorem służb śledczych, lecz wiceministrem, którego znali i bali się wszyscy, i każdy szef, każdy kapuś, każdy patrolujący ulicę funkcjonariusz – od razu by doniósł. Sierpień pięćdziesiątego drugiego roku – wszyscy już do reszty powariowali, albo się przytali, albo miotali się w panice, szukając miejsca, gdzie można by się ukryć przed wybuchem.

A tu było odludzie i cisza. Tylko trzmiel tłukł się wewnątrz kielicha kwiatu, bucząc natrętnie, niczym pikujący samolot.

– Daj się napić – poprosiłem.

Podniosła się, wyjęła ze stawu butelkę wody sodowej, odkorkowała i powiedziała:

– Straszno mi... – Odwróciła się. I wydało mi się, że zapłakała.

– Miñki się boisz, czy co?

– Gdzieś go mam...

– No to czemu ci straszno? – zainteresowałem się z głupia frant, choć dobrze wiedziałem, czego się boi, gdyż w owym czasie moja gra osiągnęła punkt szczytowy, i sam żyłem w nieustającym łęku, w szaleńczym napięciu każdej żyłki.

– Przecież Miñka mi powiedział, coście wymyślili... Zgubisz nas wszystkich, Pasza... I jego, i mnie, i wszystkich... Urwą ci twój zuchwały łeb...

– Znaczy, niepokoisz się o Miñkę? Co, tak go kochasz? – Uśmiechnąłem się.

– Jego? Która kobieta będzie takiego kochać? Przychodzi z pracy nad ranem, pijany, zły, włazi na mnie i gwałci mnie bez słowa, mrocznie, ponuro... Ja nie o nim myślę, tylko w ogóle...

– A, jak w ogóle, to lepiej nie myśl. Chodź tu do mnie, ja cię będę pieścił wesoło i radośnie...

Roześmiała się, machnęła ręką. Sierpniowe słońce, żółte i miękkie jak topione masło, świeciło jej prosto w twarz, gdy, zmrużywszy swoje ciemnoniebieskie, bezczelne oczy, patrzyła na mnie.

– Chodź do mnie – zachęciłem ją jeszcze raz.

Jędrna i szczupła, jak wyścigowa klacz, cała dygotała z niecierpliwości i słyszałem, jak rozkosznie buszuje w niej złota ćma.

– No chodź! – powtórzyłem i pomyślałem, że jest podobna do klepsydry. Poprzez cienki przegub talii cieknie czas...

Kangur ciężko przecwałował przez kuchnię na swoich krzywych łapach i nie wiadomo skąd wywłókł litrową bańkę brązowej cieczy. Może z torby na brzuchu pod londyńskim pucharowym podkoszulkiem?

Chlusnął do szklanek i wyciągnął ku mnie.

– Proszę! – Wyczuwszy moje wahanie, wyjaśnił: – Nalewka na grzybie czaga! Ba-ardzo zdrowy trunek...

– Mam was dosyć obu – oświadczyła Nadźka. – Spać mi się chce.

– Nie złość się, Nadieczka – powiedział błagalnie kangur Cybikow. – My tylko po jednej szklaneczce, za spokój duszy naszych rodziców. Wieczna ich pamięć...

Pamięć. Zdumiewający, męczący dar. Rzadki, tak jak umiejętność rysowania, układania wierszy, słuchania muzyki. Pramatka osobowości, dusza talentu.

Nie chce się wspominać, nie chce się pamiętać, wszyscy wszystko zapomnieli.

Dręczyła mnie męka wspomnienia uczuć, gorycz beznadziejnego usiłowania, by odtworzyć wrażenia z tamtego życia, które odpłynęło w niebyt.

Katowałem własną pamięć, gniotłem ją w dłoniach, ściskałem namiętnie i wściekle, jak żołnierz jędrną pierś dziewczyny. Musiałem wydusić z niej kroplę dawno umarłych uczuć, trochę zaczynu starych przeżyć, na którym tak pięknie wzeszły bujne łany mego obecnego życia, z nieuchronną domieszką lebiody i piołunu.

„...Cybikowa – to moja mamusia. To była taka jej konspiracja...”

Nie mogę sobie przypomnieć, jak ona miała na imię? A, nieważne. Pamiętam tylko, że z początku w ogóle nie zwracałem na nią uwagi. Byliśmy przecież z Mińką kumplami. Na jej aluzje i zaczepki odpowiadałem żarcikami, śmiechem, puszczaniem oka.

A kochający małżonek Mińka, poddany memu nieustającemu naciskowi, nakręcany wciąż niczym patefon na korbkę, kuszony przeze mnie dzień w dzień, głupi i tchórzliwy bydlak, już podpalił lont piekielnej maszyny, która miała roznieść wszystko w drobny mak. I ten bieg zdarzeń, którego nie był w stanie ogarnąć swoim ograniczonym umysłem, zaczął w szaleńczym tempie wznosić go po śliskich stopniach władzy.

Przeprowadził się do nowego, wielkiego mieszkania na ulicy Sadowo-Triumfalnej, i w tym krótkim niedorzeczno-triumfalnym życiu – dręczony podświadomym lękiem – przymusił się do uwierzenia w wyjątkowość

własnego losu. Zaślepiiony, głupi łajdak nie rozumiał, na czym naprawdę polega jego wyjątkowość: los wybrał go, żeby – sobie ku ucieście czy innym ku przestrodze – okrutnie, krwawo zakpić sobie z niego, ze mnie, ze wszystkich.

Już się wtedy ze mną nie przyjaźnił i prawie mnie nie zapraszał do nowego mieszkania, jakby bał się, że rzucę na niego urok, albo nie chciał, by moja obecność pomniejszała wagę jego sadowo-triumfalnej egzystencji poprzez przypominanie mu o jego wczorajszej znikomości.

Był wobec mnie życzliwie-protekcjonalny, poklepywał mnie pobłaźliwie po ramieniu, ale widziałem, że w jego przymrużonych oczkach cwanego idioty już pojawiła się okrutna nienawiść ku mnie. Tylko ręce jeszcze miał za krótkie, zdawał sobie sprawę, że beze mnie nie doprowadzi sprawy do końca, tylko zesra się na rzadko.

Gdyby Mińka wiedział, na czym naprawdę polega jego wybranie, to być może serce by mu wypowiedziało, wątroba podszeptęła, że i ze mną nie doprowadzi sprawy do końca. Los drwił sobie z niego. Z nas.

Ale na urodziny mimo wszystko mnie zaprosił...

Słyszysz mnie, kangurze? Świętowaliśmy trzydzieste trzecie urodziny twojego taty. Miał tyle lat, ile tobie stuknie w tym roku.

Nalewka na grzybie czaga zapłonęła wewnątrz mnie, wałęna po nerkach, napełniła łądzwie ociężałością. W oczach mrok. Ba-ardzo zdrowy trunek. Lody pamięci ruszyły, w szczelinach mignęli ludzie, uchodziła w mrok martwa twarz Mińki i radosna, roześmiana – Cybikowej...

– Chodź, wypijemy za twoją matkę – zaproponowałem kangurowi i nieoczekiwanie dla siebie samego oświadczyłem: – Znałem twoich rodziców...

Kangur albo nie zrozumiał, albo nie uwierzył, ale bardzo się ucieszył, że może udowodnić swoją genealogię Nadźce.

– Słyszysz, Nadiusza? Słyszysz? Ten człowiek też to potwierdza! A tyś mi nie wierzyła!

Oczy Nadźki ze zmęczenia pelzły z uszu ku karkowi. Pokiwała leniwie głową:

– Ale mi wiarygodny świadek! Nawet się nie obejrzysz, a nakłamię jak stąd do Murmańska...

Łyknąłem czagi i powiedziałem do Nadźki:

– On mówi prawdę.

– Idź w cholerę – odparła. – Kłamiesz jak w radiu...

Nie kłamię. Przypomniałem sobie. Łód zapomnienia trzasł i wypłynęło spod niego wielkie święto Mińki.

Cały kraj, od krańca do krańca, świętował tę okazję. W każdym razie ze wszystkich nieobjętych dla ludzkiego oka przestrzeni naszej ojczyzny cześciści ślali pozdrowienia naczelnikowi naszych organów śledczych. By tak rzec, głównemu organście, który już się zabrał do tego, by urządzić im taki koncert, że im bębenki w uszach popękają.

Ach, co za festiwal gastronomii zorganizowała obywatelka Cybikowa dzięki szczodrobliwości kolegów i podwładnych!

Archangielska siomga i czardzujskie melony. Litewskie węgorki i kraby z Kamczatki. Jelenie wargi z maliną moroszką i chersońskie pomidory. Nieżyńskie ogórki i dagestańskie jagnięta. Soświńskie śledzie i śliwki z Soczi. Jesiotry z Astrachania i granaty z Baku. Gotowany w mleku abchaski koziołek i szynka z Tambowa. Ormianie podarowali wędzone kaczkę, a Ukraińcy – indyka wielkości porządnego strusia. I ogromny kosz fejho – czardziejskich owoców o zapachu zwycięskiego komunizmu: coś w rodzaju mieszanki banana, poziomek i kwiatów. Fejho to był dar naszych wiernych bojowników z Gruzińskiej Sacywistycznej* Republiki Szaszlykowej.

Rzecz jasna, taka uczta godna była i Paryża, i Moskwy, całego świata, wszystkich ludzi, których Mińka gotów był zabić. Już podpalił lont, a ja usłużnie podałem mu zapalki.

Gdzieś ty był w czasie tamtej uroczystości, drogi kangurze? Nie zauważyłem cię wtedy.

A Mińka, twój wesóły tatuś, młodzieńca zastępca ministra, szczęśliwy blondasowaty knur, tak się cieszył, tak się ze wszystkimi stukał, tak przyjmował i składał życzenia i gratulacje! Osobiście wygłosił, nikomu innemu nie pozwolił, trzy toasty za wielkiego naszego Nauczyciela i słynnego naszego Bossa. Potem dwa toasty za najlepszego i najukochańszego jego ucznia, wychowawcę naszych nieustraszonych, nieugiętych organów, drogiego Ławrentija Pawłowicza Berię. I jeszcze jeden, przepojony uczuciem, ale ostrożny toast – za nowego ministra, towarzysza Ignatiewa.

A stary nasz minister, Wiktor Siemionycz, generał Abakumow, możliwe, że twój ojciec, biedny kangurze, nie został uhonorowany toastami ani życzeniami sukcesów w służbie krajowi i w życiu osobistym.

Ponieważ siedział w więzieniu. W bloku czwartym G wewnętrznego więzienia śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego, izolatka numer 113.

* Od *sacywi* – popularnej potrawy gruzińskiej z warzyw strączkowych.

Sam go tam odprowadziłem. Naczelnik więzienia, pułkownik Grabieżow, zamknąwszy na dwa zamki drzwi izolatki i zatrzasnawszy luk otworu, przez który podawano jedzenie, o mało nie zemdlął ze strachu.

Tak więc, kangurze, o drugim twoim przypuszczalnym ojcu na urodzinach nie wspominaliśmy. Chodziły słuchy, że niedługo zostanie stracony.

A na imprezie – czy to nie pamiętaliśmy, że ministrowie często gęsto bywają traceni, czy też nie mogliśmy o tym zapomnieć ani na sekundę – ale spiliśmy się tak, jakby jutro miał nastąpić koniec świata.

Mińka ledwie dowlókl się do sypialni, ale na wejście do łóżka zabrakło mu siły i zwałił się na podłogę. Ogłuszająco chrapał, zarywwszy napuchłą świńską gębą w gruby dywan. Niektórzy z gości wyjechali, inni porozlazili się po kątach. A ja, wyszedłszy z łazienki, natknąłem się na nieoświetlonym korytarzu na twoją mamuszkę, obywatelu Cybikow.

Była pijaniuteńka, senna i ciepła, w przejrzystym koronkowym peniuarze, których zwycięzcy nawieźli z Niemiec w charakterze trofeów całe walizki, a nasze baby, głupie nieokrzesane krowy, uważały je za letnie suknie i dumnie paradowały w nich po ulicy Gorkiego.

– To ty? – spytała szeptem.

– Ja...

Szary przedświtowy mrok snuł się po mieszkaniu, zewsząd dochodziło tęgie chrapanie, nieartykułowane pijackie pomruki, ktoś rozgłośnie świstał przez nos. W półmroku korytarza poruszała wyciągniętymi rękami, szukała mnie, tak jakby płynęła i w stojącej ciemnej wodzie chciała się mnie uchwycić, niczym krawędzi pomostu.

Zrobiłem krok w jej kierunku, przygarnąłem ją do siebie i poczułem pod palcami jej miękką, sprężystą pierś, niczym ogromną brzoskwinie, owiniętą w jedwabisty papierek jej peniuaru. W Moskwie sprzedawano wówczas pomarańcze i brzoskwinie z Izraela, który nie skurwił się jeszcze ostatecznie syjonizmem. Każdy owoc zawinięty był w cienką papierosową bibułkę. Żydowskie sztuczki, kobiece chytryści.

– Co się śmiejesz? – szepnęła.

– Dobrze mi. – Ledwie poruszyłem ustami.

Nie mogłem jej przecież powiedzieć, że postanowiłem przelecieć ją, na złość Mińce, właśnie dzisiaj, w jego jubileuszowo-triumfalnym domu, w dniu jego święta, które nasze draństwo ostatecznie miało zmieniać w mit, urągawisko, kpinę.

Wziąłem ją na ręce i stąpając bezgłośnie bosymi stopami, wniosłem do sypialni. Trzymając mnie mocno za szyję, szeptała:

– Nie tu... nie tu...

A ja, ostro napity i od tego jeszcze bardziej zły, uparcie kręciłem głową – tu, tylko tu, i kiedy ją akurat układałem na łóżku, pożądanie i kurewska natura przewyciężyły w niej resztki rozsądku. Nawet jęknęła cichutko w przecuciu niepowtarzalnej rozkoszy pofolgowania sobie obok śpiącego męża, który, gdyby obudził się choć na moment, bez wątpienia zabiłby nas oboje.

To się nazywa prawdziwa rosyjska ruletka. Słodycz ostatecznej ciemności. Do diabła, ale ja miałem wtedy nerwy! Różnąc niedźwiedzicę w barlogu śpiącego zwierza!

Białe promienie rozchylonych nóg, rozrywające serce odsłonięcie tej jedynej, najważniejszej tajemnicy bytu! Czarny, kędzierzawy tulipan jej łona, płynnie przechodzący w różową, szkarłatną głębinę!

Wargi miała zagryzione, a zuchwałę oczy śmiały się. I kiedy wszedłem w nią do oporu, zmrużyła oczy, jęknęła namiętnie i glucho. Widać jej rozkosz wzbudziła w kochającym sercu Mińki rezonans szczęścia, gdyż on także mruknął, poruszył się, ciężko przekręcił się z brzucha na plecy, zamlałkał wargami, coś tam zamamrotał przez sen.

Zamarliśmy. Do bólu wczepiwszy mi się w pierś, szeroko otworzyła błędne oczka, w których widniał popłoch, przerażenie.

Uniosłem się znad niej, żeby w momencie, kiedy mój czujny organista rozklei powieki, dać mu z całej siły po czerepie. Potem Cybikowa zawsze mu udowodni, że zwałił się z łóżka, świnia pijana.

Podniosłem rękę, i pięść wezbrała ciężarem niczym kiścień.

Ale Mińka westchnął głęboko, pocmokał i ogłuszająco pierdnął.

I uspokoił się.

Tyle! Aut!

Chichotaliśmy z nią bezdźwięcznie, ledwie powstrzymując się, by nie ryknąć śmiechem na cały głos. Wybraniec losu, główny organista, reżyser rodzinno-triumfalnej feerii, osiągnął szczyt. Tylko geniusz nicości zdolny jest wykonać taki fantastyczny numer – puszczać bąki, kiedy obok z takim smakiem używają twojej żony na wszelkie sposoby – i doustnie, i dowcipnie!

I nawet wtedy, kiedy niesamowity, cudowny łomot w rdzeniu zaczął przechodzić w rozkoszny skurcz lędźwi, skręcając się w ostatnich błogich konwulsjach, nie mogłem oderwać spojrzenia od ukolysanego, różowego lica Mińki, smacznie pomlaskującego grubymi wargami w rozmarzeniu niezmaczonego żadną troską porannego snu triumfatora...

A potem, na brzegu zarosłego szuwarami i wiciokrzewem stawu, gdzie w powietrzu unosił się soczysty zapach siana i przejrzałych poziomek, powiedziała:

- Straszno mi...
- Chodź do mnie – kusilem.

Ale ona nie przyszła.

Być może Mińka powiedział jej, że poprzedniej nocy zajrzałem do jego gabinetu i niby przy okazji oznajmiłem, że człowiek, którego potrzebujemy, został już znaleziony i przygotowany?

- Co to za człowiek? – zapytał z pełną dostojeństwa powagą.
- Właściwy człowiek. Młoda kobieta, Rosjanka, lekarz, komunistka.
- Nazwisko?
- Ludmiła Gawriłowna Kowszuk.
- Jesteś jej pewny?
- Tak. Całkowicie.
- Na co ją wzięłeś? Pieniądze? Szantaż?

Pokręciłem głową.

– A na co jeszcze można wziąć, żeby mieć pewność? – zdziwił się Mińka.

– Na kutasa... Żyję z nią.

Mińka roześmiał się.

– Ty ze wszystkimi agentkami żyjesz?

– Nie, wyłącznie z ładnymi.

– Dobra. – Machnął ręką. – Tylko uważaj, Chwatkin, jak jej przejdzie mięta, łeb ci urwą.

Pozycja głównego organisty nie pozwoliła mu powiedzieć „nam urwą łeb”, choć było to jasne jak słońce.

– Kowszuk... Kowszuk... – powtórzył w zadumie. – Nazwisko jakby znajome...

– Siemion Kowszuk, jej brat, pracuje w Drugim Zarządzie Głównym. To ten, co Balickiemu głowę oderznął...

– A... wszystko jasne! No no... fest rodzinka...

„I tobie urwą twój beczelny łeb...” – powiedziała Cybikowa. Nie przyszła do mnie, tylko nachyliła się nad wodą, szybko zanurzyła rękę i wyciągnęła coś czarnego, lśniącego.

– Co to?

– Kijanka... – Podeszła bliżej i pokazała mi na dłoni dużą, gładką, szaroczną poruszającą się kulę.

– Puść ją, już duża, niedługo zmieni się w żabę...

– Dobrze – szepnęła, popatrzyła mi uważnie w oczy, i ścisnęła z całej siły dłoń: – O, tak z nami zrobiał!

I w tym momencie pęknięta kijanka bryznęła mi w twarz lepką krwawą mazią, która pociekła po piersi, po rękach. Z obrzydzenia mdłości podeszły mi do gardła...

Ocknąłem się na ostry krzyk Nadźki Kręcigłówni:

– Przestań mi wreszcie dupę truć, idioto! Skoro tak było, to idź i proś o rentę, może ci i dadzą...

– Jak ja mogę iść, Nadieczka? Oni mi wszystko przypomną... Boję się...

Biedny głupi kangur – nie wie, że im wszystkim dawno przebaczyli. Nikt nie każe „przypominać” – niczego i nikomu. Wszystkim kazano wszystko zapomnieć.

Cicho, bez rozgłosu skasowano zasadę krwawej zemsty, opadła wysoka fala nienawiści pod nazwą „izolacja członków rodziny” – wynaturzonej formy wendety, zgodnie z którą zabicie człowieka zobowiązywało nas, jego morderców, do tego, by zlikwidować, posadzić, zesłać, spopielić wszystkich członków jego rodziny – możliwych, przypuszczalnych, prawdopodobnych mścicieli ich nieżyjącego rodzica.

Prawdę mówiąc, nigdy nie baliśmy się niczyjej zemsty, ale ta świetna zasada, zgodnie z którą cała rodzina stawała się zakładnikami i osobami współodpowiedzialnymi, bardzo nam pomagała prawidłowo wychowywać niedostatecznie uświadomioną ludność.

Nie, jak by nie patrzeć, w systemie zakładnictwa coś jest!

Kto wie, jak potoczyłyby się losy świata, gdyby Aleksander Uljanow, majsterkując bombę na imperatora, wiedział, że jego mamusia oraz małoletni bracia i siostry zostaną przez żandarmów uznani za współodpowiedzialnych! Może mój ojciec siedziałby w kuchni u jego braciszka Władilena*, który z pewnością wybrałby inną drogę, patrzyłby na łysawego kangurka, pił z nim nalewkę na grzybach czaga i słuchał, jak krzyczy jego wylupiastooka Nadźka Konstantinowna**:

– Idźcie w cholere! Ja się kładę, a wy dalej pieprzcie, jak macie ochotę...

Uspokoił się, chwala Bogu, świat. Nie ma już odpowiedzialności rodzinnej. Ani wśród wrogów narodu, ani wśród tych, którzy pod mądrym

* Chodzi oczywiście o Lenina. Popularne w ZSRR imię Władilen lub Władlen zostało utworzone z pierwszych sylab jego imienia i przybranego nazwiska – Władimir Lenin.

** Chodzi o Nadię Krupską, towarzyszkę życia Lenina.

przewodnictwem Wielkiego Bossa obronili nasz lud przed wrogami narodu. Wszyscy jesteśmy członkami jednej kochającej się radzieckiej rodziny.

Cybikow poczłapał na swoich łapach kopalnego dinozaura do ustępu, a ja spytałem miłą moją Nadieczkę, Elizę Dolittle spod płotu rodem:

– A ja?

– Kładź się koło mnie.

– A Cybikow?

– Co Cybikow? Tu, na materacu się położy...

– Wiesz co, jakoś mi niezręcznie. Profesora Higginsa kłaść na podłozę?

Mimo wszystko mieszkacie razem, jak by nie patrzeć, to Pigmalion, nieśmiertelny rzeźbiarz...

– Wiesz co, nie truj mi dupy, zmęczona jestem, spać mi się chce. A dla niego to wszystko bez znaczenia. Cała jego przyjemność to na nas popatrzeć, jak zaczniemy baraszkować: powąchać, siebie samego popieścić... Nie, on się do tych rzeczy nie nadaje, ten twój Pigmalion...

W niemal pustym pokoju stał materac na czterech ceglach. Pozbyłem się ubrania i ległem przy chłodnej ścianie.

Nadźka wpełzła pod kołdrę, umościła się obok mnie, zmarznięta, cała pokryta gęsią skórką. Podsunąłem jej rękę pod głowę, przygarnąłem ku biodrom jej lodowate nogi, przycisnąłem mocno do siebie. Jej włosy pachniały papierosowym dymem.

W kuchni szumiała woda w zlewie, głucho plaskał obrzękłymi odnóżami kangur, rozmawiał sam z sobą:

– ...ja mu mówię, to najważniejsze gwiazdy; o, tu są Psy Gończe... a on patrzy na mnie z pogardą... śmieje się: ale pan uczony... czy to moja wina... w telewizji tak mówili...

Nadźka pocałowała mnie w pierś, szepnęła ze znużeniem:

– Śpijmy... nie mam siły...

– Śpijmy...

Cybikow gadał do gwiazd, z cicha posapywała Nadźka, zwinąwszy się w kłębek, sen wsysał mnie coraz głębiej i jako ostatnia przemknęła mi myśl o tym, jak nieśpiesznie, a jednak niezmordowanie plewi Pan swój ogród...

– A ja żonę Riumina widziałem, nieboszczyka Michaiła Kuźmicza ślubną małżonkę – powiedział mi spotkany wiele lat temu Putincew, pupil Mińki, obłudny pochlebca. W ciągu dwóch lat Mińka awansował tego dupka z lejtnanta na podpułkownika, za co on w dowód wdzięczności dostarczył na

procesie głównych dowodów przeciwko swemu dobroczyńcy i został za to nagrodzony jedynie siedmioma latami lagru.

– Jak jej się żyje? – spytałem bez zainteresowania.

– Jak jej się żyje? Suka! Szmatą była i szmatą została... Zdradziła jego pamięć! – Putincew ze szczerego wzburzenia pryskał śliną. – Wie pan, całkiem się skurwiła! Wożą ją ze sobą konduktorzy kaukaskich pociągów i proponują Gruzinom. Te zarazy, czarnodupce, forszę z rynków workami taszczą, to i balują sobie, jak chcą! A ta suka hańbę nam przynosi...

„O, tak z nami zrobią!” Oslepiający rozbryzg śmierdzącego śluzu na twarzy...

Gdy tylko zasnąłem, zaczęła się moja zwykła udręka. Obląkana galopada okropnych nocnych fantazji. Najwyższy wymiar kary.

Nie przemija w ustach smak przemarzłych jabłek z sokolnickiego sadu. Nie przemija zapach miękkich jabłkowych pesteczek. Czy to był ogród Edenu? Czyżby stara antonówka okazała się drzewem poznania? Dlaczego więc owoc miał tylko smak zła? Jak to się stało, że byłem i Adamem, i węzem kusicielem zarazem? A może człowiek i szatan zawsze są dwuistotni? Może kuszenie przez diabła – to tak naprawdę nasze własne tajemne pragnienia i marzenia? Może nie ma żadnego diabła, oprócz tego, który żyje w nas – i nasze dążenie do sukcesów to właśnie diabolizm?

W takim razie skąd ten urok, przed którym nie ma ucieczki? Jakakolwiek kobieta leżałaby obok mnie, zamykam oczy i marzę, ludzę się, okłamuje sam siebie, że to Rimma.

Inaczej kurek spustowy nie działa. Beczka żyworodnej plazmy, chlupcząca we mnie, zaczopowana jest na głucho, całe to dobro zgorzknieje, przypadnie: przyłączy destylacyjne nie działa, dopóki nie przekonam sam siebie, że obok mnie leży Rimma.

Nieźle się ze mną rozliczyła. Zrobiła ze mnie sztucznego zapładniacza, knura-dawcę rasowej spermy.

Nigdy takiego nie widziałaś? A ja widziałem.

Przyjechaliśmy z kumplem na świńską fermę po prosiaka. Zootechnik chwalił się swoimi osiągnięciami:

– Sztuczna inseminacja to nowoczesna metoda zwiększenia pogłowia... Zabijamy maciorę w czasie rui i robimy z jej skóry kukłę, wypełnioną pianką poliuretanową... Montujemy w niej namiastkę pochwy z porowatej gumy, ogrzewaną ciepłym olejem... Knur rwie się do zapachu maciory i oddaje za

jednym razem do pięciuset gramów spermy. Rozcieńcza się ją w proporcji jeden do dwudziestu i za pomocą specjalnej strzykawki wprowadza maciorom do macicy. A knur po upływie jednego dnia gotów jest do nowych akcji, sobie na uciechę, a nam wszystkim na pożytek...

Zrozumiałaś, Rimma, kogo ze mnie zrobiłaś?

Kiedy byłem młodszy, głupszy i na coś tam miałem nadzieję, powtarzałem sobie wymyśloną na własny użytek bajeczkę: życie Rafaela też spaprała piękna kobieta, Fomarina, ulicznica Margareta Luti, która w jego oczach była Madonną. Ona jedyna na świecie. Co za nedorzeczny, jałowy bieg uczuć: leżąc na kurwie, przekonywać samego siebie, że posuwa się Bogurodzicę.

Beznadziejność diabolizmu.

Ja nie jestem artystą, jestem opricznikiem, i głupio mi zwodzić siebie samego. Co ma do tego Rafael? Po prostu śpię z prostytutką.

I jeśli się nie obudzę, to wleżę na nią, wierząc, że to Rimma, i będę szczęśliwy jak rwący się do zapachu kukły knur.

10. Gołoledź

Jeszcze oczu nie otworzyłem, nie zorientowałem się, gdzie jestem i z kim tu leżę, a już poczułem: nieswojo mi jakoś, jakbym był chory.

Pustawy pokój w szaroniebieskim półmroku, materac pod ścianą, a obok mnie rozczochrana Nadźka o szarej, przepitej twarzy. Z kuchni dochodził tekturowy głos radia i odgłosy ciężkiego stąpania. Kangur.

Strach ze świstem chlasnął mnie po sercu. Nie chcę wracać na ziemię, jestem w statku kosmicznym. Jestem wenusjańskim uciekinierem. Jak dobrze byłoby zaryć się pod brudną poduszkę, naciągnąć na siebie Nadźkę Kręcigłówkę – i usnąć.

Ale radio skrzeczało przenikliwie, radowało dobrymi wieściami o tym, że rolnicy z Tadżykistanu zobowiązują się zakończyć siew o tydzień wcześniej niż w zeszłym roku. Debile, gdyby zebrać do kupy wszystkie te zaoszczędzone co roku tygodnie, to od dawna już trzeba by siać w październiku! Spać tylko nie dają, zarazy...

Źle mi jakoś, w piersi boli jak cholera. Kłuje, dławi, uciska. Jak ciężki, ostry kamień.

Wredny cykor trzęsie kiszki, niepokój ogromny, ołowiany, łupkowej barwy, wlecze mnie korytem wyschłego strumyczka snu. W piersi boli.

Ogromna ropucha smutku siedzi mi na piersi. Zimna, śliska, brodawkowata, dławi bez ustanku, w milczeniu patrzy żółtymi ślepiami, łypie złowieszczo cienkimi błonkami powiek.

Boże miłosierny, czyżby to dawna niemoc drgnęła, ruszyła z miejsca, popęzła we mnie?

Nie, nie, nie! Zaledwie wczoraj minął mój nieistniejący dzień urodzin. Muszę jeszcze doczekać następnego roku. Skończę wtedy czternaście przeszłych lat.

I rozpacz wypchnęła z dna pamięci słowa, zapomniane niemal do cna:

Ojczy nasz, któryś jest w niebie!

Święć się imię Twoje,

Przyjdź królestwo Twoje,

Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi...

Czułem się mały, wystraszony – i niemal uratowany od dopadającego mnie, jak we śnie, srogiego bólu w piersi; i od czegoś więcej – ogromnego, przerażającego, stojącego na drodze do następnych urodzin.

I, być może, przyszłaby ulga, wróciłoby poczucie mocy i wiara w siebie – poprzez modlitwę, bezmyślnie wyuczoną na pamięć w dzieciństwie. Ale zagłuszały ją – sprawiały, że stawała się śmieszna, niewiarygodna – nieprzerwanie napierające z radia słowa i imiona, podobne do przekleństw:

– Hua Go-Fen... Deng Xiao-Ping... Huja O-Ban... Hua Go-Fen... Huja O-Ban...

Mówiono o tym, że jeden Huja przegonił drugiego Hua, a obaj razem, sukinsyny skośnookie, przeganiali z mojego serca nadzieję na pokój.

...Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...

Serce ścisnął mi lęk na myśl, że ten powszedni chleb przyjdzie mi dziś przełamać z Mangustem.

...Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...

O co ja cię proszę, Panie? Czy ktoś na ziemi może uchodzić za mego dłużnika? Jak Cię uprosić, żebyś anulował wszystkie nasze długi? Po co ta cała buchalteria? Nasze długi, nasze winy... Zlikwidujmy przeszłość niczym upadłe przedsiębiorstwo!

...I nie wódź nas na pokuszenie...

To diabeł mnie wczoraj wiódł, kiedy pojechałem na spotkanie ze szwajcarskim admirałem Kowszukiem. Ale co miałem robić? Jeśli silniejszy jesteś

od diabła, mieszkającego we mnie – a jesteś silniejszy, wierzę w to – wywiedz mnie z tego pokuszenia, zabierz stąd w czorty Mangusta! Wezwij go pilnie do domu, anuluj mu wizę... Czy niech wpadnie pod tramwaj – co tam chcesz, wszystko mi jedno, toż ja osobiście przeciwko niemu nic nie mam...

To przecież ty zamiesiłeś proch i glinę moich członków z hormonami i żółcią Szatana! Inaczej na pewno ludzkiego ciasta się nie miesi.

...Ale nas zbaw ode złego...

Proszę Cię całym sercem: zbaw mnie ode złego. Zrób porządek z Mangustem. Oswobódź mnie od grzechu wiecznego. Proszę Cię. Po dobroci...

...B o Twoje jest królestwo, potęga i chwała na wieki. Amen...

Amen. Niech tak będzie. Masz wszystko – i królestwo, i potęgę, i chwałę. A mnie trzeba tak niewiele.

W radiu grała wesola, rześka muzyka, coś tam mruczał pod nosem, podśpiewywał Kangur, brzękał naczyniami. Nadzka otworzyła jedno oko: uchyliła powiekę, zupełnie jakby uchem poruszyła, otarła się o mnie leciutko, podsuwać się pode mnie zaczęła, zręcznymi rączkami zagmerala mi w okolicach członka, zasapała, zadyszała ciężko, brewki ściągnęła, jakby się zamysliła.

A ja jej nie chciałem. W ogóle mnie nie brało.

Zamknąłem oczy, głaskałem lekko jej delikatne, miękkie jak kurze mięso ciało, i usiłowałem się wyłączyć, przeskoczyć trzydzieści lat wstecz, do innego łóżka, w objęcia zupełnie innej kobiety.

– Daj, pobawię się twoim ptaszkiem... – mruzczała namiętnie, gardłowo Nadzka, a ja wspominałem, jak wpychałem mojego pełnokrwistego czorta w ręce Rimmy, która aż się wzdrygała z nienawiści i wstrętu do mnie, jak od jednego niechętnego muśnięcia jej lodowatych dłoni zmieniał się w gorącego, wściekłego szczura, gotowego przegryźć upragnioną na wylot.

I wierzyłem w dawną wielką ludową mądrość: jak wytrzyma – to pokocha. Jasne, że pokocha! Całe narody pokochały się ze swoimi przywódcami, to niby czemu my nie mielibyśmy się pokochać? Ja cię przecież naprawdę kochałem, Rimma!

A ty mnie nienawidziłaś każdym włókienkiem duszy – co to, to tak!

A przecież nic jeszcze nie wiedziałaś o losie ojca, nie słyszałaś trzasku jego żeber, gdy Mińka rzucił przycisk. Wierzyłaś, że jeszcze żyje, i ja na

wszelkie sposoby tę wiarę podtrzymywałem, i tłumaczyłem, że możecie się jeszcze kiedyś zobaczyć z drogim, kochanym żydowskim tatusiem tylko dzięki mnie. Wyłącznie w rezultacie moich starań, ze szkoda, można powiedzieć, dla bezpieczeństwa naszego kraju żyje jeszcze na razie profesor Lurie, no i stosunkowo nieźle wie dzie mu się w więzieniu, dzięki mnie.

Chciałem dać Rimmie odrobinę czasu, żeby mogła się przyzwycząić. Wytrzymać. I wytrzymywała – w udręce, z bólem, ledwie-ledwie. Czasem zrywała się nagle jak obłąkana, gnała gdzieś w panice, rozdygotana, ze zgnębionymi, niewidzącymi oczami. Nie zatrzymywałem jej, bo wiedziałem, że lada chwila zerwie się w niej napięta do ostatnich granic sprężyna wytrzymałości, zakrzyczy, zaszamocze się w ataku hysterii, wczepi mi się zębami w gardło.

Ale czasami udawało mi się zasłużyć na jej życzliwość. Kiedyś przyniosłem jej ojcowską chusteczkę do nosa – wiadomość od niego, dobry znak, bo pisać nie może. Rimma rozpościerała tę nieświeżą już chusteczkę swymi szczupłymi, smukłymi dłońmi, przyciskała ją do twarzy, wdychała niemal wywietrzały już zapach lawendy i dobrego tytoniu.

I płakała, i pytała wciąż na nowo: jak on się ma? czy je? czy bardzo się denerwuje? na pewno schudł? Ma przecież katar żołądka i woreczek żółciowy mu dolega...

Objęła mnie z własnej woli! I pocałowała. Dziwny to naród, do nikogo niepodobny. U nich nawet miłość to uczucie wyspekulowane, egoistyczne, kupieckie.

I ciążyła mi w duszy gorycz i uraza. Walczyłem z pragnieniem, by jej powiedzieć, że wziąłem tę chusteczkę z kupki rzeczy, leżących na podłodze obok sinego, skulonego ciała dziwnie niechlujnego po śmierci profesora Luriego. Zmierzwione siwe włosy, czarne od zaschłej krwi usta, wytrzeszczone otwarte oczy.

„Śmierć nastąpiła z powodu ostrej niewydolności serca”, powiedział lekarz więzienny Zodijew, podpisał protokół i wyciągnął kartkę ku mnie:

– Podpiszcie się...

Uśmiechnąłem się i założyłem ręce za plecami:

– Z przyjemnością, ale na razie nie ten szczebel. Zaraz zejdzie starszy śledczy Riumin i podpisze.

– Mnie tam wszystko jedno – wzruszył ramionami Zodijew, zapalił papierośa i wskazał głową trupa: – Trzeba to dzisiaj zabrać...

Jemu było wszystko jedno. A Mińce nawet sprawiało przyjemność. Ale ja już wtedy żadnych papierków nie podpisywałem. Proszę, by wziął to pan

pod uwagę, Mangust, drogi mój zięciu! I świadectwa zgonu dziadka pańskiej narzeczonej, mojej ukochanej córeczki Majki, też nie podpisywałem.

Pojechałem tylko z nieboszczykiem do krematorium. Nie wchodziło to w zakres moich obowiązków, tak samo jak podpisywanie świadectwa zgonu, ale miałem jakieś na polu mistyczne przekonanie, że określone sprawy należy doprowadzać do samego końca. Od początku – do końca. A początek i koniec ludzkiego życia jest taki sam – z prochu powstałeś, w proch się obrócisz.

Właśnie dlatego pojechałem głuchą październikową nocą furgonetką z napisem **PRODUKTY ŻYWNOŚCIOWE** na tyły ciemnego masywu Dońskiego Monasteru, gdzie samotna latarnia wydobywała z mroku szary korpus dumy naszej komunalnej industrializacji – moskiewskiego krematorium miejskiego.

Kiedyś, dawno temu, jeszcze przed rozpoczęciem mojej służby, organizatorzy Towarzystwa Przyjaciół Kremowania Zwłok postanowili zbudować krematorium tutaj – pod samą ścianą Dońskiego Monasteru, w pobliżu rezydencji Patriarchy Wszechrusi, żeby tym dotkliwiej dokopać popom tym kosztownym pogańskim obrzędem, a i wiernych, otumanionych religijnym opium, dosięgnąć skutecznie. Nie da się ukryć, dokopali. I dosięgli.

Ale przecież u nas zemsta chadza pod rękę z diabłem. Jeszcze nie zdążyli popów pogańskim dymem poddusić, kiedy całą tę kompanię przyjaciół kremacji uznano za szpiegów i zdrajców narodu. Widać chcieli nasz naród spopielić w płomieniach. Zawieźli tych zasranych czcicieli ognia na Łubiankę i dali wszystkim po dysze z orzeczeniem odbycia kary w Peczorlagu, gdzie zajął się nimi bojowy i niezwykle skrupulatny lejtnant Kaszkietin. Uznał on przyjaciół ognia za niedobitych trockistów, anarchistów i religijnych fanatyków – i wszystkich rozstrzelał w starej cegielni.

Leniwi, obojętni wołodzcy konwojenci zakopali wielbicieli kremacji w wiecznej zmarzlinie.

Wraz z mnichami z Dońskiego Monasteru, którzy też tu trafili...

Być może zmusiłem się do uwierzenia, że to nie Nadźka, lecz dawna, młoda, niezapomniana Rimma, albo zapadłem na chwilę w zapomnienie, i miękkie fałdki w miejscu, gdzie brzuch płynnie przechodzi w biodro, przekonały mnie, że to falujące, żywe ciało Rimmy, a nie tani półfabrykat orgazmu, który dała mi na wynos Nadźka w holu hotelu Sowietkaja, gdzie sprawował swoją mroczną władzę szwajcarski dowódca floty Kowszuk.

W każdym razie coś tam jej się udało i nadziała się na mój zmęczony, obojętny członek, ale jej namiętne podskoki nie wciągały mnie w wir

rozkosznego, otumaniającego wzruszenia, miałem tylko wrażenie długiej, nudnej, niepotrzebnej pracy – zupełnie jakbym zgodził się ślepej babce drewna na całą zimę narąbać.

Przestał mamrotać i tłuc się po kuchni Kangur, przytaił się, zaczął żyć swoim mrocznym, podziemnym życiem zbrojenia.

Byli dla mnie odrażający. Chciałbym ich nie widzieć, nie słyszeć, nie czuć ostrego zapaszku rozognionej, spoconej Nadzki. Chciałem wspominać i czuć Rimmę. A wspominałem tylko krematorium.

Wjechaliśmy, naturalnie, nie przez paradne wrota. Taka ceremonia należałaby się profesorowi Luriemu, gdyby był na tyle mądry i umarł na zawał, zanim przyszedł do jego domku, stojącego pośród starego sadu w Sokolnikach. Żalobnie i uroczysto wjechałby karawan na podwórze frontowe, a w ślad za nim cała procesja samochodów i autokarów – odprowadziliby w ostatnią drogę zasłużonego działacza naszej nauki, członka akademii, profesora medycyny, laureata wielu nagród i odznaczeń niezliczeni żydowski krewni, pogrążeni w smutku koledzy, przygnębieni współpracownicy, nietracący ducha studenci, roniący łzy pacjenci i, rzecz jasna, snujące się w tłumie kochanki.

Dębową trumnę ze szkarłatnym obiciem wniesiono by do ogromnej sali pożegnań, gdzie czciciele ognia wprowadzili swój diabelski wariant odwróconej do góry nogami pogrzebowej liturgii. Pociągający nosem Żydek uderzyłby w klawisze organów, wyzwalając z pneumatycznych ryczących trąb całą moc, popłynęłyby na poduszkach ordery, medale, honorowe odznaki, bukiety kwiatów, niezliczone wianki i wieńce, zatrzepotałaby się nad ukochanym nieboszczykiem wdowa, zaszlochałaby, dławiąc się łzami, Rimma, cienko, rzewnie ozwałaby się z tylnych rzędów dawna kochanka – siostra z chirurgii, a pośród grzmiących organowych akordów rozległyby się westchnienia i szepty odprowadzających:

„... w ogóle się nie zmienił... Boże... całkiem jakby spał... nie męczył się, chwala Bogu... a przecież to jeszcze całkiem niestary człowiek...”

Wszystko to wyglądałoby dokładnie tak – ze szlochami, omdleniami, gdy trumna płynnie zanurkowałaby z groźnego postumentu w dół, i cicho zasunęłyby się nad nią aksamitne zasłonki – jak ostatnie pozdrowienie odchodzącego dla tych, którzy zostają. Z należnymi po nim rentami, stypendiami, podziałem spadku i szlachetnym, jasnym smutkiem.

Byłoby dokładnie tak, gdyby tatanio Rimmy umarł w przeddzień aresztowania na zawał, a nie na ostrą niewydolność serca, orzeczoną przez

więziennego lekarza Zodijewa, alkoholika i ponurego sadystę. Pogrzeb także zależy od diagnozy.

Dlatego podjechaliśmy do służbowego wejścia od strony akademii wojskowej imienia Woroszyłowa, przemianowanej teraz na Uniwersytet Przyjaźni Narodów imienia Patrice Lumumby. Takie są kaprysy losu! Przecież wtedy, gdy stałem u wrót krematorium, do głowy mi nie przyszło, że za ileś tam lat będę wykladał na tym uniwersytecie całej tej żółtej i czarnej hołocie teorię państwa i prawa.

Kierowca zatrąbił trzykrotnie i mignął światłami. Otworzyły się skrzydła wrót i żołnierz w przemokłym szynelu wskazał ręką w głąb ciemnego podwórza:

– Podziemie techniczne, tutaj...

Nocą stał tu nie strażnik, lecz nasz konwojent, bo z nastaniem nocy krematorium obsługiwało naszych klientów.

W dzień – zmarłych na zawał, w nocy – na ostrą niewydolność serca. Pacjentów doktora Zodijewa.

Kierowca naszej służącej do przewozu produktów żywnościowych furgonetki pomimo ciemności i licznych zakrętów pewnie podjechał ku staremu podziemiu technicznemu. Nie pierwszyżna mu była zaopatrywać w produkty tutejszą piekarnię... Otworzył okienko łączące kabinę kierowcy z wnętrzem wozu, oznajmił obojętnym tonem: „Jesteśmy na miejscu!” i zapadł w drzemkę nad kierownicą.

Wyskoczyłem na deszcz. Zdumiała mnie cisza, ciężka, dławiąca, przesycona wonią spalenizny.

Nisze kolumbarium, plastry martwego ula, ślepe okienka martwego miasta.

Trzech nadzorców wyciągnęło z furgonetki zielony brezentowy worek z pieczęcią POCZTA i powlokło go po asfalcie podwórka ku wejściu. Szurał worek, rozchlapując wodę w kałużach, głucho stukał na stopniach. Długi był worek, wcześniej jakoś nie zauważyłem, że Lurie jest wysokiego wzrostu.

Nikt z nas, odprowadzających, nie szlochął. I kwiatów ze sobą nie przynieśliśmy. I wieńców nie składaliśmy. Nie było gdzie ich składać – nadzorcy wytrząsnęli Luriego z worka wprost na czarną taśmę transportera, prowadzącego w żelazną czelusć pieca.

I orderów nikt nie niósł na poduszczykach. Leżały u Mińki w sejfie. Starszy z nadzorców porządnie, po szwach składał brezentowy worek – była to własność państwowa, znajdująca się w jego ewidencji. A ewidencja – to właśnie, jak wiadomo, socjalizm.

A już z całą pewnością nikomu z nas nie wydawał się nieboszczyk ani całkiem jeszcze niestarym człowiekiem, ani takim, który przed chwilą zasnął. Był martwym, rozkudłanym starcem, pokrytym siniakami i plamami zaschłej krwi. Widać tylko w przypadku zawału śmierć nie zmienia ludzi, a kiedy doktor Zodijew pisze w protokole „na skutek ostrej niewydolności serca” – to zmarli wyglądają nieszczególnie.

I tu było cicho. Huczał tylko złowrogo gazowy płomień za zasuwą pieca. Nadzorca, ciasno zwinąwszy worek w gruby rulon, popatrzył w zadumie na Luriego i powiedział:

– Dusza chrześcijańska, jeśli w ogniu zgorzeje... nie zmartwychwstanie nigdy...

Drugi zakaszlał ochryple, wycharczał na podłogę skrzep czarny jak węgiel z kotłowni i zauważył:

– Tego to nie dotyczy. Z mozków on. Widzisz: obrzezany...

A trzeci, machnąwszy ręką, powiedział z przekonaniem:

– Nikt nie zmartwychwstanie. Wszystko to bajki...

Chciałem mu powiedzieć, że się z nim zgadzam, że też nie wierzę w zmartwychwstanie, ale otworzyły się boczne drewniane drzwi i wyłonił się z nich dziwny, kulawy, pokrzywiony człowiek o rudawej, spiczastej głowie szakala. Rzeczowo spytał, zionąwszy na nas cebulą i kwaśną wonią przetrawionego alkoholu:

– Zlecony?

– Tak, zlecony – powiedziałem.

– Dawajcie papiery.

Zmarły Lurie był „zlecony” – kremowano go na specjalne zlecenie. Rzecz w tym, że krematorium to instytucja prowadząca działalność gospodarczą, a podstawą takiej działalności jest rejestracja usług i opłata za nie. My jednak z jakiegoś powodu nie chcieliśmy, żeby krążyły po bankach rachunki za wykonane na rzecz Wydziału usługi w zakresie spalania bezimiennych trupów.

Dlatego wypełnialiśmy specjalne milicyjne protokoły śmierci takich ludzi jak Lurie, uznając ich za osoby o nieustalonej tożsamości, włóczęgów, zmarłych z przyczyn naturalnych. I wypisywaliśmy zlecenie na bezpłatną kremację – na rachunek władz miejskich.

Szakał pobieżnie rzucił żółtym okiem na papiery, włożył protokół i zlecenie do teczki, przeszedł obok trupa, niby to mimochodem pociągnął Luriego za brodę, zajrzał w usta. Interesowały go złote zęby. O, pijaniuteńki Anubisie zgazyfikowanego Nekropolu pod splegawionymi ścianami Dońskiego Monasteru!

– Ej, ty, koleś! – syknąłem. – Na co czekasz?

– Operator gdzieś się zapodział...
– A ty to niby kto?
– Ja? Strażnik zwłok...
– No to ich pilnuj, szakalu! Nie wsadzaj rąk, gdzie nie trzeba. Bo inaczej i ciebie można niechcący wrzucić do pieca...

– A co ja robię? Ja nic... Ja tylko tak...

Przybiegl zdyszany operator, pośpiesznie ułożył ręce Luriego na piersi – żeby o skrzydła drzwiczek nie zawadzały, nacisnął przycisk, zawarczał silnik, ruszyła taśma, powiozła bezimiennego włóczęgę, nierozpoznanego profesora Lurie, ku rozwierającej się czeluści.

Strażnik prochów kręcił się niespokojnie, najwyraźniej chciał mi się przyśłużyć:

– Chcecie popatrzeć? – zaszeptał. – Tam z boku jest okno technologiczne... Wszystko widać... Tak śmiesznie rękami, nogami od gorąca ruszają... Dryg-dryg, całkiem jakby tańcowali...

Odepchnąłem go i ruszyłem do wyjścia. A!... Wszyscyśmy włóczęgi na tej ziemi.

Niedawno byłem z delegacją radzieckich prawników w muzeum Sachsenhausen, dawnym obozie koncentracyjnym. Patrzyłem na piece krematoryjne, zmechanizowane, z szynami, podnośnikami, wózkami transporterów, kutymi, automatycznie zasuwającymi się drzwiczkami. Wszystko u nich było po niemiecku: praktyczne, przemysłowe, bezduszne.

I znowu padał deszcz, i myślałem o moim teściu, bezimiennym włóczędze, o przeznaczeniu, które tak czy owak przewidziało dla niego piec – czy to w malowniczym miasteczku pod Berlinem, czy w centrum Moskwy na Przejęździe Dońskim. Na końcu drogi życia musiał stracić dom, rodzinę, nazwisko i zmienić się w popiół.

I było mi gorzko, i gorąco przyrzekliśmy sobie z niemieckimi przyjaciółmi, że to nigdy nie może się powtórzyć.

A w żółtym oku dyrektora muzeum, *genosse* Anubisa von Schakalburga, drżała łza, kiedy powtarzał:

– Nikt nie zostanie zapomniany, nikt nie jest *vergessen!*

Ni to obiecał, ni to się odgrażał.

Przysnąłem, a może się zamyśliłem, ale jakoś niepostrzeżenie spelzła ze mnie Nadźka, uciszona po swoich igrzyskach, nie na miejscu teraz i niemilych dla mnie, niczym radiowa gimnastyka poranna.

Nie można używać kobiety, kiedy mężczy cię kac, nie do zniesienia boli w piersi, i ten dławiący ból mimo woli wiążesz ze wspomnieniem krematorium.

A w samą kobietę, w jej tanie i nieciekawie dla ciebie ciało chcesz wepchnąć swoją pamięć o innej – utraconej na zawsze, niezapomnianej i niedostępnej.

Leżałem, zamknąwszy oczy, i myślałem, że za jakieś dziesięć minut będę już ubrany, zostaną wypowiedziane nieuniknione słowa, dokona się niezbędna wymiana spojrzeń, i wypadnę z tego śmietnika na ulicę. Nadżka ze swoim Kangurem byli dla mnie teraz nie do zniesienia.

Nadżka, zupełnie jakby to poczuła, bezszelestnie wstała z materaca, pochłapała na bosaka ku drzwiom, burknęła coś do Kangura. A potem zaryczała jak trąba, zawyla rozgłośnie spluczka w toalecie.

Okropnie boli mnie w piersi. Albo się wczoraj przeziębilem, albo zaraza obudziła się i poruszyła we mnie.

Ale dlaczego tu jestem? Co ja tutaj robię?

W mojej grupie operacyjnej pracował kapitan Dżandżagawa, wesolek i birbant. Kiedy w chwilach wolnych od hulanki i rozpusty zdarzało mu się pełnić dyżur, zwykł mawiać gorzko, z urazą: „Gdzie ja jestem? I gdzie powinienem być?”

Gdzie ja jestem? I gdzie powinienem być?

Biedny Zaur Dżandżagawa nie miał szczęścia. W szczytowym momencie chruszczowowskiego sabatu, kiedy dawno już zwolnił się z Wydziału i pracował jako kierownik sklepu, co pozwalało mu codziennie być tam, gdzie powinien – na hulance albo w burdelu, przysła do jego gabinetu jakaś baba, wpatrzyła się w niego i dzikimi wrzaskami zaczęła zwoływać ludzi. Okazuje się, że dziesięć lat temu w czasie przesłuchania przebił jej błonę bębenkową w ucho i złamał dwa żebra. Rozpoznany Zaur próbował ją zastraszyć, proponował jej pieniądze i przekonywał ją: „po co ci, kobieto, błona, co – na bębnie zamierzasz grać?” Nic nie pomogło. I świadków, suka, znalazła.

Trzy lata mu dali. Łatwo mogę sobie wyobrazić, z jakim pytaniem zwracał się codziennie do współwięźniów z celi.

Potem objęła go amnestia.

A ja gdzie jestem? I gdzie powinienem być?

Dziś poniedziałek. Powinienem być na uczelni.

Bardzo boli mnie w piersi.

I jeszcze powinienem spotkać się dziś z Mangustem.

Co tam na uczelni?

Mamy gościa z Angoli. Młody, ale bardzo arbitralny prawnik. Pisze projekt konstytucji. A ja mu pomagam. Tworzymy razem ustawę zasadniczą ich zwycięskiej od niedawna demokracji, zgodnie z którą wszystkim obywatelom razem wolno wszystko, a każdemu z osobna – nic. Czarnoskóry prawodawca o laziebnym nazwisku Chaillot Douche Vannouche.

Obrotny chłopak – uwija się, jakby miał propeler w tyłku.

Potem przyjeżdża postępowy dziennikarz z czechosłowackiego radia, Oldrich Swinka. Potrzebny mu jest wywiad na temat niedopuszczalności przedawnienia w przypadku przestępców nazistowskich. Oraz na temat prób ze strony zachodnioniemieckich rewanżystów, by uwolnić z więzienia Spandau Rudolfa Hessa. Na to wam, panowie neonaziści, nie pozwolimy. Wasz pieprzony dziadek odsiedział raptem czterdzieści lat. Niech siedzi dalej. To przecież nie człowiek, to symbol. Symbol tego, że wszyscy winni zostali ukarani.

O pierwszej przyjedzie z podaniem o asystenturę skromna dziewczyna, Nuszik Chaczaturian z uniwersytetu w Erewaniu. Poleca ją szanowany człowiek, milioner i spekulant Sarkisjan, dyrektor trzystu restauracji: „Bardzo porządna dziewczyna! O cokolwiek spytasz ją na egzaminie – wszystko przemilczy! Dlatego że nieśmiała!”

Potem jeszcze ktoś. Potem jeszcze. I jeszcze...

Potem trzeba przejrzeć materiały do konferencji *Syjonizm – faszyzm naszych czasów*.

A potem Mangust.

W piersi boli. I uciska w dołku.

Podwałem się jednym rzutem do siadu, z odrazą, mrużąc oczy, ubrałem się.

Z wysiłkiem wstałem z materaca, stawy zatrzeszczały, całkiem jakby pękały, i taki zamęt w duszy, taki smutek legł mi na sercu – choć wyj na cały głos!

Gdzie ja jestem? I gdzie powinienem być?

Pustawy, niechlujny pokój. Brudny mroczny dym po kątach. Na ścianie fotografia pyzatego lejtnanta w gipsowej ramce. W poprzek zdjęcia niewyrobona ręka wypisała wzruszającą rymowanąkę:

Gdy rozejdą się nasze drogi
I rozdzieli szeroki świat,
Niech ta fotka tobie przypomni
Towarzysza minionych lat.

Wziąłem za ramkę, żeby dokładniej przyjrzeć się towarzyszowi minionych lat, a zza listewki wypadła papierowa paczuszka. Podniosłem – przerwały wy.

Tfu! Wspaniały wytwór Bakińskich Zakładów Gumowych. Ciężkie jak kalosze, twarde jak kostium pletwonurka. Rozmiar nr 2. Artykuł 18036.

Czarodziejstwo cyfr, parametry szczęścia! Arytmetyczny kod miłosnej harmonii.

Gdzie ja jestem? Nie mogę! Nie mogę... Wszystko mnie boli. Trudno oddychać. Jak wypływający z dna sum, cały jestem pokryty lepkiem śluzem.

Wszedłem do kuchni. Nadzka w zatłuszczonym szlafrocuku, rozczochrana, obrzękła, siedziała w kącie z obcą, zaspaną twarzą. Na spotkanie wybiegł mi w podskokach Kangur. Z odrazy zamknąłem oczy, a on radośnie zatrajkotał:

– Dzieńdoberek panu! Śniadanko gotowe... Zaraz sobie podjemy troszeczkę... A potem mogę skoczyć do sklepu... Mnie i przed jedenastą sprzedają, mnie tu znają, szanują mnie...

– Nie trzeba! – niemal krzyknąłem. – Nie chcę! Nie mam czasu! Jestem spóźniony...

– A śniadanie? – zdziwił się Kangur. – Już usmażyłem jajeczniczkę, o, niech pan patrzy, jaka apetyczna! Dusza się raduje...

Moja dusza się nie raduje. Boli. I apetycznej jajecznicy nie chcę. W milczeniu wytrzeszcza z patelni żółte żrenice, niema, śliska, odrobinę podpaloła jak moja obolała dusza.

Z ostrym bólem przyjmują poza kolejką. Wezwijcie pogotowie, mam atak duchowego bólu, przyslijcie po mnie karetkę dla chorych na duszę, podjedźcie „epidemiologicznymi przewozami specjalnymi!”

Trzeba co prędzej wyskoczyć z wenerycznego statku, który zszedł z wyznaczonej orbity. Oni odlatują poza krawędź życia, na tamtą stronę Wszechświata. Chcę wrócić na Ziemię, jak najdalej stąd, od tej skazanej na zgubę załogi, dojadającej resztki jajecznicy.

Rzuciłem na stół dziesiątkę.

Lecę! Żegnajcie! Ból w piersi. To od zmiany atmosfery. Szczęk i stuk zamków. Migotanie lampy w windzie. Skrzypienie lin. Żegnajcie, nigdy się już nie zobaczymy – dzięki Bogu! *Never more!*

Never more! Never more! Never more!

Jamais!

Zgiń, przepadnij, Nadźka! Zgiń, przepadnij, Kangurze!

Ulica. Wiatr. Bardzo zimno. A czym to pachnie tak przenikliwie i przyjemnie? Czy naprawdę tak może pachnieć powietrze?

Wypraną bielizną, ścinającą się rzeką, zmarzniętymi jabłkami.

Zrobiłem krok i zamachałem rękami, tak jakbym zamierzał wzlecieć. Skazany na zagładę lot, jak w przypadku zestrzelonego samolotu. Szybko wypływał spod nóg śliski asfalt, szurgotały bezsilnie po lodowej skorupie osliżgle zelówki, a cały mój ciężki, suchy kościec z kruchą kabiną głowy wchodził w nieodwracalne pikowanie.

Poprzez pleksiglasową latarnię oczu, skryty w środku, wystraszony, patrzyłem, jak szybko leci mi naprzeciw pokryty iskrzącą się glazurą trotuar. Wzgórki skamieniałego błota, krzywy, wmarzły niedopałek papierosa, lodowa błonka na kałuży, bąblasta, w biało-szarych smugach, przypominająca rentgenowskie zdjęcie czaszki, blaszana brodawka kapsla od piwa z cyfrą „18”.

Padalem bez końca, choć ziemia skoczyła mi naprzeciw z szybkością błyskawicy.

Wznoszenie się – to długa, trudna sprawa.

A jak szybko skacze pod nami opoka na spotkanie złych wiadomości, chorób, klęsk! Upadku.

Zaraz rąbnę o ziemię! Kośćmi o kamień, wątrobą po ostrym jak tłuczone szkło lodzie, głęba w zgęstniały syf podmarzłej kałuży... Zapaskudzone ubranie, cały wytarzany w gnojówce...

Dzięki ci, zwierzęca moja naturo, tajemna sprężyno mojego wnętrza, moja życiowa siło! Nietrenowana, niepotrzebna, niemal zapomniana w dostatnim, spokojnym obecnym życiu, nie umarłaś mimo wszystko, nie uległaś atrofii jak ogon i paznokcie.

Skądś z głębi błysnęła nagle oslepiająco, nie naradzając się ze mną, bezsilnie padającym na lód lamagą, szarpnęła mną w bok, lewa ręka w dół, prawe ramię naprzód, leciutko w górę, rozluźnić łokieć, pięść w kulak!

Klepnięcie dłonią, lekki wstrząs i od razu – półprzewrót. Cisza. Spokój.

Świeże powietrze o zapachu zaśnieżonych jabłek. Bardzo wysoko szare niebo. I wszystko wokół w przejrzystych naciekach lodu. Przewody, drzewa, oblane błękitnawym szklivem, droga. Zamarzły deszcz. Gołoledź.

Nieźle zaczyna się dzień. Nie, nie – mimo wszystko nieźle! Mogło być znacznie gorzej. A jeśli jeszcze nie złapałem od Nadźki jakichś gonokoków

– to już w ogóle doskonale... Trzeba było tym ofiarom więcej pieniędzy zostawić. Ale teraz już za późno. Przecież się nie wróć! Zresztą niepotrzebne im pieniądze, oni przecież odlatują na zawsze, są już za bramką terminalu. Na granicy życia.

Po szarym niebie leciał rumiany balon. We włóczkowej, dzierganej na drutach czapce i grubych okularach. Zawisł w zenicie – i płynnie zniżył się ku mojej twarzy.

– Uderzył się pan? Może pomóc?

Boże miłosierny, kto może mi pomóc, oprócz żyjącego wewnątrz mnie złastego diabła? No, wstawaj, nie ma co się pokładać, przecież nic cię nie boli!

Tylko w piersi leciutko, ostro zakłuło.

Patrzyłem na wielowarstwowe soczewki okularów, migocących na różowej powierzchni balonu – perliście i wilgotno, jak pokrywająca wszystko skorupka lodu, i myślałem o tym, że mógłby mi pomóc, wyjmując z kieszeni wełnianych rajtuz butelkę wody. On jednak – starszy człowiek, optymista i sportsmen – na poranną przebieżkę truchcikiem na pewno nie bierze ze sobą butelki wódki, i piersiówki też na pewno nie zachomikował za pazuchą. W przeciwieństwie do Kangura nie znają go w najbliższym sklepie, nie szanują go tam, przed jedenastą mu nie sprzedadzą.

– Uderzył się pan? Podnieść pana? – pytał mnie natarczywie różowy biegacz-optymista. I lodowo połyskiwał szklami.

W milczeniu rozprostowywałem się, wstawałem, przyjmowałem pierwszą pozycję baletową, właściwą w przypadku poruszania się po glazurze gołoledzi, i gdy rumiany balon troskliwie podtrzymywał mnie pod rękę, przypominałem sobie niewyraźnie, opieszale, mgliście, jak wiele lat temu leżałem dokładnie tak samo na chodniku – w Krakowie czy w Pradze, nie mogę sobie przypomnieć...

...koło domu tego siwiutkiego staruszka z psem na smyczy. Ni to dziennikarz, ni to biskup – też nie pamiętam. Późnym wieczorem. Jesienią. Nie wiem dlaczego nie chcieli albo nie mogli zgarnąć go i odstawić do nas. Nie wiedziałem tego, byłem jeszcze drobną plotką, motywów nikt mi nie wyjaśniał, stawiano mi jedynie zadania. I byłem też przykładnym wychowankiem szkoły, gdzie podstawowa zasada brzmiała: „Wykonywać, a nie myśleć”.

No i leżałem wtedy na zamarzłym chodniku i nie myślałem, tylko wykonywałem. W dzień tego załatwić nie było jak – cały czas obracał się między

ludźmi i odwożono go samochodem pod same drzwi. A wieczorem spacerował z kudłatym psem na smyczy. Od dziesiątej do jedenastej. Pies był ostry – bliżej niż na półtora metra nikogo nie dopuszczał. Stanowił znaczną przeszkodę – pies reaguje szybciej niż człowiek, a tym bardziej stary.

Dlatego leżałem, albowiem drugą zasadą naszego wychowania była myśl: Nasza siła w bezsensownych ludzkich cnotach.

Leżący człowiek – to symbol bezradności, bezbronności, gwarancja bezpieczeństwa. Ten, kto padł, wymaga pomocy, miłosierdzia.

...Źle się pan czuje?... Pomóc panu?...

Staruszek coś tam trwożnie mamrotał nade mną w swoim słowiańskim – nie pamiętam jakim – szeleszczącym, kłaskającym, ćwierkającym języku: – stycz... pane... pyrst... pomoct... srdce... tyrk... lekarz... pane... wojak... chworcz...

I pies obok mojej twarzy groźnie, nienawistnie zawarczał, tchnął odorem, ale nie podniósł alarmu – prawą rękę z pistoletem miałem nakrytą żołnierską uszanką. Pies nie zna się na takich sztuczkiach. Staruszek przykucnął, ujął moją twarz w dłonie, zwrócił ku sobie, i dopiero ujrawszy moje spokojne, uśmiechnięte oczy – przestraszył się. Ale ja już podniosłem rękę z zawiniętym w czapkę pistoletem i wystrzeliłem psu w paszczę, a chwilę potem – parę razy dla pewności – wygarnąłem staruszkowi w pierś i w brzuch. Dziwnie było patrzeć, jak te ciche kłaśnięcia wystrzałów z zapatrzonoego w tłumik pistoletu podrzuciły go w górę i bezgłośnie upadł na psa, wielkiego, kudłatego jak gruba wołokowa derka...

Szedłem po chrupkiej, dźwięcznej powłoce – jakbym płynął. Krótki, powłóczysty, ślizgający się krok, ręce na pół zgięte, odrobinę uniesione, całkiem jakbym zamierzał zawirować w lezginie, ze zwierzęcym rykiem pomknąć nad zamarzłym rozlewiskiem zimowej burzy, nad wszystkimi niebezpieczeństwami gołoledzi.

Ale ostry ból w piersi i trudny do udźwignięcia smutek mówił mi, że nie zdołam powrócić z błękitnawoszarej gołoledzi na brudną, pewną opokę.

Życie stało się śliskie.

Wszedłem do budki telefonicznej, długo szukałem po kieszeniach kopiejkę i tępo wpatrywałem się w wyskrobaną na szarej ścianie faszystowską swastykę i nerwowo apel: ŚMIERĆ ŻYDOM!

Mimo wszystko wzrost neonazizmu w NRF budzi niepokój. Dotarli już do Dangauerowki!

Znalazłem w końcu monetę, chciałem wrzucić w otwór – i nic z tego! Neonazista charknął w szczelinę, skamieniał na mrozie zielonkawy smark w błady malachit, zapieczętował mi kanał kontaktu. Ci rewanżyści zawsze się tak obchodzą ze społecznym telefonem. Pieska ich mać, dzikusy przekłete, partyzanty niedobite!

W sąsiedniej budce była odcięta słuchawka.

Dziwni ludzie, mimo wszystko, ci rewanżyści! Co im telefon przeszkadza?

Może myślą, że Edison i Bell to Żydzi? Śmierć Żydom! I splunięcie w aparat.

Znów płynąłem niepewnie po chodniku, pozbawionym zwyklej swojej twardości. Gołoledź przeniknęła wszędzie. W środku coś mnie kłuło, dźgało ostrym, lodowym ostrzem, obrastało zimną, chrupką glazurą.

Powoli pełzły, syczały kołami po jezdni auta, ze świstem zarzucało trolejbusy hamujące koło przystanków. Gdyby zagrano mi teraz *Kalinkę*, dopiero bym im wszystkim pokazał!

O, ojczyzno jazdy figurowej, szczycie umasowienia kultury fizycznej! Wszycyśmy tu łyżwiarze figurowi! Zawsze niepewnie pod nogami, zawsze chłodkiem wieje w dupę, zawsze pod tobą śliska gładź, która nosi miano opoki. Ślizgawka na zamarzłej rzece Styks.

A na brzegu podziemnej rzeki, skutej lodem – przypadkiem ocalały automat telefoniczny. I w nieodciętej słuchawce zły głos Mariny, tak zimny, jakby i on obrósł połyskującym strupem lodu.

A mnie boli w piersi.

Kiedy ja – bydlak obmierzły – szlajałem się nie wiadomo gdzie – ścierwo zafajdane – ponieważłem się jak zawsze po burdelach, melinach, śmietnikach – skurwiel cholerny – piłem i lajdaczyłem się, ona, Marina, chora i nieszczęśliwa, która oddała mi młodość i urodę, musiała bez przerwy latać do telefonu, który dzwoni od rana, jak na milicji.

– Majka dzwoniła? – zapytałem.

– Już dwa razy...

– Co powiedziała?

– Powiedziała, że cię jeszcze wczoraj diabli gdzieś ponieśli.

– Pytam, co Majka powiedziała?

– Że chcą się z tobą spotkać. To znaczy on, ten jej narzeczony, chce się z tobą zobaczyć. Podobno sam jesteś zainteresowany tym spotkaniem...

- Jeszcze jak!
- Powiedziała, że przedzwoni za godzinę.
- W porządku. Zaraz będę.

Niespieszny przelot taksówką przez miasto. Szara wata mgły. Chwiejna cizba na ulicach. Senny niepokój. Lód w sercu. Ból w piersi. Śliska pustka w dołku.

Pod kinem jakaś baba w czerwonej chusteczce, obwieszona rolkami papieru toaletowego, ogląda na afiszu bardzo do niej podobną Ankę-cekajemistkę z przewieszonymi przez ramię taśmami nabołów, w czerwonej chustce na głowie. Romantyczna retrospektywa, dwuogniskowość historii: nikt już nie potrzebuje karabinów maszynowych, a srajtaśmy zawsze brakuje. Taśmą z nabojami się nie podetrzesz!

I jeszcze przypomniałem sobie: w średniowiecznych Niemczech czerwone chusteczki obowiązały być nosić prostytutki. I podlegały pod zarząd miejskiego kata.

Wszyscy o tym zapomnieli. Szkoda. Dawniej ludzie mieli więcej zdrowego rozsądku. Z biegiem czasu jakoś zgłupieli. Nie zdają sobie sprawy z konieczności istnienia takich zawodów, jak prostytutka i kat. Nierozdzielni, dwójjedyni, wieczni.

Nie przetrwamy bez nich. Świat by pękł przepelniony niepokieszonymi bohaterami i nieukaranymi złoczyńcami.

Pod sygnalizatorem na Czerwonej Presni przez okno taksówki zajrzała dziewczyna. Z erotyczną rozkoszą oblizywała długi, czekoladowy wałek lodu. Z okrągłym buziaczkiem, ładniutka – uchwyciła moje spojrzenie i instynktownie zrozumiała, o czym myślę. Odrobinę się zmieszała, zaśmiała się, mrugnęła.

I auto popłynęło dalej.

A więc Majka dwa razy dzwoniła. Powiedziała, że ja sam jestem zainteresowany spotkaniem.

Co to się dzieje, do diabła?!

11. Bajka o młodej fasolce imieniem Tumor

Wielki, nieskończenie dobry, wszechmogący i przedwieczny Panie, Boże mój!

Jak ja bym chciał się napić! Ale jak? Pytam się ciebie, Władco Wszereczy – jak mam się teraz napić, skoro w domu – pustki, w sklepie – tłumy, a w zapotniałej szklanej kawiarni snuje się obmierzły Kiriasow i bolesciwy liliput?

Mieszkam na dziwnej ulicy o nazwie Aeroport, która z obu stron kończy się ślepo. Ani wjechać w nią, ani wyjechać się nie da. Można przedostać się tylko przez przechodnie podwórka i nie do końca zagrodzone przejazdy. Być może ci, co budowali Aeroport, myśleli, że będziemy latać samolotami. Ale wylot jest zabroniony, donikąd z Aeroportu nie odleciysz. W samym zamysle coś zaeropartaczyli.

Mój dom ma numer 16. Ale domu numer 14 brak. Podobnie jak domu numer 18. Jest tylko dom o numerze 20, a w nim – sklep spożywczy, bujna oaza na naszej gastronomicznej pustyni, rozdzielnia wyżerki dla miejscowych mieszkańców.

Sklep Komsomolec. Żaloszna kolejczka po kaszę, przeciętna kolejka po kartofle, przywoity ogonek po mrożoną rybę, solidna kolej po mięso, majestatyczna procesja po wodę.

Wstyd mi za was, współmieszkańcy. Nie należy tak kochać produktów żywnościowych, hańba tak dogadzać ciała. Czekaając na mydło i powidło, przestaliście u lady niejedną epokę. Wstyd mi za was przed cudzoziemcami. No, czy można sobie wyobrazić, że ludność Świętego Imperium Rzymskiego została zrodzona wyłącznie po to, żeby stać w kolejce po poszechoński ser i kielbasę doktorską? Nie, tego sobie wyobrazić nie sposób. Serce się kraje z powodu waszego nieuświadomienia, kiedy się pomyśli, że wszystkie narody średniowiecza – od początku rekonkwisty do końca renesansu, od urodzenia do śmierci, od otwarcia do zamknięcia sklepów – miałyby tak stać i czekać, kiedy rzucą mleko skondensowane i zielone ogórki.

Gdyby wymarłe narody zachowywały się tak jak wy, drodzy towarzysze, to w życiu byśmy nie osiągnęli poziomu naszych dzisiejszych świetlanych dokonań!

Tylko że próżno wam o tym mówić, drodzy moi współziomkowie, kompletnie zapomnieliście, co to wstyd. W oczy wam plunąć, a i tak powiecie, że deszcz pada. Byle tylko pasztetóweczki jeszcze z pół kilo zważyli.

Trudno dogadać się z takimi ludźmi pod drzwiami działu zamówień. Kiedy podsuwasz im pod nos czerwone książeczki – weterana, laureata orderów, inwalidy wielkiej wojny ojczyźnianej – w odpowiedzi ryczą na ciebie wściekle: „Szkoda, że cię, draniu, tylko postrzelili na wojnie, a nie całkiem zaciukali, cholera by was wytlukła, łobuzy!”

A do działu alkoholowego poza kolejką nigdy nawet nie próbowałem się wkręcić – tam przed obiadem lud pracujący rozerwie cię na strzępki.

Myślę, że rewolucjonista Kalajew zabił wielkiego księcia Siergieja nie bez powodu. Wkręcił się generał-gubernator bez kolejki do spożywcza na Dmitrowce, a Kalajew rąbnął w niego butelką portwajnu Kaukaz za dwa czterdzieści siedem.

A tu za drzwiami działu zamówień – istny raj! Ludzi prawie nie ma. Są gotowe zestawy – słodki szampan plus kilo kaszy perłowej, plus puszka konserw Zupa Rybna, dziesięć procent za usługę – w sumie siedem rubli siedemdziesiąt dwie kopiejki.

– Bez kaszy i zupy nie da się? – spytałem z niejaką nadzieją na zaoszczędzenie półtora rubelka krwawicy.

– Także coś! Chytrus się znalazł, patrzcie go! Wszyscy by chcieli samego szampana! A ja co, gotowe zestawy mam dla was psuć?

Zakorkowana zielona butelka z pienistym płynem, zdolnym ugasić mój wewnętrzny piekielny ogień, leżała w kartonowym pudełku – nierozdzielna z zupą rybną, jak ja z Mariną.

Szampan to, rzecz jasna, słaby klin. Tylko odbija się po nim solidnie. Ale co robić, kiedy do niczego lepszego nie sposób się dostać – ci ludzie na wojnie czołgów nie przepuszczą, a z kolejki po wodę tylko ładunkiem neutronowym można ich przegonić.

Odliczyłem rubelki, wyciągnąłem butelkę z kartonu i poszedłem ku drzwiom, odprowadzany krzykiem sprzedawczyni:

– Ej, ty, narwany! Kaszy zapomniałeś! Zupę zostawiłeś!

Nie, nie wezmę zupy. I kaszę wam zostawię. Chcę żyć sprawiedliwie – gdzieś równość i braterstwo, jeśli w tym samym czasie na planecie miliony naszych braci puchnie z głodu w wyniku knowań imperializmu? Szampan w gardle mi stanie od tych gorzkich myśli. Niech tam – wcinajcie moją kaszę, żryjcie moją rybną zupę...

Ale gdy wychodziłem ze sklepu, ostro, przenikliwie zakłuło mnie w piersi, i ukłucie to niby szydło przekłuło różowy balonik mojego poprawionego w efekcie zakupu szampana nastroju.

Było w tym coś sadystycznego. Tak jakby Ten, który siedzi tam w górze, paluszkami mi serce przydusił, figlarnością zgasił, swawolność moją złą przytłumił – przypomniał groźnie, że czeka mnie w domu Marina, a później mam spotkanie z Mangustem, i że w ogóle ziemię skuła gołoleź.

Zaraza we mnie ożyła, obudził się żyjący w mojej klatce piersiowej nietoperz.

Palacz go rozbudził? Czy nietoperz przysłał Palacza z wiadomością, że za miesiąc mnie zadusi?

A cała reszta to gra zatrutej strachem wyobraźni?

Pękata surowicza fasola w śródpiersiu. Przez miesiąc napije się mojej krwi, wysysie wszystkie soki, rozrośnie się w dwa kulaki – i koniec.

Kiedyś już fasola podchodziła mi do gardła. Sześć lat temu. I nazywała się krótko i groźnie – tumor. Guz. Rak. Mały jadowity kancer. Ostateczny i niepojęty, jak ogłoszony wyrok śmierci. Dlaczego? Za co?

A za nic. Bez powodu.

Zwyczajnie – rak. Rak!

Wtedy się jednak odbiłem. Podsunąłem ślepemu tumorowi zamiast siebie inne życie, swoje inne wcielenie, któremu na imię było Timus*. I uratowało mnie od zagłady moje nienarodzone dziecko.

A teraz tumor ożył i nie mam czym się od niego odgrodzić. Cała ta historia wydaje mi się niewiarygodna, wymyślona, niebyła. Potrafiłem o niej całkiem zapomnieć. Aż do dzisiejszego dnia, kiedy to nabrzmiewająca fasolka pękła i tumor zawołał przenikliwie: już kiedyś tu byłem!

I był nienawidzący mnie mój zbawiciel – lekarz, który uratował mnie od śmierci, szczerze marzący o tym, by mnie otruc – cudowny doktor Zieleński.

W głowie się kręci, dławi fasola w piersi. Może i żadnego Mangusta nie było?

A zresztą, co za różnica – był Mangust czy nie był, a jeśli był, to w jakim celu się pojawił – co za różnica, jeśli w śródpiersiu tkwi fasolka, dokładnie pośrodku, i już pękła, i popęzła, nieposkromiona, bryzgająca jadem przerzutów?

Jeśli za miesiąc umrę, to w nosie mogę mieć Mangusta. I do Kowszuka niepotrzebnie chodziłem.

* *Timus* to po łacinie grasic.

Jeśli Palacz, wieszcz z otchłani, precyzyjnie określił mój termin, to wszystko jest już bez znaczenia.

Umrzę za miesiąc – a więc umrze cały świat. Jako prawdziwy komunista, patrzę na świat idealistycznie. Ja – to świat. Po diabła on komu beze mnie.

A co z tym, połyskującym spod lodowej skorupki, starannie umyтым przez Żyda-profesora mercedesem, perłowobłękitnym, lśniąącym glazurą – czy on też umrze?

Umrze wraz ze mną. Ale zostanie dla Mariny. Ale numer! Jakże to? Jeden mercedes – niematerialny, czysta idea, symbol życiowego sukcesu i mojej radości w tym życiu – zostanie unicestwiony wraz ze mną przez groźną zielonawą fasolkę, która rozpękła się dziś w mojej piersi.

A drugi, o ten, błękitny jak niebo, prawie nowy, z takim trudem, z użyciem tylu sztuczek zdobyty przeze mnie w komisie – zostanie? Boże święty, jak ja o niego walczyłem! Koledzy z Wydziału pilnowali, żeby nikt spośród moskiewskich cudzoziemców nie opylił swojego samochodem na lewo, potem pojawił się pracownik firmy japońskiej, któremu napomknięto w Ministerstwie Handlu Zagranicznego, że jego oferta zostanie rozpatrzona bardziej wnikliwie, jeśli odstąpi swojego niebieskiego mercedesa, Japoniec okazał się człowiekiem z wyobraźnią, a z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych już szedł do Ministerstwa Handlu Wewnętrznego groźny papier z podpisem wiceministra, żeby konkretnie ten samochód – w drodze wyjątku, który należy traktować jako potwierdzenie ogólnej zasady – został sprzedany konkretnie mnie, po czym włączył się spekulant Sarkisjan, dyrektor sieci restauracji moskiewskich, który dzięki własnym chodom zaszachował dyrektora komisji, jako że nasi gangsterzy od handlu, pomimo wszelkich papierków, mogli raz-dwa sprzedać komuś auto na lewo.

Nie pozwoliłem, uprzedziłem, wszystko przewidziałem, wyrwałem je po ciężkiej walce.

I mam tę brykę zostawić Marynie?

W życiu!

Tylko co dostałem do niej firmowe bieżnikowane opony. Nie, mowy być nie może, nawet nie chcę tego słuchać. I nie będę!

Nie mam niczego w piersi. Dawno, dawno temu fasola skurczyła się, uschła, rozpuściła się we mnie, wyszła z moczem i potem!

Przemarzałem wczoraj. Przeziębilem się. To zwykle przeziębienie.

Takiego ode mnie dostaniesz, żoneczko. A nie mercedesa, na dodatek z nowymi oponami.

I Mangustowi jeszcze pokażę, temu żydowskiemu gnojkwowi!

Zaraz idę do domu, dam Marinie w pysk, opróżnię swój szklany sprzęt przeciwpożarowy, wezmę prysznic, ogolę się – i wtedy sobie pogadamy, parchaty zięciaszku z Topnika!

Wszedłem we frontowe drzwi i z radością ujrzałem za barierką wiernego mego stróża Tichona Iwanycza, drogiego mego konwojenta – nadzieję na przyszłość. Przecież nie mogę umrzeć przed nim. Bądź co bądź, jest ode mnie o wiele starszy, a i grzechów, choć nie tak ciężkich, ma więcej, przecież o wiele wcześniej zaczął służyć. I na zasłużony odpoczynek odszedł później.

Siedział cicho, złożony ręką na brzuszku, niemłode, robotniczo-chłopskie, utrudzone latami noszenia karabinu mosin, wzór 1897 łamane przez 30, który dopiero w epoce industrializacji całego kraju zamienił na pepeszę z magazynkiem bębnowym, a już pod sam koniec służby, w okresie ogólnoswiatowego rozbrojenia nuklearnego, udało się odetchnąć tym spracowanym dłoniom na kolbie automatu Kałasznikowa.

I oczy jego, błękitne, Iniane, konopne, z białym naciekiem ropy w zaognionych czerwonych kącikach, były półprzykryte powiekami, jak u śpiącego Chińczyka. Ale mój konwojowy nie spał.

Patrzył na mnie uważnie, nawet odrobinę podejrzliwie. Ociężały i zły jak jesienny komar.

– Cześć, stary – mruknąłem, a on, nie podnosząc głowy, odrzekł niegłośnie:

– Dźdobry, dźdobry...

Był to sygnał, że jest ze mnie niezadowolony, przekazywał mi za pomocą tego nieprzepisowego, niesubordynowanego „dźdobry” swój brak aprobaty, swoje konwojenckie „a fu”. Znaczy, wyniuchał coś, szelma. Ciągnie się za mną, widać, zapaszek siarki, zajeżdża odorem spalenizny.

Czekając na windę, spytałem go:

– Coś taki osowiały?

– Nie osowiały jestem, tylko zmęczony. Niewyspany. Cały czas na pana czekałem, drzwi nie zamykałem. I nie doczekałem się do rana. Nieźle pan zabalował... – Podniósł na moment obrzękłe powieki, jak brzytwą chlasnął mnie po twarzy dziecięcym, jasnym spojrzeniem w kolorze świetlistego błękitu.

– A po co na mnie czekać? – uśmiechnąłem się. – Nie jestem młodą panią... Lepiej byś się położył i spał. W razie czego bym zastukał..

– Eee, nie, nie-nie. – Pokręcił głową w mało jeszcze znoszonej furazerce podoficera. – Dopiero jak się wszyscy zbierzecie, wtedy można dom zamknąć na zasuwę.

O, wzniosła duszo brunszwickiego wołogodzcyka! Jak przejrzyste i naturalne są twoje porywy! Jak czysty i rozumiały jest wartowniczo-strażniczy odruch wołogodzkiego serca!

To dopiero zagadka będzie dla przyszłych etnografów: dlaczego wołogodzcy tak dobrze spisywali się w służbie konwojowej?

Jak to wyjaśnić?

Dlaczego jarosławscy chłopci jak jeden mąż szli na posługaczy? A twerscy – na stangetów? Ci z Wiatki – na rogoźników? Dlaczego Kimrowie zasłynęli jako krojczy? Tałdowie – jako cholewkarze? A w Iwanowie byli sami tkacze?

Nie wiecie dlaczego? No i dobrze. Przyszli etnografowie też się nie dowiedzą. Im ta wiedza na nic się nie przyda.

Ale ja wiem, drogi mój Tichonie, weteranie Pierwszego Ochronno-Strażniczego Pułku OGPU*, dlaczego twoi krajanie stali się konwojowym rdzeniem młodego kruchego ciała rewolucji. Słyszałem to i owo, ale na razie nie pora o tym mówić.

Jeśli jednak zajdzie potrzeba – to ci, wołogodzki mordopluj, przypomnę.

Ścisnąłem mocniej swoją gaśnicę pod pachą i uleciałem w kabinie windy na spotkanie z jedyną na świecie towarzyszką mego życia, nierozłączną ze mną, jak Czesi ze Słowakami, jak Boyle z Mariotte'em, jak picie z kacem.

Zaraz otworzy drzwi i ledwie zagęga – od razu dam jej po makówce, żeby wyłączyła się na jakąś godzinę; w tym czasie przebiorę się i wyjdę.

To ci chytruska! Przymierza się do mojego merca! Żeby po mojej śmierci ogierów swoich wozić! I to na nowych, bieżnikowanych gumach! To już lepiej go... lepiej go... lepiej...

Ale nie zdążyłem wymyślić, co zrobić ze swoim mercedesem, gdyż bardzo trudno, wierzcie mi, słowo daję, bardzo trudno jest wymyślić, co należy zrobić z mercedesem, jeśli niedługo umrzesz i w ten sposób również świat zakończy swoją działalność.

A Marina jednak nie oberwała po makówce, gdyż posiada ona pewną zbawienną cechę: w krytycznych sytuacjach potrafi przełączyć swój kurzy mózdek na automatyczny system zwierzęcych instynktów.

Nie zwracając na mnie uwagi, czytała książkę. Żółto-brązowy tomik Sartre'a. Żaloszny los przypadł w udziale gównianemu egzystencjaliście! Nie

* *Obiedinionnoje Gosudarstwiennnoje Politiczskoje Uprawlenie* (Zjednoczony Państwowy Zarząd Polityczny), centralny organ bezpieczeństwa. Wcześniej tę funkcję spełniała WCzK, a później kolejno NKWD, MGB i KGB.

mógł przecież wiedzieć, że Marina czyta książki – to znaczy stara się sprawić wrażenie, że czyta – tylko przed rozpoczęciem skandalu. Czytanie książek traktuję wyłącznie jako uwerturę do małżeńskiej kłótni. Autor i treść książki nie mają znaczenia. Z tym samym skutkiem mogłaby teraz wnikliwie wpatrywać się w album reprodukcji malarza Głazunowa.

Ona jednak czytała Sartre'a. Oto macie postęp i konwergencję! W czasach mojej młodości od samego dotknięcia takich książek ręce spadały. Co prawda, jego i dzisiaj, zdaje się, nie popierają. Ale to tylko kwestia czasu.

Ja myślę, że żadnego Sartre'a w ogóle nie było. To po prostu taki żart: była sobie pełna wigoru Francuzka Simone de Beauvoir, która przyjęła męski pseudonim Jean-Paul Sartre. Podobnie jak tamta, nie pamiętam nazwiska, która przezwala się George Sand. I poczynala sobie dalej Simone tak jak akurat w danym momencie jej się zechciało. To występowała przeciw kapitalizmowi, to przeciw komunizmowi. Z babską pokrętnością wczoraj gardłowała za nami, a dzisiaj szczeka, suka, przeciw nam.

Nawiasem mówiąc, nasi w dupie mają ich wszystkich – i Jean-Paula, i „nową lewicę”, i „starą prawicę”, i „stroskanych intelektualistów”. Nam te głupoty psu na budę. Im, tumanom, tylko się wydaje, że żyjemy na tej samej planecie i należy szukać drogi porozumienia. Żyjemy na kompletnie różnych planetach, i kiedy się z wami, da Bóg, spotkamy, drodzy młodszy bracia w rozumie, kiedy padniemy sobie w objęcia, wówczas mój stróż, wologodczyk z Turyngii, Tichon Iwanycz, za jednym zamachem ustanowi pełne wzajemne zrozumienie na porannym łagiernym apelu.

Rozmyślając w ten deseń o wszystkich tych pięknych i wzniosłych kwestiach, pośpiesznie zrzuciłem z siebie ohydny, brudny odzież i zezwolałem jak bilardzista równocześnie w dwa kąty: na zieloną moją gaśnicę i na Marinę, złotowłosą i różową niby Aurora. Butelka obiecała spokój i pogodzenie ze światem, Marina, niczym jej imiennik krążownik – rozruchy i walkę klas.

Po twarzy jej spływały łzy. Raczej nie wzruszyły jej do tego stopnia egzystencjalne dociekania Simony de Sartre. To ja, subtelny jak kawaler de Grillet, wycisnąłem z jej duszy te jasne, przejrzyste kropelki, w których nie ma ni soli, ni goryczy, ni dawnego cukru: całą wściekłość, gniew, wstręt do mnie chowa ona w duszy jak w skarbonce – do chwili, gdy nadarzy się sposobność, by je ujawnić. Przy czym najlepszą sposobnością ze wszystkich, jakie można sobie wyobrazić, byłaby moja śmierć.–

Wdowa po P.J. Chwatkinie. Młoda, ładna, w błękitnym mercedesie z nowiutkim ogumieniem, w pięknym mieszkaniu, w prestiżowej dzielnicy, na szykownej ulicy, kończącej się ślepo z obu stron.

I masa zagranicznych, kosztownych przedmiotów – mebli, różnych urządzeń technicznych, szmat.

O, takiego, moja ukochana. Jeszcze by ci się w głowie ze szczęścia zakręciło.

Chwyciłem w objęcia butlę radzieckiej Wdowy Clicot, jeszcze tęskniącej za swoim kartonowym ślubnym łóżem, które dzieliła z puszką zupy rybnej i kilogramem perłowej kaszy. Przycisnąłem ją do serca, żeby się szybciej ze mną zjednoczyła – jedyna moja w domu, gdzie poza tym nie ma nic – zanim zerwę druciane więzy z jej gardła, wyrwę plastikowy knebel z jej zielonych usteczek, i połączymy się w ekstazie, usta w usta, jak przy sztucznym oddychaniu.

O, jak wiele miałem towarzyszek w tym życiu! Ale tylko ciebie nazwę wdową po mnie.

Pocalunek nasz był pienisty i długi – pewnie z trzysta gramów. I, odrywając się, wyczerpany, czułem, jak moja piękna wdowa napelnia mnie swoją siłą.

A kandydatka na wdowę, ukochana moja Marina oderwała się tymczasem od swego Jean-Paul-Głazunowa i patrzyła na mnie coraz bardziej nieprzyjaźnie. W jej uroczych oczętach pojawił się ogieniek nadziei – liczyła na to, że się zachłyszę, zacznę się dusić, że trzaśnie mi napęczniała aorta, albo bąbelek szampana w jakiś sposób przeskoczy mi do krwi i zakorkuje serce, i ja, bezradny i bezbronny w swojej miłosnej pieśni, jak tokujący głuszc, padnę na podłogę w konwulsjach zatoru.

Nie, droga towarzyszeko życia, bojowa przyjaciółko moja, w tej kwestii nam nie po drodze. Jak apelował nasz nieboszczyk wódz – zanim się zjednoczymy, musimy wyeksponować różnice.

– Majka nie dzwoniła więcej? – spytałem, i ze złego, skupionego wyrazu twarzy Mariny domyśliłem się, że zostanie mi ogłoszone memorandum.

– Po pierwsze, nie życzę sobie więcej z tobą rozmawiać, ty ścierwo... – rozpoczęła mowę trónową słodka moja małżonka. – Po drugie, dziwkarzu plugawy, znudziło mi się być kobietą przeciętną, to znaczy kretynką. I wszystko ci przebaczać, skurwysynu... Ja cię, gnoju śmierdzący, przez wszystkie instancje dosięgnę, ja cię, bydlaku, tak obsmaruję, że do końca życia się nie oczyścisz, świnio obesrana...

Taak, prawdę mówił pewien poeta, że miłość – to nie westchnienia na ławeczce, nie spotkania przy księżycu. No i w żadnym razie nie przypomina ona szeptu, nieśmiały chnień czy słowicznych treli.

Miłość – to wieczny bój, o pokoju nie mamy nawet co marzyć.

I zdając sobie sprawę, że aby uchronić kruchą konstrukcję, która zwie się rodzinnym szczęściem, ktoś powinien ustąpić pierwszy, machnąłem ręką i powiedziałem do niej pojednawczo:

– Opanuj się, kwiatuszku, weź się w garść, waniliowa moja... kretynko, w mordę jebana...

I poszedłem ze swoim szampanem do łazienki. Zaszumiała, trysnęła woda po białej emalii wanny, wzbijała w śnieżne banieczki zielony płyn do kąpieli, zanurzyłem się, bez sił, w te ciepłe odmęty, a butelki nie wypuszczałem z rąk, patrzyłem przez nią pod światło. Świat łazienki był spokojny, zielonawy, sferyczny i ogładzony, pozbawiony wszelkich kątów.

Czy to od ciepła, czy od szampana, czy od zmysłowej, niemal kobiecej pieśczoły wodnych fal – ból w piersi, owo ohydne klucie, przykry ucisk za mostkiem ustąpił, niemal o nim zapomniałem.

Pociągając po troszeczku swoją winogronową lemoniadę, zapadłem w półdrzemkę, w lekki sen, *der Schlaf*, który przegnał na peryferie rzeczywistości wszystko, co nieprzyjemne.

A rozmyślałem leniwie, bez irytacji, z pewną nawet złośliwą satysfakcją, że gdyby amerykańskie kierownictwo rozumiało naszych przywódców, tak jak rozumiem Marinę, to sprawa pokoju zwyciężyłaby w całym świecie.

Glupota Zachodu polega na tym, że wszyscy ci prezydenci-pizdenci, kongresy-chujesy, każdy dyplomata – pieska jego mać – wszyscy oni pragną zrozumieć polityczną strategię, taktyczne zamysły, sekret nieugiętości ideologii naszych przywódców. Do głowy im nawet nie przyjdzie, że radzieccy wodzowie mają tylko jeden ideologiczny cel – żeby dobrze sobie żyć.

Bardzo dobrze żyć.

Jak Marina.

I – tak samo jak moja luba – nasz młody system chce zostać wdową po starym imperializmie. Ze wszystkimi jego prawie nowymi mercedesami na bieżnikowanych oponach, wytwornymi kontynentami, prestiżowymi miastami i spółdzielczymi drapaczami chmur. Nie mówiąc już o osobistych wkładach oszczędnościowych.

Ale wyłącznie po dobroci, drogą pokojową – bez potwornego skandalu konfrontacji jądrowej, która przeszłaby w ostateczny rozwód wojny światowej.

Nasza piękna sześćdziesięcioletnia panienska, Sofia Własiewna*, ma poważną nadzieję, że zostanie wdową po wujku Samie, liczy, że wraz ze spadkiem

* Popularne w ZSRR ironiczne określenie władzy radzieckiej – od *sowietskaja vlast*.

po nim – legalnie, bez żadnego mordobicia, tłuczenia naczyń i innych wartościowych przedmiotów – odziedziczy, by przyozdobić swój dom, dobra dawnych kochanków: Johna Bulla, Niemca Klause, głupkowatego grasejującego Pierrota.

Ale być rozwódką? W siniakach, krwawych smarkach, w spustoszonej domu? O nie, tego się nie doczekacie, ścierwa, dziwkarze, imperialiści, syjoniści, militaryści, ekstremiści, hegemoniści i inni przekłeci onaniści!

Nam, Sofii Własiewnie i Marineczce, wojna, jatki, rozwód do niczego nie są potrzebne. I tak się doczekamy swojego. Jasne, lepiej by było, gdyby już teraz pozostawili nas w nieutulonym żalu: zachłysłeni się, udławili, obesrali, wykitowali na zawał czy porośli, jak wiosenny ogród, fasolką gatunku tumor.

No, ale jeśli trzeba, to poczekamy. Tym bardziej, że uczyniliście nam to oczekiwanie nawet całkiem znośnym.

My – Sofia Własiewna i Marineczka – jesteśmy panienkami bez posagu, wniosłyśmy w małżeństwo swoją siłę i urok młodości, a wy, starzy nudziarze – swój przyjemny stan posiadania.

Chodzi nierozłączna ze mną małżonka Marina po swoim domu – jest tu cała Organizacja Narodów Zjednoczonych, cały Wspólny Rynek, cały międzynarodowy bank rekonstrukcji naszego zacofanego sposobu życia i rozwoju naszych szybko rosnących potrzeb.

Niegłośno szumi nasza zawsze pusta fińska lodówka Rosenlew.

Trupio chłodne jest nasze domowe ognisko – jugosłowiańska kuchenka z programatorem.

Angielski metalowy zlewozmywak z młynkiem odpadów mieni się szlifowanymi dyskami nieprawdziwych monet.

Cytrynowa miska klozetowa z Polski.

Czeskie kryształowe żyrandole – dźwięczą, rozlewają się tęczą po wszystkich pokojach.

Niežnośny blask drewnianej mozaiki nigdy nieużywanego egipskiego kompletu jadalnianego, w którego serwantkach ukryte jest, jak w piramidzie, hiszpańskie srebro.

Solidne, okazałe fotele w komplecie gabinetowym Ludwik XIV – pozdrowienie z Rumunii.

Szkockie pledy na naszym węgierskim, rzeźbionym łożu rozkoszy.

Cierpiący nędzę bracia Wietnamce rozłożyli na naszym wyrku uciech cienką bieliznę pościelową, a niechętne nam Kitajce – puchowe kołdry i poduszki.

Na nocnej szafce mojej ukochanej – obfitość flakoników, buteleczek, tubek i pudełek z *la belle France*. Tyle ich, że chciałoby się czasem powąchać zwykle gównu.

Złote pierścionki, łańcuszki, naszyjniki, ozdóbki z Meksyku.

Pakistańskie dywany, pieszczące utrudzone w młodości stopy.

Pomrukują, gardlują, wieszczą wszystkie razem – holenderski telewizor Phillips, japoński wideomagnetofon Akai, amerykański tranzystor Zenith.

Kanadyjska kurtka Golden Duc, włoskie swetry, skórzane płaszcze z Turcji, kozuszki z Belgii, czapki ze Szwecji, płaszcze z Islandii.

Co tam jeszcze nie trafiło do spisu moich trofeów? Czego jeszcze nie dowiozłem, krążąc po świecie ze słowem prawdy na ustach i delegacją w kieszeni?

Cichutko tyka na ręce szwajcarski zegarek marki Phillip Patek.

Nie złożyły ci jeszcze daniny, Marina, nic nieznaczące Monako oraz – nazwana tak na twoją cześć – republika San Marino. Ale w Monako ruletki na wynos nie dają, a oceanarium cię nie interesuje. Jeśli zaś chodzi o republikę twojego imienia, to wszystko z nią w porządku: obaj kapitanowie-regenci są już komunistami. Możliwe, że niedługo pošlą mnie tam w charakterze pułkownika-regenta.

I co? Z tym wszystkim, z całym tym dobrem – trzeci rozwód światowy? Wojna? Chyba wam odbiło, drodzy zachodni politycy! Wszystko to i tak z czasem będzie nasze. Jak niemal nowy błękitny mercedes na bieżnikowanym ogumieniu.

Tak że wszystko w porządku. Słyszałem przecież, Marineczko, jak paplając z jakąś drugą idiotką przez telefon – nawiasem mówiąc, przywiozłem go z Singapuru – powiedziałaś kokieteryjnie:

– U nas w domu nawet jednego gwoździa radzieckiego nie uświadczysz...

Niepatriotycznie to, ale taka jest prawda. Kafelki w WC – enerdowskie, tapety – portugalskie, franki – z Syrii.

A co jest u nas w domu radzieckie?

Ściany. Niewzruszone, wysokie ściany naszego domu. A dom, jak wiadomo, wspierają przede wszystkim ściany. Dlatego, Marineczko, spójrz na starszą swą przyjaciółkę, Sofię Własiewnę, i naucz się od niej trochę rozuamu. Skoro ona nie kruszy ścian, to i ty siedź cicho, bo możesz nieoczekiwanie znaleźć się z gołą dupą na mrozie.

Dopilem szampana, popatrzyłem przez denko pod światło. Bładoszmaragdowa patyna przytulności. Moskiewska zieleń. Zachodnioberliński lazur.

Odkręciłem prysznic, posiedziałem trochę pod jego ciepłym deszczem i wyłączyłem z wanny na ten zielony świat – z rezygnacją, bezmyślnie, tak jak wychodziły na ziemię pierwotne, skazane na zagładę jaszczury.

Gdzie ja jestem? I gdzie powinienem być?

I z miejsca zakłuło mnie w piersi, przygniotło, tłumiąc dech. Siew fasolki „tumor” zaczął się na moich polach wcześniej niż poprzednim razem. Kiedy żniwa? Czy zakończymy przed terminem zbiór strączkowych?

Nie chcę! Nie dam się! Boże, z jakich oparów udawało mi się wyjść cało... Czyżby tym razem miało się jakoś nie ułożyć? To niemożliwe!

Zaterkotał przenikliwie dzwonek telefonu. Majka! Mangust! Działki moje drogie, z trudem wyniańczone! Podbiegłem do aparatu, złapałem słuchawkę i w ucho wwiercił mi się przenikliwy żydowski tenorek:

– Chciałbym mówić z Lwem Dawidowiczem...

– Pomyłka.

Cisnąłem słuchawkę i poszedłem się golić. Gdzieś w oddali szeleściła Marina. Choć jej nie widzę, czuję jej obecność, tak jak kot czuje obecność myszy za listwą podłogową.

Ciekawe, czy wciąż jeszcze czyta swojego Simone de Głazunowa?

Nie zdążyłem ogolić sobie podbródka, gdy znowu zadzwonił telefon i ten sam świdrujący żydowski głos zażyczył sobie, żeby, jeśli można, poprosić do telefonu Lwa Dawidowicza.

– Nie żyje – oznajmiłem twardo.

– Jak to? Co pan opowiada?

– Tak, zabili go – potwierdziłem ze smutkiem. – Zrobił to Ramon Mercader czterdzieści lat temu. Po dalsze informacje dzwoń do Meksyku, żydowska mord...

– Chuligan! – ryknęła słuchawka, zatrzepotała mi się w ręce, zbladła, pokryła się całą cuchnącym potem gniewnego żydowskiego strachu. – Cham! Świnia! Jeszcze mi pan za to odpowie! Świnia!

Od tego przenikliwego krzyku – „świnia!” poczułem silne dławienie w piersi. Śmieszne: jedyne, czego nie nauczyli się Żydzi robić lepiej niż my, gospodarze ziemi, na której żyją – to kłąć. Ich obelgi są nieprzekonujące, nie płyną z duszy, z bebeczów, z mózgu. W ich ustach ordynarne zlorzeczenie przypomina niezręczny przekład, pozorowanie uczuć.

Ale to rodzime wyzwicko – „świnia!” – wykrzyczał od serca, mało mi ucha nie prześwidrował.

Kiedyś, dawno temu – och, jaka to zamierchła przeszłość! – Fira Lurie, twoja babcia, Majka, a moja, można powiedzieć, teściowa, marszcząc się z odrazą, coś szybko powiedziała po żydowsku.

– Przetłumacz! – poleciłem Rimmie.

Poczerwieniała, poruszyła się niezręcznie, zamrugła oczami, ale kłamać nie umiała, i pod moim nieustępliwym spojrzeniem, zacinając się, zaczęła mamrotać:

– To w Piśmie jest tak powiedziane... i mama sobie przypomniała... u proka Izajasza... w formie alegorii: „...żyję pośród narodu, którego usta są nieczyste...”

Bała się, że się obrazę, a ja się roześmiałem. Fira, moja tak zwana teściowa, powiedziała to o sąsiadach.

Tak! Już mieszkały wraz z innymi ludźmi. Ponieważ dziadek twój, Majka, nie umarł zawczasu na zawał, tylko na ostrą niewydolność serca na rękach więziennego lekarza Zodijewa, ich mieszkanie w starym domku jednorodziwym w Sokolnikach podlegało zagęszczeniu. Z bagna drobnoburżuazyjnego odosobnienia wyniesiono ich na wyżyny komunalnego bytu.

Do pokoju stołowego profesora Luriego wjechał z piwnicy w oficynie kierowca Szmakow z chorym na gruźlicę dzieckiem i żoną Dušką, ładowaczką, zawsze zmęczoną kobyłą o mocno owłosionych nogach. Byli ludźmi spokojnymi: Duška po pracy nie miała siły hałasować, a jej szanowny małżonek – szofer Szmakow – hałasować nie mógł, jako że był „filtrowany”.

W czterdziestym drugim roku trafił w okrażenie pod Charkowem, wzięto go do niewoli, wysłano do obozu koncentracyjnego, skąd trzykrotnie uciekał, ale za każdym razem Niemcy go łapali. Cudem ocalał i w kwietniu czterdziestego piątego oswobodzili go Amerykanie.

Gdyby Szmakowa wyzwolili nasi – w jakimś Oświęcimiu czy innym Sachsenhausen – to, rzecz jasna, trafiłby do obozu w celu sprawdzenia. Do naszego, zwykłego obozu, nie jakiegoś tam koncentracyjnego, tylko zwyczajnego reedukacyjnego obozu pracy.

Ale jego wyzwolili Amerykanie. Dla nikogo nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że został zwerbowany na szpiega. Tak więc poszedł Szmakow bezterminowo do obozu filtracyjnego, gdzie filtrowano go ze cztery lata i skąd jakoś ani razu nie uciekał – może dla zamydlenia oczu, a może dlatego, że uciekać nie było dokąd. Przecież nie mógł uciec do swoich amerykańskich mocodawców!

Wreszcie, przed wielką akcją sadzania w końcu lat czterdziestych, zdecydowano wypuścić beznadziejnie chorych – i wyszedł na wolność, bez płuca, ważący czterdzieści jeden kilogramów brutto, w łagiernym chałacie i trepach na podszwie z opon.

Duśka, ładowaczka, żona Szmakowa, która pochowała go wiele lat temu i która wydała na świat nie wiadomo czyjego ładnego chłopczyka, powoli umierającego na gruźlicę, przyjęła swego zmartwychwstałego z łagrów małżonka, oddechowała go, odmyła, podkarmiła, załatwiła mu pracę na półtoratonowej ciężarówce, i zaczęli jakoś żyć, bezsilnie nienawidząc się nawzajem.

W sobotnie wieczory pili do nieprzytomności wódkę, potem wiecznie milczący, jakby niemy Szmakow odzyskiwał głos i zaczynał z wigorem, wielopiętrowo urągać Duśce. A ona nigdy nie przerywała mu od razu – miała widać jakieś własne wyobrażenie o dramaturgii małżeństwa, a może żałowała Szmakowa, nie chciała, żeby rozpekł się na strzępki od duszącej go nienawiści. Czarno-czerwona twarz Szmakowa bladła, na naciągniętej skórze ostro występowały sine blizny, groźnie szczyrzył dwa ocalałe we fioletowych, przeżartych szkorbutem dziąsłach kły, cały promieniował rozpaczliwą złością na Duškę – taką obojętną, niczego niewiedzącą o jego cierpieniach na froncie, w obozach niemieckich, koncentracyjnych, i naszych, filtracyjnych, taką tęgą i zdrową. Gdy on, wyniszczony, niedługo umrze, ona tak samo miłosiernie wpuści do swego łóżka jakiegoś innego pechowca, tak samo go ogrzeje, odchucha, odkarmi. A jego już nie będzie.

I wyrzucał z siebie coraz wulgarniejsze wiązanki przekleństw, z racji których Fira Lurie ze strachem powiedziała – „usta ich nieczyste”...

Po jakimś czasie znudzona Duśka miała dość, a może i do jej ospałego mózgu zwierzęcia pociągowego docierała w końcu obraźliwość obelg Szmakowa, w każdym razie w pewnym momencie bez uprzedzenia waliła go w pysk, tak że Szmakow niezmiennie spadał z taboretu na podłogę.

Bili się w kuchni. Choć słuszniej byłoby nazwać to nie bójką, lecz egzekucją. Biła Duśka Szmakowa bez litości, choć w zapamiętanie nie wpadała i kończyła natychmiast, gdy tylko on przestawał próbować podnieść się z podłogi. Potem wiązała go sznurem do bielizny i kładła, żeby się przespał do rana, nigdy nie zapominając przygotować mu na kaca ćwiarteczki wódki czy paru butelek piwa. Taka oto idylla kwitła w stołowym pokoju dziadka Lowy, byłego członka akademii i profesora medycyny.

A w gabinecie dziadka Lowy zakwaterowano dwudziestoletniego kretyna Sieriożę wraz z jego mamuszką, buchalterką z administracji domów, Anisją Buldyginą...

Niezbadane kaprysy pamięci, ormiańskie zagadki Mnemozyny – tajemnice niemające wyjaśnienia!

Dlaczego tylu różnych rzeczy nie zapamiętałem, tyle różnych zapomniałem, a złorzeczenie Szmakowa i szare lico Aniski Buldyginej, przypominające wczorajszy salceson, stoją mi przed oczami tak wyraźnie, jakbyśmy rozstali się dzisiaj rano?

Może dlatego, że byli oni ostatnimi normalnymi proletariuszami, typowymi przeciętnymi kommunistami, z jakimi miałem okazję bliżej się zetknąć? Przecież po całej tej historii, dzięki Bogu, nigdy więcej się już nie kontaktowałem ze zwykłymi radzieckimi ludźmi, chyba że siedzieli przede mną po przeciwnej stronie biurka w charakterze podejrzanych lub agentów. Ale w tym charakterze ludzie zachowują się całkiem inaczej niż w komunalnym mieszkaniu.

A może zapamiętałem ich tak wyraźnie dlatego, że byli oni odrażająco wyrazistym tłem niepowtarzalnych wydarzeń w moim życiu – strasznych i pięknych?

Może i tak. W każdym razie nigdy więcej nie żyłem w stanie takiego napięcia, strachu, nadziei, szczęścia i rozpacz.

Właśnie wtedy zrozumiałem ostatecznie, że Żydzi – to diabelskie nasienie, że są pokumani z siłą nieczystą.

Urok na mnie rzucili. Urzekli. Zamroczyło mnie, otumanilo, rozum mi odjęło. Mogłem myśleć tylko o Rimmie.

Czy zasypiałem obok niej, czy się budziłem, siedziałem za kierownicą swojej pobjedy, szedłem na nocną rewizję, czy z jękiem rozkoszy przebijałem otwór spustowy jej hutniczego pieca, czy ze wstrętem waliłem po facjatch tych kretynów – podejrzanych – przez cały czas, cokolwiek bym robił, myślałem tylko o Rimmie.

Każdy facet to wie: zdarza się czasem kobieta-oczarowanie. Nie jest to kwestia urody ani wieku. Może narodowości? Znam jednego fajnego gościa, który tak właśnie pokochał Murzynkę. Choć ja osobiście myślę, że Murzynkę można pieprzyć tylko dla zabawy, z głodu albo po pijanemu. No, tak mniej więcej, jak zeki folgują sobie z kłaczami, które dowożą wodę, a Czeczeni – z kozami.

Nie, to było całkiem coś innego. Seksualne zamroczenie, dur, halucynacja.

Kiedy obejmowałem Rimkę – czuła do mnie wstręt, zupełnie jakby pies ją lizał, owiewając twarz cuchnącym oddechem. Wiedziałem o tym.

I wytrzymałem to – w nadziei, że przyzwyczai się i pokocha. A ona, suka żydowska, nie przyzwyczajała się, choć zabij.

Ludzie do wszystkiego przywykają: do biedy, do poniżenia, do śmierci. Przywykają nawet do oddanego w charakterze zakładnika tatusia. Mijały długie miesiące, i Rimka z matką oswoiły się z tym, że Lurie został mi oddany na przechowanie jako zakładnik, i od ich zachowania zależy: przetrwa – czy zginie.

Nie wiedziały, i wiedzieć nie mogły, że dawno już ich ukochany ojciec i czuły mąż, profesor Lew Lurie, przeleciał nad ciemną, zmęczoną i zmoczoną deszczem Moskwą szarym obłoczkiem dymu. Sześciu na zawsze nie-rozpoznany włóczęga bez papierów.

Kochały go, głupie Żydówki – i dlatego miały nadzieję, wierzyły w wymyśloną przeze mnie brednię. Niemal bez sprzeciwu przyjęły rolę, którą im wyznaczyłem.

Fira stopniowo mnie zaakceptowała – stróża ich bezcennego depozytu.

Rimka nie przywykła do mnie. Pamiętam ją całą, każdą komórkę, każdy włos, każdą fałdkę. Ale jest to pamięć o żywym posągu, gdyż prawie nigdy ze mną nie rozmawiała. Milczała, patrząc obok mnie. Jeśli ją o coś pytałem, odpowiadała grzecznie i krótko.

Kiedy rozpoczynałem z nią swoją ulubioną zabawę w *make love*, w milczeniu, obojętnie się podporządkowywała. Nawet nie okazywała wstrętu, tylko tak jakby przyjęła, że jest rzeczą, należąca do mnie na szczególnych warunkach, erotycznym automatem, zwierzęciem, z którym mam prawo zrobić, co tylko zechcę.

I wszystkie siły w owym czasie poświęcała na walkę nie ze mną, lecz z własną fizjologią, gdyż przebudziłem w niej zmysłową wrażliwość. Byłem wtedy młodym, zdrowym mężczyzną i pragnąłem jej tak, że mógłbym dobyć całe z niej nie schodzić. Jej południowa semicka krew, zdradzając wolę, zaczynała kipieć od potężnego, niezmordowanego walenia mojego młota, i Rimka, kurcząc się ze wstrętu do siebie samej i nienawiści do mnie, zaczynała więc się i jęczeć w spazmach rozkoszy, nad którą nie miała władzy.

Boże mój, ileż ja wycierpiałem przez tę seksualną ortodoksję, ile radości zostało mi odjęte!

Nie oswoiła się, nie przywykła. Mogłem z nią robić, co chciałem, ale ani razu nie przeżyłem upojenia mężczyzny, który dał kobiecie pełnię szczęścia.

I dlatego gorzało we mnie pełne złości niezaspokojenie, jakby nic jeszcze między nami nie było, jakbym był pryszczatym uczniem, zakochanym w koleżance z klasy, marzącym o tej upragnionej, niedostępnej chwili, kiedy sama mnie zapragnie. Ona jednak nie rezygnowała ze swojej przeklętej żydowskiej dumy, nie otwierała się, nie porzucała swojej zaciętej nienawiści.

I dlatego myślałem o niej bez przerwy, tak jak chłopczyk myśli o swojej przyszłej pierwszej kobiecie. Jak teraz myślimy o ostatniej tajemnicy – o życiu pozagrobowym.

Nawet jej matka pogodziła się z moją obecnością. Co prawda, silnie podpadła przez ten czas. Powłóczyła nogą i skarżyła się: „Tak mnie boli prawa dłoń, że kawę mogę pić tylko lewą...”

Inteligencja parchata, profesura jerozolimska, pieska ich mać!

Ale to właśnie dzięki niej zacząłem legalnie nocować z Rimmą w domu. I stosunki nasze zaczęły wykryształizowywać się w normalne okupacyjne małżeństwo. Rzecz w tym, że Fira Lurie bała się sama przebywać w mieszkaniu. Oswoiła się z aresztowaniem męża i nie mdlała ze strachu na widok dzielnicowego milicjanta, przyjęła nieuchronne warunki życia pod kłosem MGB, wszechobejmującym i groźnym jak jesienne niebo.

Bała się nowych lokatorów – Aniski Bułdyginej i jej syna, kretyna Sierioży.

Ankieta Aniski składała się z samych wielkich plusów – nienaganne robotniczo-chłopskie pochodzenie, niepełne średnie wykształcenie, członkostwo w WKP(b) od roku trzydziestego siódmego. Nie mówiąc już o tym, że była wieloletnią, sumienną informatorką naszych wspaniałych organów.

Z takim pięknym życiorysem moglibyśmy ją wszędzie wepchnąć – czy do Światowej Rady Pokoju, czy do kierownictwa ruchu przodowników pracy, czy do komisji naukowych... Tacy ludzie zawsze są potrzebni.

Niestety, wszystkie te ważkie plusy przekreślał jeden minus – jej zwierzęca miłość do syna-degenerata. Z jego powodu pracowała w administracji mieszkań – żeby być bliżej domu, mieć dla niego więcej czasu.

Kretyn miał pod dwa metry wzrostu. Kościsty, chuderlawy, ostrzyżony po żołniersku na króciutkiego szarego języka. Czy siedział na taborecie w kuchni, czy snuł się z niewyraźnym mamrotaniem po mieszkaniu, czy przytajał się w ciemnym kącie korytarza – gdziekolwiek był, ani na chwilę nie przerywał swego okropnego wahadłowego kołysania – w przód i w tył, w przód i w tył. Z boku wydawało się, że bije on nieustanne poklony, jakby odbywał

wieczną pokutę, a jego bezmyślne, osiadające pianą na ustach mamrotanie – to nieprzerwana modlitwa, nieustające błaganie o przebaczenie win, których nie popełnił.

Ale najokropniej było patrzeć na jego ślepą twarz o grubych wargach, zniszczoną przez gruźlicę skóry. Bezbarwne oczy, zaciągnięte bagienną mgłą obłędu, zaślinione polcie warg i palające na sinej martwiczej cerze przyszcze – jak ziarnka granatu, pąsowe, z białym jądrem.

Cały dzień snuł się mętnym cieniem, ślinił się obficie, bil swoje niekończące się pokłony i nieustannie trzepał konia.

Wszędzie, zawsze, przez cały czas kretyn się onanizował.

Z bezpłodnego ciała nieustannie wypompowywał galaretowatą szarą spermę. Niestrudzonym ręcznym pompowaniem, niekończącymi się dziękczynnymi pokłonami mistrzowi Onanowi.

Kiedy Fira, Rimma czy Duśka Szmakowa szły do klozetu albo do łazienki, kretyn przywierał do drzwi i tarł ciałem o twarde drewno, i pomrukiwał w namiętnej udręce, żałośnie skowyczał, i ścisnął, tarmosił, pieścił, szarpał swój rozpalony do czerwoności członek, swoje nieszczęsne zwierzęce ciało.

Niezgrabnie, potrzaskując stawami, osuwał się na podłogę, marząc, by zobaczyć chociaż coś niecoś w szczelinie pod drzwiami swymi powleczo-nymi całunem idiotyzmu oczami. Podrygiwały mu skrzydełka grubej bulwy nosa – te straszne, czarowne kobiece zapachy wprowadzały go w drgawki, i szaleńczo strzygł zwiędłymi łopuchami uszu.

Te ryki i pomruki, ta rozkosz i tortura budziły we mnie współczucie dla niego, w Firze i Rimmie – strach, a w Duśce Szmakowej – nienawiść.

Usiłował je chwytać swoimi słabymi, spoconymi rękami, purpurowymi mokrymi rękami onanisty. Fira z krzykiem się broniła, a Rimma, przybiegłszy jej na pomoc, w milczeniu, z kamienną twarzą odpychała go, gdy prze-bijały się do swego pokoju. Duśka, nie pojmując tych wszystkich żydowskich pisków i krzyków, zwyczajnie obalala idiotę na podłogę i kopała go, starając się trafić swoim grubym, włochatym kopytem w pachwinę, i przy-gadywała bez złości, niczym pielęgniarka niesubordynowanemu pacjentowi: „Żeby ci odpadła ta twoja paskudna kuśka! Żeby ci usechł ten śmierdzący wał! Lepiej by ci było, bydlaku...”

Przyszedłem kiedyś wieczorem i zastałem swoje żydowskie głuptaski we łzach, gorzko płaczące. Debil Sierioża znowu napadł Firę w okolicy łazienki.

– *Gott! Gotteniu majn tajerer!* – skarżyła się. – *Farwus? Farwus?*

A Rimma jej wtórowała. Czysto zwierzęce zaczepki degenerata traktowały jako znak swego ostatecznego upadku w otchłań nieszczęścia, jako symbol pohańbienia ich losu.

Och, ta żydowska pycha! W kopniakach Duśki Szmakowej było o wiele więcej godności i miłosierdzia...

Anisja Buldygina gorączkowo pichciła w kuchni kolację. Jej kretyń stał przy kuchence, łapał z patelni kotlety, długie białe gluty makaronu, parzył się, ciamkał, dławił się, prychał, głośno przelykał, nieprzerwanie się kłaniał. Stałem w milczeniu we drzwiach. Aniska chudymi, twardymi łopatkami czuła przez wyliniały sweter moje spojrzenie, kręciła się niespokojnie, pokrywki wypadły jej z rąk, ze strachu i napięcia drżał żaloszny koczek na karku, pociła się mocno i ostra, zjadliwa woń jej potu przebijała się przez odór wody kolońskiej Heliotrop i smażonej cebuli.

Ze wszystkich sił starała się udawać, że moje przyjsie do kuchni nic nie znaczy, nie ma z nią żadnego związku, że ona się tylko śpieszy, aby jak najszybciej przygotować kolację i nakarmić swoje dziecic.

Syczał gaz w palnikach, podskakiwał czajnik z wrzątkiem, ciamkał i sapał z wysiłku kretyń, podpita Duśka Szmakowa śpiewała u siebie w pokoju, kołysząc do snu dziecico:

Były cysie, były dwa

Oberwali obydwu...

I kiedy samicy odór potu Aniski stał się nie do zniesienia, zmieniwszy się w żółtą mgłę przerażenia, odwróciła się ku mnie i niemal szeptem spytała:

– Co jest?

– Więcej nie wypuszczaj swojego chwata z pokoju.

– Jak to?

– Nijak. Zamykaj go, jak wychodzisz.

– Pawle Jegoryczu, kochany, ale on przeciez cały dzień sam! Choćby do ustępu...

– Zadnych ale. Nadużywasz naszego humanitaryzmu. W Niemczech dawno by się z nim uwinęli. Trzask-prask i cześć! Tak że zapamiętaj sobie jak amen w pacierzu: jeszcze raz wyjdzie z pokoju – i więcej go nie zobaczysz.

– Jak to „trzask-prask”, Pawle Jegoryczu? – zapłakała Aniska. – To przeciez moje jedyne dziecico, myśmy nie winni temu nieszczęściu...

– Nie jestem sędzią, żeby ustalać, kto winien, a kto nie. Jedną mam dla ciebie radę: oddaj go do zakładu, póki czas. A nie posłuchasz mnie, nieszczęście na siebie ściągniesz. I to wielkie...

- Jak to nieszczęście, Pawle Jegoryczu? Ja przecież...
- Rozmowa skończona – przerwałem jej. – Wiesz, że my słów na wiatr nie rzucamy.

A ukochana moja Żydówka ze swoją mamusią, zasepione, piły herbatę, bladą wystygłą cieczą, „siki świętej Weroniki”. Albo z powodu onanizującego się kretyna bały się wyjść, żeby zaparzyć świeżą, albo skończył się im zapas. Nie rozpieszczałem ich przecież zanadto produktami żywnościowymi, świadomie, a wszystkie książeczki oszczędnościowe zarekwirowaliśmy już w czasie rewizji. Cóż, życie nie w nędzy wprawdzie, ale w pewnym niedostatku było dla nich obecnie bardzo wskazane. Według mnie, w każdym razie.

Głodny pies je z ręki.

Kiedy wszedłem, Fira ze strachem mamrotała:

– Od czasów Fallopia nikt o to lekarzy nie posądzał... – Ale zobaczywszy mnie, natychmiast zamilkła i zaczęła popijać swoją bezbarwną herbatę.

– O czym mówiliście? – spytałem surowo.

Fira zamruwała zaczerwienionymi powiekami, w zakłopotaniu poruszyła wargami. A Rimma cicho, martwym głosem wyjaśniła:

– Mama dowiedziała się dzisiaj, że aresztowali starego doktora Jeruchimowicza, który leczył mnie w dzieciństwie...

– Całkiem możliwe – kiwnąłem głową. – A co to za Fallopio?

Rimma ledwie zauważalnie, kącikiem ust, uśmiechnęła się – zawsze się tak złośliwie uśmiechała, kiedy ją o coś pytałem, cieszyła ją moja ciemnota i nieobycie, doznawała masochistycznej radości na myśl o nieokrzesianiu swego oprawcy.

Ech, ty głuptasku! I z czego się było cieszyć? Moje wykształcenie w tym czasie rzeczywiście było jak żołnierska bielizna: dziurawe i nijakie. Ale już wtedy wiedziałem coś, czego wyście się przez całe życie nie nauczyli. Nas, ignorantów, nic nie mogłoby odwieść od przestrzegania najwyższego prawa owych czasów: Niech wszyscy umrą dziś, a ja – jutro.

– ...No więc co to za jeden, ten Fallopio?

– Wybitny lekarz renesansu, Włoch, chirurg i anatom. Gabriele Fallopio był przestępcą – sprawdzał na więźniach działanie różnych trucizn.

– Teraz pełno takich lekarzy – zauważyłem obojętnie.

– To kłamstwo! – krzyknęła Rimma. – Dobrze pan wie, że to kłamstwo...

Zwracała się do mnie tylko per „pan”.

Nie zdążyłem zareagować, kiedy nie wiadomo dlaczego ośmielona nagle Fira powiedziała:

– Ja myślę, że teraz wsadzają nie złoczyńców i trucielei, a po prostu Żydów. Potem im coś tam wymyślą. Ale słyszę dookoła takie okropne rzeczy, że nie będę zdziwiona, jak się dowiem, że Żydzi chcą zamordować Stalina...

Powiedziała – i śmiertelnie się przestraszyła. Rimma zbladła. Patrzyły na mnie zaszczutym wzrokiem, skuliwszy się, bezcielesne z przerażenia – sam nie wiem, czego się spodziewały: że ich aresztuję, zastrzelę na miejscu, czy też w środku nocy polecę do pracy i zgładzę ich tatuśka, dawno zmarłego na ostrą niewydolność serca.

Ale słowo zostało wypowiedziane. I w ogóle mnie to nie rozzłościło. Twarz mi tylko stwardniała, groźnie ściągnąłem brwi, zacisnąłem wargi, żeby nie zauważyły, jak radośnie podskoczyło we mnie serce, jak rozgorzała we mnie pasja natchnienia, jak zatriumfowałem sekretnie, gdyż ta stara głupia Żydówka podpowiedziała mi ostatnie brakujące słowo w krzyżówce.

To właśnie jest apokalipsa. Objawienie. Wszyscy myślą, że apokalipsa – to katastrofa. Tymczasem apokalipsa jest objawieniem katastrofy.

Fira podsunęła mi objawienie swojej zguby, zguby swego potomstwa, swoich sióstr i braci. Podpowiedziała mi objawienie katastrofy swojego narodu. Apokalipsę Żydów.

Bałem się zdradzić im swoją radość, rozmienić na drobne triumf ostatecznego rozwikłania zagadki. Wstałem od stołu, w milczeniu poszedłem do pokoju Rimmy, który one z przyzwyczajenia nazywały dziecinny i w którym zajmowaliśmy się z nią swoimi niedziecięcymi zabawami.

Nie zdejmując butów, położyłem się na łóżku, założyłem ręce pod głowę i leżałem tak długo, nieruchomy, przekuważąc pomysł w formułę. Myśli w czaszce stukały niespiesznie, równo – tuku-tuku-tuku-tuk. Tak pewnie, z lekka postukując w rozpalony kawałek żelaza, majster-kowal pokazuje czeladnikom miejsce, gdzie należy mocno uderzyć, by zmienić buchającą białym żarem bryłkę metalu w sierp czy w szablę. Czy w topór.

Kulem topór na Żydów.

W sąsiednim pokoju, za niedokładnie zamkniętymi drzwiami, snuły się bezgłośnie moje Żydówki, filizanki dźwięczały, drząc w ich rękach, kobiety szeptały coś tam do siebie, w gabinecie byłego profesora Lurie, gdzie mieszkała Aniska Bułdygina, tęsknie i namiętnie pomrukiwał kretyń Sierioża, a całkiem z daleka, z dawnego pokoju stołowego, dobiegała niekończąca się kołysanka, którą śpiewała Duśka Szmakowa swemu małemu suchotnikowi:

Dwóch mošków, trzeci Żyd

Po lince myk-myk-myk.

Lineczka się urwała,

Żydkowi po łbie dała...

Nie, Dusia, nie urwała się, ja tylko nawinałem sobie na palec jeden koniec linki, na której tańczy u nas ze dwa miliony Żydów, nie licząc trzeciego – tych, którzy są moškami.

Niewidoczny kowal ich klęski postukiwał w moim mózgu zręcznie i sprawnie, wybijał, formował i tłoczył ideę żydowskiej zguby.

Czeladników z młotami nie zabraknie, surowca do piekielnego paleniska na kopy. Trzeba tylko podpowiedzieć zleceniodawcy, że niepotrzebny nam jest sierp, ani podkowa, i tuleja do koła też psu na budę się zda.

Potrzebny jest topór.

O tym, żeby nie kuć – nawet mowy nie ma. Kucie i tak już idzie pełną parą w całym kraju.

Kują młodych, powojennych.

I ocalałych z przedwojennego kucia przekuwają.

Dziarscy kowale bez ustanku kują studentów, chłopów, partyjnych przywódców, Żydów i Mordwinów – wszystkich bez wyboru. Chaos ogólnonarodowego kucia.

My – kowale, i duch nasz jak młot,

Wykuwamy do szczęścia klucze...

Fali ogólnej nienawiści i strachu trzeba nadać kierunek, ustalić brzegi i określić cel. Topór powinien być ciężki, naostrzony jak brzytwa i precyzyjnie ukierunkowany. Do tego prowadzi tylko jedna droga.

Nieukierunkowaną furię wszechobejmującego terroru należy zmienić w spopielającą protuberancję narodowego antysemityzmu.

Zabawne, ale przecież do tego czasu niemal wszystko zostało zrobione. Brakowało tylko ostatniej cegiełki, kamienia wieńczącego tę majestatyczną budowlę. I ja wyciosałem ten kamień – za sugestią mojej śmiertelnie wystraszonej teściowej.

I nazywał się ten święty kamień gniewu i zemsty – Życie i Zdrowie J. Stalina.

Boże, od jak dawna już unosił się w powietrzu ten pomysł! Jak blisko ku niemu podchodzono! Ale przekuć go w topór nie starczało ducha.

Leżałem. Na łóżku w butach. I myślałem. Lekko i jasno. Wszystko było dla mnie zrozumiałe. Jak wyraziście zobaczyłem wymyśloną przeze mnie machinę!

Wicher z wściekłością miotał śnieżną krupą w szybę, za którą widać było wznoszącą się ponad dworcem dymną poświatę. W piwnicy buczały rury wodociągowe – nisko i smętnie, niczym fagot. Cicho pochlipywała Fira i szeptała jej coś pieszczotliwie Rimma. Paplała-nuciła-zasypiała Duśka Szmakowa. Stękał, ryczał, pojękiwał namiętnie kretyn za ścianą. Rozmawiała z nim, złościąc się, Aniska Bułdygina. Coś dźwigali i przynosili, sapali i hałasowali.

A odkówka moja już żyła w moim mózgu, przewracała się z boku na bok, podstawiając swoje buchające nienawiścią, rozżarzone krawędzie pod uderzenia mojego młota, rozciągała się, zaostrzała i twardniała w czarno-purpurowej zgorzelinie czekającego nas przelewu krwi.

Bez względu na moje ówczesne nieuctwo i ciemnotę – z punktu widzenia Rimmy – już wtedy bardzo wyraziście uświadamiałem sobie budowę naszej machiny państwowej, konstrukcję jej silnika, źródła paliwa, sposób funkcjonowania i cel jej istnienia.

Och, jak mało ludzi mogło się w tamtych czasach pochwalić taką wiedzą! A ja wiedziałem.

Ogromny, mroczny okręt, którego dzika załoga dawno temu wybiła do brodusznym pasażerów i lekkomyślnych nawigatorów – i podporządkowała się wesołym piratom, którzy zapewniali, że mają mapę Wyspy Skarbów.

Ale załoga była ogromna, a żywności i paliwa nie starczało. I piraci z łatwością przekonali wszystkich, że najwłaściwszy sposób na to, by dotrzeć do czarodziejskiej wyspy, do Ziemskiego Raju na skraju Oceanu Życia – to opalanie kotłów członkami załogi. Silnik na takim paliwie pracuje znakomicie, a dla innych zostanie więcej żarcia i picia.

Naturalnie nie cała załoga pójdzie na opał – tylko niepotrzebni, szkodliwi, wrogowie i ludzie małej wiary, wszyscy ci, którzy przeszkadzają temu, by jak najszybciej dotrzeć do Błogosławionego Kraju, gdzie każdemu dadzą według potrzeb, absolutnie nie zwracając uwagi na jego przydatność.

I zaczął pracować silnik państwa jak złoto, nieprzerwanie i pewnie, genialna maszyna, odżywiana energią nienawiści i strachu.

A my, Wydział – to palacze. Maszyniści z kotłowni. Naszym zadaniem jest nieustanne podrzucanie paliwa do ryczącego pieca.

Ja zszedłem do maszynowni już po wojnie. Moja zmiana nie zastała już tych wielkich okresowych akcji, kiedy wraz z powszednim węglem ludzkiego

drobiazgu rzucono do pieca to mających odmienne poglądy na temat rewolucji, to buntujących się wieśniaków, to generałów, to funkcjonariuszy państwowych, to członków akademii. Podnosiły się kolejne fale ogólnonarodowej nienawiści, oburzenia całej załogi na tych, którzy przeszkadzają zmierzać ku szczęściu, będącemu już całkiem blisko, za horyzontem, za hipotetyczną granicą między życiem a śmiercią.

Szybko zmiarkowałem, że nasza brać tak jest zachwycona podrzucaniem ludzkiego paliwa, że nie zauważa ważnego, aczkolwiek niewesołego szczegółu: za każdym razem nowa zmiana palaczy – czy to przez roztargnienie, czy też na skutek tajnego polecenia – wraz z porcją nowego paliwa starannie upychała do pieca niemal całą załogę palaczy z poprzedniej, znużonej, ale mającej za sobą kawał porządnej roboty wachty.

Wychodziło na to, że każdy, kto schodził do kotłowni – czy był tylko paliwem, czy wręcz przeciwnie, palaczem – z powrotem wyjść już nie mógł.

Nawet mnie to dziwiło. W porządku – paliwa, powiedzmy sobie, nikt nie pyta, czy ma ochotę iść do pieca, czy też, być może, wręcz przeciwnie. Paliwo to paliwo, i już. Jego los jest przesądzony.

Ale nasza brać? Przecież żaden z nas nie chciał być paliwem. A stawali się nim niemal wszyscy.

W takim razie – dlaczego?

Dlaczego – rok po roku – schodziła do otchłani nowa wachta, połyskująca złotem pagonów, poskrzypująca chromową skórą nowiutkich butów?

Czy o tych butach marzono pośród bosej załogi? O mięsie, które można było jeść do woli, gdy wszyscy niedojadali? O władzy nad pozbawionymi jakichkolwiek praw, oglupiałymi ludźmi?

Pewnie tak.

Ale przede wszystkim wszyscy wierzyli, mieli nadzieję, wiedzieli niemal na pewno: poprzednia zmiana była ostatnią, którą wykorzystano jako paliwo wraz z podstawowym materiałem opalowym.

Od dziś palacze, którzy zakończyli pracę, porządnie naładowali paliwem kotły, będą teraz wychodziли na wierzch, by zasłużyć kierować, uczyć i odpoczywać.

Ale nikt nie wychodził na wierzch, nikt nie opuszczał kotłowni. Tak już, widać, została zaprojektowana.

A ja, leżąc w butach na łóżku w dzieciennym pokoju starego sokolnickiego domku, określałem rozmiary i kierunek wznoszącej się nad państwem kolejnej fali nienawiści i śmierci. I wymyśliłem, jak osiodłać tę falę, jak wzbic się na jej pokrytym krwawą pianą grzebieniu na sam szczyt, jak skierować

ją do wytyczonego przeze mnie koryta, zmusić do posłuchu, do tego, by mnie karmiła, poila, weseliła i dogadzała mi, napelniała aż po brzegi siłą i pozwoliła decydować o życiu innych.

A co najważniejsze – zatroszczyłem się o sposób wyjścia z gry. Nie chciałem być beztroskim palaczem, którego nowa wachta wraz z pozostałym paliwem ciśnie do pieca. Już wtedy wiedziałem na pewno, że zawsze przychodzi zmiana i poprzednią wachtę trzeba zlikwidować.

Dlatego musiałem pomyśleć, jak przechytrzyć los, jak przed rozpoczęciem odpływu przeskoczyć do nowej wachty.

Wiedziałem dokładnie, że celem podróży naszego mrocznego statku w Błogosławione Jutro jest sama podróż. Wyspy Szczęśliwe, które przybiecali załodze nasi szturmani, może i istnieją za chmurnym nieboskłonem, ale położone są – na innym globusie. Tak więc, choć jest to trudne do realizacji, należy sprawić, by mój pobyt na statku był stały i możliwie znośny. Ten statek nigdy donikąd nie dopłyne. Wszyscy, którzy się na nim urodzili, umrą po drodze.

Prawdziwie powiada lud: Bóg daje rozum ślepcowi, a czort – kowalowi.

Urok mojego pomysłu polegał na jego prostocie. Diabelska prymitywność dźwigni, którą zamierzałem przewrócić do góry nogami nasz świat.

Formuła mojego pomysłu składała się z trzech części.

Pierwsza: materiał. Żydzi.

Rzecz jasna nie ja to wymyśliłem. Przez całe tysiąclecia posługiwano się tym bez pudła. Ja tylko zauważyłem, w jakim kierunku zwraca się kolejna fala gniewu naszego Wielkiego Bossa. Sami byli sobie winni, skoro wywołali jego w pełni usprawiedliwioną złość. Boss nasz nigdy Żydów zbytnio nie lubił, ale w czasie ich pierwszej wojny z Arabami stanął całkowicie po stronie mośków. Liczył, że rozbije to bydło Izraelem jak łomem. I co za to wszystko dostał? Ohydną niewdzięczność radzieckich Żydków: kiedy przyjechała tu główna Żydówka Gołda Meirson, wszyscy oni jakby całkiem zgłupieli, zapomnieli, kim są – hurmem zlecieli się do synagogi i nosili tę swoją bezcenną Gołdę na rękach. Od razu wypłynęło na wierzch jak oliwa, że skoro człowiek urodził się Żydem, to żeby był i sto razy proradziecki, w głębi serca i tak jest zdrajcą i syjonistą. I wtedy to właśnie Wódz rozszerdził się na dobre. I zaczęliśmy pomału brać się za Żydów. Zaczynaliśmy, jak należy, od samej góry. Załatwiliśmy po cichu ich głównego reżysera i aktora, Michoelsa, zgarnęliśmy parchatą mądralę – akademickę! – Linę Sztern,

dopadliśmy najmłodszego jazzmana Eddiego Rosnera, powlekliśmy w podziemiu fizyków, genetyków, lingwistów. W Kijowie przygotowaliśmy wielki spiszek żydowskich pismaków. A, nawet już tego wszystkiego nie pamiętam.

Ale działano chaotycznie. Trzeba było nadać materiałowi formę. Konstrukcję. Na tym polegała druga część mojego pomysłu.

Lekarze. Gigantyczny spiszek lekarzy. Lekarze jednej narodowości przeciwko całemu narodowi.

Jednak i ta koncepcja była moim wynalazkiem tylko w połowie. Przecież i wcześniej sadzaliśmy lekarzy. Ale zawód nie odgrywał decydującej roli – oskarżony mógł być fizykiem, lingwistą czy hutnikiem, ważne było tylko, żeby pod względem pozostałych swoich danych pasował do sprawy.

A mój pomysł zakładał, że przestępczym uczyni się ich zawód – w nierozwalnym związku z ich przestępczą narodowością!

O, to był szalenie komercyjny pomysł! Miał nadzwyczaj rynkowe zalety – chodliwa myśl, ciesząca się wielkim popytem! Nałożona na bajzel naszej jedynej na świecie bezpłatnej opieki zdrowotnej, powinna była przynieść ogromne ogólnonarodowe dochody.

No bo, w gruncie rzeczy, kogo w naszym wielonarodowym państwie może poruszyć spiszek żydowskich pismaków, kłęczących swoje głupoty w jakimś nieistniejącym języku jidysz, czy iwrit, czy czort go wie jakim?

Czy nikczemne knowania Żydów-genetyków, Mendla i Weismanna, dowodzących, że w przypadku grochu istnieje dziedziczność, albo wręcz przeciwnie, nie istnieje?

Czy zmowa wyznawców burżuazyjnych idei pseudouczzonego Norberta Wajnera, czy Weinera czy Wienera, którzy wymyślili antyhumanitarną maszynę, mogącą wygrać w szachy z naszym własnym łebskim Żydem Bronsztajnem?

Wzruszamy tylko ramionami, kiedy Żydki złośliwie pytają: a kto w Rosji jest na jsilniejszy? a najmądrzejszy? a kto najlepiej ze wszystkich mówi po rosyjsku?

I chichoczymy, kiedy triumfują: najsilniejszy – to Hirszel Nowak! Najmądrzejszy – Mojsze Botwinnik! Najlepiej ze wszystkich mówiący po rosyjsku – Józio Lewitan!

Dla naszych to wszystko bzdet. Duperela. Duperszwanc.

Jeśli jednak wyjaśnić ludności w sposób przystępny, że ich dzieci chorują, a rodzice umierają tylko dlatego, że niezliczeni lekarze-Żydzi nie leczą ich,

czy rozmyślnie leczą nieprawidłowo, zarażają mikroorganizmami i trują – o, jakże zrozumiała stanie się dla ludzi przyczyna ich nieszczęść!

Ale przecież wielu może nie uwierzyć. No cóż, na początku żadne wielkie dzieło nie jest cenione przez ludzi małej wiary. I żeby uwierzyli wszyscy, wymyśliłem trzecią część mego planu, jego zwieńczenie, koronę.

Ogólny schemat:

Żydzi – to przestępcy.

Żydzi-lekarze – są szczególnie niebezpieczni, albowiem zawiązali spisek przeciwko całemu narodowi.

Ukoronowanie winy: Żydzi-lekarze-naukowcy postanowili zabić Josifa Wissarionowicza Stalina.

A to, rzecz jasna, w przypadku, gdyby się tym złoczyńcom udało – oznacza zagładę całego kraju. Czy raczej, jeśli mówić całkiem szczerze – koniec ludzkości.

Krążyły, formułowały mi się w głowie myśli, wyraziste, jasne, krągłe jak galki liczydeł, wściekły wiatr za oknem podkreślał panującą w domu ciszę, i tylko zza cienkiej ścianki dochodziły do mnie pomruki, namiętne jęki kretyna – nie wiadomo, z zadowolenia czy z męki – i coraz jaśniej wzbierała za oknem ciężka luna, rzucająca krwawe błyski na nieduży dziecięcy pokój.

Potem przyszła Rimma, usiadła jakoś z boku, pochylona, złożony ręce na kolanach, i w czerwonym półmroku, tańczącym plamami na jej twarzy, podobna była do zwykłej, zmęczonej ruskiej baby.

– Kładź się – powiedziałem i posunąłem się na łóżku, a ona patrzyła na mnie z ukosa. W jej oczach pełgały purpurowe odblaski ulicznej łuny. Nie wiadomo było – czy patrzy krzywym okiem na moje buty, czy przysłuchuje się zapamiętałem sapaniu degenerata za ścianą, czy chce powiedzieć coś ważnego.

Wzięłem ją za ręce i pociągnąłem ku sobie, ale ona odepchnęła mnie i szybko powiedziała:

– Jestem w ciąży!

To był krzyk rozpacz, lament zagłady, przyznania się do ostatecznej, niezmywalnej hańby. A dla mnie – radość, nieoczekiwana słodka nagroda za wielką ideę, którą dopiero co wymyśliłem. Przecież teraz, z niemowlakiem – gdzie się beze mnie podzieje?

I z radością, czule, serdecznie przyciągnąłem ją do siebie, mocno, krętko przyciągnąłem.

– Dziękuję ci! To cudownie! Tak się cieszę... – szepnąłem.

A ona odpychała mnie dłońmi, jakby ogłuchła, cała napięta, zwrócona ku ścianie, tak jakby udręczone sapanie i straszne, podobne do szlochu okrzyki kretyna za ścianą wzruszały ją o wiele bardziej niż moje słowa.

– Zadne cudownie... Nic z tego nie będzie... Zrobię skrobankę... – mamrotała.

Objemowałem ją mocno i pieścizotliwie, ukochaną moją, dziewczynę z nadzieiem, narzeczoną z brzuszkiem, ty, Majka, już tam żyłaś – znikoma, maciupeńka, ale żyłaś już, i śmiałem się ze szczęścia, i całowałem twoją *mutter*, i mówiłem:

– Jaką skrobankę? Skrobanki u nas, chwała Bogu, są zabronione... U nas skrobanka to grzech, wielki grzech przed Bogiem, a przede wszystkim przed towarzyszem Stalinem!

– Wszystko jedno!... Zrobię!... Mamy znajomych... Nie chcę mieć dziecka... – W jej pełnych pasji słowach była nienawiść do ciebie, Majka, jeszcze nienarodzonej, niczemu niewinnej. Nienawiść, przeniesiona ze mnie na ciebie.

A ja śmiałem się, przyciągałem ją do siebie coraz mocniej i rozbierałem już, tłumacząc cierpliwie:

– Nie wolno robić skrobanki. To przestępstwo. Przewidziane w paragrafie 140 b kodeksu karnego. Każda radziecka obywatelka o tym wie, kara do trzech lat łagrów...

– Wszystko mi jedno... Może być i więzienie... Byle nie to...

– A o ojcu pomyślałaś? – przekonywałem ją łagodnie. – Ale się ucieszy, jak się dowie, że poszłaś na katorgę! A matka co pocnie? Nie, nie, nawet o tym nie myśl.

Radośnie, jasno, jak błysk ognia w ciemności nocy, rozbrzmiał w sąsiednim pokoju krzyk kretyna, czymś tam załomotał, zaskrzypiał, zastukał.

A ja drżącymi rękami ściągałem z Rimmy bieliznę i zachłannie gładziłem jej mlecznobiałe ramiona, sterczące, wezbrane pagórki piersi, całowałem, tracąc przytomność z rozkoszy, jedwabistą fałdkę pod brzuchem i czarny trójkąt jej łona – słodki żagielek, ciemny kliwer, ostro wzdymany gorącym wichrem mojego pożądania.

I znowu zawył, zastękał, zaskrzypiał kretyn. Jego seksualne niepohamowanie teraz jakoś nie było dla mnie wstrętne, jakby udzielał mi swojej bezmyślnej ciemnej siły. Już naciągnąłem na siebie Rimmę i rozżarzona rozkosz zaczęła unosić mnie falą, gdy nagle rozległ się przenikliwy krzyk Duśki Szmakowej:

– Boże święty! A co tu się dzieje? Sieriożka matkę swoją rucha!... – I znowu, wyraźnie, jasno, z przerażeniem: – Szmakow, zobacz no tylko! Przyglupek Aniskę rucha!...

Triumfujący ryk kretyna, krzyki Duški, ociężałe mamrotanie jej męża: „Chodź, chodź, to nie nasza sprawa...”, śmiertelnie wystraszone milczenie Firy, wyrwijająca się spode mnie Rimma, szlochająca, zachłystująca się krzykiem:

– Ty... ty... ty!... To ty... wy... wszystkich ludzi... tak samo... Mamusiu kochana... zginęliśmy... zginęliśmy wszyscy...

Nie pozwoliłem jej się wyrwać – nigdy nie była dla mnie słodsza i bardziej pożądana, niż w tej koszmarniej minucie, z rozbrzmiewającym w tle namiętym, gardłowym rykiem bezrozumnego kaleki, z sączącą się przez szaroniebieskie okno purpurową poświatą dalekiego pożaru, z przepelniającym mnie poczuciem niezwyklej mocy.

Rimma gorzko płakała, zawodziła i konwulsyjnie szeptała:

– Już niedługo... niedługo... wszyscy zginiemy...

A ja pieściłem ją i mówiłem z przekonaniem:

– Przyszłość należy do potomnych.

Słowa węża-kusiciela.

Ona jednak miotała się po mokrej poduszce, wyrzywała się i twierdziła uparcie:

– Nie ma żadnej przyszłości... Moje życie jest skończone...

I było mi jej odrobinę żal, jak srebrzystej nocnej ómy, która urodziła się o zmroku i dano jej czas tylko do wschodu słońca i dlatego jest przekonana, że życie – to mrok, to noc, i przeczuwa, że dla niej ta noc – to wieczność.

Przeraźliwie ryczał, triumfował, pomrukiwał i sapał kretyn. Całą noc. Przekłęty przyglup!

Wszystko mija. I tamta noc minęła. Przeszło mnóstwo lat. Do dzisiejszego dnia, kiedy ocknęła się we mnie jadowita fasolka imieniem Tumor. I kiedy czeka mnie spotkanie z Mangustem. Już się ogoliłem. Drugi telefon. Marina syczy z korytarza:

– Majka cię prosi...

To tyle. Trzeba się zbierać, trzeba jechać. Język wysechł, opuchł, spierzchnął. Trzeba koniecznie się napić. Jak najprędzej.

Ból w piersi odezwał się leciutko, dał o sobie znać, obudził się, wydobył z mgły zapomnienia tamtej dalekiej, strasznej nocy.

Tumor. Fasolka pęka, kielkuje we mnie stalowymi skrzydełkami.

Mangust przeciwko fasolce. Oboje – przeciwko mnie.

Naciągnąłem świeżą koszulę i jakoś tak obojętnie pomyślałem, że we dwoje mogą mnie chyba pokonać.

Marina na złość mnie włączyła na cały głos radio. Ojczyzna-matka wzywała młodych ludzi, by byli jej budowniczymi i obrońcami.

Chwała wam, dzielne chwaty!

Ojczyzno, mateczko najdroższa! Serdeczne pozdrowienia od Aniski Bułdyginej...

12. Przepaść

Myślałem, że Majka będzie wpraszać się na spotkanie. Ale ona powiedziała:

– Magni kazal, żebyś wyznaczył czas i miejsce rozmowy. Jemu wszystko jedno, gdzie i kiedy...

Magni! Myślałby kto... Mangust. Mangusty to takie małe zwierzątka, które przegryzają gardło syczącym węzom. Zobaczmy, zobaczmy, jaki jesteś w akcji, mój mały Magni.

– Milczysz? – spytała ze złością Majka. – Znowu coś kombinujesz?

– Dlaczego miałbym coś kombinować? Niech będzie o drugiej. No, powiedzmy, o trzeciej.

– Dobrze, przekażę Magniemu. A gdzie?

– Gdzie? Poczekaj, niech się zastanowię – powiedziałem, choć zastanawiać się nie było nad czym. Mogłem spotkać się o każdej porze, ale miejsce było tylko jedno. Szedł u nas taki kryminal *Miejsca spotkania zmieniać nie wolno*, dwóch braci Żydów go nakręciło. No i wygląda na to, że wymyślili go specjalnie dla mnie i Mangusta: miejsca naszego spotkania zmieniać nie wolno. Możemy spotkać się z Mangustem tylko w jednym miejscu.

– Słuchaj, córeczko, powiedz temu swojemu, jak mu tam, Mangustowi...

– On się nazywa Magnus Teodor!

– No no... Coś takiego! To dla mnie zbyt skomplikowane. Lepiej niech już będzie Mangust... Przekaż mu, że zapraszam go na obiad. Pogadamy sobie o wszystkim przy stole. Niech przyjedzie do hotelu Sowietkaja, tam przynajmniej zjeść można przyzwoicie. A zatem czekam na niego o piętnastej, w restauracji. Niech powie *maître d'hotel*, że jest moim gościem, zaprowadzą go...

Ano tak. Właśnie tam odbędzie się nasza niewymuszona rodzinna rozmowa, można powiedzieć, rodzinny obiad, przyjacielska Ostatnia Wieczerza.

Pod troskliwym nadzorem Kowszuka.

Pod jego okiem, sennym wprawdzie, a mimo to bacznym.

Koniec! Trzeba wyjść jak najszybciej na ulicę, na powietrze, może tam zrelakwuje uporczywy ból w piersi, może zmaleje i podwładnie trochę stalowa fasolka w śródpiersiu.

Ach, jak by mi się przydała w tej chwili szklanka porządnego trunku! Nie słodkiego, gazowanego płynu z zielonej gaśnicy, lecz prawdziwego paliwa – wódki, koniaku, whisky, rumu!

Nie ma. W domu pustynia. Importowanych towarów od groma, ale ani kropli do wypicia.

Ciekawe, co się stało z rumem, w którym wieźli do kraju Nelsona? Ogromna beczka jamajskiego rumu, do której wrzucono zabitego pod Trafalgarem admirała. Ileż to trunku poświęcono bez żalu, byle nie zaśmiardł jednooki dziadek w czasie długiej podróży do tego ich mglistego Albionu... Jezu, czyżby wylali potem cały ten rum? Na pewno wylali, znam tych rozpieszczonych burżujów... U nas by nie wylali, wszystko by wypili. My nie brzydzimy się naszych drogich zmarłych. Jak do matczynej piersi przypadłbym teraz do nalewki na Nelsonie, dopóki nie nażłopiałbym się po gardło i nie padł bez czucia, przepelniony wdzięczną pamięcią o zbawicielu ojczyzny.

Jeszcze trochę muszę wytrzymać – do baru w Sowietskiej. Zjazd windą, krótka podróż mercedesem, marmurowy hol – port macierzysty admirała Kowszuka, różowy półmrok baru – i życiodajna strużka rumu, spływająca wyschlą rurką przewodu pokarmowego wprost do komory mego zbolatego serca!

– Marina! – krzyknąłem przez uchylone drzwi do kuchni. – Jak będą dzwonić z pracy, powiedz, że jestem na zebraniu w Związku Pisarzy. A jak zadzwonią ze związku, powiedz, że mam występ w telewizji...

Momentalnie wyskoczyła z kuchni, jak kukulka z zegara. Twarz jej płonęła gniewem, włosy emanowały rudawym płomieniem, słowa wylatywały przez szczelinę między przednimi zębami niczym bryzgi kipiącej smoły:

– A jak zadzwonią z telewizji? Mam powiedzieć, że poszedłeś do swoich prostytutek?

– Pało ty moja zakuta! Kwiatuśku mój niedorozwinięty, co ty pleciesz? Przecież przy tobie umawiałem się z Majką...

Zaskomliła z wściekłością. Nienawiść zatarła sens jej krzyku, tak jak załuszcarka zmienia w bezsensowny zgielek audycje Głosu Ameryki.

Spojrzałem na jej płonąca twarz i nagle poczułem gwałtowne pożądanie. Było to jakieś nieoczekiwane nekrofilskie uczucie, zrodzone gdzieś w nadnerczach, połączone z najodleglejszymi tajnikami pamięci mętym mrokiem podświadomości. Już kiedyś powołało ono do życia w mojej piersi zielonkawoszarą fasolkę imieniem Tumor.

Znałem to uczucie, pamiętałem je jak przez mgłę – pojawiło się ono we mnie kiedyś dawno, na krótki, przelotny moment, w którym zrozumiałem, że *coitus* i zabójstwo to nie początkowy i końcowy punkt na prostej linii życia, lecz wspólne punkty na okręgu, nałożenie się dwóch stanów emocjonalnych, w których najintensywniej odczuwamy własne istnienie.

Jak strasznie dawno to było... I czy rzeczywiście się zdarzyło? Może był to tylko sen, omam?

Peron metra w Berlinie Zachodnim. Przystanek Brama Brandenburska. Potem punkt kontrolny – i już nasz Berlin. Przystanek Friedrichstrasse, przesiadka na Alexanderplatz. Wtedy było to proste: wsiałem do wagonu u nas, a wysiałem u nich. Inny świat, bestialskie oblicze imperializmu szczerzy zęby...

Jak chciała uciec ode mnie ta kobieta!

Nazywała się Kertis, czy może Kernis. Kiedy się zorientowała, że idę za nią, zgłupiała ze strachu. Powinna była podbiec do angielskiego patrolu, rzucić się w stronę policjanta, ale ona nie wpadła na to – liczyła, że sama mnie zgubi. Szła coraz szybciej, spod białego płaszcza błyskały jej smukłe, kształtne lydki, coraz silniej przyciskała do piersi torebkę.

A mnie wcale nie chodziło o jej torebkę, ale o nią samą. Gdyby uciekła, głowę by mi urwali. Cały czas się oglądała, zerkła do tyłu, długi kosmyk włosów wymknął się jej spod chusteczki, zadyszała się, niemal biegła.

Cizba, zamieszanie na peronie rozdzieliły nas na moment, straciła mnie z oczu, po jej plecach było widać, że odetchnęła z ulgą. Kiedy, przebiwszy zwartą masę ludzi na brzegu peronu, wynurzyłem się znowu obok Kertis, zagwizdał przenikliwie pociąg, który wynurzył się z czarnej kieszki tunelu. Kernis obejrzała się i zobaczyła mnie tuż obok. Coś usiłowała powiedzieć do stłoczonych wokół ludzi, ale groza śmierci już ją sparaliżowała, usta ledwie się poruszyły i jej schryplego szeptu nikt nie usłyszał – łomotał i gwizdał nadjeżdżający pociąg, elektryczny potwór zgrzytał hamulcami, połykiwały światła reflektorów. W sercu Kertis zrodziła się nadzieja, że zdąży wskoczyć w rozsuwające się drzwi.

Ale pociąg jeszcze do nas nie dojechał. Zostało pięć metrów. Kertis obejrzała się.

I w tym momencie kopnąłem ją pod kolana – taki cios nazywa się „podcięcie” – i leciutko popchnąłem ku krawędzi peronu, na spotkanie szybko zbliżającego się żelaznego potwora.

Leciała pod pociąg nieskończenie długo, obracając się jak w wodzie. Widziałem jej twarz, zawisłą nad przepaścią toru, czarne, splątane włosy, wzdęty jak żagiel biały trójkąt chusteczki, niemal pionowo wzniesione nogi, oślepiającą biel bioder nad beżowymi pończochami i oderwany fleczek na jednym pantoflu.

I w tym momencie poczułem wobec niej nieludzkie pożądanie, nieogarnione morze chuci mnie zalało, dopóki wybuchu tych uczuć nie zatarł krótki bulgoczący charkot, tępe, młaszczące uderzenie i zamierający stalowy pisk.

Sekunda ciszy, krzyk, wrzaski, oszalałe twarze, wir tłumu, chłód ulicy, ogromne osamotnienie rozdzielonych kochanków...

Omam? Sen? Kertis – czy ty istniałaś na jawie? Czy też tamta – z metra – nazywała się Kernis?

Boże, dlaczego tak fantazyjnie dziergasz poplątaną nić mego życia? Dlaczego na przystanku metra Brama Brandenburska zetknąłeś mnie z Kertis, dając poznać z nią, a nie z Mariną, czarodziejską słodycz najgłębszego zespolenia – morderstwa?

Być może dlatego, że Marina chodziła wtedy do przedszkola?

A ja się dziećmi nie interesuję.

To moje dzieci interesują się mną – córeczka Majka i zięciaszek Mangust.

Och, jak chciałby mały Mangust wczepić mi się w szyję, zanurzyć zęby, ścisnąć!

Nie trzeba mu przeszkadzać. Ten głupi mały drapieznik patrzy na starą, zmęczoną kobrę, Chwatkina, i nie wie, że ma ona w rezerwie dobrze naostrzony topór.

A mojej zahartowanej, wytrenowanej szyi nic się nie stanie, zagoi się po walce. Tak, zięciu mój najdroższy, fatalnie się pomyliłeś: ja nie jestem kobrą.

Jestem rekinem.

Ta miła rybka jest wszystkożerna i niezwyciężona – ponieważ nie czuje bólu. Stwórca oszczędził jej tej słabości – nie znając bólu, rekin walczy do ostatniego tchu.

Ja jestem jak rekin. Nie wiem, co to ból. O ile nie kielkuje mi w śródpierśiu fasolka imieniem Tumor.

No, ale poza tym to ból mam gdzieś.

Ponieważ ból związany jest z miłością. Tak samo nierozzerwalnie, jak za-
bójstwo z seksualnym zjednoczeniem.

Nic na to nie można poradzić: asortyment obowiązkowy, jak w naszym
dziale zamówień – szampan z bielugą. Skoro już natura obdarzyła ludzi
radosnym obłędem miłości, to i ból obowiązkowo bierzcie, drodzy obywa-
tele.

Ale jeśli nikogo, nawet siebie samego, nie kochasz, wówczas nie znasz
i bólu.

O ile nie kłują cię w piersi twarde łuski szarej fasoli.

Ech, Marinko, ukochana moja przyjaciółko, idź w cholerę! Pędzę na spo-
tkanie z głupim zwierzakiem, który nie zmiarkował jeszcze, że cały składa
się z cudzej miłości i własnego ostrego bólu.

Zatrzasnąłem za sobą drzwi, niemal w biegu wskoczyłem do windy, jak
niegdyś na pomost ruszającego tramwaju. Mój pojazd przeleciał piętnaście
pięter, wykonał miękkie lądowanie w z góry ustalonym punkcie eurazyj-
skiej pustyni, zasiedlonej przez dziwny lud o nazwie Rosjanie, otworzył się
luk i miejscowa ludność, reprezentowana przez Tichona Iwanycza, uroczy-
ście mnie powitała. Uroczyście, ale z niejakim smutkiem.

– Mamy w domu nieboszczyka – złożył oficjalne doniesienie.

Ogólne rozluźnienie dyscypliny w państwie widać również na nim, sta-
rym psie łańcuchowym: wie przecież dobrze, że zgodnie z przepisami ra-
port o stanie obozu obejmuje nie tylko zmarłych, ale także skierowanych do
szpitala i wyprowadzonych do pracy poza teren zony, ale leni się mówić
o wszystkim, wykręca się byle czym.

– Jak to, tak nagle? Bez ostatniego namaszczenia? – zdziwiłem się.

– Oni nie uznają ostatniego namaszczenia. – Pękl w uśmiechu zaschły
strup jego ust. – Żyd spod dziewięćdziesiątego szóstego, Hirszfeld...

I nie widząc u mnie należytej reakcji, wyjaśnił:

– To ci, co szykowali się do ucieczki. Profesor, samochód panu myśl...

A-a! Coś takiego... Nawet nie znałem jego nazwiska. To ci narodek
zapobiegliwy – wszystko we właściwym terminie, jak siewy w kolchozie.
Wczoraj mył mój samochód, z wydawanej reszty moralny kapitał sobie
zbierał, a dziś już kopyta wyciągnął. Nie doczekał się obiecanego przeze
mnie międzynarodowego ocieplenia... No, a teraz dostał ostateczną od-
mowę.

Dla pozostałych Żydów to żadna lekcja. Nie potrafią zrozumieć, że koniec końców wszystkich nas czeka ostateczna odmowa. Tak się rwą do swego Izraela, jakby spodziewali się dostać tam wizę do całkiem innego życia.

A przecież Żydzi już od tysiącleci mrą energiczniej i sprawniej, niż pozostałe narody. Ciągłe są na granicy wymarcia. A mimo to nie wymierają...

– Zawału dostał i cześć – wyjaśniał mi Tichon z rzeczowym współczuciem. Wyczuwałem w nim radość konwojenta, który do ostatniej chwili zdołał upilnować więźnia zamierzającego uciec z etapu. Każdy człowiek liczy na to, że zobaczy rezultaty swojej pracy.

– A tak w ogóle to byli spokojni ludzie – ciągnął Tichon. – Nie wiem, co tam sobie po cichu myśleli, ale cicho sobie żyli, porządku nie naruszali, nie mogę powiedzieć...

Porządku nie naruszali. Żadnych zastrzeżeń. A tu patrzcie – zaplanowali ucieczkę! Ale nie zdążyli. Ciekawe, co by było, gdybym powiedział mu wczoraj, kiedy umawiał się ze mną na mycie mojego mercedesa, że kiedyś, wiele lat temu, o mało co nie załatwiłem dla całego jego plemienia ostatecznej odmowy? Od razu by zapomniał o tych paru rublach reszty, które uparł się mi oddać, poczułby taki strach, nienawiść, gniew! Rozszerzyłbym mu naczynia lepiej niż jakakolwiek nitrogliceryna! I murowane, że by nie umarł. Nigdy nie wiadomo, skąd może nadejść ratunek... No, ale nie wiedziałem, że sążone mu jest odwalić kitę. Zresztą i tak bym mu nic nie powiedział.

Gdybym uratował go od śmierci, on – w dowód wdzięczności – zwołałby amerykańskich korespondentów, żeby oznajmić im moją tajemnicę, i nie wyszłoby mi to na zdrowie.

Nie, życie to sprawa skomplikowana, a śmierć – zaskakująco prosta. I nie wolno nigdy zapominać pierwszego przykazania naszej *vita nuova*: wszyscy jesteśmy dla siebie nawzajem wrogami.

Dziadek naszego samokształcenia, szanowny Michał Wasiljewicz Łomonosow, koryfeusz rosyjskiej akcji likwidacji analfabetyzmu, miał rację, kiedy mówił: jeśli komuś czegoś przybyło, oznacza to, że tobie czegoś ubyło.

Spytałem więc Tichona z powagą:

– A tobie, Tichonie Iwanyczu, nie żal nieboszczyka?

Zwrócił na mnie swoje błękitne jak niezabudki oczka, ufne, proste, mądre mądrością ludu:

– Żal? – Uśmiechnął się. – Czegóż żalować zmarłych? Cudza śmierć może smuć tylko tego, któremu przyobiecane jest życie wieczne. To znaczy nieśmiertelnego. A my czego mamy żalować? Sami pomrzemy, jak przyjdzie czas.

– Słusznie. – Klepnałem go w ramię. Kiedy się nachylałem, złowiłem idący od niego ledwie wyczuwalny zapach wódeczki. Buchnął we mnie ostry płomień głodu alkoholowego i nagle olśniło mnie: – Chodź, wypijemy za spokój jego duszy! Na pewno masz tam w dyżurce zachomikowaną buteleczkę, golnijmy sobie po jednym, niech mu ziemia lekką będzie...

Nieskomplikowana konwojencka dusza popadła w zamęt, burza przeciwnych uczuć sprawiła, że stanęły dęba wszystkie jej strażniczo-służbowe fibry: pochlebiali mu, że może tak po prostu wypić ze starszym rangą, okropnie żał było własnej wódki, bał się pić w czasie dyżuru i czuł odrazę na myśl, że miałby czcić pamięć jakiegoś parchatego – ach, ileż wątpliwości i pokus obudziłem w ochroniarskim sercu Tichona swoją przenikliwą intuicją pijaka, zdolnego w trudnej chwili wycisnąć alkohol z kamienia!

I dodałem:

– Wódeczki nie żałuj, przecież wiesz, że ze mną nie pójdzie na mame!

Nie wytrzymał mój holsztyński strażnik, przytargał napoczętą butelkę – jeszcze z trzysta siedemdziesiąt gramów w niej pluskało – i od razu zaczął się śpieszyć – żeby nie nakrył nas ktoś z mieszkańców na naruszaniu przy głównym wejściu zasad Regulaminu Służby Wartowniczej: picie napojów spirytusowych na posterunku ochrony.

– No, Tichon, poszła jego dusza do raj! Jak mówi prastare wasze wologodzkie przysłowie: zek z etapu, konwojowi lżej! No to chlup!

Wlałem w siebie kielicha – jakbym wbił stalowy trzpień w reaktor, i rozlała się we mnie od razu termojądrowa energia. A Tichon podsuwa zakąskę – kwaszony ogóreczek, zmatowiały ze starości.

Wologodczyk mój brunszwicki też przyssał się do kielicha, wpił się w jego kruche szklane ciało jak wampir w anielicę.

Wysączył do kropli, wampir cholerny, odchrząknął, otarł jadaczkę wierzchem dłoni. Tyle.

Odetchnąłem nieco, oblizalem spiekle wargi i żeby na odchodnym podkreślić, że wypiliśmy we wzniosłym celu, powiedziałem:

– Tak to jest, bracie. Co by nie powiedzieć, naród ich wieczny. Przez całe tysiąclecia wymierają i wciąż wymrzeć nie mogą...

Alpejskie lodowce oczu mojego Stirlitza odtajały, zaśmiał się głośno, nie-regulaminowo:

– Wieczny! I pluskwa też wieczna! Pluskwy ani czas, ani mróz, ani trucizna nie bierze. Walcz z nią, ile chcesz, a od żywej krwi w mig ożyje...

Mknąłem na spotkanie z Mangustem. Ciepło wartowniczej wódki dawało mi napęd, a konwojenckie słowa rozgrzewały moje udręczone serce: wieczność Żydów nie jest bardziej niezwykła niż niezniszczalność pluskiew. Proszę namotać to sobie na pejsy, szanowni panowie filosemici, drodzy żydomani! To głos ludu. Krzyk duszy prostego człowieka oderwanego od ręcznego karabinu maszynowego Diegtiariewa, tego niezastąpionego robotniczo-chłopskiego narzędzia. Jakże przydatne jest ono, kiedy ludzie, nie rozumiejąc, co to za szczęście iść w zgrabnych kolumnach po pięciu w szeregu, zaczynają rozmawiać, łamać szyk i ciskać obraźliwe słowa na konwój!

Nie, kochany mój Manguście, my sobie nawzajem niczego nie wyjaśnimy, my się nawzajem zrozumieć nie możemy. Choć jesteś moim zięciem in spe, kimś w rodzaju krewnego, prawda jest dla mnie droższa. A prawda jest taka, że na serio mógłby mnie zasmucić twój los, gdybym był nieśmiertelny. Ale wyrosła mi w piersi zła fasolka i żalować ciebie byłoby głupotą.

Przecież obaj – ty i ja – jesteśmy ludźmi inteligentnymi, i każdy z nas powinien traktować drugiego z szacunkiem i tolerancją.

Odszukałeś mnie i pewnie jesteś nadzwyczaj zadowolony: chcesz wypełnić *lex talionis*, prawo odwetu.

Ja cię nie szukałem, a jako prawnik nie uznaję prawa odwetu.

I jako człowiek też nie uznaję.

Muszę cię jednak usunąć, albowiem sam tak po prostu się nie odczepisz, i twoje zniknięcie – to mój jedyny *modus operandi*, sposób działania...

– Nie, Sioma, naprawdę go nie szukałem, sam mnie znalazł i nie mam innego wyjścia – powiedziałem do Kowszuka, w pustawym, wypełnionym liliowym mrokiem hotelowym holu.

Jadają tu wyłącznie dygnitarze i bardzo bogaci cudzoziemcy, którzy nadali Sowietkiej nazwę Aksamitna – od walącego po oczach blichtru, typowego dla ukochanego przez Stalina stylu „wampir”. Sam doktor Konrad Adenauer raczył go zaakceptować. Nie wiem nawet, czy domyślał się stary piernik, że tu każde jego westchnienie zostało zapisane na taśmie.

Druh mój, waleczny towarzysz broni Siemion Gawriłycz Kowszuk, kochał swój hotel, patriotycznie chełpił się nim przed przyjezdnymi cudzoziemcami, z pobłażaniem traktował ich zdumienie na widok tego absurdałnego pałacu o marmurowym holu, zdawał sobie sprawę, że im, gównojadom, z ich skapstwem i oszczędnym stylem życia – podobny przepych jest niedostępny. Stał teraz szwajcarski admirał pośrodku swej

marmurowej przystani, poruszał absurdalnie kosmatymi brwiami i popatrywał na mnie surowo:

– Z samego rana się nawalilesz?

– Sioma, ocknij się! Popatrz na zegar: prawie trzecia! Lud pracujący przed terminem kończy realizację swojego dziennego planu. A dla ciebie jeszcze rano! Nie, Siemion, nie czujesz pulsu tego kraju! Całkiem się zbratałeś ze swoimi cudzoziemcami, ty burżuju!

Nabzdyczył się Kowszuk, wydał blade fafle obwisłych policzków, mruknął coś niezadowolony. Stał przede mną, jak całe nasze życie: takie, zdawałoby się, ważne, a takie głupie, gruboskórne, groźne, grajdołowate, graciarskie.

– No dobra już, dobra – powiedziałem do niego serdecznie i ująwszy pod rękę, powlokłem do baru. – Nie stój, stary druhu, jak witeż na rozstaju nad starymi czerepami, pluń na wszystko, zaraz się napijemy...

– Ja w ciągu dnia nie piję – mrocznie wyjął Kowszuk.

– Trzeba walczyć ze swymi wadami – powiedziałem z przekonaniem. – Przecież jesteśmy ludźmi niezniszczalnymi! Nie ma dla nas przeszkód ani złych dróg!

– Chcę tylko w spokoju przeżyć swoje lata. – Uśmiechnął się Kowszuk.

– Przestań, Sienia, nawet słuchać tego nie chcę! Mamy stać w miejscu, my? W tym, co robimy, zawsześmy prawi! Takich nas pieśni uczyli, tak czy nie?

– Gdzie są teraz ci nauczyciele śpiewu?

– W naszych gorących sercach! – wykrzyknąłem. – W naszej chłodnej głowie i czystych rękach żarliwych rycerzy CzeKa...

Rzuciłem przechodzącemu barmanowi dychę i kazałem podać dwa wytrawne martini.

– Nie przeszkadza ci, Siemion, że to martini? – spytałem, usprawiedliwiając się. – Wiem, że lubisz inne specjaly...

Siemion z zadowoleniem kiwnął swoją nalaną facjatą topielca.

Stuknąłem się z nim kieliszkiem, brzęknęły cieniutko kostki lodu, podskoczyły oliwki, i połała się we mnie wonna, gorzkawa żywa woda, jak kamfora ze strzykawki w umierające od astmatycznego napadu duszności ciało.

Dopiłem do dna, kostki lodu oparzyły usta, płatek cytryny niczym motylek osiadł mi na języku, a fasolka Tumor, świdrująca nieustannie dziurkę w mojej piersi – zachłysnęła się martini, utonęła w nim, zamilkła.

Popatrzyłem na Kowszuka. Podniósł do ust kieliszek, odstawił go na kon-tuar, nachylił się ku barmanowi, skinął z godnością admirałskim kaszkie-

tem, a tamten – lepka mucha koktajlowa – zakrzętnął się domyślnie, złapał kieliszek z martini i zamknął go w lodówce.

– Co ty, Siom? – zdziwiłem się. – Nie lubisz martini?

– Dla mnie, Paszuta, martini czy „śmietanka” to jedno gówno. Edik – wskazał głową barmana – poda je jakiemuś frajerowi, takiemu jak ty, a mnie zwróci trzy rubelki. Dla mnie korzyść, dla ciebie uciecha, że prowadzisz wytworne życie, a Edik ma zarobek, rubel trzydzieści pięć. I wszyscy zadowoleni...

Wraz z jego słowami znikł mój tupet. W tym twardym, złym golemie – pod fałdami opuchlizny, absurdalnymi brwiami, przybrudzonym szwajcarskim mundurem ze złotymi galonami – była jakaś nieznana mi wiedza, o wiele większa niż w spalonych przeze mnie poprzedniego dnia karteczkach, wiedza obca mi, groźna, niepokojąca.

I w ościężalej głowie mignęła mi trwoźna myśl, że na próżno wyciągałem topór zza progę. Tyle lat przeleżał – nie trzeba było go ruszać, niechby dalej spoczywał w niebycie, dopóki rdza czasu nie stoczyłaby go ostatecznie aż do zgnitego styliśka.

Może i nie trzeba było go ruszać – tylko że innego wyjścia nie miałem. Trochę za późno zmieniać mój *modus operandi*.

Patrząc, jak barman uwija się ze swymi butelkami na odległym końcu kontuaru, powiedziałem do Kowszuka:

– Szkoda, Sioma, że nie masz kiedy czytać książek. Interesującą rzecz napisał o tobie jeden poeta: „Kto wie, ile nudy jest w rzemiośle kata!”

Kowszuk obojętnie wzruszył ciężkimi, przygarbionymi ramionami, odpowiedział leniwie:

– Może i tak. Ja tam nie wiem. Ja przecież, Paszuta, nie jestem katem. Byłem jak rębacz na przodku, a to całkiem co innego. Kat to wykonawca wyroków, coś w rodzaju pracownika ubojni. A my z tobą zajmowaliśmy się żywą, delikatną materią: pracą operacyjną. Mam rację?

– Ty, Sioma, zawsze masz rację. A teraz posłuchaj: zaraz przyjdzie mój klient, będziemy z nim jeść obiad. Przypatrz mu się najdokładniej jak potrafisz, to ostry gość. Przyjezdny, cudzoziemiec. Zapamiętaj go. Później ci powiem, gdzie go można znaleźć, i wtedy się naradzimy, przymierzmy się, zaplanujemy, co z nim zrobić...

Kowszuk potakująco kiwał głową, coś tam rozważał, wreszcie rozwarł swoje długie, pozbawione warg usta:

– Co tu planować? I naradzać się nie ma co...

– Jak to?

– Ano tak. Ty czytałeś książki o katach, planowałeś i wycwaniałeś się, a ja w tym czasie tą ręką... – Podsunął mi pod nos ogromną, białą, obrzękłą dłoń – kupę luda położyłem! Tak że nie mam po co się z tobą naradzać...

– Boisz się, że rzucę na ciebie urok?

– Nie rzucisz, ale i nie doradzisz... Ty jesteś urodzony pracownik operacyjny, znaczy kombinator. Intrygant. Myślisz w sposób skomplikowany. A zabijać trzeba szybko: ot, kolnął nożykiem w tętnicę szyjną i zniknął. I nie ma tu się co za bardzo wymądrzać. Jak się człowiek ciebie nasłucha, od razu wszystko spartaczy...

Jasne, w zasadzie ten rzeźnik, niezbyt dobrze zdający sobie sprawę, czym zajmowałem się w Wydziale w ostatnich latach, miał rację. Scenariusz zabójstwa powinien być maksymalnie prosty. Skomplikowane zabójstwa pokazują tylko w filmach. A w życiu to się robi prymitywnie. I – rzecz jasna – umiejętnie. Człowiek zabijany umiejętnie umiera zaskakująco cicho, szybko, pokornie, jakby współpracował z mordercą.

– Dobra, Siemion, rób jak uważasz. Uczyć ojca dzieci robić... – Machnąłem ręką i poszedłem do sali.

Odrobinę niepokoiło mnie spóźnienie Mangusta – było już piętnaście po trzeciej. Właśnie dlatego usiadłem w barze, że przez szklane drzwi doskonale było widać przejście z holu do sali restauracyjnej. I miałem zamiar bez pośpiechu poobserwować Mangusta, kiedy będzie kręcić się po sali, szukając mnie. A on, skurczybyk, spóźnił się – to jest właśnie ta powszechnie wychwalana niemiecka punktualność! – i spotkanie nasze rozpocznie się od ataku czołowego.

Usiadłem przy stoliku pod oknem, blisko podwyższenia dla orkiestry, obok ogromnej stojącej lampy. Wziąłem kartę dań i zacząłem się zastanawiać nad zamówieniem. Właściwie to nie było się tam specjalnie nad czym zastanawiać, ale zasłonięty menu mogłem w sposób niezauważalny obserwować wejście.

Na pewno długo jeszcze chowałbym się za tą głupią kartą i wpatrywał w przeszklony otwór drzwi, gdybym nie usłyszał nagle za plecami trzasku, a potem cichego syku, jakby palił się lont. Moje rozedrgane nerwy spięły się w pulsującą bryłę. Zanim zdążyłem się odwrócić, rozległ się ostry, piskliwy, skrzypiący, zachłystujący się śmiech.

Głowa sama wcisnęła mi się w ramiona, nie miałem siły się odwrócić. Śmiech nie milkł, chrypiał, prychał, dławił się śliną ku zaskoczeniu siedzących w pobliżu ludzi.

Nieposkromiony pijacki śmiech starego Gwynplaine'a.

Zebrałem wszystkie siły i jednym rzutem ciała odwróciłem się.

Mangust.

Siedzi przy stoliku, za moimi plecami. Przygląda mi się w milczeniu. Oczy surowe, usta zaciśnięte.

A na stole – szary woreczek z kokardką, z napisem po angielsku: „Cha, cha, cha!” Zabawka pneumatyczna – sztuczny śmiech.

Z uwagą patrzyliśmy na siebie nawzajem, a woreczek podskakiwał na stole z radości, zachłystywał się, zanosił spazmami śmiechu, chrypiał i chichotał. Czekaliśmy cierpliwie, dopóki nie zakończy się ten spektakl.

Jak zdołałeś niepostrzeżenie za jść mnie od tyłu, bydlaku? Wygląda na to, że zjawileś się jeszcze przede mną i śledziłeś moje manewry.

Mieszek zabulgotał jeszcze raz, chrząknął, zachrypiał – i umilkł.

Dobra, Wielki Boss mawiał: ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Mangust uśmiechnął się życzliwie, wstał, wziął woreczek ze stołu i ruszył mi na spotkanie, szeroko otwierając ramiona.

– Drogi tato! Odniosłem wczoraj wrażenie, że jest pan niezwykle wesołym człowiekiem. Postanowiłem zrobić panu mały prezent. Jego wesołość, tak samo jak pańska, też jest niezależna od okoliczności...

A to kawał drania. Po prostu bandyta! Terrorysta.

Naciągałem na twarz, niczym maskę przeciwgazową, powitalny uśmiech, świadczący o radości prostego rosyjskiego ojczulka, który doczekał się wreszcie kochanego zięcia.

Objąłem Mangusta serdecznie, ucałowałem trzykrotnie. Miałem wrażenie, że obejmuję słup wysokiego napięcia – taki był twardy, chłodny, jakby wykuty ze stali.

Może za granicą wyhodowali jakichś innych Żydów? Nasi są rozlaźli, tłuści, żałośni.

– No, synku, siadaj. Zastanówmy się bez pośpiechu, mój kochany, co będziemy jedli, co pili...

– Wszystko mi jedno – powiedział obojętnie Mangust.

– No co ty! Chodź, zamówimy sobie czarny kawiorek, to bardzo popularne danie w naszym kraju...

Mangust uśmiechnął się:

– Obawiam się, że na takie danie stać tylko komunistów. Ja jestem bezpartyjny, mogę jeść coś bardziej zwyczajnego...

– Nie martw się o swoją sakiewkę! To ja zapraszam, jedz, ile wlezie. U nas w Rosji, nie tak jak w waszej Skąpilandii: jak zaprosiłeś gościa, a tym bardziej członka rodziny, to karm go, dopóki nie padnie!

– To prawda. W Niemczech nie ma podziału na gości i gospodarzy. Na równych prawach jemy obiad i prowadzimy pertraktacje. Tak jest wygodniej.

Nie wiem, czy dlatego, że starannie dobierał słowa, czy z jakiegoś innego powodu, ale w jego sposobie mówienia nie wyczuwało się żadnego obcego akcentu.

Rozłożyłem ręce:

– Jak ciebie, takiego pedanta, Niemca, Boże, zmituj się, moja *Mädchen*, droga moja *Tochter* mogła pokochać? Wszystko u ciebie formalnie, zgodnie z paragrafem... A ja chcę po naszymu, po prostu, żeby wszystko jak najlepiej było! Zateśknisz potem za rodzinnymi uczuciami, ale będzie za późno. Pogniewam się na ciebie.

Pokiwał dobrodusznie głową:

– Bardziej niż w tej chwili nie będzie się pan złościć...

– No, ty to potrafisz uspokoić człowieka. Chcesz, zamówię ci zupę z soczewicy, podobno to bardzo popularne danie w waszym narodzie...

Mangust uśmiechnął się pobłaźliwie:

– I tego poczęstunku nie mogę od pana przyjąć, drogi tato. Nie mam wątpliwości co do pańskiej wiedzy biblijnej, ale zapewniam pana, nie jestem Izaakiem. My w ogóle nie jadamy soczewicy...

– A kto to taki „my”? – zainteresowałem się.

Mangust patrzył na mnie łagodnie, dobrodusznie, jakby w zadumie.

– Kto? – powtórzył. Zrobił nieokreślony ruch ręką. – Ci, dla których każdy, kto się narodził, jest synem pierworodnym, i dlatego życie jego jest święte, niepowtarzalne i nietykalne.

Już gdzieś, kiedyś słyszałem te słowa.

– I dużo was takich?

– Chce pan wiedzieć, czy trudno panu będzie sobie z nami poradzić?

Wzruszyłem ramionami, a Mangust mrugnął do mnie porozumiewawczo, niemal po koleżeńsku.

– Dużo. Wystarczająco dużo. I nie poradzi pan sobie.

– Oj, synku, co ty mnie wciąż straszysz, w kozi róg próbujesz zagnać? Chyba mnie bierzesz za kogoś innego!

Magnus pokręcił głową i utkwiał we mnie łagodne, uważne spojrzenie węża boa, a ja nagle poczułem się zniewolony przez niego, ubezłasnowolniony.

– Nie, nie pomyliłem się. I nawet jest pan lepszy, drogi tato, niż sobie to wyobrażałem na podstawie tego, co mówiono.

– Widzę, Mangustik, że nasłuchales się zbyt wiele opowiadań na mój temat.

– Sporo. O, tyle... – Rozstawił kciuk i palec wskazujący na jakieś pięć centymetrów, jakby trzymał między nimi paczkę papierosów lub szklankę.

Albo teczkę z aktami.

– Daj spokój, synku, nie słuchaj tych bredni. Przecież obaj jesteśmy inteligentnymi ludźmi.

– Nie! – Zaśmiał się Mangust i znowu pokręcił głową. – Pan nie, drogi tato...

– A to niby dlaczego? – zdumiałem się.

– Dlatego, że rosyjscy inteligenci to ludzie źle wykształceni, którzy współczują narodowi. A pan, szanowny profesorze, jest człowiekiem dobrze wykształconym. I narodowi pan nie współczuje.

Otwarcie kpił ze mnie, żydowska mordą. No to i ja się pośmieję. Przecież wie już, jaki ze mnie wesołek.

Przyjaźnie klepnałem go w ramię, mając wrażenie, jakbym rąbnął dłonią o futrynę.

– Pochlebiasz mi, ty czorcie! Jakie tam u mnie wykształcenie... Uczylem się po nocach, po pracy. Drogo mnie to kosztowało.

– Mam nadzieję, że pan nie przepłacił? – współczująco spytał Mangust.

– Kto tam wie, może i przepłaciłem... – Przemilczałem to splunięcie między oczy. – A powiedz mi, synku, skąd nasz język tak dobrze znasz?

– Po prostu się nauczyłem. Nie żalowałem na to pieniędzy.

Siedział przede mną, swobodnie rozwalony na krześle. W jego sylwetce, pozie, wyrazie twarzy było przeświadczenie o własnej mocy, o tym, że na wiele może sobie pozwolić, i świadomość mojej bezradności.

A nonszalanckji w nim mimo wszystko nie było. Nonszalanckja zawsze bierze się ze słabości i braku wiary w siebie. Nonszalanckja – to jękliva prośba tchórzki i miernoty o pobłażanie.

I nagle, z przytłaczającą serce ostrością, przypomniało mi się, że kiedyś, wiele lat temu, siedziałem tak jak on, z lekka rozwalony, przy swoim ogromnym biurku na szóstym piętrze Wydziału, i rozmawiałem z ludźmi, dla których to ja byłem wielki jak archanioł Gabriel, gdyż trzymałem w ręku nitkę ich życia, i ode mnie zależało, czy pociągnę ją odrobinę mocniej, czy zerwę ją zupełnie. Nie potrzebowałem być nonszalanckim.

Nonszalanckim był Mińka Riumin.

A my, ja i mój zięciaszek kochany, Mangust Berkowicz, nie musimy nadrabiać miną. Jesteśmy ulepieni z innej gliny, innego kalibru z nas wojownicy.

Nachylił się ku mnie bliżej, wsparł łokciami o blat stołu, aż zaskrzypiały żałośnie nóżki. Nie wiadomo dlaczego przemknęła mi myśl, że była dawniej na Rusi taka miara – berkowiec. Berkowiec – to dziesięć pudów.

Jakie tam pudy! Nie ma już na świecie żadnych pudów. To tylko my swoje nędzarskie zbiory na pudy mierzymy. Berkowiec nazywa się teraz *barrel*. W słowie *barrel* pobrzmiewa szmer przepompowywanej ropy naftowej, brzęk złota. Prawdziwych pieniędzy.

W Manguście jest dziesięć pudów siły, berkowiec pewności siebie, *barrel* nienawiści. Nie wypuści mnie żywego, skurczybyk.

– Słusznie zauważyłeś, synku: porządna nauka warta jest każdych pieniędzy – powiedziałem z przekonaniem. – Właśnie z przyczyny odwiecznego nieuctwa naród nasz bieduje...

Uśmiechnął się krzywo, złośliwie. A ja myślałem, że wygrać mogę tylko dzięki paradoksowi wschodnich sztuk walki: gdy przeciwnik atakuje, należy upaść, pociągając go za sobą.

– Nie śmieję się, synku, ty jesteś tu obcy, niewiele o nas wiesz. A nasze główne nieszczęście to ciemnota. Bieda nasza na tym polega, że w Rosji ludzie nigdy nie bali się Boga. Wierzyli we wróżby i zabobony i bali się tylko diabła!

– A zatem trafnie się domyśliłem, że nie współczuje pan narodowi? – poważnie spytał Mangust.

W tym momencie podszedł kelner, młody człowiek w brudnym białym smokingu, o twarzy ładnej i bezmyślnej jak u carskiego pokojowego.

– Co panowie zamawiają? – spytał z lekką wyższością.

– No, popatrz tylko na niego, synku. – Wskazałem palcem na kelnera. – Spójrz na tego ślicznego *Knabe*, co po waszemu znaczy chłoptaş. Czy jemu potrzebne jest współczucie? No, powiedz sam, gamoni, potrzebne ci jest nasze współczucie?

Kelner nachmurzył się. Jego matowe policzki manekina lekko nabiegły krwią – na jego przykładzie można uczyć studentów, że do pracy mózgu niezbędny jest przyływ krwi.

– A po licha mi wasze współczucie? – powiedział z urazą. – Od was, dzięki Bogu, w niczym nie jestem gorszy... A jak będziecie chuliganić, to zaraz was odstawię gdzie trzeba. Wiecie, jak wam dołożą za obrazę pracownika podczas wypełniania obowiązków służbowych?

Mangust patrzył na nas z zainteresowaniem, co oznaczało moje malutkie zwycięstwo – wyrwałem się na chwilę z klinczu, z jego strasznego chwytu, z niemożliwej do wytrzymania konfrontacji pierś w pierś. Kelner poja-

wił się niczym przypadkowy przechodzień na opustoszałej ulicy, gdzie szykuje się mord. Z miejsca go polubiłem.

– Nie złość się, przecież nie chciałem cię obrazić. Leć do kuchni, przynieś nam szybciotko dużo kawioru, jesiotra, bielugę, oliwki, jarzyny, sałatki, bulion, polędwicę z pieczarkami, lody, kawę. I butelkę wódki...

Kelner znowu poróżwiał: przyływ krwi przyniósł mu wiadomość o mnie jako o dobrym konsumencie. Pośpiesznie zapisywał zamówienie w notesiku.

– I postaraj się, żebyśmy byli z ciebie zadowoleni. – Pobłogosławiłem go na drogę, po czym zwróciłem się do Mangusta: – Widzisz, synku, niepotrzebne mu nasze współczucie.

– Widzę – zgodził się Magnust. Na złej jego gębie było wypisane, że zamierza mi podłożyć jakąś świnię, a ja wciąż starałem się odwlec ten moment, chciałem głębiej zanurkować, mocniej okopać się w słowach, otumanić go, zagadać, zbić z tropu.

– A dlaczego mu niepotrzebne? Bo jest taki dumny? Bo ma o sobie wysokie mniemanie? Jest taki mądry? Nic z tych rzeczy. Nasze współczucie nie jest mu potrzebne, bo on w ogóle nie cierpi! To tylko wy za granicą wymyśliliście sobie, że nasz naród cierpi.

– A w rzeczywistości jest szczęśliwy? – grzecznie spytał Mangust.

– Jasne, że jest szczęśliwy! To wy wbiliście sobie do głowy, że nasz naród żyć nie może bez wolności. I że jest z tego powodu nieszczęśliwy! A nam wasze swobody są tak potrzebne, jak zajęcowi tryper, jak umarłemu kadzidło! Gdzie na świecie znajdziesz taką swobodę jak u nas: całymi latami się wałkonić, kraść gdzie się tylko da i pić codziennie na umór? Po licha nam, no powiedz sam, inna wolność?... Wiesz, Mangustik, chociaż wyglądasz mi na szpiega, to ze względu na bliskość naszych dusz i świeże powinowactwo zdradzę ci pewien bezcenny sekret...

– W takim razie niech pan nachyli się bliżej i mówi wyraźniej – poprosił Mangust.

– Po co? – nie rozumiałem.

– Żeby magnetofon, wmontowany w środek stołu, mógł dokładniej to nagrać – poważnie wyjaśnił bies z Topnika.

– A! Czort z nim! Prawda ważniejsza! Wiedz, synku: władza radziecka to jedyna forma prawdziwego rosyjskiego ludowładztwa!

– Czyżby? – Uniósł brew. – Wątpię!

– A niesłusznie, synku! Wierz mi, ja okłamywać cię nie mam powodu. My, Rosjanie, jesteśmy jak dzieci: wszystko, co złe, od innych przejmujemy.

Od Tatarów uliczną łacinę i okrucieństwo, od Niemców tytoń i niewiarę, od Żydów socjalizm...

– Rozumiem: wszystkiego, co złe, nauczyli was inni – przerwał Mangust.
– A wy sami to niby kto?

– Oj, za chwilę się zdziwisz. – Poklepałem go po plecach. – My sami to Iwanuszek-głuptaki. To nasz narodowy ideał. Zauważ: nie oracz, nie wojownik, nie mędrzec, tylko wesoły nierób, pijak i darmozjad. Takemu importowana wolność do niczego nie jest potrzebna: ani jej zjeść, ani wypić, ani pod głowę podłożyć. Dla nas jest ona kompletnie bezużyteczna: nigdy na Rusi wolności nie było i nie będzie. My i bez niej żyjemy sobie śpiewając! I popijając! Choć zbudowaliśmy swoje szczęście z potu i krwi, to mimo wszystko nie narzekamy! Wierz mi, mówię ci to jako Rosjanin!

Obliżałem wyschłe wargi, spojrzałem na Mangusta, a on powiedział niegłośno:

– Może bym i panu uwierzył, gdyby rzeczywiście był pan Rosjaninem.

– Coś takiego! A kim ja jestem według ciebie? Jaka jest moja narodowość?

– Pan, drogi tato, jest narodowości radzieckiej, rodem z KGB.

Jakby mi plunął w twarz. Boże, jak żyję nie słyszałem, żeby ktoś w zwykłe słowa wkładał tyle nienawiści i pogardy.

Ale kelner, kuchenny sługa, bezmyślny i nieruchawy, znowu mnie wyřczył, pojawiwszy się z tacą zakąsek i butelką wódki.

Opanowałem się wysiłkiem woli, zaśmiałem się i powiedziałem dobrodusznie:

– No, aleś palnął! U nas takiej narodowości nie ma, u nas tylko obywatelstwo może być radzieckie. Wszystko ci się poplątało.

Mangust poczekał, aż kelner rozstawi talerze, naleje do kieliszków wódki, i patrząc w ślad za nim, powiedział spokojnie:

– Pomyślałem jednak, że zaimek „ty” ma w sobie pewną nieokreśloność; nie sposób odróżnić rodzinną zażyłość od poufalego chamstwa. Dlatego proszę, by zwracał się pan do mnie także per „pan”. Czy to jasne?

O tak. Jasne. Dlaczego by nie miało być jasne?

Och, ciężko młóć Pańskie cepy! Niby nic szczególnego nie powiedział... a jednak... Moja wina – *mea culpa*.

Jeśli oceniać obiektywnie, to na swój sposób ma on rację. Ale jaki pożytek z tego obiektywizmu? Obiektywizm – to postawa ludzi małych, słabych. Gdzie zaczyna się obiektywizm, tam kończy się moc i władza.

Poczułem, że nie mam już ochoty się zgrywać, wygłupiać, urządzać masakrad. I sił też już nie mam. Wszystkie siły wyszła ze mnie groźna fasola w piersi. I ten fryc parchaty z naprzeciówka, leniwie bawiący się kieliszkiem.

Mam dość wszystkiego. Jestem zmęczony.

Wziąłem duży, pokryty mgłą kieliszek wódki i, nie stukając się, wychyliłem do dna. Nawet smaku nie poczułem. I ciepła mi nie dała.

Zakąsiłem oliwką i spytałem obojętnie:

– Wobec tego, czego szanowny pan ode mnie oczekuje? Zgody na wyjazd Majki za granicę?

Mangust postawił kieliszek na stół, nawet nie podniósłszy go do ust.

– Nie niepokoiłbym pana z powodu takiego drobiazgu.

– No proszę! A zatem małżeństwo z moją córką to dla pana drobiazg?

– Nie, drobiazgiem jest pańska zgoda. I bez niej dam sobie radę. Chcę, żeby odpowiedział mi pan na szereg pytań...

– No, no! Nie na jedno, nie na dwa, a na cały szereg! Nieźle. No i jakież to pytania?

Mangust wyjął z kieszeni skórzanej kurtki paczkę papierosów Peer, wysunął prztyczkiem jeden, szczęknęła zapalniczka. Patrzyłem jak zaczarowany na jej ulotny żółty płomyk, nasłuchiwałem, jak z sykiem syczy się strumyczek gazu, i ten cichy syczący dźwięk nieoczekiwanie odciął wszystkie inne odgłosy restauracji – bojowy szcęk naczyń, pobrzękiwanie kieliszków, człapanie kelnerów, urywki rozmów, ospałe pasaż fortepianu – wszystko pogrążyło się w ciszy otoczonej żalobną wstążeczką poświstu strumyczka gazu z zapalniczki. W tym straszliwym bezruchu powietrza głos Mangusta zabrzmiał z ogłuszającą siłą, jakby powiedział do mikrofonu na estradzie, na całą salę.

A on jedynie spytał szeptem:

– Dlaczego i w jakich okolicznościach kazał pan zabić Eleazara Nannosa? *Audi, vide, sile.*

– Nannosa? – powtórzyłem z niedowierzaniem. – Nie wiem. Nie pamiętam takiego nazwiska...

– Tak? – zdziwił się Mangust. – No to proszę postarać się przypomnieć sobie. Luty 1953 roku, Usollag...

Jeszcze ust nie zamknął, gdy z dna pamięci oderwała się, niczym pęcherz powietrza, i popłynęła mi na spotkanie twarz o garbatym nosie, z ogromnymi niebieskimi oczami nawiedzonego.

Zmrużyłem nawet na chwilę oczy, żeby odegnąć ten miraż, ale twarz nie zniknęła, przybliżała się, coraz wyraźniejsza, coraz bardziej czytelna.

I choć wiedziałem doskonale, że człowiek ten już od dwudziestu pięciu lat jest martwy, lżej mi od tego nie było.

Zebrałem siły i tak niedbale, jak tylko mogłem, zapytałem:

– I dużo ma pan jeszcze takich pytań?

– Dużo – rąbnął.

– A po co?

– Przyszedł czas, by odpowiedział pan za popełnione przez siebie nikczemności i zbrodnie...

13. Utożsamienie

Ipękla z trzaskiem fasola w piersi, jak rozgnieciona rtęciowa końcówka termometru, rozpryskując się po mnie toksycznymi, niemożliwymi do złowienia drobinami, śliskimi płynnymi kuleczkami jadu.

Diabelski śrut na człowieka, który stał się nagle zwierzyną.

Strzelnica na opak, gdzie zza tarcz celują do niczego niepodejrzewających strzelców wyborowych.

Obce, zwietrzałe słowo – pojedynek. Absurdalność strzelania w obie strony. Niebezpieczna bezsensowność chaotycznej palby.

Przecież nie tak się umawialiśmy!

Świat od dawna zaakceptował fakt, że strzela się tylko w jednym kierunku i przy jednoznacznym podziale na strzelców i tarcze.

Tarcze stworzone są po to, żeby w nie celować, a nie po to, żeby celowały w strzelców.

Nie chodzi przecież o mnie. Ani o Eleazara Nannosa. Ani o Mangusta.

Rzeki nie płyną wstecz.

I, wyrwawszy się z ciszy i wyobcowania, w które mnie wtrącił przekłety Żyd, przedarłszy się na wolność restauracyjnego gwaru, w żywy, dzisiejszy świat sapiących, ciamkających, mamroczących wokół nas ludzi, powiedziałem niemal spokojnie:

– Pan, szanowny mój zięciu, drogi Mangusteodorowiczu, chce cofnąć czas. A to, niestety, niemożliwe.

– Tak. – Skinął głową, uważnie obserwując błękitne, układające się warstwami smugi dymu z papierosa. – Jeśli traktować czas jak potok, jak rzekę...

Ten żydowski łotr czytał w moich myślach.

– Niewątpliwie wygodna to filozofia – powiedział leniwie. – Tym bardziej że dla pana czas to nie zwykła płynąca woda, lecz podziemna rzeka Lete. Napił się pan z niej i zapomniał o przeszłości na zawsze...

– No jasne, znana to piosenka: my, dzikusy, nie pamiętamy o swoim pochodzeniu... Tylko wy pamiętacie!

– Staramy się. I pamiętamy...

– Jasne, pamiętacie! Wy macie swoją niemiecko-żydowską arytmetykę: *Partizip zwei minus Futurum eins* równa się *Präsens*!

Magnust uśmiechnął się.

– Być może. Tylko nie minus, a plus. Nasz czas to ocean, w którym przeszłość, przyszłość i terażniejszość zlały się w jedność. Czujemy prerażenie naszych dziadów i ból naszych wnuków.

– No i świetnie! – Ucieszyłem się. – Ożenisz się, da Bóg, z Majką, to może poprzez wnuki i mój ból, moje cierpienia poczujesz.

Pokręcił głową twardo, nieubłaganie.

– Na prawo do cierpienia trzeba sobie zasłużyć.

– To znaczy, że ja nie mam prawa do cierpienia? Mnie, zgodnie z waszym żydowskim cennikiem, ból i męka nie przysługują?

Długo patrzył na mnie, niby sprzedawca w sklepie za żółtymi zasłonami, kombinujący – wydać mi deficytowe delikatesy, czy zachować je dla bardziej zasłużonego towarzysza.

– Pan po prostu nie wie, co to cierpienie...

– Jasne, za wysokie progi na nasze nogi! To przecież tylko wy, naród wybrany, wycierpieliście ból całego świata!

– Wycierpieliśmy. – Zgodził się poważnie.

– A niech cię... Dziwni z was ludzie! Ból całego świata... A inni to co, nie cierpią? Bólu nie czują? Czy po prostu macie wszystkich innych w nosie? Co? Nie, nie, całe wasze ogólnoswiatowe cierpienie na tym polega, że jak Żyd ze Smorgoni ma przepuklinę, to mu się zdaje, że cały świat się zawałił. Bezczelność całego świata w was siedzi, a nie ogólnoswiatowy ból!

Nie rozzłościł się, nie podniósł głosu, opuścił jedynie głowę, długo milczał, a kiedy ponownie spojrzął mi w twarz, w oczach jego był smutek.

– Powiedziałem już, że nie wie pan, co to cierpienie. I co to czas. I nie wie pan, że cierpienie to pamięć o czasie. Cierpienie jest tak samo niepowtarzalne jak czas: wczorajszy, dzisiejszy i jutrzejszy. Tak odczuwał czas Eleazar Nannos, którego pan zabił...

– Ja go nie zabilem!

Audi, vide, sile.

Miotalem się, szarpałem, wyrywałem z jego rąk, usiłując wynurzyć się na powierzchnię dnia dzisiejszego, wrócić do pewnego świata terazniejszości, odetchnąć źródłano czystym odorem restauracyjnej sali, a on, podlec, żydowski wyrodek, wpychał mnie na powrót w zaduch wspomnień, włócił mnie w głębinę umarłej przeszłości, topił w wystygłej wodzie oceanu czasu, gdzie czekały mnie męki ich dnia wczorajszego, dzisiejszy ból i jutrzejsza zemsta.

Opierałem się. Nie chciałem. Nie chciałem...

Nie chcę! Nie chcę i nie mogę! Nie mogę odpowiadać za wszystkich!

– Nannosa zabił Lutostański...

Lutostański. Władysław Hipolitowicz. Skąd ty się wziąłeś, plugawy Polaczku? Dwadzieścia lat temu zniknąłeś w zakamarkach mojej pamięci, przepadłeś bez śladu w labiryncie zwojów mózgowych, zginąłeś w dżunglach moich neuronów. Powinieneś być umrzeć na wyczerpanie niebytem...

Ale, jak widać, żyłeś tam sobie cały i zdrowy, niczym Robinson Crusoe.

I wyskoczyłeś z szarej mgły niepamięci tak samo nieoczekiwanie, jak nieoczekiwanie pojawiłeś się niegdyś u mnie w gabinecie. Przyprował cię do mnie Mińka Riumin. I powiedział tonem rozkazu:

– Trzeba wykorzystać tego człowieka. To bardzo mądry i zdolny towarzysz...

Bardzo mądry i zdolny towarzysz był bez wieku – może miał dwadzieścia trzy lata, a może pięćdziesiąt siedem. Bezpłciowy, długi, blade, jak wyrosły w ciemności pęd kartofla. Na dłoniach miał manicure, na policzkach – nieco pudru. I wodniste oczy, lśniąco-miłością do Mińki. I do mnie. Nieproporcjonalnie wielkie, jasne oczy, bez potrzeby takie ogromne w tej nijakiej twarzy – jak u szarańczy.

Mińka uśmiechnął się wieloznacznie i poszedł.

Znałem naturalnie typową dla wszystkich zer skłonność Mińki Riumina, by zbierać wokół siebie wszelkie tałatajstwo, wszelką hołotę, a potem rosnać i rozkwitać w blasku ich szacunku i wdzięczności. Dlatego nie dopuszczałem ich do swoich spraw bliżej niż na odległość armatniego strzału.

I zamierzałem natychmiast pozbyć się jego znaleziska.

Zgrzeszyłem. Nie jestem wszechwiedzący. Omyliłem się co do Lutostańskiego. Nie doceniłem na pierwszy rzut oka Władysława Hipolitowicza. To naprawdę było znalezisko. Prawdziwe odkrycie.

– Skąd się tutaj wzięłeś? – spytałem, bez zainteresowania przyglądając się znoszonemu, poprzecieranemu, świeżo odprasowanemu mundurowi starszego lejtnanta.

– Z biura przepustek, Pawle Jegoryczu. – Wyprostował się niezwykle szybko, z chrzęstem kości.

– Z biura przepustek? – zdziwiłem się. – A co ty tam robisz?

– Bo widzicie, Pawle Jegoryczu, biuro przepustek podlega kancelarii Głównego Zarządu Kadr, jest, by tak rzec, w gestii towarzysza Swiniłupowa, zastępcy ministra...

– Co mi tu pieprzysz! – zirytowałem się. – Bez ciebie wiem, co jest w gestii wiceministra Swiniłupowa. Streszczaj się!

– Wybaczcie, Pawle Jegoryczu, to ze zdenerwowania, chciałbym po prostu wszystko jak najlepiej wyjaśnić. Mam przecież u was pracować...

– No, co do pracy, to jeszcze zobaczymy. I jakimi to talentami wykazałeś się w biurze przepustek?

– Proszę mi wybaczyć nieskromność, Pawle Jegoryczu, ale panuje opinia, że mam najładniejszy charakter pisma w całym ministerstwie. Niektórzy twierdzą, że w całym Związku Radzieckim. Wypisuję legitymacje pracownikom aparatu centralnego. Proszę uprzejmie popatrzeć na swoją książeczkę; przekonacie się, za pozwoleniem, sami...

Kompletny idiotyzm! Nigdy nie myślałem, że gdzieś tam siedzi taki oto robol od tego typu spraw. Ale z ciekawości wyciągnąłem z kieszeni swoją safianową legitymację, wiśniową ze złotym godłem i tłoczonym literami: MGB ZSRR. Wewnątrz, na różowawym, plastikowanym papierze stemplowym, było moje zdjęcie, pięknie wykaligrafowany napis: *Podpułkownik Paweł Jegorowicz Chwatkin, starszy pełnomocnik operacyjny do specjalnych poruczeń. A niżej: Posiadaczowi niniejszej legitymacji przysługuje prawo noszenia i używania broni palnej. MINISTER BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWOWEGO ZSRR GENERAL BRONI...* I zamaszty podpis wesołkowatego półanalfabety Wiktora Siemionycza Abakumowa.

– No i cóż ty zamierzasz u mnie przepisywać swoim niezwykłym charakterem pisma? – spytałem.

– Co rozkażecie, ale nie w tym rzecz... – Lutostański zrobił pauzę, zacerpnął głęboko powietrza i jego wylupiaste wodniste oczy zapłonęły fanatycznym, radosnym blaskiem. – Ja wiem wszystko o Żydach!

– W jakim sensie? – spytałem ostrożnie, domyślając się, że Mińka już opowiedział temu szajbusowi, czym się teraz zajmuję.

– W każdym sensie! – powiedział z zapalem Lutostański. – Ja o nich wiem wszystko. Znam ich plugawą historię, znam ich nienawistną religię, ich niegodziwe obyczaje, łajdackie tradycje, ich nikczemny charakter i plany ich złowieszcze...

Zaśmiałem się z niedowierzaniem, a on rzucił się ku mnie, wyciągnął błagalnie ręce, wargi mu drżały, a oczy płonęły:

– Pawle Jegoryczu! Towarzyszu podpułkowniku! Kochany mój! Uwierzcie mi tylko! I przyjrzyjcie się, jak pracuję! Sami się wtedy przekonacie, ile jestem wart! Ja tu, w gabinecie, mieszkać będę! Nie mam rodziny, nie mam dzieci, nic mnie nie będzie rozpraszać! Całego siebie oddam sprawie, tylko uwierzcie mi...

Widziałem, że jeśli mu odmówię, wpadnie w prawdziwą histerię. Dawno już nie spotkałem w naszym Wydziale takich żarliwych entuzjastów.

– A czym ci Żydzi tak dogryźli? – zainteresowałem się.

– Mnie? Mnie osobiście?

– Tak, tobie osobiście.

– A wam, Pawle Jegoryczu? A całemu rosyjskiemu narodowi, a wszystkim ludziom na świecie? Przecież oni zagłady naszej pragną, królestwo judejskie wszechświatowe chcą ustanowić! To sperma diabła, która trysnęła w ludzkie łono! My, bolszewicy, jesteśmy niewierzący, rzecz jasna, ale przecież to, że Chrystusa ukrzyżowali, to fakt! Szatańska rasa, obca wszystkim ludziom na ziemi...

Przekonał mnie. Spodobał mi się. Zostawiłem go u siebie.

Przyda mi się już teraz, a główną rolę miał odegrać w przyszłości. Przydzieliłem mu odpowiedzialną, zaszczytną rolę niepowracającego palacza kotłowego.

Palacza, który, upojony podrzucaniem paliwa do pieca, zostanie na dole. Zamiast mnie. Kiedy zauważę, że zbliża się zmiana wachty i pora wychodzić na wierzch.

Lutostański został. I wszystko, co mi obiecał – zrealizował. Piekielny płomień, buzujący w jego piersi, włożył w sprawę, nie zmarnowawszy ani jednej iskierki. Był albo pedałem, albo impotentem – w każdym razie ani razu nie słyszałem, żeby przynajmniej przez telefon rozmawiał z kobietą. Nie wiem, kiedy i gdzie odpoczywał: ciągle przesiadywał w Wydziale. Jego mroczną duszą władały trzy namiętności: nienawiść do Żydów, szacunek dla kaligrafii i miłość do kwiatów. I wszystkie te namiętności zaspokajał w pracy.

Przydzielony mu gabinet był pełen kwiatów: przez okrągły rok pyszniły się w nim pęki floksów, soczyste, fioletowe naręcza bzu, czerwone, na pół

rozchylone pąki róż. Przynosił swoje kwiaty mnie, ale ja je wyrzucałem. A Lutostański robił nowe.

Jego kwiaty były z papieru. Z różnokolorowych arkusików papieru do pisania, pakowego, kreślarskiego, z bibulki papierosowej. Niezwykle szybko i zręcznie, z godną podziwu dokładnością wycinał płatki, osadzał je na drucikach, podklejał, podmalowywał akwarelką, układał w bukiety, uderzając podobnie do prawdziwych.

Szczególnie chętnie zajmował się tym w czasie przesłuchań. A może kiedy indziej nie miał czasu. Zada pytanie, a sam szybciotko nożyczkami cyk-cyk, zagryzając z przejęcia wargi, a jak doczeka się odpowiedzi, swoim artystycznym, kaligraficznym charakterem zapisuje do protokołu.

A pytania wszystkie ma przemyślane, zręczne, wyrafinowane, pełne potrząsków, pułapek i sidła, podyktowane gorącym pragnieniem, by przesłuchiwanego zepchnąć do przepaści nie brutalnym kopniakiem, lecz w sposób artystycznie wyrafinowany.

Kwiaty, portret Berii w marszałkowskim mundurze na ścianie i własnoręcznie wykaligrafowany olśniewająco pięknymi literkami transparencik nad biurkiem: PRAWDZIWIY CZEKISTA POWINIEN MIEĆ CHŁODNĄ GŁOWĘ, GORAĆCE SERCE I CZYSTE RĘCE. F.E. DZIERŻYŃSKI.

Zawsze kręcił się pośród współpracowników – grzeczny, usłużny, życzliwy. Cały dział był mu coś tam winien – wszyscy pożyczali od niego pieniądze, bo pensji wydawać nie miał na co. I nie miał kiedy.

A poza tym wszystkim był z niego jeszcze dowcipniś. Nie zwykły kpiarz, lecz kalamburzysta. Znal mnóstwo powiedzonek i bardzo prędko wszyscy zaczęliśmy się posługiwać zgromadzonymi przez niego perełkami ludowej mądrości, jego niezliczonymi porzekadłami i przysłowiami – nieco monotonnymi tematycznie, ale trafnymi i zabawnymi.

Już na pierwszym spotkaniu powiedział mi:

– Nie wolno wierzyć Żydom. Nawet komunistów Żydów powinniśmy traktować jako swego rodzaju przechrztów. A parch ochrzczony to jak koń leczony, jak złodziej rozgrzeszony, jak wróg przyczajony...

I powtarzał bez ustanku:

– Na każdego włościanina, siedem i pół Żydowina!

Groził surowo palcem byłemu znakomitemu pedagogowi, a dziś sabotażyście, Gusiaterowi:

– Wara wam, czorty, od panów, a Żydom – od samarianów!

Ze współczuciem kiwał głową, patrząc na umierającego z głodu generała Izaaka Frankfurta:

– Żyd jak świnia: i z sytości stęka.

Zawstydział, kompromitował naszego konsula w San Francisco, Altmana, zwerbowanego przez wywiad japoński:

– Żyd jak wróbel: gdzie siadł, tam i zjadł... .

Pyskował na pełnomocnika do spraw bezpieczeństwa na rejon nowosybirski, pułkownika Berensona, przygadywał mu ze złością:

– Żyd jak rdza: i żelazo przegryzie!

A ja, chodząc po gabinetach, coraz częściej słyszałem, jak nasi śledczy wrzeszczeli na swoich klientów:

– Żrą Żydy jak pany, a fajdają jak kabany...

– Goń Żyda głodem, a nie pomoże: młotem!

– Żyd w dziele, jak pijawka na ciele...

– Żyd i Polak, czarci kulak...

– Żyd jak pies: z chciwości własne pchły zeżre!

I Mińka Riumin, waląc pięścią w nos obłąkanego ze strachu profesora medycyny Mojżesza Kogana, syczał:

– Prawdę mówi nasz lud: jak Żyd ze szczęścia skacze, wtedy gospodarz płacze...

A Wiktor Siemionycz, świętej pamięci nasz minister i zwierzchnik, zrobił epicką uwagę:

– Nie myśmy to wymyślili, ludzie przez wieki się przekonali, że Żydowi, jak dziekij bestii, nie można ufać...

I Ławrentij Pawłowicz Beria, nasz główny szef i reprezentant przed obliczem Bossa, na odprawie sformułował zadanie w sposób ostateczny:

– Towarzysz Stalin powiedział mi wczoraj, że już w młodości, kiedy był na zesłaniu, słyszał nieraz z ust prostych ludzi mądrość ojców: nie ma ryby bez ości, a Żyda bez złości...

Od razu się domyśliłem, że to Lutostański już na początku wieku, na zesłaniu, wyjawiał Wielkiemu Bossowi mądrość ojców.

I doceniłem go w pełni – tak jak można docenić takiego prawdziwie bezcennego współpracownika.

Sprawie radykalnego rozwiązania problemu żydowskiego był oddany bezgranicznie: bez Starego Testamentu*, bez Nowego Testamentu, bez wszystkich tych pseudomiłosiernych bzdur.

* Gra słów. Bezgranicznie to po rosyjsku *biezzawietno*, a Stary i Nowy Testament – odpowiednio *Wietchij* i *Nowyj Zawiet*.

Mińka Riumin, ja i Lutostański stanowiliśmy wszechpotężną trójcę, w której ja byłem chłodną głową, Lutostański – płomiennym sercem, a Mińka – mocarnymi dłońmi.

Teraz każdą sprawę prowadziłem razem z Lutostańskim. Czy zdołałbym napisać protokół przesłuchania takim kaligraficznym pismem? Najpiękniejszym w całym ministerstwie, a może nawet w całym kraju! Gdzie mi tam było do niego... I podpisem swoim starałem się nie kłaść, nie psuć efektu tych artystycznie sporządzanych dokumentów, w których koszar popełnionych przez zdrajców nikkzemności został na wieki utrwalony za pomocą pięknych liter. Co się miałem pchać ze swoim niezdamnym podpisem w te złote księgi usankcjonowanego prawem odwetu, w święte manuskrypty rozpełtanej na koniec nad głowami niegodziwców burzy sprawiedliwości.

I Lutostański był szczęśliwy, że dzięki mojej skromności kierownictwo łatwiej może dostrzec jego starania.

I Mińka był zadowolony, że nie usiłuję wyskakiwać przed orkiestrę, nie pcham się do grania głównych ról, hamuję swoje ambicje.

Przedstawiłem Lutostańskiego poza kolejnością do awansu i wezwałem do siebie z raportem pełnomocnika Arkadija Merzona...

Audi, vide, sile.

Ciemna twarz Mangusta majaczyła mi przed oczami, rozmywała się, puchła i rozrastała w gigantyczny – pod sam knajpiany sufit – obłok, okrywała mnie mgłą, spowijała w czerni, kręciła mną, słabym i bezwolnym.

Jedzenie na stole prawie nietknięte. Połudwica z grzybkami wystygła, zeszcła się. Lody stały. A butelka – prawie pusta. Opróżniłem ją, spacerując daleko stąd z Władysławem Hipolitowiczem, którego spotkałem po długiej rozłące.

Wszystko się huśta, płynie przed oczami. Zawrót głowy. Pozorne krążenie na różnych płaszczyznach. No właśnie – nie rzeczywiste, a pozorne. Tak jak pozorna jest moja przeszłość, której nie było. Wszystko to wymyśliłem. Zawrót głowy. Ale ja nie mam już głowy – mam głowopiers. Ostry ból głowy w piersi. Świdrujący, przenikliwy zawrót w głowopiersi. Nie mam siły w nogach, żeby wstać i pójść.

Nachylił się, przybliżył ku mnie szaroniebieski obłok twarzy nieistniejącego Mangusta i powiedział mentorskim tonem:

– Lutostański był pańskim podwładnym. Nie mógł zabić Nannosa bez pańskiej zgody...

– Mógł – powiedziałem ociężale. – On już wtedy wiele mógł...

Mangust zaśmiał się złym śmiechem i powiedział cicho:

– Radzę, by mówił pan prawdę. Nie mogę i nie chcę przypalać panu twarzy zapalniczką, tak jak Lutostański spalił brodę Eleazarowi Nannosowi. Ale mam środki, by zmusić pana do mówienia prawdy...

Poczułem nagle woń palonych włosów, podpieczonego mięsa, mignęła mi w pamięci twarz o garbatym nosie. Błękitne oczy nawiedzonego, z wielkimi kroplami łez. Absurdalność płaczących staruszków...

– Ciekawe, jakież to ma pan środki? – spytałem głośno i nieoczekiwanie dla siebie samego czknąłem. A wredny Żydziór odparł:

– Obciążające pana zeznania świadka, Arkadija Merzona.

– I gdzież on je wam złożył? W sądzie rejonowym we Frunze?

– Nie. Złożył je pod przysięgą w prokuraturze państwowej w Jerozolimie.

– Merzon? W Jerozolimie?!

– Tak, Merzon. W Jerozolimie. Wasze organy zezwoliły mu na emigrację do Izraela i obiecały milczeć o jego przeszłości w zamian za określone świadectwa.

– A to dopiero... A wyście go rozpracowali? – Podrzuciłem Mangustowi fałszywy trop.

On spokojnie wzruszył ramionami.

– Ja nie służę ani w Mosadzie, ani w Shin Beth. Jak będzie trzeba, poinformuję pana, gdzie pracuję. Albo proszę się domyślić samemu.

– Pańska wola. – Rozłożyłem ręce.

Jeśli on jest z CIA albo z amerykańskiego wywiadu wojskowego, to już za samo spotkanie się z nim jestem spalony na amen. Nie, innego wyjścia nie ma, jedyny *modus operandi* – to Kowszuk ze swoim kuchennym tasakiem. I przyschnie wtedy sprawa, jakoś się to wszystko rozejdzie.

– A co się stało z Merzonym? – spytałem z autentycznym zainteresowaniem.

– Z Merzonym? Przeżył spokojnie parę miesięcy, po czym przyszedł do prokuratury i opowiedział wszystko, co wiedział. Wrócił do domu i powiesił się.

Pokiwalem ze współczuciem głową i roześmiałem się:

– I pan mi grozi zeznaniami nieboszczyka? Umarlaka? Samobójcy? Przecież jego świadectwo jest warte tyle co nic!

A Mangust uśmiechnął się:

– Doskonale! W naszych rokowaniach nastąpił istotny zwrot: zaczął mnie pan traktować jak sąd. Jednak zgodnie z wszelkimi ludzkimi zarządami jeden człowiek nikogo sądzić nie może.

– To czego ode mnie chcesz?! – krzyknąłem, wściekły.

– Prawdy. Jak pan zabił Nannosa...

Audi, vide, sile.

...wezwałem z raportem pełnomocnika Arkadija Merzona...

Pikantny szczegół sytuacji polegał na tym, że w centralnym aparacie Wydziału i w terenie służyło jeszcze sporo Żydów.

Och, te żydowskie ciągoty do pracy w policji! Poczynając jeszcze od czasów pierwszego rosyjskiego oberpolicmajstra, którym był Żyd Divier, chęć nadzorować przestrzeganie porządku prawnego i moralność rosyjskiego ludu. A już za władzy radzieckiej zlecieli się do Wydziału jak sępy do padliny. Ba-a-ardzo im pasowała ta robota, ich narodowy charakter ujawnił się tu w całej pełni. No i, rzecz jasna, miło było wczorajszemu zawszone-mu, pejsatemu chłopakowi zamienić połatany chałat na gabardynową bluzę ze skórzanym pasem, skrzypiące chromowe buciki, rozbijając się osobowym autem i korzystać z władzy nad współobywatelami, władzy dotychczas niespotykanej.

Confiteor. Muszę przyznać, że pracownikami byli pierwszorzędnymi. Powtarzam, nie była to ich zasługa, po prostu ich charakter narodowy doskonale pasował do tego zakrętu historii. To, za co ich przez całe wieki nienawidziły inne narody, sprawiło, że stali się najlepsi i niezastąpieni w Wydziale.

Do czasu.

Ich skłonność do mrówczej pracy, niezwykła wnikliwość, potworne zakłamanie, diabelska chytrość, niesamowita fantazja – wszystko to uczyniło z nich przodujących bojowników Wydziału.

I, ma się rozumieć, niebagatelną rolę w ich sukcesach odegrała żydowska wiara w Jedyne Boga. Dla każdego Żyda Bóg jest tylko jeden. I ci, którzy zmienili judaizm na wyznanie marksistowskie, w swoim partyjnym fanatyzmie byli oddani naszej świetlanej chimerze aż do bezmyślnego, uporczywego idiotyzmu.

Jednak *tempora mutantur*. W naszych szybko zmieniających się czasach ponosili oni największe straty. Fale czystek – jedna za drugą – wymywały ich z niezłomnego bastionu Wydziału. Wyrzucano ich, sadzano i rozstrzelano jako pupilów Jagody, potem jako współpracowników Dzierżyńskiego i Mężyńskiego, potem jako jeżowowców, wreszcie jako ludzi Abakumowa.

I dopiero na samym końcu – zwyczajnie, jako Żydów.

Śmieszne – śmierć Bossa uratowała ich od całkowitej zagłady, ale zaraz potem pojawiła się wielka fala zsyłek i aresztowań, która zmiotła pogrobowców Berii.

I na tym koniec. Od tej pory, o ile mi wiadomo, nie biorą ich do nas. Wykorzystywanie ich do pracy w Wydziale uznano za niecelowe.

Ale wtedy jeszcze pracowali. W ustawicznym strachu, z zapalem i poświęceniem. I żałośnie, niepewnie się uśmiechali, kiedy w bufecie major Lutostański wyjaśniał pułkownikowi Markusowi:

– Ja wam, Osipie Naumyczu, powiem tak: są Żydzi i są parchy. O, wy na przykład, choć Żyd, ale porządny z was człowiek... Ale parchom, syjonistom nie darujemy!

Albo, gładząc drżącymi, wymanikiowanymi palcami swoją bladą, upudrowaną twarz, tłumaczył Siemionowi Kotlarowi:

– Żyd to jeszcze nic takiego, pół biedy, i między nimi zdarzają się ludzie normalni. A co najważniejsze, jest na widoku: można go i podtrzymać, i przytrzymać, i rozumu nauczyć. Ale co robić z Żydówkami? O, tu jest pies pogrzebany! Od nich idzie całe zło. Okręci sobie taka Rosjanina, uczciwego towarzysza, wokół palca, otumani, zaciągnie do ślubu, i dawaj go przekabacać, przerabiać, faszerować mu mózg, jak szczupaka na Paschę... Minęło niewiele czasu, a już jądro w nim przegniłe, zaprzedał się żydowskiemu kahałowi. To już nie nasz towarzysz, tylko gotowy kandydat do werbunku, jutrzejszy uciekinier i szpieg...

Pułkownik Kodner nie wytrzymał i napisał w tej sprawie oświadczenie do komitetu partii. Wezwali go do kadr i za wąsko pojętą nacjonalistyczną świadomość zwolnili, nie pozwalając dosłużyć trzech miesięcy brakujących mu do dwudziestu pięciu lat – pełnej emerytury.

Myślę, że wielu Żydów z Wydziału mu zazdrościło: sami by mieli ochotę się wyrwać. Ale palacz kotłowy samowolnie zejść z wachty nie może. Musi czekać na zmianę.

Powoli, ale konsekwentnie jednych wyrzucano, innych wysyłano do pracy, gdzie diabeł mówi dobranoc, a jeszcze innych sadzano. Ale wciąż jeszcze pracowali z zapalem, choć nadzieja na ratunek z racji przynależności do *sacrosanctum* stawała się coraz bardziej złudna, i stopniowo obezwładniało ich odrętwienie, gdy czekali tak na mękę, hańbę i nieuchronną zagładę. Coraz mniej czuli się palaczami, coraz wyraźniej – dosłownie w oczach – zmieniali się w paliwo.

...A ja z roztertowaniem słuchałem raportu Merzona, który prowadził sprawę fotoreportera Sznajderowa. Fotograf, najwyraźniej straciwszy rozum, na urodzinach u szwagra, męża siostry, popił sobie i zaczął z wyraźnym antyradzieckim nastawieniem udowodniać, że słynne zdjęcie *Lenin i Stalin w Gorkach* to fałszywka, podróbka, i każdy mający jakie takie pojęcie fotograf od razu się zorientuje, że to fotomontaż. A poza tym, twierdził, sam widział negatyw – siedzi tam w objęciu z wodzem nie Wielki Boss, tylko ulubieniec Lenina Bucharin. I jakby on, Sznajderow, miał ochotę, to zmajstrowałby lepsze zdjęcie, na którym siedzą, obejmując się ramionami, Josif Wissarionowicz Dżugaszwili i Adolf Alojzowicz Schicklgruber – to znacznie lepiej dobrana parka, doskonale wyglądałoby na jednej ławce – sądowej.

Goście migiem się zmyli, a szwagier uznał, że nie można polegać na ich dyskrecji i sam doniósł na krewniaka.

No i trząsał teraz Merzon Sznajderowem, dopytując się, od kogo usłyszał o falsyfikacie, gdzie widział negatyw, dlaczego gadał, i w ogóle o wszystko, o co w takich wypadkach pytać należy.

Ale jego raport mnie nie interesował. W nosie miałem teraz, z kim tam siedział na ławce twórca socjalizmu – z Bossem, z Bucharinem czy z Adolfem Hitlerem. Doczekałem, aż skończył, wskazałem na swój aparat telefoniczny marki Siemens z czerwoną tabliczką na tarczy: **PROWADZENIE TAJNYCH ROZMÓW SUROWO ZABRONIONE**, postukałem palcem we własne ucho i pokazałem mu z pewnej odległości karteczkę: *Bądź dzisiaj o godzinie 21 na tarasie restauracji w Chimkach*.

Przeczytał, przeniósł na mnie nieprzytomne spojrzenie i zbladł. Ćwierknąłem zapalniczką, podpaliłem notatkę, poczekałem, aż w popielniczce zgasił płomień, roztarłem popiół i dopiero wtedy wydałem komendę:

– Jesteście wolni. Macie referować sprawę w miarę uzyskiwania nowych materiałów...

Pełnomocnik operacyjny Arkadij Merzon, osobnik o wydatnym czole i grubym nosie, podobny do tapira, siedział na tarasie restauracji letniej Dworzec Rzeczny w Chimkach, pił dużymi kieliszkami wódkę i w skupieniu czytał gazetę „Prawda”.

Przyglądałem mu się z placyku, skąd dobrze było widać cały pustawy taras, i oceniałem – czy go nie śledzą, czy nie ciągnie za sobą ogona. Absolutnie nie było mi potrzebne, żeby tuptusie z Inspekcji Specjalnej Swiniłupowa nakryli mnie tu z Merzonem. Choć miałem do niego sprawę służbową, załatwiałem interes prywatny.

A Merzon studiował gazetę. Może chciał w niej znaleźć tajne wytyczne czy jakieś aluzje co do swojej przyszłości, a może po prostu przygotowywał się do jutrzejszej odprawy.

Na codziennych odprawach dyskutowaliśmy teraz zażarcie o samowoli wymiaru sprawiedliwości we Francji, gdzie śledczy Jeaquinot, ścierwo niedorzęnięte, bezprawnie zabrał Jacques'owi Duclos notes i za nic nie chciał go oddać. Do tego doszło naruszenie kapitalistycznej praworządności, jako że redaktora „L'Humanité”, André Stille'a, wsadzili na trzy dni do więzienia La Santé. Co prawda postępowe siły całego świata dały popalić sługusom ślepej Temidy! Taka burza protestów podniosła się na całym świecie, że raz-dwa, zarazy, wypuścili naszych dzielnych braci w wierze, notes z zapiskami – ile kto dał – zwrócili i styl „L'Humanité” uznali za odpowiedni.

A Duclos podał do sądu Jeaquinota.

My zaś tymczasem na politycznych odprawach omawialiśmy problemy prawniczych matactw, z jakimi borykają się nasi towarzysze we Francji.

A co się w Anglii wyprawiało! Wstyd powiedzieć, sprzedajni żurnaliści, bezbożnicy, zorganizowali w prasie potworną nagonkę na arcybiskupa Canterbury, Hugh'a Johnsona. Oskarżali świętobliwego człowieka, że jakoby jest naszym agentem.

Śledczy Zacariennyj wszystkich nas rozśmieszył: polecił biskupowi Andriejowi, byłemu kniaziowi Uchtomskiemu, żeby wszedł na krzesło i odśpiewał jak litanie list otwarty radzieckich ludzi pracy w obronie uczciwego anglikańskiego duchowieństwa. A sam Zacariennyj dyrygował śpiewem swoją gumową pałką...

Tak więc Merzon najprawdopodobniej studiował gazetę, przygotowując się do jutrzejszej partyjnej pięciominutowki: wszyscy oni powinni byli obecnie przejawiać najwyższy stopień uświadomienia i rozeznanie w polityce.

Obecności tuptusiów nie stwierdziłem i zszedłem do Merzona na taras.

– No jak, podkarmisz mnie trochę, Arkadij? – spytałem wesoło.

– Nie ma sprawy, Pawle Jegoryczu! – przywitał mnie z ożywieniem.

Po czym zakrzętał się, zaczął zamawiać różne rzeczy, starał się wyglądać równie wesoło jak ja, ale widziałem, że pomimo iż wypił karafkę wódki, jest całkowicie trzeźwy.

Tylko lepki pot wypełzał mu na czoło spod twardych, kędzierzawych włosów, które Lutostański nazywał „parchowizmem”.

Merzon domyślał się, że wyznaczając dzisiejsze spotkanie, przyszykowałem mu albo rychłą śmierć, albo jakiś mglisty, daleki ratunek.

Nie śpieszyłem się, z apetytem piłem, z przyjemnością zakąsałem, i pomiędzy wędzonym łososiem a grzybkami spytałem:

– Co tam w prasie?

– Świat świętuje historyczne zwycięstwo: zakończenie budowy kanału Wołga-Don – zameldował Merzon.

– I co jeszcze?

– Król Faruk w Egipcie zrzekł się tronu, władzę przejął generał Nagib...

– Jeszcze?

– W Iranie niepewnie, wygląda na to, że Mosaddek całkiem szacha usunie...

– Świetnie... A trochę bliżej nas?

Merzon mrugnął ciężkimi, pomarszczonymi żydowskimi powiekami i powiedział powoli:

– W Czechosłowacji odkryto spisek inżynierów górników, którzy utworzyli faszystowską partię ludową...

– O, to świetnie! Cieszę się z sukcesu naszych czeskich kolegów. Zdajesz sobie sprawę, jaką trudną robotkę odwalili: nakryć górników, kierujących rolniczym podziemiem?

– O, tak! – zgodził się skwapliwie Merzon. – Imperializm, jak ośmiornica, wyciąga macki...

Przerwałem mu:

– Jest jeszcze coś na ten temat?

– W NRD postawili przed sądem terrorystów, kryjących się pod szyldem „Społecznego komitetu śledczego wolnych prawników”.

– A w Polsce kogoś aresztowali?

Zmieszany, wystraszony Merzon westchnął beznadziejnie.

– Bandytów z Armii Krajowej i kułaków.

Zabrałem się za zupę, spytawszy przedtem:

– A wczoraj było coś na ten temat w gazecie?

– W Rumunii aresztowano dywersantów na budowie kanału Dunaj-Morze Czarne.

– Dzięki Bogu! – westchnąłem z ulgą i popatrzyłem za rzekę, w dal, w z wolna ciemniejące letnie niebo. Tam, nad tuszyńskim aerodromem, trenowali, przygotowując się do powietrznej parady, lotnicy, niezmordowanie, po raz setny układający swoje jaki na tle błękitnawozielonego przedwiecznego nieboskłonu w gigantyczne litery: CHWAŁA STALINOWI!

– A przedwczoraj coś podawali? Opowiedz mi, Arkadij, bo wiesz, z braku czasu nie zawsze zdążę prasę przerzucić. Mam taki grzeszek na sumieniu – wyznałem z ufnością.

– Przedwczoraj w Albanii rozstrzelali morderców, którzy szykowali zamach na towarzysza Enwera Hodżę...

Odrobina alkoholu, jaką miał w czubie Merzon, wyparowała ostatecznie.

Jedząc zupę, nadal niez mordowanie zwiększałem swoje polityczne rozpoznanie:

– A przed-przedwczoraj?

– W Bułgarii ujawniono podziemną organizację byłych żandarmów, kryjących się pod płaszczkiem nauczycieli...

– Zuch z ciebie, Arkadij! Chodź, wypijmy, widzę, że jesteś na bieżąco, dobrze orientujesz się w sytuacji politycznej na świecie. Jeszcze tylko jedno małe pytanko. Odpowiedz, jeśli wiesz. Bardzo mnie to interesuje. Co jutro napiszą w gazecie?

Skrzywił się, usiłował się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego jedynie zaszczuty, kaleki grymas.

– Skąd mam wiedzieć, Pawle Jegoryczu, co jutro napiszą w gazecie? Przeczytamy, to się dowiemy.

– Nie wiesz? – Rozłożyłem ze smutkiem ręce. – To źle. W takim razie powiem ci. Jutro w gazecie napiszą, że nasz dzielny, waleczny Wydział zakończył śledztwo w sprawie rozległego spisku żydowskich zdrajców ojczyzny, odszczepieńców i syjonistów, beczelnie podających się za radzieckich pisarzy i poetów!

Merzon milczał. Samoloty za rzeką wzbily się w błękitny zenit, niemal znikły z wozu, i znowu spłynęły ku purpurowemu paskowi horyzontu, precyzyjnie wypisując na nieboskłonie: CHWAŁA STALINOWI!

– No to chodź, wypijmy! – Stuknąłem się z nim. – A może i nie napiszą. Zależy, jak zdecydują w odpowiednich instancjach. Ale za parę dni i tak wszystkich ich rozstrzelają: Markisza, Fefera, Kwitkę, Bergelsona, Hofsztajna i całą resztę naszej literackiej synagogi. Jak to rozumiesz?

Dławił się własnymi migdałami, język jak knebel zakorkował mu krtań, ciężko sapał przez nos, w końcu wykrztusił ochryple:

– Towarzysz Stalin powiedział, że w miarę odnoszonych sukcesów walka klasowa się zaostrza...

– Właśnie! – Uniosłem w górę palec wskazujący. – A jaki będzie następny etap walki klasowej? No? Wyjaw mi swoją opinię, Arkadij, przyjacielu!

Po raz pierwszy tego wieczoru popatrzył mi prosto w oczy i powiedział cicho:

– My.

Zaśmiałem się i pomachałem mu przed nosem paluszkami:

– Mylisz się. Nasi współpracownicy narodowości żydowskiej będą jednak musieli poczekać! Wszystko zostanie załatwione w odpowiedniej kolejności. Następnym etapem jest ogólnonarodowa sprawa lekarzy-morderców, lekarzy-trucicieli, potworów, katów, bestii, które zamierzały podnieść rękę na niego... – wskazałem na szyk samolotów, pławiących się w krwawej posoce dogasającego zachodu.

– Dlaczego mi to wszystko mówicie? – spytał z udręką Merzon poprzez zagryzione wargi.

– Dlatego, że nasz wierny towarzysz i waleczny współbojownik, major Lutostański, twierdzi, że są Żydzi i są parchy. Z parchami, jego zdaniem, sprawa jest prosta. A Żydów radzi zostawić, niemniej powinni, jego zdaniem, udowodnić swoją wierność naszej wspólnej sprawie. I kierownictwo zaakceptowało jego punkt widzenia.

– A jak niby mamy udowodnić swoją wierność? – Uśmiechnął się ze znużeniem Merzon.

– Poprzez przypiecztowanie jej krwią...

Patrzył na mnie szeroko otwartymi, nierozumiejącymi oczami, i jego bystra twarz żydowskiego handlarza wyglądała przez to głupkowato.

– Kierownictwo zaakceptowało propozycję Lutostańskiego, żeby twoich ziomków, tak zwanych pisarzy, rozstrzeliwał nie pluton egzekucyjny, tylko oddział ochotników, którzy chcą udowodnić swoją wierność. To właśnie jest przypiecztowanie krwią swojej wierności.

Z Merzonym stało się coś dziwnego. Nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałem. Zaczął się pocić. Strużki potu ciekły mu po czole, po obwisłym mięsistym nosie, po policzkach, ściekały za kołnierz jego jasnej marynarki, która czerniała, nabrzmiewała od tej wilgoci, zupełnie jakbym polewał go z dzbana.

Oczy ściągnął mu tik, trzęsły się starcze usta. Ciężkie krople spływały z nosa, z podbródka, i z szelestem padały na rozłożoną płachtę gazety.

O, niezrównany darze gry na ludzkich nerwach! Odczucie napięcia strun, władczy ruch smyczki pogróżki i oszukańcze pizzicato nadziei... O, nieznani światu Heifetzowie i Ojstrachowie, którzy odegrali niepowtarzalne, zapomniane na zawsze utwory na pękniętych strunach przepadłych na wieki instrumentów!

Muzyka sfer. Bezdźwięczna harmonia przerażenia i nedorzecznej wiary.

Wiary w nic.

I intuicja maestro wirtuoza podpowiedziała mi, że właśnie tu, w tym miejscu zaimprovizowanej przeze mnie kompozycji powinno nastąpić – w ślad

za ogłuszającym akordem kotłów serca – spowolnienie tempa, obniżenie tonacji, zmiana tematu.

– Zdajesz sobie sprawę, że Lutostański to twoja zagłada? To twój anioł śmierci. Wiesz o tym?

Merzon wzruszył ramionami. Grałem solówkę i jego partia nie wymagała odpowiedzi. Zresztą nie był w stanie nic mi odpowiedzieć, a ja jego odpowiedzi nie potrzebowałem – obaj byliśmy profesjonalistami.

– Widzę, Merzon, że nie podoba ci się takie wykazywanie wierności. Nie chcesz rozstrzeliwać swoich Żydów wierszokletów.

Merzon milczał. I w sposób przerażający pocił się, oblewał się potokami lepkiej cieczy. A może w ten sposób dusza z niego uchodziła? Czy przeciwnie, zbierał siły ducha...

Spytałem:

– Czy ten twój fotograf, ten polityczny chuligan, jak mu tam...

– Sznajderow?

– O właśnie, Sznajderow! Przyjechał do Moskwy z Leningradu?

– Tak! – Merzon patrzył na mnie zaskoczony.

– Dziś w nocy pojedziesz Czerwoną Strzałą do Leningradu i zajmiesz się na serio...

– Sznajderowem?

– Lutostańskim.

– Kim? – drętwiącymi wargami szepnął Merzon.

– Lutostańskim. Pora usadzić go na dupie, inaczej się nie uspokoi. Słuchaj uważnie: on nie jest tym, za kogo się podaje. Jego ankieta na pewno jest od początku do końca sfalszowana...

Od dawna byłem o tym przekonany. Miałem parę fakcików, czy raczej niejasności, znaków zapytania. Instynktownie odgadywałem w nim szarlatana. Przyjmując do siebie Lutostańskiego, starannie przestudiowałem jego ankietę, materiały speckontroli, wyniki jego obserwacji, informację o kontaktach – i wszystko było nienagannie czyste. Z mojego punktu widzenia – starego wygi – zbyt czyste.

Naprawdę czysta była ankieta Mińki Riumina, śledczego Zacariennego, pełnomocnika operacyjnego Żowtobriucha, naszego kierowcy Szczennikowa, sekretarki Wiertiebnej.

Ich ankiety były wiernym odbiciem ich ubogich osobowości. I wiernie mówiły o nich wszystko, tak samo jak opowiedziałyby o ich samopoczuciu historia choroby w naszej wewnętrznej poliklinice. Zdjęcie rentgenowskie. Wszyscy oni byli dwuwymiarowi.

A Władysław Hipolitowicz, mój towarzysz broni, płomienny bolszewik i niezachwiany czekista, miał drugie dno – jak kufer przemytnika. Ukryty trzeci wymiar.

I żadni kadrowcy odkryć tego schowka nie byli w stanie, albowiem Lutostański starannie skrył go przed ludzkim okiem. Skrył, maskując z lekka innym kolorem.

Lutostański śmiertelnie nienawidził władzy radzieckiej.

I nienawiść do Żydów była przedłużeniem niekończącego się sporu, co było pierwsze: kura czy jajko. Nie potrafię powiedzieć, kogo Lutostański uważał za przyczynę pierwotną, kogo nienawidził bardziej – władzy radzieckiej, która przyniosła Żydom awans społeczny, czy Żydów, którzy władzę radziecką zrodzili.

O wszystkim, co działo się w kraju, wyrażał się wyłącznie w superlatywach. Wszyscy mówiliśmy językiem gazetowym, ale w pełnych zachwyty recitativach Lutostańskiego dość szybko wylapałem istotną skazę – nie było w nich radosnej hipokryzji wydzwigniętych poprzez awans społeczny karierowiczów, brakowało też bezmyślnego powtarzania jak papuga za innymi kretynami. Jego zachwyty, przepuszczone przez filtr mojej podejrzliwości, zmieniały się w zjadliwe, masochistyczne szyderstwo.

Lutostański pomylił się, mierząc mnie i Mińkę Riumina jedną miarką. Mińka podziwiał jego uczoność, uważał ją za rzecz normalną w przypadku syna byłego nauczyciela gimnazjalnego. Ja jednak pamiętałem, że od piątego roku życia nasz erudyta był sierotą.

Speckontrola uznała wszystkie jego dokumenty na temat pochodzenia za niebudzące wątpliwości. Ja jednak zwróciłem uwagę na to, że wiele z tych papierów to były kopie. Istniało na to przekonujące wytłumaczenie: Lutostański urodził się w Wilnie, na Litwie, która po rewolucji dostała dwadzieścia lat wolnego. W ten sposób wydostanie do roku czterdziestego jakichkolwiek dokumentów było niemożliwe, a w czasie wojny większość archiwów zostało zniszczonych. Chociaż metryka była oryginalna.

I speckontrolom naszym nie było co wierzyć. Oni jakiegoś tam ukrytego dziadka Żyda będą tropić do upadłego, a tego, co widać jak na dłoni, z lenistwa czy z głupoty nie dostrzegają.

Sam przeszedłem chyba z dziesięć speckontroli i ani jednemu osłowi nie przyszło do głowy, by zastanowić się nad moją datą urodzenia – dwudziestego dziewiątego lutego 1927 roku. Rzecz w tym, że mój tatko nieboszczyk, niech z Bogiem spoczywa, chcąc odroczyć mi powołanie do wojska, zachachmęcił coś w radzie wiejskiej i odjął mi trzy lata. Nikt jednak nigdy nie zwrócił uwagi na to, że dwudziesty dziewiąty lutego mógł być tylko

w roku dwudziestym czwartym, w dwudziestym ósmym albo w trzydziestym drugim, ale w żadnym razie w dwudziestym siódmym! I takie to są speckontrolę... Wszędzie ten sam bajzel.

Dlatego też w ten upalny lipcowy wieczór roku pięćdziesiątego drugiego, wysyłając Merzona na poszukiwanie kompromitujących materiałów przeciwko Lutostańskiemu, nie miałem wątpliwości, że odkopie coś śmierdzącego. A wykopaliska trzeba zacząć od tatusia, nauczyciela gimnazjum. Intuicja podpowiadała mi, że tam jest pies pogrzebany.

Jak każdy błagier, Lutostański prędzej czy później musiał się wygadać. Kiedyś, tokując, dla lepszego efektu rzucił, że jego tata był w Petersburgu wyjątkowo przez wszystkich poważanym człowiekiem.

W Petersburgu. Jak to? Przecież pochodzi z Wilna? I proszę zwrócić uwagę, nie w Piotrogradzie, tylko w Petersburgu – a więc jeszcze przed I wojną światową.

Zakarbowalem to sobie w pamięci.

– Nie śpij, nie pij, kamienie żryj, ale do całej prawdy o nim musisz się dokopać – powiedziałem do Merzona.

– Ależ ja... ależ ja... – Merzon wprost krztusił się z gorliwości jak wyżeł na smyczy.

– Pójdziesz z rana do oddziału leningradzkiego, zameldujesz się, zbierzesz informacje na temat Sznajderowa i dopiero potem zajmiesz się tą sprawą – przekazywałem mu instrukcje. – Z powrotem się nie śpiesz, możesz wrócić nawet za dwa tygodnie...

Patrzył na mnie niepewnie, bał się zapytać.

– Przez ten czas skończą ze wszystkimi waszymi Fefer-Markiszami... Bez ciebie – dodałem.

Merzonowi trysnęły z oczu łzy. Szybko nachylił się nad stołem i oślinił mi rękę pocałunkiem.

– Idiota! – powiedziałem i odepchnąłem go lekko. – Przy ludziach tylko popa całuje się w rękę...

Może i ja powinienem pocałować Mangusta w rękę?

A nuż zmięknie? Kto zna tajemne głębie żydowskiej pychy... Może uzna to za dostateczną satysfakcję?

Może jemu wcale więcej nie trzeba? Może przybył tu z zagranicy, zawrócił w głowie Majce i wszedł mi w drogę tylko po to, żebym go w rączkę pocałował?

Może on dla nas właśnie takie role obmyślił? Przecież oni, Żydzi, jednego słowa wprost nie powiedzą. We wszystkim jest ukryty sens, talmudyczny komentarz, szamańska alegoria kabały.

A może on chce, żebyśmy, jak Pierświew z Czelubejem na Kulikowym Polu, wystąpili przed szeregi naszych wojów, w imieniu swoich ojczyzn, i udowodnili poprzez pojedynek – kto silniejszy? I ja powinienem, zgodnie z jego planem, przyjąć na siebie rolę tego, kto całuje wrażliwe dłonie?

Może ten pohaniec istotnie tak to sobie wykoncyrował?

Nie wiem.

Nie wiem, jacy woje, jaka idea za nim stoi, jakie chorągwie powiewają nad jego judejską ordą.

A za mną, za moimi szerokimi plecami – oho-ho! Dal nieobjęta, siność nieogarniona, ziemia ojczysta – do ostatniej kropli krwi.

I ani jednego człowieka.

Tylko ja. Sam – na polu hańby. Nikt za mną nie stoi. Tylko umarlaki oraz odstępcy, przechrzty, wilkołaki i upiory. Niekończąca się nekropolia, bezkresne cmentarzysko.

Cały mój hufiec – to ja i Kowszuk. I najemnik brunszwicki, wologodczyk z Turynгии rodem w dalekim holu mego domu.

Chorągwie nasze zetlały od dwulicowości, przeżarły je mole obłudy, życie faryzejskie przetarło do nitki.

Krzyknąć by teraz: zatrzymać go! Przecież to wróg nas wszystkich! Wróg naszego państwa! Jego walecznych obrońców gnębić! Bicie go, do lochu wtrąć!

A tu nie wolno. Nigdzie go nie wtrąca. Zatrzymają na parę godzin, sprawdzą co trzeba i wyślą z powrotem, w rozkosznie zgniłą zagranicę. A ze mną – kłapa!

Nie do niego mam żal. Do państwa. Zerwało z nami wszystkimi umowę o współpracy i pomocy wzajemnej. Przecież umawialiśmy się, jak to ma być. Ono – nam, a my – jemu.

Oddaliśmy mu wszystko, głupi, bezgranicznie oddani palacze. A ono teraz udaje, że nas nie zna. Że pracowaliśmy sami z siebie. I tym z nas, co nie poszli na opał, milcząco sugeruje: macie co żreć, macie co pić, to siedźcie cicho! A jak któryś ma problemy – niech sam się wykaraska. Nie jesteście nam specjalnie potrzebni. Na waszych ciepłych posadach od dawna już uwijają się inni bojownicy, w niczym od was nie gorsi.

Tak że, wielce szanowny Manguście, jeśli wymyśliłeś spektakl, w którym waleczny ruski witeź, nieustraszony pułkownik, nieulekły bojownik z CzeKa

ma pocałować w rękę parchatego wikinga, garbatonosego Tatarzyna z ordy nad Jordanem – to proszę bardzo, jestem gotów!

Nie będę się z tobą potykał na kopie, jak Piereswiet z Czelubejem, bynajmniej mi nie zależy, żebyśmy obaj unieśmiertelnili nasze imiona dla przyszłych pokoleń, przebijając się nawzajem ostrzami włóczni, i runęli martwi na ziemię, wzywając naszych wojów do bohaterskiej walki.

Jak prawdziwy mnich, jak autentycznie pokorny zakonnik, gotów jestem pocałować cię w rączkę. Niech ci będzie. Wszystko mi jedno, ktoś ty – pan Moszka czy parch Chałomiej.

Jestem gotów.

Byle tylko odciągnąć rozpoczęcie bitwy do wieczora, nie dopuścić do niej teraz. Dopóki moje hufce, ukryte w zasadzce hotelowego holu, nie zajdą cię od tyłu, dopóki moje waleczne pułki, składające się z Kowszuka, nie kolną cię nożem w tętnicę szyjną.

– No więc o co panu tak naprawdę chodzi? Żeby w pas się panu pokłonić? A może w rączkę pocałować? – Wynurzyłem się z zapomnienia, które nie było ani snem, ani jawą, tylko pozbawioną nadziei udręką wspomnień, czarną nocą zmartwychwstałej bez zaproszenia przeszłości.

Nie byłem w stanie dojrzeć twarzy Mangusta, szara błona osiadła mi na oczach. Tylko głos jego słyszałem, martwy i władczy, jak z radia:

– My nienawidzimy bałwochwalstwa. Nie cierpimy, kiedy ktoś całuje kogoś w rękę, i wstyd nam za tego, który daje się całować. Pan i Nannosa zabił dlatego, że nie chciał się pokłonić waszym bałwanom. To był człowiek wolny...

– To nie był człowiek wolny – Zaprotestowałem bez przekonania. – To był więzień.

– Prawdziwie wierzący Żyd nawet w obozie koncentracyjnym pozostaje wolny! – Wydało mi się, że w głosie Mangusta słyszę drwinę. – A wy, jego mordercy, kłanialiście się bałwanowi i dlatego byliście niewolnikami...

– Może i masz rację – zgodziłem się ze znużeniem. – Ale niewolnik nie ma prawa wyboru... Zawsze wypełnia cudzy rozkaz...

Cisza, pustka i lepka ciemność otulały mnie tak szczelnie, że w niespokojnym umyśle przemknęła nagle myśl: a może ja śpię? Popiłem w knajpie i zasnąłem. Magnustowi zdudziło się czekać i poszedł. A może wcale nie przychodził? Wszystko mi się przywidziało, omam zamroczył mi głowę.

Otworzę oczy – i nie będzie przede mną nikogo. Będę sam.

Ostrożnie zacząłem podnosić ciężkie powieki, pod które nasypano mi gruboziarnistego piasku. Rzuciłem ukradkiem okiem – i straciłem wszelką nadzieję.

Przedemną siedział Mangust. Patrzył na mnie, cholernik. I zapytał, cedząc słowa:

– Pamięta pan, co to jest utożsamienie się z rozkazem?

...utożsamienie się z rozkazem... utożsamienie się z rozkazem... utożsamienie się z rozkazem...

Coś dzwięcznie szcęknęło mi w głowie, zupełnie jakby przestawiono zwrotnicę, i pomknęły gończe neurony pamięci jakimś sąsiednim torem, bliskim zabójstwa Nannosa, ale tor ten znajdował się znacznie wyżej, znacznie bliżej mnie i Mangusta.

Pamiętałem te słowa, czytałem je niedawno w jakimś dokumencie.

Utożsamienie się z rozkazem...

– Nie może pan sobie przypomnieć? – Usłyszałem z oddali głos Mangusta. – W takim razie podsunę panu kontekst: „Ustaliliśmy, że oskarżony działał, w pełni utożsamiając się z otrzymanymi rozkazami, gorliwie dążąc do osiągnięcia przestępczego celu...”

Ostry ból ścisnął moje serce. Pękła błonka niepamięci i rzeczywistość runęła na mnie jak topór.

...utożsamienie się z rozkazem...

...każdy, kto się narodził – jest synem pierworodnym, życie jego jest święte, niepowtarzalne i nietykalne... miasto Freiburg, proces katów Oświęcimia...

...Dob Ber... świadek ze strony Izraela... izraelski komandos...

...biuro doktora Szymona Wiesenthala...

– Przypomniał pan sobie? – krzyczał bezdźwięcznie Mangust, dławił mnie i dusił bez litości.

Boże, kogo nigdy nie wciągał wodny wir, ten nie zdoła pojąć ludzkiej bezsilności wobec potęgi żywiołu!

Mangust przemieszał w swoim żydowskim kotle czas i otworzył przede mną przeszłość. Wbrew swojej woli, powtarzałem za nim:

– „...Ustalenie wymiaru kary za tak przerażające zbrodnie nie zależy od tego, w jaki sposób zrodziło się to utożsamienie...”

– Przypomniał pan sobie?

– Tak. – Kiwnąłem pokornie głową. – To wyrok w sprawie Adolfa Eichmanna.

Dob Ber, jeden z piątki żydowskich komandosów, którzy wykradli Eichmanna z Argentyny, odczytywał ten wyrok w sądzie we Freiburgu.

Biuro doktora Wiesenthala w Wiedniu, Centrum Dokumentacji Żydowskiej.

Mangust – pies Wiesenthala – przyjechał tu po mnie. Po pułkownika MGB w stanie spoczynku, Pawła Jegorowicza Chwatkina.

Przyrównali mnie do Obersturmbanführera SS Adolfa Eichmanna.

Ktoś dawno temu nazywał mnie Eichmannem. Kto? Kiedy?

Bezsilne pograżanie się w ciemności, wszechwładny wir czasu.

– Proszę odpowiedzieć, dlaczego wybrał pan właśnie Eleazara Nannosa?

– Zaproponował go Lutostański. Słyszał o nim w dzieciństwie. W Wilnie...

14. Cyrk

Zapłonął ogromny kandelabr pod sufitem, żółty blask runął na nas niczym deszcz siarki. I koścista, ciemna twarz Mangusta przybrała malarski odcień.

Ile godzin tu siedzimy? Może ten żydowski pomiot zatrzymał nasz posłuszny, żwawy moskiewski czas i zalał lustrzane akwarium restauracji stojącą wodą, nieruchomym czasem swego żydowskiego bagna, gdzie niespiesznie bulgocze dziś, wre i kipi wczoraj, i ospale przelewa się jutro?

W wysokich, sklepionych oknach nieruchomo tężał purpurowo-siny zachód – olbrzymi krwiak na odętej, bladej gębie nieboskłonu.

Nietknięte dania na stole poszarzały. Patrzyłem nie na Mangusta, lecz na jego odbicia w dwóch gigantycznych lustrach, które sięgały sufitu; jedno, żółtawe ze starości, stanowiło jednolitą taflę, drugie było złożone z paru mniejszych kawałków.

W tym pierwszym lustrze Mangust podobny był do posągu z czarnego kamienia, muskularne nogi pod krzesłem miał napięte i podkurczone, jakby gotował się do skoku. A złożone z kawałków lustro porozrywało go na części, odcięło od korpusa głowę, trochę z boku niedorzecznie sterczały

ręce z dymiącym papierosem i zapalniczką, całkiem głupio wyglądał niezależny od nikogo zad ze sprężonymi nogami.

– Wie pan, co to jest? – Wskazałem palcem w kierunku lustra.

Mangust zerknął przez ramię i powiedział obojętnie:

– Lustro.

Niczym nie można było go zadziwić.

– To nie jest zwykłe lustro – wyjaśniłem. – To zwierciadło naszej zagadkowej słowiańskiej duszy...

Wyszczrzył zęby jak nieboszczyk i kiwnął głową: gadaj, po to tu jestem, żeby cię słuchać.

– Kiedyś była tu droga restauracja Jar. Przed rewolucją hulali w niej bogaci kupcy.

Mangust domyślnie odpowiedział:

– A teraz pełno tu kolchoźników i ślusarzy...

– Nie o to chodzi! Nigdzie na świecie drogie knajpy nie są dla kolchoźników i ślusarzy. Chcę wskazać na podstawowy błąd w pańskim postępowaniu...

– To szalenie interesujące!

– Usiłuje pan osądzać ludzi niezależnie od historycznego kontekstu.

– Oho! – Mangust z zachwytem aż klasnął w dłonie.

– Oceniać ludzkie postęпки można tylko według kryteriów obowiązujących w czasie, w którym żyli, nie wolno odrywać ich działań od kontekstu historycznego, nawet jeśli przeżyli oni swoją epokę!

– Bardzo to przekonujące, bardzo naukowe, *Herr Professor*. – Uśmiechnął się Mangust. – A co ma do tego lustro?

– Lustro to najbardziej ulotna fotografia czasu. Kiedy pijany kupiec chciał zademonstrować swoją siłę i znaczenie, z rozmachem ciskał w te lustra butelką szampana. Pokorna słowiańska dusza zawsze potrzebuje wyrazistych form samorealizacji.

– Bardzo miła rozrywka – zgodził się Mangust. – A jak ma się do tego cała reszta?

– Biesiadnicy klaskali, służba piorunem zmiatała odłamki, do rachunku kupca doliczali wartość lustra, a na drugi dzień wstawiali nowe. Na dziedzińcu knajpy do tej pory przechował się stelaż, gdzie zawsze trzymano zapas lustrzanych tafli. Ale od pół wieku stoi darmo – takich luster już się nie odlewa. I tego, ostatniego, które zostało rozbite, nie ma czym zastąpić. Nie ma też po co, bo każdy wie, że jeśli ciśnie w lustro butelką, pójdzie na pięć lat do więzienia.

– Bardzo interesująca historia. – Skinął głową Mangust. – Po co mi ją pan opowiedział?

– Znajdźmy któregoś z tych kupców-awanturników, na pewno jakiś jeszcze żyje, ustalmy okoliczności ich zachowania w miejscu publicznym i oddajmy pod sąd za chuligaństwo. Cechujące się szczególną złośliwością i cynizmem...

– Ma pan ochotę udawać głupiego? – złowieszczo łagodnie spytał Mangust.

– Mangustik, kochany, zrozum mnie właściwie, ja nie udaję głupiego! Ja tłumaczę ci to, czego ty, paniczyk z zagranicy, zrozumieć nie jesteś w stanie! My żyliśmy w czasach, kiedy lustra były towarem deficytowym, do tej pory są drogie, a mord, w które wolno było w każdej chwili chłasnąć – ile chcieć! Państwo poleciło samorealizować się poprzez rozbijanie nie lusterek, tylko cudzych mord. I jeśli ciąży na mnie jakaś wina, wynika ona z tego, że ja też chciałem przeżyć. Utożsamiałem się z nadzieją podejrzanego na przetrwanie...

– I rzeczywiście udało się panu przeżyć – mruknął Mangust. – I to z dużym zapasem. – Zamilkł, a potem dodał z bólem i nienawiścią: – Mówi pan rzeczy potworne!

– Nie ma w tym nic potwornego! – wykrzyknąłem. – Mówię prawdę! Dlaczego nie występujesz z powództwem przeciwko naszemu państwu, tylko pchasz się z pytaniami do mnie? Chcesz ze mnie zrobić przestępcę! To było trzydzieści lat temu! Wszystkie terminy przedawnienia upłynęły, nic ci z tego nie wyjdzie...

– Pańskie zbrodnie nie podlegają przedawnieniu – z zimną krwią zauważył Mangust.

– Podlegają! Jeszcze jak podlegają! Jak myślisz, dlaczego prawo międzynarodowe uznaje terminy przedawnienia? Czy wina się starzeje? Czy znudziło się czekać na ukaranie sprawcy? Czy ból ofiar złagodniał? Nie, przyjacielu! Jest w tym wielka mądrość prawa: w miarę upływu lat zmieniają się kryteria oceny postępowania. Nie można dzisiejszą miarą mierzyć naszych postępów sprzed trzydziestu lat...

– A jakąż to miarą należy, pańskim zdaniem, mierzyć zabójstwo Eleazara Nannosa? – grzecznie zainteresował się Mangust.

– Zadną! Nie ma potrzeby mierzyć! Trzeba zapomnieć!... I dlaczego właśnie Nannosa? Grubsze ryby od niego trafiły na patelnię!

– Historia upomni się o wszystkich – z przekonaniem powiedział Mangust. – Ludzie będą pamiętali.

– Niech pan da spokój! – Machnąłem ręką. – Jaka historia? Jacy ludzie? Ludzkość nie interesuje się takimi sprawami. A historia to kłamliwy raport zwycięzców. Gdyż pokonani nie mają historii...

– A gdzie się podziali pokonani?

– Rozpuścili się. Zniknęli. Zmienili się w nawóz. Uniosła ich rzeka czasu. A uczestnicy tego pyrrusowego zwycięstwa, którzy ocalili, wymyślili im własną historię: łańcuch nielogicznych, byle jak powiązanych mitów. A przedawnienie pochłonęło wszelkie rozbieżności, skrót i pomyłki.

– Chciałbym panu przypomnieć. – Mangust radośnie wyszczerzył zęby – że pańskich kolegów z hitlerowskiego Reichu przedawnienie nie obejmuje.

– I słusznie! – Uniosłem palec wskazujący, a przed oczami mignęła mi wystraszona, niczego nierozumiejąca, nieszczęśliwa twarz oskarżonego Steinera, obsługującego komory gazowe w Sachsenhausen. – Ponieważ ich „bohaterskie czyny” stały się historią. Historią zbrodni. Dlatego, że pozwolili się pokonać. Przegrali!

– A wy zwyciężyliście?

– My? My wszyscy, każdy z osobna, przegraliśmy. Ale Wydział, w którym służyliśmy, wygrał. I bilans historii znowu wyszedł na zero. To znaczy, że Wydział zawsze był wspaniały i szlachetny, a my, łobuzy, które się do niego wkręciły, usiłowaliśmy zohydzić i zbrukać jego szlachetną misję.

– A dlaczego Wydział nie sporządził z was, łobuzów, które się do niego wkręciły, odrębnej historii przestępstw?

– Dlatego że stanowiliśmy, w przekładzie na język statystyki, cały skład personalny karzącego miecza państwa. I Wydział, który zwyciężył, zezwolił, by nie wspominać o nas, którzy przegraliśmy. Nakazał wszystkim obywatelom: zapomnijmy o przeszłości, żyjmy w zgodzie...

– I wszyscy zapomnieli?

– Jasne, że zapomnieli. I ja wszystko zapomniałem. Mnie historia nie jest potrzebna. Nigdy nie byłem próżny. Tak, przegrałem. Ale nie będziesz mnie rozliczał, dlatego że i ty nie jesteś zwycięzcą. Wszyscy przegrali. I Luto-kański, i Eleazar Nannos, i ja. Tylko Wydział wygrał. I on też odnotuje w historii wszystko, co mu będzie potrzebne.

– Myli się pan, drogi panie pułkowniku. Oprócz historii, którą pisze wasz Wydział, jest jeszcze jedna historia, która żyje w ludzkiej pamięci. I dla niej będzie pan odpowiadał na wszystkie pytania, które mnie interesują.

– Ciekawe, dlaczego to właśnie ty zdecydowałeś, że będę odpowiadać?

Mangust uśmiechnął się wężowym uśmiechem, po czym powiedział serdecznie:

– Ponieważ skłonny jestem uwierzyć, że nie jest pan sadystą, męczył pan ludzi i zabijał ich nie z wewnętrznej potrzeby. Tylko żeby przeżyć. Dowodził mi pan przed chwilą, że to właśnie jest prawdziwa przyczyna pańskiego utożsamienia z rozkazami Wydziału. Zatem teraz, jako człowiek rozumny i głęboko niemoralny, będzie pan równie starannie spełniać moje rozkazy. Gdyż jest to pańska jedyna nadzieja na przeżycie...

Szybkim ruchem nachylił się ku mnie poprzez stół i spytał:

– Rozumie pan? Albo...

Zamilkł, nie dokończył, jakie będzie to „albo”. Jesteśmy rzemieślnikami z tego samego cechu, nie ma potrzeby dyskutować o drobiazgach. Przecież i ja mam swoje „albo”, które stoi teraz w marmurowym holu, w czarnym admirałskim mundurze, a nazywa się Kowszuk. A jak wygląda jego „albo”, w jakiej postaci może się zjawić przede mną?

I nagle aż mi się gorąco zrobiło z przerażenia – a gdzie Palacz? Gdzie się podział? Krążył nade mną jak kruk, nie odstępując ani na krok, i nagle przepadł. Może Palacz to właśnie „albo” Mangusta? A może Mangust i Palacz – to jedno i to samo, dwa wcielenia nieprzemijającego koszmaru?

Szybko obejrzałem się za siebie. W poskładanym z kawałków lustrze odbicie Mangusta na moment zlało się w jedno, i wydało mi się, że szybuje on w powolnym skoku wprost na mnie, ale zanim zdążyłem się uchylić, znów rozpadł się na odrębnie żyjące kawałki.

– Kelner! Wódki! – krzyknąłem, i sługa kuchenny zjawił się z butelką tak szybko, jakby był nie przypadkowym przechodniem na opustoszałej ulicy, gdzie zamierzano mnie zabić, lecz wynajętym przez Palacza napastnikiem.

Kieliszek z wódką był ogromny i życiodajny jak poduszka z tlenem. Serce, które wstrzymało bieg, znów ruszyło, powrócił oddech, płynna narkoza zdusiła strach, zacerpnąłem haust nadziei; chciałem powiedzieć Mangustowi, że nie o Eleazara Nannosa chodzi, nie warto od niego zaczynać tej rozmowy, gdy wtem zobaczyłem, że przez pustawą salę restauracyjną idzie, przeciskając się pomiędzy stolikami, Abakumow...

Wiktor Siemionowicz, niezapomniany nasz minister.

Wysoki, młody, przystojny, jak zwykle po kielichu, w bluzie bez pasa, z połyskującymi gwiazdkami na pagonach. Uśmiecha się chytrze, grozi mi palcem:

– No, opowiadaj, Paweł, o swoich niezwykłych czynach, pochwal się sukcesami!

– Przecież was rozstrzelali, Wiktorze Siemionyczu, dawno temu... I grobu waszego nie ma...

– No to co? A twój teść, ten Żyd, nie pamiętam nazwiska, ma grób? Do ziemi schodzimy, chmurą popiołu ulatujemy, ale cały czas jesteś tutaj...

– To niemożliwe! Tamten czas przeminął...

– Pomyliliśmy się, Paszka: okazuje się, że czas to płynąca pierścieniem rzeka. Popłynęła za horyzont, zawróciła i znowu do nas przyszła... Musisz odpowiedzieć przede mną, Paszuta...

– Za co, towarzyszu generale?

– Za to, że ja cię, nic nieznaczącego, nikomu nieznanego smarkacza, na własnej piersi wyhołubiłem, na ludzi wyprowadziłem, a ty mnie koniec końców zgubiłeś...

– To nie ja! To Mińka Riumin!

– Nie kłam! Mińka Riumin był zwykłym osłem i wazeliniarzem. Przecież to ty wymyśliłeś sprawę lekarzy-morderców, tak czy nie?

– Ja...

A więc i on, wszechmocny niegdyś minister, dawno temu rozstrzelany, który powrócił teraz na karuzeli czasu, upomina się o swoje. Wiktorze Siemionyczu, co jest z wami wszystkimi? Czyżby naprawdę pamięć wszystkim odjęło? Wytężcie się, przypomnijcie sobie, jak wtedy było...

Był Wielki Boss.

My, z Bożej łaski Josif Jedyny, Imperator i Samodzierzca Wszechrusi, Moskwy, Kijowa, Włodzimierza, Nowgorodu;

Car Kazański, Car Astrachański, Car Polski, Car Syberyjski, Car Chersońsko-Taurydzki, Car Gruziński;

Wielki Książ Smoleński, Litewski, Wołyński, Podolski i Finlandzki;

Książ Karelski, Twerski, Jugorski i Permski;

Władca i Wielki Książ Czernihowski, Jarosławski, Obdorski i wszech północnych krain włodarz;

Pan ziemi Iwerskiej, Kartalińskiej, Kabardyńskiej i prowincji Armeńskiej;

Czerkieskich i góralskich kniazi dziedziczny Zwierzchnik i Monarcha,

Pan Turkiestański, Kirgiski, Kajsacki;

Boski Komunistyczny Sekretarz Generalny;

Przewodniczący Władzy Wszechzwiązkowej;
Generalissimus Wszech Czasów i Wszech Narodów;
Honorowy Koryfeusz Akademii Nauk;
Największy Filozof, Ekonomista i Językoznawca,
Przyjaciół wszystkich dzieci i sportowców.

Był...

Niski, dziobaty, ryży kryminalista, w którym ogniskowało się całe imperialne piękno. A my – pozostałe ćwierć miliarda ludzi – istnieliśmy przy nim.

Ojcowie założyciele naszej proletariackiej ojczyzny w swej gorliwości skasowali stary carski herb i wymyślili nowy: wąż pęczki kłosek, prehistoryczny sierp i przedpotopowy kamienny młotek. Jakby wiedzieli, dokąd zmierzamy, jakie będzie nasze życie.

Ale dawny herb nie zginął. Nabrzimował krwią, purpurowym blaskiem świecił nad głową Bossa – straszliwy dwugłowy ptak, niezjadający innego pokarmu, niż żywe ludzkie mięso. Jedną głowę orła nazywała się Beria, druga – Malenkow. Pierwszy krwio pijca był szefem policji, drugi – szefem partii. I wspólnymi siłami trzymali państwo w łapach, berłem stupudowym nieustannie walili po głowach – pokornych i niepokornych, bez różnicy, jak popadło...

...i zobaczyłem, że korytarzem idzie mi na spotkanie Abakumow.

...Wiktor Siemionycz, wszechwładny nasz minister, zwierzchnik Wydziału, obłudny głupiec, prostoduszny chytrus, niesłychanie przewrotny zawałdiaka.

Abakumow – nieco ode mnie wyższy, odrobinę starszy, o purpurowej facjacie, w aureoli buszującego w nim spirytusowego płomienia.

Odpięte górne guziki bluzy, lśniące pagony, giemzowe buciki, czerwone generalskie lampasy, krwawą strugą spływające po bokach angielskich bryczesów.

Uśmiecha się chytrze, palcem mi grozi:

– No, to opowiadaj, Paweł, o swoich wyczynach, pochwal się sukcesami!

Spotkaliśmy się na korytarzu, niedaleko jego gabinetu. Na pewno chodził do któregoś ze swoich zastępców, kawały opowiadał. Wesoly, jeszcze nie

pijany, ale już mający porządnie w czubie. Jest ósma wieczór, zima pięćdziesiątego roku, spłonął już w krematorium nieznany włóczęga profesor Lurie, o Lutostańskim nic jeszcze nie wiem, siedzi w biurze przepustek, wypisuje czekistom legitymacje swoim kaligraficznym pismem, i Mińka Riumin jest na razie tylko starszym śledczym, ale już mu podsunąłem sprawę lekarzy-morderców, aż przebiera z niecierpliwości nogami, a kierownictwo jeszcze nic nie wie o tym planie, trzeba go dograć, opracować i przedstawić we właściwej formie, w stosownej chwili i w odpowiednie ręce.

– Jakie tam u nas sukcesy, towarzyszu generale? Ślęczymy nad papierami, i tyle. Dawniej angażowaliście mnie do swoich bojowych spraw, ale teraz stałem się biurokratą. Spodni od przydziału do przydziału nie starcza, przecierają się od siedzenia na krześle...

Abakumow zaśmiał się, poklepał mnie zachęcająco po ramieniu:

– Nie bądź taki skromny! Jestem zadowolony z ciebie. Dobrze się starasz, ty szelmo. A majstrów od wypadków samochodowych czy nagłych i niespodziewanych samobójstw u nas nie brakuje. Dobra, idziemy do mnie, pogadamy...

Objął mnie za ramiona i poprowadził do swojej poczekalni, którą nazywaliśmy między sobą „wagon” – niezwykle długa sala, umeblowana dwoma szeregami stojących wzdłuż ścian odkładanych krzeseł, na których w tej chwili jechało ze dwudziestu generałów pod badawczym spojrzeniem pułkownika Koczegarowa, osobistego adiutanta ministra. Przy biurku, z tuzinem stojących na nim różnokolorowych telefonów, Koczegarow istotnie wyglądał na motorniczego: naciskał guziki na pulpicie, mówił coś do mikrofonu, podnosił jedną słuchawkę, drugą przyciskał ramieniem do ucha, a trzecią rzucał na widelki.

Jednogłośnie trzasnęły siedzenia odkładanych krzeseł, generałowie wyciągnęli się jak struny i z nieukrywaną zazdrością utkwili wzrok w moim ramieniu, na którym spoczywała dłoń ministra.

Boże mój, czegoż by oni nie dali, byle tylko zamienić się ze mną miejscami i podsunąć swoje drżące ze wzruszenia i miłości ramię pod osłonę ręki Abakumowa!

Nie na darmo przecież siedzieli na odkładanych krzesłach. Nie wiem już, kto to wymyślił – Jagoda, Jeżow czy Ławrentij – żeby postawić w poczekalni u ministra bezpieczeństwa państwowego ZSRR nie zwykłe biurowe meble, tylko politurowane odkładane krzesła. Jak w kinie. Odrobinę się człowiek uniósł, poruszył nie tak jak trzeba, zapomniał się, stracił kontrolę nad krzesłem – i klap! Z suchym trzaskiem wyskakuje spod ciebie siedzenie. I te

chtybkie, niepewne krzesła dobijały ich ostatecznie, gdyż żaden spośród nich – dwóch dziesiątek generałów – nie wiedział, po co wezwał go minister.

W sprawach bieżących? W celu złożenia sprawozdania? Z pochwałą – czy z naganą? W sprawie awansu – czy degradacji? A może...

W zeszłym roku obok tego biurka motorniczy Koczegarow na rozkaz ministra na moich oczach zerwał pagony z generała Iljina i wysłał go pod konwojem w podziemie bloku G, do więzienia wewnętrznego.

I teraz wszyscy starali się zajrzeć Abakumowi w oczy, zgadnąć, co sprawiło, że zostali wezwani, ocenić, ile jeszcze przyjdzie im siedzieć na odkładanych krzeselkach. Na próżno. Abakumow szedł przez poczekalnię, otaczając mnie ramieniem, i patrzył ponad szpalerami generałów leciutko zmrużonymi oczami, obojętnie, z odrobiną odrazy.

Koczegarow wyskoczył zza biurka, trzęsąc pokraccznie tłustymi udami, całkiem jakby był odziany w watowane spodnie:

– Nikt nie dzwonił, Wiktorze Siemionyczu. Cisza...

Dostojnie, ledwie zauważalnie, niczym prawdziwy wielmoża, skinął mu głową Abakumow, pchnął mnie lekko w otwarte drzwi gabinetu i łaskawie zezwolił:

– Siadaj... Zaraz strzelimy sobie po kielichu...

Przyjemny miał gabinecik Wiktor Siemionycz. Zaplanowano go kiedyś jako salę posiedzeń. Salę posiedzeń Zarządu Towarzystwa Ubezpieczeniowego Rosja.

Oh, ci beztroscy ubezpieczyciele! Od wszelkich nieszczęść, od każdej biedy obiecali człowieka ubezpieczyć. Zapłacić, zrekompensować... Wystawili elegancki budynek na placu Łubiańskim, urządzili salę dla zarządu – cacko. Czarne dębowe belki na drewnianym suficie, panele na ścianach, kominek z fińskiego granitu, gigantyczne kryształowe kandelabry.

Tylko z głównym ubezpieczycielem, niebieskim, zapomnieli się naradzić, i wjechał do sali posiedzeń Zarządu Towarzystwa Ubezpieczeniowego Rosja Feliks Edmundowicz Dzierżyński. I zabrał się za ubezpieczanie!

A za nim – Mężynski.

A za nim – Jagoda.

Za nim – Jeżow.

Za nim – Beria.

A teraz zasiada przy zielonym stole o rozmiarach kortu tenisowego Wiktor Siemionycz, również główny ubezpieczyciel Rosji.

Dzielne chwaty-ubezpieczyciele!

A i my to chłopcy jak się patrzy!

My – agenci ubezpieczeniowi. Skromne Towarzystwo Ubezpieczeniowe Rosja przekształciliśmy we wszechmocne Rosyjskie Towarzystwo Strachu*. Państwowe ubezpieczenia. Państwowe bezpieczeństwo. Państwowy strach.

Jeden tylko szkopol: strasząc innych, sami stoimy po uszy w lodowatej kaszy przerażenia. I nie ma stąd wyjścia nigdy i dla nikogo – ubezpieczenie na życie obejmuje przecież wszystko: majątek, wolę, członków rodziny, zdrowie i życie.

Świat nie znał dotąd takiego ubezpieczenia...

Abakumow wyjął z serwantki czarną butelkę bez etykiety, nalał do kieliszków, krótko zakomenderował:

– No to chlup!

I chlusnął w siebie bursztynowy płyn. Ja też się nie ociągałem.

Zaszeleścił minister staniolowym opakowaniem czekolady Srebrna Etykieta, odgryzł kawałek wprost z bloku i podsunął mi resztę.

O, niesłychane oznaki łaski! Jakaś serio sprawa mnie czeka!

– Nad czym pracujesz? – spytał.

– Jest taka jedna ciekawa sprawa, towarzyszu generale – zacząłem ostrożnie, chcąc dokładnie wy badać jego stosunek do sprawy lekarzy. – Pewien człowiek sygnalizuje mi, że wśród naszych Żydów zaczęły się niepokoje...

Abakumow zaśmiał się:

– Żydki zawsze czegoś się domagają. Taka ich natura. O co im chodzi tym razem?

– Chcą własnego państwa. Swojej republiki...

– Coś takiego! – zdumiał się Abakumow. – Przecież daliśmy im okręg w Birobidżanie!

– Mówią, że to za daleko i za zimno. Chcą na Krym...

– Co? – zdenerwował się Abakumow.

– Na Krym, w miejsce wysiedlonych Tatarów. Tam, powiadają, będzie można łatwo zgromadzić wszystkich Żydów z całego kraju i ustanowić siedemnastą republikę związkową.

– A kijem po dupie nie chcą? – spytał Abakumow tak groźnie, jakbym to właśnie ja ubiegał się o powołanie Żydowskiej Socjalistycznej Republiki Związkowej ze stolicą w Sewastopolu.

* Gra słów: „ubezpieczeniowy” to po rosyjsku *strachowoj*, „ubezpieczać” – *strachowat*, „ubezpieczenie” – *strachowka* lub *strachowani*je itp.

- Jasne, że nie chcą – odpowiedziałem spokojnie i dodałem: – Ale bez porządných batów się nie obejdzie...
- A kto w tym bierze udział?...
- Większość to, nie wiadomo dlaczego, lekarze, profesorowie medycyny. Paru literatów. Trochę inżynierów...

Rzecz jasna bynajmniej nie zależało mi na utworzeniu żydowskiej republiki. Po prostu ta hipotetyczna kraina była mi potrzebna jako fundament pod moje kunsztowne dzieło sztuki – spisek lekarzy, mający na celu zamordowanie Wielkiego Bossa.

Dlatego poleciłem dziennikarzowi-informatorowi Dawidowi Asławskiemu, żeby pośród ich inteligencji rozpowszechnił ideę powołania republiki żydowskiej, wyjaśniając, że pomysł ten pochodzi od władz. Niby że – po pierwsze, ze względów dyplomatycznych, po drugie, by stworzyć przeciwwagę dla syjonistycznych wpływów Izraela, a po trzecie, by ostatecznie i skutecznie rozwiązać problem żydowski – władze zainteresowane są w stworzeniu kwitnącej republiki żydowskiej na Krymie. Trzeba tylko, by grupa przedstawicieli inteligencji żydowskiej zwróciła się z odpowiednią prośbą do Bossa. A on, rzecz jasna, zgodzi się, tym bardziej że cały półwysp, jeden wielki kurort, po usunięciu stamtąd zdrajców-Tatarów jest praktycznie bezludny.

Pomiędzy Żydami, chociaż to dziwne, też zdarzają się dumnie. I paru takich żydowskich bęcwałów od razu się nabrało, zachwyciło się, rozmarzyło. A zachwyciwszy się, pomknęli jak z terpentyną w tyłku do swego głównego reprezentanta przed obliczem Bossa – Ilji Iskariotowicza Erenburga.

No a ten śmierzdel, nie głupszy ode mnie, wysłuchał ich, wypytał, przeczytał sporządzone już podanie i rzekł:

– Chcecie mieć getto? To będziecie je mieli. Tylko nie na Krymie, a znacznie dalej na północny wschód...

Jednak orędowników żydowskiej państwowości nie ostudził.

– A więc, powiadasz, że Żydzi mają ochotę wybrać się nad ciepłe morze? – spytał Abakumow i zacmokał językiem.

Na biurku zadzwonił aparat telefoniczny w kolorze kości słoniowej, ze złotym godłem na tarczy.

– Abakumow, słucham! – I od razu aż uniósł się z gorliwości z krzesła. – Słucham, Ławrentiju Pałyczu, słucham!... Tak... Tak, oczywiście... Tak jest! Niezwłocznie wydam stosowne polecenia... Rozkaz... Bezwarunko-

wo się tym zajmę... Moja wina... Ludzie czasami zawodzą... Wszystko wykonam osobiście... Tak jest...

Słuchawka warczała, krztusiła się falami gardłowego kaukaskiego zlorzeżenia, iskrzyła od wybuchów gniewu Ławrentija.

I nagle Abakumow, nie zwracając na mnie uwagi – zapomniał o mnie czy aż tak mi ufał? – powiedział łzawo:

– Ławrentiju Pałyczu, kochany, wiecie przecież, że ten sukinsyn Krutowanow śledzi każdy mój krok, krwi mojej jak kruk pragnie... Szwagier na naszą zgubę wsadził mi go za plecy...

Pomilczał, wsłuchując się w telefoniczne obelgi swojego patrona, po czym rzekł:

– Naturalnie, postaram się ze wszystkich sił... Rozkaz... Jutro zreferuję...

Położył słuchawkę na widełki, nalał sobie drżącą ręką koniaku i wypił, tym razem nie zakąszając czekoladą.

Siedziałem bez ruchu. Jak mysz pod miotłą. Najchętniej uciekłbym przez jakąś dziurę w parkiecie. Niechcący usłyszałem rozmowę, której słyszeć nie powinienem.

Podpatrzyłem, jak dwa drapieżne ptaki z godła, wysunąwszy się zza głowy Bossa, rzucają się na siebie.

Szwagier – to Malenkow. Jego żona i żona Krutowanowa to rodzone siostry. Krutowanow, lebski, żyłasty cwaniak, siedzi w gabinecie na tym samym pięttrze. Pierwszy zastępca towarzysza Abakumowa. Oczy i uszy Malenkowa w tym bastionie Berii.

Śmiertelny pojedynek. Jeśli tylko Abakumow popełni jakiś poważny błąd, na jego miejsce od razu wskoczy Krutowanow. A Malenkow tym sposobem podpiłowuje nóżki krzesła, na którym siedzi Beria.

Co prawda Krutowanowa od razu przebiję drugi pupil Berii – zastępca ministra Kobułow. Jednak Boss lubi Abakumowa i ufa mu bardziej niż Kobułowowi – obawia się ormiańskiego kombinatorstwa. I dlatego trzyma za plecami Kobułowa swojego krajana, Goglidze.

A Malenkow wysłał na pomoc Krutowanowowi swojego byłego sekretarza, a dziś trzeciego zastępcę ministra, Sudopłatowa...

Och, te wszystkie kombinacje w szachowej partii polityki!

Polityczna partia.

Policyjna polityka.

Partyjna policja.

Próżna fatyga, jako że czarnymi i białymi figurami gra jeden i ten sam arcymistrz. Sam ze sobą. Przeciw ludzkości.

Abakumow spojrział na mnie zamglonym okiem, westchnął ciężko:

– Ech, Paszka, bracie, państwem rządzić to nie w kij dmuchał... .

Pokiwałem ze zrozumieniem głową, ale mimo wszystko zdecydowałem się przypomnieć:

– Wiktorze Siemionyczu, a co robimy z żydowską autonomią na Krymie?

Abakumow machnął ręką:

– A, nieważne! Daj komu trzeba po łbie, ale rozkręcać tej sprawy nie ma teraz sensu. Teraz poważniejsze sprawy mamy na głowie...

Wstał, włożył pas, zapiął ciasniej, poprawił pod pagonem koalicijkę, przeszedł się sprężystym krokiem po gabinecie, czemu wtórował rażny chrzęst i skrzypienie jego końskiej uprzęży z lakierowanych rzemieni oraz pobrzękiwanie orderów, medali i klamerek. Wionęła na mnie fala przenikliwego zapachu skóry, potu, koniak, mocnej wody kolońskiej. W jego gibkiej sylwetce, w całym ciężkim, muskularnym ciele była straszliwa siła porządnie wypasionego zwierzęcia.

– Jedziemy! – rozkazał.

– Tak jest! Pozwolicie, że skoczę po płaszcz, Wiktorze Siemionyczu?

– Nie trzeba. – Uśmiechnął się. – W moim samochodzie jest ciepło.

Znów szliśmy przez wagon poczekalni, gdzie generałowie na odkładanych krzeselkach długie, niekończące się godziny będą czekać na nasz powrót, poprzez korytarz wyłożony purpurowymi chodnikami, zupełnie jakby przesiąkły krwią lampasów na bryczesach Abakumowa, poprzez katakumbową szarość granitowego holu. Wszyscy, których spotykaliśmy, sztywnieli w pozycji na baczność, z rękami wzdłuż szwów, plecami do ściany, utkwivszy promienne oczy w szerokie czoło Abakuma, wstrzymawszy w piersi oddech, pogrążeni w niemym zachwycie subordynacji.

A ja w napięciu myślałem o tym, że na spisku lekarzy pojawiła się rysa już na samym początku – zanim jeszcze w całości narodził się na świat. Jakaś „poważniejsza sprawa”, która wypłynęła właśnie w tym momencie, odciągnęła uwagę naszego znakomitego ministra.

Naczelnik ochrony krzyknął dźwięcznie na całą kryptę holu: „ba-a-aczność!”, stuknęły podkute obcasy warty, i wyszliśmy na ulicę, w leniwie padający śnieg, w ciszę wieczoru.

Żółtym, oleistym światłem płonęły latarnie, szurały po chodniku łopaty dozorców. Po rewirze Wydziału chodzili wartownicy – dziwni żołnierze

w paradnych oficerskich mundurach, z dwunastostrzałowymi samopowtarzalnymi karabinami. Te karabiny nadawały się tylko do odstraszenia bezbronnych ludzi. Imponujące półautomaty z płaskimi bagnetami były ciężkie, bały się mrozu, wody, piasku i uderzeń tak samo, jak te okazałe, spalone wologodzkie próżniaki, które je nosiły. Jednak swoją rolę zastraszania spełniały znakomicie – ani jednego przechodnia nie było na chodniku, po którym nikomu nie zakazywano chodzić.

Sześciu ochroniarzy ustawiło się od drzwi wejściowych do drzwiczek pykającego dymkami spalin lincolna. Na twarzach tych chwatów wypisana była obawa: zdążyć wskoczyć w porę do swego zisa 110 i nie stracić z oczu limuzyny ministra.

Jako że Abakumow nie bał się zamachu nigdy u nas nieistniejących terrorystów, jego ulubionym żartem były wyścigi z ochroną. Nie zdążył jeszcze dowódca konwoju zatrzasnąć za mną drzwiczek, a minister już zakomenderował szoferowi: „Gazu, Wognistyj!” – i lincoln pomknął przez plac Dzierżyńskiego.

W tylnej szybie, pancerniej, mieniającej się naftową tęczą, widziałem, jak ochrona wskakuje w biegu do już ruszającego zisa, jak migają gorączkowo jego żółte reflektory. Nad placem rozległ się kwakający ryk niklowanych rządowych syren.

– Do cyrku – powiedział Abakumow do kierowcy.

Nie zdziwiło mnie to. Dwa, trzy razy w tygodniu groźny minister jeździ do cyrku, gdzie zawsze czeka na niego prywatna łoża.

Z pewnością psychologiczna głębia żonglerów, dramatyczne wyrafinowanie gimnastyków, mądrość sztukmistrzów uszlachetniały mroczną duszę Abakumowa, czyniły ją weselszą i bardziej miłosierną.

Abakumow nachylił się ku przodowi i kręcąc korbką, jak przy nastawianiu patefonu, podciągnął w górę za plecami kierowcy grubą szybę. A potem powiedział do mnie z troską:

– A więc tak, Paweł: pojedziesz do Lenigradu. Mamy do załatwienia dużą sprawę. Całe tamtejsze okręgowe naczalstwo posadzimy. Sprzedali się, malenkowowskie sukinsyny...

Tak też go zapamiętałem podczas tej rozmowy – już uzgodnił sprawę na górze i gotów jest zlikwidować całe leningradzkie kierownictwo, kręci korbką, podnosząc w górę szyby, tak jakby nastawiał patefon, żebyśmy mogli posłuchać tu, w salonce, modnego tanga *Wieczór*.

Wiele lat później wspominałem tę rozmowę, czytając akta sprawy byłego ministra bezpieczeństwa państwowego ZSRR, obywatela W.S. Abakumowa.

PYTANIE PRZEWODNICZĄCEGO KOLEGIUM WOJSKOWEGO SĄDU NAJWYŻSZEGO ZSRR, W.W. ULRICHA: Niech oskarżony powie, za co dwadzieścia lat temu, w kwietniu 1934 roku, wykluczono go z partii?

ABAKUMOW: Nie wykluczono mnie. Przeniesiono na rok w szeregi kandydatów za niedojrzałość polityczną i niemoralne zachowanie. A potem przywrócono mi członkostwo.

ULRICH: W ciągu roku dojrzelście politycznie, a wasze zachowanie stało się moralne?

ABAKUMOW: Naturalnie. Zawsze byłem dojrzałym, w pełni moralnym bolszewikiem. To wrogowie i zawistnicy próbowali mnie zrobić.

ULRICH: Jakie stanowisko zajmowaliście w tamtym czasie i jaki przysługiwał wam stopień wojskowy?

ABAKUMOW: Wszystko to napisane jest w aktach sprawy.

ULRICH: Proszę odpowiadać na pytania sądu.

ABAKUMOW: Byłem młodszym lejtnantem i zajmowałem stanowisko pełnomocnika operacyjnego w Wydziale Tajno-Politycznym OGPU.

ULRICH: Po czterech latach mieliście już stopień starszego majora bezpieczeństwa państwowego, to znaczy zostaliście generałem, i zajęliście stanowisko naczelnika rejonowego oddziału NKWD w Rostowie. Co spowodowało tak szybki awans?

ABAKUMOW: Wielkie rzeczy... Po upływie kolejnego półtora roku byłem już komisarzem ludowym bezpieczeństwa państwowego. Nic dziwnego – partia i osobiście towarzysze Stalin docenili moje zdolności i bezgraniczne oddanie sprawie WKP(b).

ULRICH: Siadajcie, oskarżony. (DO KOMENDANTA): – Proszę wprowadzić świadka Orłowa. (DO ŚWIADKA): – Czy świadek dobrze zna oskarżonego?

ORŁOW: Tak, to były minister bezpieczeństwa państwowego ZSRR, generał Wiktor Siemionowicz Abakumow. Znam go od roku trzydziestego drugiego, służyliśmy obaj w SPO OGPU jako pełnomocnicy operacyjni.

ULRICH: Co możecie o nim powiedzieć?

ORŁOW: To był świetny chłop. Wesoły. Kobiety za nim przepadały. Wiktor zawsze chodził z patefonem. Mówił, że to jego teczka. W patefonie jest takie wgłębienie, gdzie zawsze miał butelkę wódki, czekoladę i już

pokrojoną kielbasę. Kobiety, rzecz jasna, wariowały na jego punkcie – przystojny, z własną muzyką, znakomity tancerz, a do tego jeszcze z wódką i zakąską.

ULRICH: Proszę zebranych o zachowanie powagi! Wszyscy, którzy będą zakłócać spokój na sali sądowej, zostaną wyprowadzeni. Proszę, niech świadek kontynuuje...

...łzy napłynęły mi do oczu. Wspomniałem go – kręcącego korbką mechanizmu podciągającego szybę za plecami kierowcy Wognistego. „...całe tamtejsze kierownictwo posadzimy... Sprzedali się, malenkowskie sukiesiny...”

ULRICH: Świadek Orłow, byliście obecni na zebraniu partyjnym, kiedy Abakumowa przenoszono z szeregów członków WKP(b) w szeregi kandydatów, prawda? Czy pamiętacie, o co wtedy chodziło?

ORŁOW: Naturalnie, że pamiętam. We dwóch z lejtnantem Paszką Mieszikiem, byłem ministrem bezpieczeństwa państwowego Ukrainy, przepili całą kasę pożyczkową naszego wydziału.

ULRICH: Ale Mieszik nie był jeszcze wtedy ministrem na Ukrainie?

ORŁOW: Tak, oczywiście, wtedy był po prostu naszym towarzyszem ze służb operacyjnych. To dopiero później, po Jeżowie, tacy jak on nałapali gwiazdek.

ULRICH: A za co – wyrażając się waszym językiem – nałapał gwiazdek Abakumow? Wiadomo wam?

ORŁOW: To przecież wszyscy wiedzą. W trzydziestym ósmym roku pojechał do Rostowa z komisją Kobiułowa jako sekretarz. Za Jeżowa pół miasta tam wytłukli. No i towarzysz Stalin kazał się zorientować, czy wszystko jest jak należy... Więc Beria, nowy komisarz ludowy NKWD, wysłał swojego zastępcę Kobiułowa. A ten zabrał ze sobą Abakumowa, bo właśnie tylko co wywalił swojego poprzedniego sekretarza, kompletnego bałwana, który nawet odpowiednich bab zorganizować nie potrafił...

ULRICH: Proszę, by świadek wyrażał się przyzwoicie!

ORŁOW: Tak jest! No więc... Wit'ka, sam rostowianin, znał wszystkich co trzeba. Przyjechali wieczorem, w nocy rozstrzelali okręgowego naczelnika NKWD, a od rana zaczęli przeglądać sprawy aresztowanych, tych naturalnie, co jeszcze żyli. Martwych się przecież nie wskrzesi. Abakumow z miejsca odnalazł jakąś ciotkę, czy po prostu znajomą, starszą kobietę, która przed rewolucją prowadziła dom publiczny, a za władzy radzieckiej po cichu

trudniła się stręczycielstwem. Krótko mówiąc, z pomocą tej baby w przeznaczonej dla komisji willi zorganizował różowy balecik...

ULRICH: Niech świadek wyraża się jaśniej!

ORŁOW: Czy można jeszcze jaśniej? Najlepsze kurwy zmobilizował, przepraszam za wyrażenie. Wódy towarzysz Abakumow zwiózł całe skrzynki, zarekwirował kucharzy z restauracji Zajazd, która była na Kazańskiej, teraz przemianowanej na ulicę Fryderyka Engelsa. No cóż... Komisja ostro pracowała, trzy razy na dobę skład dziwek wymieniali. A potem Kobułow podjął decyzję: w chwili obecnej nie da się już ustalić, kto z aresztowanych siedzi za faktyczną działalność, a kto przypadkiem. No i czasu nie ma... Dlatego komisja pojechała do aresztu na Bagatianowskiej, a potem do aresztu wewnętrznego, ustawili wszystkich więźniów – i „do dwóch – odlicz!” Parzystych wysłali z powrotem do cel, nieparzystych – do domu. Niech wiedzą, że jest na świecie sprawiedliwość!

ULRICH: A co z Abakumowem?

ORŁOW: Jak to co? Za oddanie sprawie i efektywność działania Kobułow zostawił go w charakterze pełniącego obowiązki naczelnika okręgowego zarządu NKWD. I awansował z lejtnanta od razu na starszego majora. A za rok Abakumow wrócił do Moskwy. Już jako komisarz bezpieczeństwa państwowego trzeciej rangi...

ULRICH: Oskarżony Abakumow, co możecie powiedzieć na okoliczność przedstawionych przez świadka dowodów?

ABAKUMOW: Mogę powiedzieć tylko tyle, że dzięki moim wysiłkom została uratowana duża grupa uczciwych radzieckich obywateli, skazanych na śmierć w związku z naruszeniem socjalistycznej praworządności przez krwawą bandę Jeżowa i Berii. Proszę o wniesienie tego do protokołu. To po pierwsze. A po drugie, wszystkie opowiadania Sańki Orłowa co do zorganizowanego jakoby przeze mnie burdelu – to wymysł, oszczerstwo rzucone na płomienego bolszewika i bezgranicznie oddanego czekistę! A oczernia mnie z zawiści, dlatego że jego do domu nie wpuszczali, i marzył, osioł, w ochronie zewnętrznej... I co się działo w środku w czasie pracy komisji nie może wiedzieć.

ULRICH: Pytanie do świadka Orłowa. Wasze ostatnie stanowisko przed zwolnieniem z organów bezpieczeństwa i aresztowaniem?

ORŁOW: Naczelnik wydziału Dziewiątego Zarządu Głównego MGB ZSRR, starszy komisarz ochrony.

ULRICH: Dziękuję. Konwój może odprowadzić świadka...

Nie chciałem jechać do Leningradu, żeby sadzać tamtejsze kierownictwo, sprzedajnych sukinsynów Malenkowa. Nie żebym ich żałował, wieprzów utuczonych; po prostu nie widziałem w tym żadnej dla siebie korzyści. W ogóle nie wiadomo, o co tutaj chodzi i jakie mogą być tego konsekwencje. Prowadziłem własną grę i musiałem się teraz jakoś zręcznie wykręcić.

Mknęliśmy lincolnem Abakumowa przez zaśnieżoną wieczorną Moskwę, a poprzez grubą szybę, oddzielającą nas od kierowcy Wognistego, ledwie słyszalnie dobiegał z radia piskliwy głos Tamary Krawczenko, wschodzącej wówczas gwiazdy estrady:

Zalew tonie w przedwieczornej mgle

Po raz pierwszy ukochaną nazwij mnie

Wszystkie gwiazdy i księżyc mi daj...

Abakumow rozmyślał o czymś pośepnie, na pewno o czekającym go wkrótce sadzaniu leningradzkich przywódców, sukinsynów Malenkowa. Nagle całkiem nieoczekiwanie powiedział:

– Głos, jak w dupie włos: cienki i nieczysty... – Pomyślał chwilę i dodał: – Ale w łóżku tańczy nieźle...

Zaśmiałem się, złapałem leniwie toczącą się po polu piłkę i zdecydowałem się rozpocząć swój bieg do bramki:

– To najważniejsze. Dla mnie może być i całkiem niema, byle w łóżku dała występ na poziomie...

Musiałem strzelić bramkę, zanim dojedziemy do cyrku. Abakumow zbyt często korzystał z tamtej łoży – niemożliwe, żeby nie zainstalowali tam paru mikrofonów.

– Znam jedną taką... – szepnąłem z przejęciem. – O, to prawdziwa prima-donna! I milczy. Nasz Siergiej Pietrowicz całkiem na jej tle zwariował...

– Krutowanow? – zdziwił się Abakumow. I od razu połknął haczyk: – No i?

– Podarował tej babie diament Saksonia...

– Co to za diament?

– Paszka Mieszik wydlubał go z korony królów saksońskich. W Dreźnie...

– Co, co?

– Naprawdę, w czterdziestym siódmym. Na moich oczach śrubokrętem go wydlubał!

– No i co?

– I kazał mi go przekazać tylko co mianowanemu zastępcy ministra Krutowanowowi.

– Po co?

– Żeby go wprawić w rękojeść kindżału i podarować ten kindżał w imieniu pracujących w Niemczech czekistów Josifowi Wissarionowiczowi.

– Ajajaj! – jęknął Abakumow. – Ale dlaczego Krutowanowowi?

Zaśmiałem się:

– Przecież znacie Paszkę Mieszika: wszystkie sroki naraz za ogon by złapał. Sam na wyższych poziomach się nie porusza, ale poprzez Krutowanowa i jego szwagra bez trudu taki prezent może podrzucić, a przy okazji i ich względy sobie zapewnić...

– Tak-tak-tak... – Abakumow mlasnął językiem i pokręcił głową. – Ale chojraki! Ale spryciarze! No i co jednak nie wręczyli?

Pokiwałem ze smutkiem głową.

– No a jak ten kamyczek znowu wypłynął?

– Mam agenta, jubilera. Od lat robi na zamówienie różne rzeczy dla Anny Iwanowny Nikulcewej, żony naszego słynnego pisarza Nikulcewa...

– Jasny gwint! – wzburzył się Abakumow. – Pisarze, co na ścianach wychodków piszą! W życiu nie słyszałem o takim pisarzu, a ten, patrzcie, ma własnego jubilera!

Uśmiechnąłem się:

– Ależ czytaliście, Wiktorze Siemionyczu! Zapomnieliście po prostu. On przecież oprócz książek pisze powieści dla nas. Agent, pseudo Borsuk...

– Tak?... A, czort z nim, wszystkich człowiek nie pamięta... No to co z tym jubilerem? I z tą babą?

– No więc ta baba, Nikulcewa, miodem ma widać między nogami posmarowane: w każdym razie Krutowanow sześć lat z nią żyje, drogie prezenty jej kupuje... A ona na niego chucha i dmucha, i pieści, miłość między nimi niezemska, a równocześnie ta chytruska po cichutku, nic nie mówiąc, geszefy rozmaite z tymi prezentami wyprawia...

– Sprzedaje je?

– Akurat! Sprzedaje! Nic nie sprzedaje, ona wyłącznie kupuje. Kosztowności rozmaitych ma bez liku...

– Skąd?

– Rzecz w tym, że oprócz męża i Siergieja Pietrowicza ma jeszcze jednego przydupasa.

– A to kurwa! – zdenerwował się Abakumow. – To ilu jej tych jebaków trzeba?

– Nie, Wiktorze Siemionyczu, ona nie z chuci się puszcza, ma wyższe aspiracje. Ten kochanek to Liwszyc, Aron Liwszyc...

– Skrzypek?

– Tak, skrzypek. Nasz najwybitniejszy skrzypek. No i madame przyprawia wszystkim trzem rogi.

– Aha. No a co z tym jubilerem?

– Jubiler doniósł mi w tych dniach, że przywiozła kamień w oprawie do wyceny. Kamyczek niezwyklej urody i takichże rozmiarów. Podjechałem tam i oniemiałem: to ten sam kamień, który trzy lata temu oddałem Krutowanowowi.

– Jesteś pewien? – szybko spytał Abakumow. Z jego przymrużonych oczek, ze zmarszczonego czoła widać było jak na dłoni, że zaczyna snuć przyszlą genialną intrygę.

– Trudno o pomyłkę, Wiktorze Siemionyczu; na oprawie, w platynowej różyczce, napisane jest tam „Rex Saksoniae”.

– Jasne. Dawaj dalej – ponaglił Abakumow.

– Jubiler powiedział, że kamień wart jest jakieś trzysta pięćdziesiąt – czterysta tysięcy. Nikulcewa pomyślała, coś tam w głowie policzyła i mówi: jutro do was przyjdzie po ten kamień pewien człowiek, proszę powiedzieć, że kosztuje dwieście pięćdziesiąt tysięcy, nie mniej.

– Kapuję – skinął głową Abakumow. – Nazajutrz przyszedł mąż.

– Niezupełnie. Nazajutrz zjawił się Liwyszyc. Jubiler od razu go poznał: znana postać, jego zdjęcia zamieszczają we wszystkich gazetach... A mąż przyszedł dopiero na trzeci dzień.

– Znaczy, że ta suka złupiła za podarowany kamień z nich obu? – zachwycił się minister.

– Na to wychodzi...

– A po co jej takie pieniądze? – z żywym zainteresowaniem spytał Abakumow. – Co z nimi robi?

– Kapitał obrotowy. Kupuje inne kamienie. Kolekcję ma, palce lizać. Diamentowa fundacja!

– Ach, Siergiej, przyjacielu mój najdroższy! – jęknął z rozkoszy Abakumow. Oto pętla zaciska się na szyi wroga! – A i Paszka Mieszik też niezły koleś! Siedzi sobie w Kijowie, drań, gałuszki wcina i ani mru-mru...

Lincoln miękko przyhamował u wejścia do rzęsiście oświetlonego cyrku. Nie zdążyliśmy jeszcze podnieść się z siedzeń, gdy za oknem pojawił się komisarz ochrony, czekając na komendę, by nacisnąć klamkę i otworzyć na oścież drzwiczki.

Abakumow nie spieszył się jednak do swojej łoży. Usadował się wygodniej na czarnej, giemzowej kanapie i patrzył na mnie, jakbym był powietrzem. Potem przeniósł spojrzenie w bok i powiedział ze smutkiem:

– I ty też milczysz... Dlaczego?

– Musiałem na własne oczy zobaczyć ten kamyczek – powiedziałem. – To sprawa poważna, Wiktorze Siemionyczu.

– No więc zobaczyłeś... i...

– I przedwczoraj zapisałem się do was na audiencję. Ale wy pojawiliście się dopiero dzisiaj.

– To prawda – powiedział w zadumie Abakumow, klepnął mnie lekko po ramieniu i cicho pochwalił: – Zuch z ciebie, Paszka. Przysłużyłeś mi się... Zdecydowałem się wyłożyć ostatnią, atutową kartę:

– Jakby tę Nikulcewą troszeczkę przycisnąć, ma się rozumieć, w odpowiednich okolicznościach, to moglibyśmy tam jeszcze parę interesujących rzeczy znaleźć...

– Myślisz?

– Jestem pewien. On dawał jej w prezencie konfiskowane kosztowności...

– W porządku. – Skinął głową minister. – Zajmij się tym niezwłocznie. Zorganizuj wszystko jak należy, ale żeby Krutowanow niczego się nie domyślił, dopóki cała sprawa nie będzie gotowa.

– Rozkaz, towarzyszu generale. – Zasalutowałem, patrząc, jak komisarz ochrony przestępuje na mrozie z nogi na nogę. – Ale przecież poleciliście mi jechać do Leningradu?

Abakumow popatrzył na mnie z ukosa, uśmiechnął się i powiedział:

– Zostaw to! Nie trzeba... Dla mnie teraz ważniejsza jest ta sprawa. A w Leningradzie i bez ciebie dadzą sobie radę...

Tak, w Leningradzie i beze mnie całkiem nieźle dali sobie radę – wszystkich partyjnych bossów wytłukli!

Boże święty, na jakie ryzyko poszedłem wtedy, wydając ministrowi Krutowanowa! Byle tylko nie jechać do Pitra.

Możliwe, że właśnie wtedy narodził się we mnie tajny dyspozytor moich postępów, który bezbłędnie wydawał mi polecenia: „wolno!” Albo: „nie wolno!”

Stawiając wtedy na spisek lekarzy i broniąc się ze wszystkich sił przed sprawą leningradzką, nie mogłem przewidzieć, że za parę lat nowi gospodarze, kombinując, jakby tu się pozbyć Abakumowa, a równocześnie nie pobrudzić zanadto rąk, zdecydowali się koniec końców przyfastrygować go do sprawy leningradzkiej. I wszyscy, którzy brali w tym udział, zostali straceni.

Jezu! Przecież i mnie by zgarnęli. I stracili. Mnie!

Jednak wtedy w lincolnie Abakumowa coś mi mówiło: „Wyдай Krutowa-
nowa! Zaryzykuj!” I wydałem. W czasie krótkiego przejazdu z Łubianki do
cyrku na Bulwarze Kwiatowym.

I przeżyłem.

– Idziemy – powiedział Abakumow. Uniósł się z kanapy, i komisarz ochro-
ny momentalnie otworzył na oścież ciężkie, opancerzone drzwiczki limuzy-
ny, wyciągnął się jak struna na baczność, pożerając ministra oczami. Może
to był właśnie ten Orłow, który ze szczerą życzliwością idioty opowiadał na
procesie o patefonie Abakumowa?

Nie wiem. Jak to dobrze, że on mnie nie znał i nie jechał razem z nami.
Mógłby i o mnie opowiedzieć w sądzie sporo ciekawych rzeczy...

A tak sumienie ochroniarza było czyste, podobnie jak jego pamięć. Wniósł
za nami do łoży aktówkę-walizeczkę, szczerknął niklowanymi zamkami,
wyciągnął butelkę Napoleona, lemoniadę katechryńską i Łagidze, kryształo-
we puchary i kieliszki, wyskoczył na moment za drzwi, wrócił z miską
wonnych mandarynek i żółtych jak śmietanka gruszek duchesse, wetknął
w gniazdko kabel telefonu – i zniknął.

Nad naszymi głowami grzmiał tusz cyrkowej orkiestry. Miotaly się różno-
kolorowe ognie, cwałujący w pętli maneżu człowiek wykrzykiwał gardłowo:

– *A-a-l-l-e-ez...* ho-op!

I bil mi w nozdrza zapach cyrku. Ciężki fetor zwierzęcego futra, mocny
aromat mandarynkowych skórek, ostry smród moczu, woń końskiego potu,
dębowy bukiet starego koniaku... To była woń Abakumowa.

Abakumow z wielkim zainteresowaniem oglądał nanajską walkę. Śmieszny
numer: dwóch okutanych w futra chłopaczków biło się, przewracało, podci-
nało sobie nawzajem nogi, rzucało na ziemię, aż wreszcie jeden uniósł dru-
giego nad głowę, skóra opadła i okazało się, że wszystkie te sztuczki wy-
czyniał jeden jedyny, wysoki, chudy akrobata.

Abakumow roześmiał się, pociągnął z kieliszka, poplukał koniakiem usta,
przelknął, skrzywił się.

– O, tak właśnie Ławrentij Pałycz walczy z tym sukinsynem Malenko-
wem... – powiedział z uśmiechem.

Siedziałem bez słowa i bez ruchu. Oto zostałem wyświęcony na człowieka
wtajemniczonego. Dziwne to było wyświęcenie – z rozbrzmiewającymi w tle
krzykami kłownów, pośród cyrkowego smrodu, w szczęku ustawianych na tro-
cinach krat, w takt cyrkowego marsza, któremu wtórował okrzyk inspektora
maneżu: „Irina-a Bugrimowa-a ze swoimi tresowanymi-i dra-pieźnikami-i!”

Abakumow stuknął się ze mną kieliszkiem:

– W trudnych czasach żyjemy, Pasza...

Odwrócił się, popatrzył chwilę z zainteresowaniem, jak treserka lawiruje pomiędzy lwami i tygrysami, skaczącymi z klocka na klocek, z roztargnieniem zauważył:

– Dla tresera najważniejsze, żeby nie pokazywać zwierzęciu pleców... Taka to jest, Paszka, odwieczna zasada naszego życia: rozejrzyj się wokół siebie, czy ktoś cię czasem nie jebie...

– A ja właśnie liczę na wasze szerokie plecy, Wiktorze Siemionyczu – powiedziałem po lizusowsku.

– Na próżno. – Machnął ręką. – Nasz dom ogromny, nikt ci w nim nie pomoże, a podesać każdy gotów... Tak to już u nas jest: zabijamy wszyscy razem, a umieramy każdy osobno...

Audi, vide, sile...

Wiktorze Siemionyczu! No co jest z wami wszystkimi? Naprawdę wszyscy straciliście pamięć do cna? Postarajcie się, przypomnijcie sobie! Przypomnijcie, jak spytaliście mnie zyczliwie-roztargnionym tonem:

– A jak tam twoje życie osobiste?

Spiąłem się cały, i lęk ścisnął serce głuchym bólem, niby szwy na niezagojonej do końca ranie, i powiedziałem niedbale, wesoło:

– Ano, jakoś leci, radzę sobie! Jak by nie było, bab u nas a osiem milionów więcej niż nas, grzesznych...

– Taak? – zdziwił się Abakumow. – A mnie się zdawało, że z tych wszystkich milionów tylko jedna ci naprawdę pasuje...

Z trzaskiem rozeszły się szwy na tajemnej mojej ranie, głęboko schowanej, stale ćmiącej, niezarastającej, jak wrzód. I strach chlasnął chłodem serce.

Wie!

Ręka odruchowo legła na kieszeni bluzy, gdzie spoczywał zawczasu przygotowany list z napisem: *TAJNE. DO RĄK WŁASNYCH MINISTRA BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWOWEGO ZSRR, GENERAŁA W.S. ABAKUMOWA.*

– Z babami to nigdy nie wiadomo, która człowieka usidli! – powiedziałem wciąż jeszcze żartem.

– To prawda – ochoczo zgodził się minister. – I jak ci tam w sidłach tej twojej Żydóweczki?

Wie. A przecież nie puścił pary z ust, dopóki nie uznał, że już pora.

Pora.

RAPORT

Niniejszym informuję Was, że jakiś czas temu nawiązałem intymny związek z ob. R.L. Lurie. Ojciec wspomnianej to były profesor L.C. Lurie, aresztowany przez organy bezpieczeństwa w związku z podejrzeniem działalności kontrrewolucyjnej, ale jego wina nie została udowodniona ze względu na to, że wkrótce po aresztowaniu zmarł w czasie śledztwa na ostrą niewydolność serca...

– Czemu milczysz, Pasza? – Uśmiechał się Abakumow, ale widziałem, jak w jego jasnych oczach pojawia się chłodne okrucieństwo. – Jeszcze się nie zorientowałeś?

...Uważam, że w pewnej mierze wykazałem brak czujności i gotów jestem zapłacić każdą cenę, by odkupić swoje uchybienie wobec partii komunistycznej i organów bezpieczeństwa.

Starszy pełnomocnik operacyjny
do specjalnych poruczeń
podpułkownik P.J. Chwatkin

Niezręcznymi, drętwiejącymi palcami odpiąłem klapę kieszeni, wyjąłem raport i podałem Abakumowowi.

Minister starannie rozłożył arkusik, wygładził go na pokrytej czerwonym aksamitem barierce łoża, i malowniczo unosząc prawą brew, zabrał się do czytania.

A na manezu oszalałe ze strachu drapieźniki skakały przez płonące obręcze, z trzaskiem przebijały wystraszonymi wąsatymi mordami papierowe kręgi, trzaskał bicz, gardłowo pokrzykiwała treserka i jak karabin maszynowy warczały werble.

Wielka tresura. Ostateczna.

Abakumow popatrzył na mnie z uśmieszkiem, złożył list i pomachał nim w powietrzu:

– A czemu daty nie wstawiłeś, szachisto?

– Zostawiłem to do waszego uznania, towarzyszu generale. Kiedy uznacie za wskazane, wówczas wstawicie...

– No cóż, rozumiesz prawidłowo. Postawię, jeśli uznam za wskazane... A na razie staraj się, pracuj ile sił... Skoro już jesteś u mnie na sercu... – I schował złożony raport do kieszeni na piersi bluzy.

Niepotrzebnie mnie nienawidziłaś, Rimma. Wzięłam od ciebie w zastaw twojego ojca, a przyszło mi za to zastawić siebie samego. I ciebie, rzecz jasna. Na jednym kwiecie zastawnym umieścił nas Abakumow w ciemnym lombardzie swojej kieszeni...

– Wiktorze Siemionyczu... – zwróciłem się do niego, a on odpowiedział mi skrzypiącym głosem Mangusta:

– Cóż się pan tak zamyślił, szanowny panie pułkowniku?

Patrzę – nie ma cyrku, nie ma szalejących na maneużu bestii, nie ma Abakumowa.

Tylko Mangust – nieunikniony, odrażający niczym kres życia, patrzy mi w twarz wytrzeszczonymi ślepiami.

– Czemu się pan nie śmieje, *fater*? – spytał ze smutkiem.

A ja odpowiedziałem szczerze:

– Jakoś mi się odechciało. Dziwna rzecz: wesolki często umierają na czarną melancholię...

Nie sen, nie maligna, nie omam.

Pierścieniowata rzeka czasu porwała mnie z twardego, pewnego brzegu, na którym przeżyłem tyle cichych, beztroskich lat, i powlokła wstecz, w przeszłość, w bezdenną otchłań, w którą zaglądałem przez całe życie.

15. Tatarski podarunek

Na brzegu otchłani, na skraju przepaści, na krawędzi czarnej studni, uchodzącej w jądro ziemi – do kipiącego purpurowo-czarnego piekła magmy – siedział tłusciutki blondynek w mundurze majora służb bezpieczeństwa.

Wybranek losu.

Nadczłowiek Mińka Riumin – triumf naszej rzeczywistości nad melodramatycznymi trywialnościami durnego onanisty Nietzschego. Ech, gdyby tak się udało temu bazylejskiemu profesorowi choć okiem rzucić na ziszczone swoje marzenie – sublimację „silnej osobowości” w ideał „człowieka przyszłości”! Z pewnością jeszcze raz by wykitował – ze szczęścia...

Gdy Mińka, który w życiu nie słyszał o Nietzschem, był autentycznym nadczłowiekiem. Po tamtej stronie dobra i zła. I mówił jak Zaratustra.

– Zdejmij binokle, sukinsynu – rozkazywał doktorowi Rozenbaumowi, asystentowi akademika Mojżesza Kogana. I szturchał go w żebra swoim

słynnym brelokiem-kastetem, brązowym człowieczkiem z ogromnym ostrym członkiem, sterczącym między jego zaciśniętymi w pięść palcami. – Sam twój wygląd wystarczy, Rozjebaum, ty śmierdzielu... Spojrzałyś na siebie z boku: człowiek ma ochotę w gębę ci charknąć. No, powiedz sam, po co ci te binokle i ta bródka z pejsami? Do Trockiego, swego nauczyciela, chcesz być podobny? No, powiedz mi szczerze: czemu, sukinsynu sprzedajny, nie chciałeś być podobny do towarzysza Mołotowa? Czy do Klima Woroszyłowa? Ech, Rozjebaum, ty mordo ohydna...

Ta ohydna morda Rozenbaum, któremu miało się ochotę w gębę charknąć, uporczywie czkał i na twarzy jego malował się niewypowiedziany smutek z powodu niemożności upodobnienia się do towarzysza Mołotowa. Jako fizjolog-materialista domyślał się, że idea ta jest nienaukowa, praktycznie tak samo niemożliwa do zrealizowania, jak próba upodobnienia papugi kakaadu do prosiaczka. Jako Żyd-idealista jednak miał nadzieję, że, być może, w szóstym dniu stworzenia Sabaoth, po ichniemu Jehowa, nie na zawsze rozdzielił wszystko, co żyje, na klasy, rodzaje i gatunki, i przy odrobinie szczęścia doktor Rozenbaum udowodni Mińce swoją gotowość do tego, by również zewnątrznie stać się podobnym do towarzysza Woroszyłowa.

A na razie czkał, mając odbitą śledzionę, i z przerażeniem patrzył na Mińkę, który wrócił do swego orzechowego biurka, pokrytego zielonym jak majowa trawa suknem, wziął do ręki leżący na nim knut i poradził mu:

– Żeby ci nie przyszło do głowy kłamać, gnoju parchaty. Knut jak diabeł, zawsze prawdy dojdzie...

A mnie zaproponował:

– Idziemy do bufetu? Golniemy sobie, posztekamy...

Umarło już to fajne słowo – sztefkać. To znaczy wcinać, jeść. I Mińka dawno umarł. Nawet nadludzie są śmiertelni. Nieśmiertelna jest tylko góra i chmurna idea – żeby dobrze sztefkać. Nie wolno zabijać w ludziach wiary w komunizm – gigantycznej światowej restauracji, gdzie można dostać wszystko, czego dusza zapagnie, i za nic nie trzeba płacić.

Nihilista Bazarow niesłusznie uważał, że świat to żadna świątynia, tylko warsztat pracy. Świetlany świat przyszłości to rzeczywiście nie świątynia, lecz globalna bezpłatna stołówka, ze świecącym na równiku neonowym napisem:

LIBERTÉ, FRATERNITÉ, DESHABILLÉ*.

* Wolność, Braterstwo, Golizna. Jest to parafraza hasła rewolucji francuskiej: *Liberté, Egalité, Fraternité* – wolność, równość, braterstwo.

Mińka nawet nie dopuszczał takiej myśli, że proroctwo o stworzeniu wszechświatowego bezpłatnego zakładu żywienia zbiorowego może się nie spełnić. Jako dialektyk praktyk, nie wnikał w żadne wyrafinowane filozoficzne kwestie, instynktownie wierząc w jedynie słuszną naukę, albowiem model świetlanej przyszłości, jej pierwowzór – w postaci naszego bufetu na drugim piętrze – każdego dnia oglądał, czuł węchem i pożywał z niego.

I na wszystkich tych obywateli, którzy wykazywali objawy złośliwej niewiary w to, że kiedyś dla nich czy dla ich dzieci lub wnuków zbudują na całej ziemi takie same zamknięte specbufety, jak u nas na drugim piętrze, Mińka trzymał na biurku knut.

Knut ten pojawił się u niego niedawno – wkrótce po tej nocy, kiedy wróciłem z cyrku i poinformowałem go o konieczności rozkręcania spisku lekarzy-dywersantów. I tajemniczo dodałem, że najwyższe kierownictwo na razie – z powodów, które nie są przeznaczone dla uszu Mińki – nie jest zainteresowane nadawaniem nadmiernego rozgłosu tej sprawie. We właściwym momencie spiszek lekarzy powinien wybuchnąć jak bomba, nadlecieć jak huragan, zażrmieć jak trąby jerychońskie. A na razie trzeba działać po cichu.

W innych okolicznościach Mińka, ten chomik o obrzęklej mordzie, może by mi i zadał jakieś podchwytliwe pytanie.

Czuł się jednak wybrankiem losu, a ten przewidział dla niego odegranie niezwyklej roli na deskach scenicznych naszego życia – żywiołowego i niepowstrzymanego jak biegunka. Los obsadził go już w roli, jakiej się nawet nie domyślał w najbardziej koszmarnych snach – najpierw fantastyczna wspinaczka na szczyty, a potem straszliwy koniec. To po pierwsze.

A po drugie – i to bez wątpienia było najważniejsze – bezprzewodowy telegraf plotki i powszechnego szpiegowania przekazał już Mińce wieść o tym, jak spacerował ze mną po Wydziale Abakumow, obejmując mnie ramieniem.

Dlatego też Mińka nie zadał mi żadnego pytania, niezachwianie przekonany, że mam prawo wydawać mu polecenia, ani na jotę nie wątpiąc w ich słuszność.

No i pojawił się knut. Widocznie zwinął go na jakiejś rewizji. Knut – prawdziwe чудо, stary, wykwinny. Knut – marzenie. Wspomnienie. Nasza genealogia. Tatarski podarunek. Tureckie dziedzictwo. Nasze wykszolenie.

Ech, praszczurowie moi dalecy! Dusze głębokie, mózgi powierzchowne! Dlaczego uwierzyliście Tatarom, że knutem bić i złym słowem lżyć to sposób na ludzi? Tatarzy przecież traktowali tak zwierzęta juczne, a wy knutem braci swoich rozumu zaczęliście nauczać.

Wieki temu postanowiliście pospółu: „Żadne miasto nie może istnieć bez kata”. I tak się stało. Wszędzie można było znaleźć mistrzów. Świsnął knut nad tłumem, trzasnął przenikliwie, zawył ponuro – zaczęło się wielkie knutobicie.

Od pierwszego uderzenia drgnęły plecy, pękła skóra.

Drugie kawalki mięsa wyszarpało, krew pęcherzami bryznęła z przebitego płuca.

A od trzeciego – któremu towarzyszył ucichający krzyk – chrupnęły kręgi, nadłamał się grzbiet. Głowa się nachyliła – pokłoniła się tatarskiemu podarunkowi.

Tylko że Mińka tak jeszcze nie umiał – nie zdążył nabrać doświadczenia. Patrzyłem, jak bawi się knutem, delektuje się nim. Rękojeść krótka, plecioną, skórzany trzpień z miedzianą obrączką, do obrączki przywiązany rzeźmień z surowej skóry, gruby, z wyłobionym pośrodku rowkiem, z zagiętym jak pazur końcem.

Na pięści Mińki białeły, uwydatniały się pod skórą kostki, kiedy namiętnie ścisnął rękojeść knuta. W jego grających mięśniach było żywe pragnienie, by bić. Nie miałem wątpliwości, że Mińka, nawet bez właściwego treningu, jednym uderzeniem zerwie z Rozenbauma kawał skóry wielkości kabury pistoletu.

Powiem wprost, że z racji wyglądu Mińka niespecjalnie się nadawał na okładkę czasopisma „Wychowanie w Szkole i w Domu”. Nawet dla mnie nie był zbyt sympatyczny – z rozdymającymi się nozdrzami i białymi gruzłami mięśni na zaciśniętych kulkach.

Ale wtedy nie miało to żadnego znaczenia. Już półtorej setki lat temu najmędrszy rosyjski władca Mikołaj I, zdając sobie sprawę, że w ojczyźnie naszej bez knuta obejść się nie sposób, a widok ten wielce przygnębia ludzi delikatnych, w szczególności przybyłych z zagranicy, rozkazał: „Odtąd ani knutów, ani oprawcy nikomu nie pokazywać”.

No i nie pokazujemy. Po dziś dzień.

A ja, gdyby mi nawet pokazywano – nie będę patrzeć. Nie lubię tego. I na Mińkę, ścisającego w pięści knut, zrosniętego z jego ciężką, chropawą rękojeścią, nie patrzyłem.

– Dobra, chodźmy coś przegryźć. Musimy pogadać... – odparłem.

Mińka z niejakim żalem rzucił knut na biurko, wezwał przez telefon kapitana Trefniaka, żeby posiedział i pogawędził z Rozenbaumem, i poszliśmy do bufetu.

A tam już pełno naszych orłów, korzystają z przerwy obiadowej w środku nocy. Piwo pociągają, od kanapek z lososiem wargi im błyszczą. Kawaly opowiadają, sukcesami w pracy się przechwalają, dzielą się swymi doświadczeniami. Ach, co za kwiat złoczyńców mieli w swoich czystych rękach moi bezgranicznie oddani, waleczni bojownicy! Każda sprawa – to perełka, uwieńczenie sądowo-śledczej praktyki, klejnot wymiaru sprawiedliwości.

Pełnomocnik operacyjny Markaczew na poważnie zabrał się do historyka Augusta Salomonowicza Tonnela. Już od tygodnia usiłował wydostać z tego mądrali, kto polecił mu przekręcić słowa Marksa na temat naszej chwalebnej historii. Nie chodziło, rzecz jasna, o Marksa, kładziemy lagę na tego kudłatego rebe. Idiota Tonnel niewłaściwie i nadaremnie użył imienia naszego Bossa – powiedział u siebie w katedrze, że, niestety, z racji nieznamości języków obcych, towarzysz Stalin w wygłoszonym referacie zacytował niewłaściwie przełożoną wypowiedź Marksa.

A zacytował nasz wódz słowa kudłatego parcha o znaczeniu czynu kniazia Aleksandra Newskiego, który siedemset lat temu rozgromił na Jeziorze Czudzkim niemieckich psów-rycerzy. No i co? Każde dziecko u nas wie, jak dał w dupę Aleksander Newski niemieckim psom-rycerzom! Książki o tym napisano, jeszcze za cara kniazia Aleksandra w poczet świętych zaliczyli, a za Bossa – order mu przyznali. Na filmie Eisensteina wszyscy widzieli tych psów-rycerzy – zakutych w pancerze, w rogatych hełmach. I wszyscy byli zadowoleni.

Ale rzecz jasna znajduje się Żyd, który musi wsadzić swój wścibski długi nos i spytać: a dlaczego rycerze teutońscy byli nazywani psami? Skąd się to wzięło?

I ta bezczelna żydowska ciekawość podkopuje fundamenty naszej wspianej historii, mocno spojonej wszelkiego rodzaju bzdurami i wymysłami.

August Salomonowicz Tonnel dokopał się, że nijakich psów nie było. Nikt nigdy nie nazywał Teutonów psami. Marks napisał *Rittern Bunden*, co po naszymu znaczy „związki rycerskie”, ale na literze B odpadła na dole odrobina farby drukarskiej i tłumacz odczytał to jako *Hunden* – czyli psy.

Popróbował tak i siak. Rycerskie psy. Piescy rycerze. Psy-rycerze... O! To jest to! Krótko, energicznie, obelżywie – dokładnie tak jak trzeba!

I Josif Wissarionowicz powiedział: „psy-rycerze”. Zdawałoby się, że odtąd sprawa jest załatwiona raz na zawsze – skoro powiedziano, że były to psy, to nie ma mowy o żadnych związkach. Bo i po co? Przecież to nie Pies Socjalistycznych Republik Radzieckich, tylko jakiś tam prehistoryczny związek. I pies z nim tańczył!

Ale nie! Musiał Tonnel rozgłosić, że towarzysz Stalin obcych języków nie zna i że Marks o żadnych psach nie wspominał. Znaczy, że Boss kłamie? A może głupszy jest od Tonla? No i zakablowali, rzecz jasna, Markaczewowi pracownicy katedry o niestosownych rozmowach Tonla, i trzeba go było zabrać do nas. A teraz, frajer ciężki, dowodzi Markaczewowi, że żadnego zadania od nikogo nie otrzymał, antyradzieckich zamiarów nie miał i rozmów na temat psich związków właściwie nie prowadził, tylko raz jeden, z głupoty, bez zastanowienia, przypadkiem zauważył, że Marks miał na uwadze nie psy, lecz związki, a on, Tonnel, pragnął po prostu z całej duszy uchronić towarzysza Stalina przed kolejnymi wpadkami. Jeszcze lepiej! Co za idiota!

Pełnomocnik operacyjny Tołmasow kończył już sprawę cenzora Budiaka i malarza Iwanuszkiną.

Iwanuszkiną zgubiła pazerność. Był znakomicie prosperującym, uznanym przez państwo artystą, najlepiej ze wszystkich rysował orderzy na portretach wodzów. Laureat, członek wszelkich prezydiów, wielka szycha. Mnóstwo zarabiał, ale nigdy nie miał forsy, jako że lubił hazard, a przy tym kochał rozkosze życia. Grał na wyścigach, w karty, w bilard, dużo pił. I uwielbiał młode kobiety. Wszystko to, rzecz jasna, kosztuje. No więc wziął chałturę – serię plakatów dla Ministerstwa Przemysłu Spożywczego. Temat – bezpieczeństwo i higiena pracy przy rozdziale mięsnych tusz. Niezłe pieniądze – od nakładu.

Wszystko narysował Iwanuszkin prawidłowo: i jak topór trzymać, i jak tuszę na stół do rąbania kłaść, i wszystkie inne mądrości rzeźnickiego fachu. Szalenie malowniczo mu to wyszło – no, po prostu Rubens, nasz ojczysty Rubens, spec od mięsa!

Następnie starszy redaktor zarządu głównego cenzury, Miefodij Budiak, przeszedł wszystko pod kątem zawartych w plakatach podtekstów. Ani jednego świadomie szkodliwego objaśnienia co do schematu rozrąbywania tuszy nie ujawniło jego czujne cenzorskie oko, w niczym nie odkrył rozgłaszania tajemnic wycinania szpondra, polędwicy, mózdzku. I podpisał, gamoń, do publikacji. Pieczęcią swoją z godłem zatwierdził – cenzorski stempeł, numer i elegancki podpis.

Powinien by, osioł jeden, nie w rzeźniczej technologii szukać tajemnic, a raczej przyjrzeć się uważniej plakatowi jako całości. Na pewno by wtedy zobaczył, że rzeźnik, chwyt z czarnym wąsem, wymachujący toporem nad okrwawionymi tuszami, poważnie naruszający zasady BHP, trochę za bardzo

przypomina wodza miłującej pokój postępowej ludzkości. Kropka w kropkę jak na obrazie *Towarzysz Stalin – organizator strajku generalnego w Baku*.

Dyrektora wydawnictwa wyrzucili z partii i z pracy. A Budiaka posadzili. Ale Iwanuszkin nic o tym nie wiedział, jako że w tym samym czasie miał płomienne wystąpienie na Kongresie Obrońców Pokoju w Sztokholmie, opowiadał o radosnej, swobodnej, optymistycznej twórczości radzieckich artystów.

Rzecz jasna w jego domu i pracowni przeprowadzono gruntowną rewizję. W ten sposób ujawniona została dwulicowość ukrytego wroga. W jednej z teczek znaleziono szkic węglem: kopię znanej ilustracji z książki Perelmana *Zajmująca matematyka* – człowiek-góra z rozwartą paszczką, w którą wlatuje cały pociąg żarćca. Znaczy, że tyle zjada człowiek w ciągu swego życia.

Kopia – ale nie do końca: człowiek-góra również miał świetlane oblicze naszego Wszzechogarniającego Bossa, a w pieczarze pod obwisłymi wąsami znikają nie produkty żywnościowe, lecz... ludzie, niekończące się szeregi pokornych ludzików.

Takie to, jak się okazuje, rysunekki tworzył w wolnych chwilach nasz laureat. A z tym rzeźnickim plakatem to widać na bani obsuwa mu się zdarzyła, rozpędził się, drań.

Przywitali Iwanuszkiną w drzwiach międzynarodowego wagonu i bagażowi nie musieli się fatygować, taszczyć walizek wypełnionych zagranicznymi trofeami, przywiezionymi z kongresu miłośników pokoju.

Nawet bić go nie było trzeba – wszystko, o co prosili, podpisywał, nie patrząc, kulił się ze strachu, ale dowcipkował. Na jednej z konfrontacji powiedział do Budiaka:

– Marnie twoje widoki, Miefodij. Mnie i w łagrze chleba nie zabraknie, portrety wodzów wszędzie są potrzebne. Ale ty – kogo tam będziesz cenzurować?

A kapitan Parszew szykował drugi wyrok dla inżyniera Griwiennikowa, który kończył już dziesięcioletnią odsiadkę. Parszew, chytry, sepleniący pleciuga, wmawiał przygnębionemu inżynierowi, że możliwość otrzymania drugiego wyroku to dla niego po prostu okazja:

– Co ty, nie rozumiesz? Łagierny sąd i tak by ci dokładkę dowalił, i śpiewałbyś teraz cienko, jak cała reszta, u siebie w Suchobezwodnym. A z nowymi aktami, jako wykwalifikowany szpieg, bez problemu możesz trafić do pudła...

Griwiennikow był starym, głupim inteligentem. A miał się za mądrego. No i wyszła mu bieda z tej mądrości. Przecież w znakomitym miejscu pracował – w komisji, przyjmującej od Amerykanów mienie na zasadzie *lend-lease*. Bał się jednak, żeby nasze orły nie zaczęły go podejrzewać o sympatie do zagranicy, i przez cały czas krytykował ich technikę, dowodził, że radzieckie konie mechaniczne są silniejsze od amerykańskich. Powiedziano mu, żeby się nie wymądrzał, nie zwracał na siebie uwagi, dureń nieszczęsny, bo porównywać naszą pierdzącą dryndę z ichnim studebekerem można tylko po to, żeby się z nas naigrawać. A Griwiennikow – w mądrości swej przeogromnej – zdecydował, że nie na serio mu to mówią, tylko sprawdzają jego patriotyzm. No i palnął gdzieś przy ludziach: „Ja w ogóle wszystkim tym Amerykanom i Anglikom nie ufam, to przyjaciele do pierwszej pluchy...” A na dworze, nawiasem mówiąc, jesień czterdziestego drugiego roku, Charków i Rostow się poddały, Niemcy na Kaukazie i w Stalingradzie, nasz Wielki Boss codziennie śle depesze do Roosevelta i Churchilla jak kuracjusz z sanatorium do żony: „Pieniądze się skończyły, pilnie przekażcie czołgi-samoloty na poste restante!”

Wzięli Griwiennikowa za tyłek i dali mu dychę. Za niewiarę w trwałość koalicji antyhitlerowskiej i agitację na rzecz faszystowskich Niemiec.

Za parę lat okazało się, że pokonaliśmy Hitlera sami. Bez ich amerykańskich konserw spokojnie mogliśmy się obejść. I nie mają co się Amerykany chełpić swoimi ochłapami. I tych bubli z magazynów, którymi chcieli okupić krew naszych synów i córek, nie mają co nam podtykać pod nos. Wystarczy, że nabili sobie kabzę na cudzym nieszczęściu, ale podszywać się pod nasz ogólnonarodowy zryw nie pozwolimy. Bo tak na serio, w ogólnym rozrachunku, w nosie mając fałszerzy historii, to Hitlera zlikwidowaliśmy bynajmniej nie dzięki wam. A nawet, w pewnym sensie, na przekór wam! Ot co.

Zaszamotał się wówczas w odległych łągach Syberii Griwiennikow. Do wszystkich instancji zaczął słać podania i listy: „Towarzysze drodzy, obywatele naczelnicy, ja wam przecież to wszystko mówiłem już w czterdziestym drugim roku, wypłynęła moja prawda na wierzch jak oliwa!”

Aprobując wszczęcie przez Parszewa nowej sprawy Griwiennikowa, przeczytałem wszystkie te podania, skrupulatnie dołączone do jego łągiernych akt. Donikąd przecież nie zostały wysłane, poukładano je tylko w szarych teczkach – na każdej data, numer i parafka naczelnika odcinka operacyjnego łągru. I w każdym podaniu, co mnie szczególnie rozbawiło, głupi inżynier uroczyście informował o swojej prawdzie, która jakoby wypłynęła na

wierzch jak oliwa. Nie wiadomo dlaczego właśnie ta przerośnia wydawała mu się szczególnie przekonująca. Może dlatego, że nie widział oleju od dnia, kiedy odłączono go od amerykańskich przesyłek *lend-lease*?

Nie wiem. W każdym razie, gdyby ta oliwa prawdy pływała sobie nadal pomalutku po ciemnych wodach życia pod szarym tekturowym nieboskłonem jego aresztanckich akt, to Griwiennikow w tym roku zakończyłby odsiadkę i być może, wbrew temu, co twierdził Parszew, lagierny sąd nie dowaliłby mu dokładki. I pojechałby do domu.

Ale nieprzeparte pragnienie głupiego człowieka, żeby być mądrzejszym niż wszyscy, spowodowało w tej historii nowy zwrot. Jakims sposobem, omijając administrację łagru, Griwiennikow przekazał na wolność jedno z podań. Podanie trafiło do prokuratury, a tamte sprytnie lenie przesłali je nam do Wydziału „w celu sprawdzenia”, i wtedy właśnie oliwa rzeczywiście wypłynęła.

Ściągnięto Griwiennikowa do Moskwy. Parszew pogadał z nim w więzieniu na Butyrkach i inżynier mu się spodobał. Przyfastrygowano go do sprawy szpiega Idesa, byłego wykładowcy z Instytutu Języków Obcych. Bez Griwiennikowa sprawa ta wyglądała blado. Z nim nabrała kolorów.

Główny bohater, Ides, był w sprawie parowozem, nadawał jej bieg. W czasie wojny on też pracował w komisji leasingowej – tłumaczył z angielskiego na rosyjski dokumenty, specyfikacje towarów. W zeszłym roku odszukała go przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż ciotka, mieszkająca w angielskim dominium Kanadzie, w prowincji Ontario, w mieście Calgary. Kanadyjska ciotka Idesa, o pięknym nazwisku Silverstein, co po naszymu znaczy Zylbersztajn, ogromnie się uradowała z odnalezienia krewnego, jako że sądziła, iż cała liczna, rozgałęziona rodzina Idesów zginęła w czasie wojny. I na fali radości zaproponowała mu pomoc w dowolnej formie – bezpośrednio od siebie, przez Czerwony Krzyż albo przez Joint* – niech sam wybierze.

Nie zawracaliśmy Idesowi głowy wyborem formy pomocy. Dając pierwszeństwo Jointowi, posadziliśmy go jako angielsko-kanadyjskiego szpiega, związanego z syjonistami. Został oskarżony o przekazywanie wiadomości o tym, jak i gdzie wykorzystywaliśmy wojenną technikę, sprowadzaną przez nas na zasadzie *lend-lease*. A wszystko to na rzecz dalekosiężnych interesów ultrasyjonistycznego Jointu...

– ...A ty, Griwiennikow, frajerze ciężki – nawijał niezmordowany Parszew – będąc w zмовie z Idesem, pomagałeś mu i kryłeś go, opowiadając

* Żydowska organizacja charytatywna.

bajeczki, jak to rzekomo jesteście przeciwko koalicji antyhitlerowskiej i nie podoba się wam *lend-lease*...

Ze starości, wyniszczenia i strachu głowa Griwiennikowa pokryta była fioletowymi i purpurowymi plamami, jakimiś liszajowatymi brodawkami, jak u zgrzybiałego sępa w zoo. Wyciągał z kołnierzyka brudnego swetra swoją długą ptasią szyję i ochryple, z przejęciem przekonywał Parszewa:

– Obywatelu naczelniku, przecież ja w czasie wojny nie znałem Idesa i nie mogłem znać! Samiście powiedzieli, że pracował w Murmańsku. A ja przecież byłem w Archangielsku! To jak mieliśmy wejść w zмовę?

Parszew sprytnie odbijał piłeczkę:

– A radio to co? I w ogóle przestań mi tu oczy mydlić! Jak nie chcesz w ślad za Idesem trafić za druty, to mów prawdę...

...A Trefniak pracowicie zapisywał niekończącą się odyseję lotnika Bajdy. Życie Bajdy było niewiarygodne, całkiem jak film przygodowy. Albo wraże knowania Idesa. Tym niemniej Bajda był jedynym oskarżonym, który szczerze mówił: „Ja tu przecież za swoje winy siedzę... O, właśnie sobie przypomniałem jeszcze jedną rzecz. Zdarzyło się raz...”

Miał co wspominać. Za Chalchin-goł dostał Gwiazdę Bohatera Związku Radzieckiego. W sierpniu czterdziestego pierwszego za nocny nalot na Berlin przypięli mu drugą Gwiazdę. A w październiku Niemcy go strącili, wzięli do niewoli i wsadzili do dołu. Do zwykłego dołu, głębokiego na dwa metry, przykrytego z wierzchu deskami. Po pewnym czasie wyciągnęli go na słoneczko i zaproponowali: albo zgnije w dole jak padalec, albo na chwałę niemieckiego Reichu będzie się bił z Anglikami. Oczywiście przypomnieli mu, jak Anglicy zawsze źle nas traktowali, jak szli na czele Ententy przeciwko młodej rosyjskiej republice. Popatrzył Bajda na dymiące na talerzach żarcie – i zgodził się. Parę miesięcy później wyskoczył na spadochronie koło Dover, oddał się w ręce Anglików i opowiedział o wszystkim agentom Intelligence Service. Ci sprawdzali go z pół roku, i sam już nie wiem po co, ale Bajdy nam nie zwrócili, tylko wysłali walecznego pilota do Azji, żeby się bił z Japończykami. Jak należało się spodziewać, radził sobie tam nieźle, dostał dwa ordery, jednak szczęście przestało mu sprzyjać. W czterdziestym czwartym roku Japońce zestrzelili Bajdę i poparzonego, półżywego wzięli do niewoli. Może by się i zgodził polatać w barwach mikado, tylko że tu ten numer nie przeszedł. Wraz z innymi jeńcami wojennymi kazano mu kopać transzeje gdzieś na Mindanao. Obok było wojskowe lotnisko. Bajda stopniowo doszedł do zdrowia, oparzenia się podgoiły, ręce i nogi nabrały sprawności,

i namówił jeszcze jednego lotnika, Amerykanina: zarżnęli strażnika, wsiadli do samolotu i polecieeli na Filipiny z okrzykiem: „banzai!”

Niemal rok wojował w amerykańskich Air Force.

Bał się wracać do domu. Wiedział, łobuz, sokół Trumana, że w ojczyźnie go za te wszystkie bohaterskie czyny nie pochwałą.

Widzieliście go – kawaler Purpurowego Serca, *mister Bajda!* Do tego stopnia uległ rozkładowi moralnemu, że ożenił się z Murzynką! Pielęgniarkę sobie znalazł w szpitalu na Okinawie. Bazowali tam przed rozpoczęciem wojny koreańskiej. Dwoje czarnych Bajdziątek zdążył zmajstrować. Pod Pusanem Bajda dowodził już pułkiem lotniczym. Zobaczył, jak jego chłopcy z Air Force dwóch naszych na migach strącili na ziemię, i serce w nim drgnęło. Poleciał i oddał się w ręce naszych północnych skośnookich braci. I poprosił, żeby go wyprawić do Związku Radzieckiego. No, to go nam przekazali. Teraz, jak wyjdzie z aresztu, dostanie ćwiartkę – dwadzieścia pięć lat łagrów. Stamtąd nie da się odlecieć. Chyba że poza granicę życia...

I jeszcze nad różnymi innymi tego typu sprawkami pracowały moje orły.

Sprawę robotnika, gisera, nazwiskiem Kuriatin, lat dziewiętnaście, który ukradł ze złomowiska w fabryce zepsuty zdobyczny pistolet parabellum z zamiarem naprawienia go i zorganizowania zamachu na towarzysza Mikojana...

Dwóch niedobitych esperantystów...

Wynalazcę Zalmansona, któremu mało było autorskich patentów, podrywał sobie, że można zbudować perpetuum mobile na wiecznym ogniu z pomnika ofiar rewolucji...

Studenta akademii rolniczej Jeleckiego, który prowokacyjnie krzyczał na październikowej demonstracji: „Precz z absolutyzmem!”...

Ci, i jeszcze ze dwie dziesiątki im podobnych, to byli moi podopieczni – mała garstka spośród tej rojącej się, głodnej, wszawej masy, zapelniającej kamienne ule więzień.

Ile było tych trupich uli w rozległej moskiewskiej pasiece? Nie sposób sobie teraz nawet przypomnieć dokładnie. Ja sam bywałem niekiedy w Centralnym Więzieniu Wewnętrznym na Łubiance, pod numerem 2.

I w Okręgowym Więzieniu Wewnętrznym – na Łubiance pod 14.

I w Głównym Wojskowym na Lefortowie.

I w „sanatorium imienia Berii” – suchanowskim Więzieniu Śledczym.

I w nowińskim – żeńskim.

I w Kamienyszczikach – „Tagance”, okręgowym.
I w sreteńskim śledczym.
I w filowskim – „zakrytce”.
I w marfińskim – „szarasze”.
I w Domu Tymczasowego Zatrzymania na Pietrowce 38.
I w spekolonii w Bolszewie.
I wszystkie one, jak tory na dworcu, prowadziły do Głównego Krasnopres-
nieńskiego Więzienia Wysyłkowego...

Wówczas w bufecie powiedziałem do Mińki:

– Trzeba szybko kończyć wszystkie sprawy, całą klientelę wypychać na Krasnopresnieński. Niedługo będziemy potrzebowali sporo wolnych miejsc...

Mińka zaśmiał się i spytał z nadzieją:

– Jak myślisz, naród nas poprze?

– Bezwarunkowo! – zapewniłem go. – Przypomnij sobie, co mówił Luto-
stański: „W antysemityzmie dobre jest to, że rośnie jak bambus: z jednego
kielka, bez dogłądania, bardzo szybko...”

Pamięć to niesamowity dar. Zaskakująca zdolność, by żyć w równole-
głych światach, w różnym czasie. Pamięć wprowadza mnie znowu w opusz-
czoną dawno przestrzeń, zasiedloną przez dawno zetlałych ludzi, w nieme,
a zarazem wyraziste dźwięki, w zwietrzałe, a jakże charakterystyczne zapa-
chy, w zblakłe a soczyste barwy. W powtórny – tak, tak, powtórny! – świat
ówczesnych uczuć, niewiarygodnie wyraziście wskrzeszonych wrażeń i prze-
żyć.

Podniecenie hazardzisty, wesola złość, przejmujący strach, poczucie zręcz-
ności i siły, chwilowe zaślepienie, konwulsyjny zamęt w chwili przebudze-
nia, chłodna obojętność wobec całego świata, rozkoszne ciągoty nigdy nie-
wyczerpanego pożądanego, upojne drżenie serca zwycięzcy – oto nieogamiony
kosmos moich ówczesnych doznań, świat emocji młodego człowieka, ob-
darzonego nieludzką, szatańską władzą nad wolą i życiem mnóstwa ludzi,
którzy nigdy wcześniej nie słyszeli o moim istnieniu.

Ius vitae necisquae. Prawo nad życiem i śmiercią.

Moje wspomnienia – to zaludniony, żywy, realny świat, a nie taśma
filmowa. To talia czarodziejskich kart, niezwykły pasjans, układany z bliź-
niaczych asów, nędznych dam pikowych, białych waletów, atutowych
szóstek bijących króle. I zawsze wygrywających szarych treflowych dzie-
wiątek.

Ogromny karciany stół bytu. Rzecz jasna, prawie wszystko zależy od korzystnego rozdania. Ale i umiejętność gry ma niepoślednie znaczenie. I gotowość, by wyciągnąć z rękawa potrzebną kartę – o, jakże ubarwia to później pasjans wspomnień!

Moja pamięć – to nieprzemijające wspomnienie młodości, zapłodnionej toksyczną a nieprzewyciężoną pokusą poczucia władzy nad innymi ludźmi. A ponieważ każda władza rośnie na drożdżach cudzego strachu, i smak władzy nieporównywalny jest z jakimkolwiek narkotykiem, my wszyscy – młodzi – staliśmy się narkomanami władzy, potrzebującymi coraz to nowych zastrzyków gwałtu, poznającymi na własnej skórze wielką prawdę: najwyższa ze wszystkich jest ta władza, która zagrozić może nieuchronną śmiercią.

My wszyscy – pracownicy ówczesnego Wydziału – byliśmy całkiem młodzi. Trzydziestoletni generałowie, chłopcy-podpułkownicy. Młody, napalony, zły świat. Cudze życie niewarte było dla nas nawet kopiejki, a o swojej śmierci – jak zwykle w takim wieku – nie myśleliśmy nigdy. I ja też nie myślałem, dopóki nie spostrzegłem logicznego porządku zmiany wacht w naszej kotłowni. I dopóki umierający akademik, profesor medycyny Mojżesz Kogan, nie powiedział:

– Młode komórki... nowotwory... Stare komórki nie mają tej bezmyślnej energii niszczenia... Wy to przerzuty... a pierwotny rak w mózgu... Będziecie pożerać ludzi, państwo... dopóki go nie zabijecie... Wtedy zginiecie sami...

Przywieźli go z domu o czwartej rano. A wyglądał na w pełni rozbudzonego. Może w ogóle nie kładł się spać, wiedząc, że siedzi u nas jego asystent, doktor Rozenbaum.

Przy orzechowym biurku Mińki ulokował się kapitan Trefniak, krępy byczek, tokujący przez telefon z jakąś pindą. Kiedy weszliśmy do gabinetu, nawijał pieszczotliwie w słuchawkę:

– Bajerujesz mnie, ty kanciaro, no nie?

A w kącie, na przyśrubowanym do podłogi taborecie, spoczywały doczesne resztki docenta Rozenbauma. Jak poprzednio, nie był podobny do towarzysza Mołotowa, ale i Trockiego teraz nie specjalnie przypominał. W ogóle do człowieka nie był zanadto podobny. I nie chodziło tylko o siniaki na gębie ani o różowe jak świeża cielęcina ranki zadrapań, ani też o sączącą się z ucha czarną strużkę krwi – Rozenbaum wyglądał tak, jakby Trefniak wyrzucił go z okna szóstego piętra, a nie po prostu obrobił kulakami.

I biała, jakby posypana mąką twarz Kogana na widok Rozenbauma zaczęła intensywnie ciemnieć, powlekać się szarością. Kogan nie wiedział jeszcze, że

tu człowieka bardzo szybko wtłaczają w jego rolę, jak nurka w skafander. To Mińka, rzecz jasna, tak świetnie wymyślił, żeby posadzić w kącie ledwie dychającego, czkającego, niemego z bólu i strachu Rozenbauma. Przekraczając próg, Kogan jak wryty zamarł w miejscu, wlepiając oczy w swojego ulubieńca-mądralę. Stał tak, dopóki Mińka ledwie zauważalnym gestem nie wyrzucił Trefniaka ze swego fotela, nie rozsiadł się godnie i nie zachęcił go:

– No, proszę bliżej, siadajcie, były akademiku...

Kogan z trudem oderwał oczy od dyszącego ochryple, drżącego, pobitego Rozenbauma, twardo odmierzył pięć kroków, usiadł jednym gwałtownym ruchem na krześle, i przenikliwym, bezczelnym tonem powiedział:

– Pozwólcie zwrócić sobie uwagę, że akademik nie może być „były”. To tytuł na całe życie.

Mińka tylko się zaśmiał:

– Na całe życie? A jak życie się kończy?

Kogan przełknął ciężką grudę – czulem, jak gorzka jest jego ślina – i spytał wysokim, nadpękniętym głosem:

– Zamierzacie mnie zabić?

– Nie wykluczam tego! – Szczerze zachichotał Mińka.

Z zadowolenia i niecierpliwości przez cały czas podrygiwał prawą nogą – „kołysał diabła”.

A Kogan oblizal suche wargi i lodowatym tonem powiedział:

– W takim razie chciałbym się dowiedzieć, o co jestem oskarżony.

– Nie ma problemu! – szczerze, z powagą zapewnił go Mińka. – Jesteście oskarżeni o zorganizowanie syjonistycznego centrum sabotażu, mającego na celu zabicie towarzysza Stalina i jego najbliższych współpracowników z Biura Politycznego WKP(b)...

Kogan przymrużył oczy, jakby Mińka wystrzelił mu nad uchem. Jego żydowska twarz siwiejącego jastrzębia była zniekształcona przerażeniem. Jako kremlowski lekarz wielokrotnie widywał Wielkiego Bossa i jego najbliższych współpracowników na golasa, i w odróżnieniu od swoich współobywateli wiedział, że to nie bogowie, tylko sklerotycy w zaawansowanym wieku, którzy jak najbardziej mogą zanieść, zachorować, skonać, umrzeć, wyciągnąć kopyta! Że są śmiertelni.

A co za tym idzie – że można ich zabić.

I jeśli taka bluźniercza, świętokradcza myśl powstała i została wypowiedziana na głos – to znaczy, że problem został rozwiązany ostatecznie i bezpowrotnie.

Jednak straszliwy lot przez mgłę zmieszania i strachu trwał u niego zaledwie chwilę.

– I, oczywiście, dysponujecie ważkimi dowodami mojej winy? – spytał spokojnym głosem.

– Oczywiście, dysponujemy – powiedziałem niegłośno.

Kogan momentalnie się odwrócił, wlepił we mnie wzrok. Widziałem, jak waży mnie odważnikami swojej żydowskiej przenikliwości, jak obmacuje mnie, ocenia spojrzeniem starego doświadczonego diagnosty, ustalając, czy jestem ważniejszy od prosiaczkowatego majora za biurkiem, czy jest sens ze mną rozmawiać, czy też, jak Trefniak czy konwojent, jestem tu figurą drugorzędną i nie ma potrzeby trwonić na głupstwa kapitału żydowskiej wyniosłości.

Ale niczego nie ustalił, ponieważ byłem po cywilu, nie siedziałem rozwalony przy orzechowym biurku i nie podrygiwałem nogą, kołysząc diabła, nie wrzeszczałem i nie odgrażałem się, tylko powoli przechadzałem się po gabinecie. Może i zlekceważyłby mnie w swojej nadłamanej strachem, ale nie całkiem złamanej żydowskiej pysze, gdybym, meandrując niespiesznie, nie skierował się w kąt, gdzie przy małym stoliku na przyśrubowanym do podłogi taborecie siedział pobity Rozenbaum. Kogan, wbrew swojej woli, ze wszystkich sił dławiąc w duszy strach, obracał się na krześle, patrząc w ślad za mną, dopóki nie usiadłem na niewielkim, służącym do przesłuchania krześle i nie położyłem przyjaźnie ręki na ramieniu ledwie dychającego Rozenbauma. W ten sposób wszyscy zajęli idealną do przesłuchania krzyżowego pozycję: w kącie przy biurku uśmiechał się Mińka, pośrodku gabinetu siedział Kogan, zmuszony teraz zwracać się w obie strony, a w przeciwnym kącie – my, to znaczy ja i podobny niegdyś do Trockiego Rozenbaum, ucharakteryzowany obecnie przez Trefniaka na cierpiętника.

– I to jakimi dowodami! – powiedział Mińka, i Kogan zwrócił się ku niemu.

– Cóż to za dowody, jeśli wolno spytać?

Stracił zainteresowanie dla mnie.

– Proszę bardzo, oto dowody... – powiedziałem równie cicho, jak poprzednio, i Kogan gwałtownie zwrócił się ku mnie. A ja zgąłem palec i postukałem nim Rozenbauma po czaszce, aż w gabinecie rozległ się suchy, kościany trzask: – O, tu pełno jest dowodów waszej przestępczej działalności...

Kogan milczał przez moment, a potem złość przewyciężyła w nim strach, wyniosłość trysnęła z niego jak sok z dojrzałego arbuza:

– Wy... wy... stukacie w głowę lekarza... swoimi... swoimi rękami... lekarza, który wybawił od cierpienia i śmierci tysiące chorych...

– Ha! Wybawili! – zauważył głęboko Mińka. – Zbawiciele, kurna! Czego to parch nie zrobi, żeby zamaskować swoje przestępcze plany...

Kogan rzucił się w jego stronę, wykrzyknął ochryple:

– Jakie plany? O czym wy mówicie?... Gdzie ja się znajduje, Boże święty?...

– Znajdujecie się w Oddziale Śledczym Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR... – wyrecytował powoli Mińka. – Któremu wiadome są wasze plany zlikwidowania kierowniczych kadr radzieckich na czele z Josisfem Wissarionowiczem Stalinem. I ten tu śmierzdel, Rozjebaum, opowiedział nam już wszystko...

Kogan gorzko pokiwał głową:

– Doktor Rozenbaum to mój uczeń. Nic złego nie mógł wam o mnie powiedzieć. Uczeń nie może oczerniać nauczyciela, nie może uznać go za łajdaka...

– O, czyżby? – odezwał się, i Kogan znowu się odwrócił. Przy każdym takim zwrocie tracił resztki pewności siebie. – Naprawdę nie może? A ta gazetka nic wam nie przypomina?

I wyciągnął ku niemu starą, żółtą „Prawdę”. Kogan gwałtownie zasłonił się rękami jakbym wpychał w jego białe profesorskie rączki cuchnącą ropuchę.

– Bez okularów na pewno nie zdołacie przeczytać? – zatroskałem się. – Dobrze, sam wam przeczytam... Gdzie to było?... Jakoś nie mogę znaleźć... Aha... O, jest – na drugiej stroniczce. „Śmierć podłym mordercom!” list do redakcji, napisany przez uczciwych radzieckich lekarzy, w którym żądają bezlitosnego potraktowania pozbawionych czci i wiary trucicieli, kryjących się pod płaszczkiem lekarzy, morderców wielkiego proletariackiego trybuna Maksyma Gorkiego... No co, nie pamiętacie tego listu?

Kogan milczał, schowawszy ręce za plecami. Mińka chichotał z zadowolenia i obgryzał paznokcie. Trefniak nie rozumiał, o czym mowa, ale z mego tonu wnioskował, że na razie bić nikogo nie trzeba, i w skupieniu o czymś rozmyślał – z pewnością o swojej kanciarce.

Rozenbaum podniósł na Kogana ciemne oczy, jak gdyby nalane jodyną.

– A zatem zapomnieliście – westchnąłem ze smutkiem. – A list jest ciekawy... bardzo ciekawy! Jacy oburzeni są uczciwi lekarze na podłego szpiega, profesora Pletniewa! O, posłuchajcie, jak to ładnie i jak przekonująco powiedziane: „Ci nędzni niegodziwcy i mordercy podeptali święty sztandar nauki, zhańbili swoimi potwornymi zbrodniami godność uczonych...” I podpisy: Miron Wowski, Nikołaj Zielenin, Jegorow... tak... tak... tak... o, jest jeszcze jeden uczciwy lekarz – Mojżesz Kogan. To wasz krewny?

Czy to przypadkowa zbieżność nazwisk? A może coś pokręcili w redakcji – czy to przypadkiem nie podpis waszego brata, Borysa Kogana?

– To... ja sam... to mój podpis – wydusił z siebie Kogan.

– Nie może być! – zawołałem przestraszony. – Przecież doskonale mi wiadomo, że uczeń nie może uznać nauczyciela za łajdaka! A przecież profesor Pletniew to wasz nauczyciel. Nie myślę się, prawda?

Och, długo milczał Kogan, zanim wreszcie był w stanie rozewrzeć usta i szeptem powiedzieć:

– N-nie... Nie mylicie się... Ale nas wtedy zebrał zastępca komisarza ludowego NKWD Agranow... pokazał przyznanie się do winy Pletniewa...

– I uwierzyliście?

– Uwierzyłem...

– Rozumiem was. – Pokiwałem ze współczuciem głową. – Na waszym miejscu też ani na moment nie miałbym wątpliwości, że wielki pisarz, młody chłopak w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat, krzepki suchotnik, atleta bez jednego płuca i z ostrą marskością wątroby, alkoholik po dwu zawałach, w żadnym razie nie mógł umrzeć śmiercią naturalną. Jedyne ręką sabotażysty Pletniewa zdołała wyrwać geniusza radzieckiej literatury z naszych szeregów. Nawet ja, choć nie jestem lekarzem, doskonale to rozumiem...

Mińka zarechotał radośnie, klepiąc się dłońmi po brzuchu, a i Trefniak, który wywnioskował, że opowiedziałem jakiś dobry kawał, też zarżał głośno, po sierżancku.

Gdzież się podziela wasza żydowska wyniosłość, drogi obywatelu Kogan? Jak szybko wstyd i strach załatwiły waszą butę!

Zaszeptał zmieszany:

– Agranow pokazywał dokumenty... Pletniew przyznał się na procesie... Agranow był przecież zastępcą komisarza ludowego, członkiem KC...

– Powiedziane jest w Psalterzu: nie polegajcie na księżkach, na synach człowieczych. Przecież Agranowa dawno już rozstrzelali...

– Ale myśmy przecież nie mogli wtedy wiedzieć, że to wszystko fałszywki! – wykrzyknął z rozpaczą Kogan.

– Fałszywki? – zdziwiłem się. – U nas nikt fałszywkami się nie zajmuje. Pletniew został zdemaskowany i rozstrzelany za jego winy. A Agranowa rozstrzelali stosownie do jego zasług. I wy nie macie innego wyjścia, niż szczerze przyznać się do popełnionych czynów...

– Boże, co tu się dzieje?! – krzyknął Kogan. – Czego wy chcecie ode mnie?!

W okrągłej kancelaryjnej karafce migotało odbite światelko elektrycznej lampy, skrzypiały chromowe buty Trefniaka, obficie sapał Mińka, pochlipywał Rozenbaum.

Woda w karafce tężała w pęcherz wielkiej lzy.

Mińka nie wytrzymał, nie pojął, osioł, że Kogana należy złamać nie strachem, lecz ponizieniem, wytykając mu jego własne grzechy, i wyskoczył z pytaniem:

– Chcemy, żebyście nam opowiedzieli, jak udało się wam zabić kandydata na członka Biura Politycznego, sekretarza KC WKP(b), pierwszego sekretarza moskiewskiego miejskiego i okręgowego komitetu partii, zastępcę komisarza ludowego obrony ZSRR, kierownika Głównego Zarządu Politycznego Armii Radzieckiej, kierownika Sowinformbiura, generała Aleksandra Siergiejewicza Szczerbakowa...

Wyrecytował to uroczyście, jak diakon litanie. Trefniak, oderwawszy się od rozmyślań o swojej kanciarce, gwizdnął z podziwem:

– Aż tylu od razu załatwił? A to ci podłe Żydzisko!

Wszyscy udali, że nie usłyszeli uwagi Trefniaka. Obserwowałem, jak Kogan nabiera powietrza do płuc, powstrzymuje drżenie szczęk, żeby zgodnie odpowiedzieć nam napiętym ze strachu głosem:

– Towarzysz Szczerbakow zmarł 9 maja 1945 roku na skutek wielodniowego intensywnego picia. Zabić go nie mogłem z dwóch powodów. Po pierwsze, gdy pił, ochrona nikogo nie dopuszczała do niego. Łatwo to sprawdzić w księdze odwiedzin na dacy Szczerbakowa w Barwisze, gdzie spisywane były z dowodu osobistego dane każdego, kogo wwożono na teren dacy. A po drugie, nie byłem lekarzem leczącym Szczerbakowa i widziałem go za życia tylko raz, w czasie konsylium zwołanego ze względu na jego postępującą sklerozę i chorobę reumatyczną...

– A skąd znacie przyczynę jego śmierci?

– Opowiadał mi kolega, profesor Wowski... Badał Szczerbakowa jako naczelny lekarz Armii Radzieckiej...

– Ano właśnie – zauważył Mińka. – Tak też zapiszemy: pomysł uśmiercenia Szczerbakowa za pomocą silnie działających leków odpowiedział Koganowi profesor Wowski...

– Zwariowaliście! – krzyknął piskliwie Kogan. – Ja nic podobnego nie mówiłem! I nie powiem! Nigdy!

Nie kręcił już dłużej głową tam i z powrotem, tylko zerwał się z krzesła i błagalnie wyciągając ku mnie ręce, zamamrotał żarliwie:

– No, przynajmniej wy, towarzyszu, wyglądacie na człowieka porządnego, wykształconego, przynajmniej wy spróbujcie zrozumieć, że wszystkie te oskarżenia to jakieś potworne głupstwa! Nikt na świecie w to nie uwierzy! Jakie silnie działające lekarstwa? Szczerbakow wypijał dziennie do trzech litrów wódki i wypalał parę paczek papierosów. Przecież go widzieliście, ważył sto czterdzieści kilo i sam zjadał na obiad całą wieprzową szynkę z kaszą gryczaną. W czasie konsylium powiedział mi, że co dzień przywożą mu z badajewskiego browaru tuzin butelek niefiltrowanego piwa. To przecież śmierć dla nerek!

– Nie obrzucajcie błotem pamięci zamordowanego przez siebie syna narodu radzieckiego! – uroczyście, ze smutkiem powiedział Mińka.

– Dlaczego miałbym obrzucać błotem jego pamięć? Ja tylko staram się wam wytłumaczyć! Przecież nie zalecałem mu, żeby pił wódkę i pochłaniał całe skrzynki piwa!

Mińka z bólem zakrył oczy swoją pulchną dłonią o krótkich palcach z poobgryzаныmi paznokciami i głucho wyrzekł:

– Aleksander Siergiejewicz Szczerbakow wraz z towarzyszem Stalinem dźwigał na własnych plecach cały ciężar wojny i umarł w Dniu Zwycięstwa w wieku czterdziestu czterech lat, a ta stara żydowska wesz jest żywa i zdrowa, przez całą wojnę obijała się na tyłach, a teraz jeszcze zohydza pamięć jednego z najbardziej oddanych uczniów Stalina... Nie mogą tego słuchać!

I walnął pięścią w biurko. Kogan zamilkł.

Podszedłem do niego, położyłem mu rękę na ramieniu i powiedziałem serdecznie:

– Pomimo tych ohydnych przestępstw, jakie popełniliście, wydajecie mi się na swój sposób sympatyczni. Dlatego dam wam dobrą radę: napiszcie sami, dobrowolnie, wszystko, o co was prosi śledczy. Żeby było to jak najbardziej przekonujące...

– Dlaczego? – wyszeptał Kogan. – Dlaczego mam sam pisać te upierne bzdury?

– Głupie pytanie, wierzcie mi. Przecież gdyby na froncie trafiła was kula, nie pytalibyście, dlaczego zabiła właśnie was. Zabiła i cześć! Na wojnie zabijają...

– Ale przecież teraz nie ma wojny...

– Mylicie się! Jest! I to bardzo serio. Nie pozwolimy, żeby w każdej instytucji siedział Guriewicz, Gurowicz i Gurwicz, żeby zatruwali życie radzieckiemu narodowi!

– Mówicie jak faszysta... – z trudem, jakby zdrętwiały mu wargi, wyszeptał Kogan.

– Spory co do tego, jak kto mówi, są teraz nie na miejscu. Chcę wam po prostu wytłumaczyć, dla waszego dobra, dlaczego powinniście jak na jszybciej dostarczyć nam interesujących nas informacji...

– Ja nic nie powiem... – Pokręcił głową Kogan. – Nic nie wiem i nic o nikim nie powiem.

– Ależ powiecie! – Zaśmiałem się. – Kiedyś wy sprzedaliście swojego nauczyciela Pletniewa, a teraz Rozenbaum powiedział nam o was...

Rozenbaum zamuczał coś przeciągle i Trefniak musiał go uspokoić krótkim, bez zamachu ciosem w wątrobę.

– ...Rozenbaum powiedział nam o was. Wy już podaliście nam nazwisko Wowsiego...

– Nie mówiłem nic na temat Wowsiego!

– Mówiliście, mówiliście. W pełni wystarczy to, żeby go aresztować jeszcze dziś. Co też uczynimy. A on opowie o waszym bracie Borysie Borysycz, a ten z kolei o Feldmanie, i sprawa pójdzie naprzód...

– A dokąd dojdzie? – spytał Kogan i wzdrygnął się.

– Do piekła – odparłem spokojnie. – Zrozumcie, że już umarliście, i oswojcie się z tą myślą.

– W takim razie po co te wszystkie rozmowy? – Wzruszył ramionami.

– Bo jak każdy zmarły trafiliście do czyśćca, to znaczy do tego gabinetu. I od waszego zachowania zależy, dokąd pójdziecie dalej: do raju czy do piekła.

– A co uważa się u was za raj? – spytał Kogan, a ja pomyślałem, że mimo wszystko siły ducha nie można mu odmówić.

– Raju nie ma bez przyznania się do winy i odpuszczenia grzechów, tak że o tym pogadamy później. A piekło... piekło... – zawiesiłem na chwilę głos, po czym podjąłem: – Piekło to to, co stanie się z waszą rodziną, z waszymi dziećmi i wnukami. Piekło to to, co zrobi z wami kapitan Trefniak, żebyście wyglądali, jak wasz asystent Rozenbaum! Piekło to stan, w którym będziecie marzyć o śmierci jak o lyku zimnej wody. Teraz już rozumiecie, co to jest piekło?

Trefniak, usłyszawszy swoje nazwisko, stanął za plecami Kogana.

– Rozumiem... – Kogan z rezygnacją skinął głową. – Ale wytłumaczcie mi, na Boga, po co wam to?

– Długo by to tłumaczyć. Trzeba i koniec. A w ogóle życie to walka kogutów. Jeśli człowiek nie ma własnego koguta, nie jest graczem, tylko fujarą.

– Możliwe. Pewnie macie rację. Tylko że wy na walkę kogutów przyszlicie nie z kogutem, lecz z krwiożerczym sępem... – Kogan ciężko westchnął i wstał z krzesła. – Jak już powiedziałem, nie mam nic do powiedzenia...

– No, jak wolicie. – Zwróciłem się do Mińki: – Przystępujcie do przesłuchania, przyjdę za jakieś dwie godziny...

W drzwiach obejrzałem się jeszcze raz – i tak właśnie ich zapamiętałem: Mińka z knutem w ręce, podnoszący się zza biurka, przypominający poganiacza bydła, Kogan, z przerażeniem wciskający w ramiona siwiejącą głowę, za jego plecami Trefniak z nogą jak stal, napiętą do kopniaka, i wilgotna kupka Rozenbauma na taborecie...

Zatrzasnąłem drzwi, za którymi od razu rozległ się mlaszczący odgłos uderzenia w coś miękkiego, rozgłośnie trzaśnięcie i ostre, zwierzęce wycie, cichnące w miarę, jak oddalałem się długim korytarzem, wysłanym czerwonym chodnikiem.

Co prawda i z innych gabinetów dochodziły krzyki, jęki, odgłosy uderzeń, wycie, płacz i soczyste przekleństwa. Nikt z idących korytarzem nie zwracał uwagi na ten hałas. Kwestia przyzwyczajenia. Z początku wszystkie te dźwięki działają na nerwy, ale potem człowiek przywyka. Przecież piła zgrzyta jeszcze przenikliwiej, prawda? A wiertło wyje bardziej odrażająco. Topór wydaje jeszcze okropniejszy dźwięk.

Znacznie później – po upływie wielu lat – ileż to przyszło mi wysłuchać ścinających krew w żyłach historii o lochach tortur naszego Wydziału! A ja – pisarz, laureat, profesor, subtelny inteligent – z przerażeniem słuchałem tych opowieści i ze zgrozą wołałem: nie do wiary, po prostu nie mogę sobie tego wyobrazić!

Nie mogę, bo żadnych straszliwych podziemi, mrocznych lochów w wydziale nie było. To legendy. Mity. Anegdoty.

Nie było, ponieważ w ogóle nie były potrzebne. Po co? Przed kim mieliśmy się chować? Co ukrywać? Mieliśmy nawet własnych prokuratorów. Tak też się nazywali – prokuratorzy MGB.

Głupie wymysły ignorantów. A powstały z braku pojęcia o istocie roboty, jej technologii.

Śledczy Wydziału różni się od śledzącego procesy fizyczne naukowca tylko tym, że do wyizolowania prawdy nie jest mu potrzebny synchrotron protonowy w piwnicy. Wszystkie środki i narzędzia pracy śledczy ma pod ręką.

W każdym pokoju jest pełno gniazdek, napełnionych aż po dziurki pełnowartościowym prądem elektrycznym, który za pomocą zwykłego zacisku można podłączyć do warg, piersi, ucha czy członka przesłuchiwanego. Czy do delikatnej damskiej brodawki.

Zwykłymi szczypcami Zacariennyj w mgnieniu oka zrywał milczkowi paznokcie.

A wyrwać z głowy połowę włosów potrafiła nawet taka subtelna przedstawicielka słabej płci, jak kapitan Katia Szugajkina. Ona też nadzwyczaj zęcznie kopała facetów czubkiem pantofla w jaja – o perfekcyjności kopniaka zawsze decydowało zaskoczenie. No i trening, rzecz jasna.

Takich drobiazów, jak wybijanie zębów, wylupianie oczu, odrywanie uszu czy łamanie kości – w ogóle nie traktowało się poważnie.

Wydumane katowskie lochy, absurdalny średniowieczny *entourage* – wszystko to było nam absolutnie niepotrzebne, albowiem „wnutrianka” – Centralne Więzienie Wewnętrzne Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR, mieszczące się w pięciopiętrowym budynku byłego hotelu byłej żeglugi parowej Kaukaz i Merkury w podwórzu przy Wielkiej Łubiance 2, połączone zadaszonym przejściem z głównym gmachem – pozwalała na pełną realizację zamkniętego cyklu ochrony bezpieczeństwa państwa: od rozpracowania człowieka przez agentów do jego aresztowania, od rozpoczęcia śledztwa do całkowitego przyznania się oskarżonego, od posiedzenia Sądu Specjalnego do rozstrzelania skazanego. I wszystko to bez konieczności wyjścia choćby raz na ulicę.

Wszystko w jednym miejscu! Marzenie technokratów, niedosiężny cel technologów – produkcja bez odpadów, niekończący się zamknięty krąg, jelito, trawiące samo siebie. Jasne, tych, co zmarli na ostrą niewydolność serca, trzeba było wywozić do krematorium, ale to nie miało już związku z cyklem śledztwa.

Nie było żadnych podziemnych katowni.

Wręcz przeciwnie: więźniom „wnutrianki” – ostrzyżonym na zero, o ziemistobiałych twarzach – jako jedynym spośród wszystkich niezliczonych mieszkańców naszego więziennego wszechświata wydawano w ramach dziennego przydziału paczkę papierosów, boksów, cieniutkich kruchych słomek, nabitych trawą, po sześćdziesiąt kopiejek na stare pieniądze, czyli sześć dziesiątych kopiejki na dzisiejsze. Oto widoczny efekt ekonomiczny bezodpadowej produkcji!

Nikomu nie przychodzi do głowy, że jeśli oś czasu obraca się w przeciwną stronę, jeśli w nieprzejrzanym mroku styczniowej nocy wre roboczy dzień, jeśli lekarze zabijają swoich pacjentów, to i katowskie lochy znajdują się nie w podziemiach, tylko na szóstym piętrze korpusu śledczego...

Wszedłem do swojego gabinetu, wziąłem z sejfu akta agenta Dyma i powoli, uważnie je przejrzałem. Zwykła tekturowa teczka, wiązana na tasemki, ze wszystkimi właściwymi nadrukami.

MINISTERSTWO BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWOWEGO ZSRR

DRUGI ZARZĄD GŁÓWNY

ŚCIŚLE TAJNE

PRZECHOWYWAĆ TYLKO W SEJFACH W POMIESZCZENIACH SPECJALNYCH, WYKLUCZAJĄCYCH DOSTĘP OSÓB POSTRONNYCH

WYNOSENIE AKT Z GABINETU SŁUŻBOWEGO SUROWO WZBROSIONE

ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA PRZESTRZEGANIE ZASAD PRZECHOWYWANIA I KORZYSTANIA Z NINIEJSZEJ DOKUMENTACJI SPOCZYWA NA PROWADZĄCYM AGENTA

To znaczy na mnie.

Przez parę lat kierowałem działalnością agenta Siergieja Fomicza Zamoszkin, starego jubilera, i rezultaty wszystkich naszych wspólnych osiągnięć trafiały do tej teczki. Dawno temu, na cynk dany przez innego agenta – też jubilera, zawsze darzyłem ich szczególnym zainteresowaniem – zgarnęliśmy Zamoszkiną z partią brylantów nieczystego pochodzenia, aczkolwiek najczystszej wody, i daliśmy mu do wyboru: albo zostanie naszym informatorem, albo pójdzie do pudła.

Zamoszkin podpisał najpierw zobowiązanie do tajnej współpracy, potem zobowiązanie do nierozgłaszania tajemnic państwowych, i zaczął żyć spokojnie, miło, niczym kastrowany kot – moralnych rozterek nie znał, a za moimi plecami bez problemu mógł prowadzić swoje przekręty.

Agentem był pierwszorzędnym: nie zawracał mi głowy drobiazgami, nigdy nie wdawał się w oceny i dywagacje, każdy raport zawierał precyzyjne i poważne informacje. A najważniejsze, że natychmiast się zorientował, co, a raczej kto najbardziej mnie interesuje.

Ach, gdyby ten stosik ponumerowanych i porządnie spiętych karteczek dać jakiemuś Balzakowi! Dopiero by wyszła ludzka komedia! Świat zataczałby się ze śmiechu.

Ale Balzakowie już się nie rodzą, a i dostępu do informacji agentów nie mają, o co sam się postarałem, jako że bardziej cenię swoje życie niż całą światową literaturę.

Tak więc nikt nie jest w stanie sobie nawet wyobrazić, jakie powstają arcydzieła, gdy płomienni, ideowi funkcjonariusze skłonni są w wolnych chwilach interesować się wyrobami jubilerskimi.

Siergiej Fomicz – cieszący się autorytetem, zamknięty w sobie, świetny specjalista – był dla mnie niewyczerpanym źródłem kompromitujących informacji o ważnych członkach partii, działaczach państwowych, a także – co tu kryć – o moich kolegach. Rzecz w tym, że zbyt już dosłownie zrozumieli sens politycznego hasła „grab zagrabione!” W podziemnym jubilerskim interesie Zamoszkina pojawiały się więc szlacheckie kosztowności, krzyże archierejów, złote cygarniczki dorobkiewiczów z czasów NEP-u i mnóstwo innych dupereli, które w czasie rewizji przypadkowo trafiły w bezdenne kieszenie naszych orłów.

I wtedy właśnie – z wyżyn przeżytego czekistowskiego nieba – spadałem na złodzieja jak miecz Nemezis, chwyciłem go za łapy, zagarniające dobro ku sobie, i... zaczynała się między nami harmonijna współpraca.

Przysięgałem im – dawałem uczciwe, bolszewickie słowo czekisty – że na razie nikt oprócz mnie o tym smutnym fakcie się nie dowie. Rzecz jasna, zapewniałem o tym ustnie.

A oni w rewanżu dawali mi słowo – rzecz jasna na piśmie – że będą mi pomagać, by odkupić swój grzech.

I jak każdy prawdziwy bolszewik i czekista słowa danego zawsze dotrzymaliśmy.

Bowiem żaden z tych pazernych głupców nie wpadł na to, albo zabrakło mu zdecydowania, żeby chwilę potem zastrzelić mnie na ciemnej moskiewskiej ulicy, zabrać swoje pisemne zobowiązanie i zniknąć. Nie domyślili się, bałwany.

Stosunki nasze, trzeba powiedzieć, były bardzo intymne. W Centralnej Kartotece Agentów bardzo by się zdziwili, gdyby się dowiedzieli, że pracują dla mnie jako informatorzy etatowi oficerowie MGB.

Od chwili, gdy wszedłem do wydziału, zasiadłem w swoim gabinecie – pomieszczeniu specjalnym, wykluczającym dostęp osób postronnych – i włożyłem deklaracje do sejfu, nie pozostawało tym półgłówkom nic innego, niż liczyć na moją szczęśliwą gwiazdę, albowiem w razie mojej śmierci czy aresztowania sejf zostałby utworzony przez całkowicie postronnych ludzi, których szalenie zainteresowałaby łącząca nas przyjaźń.

Krótko mówiąc, cała ta banda, rozrzucona niemal po wszystkich wydziałach urzędu, pozwalała mi orientować się dosyć dokładnie w nowych prądach, pomysłach i kierunkach naszej ogromnej firmy.

Po kilku latach ta przezorność uratowała mi życie. Ceną mego życia okazała się sztuczna szczęka. Wielka proteza zębowa. Złota. Cwany czekista świsnął ją wprost z filizanki na szafce nocnej. W czasie rewizji. Przyniósł ją do Siergieja Fomicza Zamoszkinina, mojego agenta o ksywce Dym. I trafił w moje przyjazne, szeroko otwarte ramiona. Oczywiście przysięgliśmy sobie z cwaniakiem wzajemną wierność. I pewnego razu szepnął mi coś, co uratowało mi życie.

Zaświadczam, że cwaniak, który ukradł sztuczną szczękę, zmienił los ludzkości, zrównawszy w ten sposób moje życie z losem miliardów żyjących na kuli ziemskiej. I wyznaczył nam taką samą cenę – cenę złotej protezy zębowej, sztucznej szczęki z drogiego złotego kruszcu, którą ukradł z filizanki z wrzątkiem, stojącej na nocnym stoliku obok łóżka aresztowanego starca, po którym nie został nawet ślad...

Ale miało to miejsce później, w czerwcu pięćdziesiątego trzeciego, w roku upadku Ławrentija, angielskiego szpiega, który wkradł się na drugie miejsce w niewielkim państwie, zajmującym jedną szóstą powierzchni ziemi, gdzie socjalizm zwyciężył w pełni, ale nie do końca – jak zagadkowo tłumaczył nam przedwcześnie zmarły Boss.

A na razie przerzucałem zawartość teczek agenta Zamoszkinina i dumałem. Było nad czym podumać.

Dossier, które zamówił minister na swojego zastępcę, a mojego zwierzchnika, Krutowanowa, powinno spełniać dwa warunki. Po pierwsze – w sposób ostateczny skompromitować Kruta. Po drugie – nie zawierać żadnych śladów mojego udziału w tej sprawie.

Nie miałem najmniejszej ochoty znaleźć się w sytuacji głupich złodziejasków, odstępujących Zamoszkinowi zagrabione fanty i trafiających w moje czułe objęcia. Nie pociągała mnie rola żetonu w grze Abakumowa z Krutowanowem.

Jasne, w tej chwili więcej atutów ma Abakumow. Pełno asów, całą karete. Ale gra się jeszcze nie skończyła. Jeszcze nie wieczór. Zresztą wieczór to u nas początek dnia pracy, który kończy się nad ranem.

Skąd mam wiedzieć, w jaki sposób to dossier może się znaleźć w rękach Krutowanowa?

My, opricznina, żyjemy według własnych praw. A ponieważ wymyślony przez ludzi bezsensowny astronomiczny zegar wybił szóstą rano, oznaczało

to, że wkrótce koniec pracy, zbliża się pora odpoczynku, i powinienem się pospieszyć.

Wyjąłem doniesienie Zamoszkiina – raport agenta Dyma – kopię orzeczenia komisji do spraw zdobyczy wojennych o wycofaniu korony z dreźnieńskiego Zwingera, kopię podpisaną przez Mieszika notatki o przeznaczeniu „wyrobu antykwarycznego w postaci korony” na potrzeby MGB, parę innych papierków. Wszystko to schowałem do wewnętrznej kieszeni marynarki i poszedłem do Abakumowa.

Jak zawsze o tej przedświtowo-przedwieczornej godzinie „wagon” był pełny. Cierpliwie jechali nim w niewiadomym kierunku generałowie, siedzący na odkładanych, politurowanych krzeselkach, biegali tam i z powrotem oficerowie od poleceń, kręcił tarczą telefonu Koczegarow. Do mnie powiedział łaskawie:

– Zaraz się kończy narada. Poczekaj... – I, rzuciwszy okiem na siedzących w poczekalni, dodał: – Chyba ich wszystkich przeskoczysz...

O, tyranio kancelarii! Dyktaturo sekretariatu!

Z jakim oddaniem, z jakim uczuciem zaglądali w te oczy o barwie zgniliny dysponenci losów tysięcy ludzkich istnień, władcy nieogarnionych satrapii, niepodlegający żadnej kontroli namiestnicy przeznaczenia!

Tego i owego aresztowano potem, rozszarżowano, zdegradowano, inni poszli w górę, awansowali. A motorniczy Koczegarow zniknął w niepamięci, rozplynął się, rozwiął, niczym tłusty kłęb dymu nad kominami moskiewskiej elektrowni. Tak jakby nigdy go nie było.

Ale wtedy był. Niepodzielnie królował u steru wagonu i niewątpliwie dobrze znał swoją sekretarską robotę, bo w pewnej chwili poderwał się żwawo z krzesła, jakby otrzymał niewidoczny dla innych sygnał, i szeroko otworzył drzwi gabinetu Abakuma.

I tłumnie wywaliło się z nich kierownictwo: wiceministrowie Kobałow, Seliwanowski, Agalcow, Goglidze, naczelnik wywiadu politycznego Fitin, naczelnik kontrwywiadu Fiedotow, naczelnik Czwartego Zarządu Głównego Sudoplatow, naczelny śledczy Włodzimirski... Naczelnicy. Mrowie naczelników. Atamanów. Przełożonych. Rozkazodawców.

I jako ostatni – zamykając za sobą drzwi – Krutowanow.

Widać niezła tam musiała być draka: Krut miał zagryzioną wargę i podrygiwała mu jeszcze gula na policzku. Zobaczył mnie, uśmiechnął się, szczerząc zęby, mrugnął leciutko, musnął dłonią jasne, lekko nabrylantynowane włosy z idealnie równym przedziałkiem.

– Dobrze, że was widzę – rzucił szybko i poklepał mnie po plecach. Ale ręki mi nie podał. Nigdy nikomu nie podawał ręki. Może tylko szwagrowi, Giorgijowi Maksymilianyczowi.

– Wpadnijcie do mnie za kilka dni, mam do was sprawę – powiedział. Per „wy”. Zwracał się w ten sposób nawet do aresztowanych. Pewnie i do żony zwracał się per „wy”, z szacunku dla męża jej siostry, czyli szwagra.

– Tak jest! – Wyprężyłem się.

Przechylił głowę, przyjrzał mi się raz jeszcze, jak gdyby mnie oceniając, i zdecydowanie skinął parę razy głową:

– Tak, to robota dla was...

Poszedł, a ja poczułem ohydny ucisk w brzuchu. Jasne, że nie od wyrzutów sumienia. Nie podobało mi się, że od razu taki jestem dla nich wszystkich przydatny. To nie skończy się dobrze.

A Koczegarow już szturchał mnie w ramię:

– Właż... – I wszedłem do sali obrad ministra ubezpieczenia Rosji.

Dzień pracy się skończył i naczelny ubezpieczyciel, pod niezłym gazem, siedział w fotelu, wyciągnąwszy nogi na niskim stoliku. W rękach trzymał pękatą butelkę i kryształowy kieliszek, wypełniony słomianożółtą cieczą.

Popatrzył na mnie zaczerwienionym, złym okiem, wypił, długo marszczył się, parsknął, wreszcie powiedział z niezadowoleniem:

– Whisky! Chuisky! Gówno i tyle. Palony korek. I co w niej niby takiego dobrego, w tej całej whisky? Cudzoziemskie wymysły...

– A co by miało być dobrego: kukurydziany samogon! – zgodziłem się skwapliwie.

Abakumow z zainteresowaniem przyglądał się etykietce na czarnej butelce, uważnie wpatrywał się w niezrozumiałe litery, powoli poruszał suchymi wargami:

– Ne... i... d... Nazywa się Neid... Jak myślisz, Paszka, jakby tak wziąć całą tę wódkę, jaką wypilem przez całe życie, zbierze się cysterna?

– Kolejowa czy drogowa? – uściśliłem.

– Kolejowa – odrzekł po namyśle minister.

– Pulmanowska czy mała? – udawałem powagę.

– No, niech będzie mała – machnął ręką Abakumow.

– Mała się zbierze – zapewniłem go.

– I ja tak myślę – ze smutkiem pokiwał głową minister. – A nie pić się nie da: życie nie pozwala.

– Picie bardzo źle wpływa na wątrobę – wyraziłem głęboką myśl.

A on zaśmiał się:

– Ja, Paszka, marskości nie doczekam. Umrę młodo. Aż przykro umierać z takim dobrym zdrowiem...

– W takim razie po co umierać, towarzyszu generale? Żyćcie sobie. Przecież wszyscy was kochamy...

– Już ja dobrze wiem, jak wy mnie kochacie! Szakale! Na całym świecie jeden Josif Wissarionowicz mnie kocha! I ceni!... A na was wszystkich mogę lagę położyć...

Miałem wrażenie, że nie tylko jest pijany – dodaje sobie otuchy, uspokaja sam siebie.

– Dobra... – Strzyknął śliną na gruby dywan. – Dossier przyniosłeś?

W milczeniu wyciągnąłem ku niemu plik kartek. Abakumow odsunął je daleko od oczu, długo czytał je uważnie, od czasu do czasu chrząkał z zadowoleniem, chichotał, mrugał, zasysał powietrze przez dziurę w uzębieniu, po czym zwrócił się ku mnie i zapytał jakby od niechcenia:

– A czemuż to teczki agenta nie przyniosłeś? Tego... – Rzucił okiem na papier – Dyma?

– Nie wiedziałem, Wiktorze Siemionyczu, że się nim zainteresujecie. Zresztą zabroniliście wynoszenia z gabinetu teczek agentów. No, a poza tym... przecież spotkałem pod waszymi drzwiami Krutowanowa. Gdyby przyszło mu do głowy zainteresować się moją teczką...

– Tak... – Opuścił obrzękłe powieki i obojętnie spytał: – A ty co, wiedziałeś, że go tu spotkasz?

– Zawsze dopuszczam taką możliwość – odparłem.

– Tak... – mruknął znowu i tym samym tonem powiedział: – Czemu nie napisałeś pisma przewodniego do dossier? Tak i tak, znaczy, informuję was, drogi szefie, że dotarły do mnie następujące dane... No?

– Wiktorze Siemionyczu, ja przecież staram się wasze polecenia realizować w sposób przemyślany.

– Przemyślany... hm... No i co tam wymyśliłeś?

– Że kul nie odlewa się z gówna. Ten materiał to kula. Zakładam, że dzięki wam to dossier zawędruje ba-ardzo wysoko. Ba-ardzo! Towarzysz Stalin zacznie czytać raport i zdziwi się. Co to za jeden, ten Chwatkin? Podpułkownik? A to gnojek! Gdzie się pcha, prosiak niemyty?! Ale jeśli raport podpisze generał dywizji Mieszik, no, to już całkiem inna para kaloszy!

– Mieszik? – nie otwierając oczu, spytał minister. Wyglądało, że drzemie, ale ja dobrze wiedziałem, że tylko przymknął oczy i zajadłe kombinuje, jak przyczajony, krwiożerczy zwierz, gotujący się do skoku.

– Oczywiście że Mieszik – zapewnili go. – Jeśli raport podpisze Chwatkin, nie będzie to kula, tylko śrut na kaczki. A jeśli Mieszik, pocisk artyleryjski...

– Dlaczego? – Uniósł brew Abakumow.

– Dlatego że jeśli dossier zostanie dołączone do mojego raportu, wówczas Mieszik staje się bezinteresownym świadkiem. Oddał mi kamień, co stwierdzam w raporcie, i na tym koniec... Co tam się dalej z diamentem działo, nie wie i wiedzieć nie pragnie. A przecież sprawa nie tak wygląda.

– A jak wygląda? – burknął szef.

– Przecież Mieszik nie oddał tego kamienia głodującym koreańskim sierotom wojennym, wiązał z nim jakieś nadzieje. Na pewno pytał już Kruta: co tam z naszym podarkiem dla Gospodarza? A ten mu na pewno odpowiedział, że na razie nie pora o tym mówić. Tak więc Mieszik dobrze wie, że Krutowanow podwedził diament...

– No i co? – sucho, z grymasem niezadowolenia spytał Abakumow. Nie miałem wątpliwości, że już wszystko przemyślał i chce, żebym teraz potwierdził jego wnioski.

– Jeśli Mieszika wezwie w związku z moim raportem Ławrentij Pałycz, czy, Boże uchowaj, sam towarzysz Stalin, to narobi on w spodnie ze strachu i zacznie się ze wszystkiego wycofywać. Jeśli jednak tu, w waszym gabinecie, przeczyta dossier, od razu zrozumie, że to wy kontrolujecie sytuację. Napisze pod wasze dyktando dowolny raport, i wówczas wy stajecie się kimś z boku...

– Jak to z boku?

– No, znaczy że to nie wasza inicjatywa, tylko oficjalne doniesienie byłego ministra jednej z republik, generała, starego czekisty! A waszym służbowym obowiązkiem jest poinformować towarzysza Stalina o tak niezwykłym fakcie. No i mamy załatwionego naszego drogiego Siergieja Pietrowicza.

Patrząc z boku, mogło się wydawać, że Abakumow całkiem zasnął. Ale co to był za sen! Ciemne, straszliwe majaki na jawie, słodkie marzenie o mającej się wkrótce ziścić zemście, próg szczęścia, zbryzgany krwią i mózgiem śmiertelnego wroga!

Minister otrząsnął się, otworzył przekrwione oczy, nalał sobie do kieliszka whisky, pomyślał, chlusnął w czyjś niedopity kieliszek, wskazał go wzrokiem:

– Chodź, napijemy się... Sprytny jesteś, mimo wszystko... Zwykłą śmiercią nie umrzesz...

Przełknąłem palącą bryłę kukurydzianego samogonu, whisky załomotała mi w skroniach. Abakumow zdjął nogi ze stolika, podniósł się ciężko i tro-

chę się zataczając, podszedł do sejfu. Długo brzęczał kluczami, zanim otworzył półmetrowej grubości drzwi, za którymi znajdowała się jeszcze jedna skrzynka z szyfrowym zamkiem. Nacisnął parę guzików, drzwiczki otworzyły się z kliknięciem; do tej właśnie stalowej dziupli szef włożył moje karteczki.

Boże, jakie tam leżały tajemnice! Można przysiąc, że nie ma na świecie przechowalni większych bogactw niż sejf Wiktora Siemionycza Abakumowa. Albowiem bogactwo – to władza, a nie ma większej władzy niż wszechmoc stróża cudzych tajemnic. I rośnie ta władza, puchnie, nabiera siły proporcjonalnie do liczby tych tajemnic.

Nasz wspomniały Urząd – wszechzwiązkowy, wszechświatowy bank ludzkich sekretów, które zostały zabrane ich właścicielom za pomocą rozstrzelania, bicia, rewizji, doniesień agentów, informacji szpiegowskich i operacyjnych kombinacji – zyskał niesłychaną władzę nad ludźmi, wzięwszy na przechowanie najtajniejsze prawdy całych narodów.

A szczególnie interesujące rzeczy z życia stróża cudzych tajemnic, władców cudzych zamysłów i postępków – leżały w sejfie naczelnego kustosa naszego Wydziału, generała broni Abakumowa.

Dlatego, zaglądając ukradkiem do tajemnej szkatułki ministra, słyszałem ogłuszający stukot swego serca i w napięciu zastanawiałem się, czy uda mi się przebić przez narastającą, śmiercionośną lawinę, czy też pochwyci mnie ona i powlecze razem ze wszystkimi.

Swoje polowanie na tajemnice prowadziłem na własną rękę, bez rozgłosu. Cała moja przemyślność skierowana była obecnie na to, żeby nie oddać tej tajemnicy na przechowanie Abakumowowi.

Jedna z moich tajemnic już leżała u niego w sejfie. Według mnie, to wystarczy.

I rzecz nie w tym, że nie wierzyłem w życziwe uczucia, jakie żywił do mnie Abakumow. Po prostu przechowywanie takich tajemnic to nieprawdopodobnie odpowiedzialne, niebezpieczne zajęcie.

Trudno przewidzieć, w jakim momencie przechowalnia przejdzie w inne ręce. Czyje?

I właśnie tego, oprócz nieśmiertelnego Bossa, nikt nie mógł przewidzieć, bo nigdy jawni faworyci nie wchodzili jako gospodarze do zarządu towarzystwa ubezpieczenia Rosji. Towarzystwa straszenia Rosji...

Abakumow z loskotem zatrzasnął drzwiczki wewnętrznego sejfu, wziął ze stalowej szafy parę kartek i machając nimi w powietrzu, oznajmił:

– Towarzysz Stalin mi wierzy! I kocha mnie! Wie, że tylko ja jestem mu wierny do grobowej deski. Ja jeden!

Usiadł przy stole, przywołał mnie kiwnięciem palca i powiedział:

– A ty widziałeś kiedy własnoręczny podpis towarzysza Stalina? Nie widziałeś? Masz, popatrz, wnukom będziesz miał co opowiadać...

Wyciągnął ku mnie kilka kartek – był to *Regulamin Zarządu Głównego Kontrwywiadu Armii Czerwonej* – **SMIERSZ***.

– Patrz, czytaj, co o mnie napisał Josif Wissarionowicz... – Palcem o białym, szerokim paznokciu wskazał punkt drugi: *Przewodniczący Zarządu Głównego Kontrwywiadu Armii Czerwonej SMIERSZ podlega Komisarzowi Ludowemu Obrony ZSRR. U dołu, niebieskim ołówkiem, dopisano: / tylko jemu.*

– Zrozumiałeś? Podlegam Jemu! I tylko Jemu!

Troskliwie wygładził na stole kartkę z magicznymi słowami, napisanymi chemicznym ołówkiem, i rozkazał:

– Zjawisz się u mnie pojutrze o trzeciej w nocy!

– Tak jest! – Wyrężyłem się.

– Wezwę z Kijowa Paszkę Mieszika. Zorganizuję wam konfrontację. Jeśli wyjdzie tak, jak tu dowodziłeś, szuj pułkownikowską papachę. A jak nie wyjdzie...

Nie powiedział, co mnie wtedy czeka. A ja nie musiałem pytać. Domyślałem się...

I dostałem pułkownikowską papachę – szarą, karakułową. Tyle że nie pojutrze, a za dwa lata. Z rąk całkiem innego gospodarza towarzystwa straszenia Rosji.

Wysłużyliśmy sobie mimo wszystko z Mińką tatarski podarunek – rzeмиenny knut i baranią czapkę.

16. *Orbis terrarum*

○ szukali mnie jak dziecko.

Śnił mi się długi, barwny i straszny sen, bardzo długi – niemal całe życie. Ocknąłem się – i nie ma w rękach knuta, a nieokryta papachą głowa ziębnie z przygnębienia i strachu.

* Skrót od *śmierć szpionom* – śmierć szpiegom.

Lód w dołku i świdrujące gorąco za mostkiem. I Mangust naprzeciwno, wieczny, niezniszczalny, natrętny – żydowska zaraza.

– Już prawie pięć godzin uczujemy – powiedziałem. – Najadłem się. Po gardło.

– Nic dziwnego – zgodził się Mangust. – Jadło na naszą ucztę było zbierane przez trzydzieści lat.

– A pan w ciągu jednego obiadu chciałby mnie wyciągnąć, jak raka ze skorupki...

– Nie – pokręcił głową.

– To o co panu chodzi?

Mangust wziął z bocznego stolika butelkę wody mineralnej, otworzył, nalał, wrzucił do szklanki jakąś białą musującą tabletkę, popatrzył pod światło, wypił nieśpiesznie kilka łyków i cicho powiedział:

– O pańskie publiczne przyznanie się do winy i żal za grzechy.

Machnąłem ręką:

– Po pierwsze, publicznie wyrażony żal za grzechy nigdy nie jest szczery. Prawdziwy żal, to rzecz intymna. A po drugie, nie mam czego żałować. Osobiście nie jestem niczemu winien...

I dywersantka pamięć wypchnęła nagle złośliwie na wierzch coś nieproszzonego, dawno zapomnianego...

...Wyszła ze starości czarna gruzińska babka czołga się na kolanach po ulicy Anagskiej w Tbilisi. W oddali stoi jak skamieniały tłum gapiów: kręcą głowami, cmokają, a kobiety krzyczą gardłowo i płaczą. Paru pobladłych milicjantów idzie w ślad za staruchą, proszą, by wracała do domu, ale tknąć się jej boją. A ona ich nie słucha, czołga się po ulicy wznoszącej się ku cerkwi świętego Pantelejmona, głośno błaga ludzi, by jej przebaczyli, a Chrystusa Zbawiciela – by się nad nią zmiłował. Błaga o przebaczenie i zmiłowanie – za zbrodnie syna jej jedyne, krew z krwi, kość z kości – panującego w Moskwie członka Biura Politycznego, batono* Ławrentija Berii.

Na schodkach cerkiewnych naczelnik Tbiliskiego Zarządu MGB, pułkownik Naczkebija, ukląkł przed staruchą i błagał, by wróciła do domu, by nie hańbiła swego wielkiego syna i nie czyniła sierotami jego, Naczkebiji, dzieci za ten okropny spektakl, na który patrzyło całe miasto...

Dopiero po długiej modlitwie udało się zagonić babkę do domu i od tej chwili skrucha matki Ławrentija istotnie stała się sprawą intymną, jako że nikt jej nigdy więcej nie widział na oczy...

* „Batono” to tytuł, jakim obdarza się w Gruzji osoby szczególnie czcigodne, starsze itp.

Mangust wypił jeszcze trochę wody mineralnej i w zadumie powtórzył:

– Nie jest pan winien?... Pan osobiście niczemu nie jest winien?...

Pokiwał głową i skonstatował ze stoickim spokojem:

– W takim razie będzie pan sądzony bez wyrażania skruchy.

– Nie dam się! – zapewniłem go twardo. – Za krótkie ma pan ręce! Ja swego życia tak łatwo nie oddam.

Uśmiechnął się i rzekł:

– Dawno zauważono, że podobni panu osobnicy cenią własne życie tym wyżej, im więcej zabijają sami.

– A jak pan myślał? Nasz znakomity proletariacki trybun, Maksym Gorki, nie na darmo powiedział: „Jeśli ja się za sobą nie ujmę, to kto się ujmie za mną?”

– Pozwoli pan, że go rozczaruję: odrobinę wcześniej, jakieś dwa tysiące lat temu, powiedział tak nasz wielki mędrzec Hillel: „Jeżeli nie ja dla siebie, to kto dla mnie?”

Nie żebym się obraził o proletariackiego pisarza plagiatora, ale jakoś nie do wytrzymania wstrętna stała się dla mnie złowroga wszechwiedza Mangusta, i powiedziałem do niego:

– Gdzieś mam waszego Hillela. A Gorkiego tym bardziej. Ja sam odpowiadam za siebie!

Patrzył na mnie, ścierwo, oczy mrużył, uśmiechał się, głową kiwał. Po czym powiedział z powagą:

– Miło mi to słyszeć. Bogini Isztar nakazywała: niech każdy grzesznik sam odpowie za swoje grzechy.

Co za naród... Każdy z nich to i faryzeusz, i mól książkowy zarazem.

– Proszę bardzo, gotów jestem odpowiedzieć na każde oskarżenie i ustosunkować się do wszelkich zarzutów – powiedziałem. – Ale nie państw, organizacji społecznych, synagog czy samozwańczych przedstawicieli! Konkretnych osób! Niech ten, kto ucierpiał z mojego powodu, wystąpi z powództwem prywatnie! Wtedy pogadamy...

– Ja występuję przeciwko panu z prywatnym powództwem – szybko, cicho rzekł Mangust.

– Pan? – Roześmiałem się. Jego bezczelność przekraczała już wszelkie granice. – A co pan ma z nami wspólnego?

– Występuję przeciwko panu z powództwem o spisek i zamordowanie mojego dziadka, Eleazara Awruma Nannosa...

Dziadek. Jak mówiła moja teściowa Fira Lurie: *far wus?* Dlaczego? Dlaczego właśnie dziadek? Co on plecie? Patrzcie go, wnuczek pieprzony się objawił!

– To niby jak? – zainteresowałem się. – Skoro jesteś teraz dla mnie zięciem, to wychodzi na to, że i Nannos stał się członkiem mojej rodziny?

– Na to wychodzi. Chociaż Eleazar Nannos, na szczęście, nie mógł tego przewidzieć.

– Ja też, szczerze mówiąc, o takim bajzlu nigdy marzyć nie śmiałem. Niezła rodzinka...

– I co, przyszedłeś się teraz mścić?

– Nie, przyszedłem zrobić swoją robotę – twardo powiedział Mangust.

– A na czym polega twoja robota? Zwerbowanie pułkownika wydziału?

– Nie. W tym sensie pan nas nie interesuje.

– W takim razie o co ci chodzi?

– Żeby nigdy więcej, do końca tego świata, nie można było zabić Żyda tylko za to, że jest Żydem.

– A... No no... Ale przecież, jeśli chodzi o Nannosa, to umarł nie z tego powodu, że był Żydem.

– A z jakiego? – spytał Mangust. – Pamięta pan przynajmniej, za co posadziliście Nannosa?

– Za co siedział Nannos? Głupie pytanie – za co siedział... Można spytać: dlaczego? Albo: po co?

Zdaje się, była tam mowa o zakonspirowanym żydowskim podziemiu, o przygotowywaniu ucieczki na Litwę... Ojej, nie pamiętam szczegółów. Zresztą nie miały one żadnego znaczenia...

– Nie pamiętam – przyznałem uczciwie.

– I słowa *bricha* też pan nie pamięta?

– Nie.

– *Bricha* znaczy ucieczka. To przejście z Europy do Palestyny resztek niedobitych w hitlerowskiej rzeźni Żydów. Nie przypomina pan sobie?

– Przypominam – skinąłem głową.

Teraz, oczywiście, przypominam sobie. Lutostański właśnie dlatego udawał, że lepszego człowieka niż Nannos nie znajdziemy.

...Nazywano tych ludzi emisariuszami Erec Israel. Po całej rozoranej wojną, rozpadłej Europie myszkowali energiczni chłopcy, tworzyli oddziały, kolumny, grupy z sierot, wdów, starców, inwalidów – wszystkich Żydów, jacy przeżyli – i prowadzili ich nielegalnie, bez dokumentów, bez zezwoleń, na przekór zakazom do ich przyszłej żydowskiej ojczyzny, do ich wydumanego narodowego ogniska. A powojenne rządy – od angielskiego do rumuńskiego, od francuskiego do polskiego – jakby przeczuwając, jaką kaszę może ugotować z gówna światowe żydostwo na tym ognisku, i potajemnie

zgadzając się ze świętej pamięci Führerem Adolfem, że najlepsze narodowe ognisko dla Żydów – to krematorium, na wszelkie sposoby zakazywały działalności palestyńskich emisariuszy, łapały ich, nakładały kary pieniężne, internowały, wsadzały na rok-dwa do więzienia.

Jednak ci nie ustępowali: uciekali z więzień, dawali łapówki, kontrabandą wywozili Żydów ze wszystkich południowych portów do swojej Ziemi Obiecanej, gadając bez ustanku, że jedynie zebrawszy się na ziemi ojców – wszyscy razem! – nie pozwolą się więcej wydać na śmierć i pohańbienie.

I tak się te waleczne Żydki rozzuchwały, że przerzuciły grupę emisariuszy do nas – do Besarabii i republik nadbałtyckich. Niby że to nie ziemia radziecka, lecz terytorium okupowane, i miejscowi Żydzi mają prawo wybrać sobie miejsce zamieszkania. Teraz nawet wyobrazić to sobie trudno – przy obecnej granicy przyjaźni z bratnimi krajami socjalistycznymi, zamkniętej na cztery spusty. Ale wtedy, w czasie powojennego fermentu i balaganu, wyprowadziły te łajdaki z Besarabii – przez Rumunię i Bułgarię – parę tysięcy ludzi. Jednak na Litwie nacięli się...

– Przypomniał pan sobie teraz, za co siedział w obozie koncentracyjnym Eleazar Nannos? – cierpliwie pytał Mangust.

Przypomniałem sobie.

I pomyślałem, że w trakcie tej nieskończonej długiej rozmowy z Mangustem zmieniłem się w dziwny instrument – coś w rodzaju mechanicznego pianina, w którym on powoli przekręca swój mnemoniczny walec pamiętliwości i pragnienia zemsty, i z każdym obrotem sworznie tego walca wyciskają ze mnie piskliwą melodię potwornych wspomnień o dawnym, na zawsze zakończonym życiu.

Jak się okazuje – nie na zawsze. I niezakończonym. Trwającym nadal.

On udowadnia, że ja – tamten dawny, opricznik, i ja – dzisiejszy zmęczony liberał, inteligent, który wszystkim odpuścił wszelkie grzechy i wszystko zapomniał – to niby jeden i ten sam człowiek.

Nienaukowa, niedialektyczna teoria, wymagająca właściwej odpowiedzi.

Dlatego łagodnie zauważyłem:

– Rozmowa, w której jeden z rozmówców wyłącznie pyta, a drugi wyłącznie odpowiada, nazywa się nie rozmową, lecz przesłuchaniem. Zwracam ci uwagę, synku, na tę okoliczność, gdyż ja także mam pytania...

– Proszę bardzo! – Rozłożył szeroko ręce i uśmiechnął się uprzejmie. – Ile tylko pan zechce! Niemniej proszę pozwolić, że przypomnę panu o pańskim gorącym pragnieniu, by zwracać się do mnie również wyłącznie per „pan”...

– Oczywiście, dla mnie to przecież bez różnicy: „ty” czy „pan”... Tak, no więc interesuje mnie rzecz następująca: czy tylko u nas, w Związku Radzieckim, pańscy krewni zostali skrzywdzeni? W Niemczech wszystko było w porządku? Wobec nich nie ma pan żadnych roszczeń? I winien jest wyłącznie towarzysz Stalin?

– Dlaczego wyłącznie towarzysz Stalin? – Wzruszył ramionami Mangust.

– *Parteigenosse* Hitler wygrał z nim wynikiem osiemnaście do trzynastu.

– A dokładniej?

– Trudno o większą dokładność! Hitlerowcy zabili osiemnastu członków mojej rodziny, a pan i pańscy koledzy – trzynastu.

– I pan zrównuje nas, którzy oswobodziliśmy Europę od brunatnej zarazy, z faszystowskim plugastwem?

Mangust wyszczerzył zęby:

– Skądże znowu! Przecież od razu podkreśliłem, że nazizm, jako bardziej radykalna idea, wygrał te zawody...

– Wychodzi na to, że to z powodu pańskiej rodziny zaczęła się II wojna światowa! – Uśmiechnąłem się krzywo.

– W każdym razie wojna zaczęła się od mojej rodziny – niewzruszenie oznajmiał Mangust. – Hitler zajął Polskę, a Stalin Litwę. W Warszawie znalazła się cała rodzina ze strony mojego ojca, a w Wilnie cała rodzina ze strony matki.

– A jakże, szanowny zięciu, udało się ocaleć panu?

– Urodziłem się w czasie powstania w getcie warszawskim. Moją matkę, ze mną na rękach, wyprowadzono z getta kanałem. A ojciec, razem z Mordechajem Anielewiczem, bił się do ostatniego dnia w getcie. I poległ. A ja przeżyłem. I przyszedłem do pana.

– Dlaczego właśnie do mnie? Czy to ja zabiłem twojego ojca?

– Pan zabił mojego dziadka. Eleazara Nannosa. W lutym pięćdziesiątego trzeciego roku...

Tak, jasne, to było w lutym. Pod koniec miesiąca. Gdzieś dwudziestego – dwudziestego piątego...

Wymyślił to Lutostański, tęga głowa. Znalazł Żydom nowego Mojżesza, współczesnego, autentycznego. Który da im nowe prawo, przyniesie nowe tablice i poprowadzi do nowej Ziemi Obiecanej – za koło podbiegunowe, do Arktyki, na półwysep Tajmyr, do słonecznej krainy Komi.

I nie będą musieli się błąkać po porosłej tundrą pustyni przez czterdzieści lat – w czterdzieści dni zostanie zakończona cała operacja.

Na stanowisko Mojżesza zaproponował Lutostański Eleazara Nannosa – więźnia, zeka z łagpunktu Persza systemu łagrowego Usollag Gulagu MGB ZSRR.

Zek Nannos, lat siedemdziesiąt sześć, wykształcenie niepełne podstawowe, bez określonego zajęcia, źródło dochodów wątpliwe do czasu pierwszego aresztowania w czerwcu czterdziestego, roku działał w Wilnie jako *gaon*, co w ich terminologii oznacza: przywódca duchowy, mędrzec, nauczyciel.

Do chwili izolacji, jako elementu społecznie szkodliwego, od społeczeństwa, Eleazar Nanos przez trzydzieści lat zajmował się świadomym oglupianiem żydowskiego ludu pracującego Litwy, wsączając w ich umysły bzdurne syjonistyczne treści.

I aresztując go – uratowaliśmy mu życie.

Gdyż po roku wszyscy jego krewni, którzy znaleźli się na terytorium czasowo okupowanym przez niemieckiego najeźdźcę, zostali rozstrzelani albo uśmierceni w komorach gazowych. To byli, naturalnie, ci, których zostawiliśmy po aresztowaniu Nannosa na wolności. A z tymi, których zabraliśmy razem z dziadkiem, rozmaicie wyszło. Jasne, ten i ów ucierpiał, trudno tego uniknąć w wojennym bałaganie. Mangust twierdzi, że było ich trzynaścioro. Całkiem możliwe, kto by ich w tych trudnych czasach liczył...

Sam jednak Nannos odbył pięć lat nad Peczorą, wykręcił się od wojny, przesiedział w łagrze trudny czas krwawej bitwy sił postępu i demokracji z faszystowską zarazą i wrócił do Wilna, na stare śmieci. Naturalnie uprzedzono go przed wypiską, żeby z głupoty nie podejmował na nowo swojego żydowskiego obskurantyzmu, tej propagandy rabinowskich bredni.

I rzeczywiście żył cicho. Korzystał z naszej, choć słusznej, a jednak nie-dopuszczalnie rozległej wolności sumienia: skoroś taki dureń, że chcesz wierzyć – to sobie wierz, byle po cichu, milczkiem, bez rozgłosu i byleś innym nie tumaniał i bez tego szarej substancji mózgowej.

Po roku trzeba było starego Nannosa przyskrzynić po raz drugi. Wlepili mu dwadzieścia pięć lat, gdyż dziadek, niewłaściwie zrozumiałwszy nasz humanizm, zamiast popaść w zgodną z prawem samotną melancholię, nadal nauczał i tym samym dochrapał się miana zdrajcy ojczyzny.

Jako szczególnie niebezpieczny recydywista na pewno dostałby czapę, ale w owym czasie rozplecił się u nas na całego mięczakowaty powojenny altruizm, jako że na parę lat zniesiono karę śmierci i organy wymiaru sprawiedliwości znalazły się w obliczu wrogów narodu jak gdyby bez rąk.

I odjechał dziad Nannos, by spędzać ostatnią ćwiartkę swego długiego życia w Usollagu. Nie przypuszczał, nie domyślał się, że pamiętał go jeszcze z dzieciństwa obecny major bezpieczeństwa państwowego Władysław Hipolitowicz Lutostański.

Lutostański, upudrowany plugawy pedał, wił się przed moim biurkiem jak krętek błądy, przyciskał wilgotne dłonie do wpadłej piersi, błyskał oczami podnieconej szarańczy i bez przerwy przekonywał, zapewniał, dowodził:

– Pawle Jegoryczu, nie odmawiaj, uwierz mi, to będzie coś fantastycznego!

O, jakże pocieplały, jak uprościły się ostatnio nasze stosunki, jak zbliżyliśmy się do siebie nawzajem!

Nie zwracał się już do mnie regulaminowo „towarzyszu pułkowniku”. I miał do tego prawo: pierwszy pogratulował mi papacy, informując mnie, że nowy minister Ignatiew już podpisał rozkaz. Nie wiedziałem o tym. A Lutostański wiedział – Mińka Riumin szepnęła mu w zaufaniu.

Nie zwracał się do mnie oficjalnie „towarzyszu Chwatkin”, jako że byliśmy naprawdę bliskimi towarzyszami, wspólnie tworzącymi wielkie dzieło.

I nie zwracał się do mnie per „wy”, tylko mówił mi „ty”, albowiem w swych chorych rojeniach już widział Mińkę jako jutrzejszego ministra, a siebie – jako jego pierwszego zastępcę, głównego doradcę, suflera, kierownika naukowego, szefa całego systemu kontrwywiadu, naczelnika wewnętrznej policji politycznej, czyli mojego bezpośredniego zwierzchnika. A zwierzchnik nie zwraca się do podwładnego per „wy”. I nie mógł wytrzymać, by przynajmniej pod tym względem nie przybliżyć godziny triumfu.

Nie stopowałem go, ani razu mu nie pokazałem, gdzie jest jego miejsce. Byłoby to tak samo absurdalne, jak podwieszenie ciężarka na strzałce barometru, żeby zachowywała się posłuszniej.

Obserwowałem. I stopień jego bezceremonialności podpowiadał mi, jaki jest stan rzeczy. Szczerze mówiąc, nigdy nawet mnie nie złościł – może dlatego, że patrzyłem na niego jak na nieboszczyka. Przydzieliłem przecież Lutostańskiemu rolę niepowracającego palacza kotłowego...

A on napierał na mnie:

– Pawle Jegoryczu, poczytaj chociaż akta tego Nannosa!

– Po co?

– Cukierek! Czyściutka sprawa!
– A po co nam ten cały Nannos?
– Jak to po co? Oczywiście przy deportacji Żydów można postawić na czele ich komisarzy, naczelników. Ale jak całe żydostwo wezwie również ich przywódca religijny, duchowy przewodnik – a, to całkiem inna para kaloszy! To prawdziwy exodus! – Lutostański uśmiechnął się złośliwie: – Exodus Tajmyr!

– A co to za jeden ten Nannos?

– U-uu, to kawał wroga! Zaprzysięgłego! Przez miesiąc ukrywał u siebie dwóch emisariuszy Brichy: Sadlera i Katza. Zebrali już w Wilnie dwieście osób, żeby przez polską granicę przeszmyglować ich do Europy, a potem do siebie, do Palestyny. A Nannos ich błogosławił... .

– I co?

– Żonę kantora z synagogi zatrzymano na czarnym rynku, kiedy jedzenie na drogę kupowała. Myśleli, że spekuluje. No i śledczy z milicji, Żyd, nawiasem mówiąc, skłonił ją do mówienia. A jak pękła, to śledczy sam się wystraszył i przesłał ją do nas. No, tutaj już poszło szybko. Zamiast do Palestyny, Żydzi pojechali na Sybir, a Nannosowi i emisariuszom wlepiono po dwadzieścia pięć lat łagrów...

– Dlaczego myślisz, że Nannos zgodzi się stanąć na czele tego żydowskiego exodusu?

– Nie doceniasz mnie, Pawle Jegoryczu. – Rozłożył ręce Lutostański. – Niech tylko spróbuje się nie zgodzić, a własnoręcznie z niego krew po kropelce wypuszczę. Nie, nie będzie się certował, on przywykł do pańskiego życia: przecież w lagrach każdy Żyd gotów mu swoje żarcie oddać...

– A to dlaczego?

– Oni go uważają za coś w rodzaju świętego. „Cadyk kazał”, „cadyk powiedział”, „cadyk skierował”... I co zabawne, nawet inteligencja, mędrki ichnie parchate, też go szanują. Ja to przecież jeszcze z dzieciństwa, z Wilna pamiętam...

Tajemnicza piramida życia. Niewidzialne działania pojedynczych ludzi, które kształtują losy świata.

Kogoś tam kiedyś jakoś ukierunkował Eleazar Nannos. Lutostański dołączył Eleazara Nannosa do swego barwnego klasera o nazwie „Dobrowolne Wyjście Żydów na Północ w związku z gniewem narodu radzieckiego, wywołanym ich próbą uśmiercenia Wielkiego Bossa”.

A ja zdecydowałem, że przyszła pora nadziać na szpilkę samego Lutostańskiego, jako że Merzon dawno wykonał swoje zadanie...

Może bym jeszcze zwlekał, gdyby nie powiedział:

– I Michaił Kuźmicz na pewno ten pomysł zaakceptuje...

A więc jeśli ja się nie zgodzę, Mińka Riumin naprawi mój błąd. Po co ma mnie poprawiać, skoro sam widzę, że pomysł jest dobry? Pod warunkiem że Nannos się zgodzi.

Po co miałbym Mińce bez potrzeby wręczać szpilkę na siebie? I tak ręce mu się trzęsą z pragnienia, żeby mnie jak najszybciej przyszpilić do kartonu, nie może się doczekać, żeby zakończyć sprawę i przekłuć mnie jak balon.

No jeszcze zobaczymy, kto się szybciej uwinie. Za plecami Mińki siedzi Krutowanow, z ręki do ręki przekłada szpilkę wielkości porządnego łomu. Za Krutowanowem – Ignatiew... Dobra, pożyczmy – zobaczymy.

I powiedziałem do Lutostańskiego:

– W porządku, zgadzam się. Ale mam jedno prywatne pytanie. Nie boisz się włączać do tej gry Nannosa?

Wytrzeszczył na mnie i bez tego wylupiaste oczy szarańczy.

– Nannosa? A czego miałbym się bać?

– Jak to czego? Wiesz, jaką pamięć mają te żydowskie czarowniki? A jeśli nie tylko ty jego, ale i on ciebie pamięta?

– Mnie? – cicho spytał Lutostański.

– No, chyba nie mnie! Jasne, że ciebie. A nawet nie tyle ciebie, co twojego znakomitego tatusia. Ojca Hipolita...

Bardziej zblednąć Lutostański nie potrafił. I tak był zawsze sinawobiały. Ale w tym momencie wydało mi się, że pękł ogromny wrzód, zastępujący mu serce.

Twarz nieustraszonego bojownika, przyjaciela i doradcy mojego zwierzchnika Mińki powlekleła się zielenią. Bezdźwięcznie i bezsilnie otwierał usta, głośno, spazmatycznie dyszał i wytrzeszczał na mnie ogromne szklane oczy.

Moje pytanie przekłuło chitynowy pancerz majora-szarańczy. Taka szarańcza wielkości człowieka straszniejsza jest niż latający tygrys! Tylko pancerz ma cienki.

Wstałem zza biurka, bez pośpiechu otworzyłem sejf i wyjąłem grubą teczkę – Merzon popracował sumiennie.

– Słuchaj, przyjacielu, a może to pomyłka? – spytałem. – Może to tylko zbieżność nazwisk? Może to wcale nie twój tatuś żądał, by wydać niemieckiego szpiega Uljanowa-Lenina na samosąd uczciwych prawosławnych? No?

Lutostański milczał, patrząc zaszczutym wzrokiem na gruby plik papierów, który trzymałem w rękach. Boże, jaki wspaniały bukiet mógłby

sporządzić z tego dossier! Niepowtarzalne kwiaty z pożółkłych donosów agentów trzeciego wydziału departamentu policji, stroniczek maszynopisu i odręcznych wyjaśnień Merzona.

Wystarczająco efektowny byłby ten bukiet, by włożyć go Lutostańskiemu do trumny.

– Popatrz no, jaki chojrak był, z twojego staruszka – zauważyłem, kartkując zawartość teczki. – Informacja w „Wiadomościach Eparchialnych” o referacie księdza Lutostańskiego w Resursie Rosyjskiej na temat *Wykorzystywanie przez Żydów krwi chrześcijańskiej...* Oświadczenia rektora Wyższego Seminarium Duchownego, archimandryty Troickiego, iż rzeczony Hipolit Lutostański to samozwaniec i nigdy nie został wyświęcony na kapłana... Ciekawe, prawda?

Lutostański bezsilnie kiwnął głową.

– A tu, popatrz: jeszcze ciekawiej... Protest adwokata Makłakowa, obrońcy mieszczanina z Kijowa, Bejlisa, oskarżonego o zabójstwo nieletniego Juszyńskiego w celach rytualnych... Bezczelny adwokat twierdzi, że twój tatuś nie może być ekspertem w tej sprawie... Słyszałeś o tym?

Lutostański tak pokręcił głową, że cudem tylko nie spadła mu z ramion.

– W takim razie posłuchaj. Makłakow opublikował wyjaśnienia warszawskiego konsystorza katolickiego, że wprawdzie Lutostański wiele lat temu rzeczywiście był księdzem, jednak za amoralne zachowanie: nierząd i przywłaszczenie sobie środków parafialnych, zabroniono mu odprawiania nabożeństw i pozbawiono godności kapłańskiej. I sąd przysięgłych, kupa idiotów, wyrzucił twojego tatkę, a jako eksperta zatwierdził księdza Pranajtisa. Takie to buty, mój przyjacielu, Władysławie Hipolitowiczu... Czemu mówiłeś, że twój ojciec był nauczycielem gimnazjalnym?

Śmiertelny smutek powlókł twarz Lutostańskiego. Otworzył usta, ale nie mógł mówić, widziałem, jak mdłości podchodzą mu do gardła. Niewyraźnie, jak pijany, wymamrotał:

– Bo rzeczywiście uczył... greki i łaciny... w ostatnich latach... w Wilnie...

– Aha, aha, rozumiem... Wtedy, kiedy opublikował odezwę, że niby bolszewizm to żydowska zaraza, którą parchy zaraziły Rosję. I że wszystkich bolszewików, co do jednego, trzeba wypalić rozpalonym żelazem. To wtedy?

– Być może – poddał się ostatecznie Lutostański.

Długo milczeliśmy, potem złożyłem kartki, związałem tasiemki teczki i zważyłem ją na dłoni.

– Oho! – powiedziałem. – Wiesz, ile waży?

Wzruszył ramionami.

– Dziesięć gramów, jak kula. Idź się zastrzel.

Niczym pozbawiona kości galaretowata masa osunął się z krzesła na podłogę, zamarł na kolanach, wyciągnął ku mnie wymanikiowane dłonie:

– Za co? Pawle Jegoryczu... za co?...

– Oszukałeś partię. Organy. Ojczyznę. I mnie też próbowałeś oszukać. Będziesz musiał umrzeć.

Lutostański zapłakał. Nie widziałem dotąd, żeby łzy mogły tryskać z oczu strumieniami. Płakał i pelzył na kolanach ku mojemu krzesłu! Cyrk! Wiktor Siemionycz Abakumow pęklby ze śmiechu. Żaden z naszych najlepszych kłownów – ani Ołówek, ani Konstantin Berman – nie potrafiłby przedstawić śmieszniejszej postaci: rozpadający się ze strachu na kawałki człowiek w mundurze majora czołga się na kolanach, a łzy tryskają mu z oczu bezbarwnymi strumieniami. Boki zrywać!

Tylko że u mnie w gabinecie nie było komu się śmiać, jako że nie był to spektakl, tylko próba generalna, na którą nie wpuszcza się publiczności. Szarzyzna twórczości, męki poszukiwań, troski reżysera, wprowadzającego aktora w rolę.

A Wiktor Siemionycz siedział już w wewnętrznym areszcie.

– Lubię cię, Lutostański. Właśnie dlatego daję ci takie łatwe wyjście.

– Pawle Jegoryczu, zlitujcie się! Ja nie chcę... umierać... Jeszcze nawet nie pożyłem jak należy... Za co?... Ja przecież nie jestem winien... wszędzie piszą, że syn za ojca nie odpowiada...

– Nie jesteś winien, powiadasz? Może i tak. W takim razie chłopaki z Inspekcji Specjalnej Swiniłupowa na pewno się nad tobą zlitują... – Roześmiałem się, a Lutostański uderzył głową o podłogę, wyobraziwszy sobie widać, co z nim zrobią sadyści z Inspekcji Specjalnej. Te rzeźniki poćwiartują go na kawałeczki, albowiem skandalu z nim nie da się załatwić po cichutku, sprawa dojdzie do ministra, a ten bardzo się ucieszy, że ma u siebie starszego oficera MGB, którego ojciec nazywał kierownictwo RKP(b) diabelską szajką żydowskich aferzystów i kaukaskich bandytówi.

Nie straszylem Lutostańskiego. I nie pocieszałem. Po prostu zastanawiałem się na głos, jakie ma szanse na ratunek. I jakkolwiek bym kombinował, cokolwiek bym wymyślał – tak czy owak wychodziło, że pisana mu jest okropna śmierć.

A on pelzał po podłodze, błagając, bym nie wydawał go straszemu wice-ministrowi Swiniłupowowi, prosił o zmiłowanie, żebym mu zostawił choć

kawałek dawnego, błogiego życia pod skrzydłami Mińki Riumina. Niechby nawet pod moim surowym okiem.

I szlochał, i prosił tak długo – „Pawle Jegoryczu... wybaczcie... zmiłujcie się... do końca życia będę wam wierny... jak pies będę wam służyć... tylko wam... wam osobiście...” – że jego miłujący życie duch całkiem stracił kontrolę nad mdłym ciałem i major Lutostański, pełnomocnik operacyjny II Zarządu Głównego MGB ZSRR, z cichym, wstydliwym ciurkaniem zsikał się.

Patrzyłem na rozplywającą się po parkiecie żółtawą kałużę i czułem wobec Lutostańskiego coś w rodzaju sympatii. Rzecz jasna, nie winiłem go za jego słabość: wyrok śmierci to wiadomość dosyć absorbująca, rozprasza uwagę, zwieracz osłabł – i upuścił trochę moczu. Moje ciepłe uczucie do Lutostańskiego wynikało z twórczej satysfakcji artysty, który w pełni zrealizował swój zamysł. Czy jakiś tam Stanisławski zdołałby zmusić statystę, żeby zagrał tak trudną rolę?

Gwoli prawdy należy zauważyć, że gdyby Stanisławski wziął sobie na pomocnika nie Rabinowicza-Damoczkina, lecz Merzona, to i jemu mogłoby się to i owo udać.

Zaszczuty, zasikany Lutostański nie podejrzewał, że na razie gra on dopiero w drugim akcie mojego spektaklu, że czeka go jeszcze finał w trzecim akcie. Postać, która wyłoniła się znikąd – z Biura Przepustek – staje się pod koniec sztuki głównym bohaterem. Wielka rola niepowracającego palacza kotłowego.

Boże, jak głupio urządzony jest ten świat! Ten lichy człowieczek, który w swoim gabinecie w mig zmieniał najmądrzejszych ludzi w bezmózgich tumanów, teraz wierzył gorąco, że ekshumowałem jego plugawego tatulka tylko po to, żeby ułatwić życie tym krwiożerczym wałkoniom z Inspekcji Specjalnej!

Ta jego ograniczoność gwarantowała, że zagra on olśniewająco swoją rolę aż do końca. Do samego opuszczenia kurtyny.

I ulitowałem się nad nim.

Powiadomiłem go, że na własną odpowiedzialność odkładam wykonanie wyroku.

– Nie daj Boże, Lutostański, żebyś mnie kiedykolwiek zawiódł... – I, nie słuchając jego zaślinionych podziękowań i zasmarkanych przysięg, rozkazałem mu: – Przygotuj informację na temat sprawy Nannosa. Za parę dni polecimy do Usollagu.

- I wy też? – zachłysnął się radością Lutostański.
- I ja też. I Merzon.
- A Merzon po co?
- Po to, że chociaż z ciebie taki mądrała, to Nannos łatwiej uwierzy Merzonowi.

I tak oto pojawił się w moim życiu Eleazar Nannos. Dziadek mojego przyszłego zięcia. Jak się okazuje, mój krewny.

Knajpa wokół nas żyła szalonym życiem hormonów. Zatruta spirytusem krew waliła w słabe mózgi gości, nadmiar rozłożonych tłuszczów dręczył gruczoły krokowe, orgazm obżarstwa wzdymał je niczym ciała jamiste.

Biochemia. Zwykle procesy organiczne.

Mistyczny idiotyzm fizyki: nie zmieniając miejsca, odbyliśmy z Mangustem podróż w czasie, i okazało się, że wszystko tu uległo przemianie.

Nietknięte jedzenie na stole skamieniało, jarzyny zmieniły się w torf, a mięso stało się węglem. Migotliwy, metaliczny blask pustych butelek. Zielonkawę stałagmity wody mineralnej.

Planeta z wyciem wirowała pode mną. Jak bąk. Migwały lata, dziesięciolecia.

Niestabilny, szybko obracający się glob.

Orbis terrarum. O, piękne nasze, błękitne terrarium!

Wszystko idzie na gorsze w tym najgorszym ze światów!

Skończyła mi się już cierpliwość. Trzeba zakończyć to wszystko jak najszybciej.

– Według ciebie wychodzi na to, że jestem mordercą? – spytałem.

– Oczywiście – potwierdził Mangust.

– Błąd, szanowny panie. Morderca to ten, kto zabija z naruszeniem prawa. A nie ten, kto działa zgodnie z obowiązującymi przepisami.

– Ten, kto zabija w ramach prawa, nazywa się kat.

– Kat? Może i kat. Nie obrazisz mnie tym słowem. Kat to kat. Normalny urzędnik państwowy. Chciałem ci tylko przypomnieć...

– O czym?

– Zgodnie z prawem obowiązującym na całym świecie kat nie może oceniać słuszności wyroku. To nie wchodzi w jego kompetencje, miły mój przyjacielu. I odpowiedzialności za wykonanie niezgodnego z prawem

wyroku także nie ponosi. Tak to właśnie jest! Nie ma takiego przepisu! Dlatego nie wolno o nic mnie oskarżać, gdyż byłoby to sprzeczne z fundamentalną zasadą wymiaru sprawiedliwości: *nullum crimen, nullum poena sine lege* – nie ma zbrodni, nie ma kary bez podstawy prawnej. Jasne?

– Jasne. Obawiam się, panie pułkowniku, że nie docenia pan wagi moich zamiarów...

– A mianowicie?

– Trybunał, który osądził Adolfa Eichmanna...

– Bezprawnie go osądził! – przerwałem. – Wasz trybunał popełnił okropnie bezprawie, nadając prawu moc działania wstecz...

– Trybunał, który osądził Adolfa Eichmanna – niewzruszenie powtórzył Mangust – pokazał światu, jak należy postępować z bandytami politycznymi i ludobójcami. I jeśli nie zechce pan odpowiadać na moje pytania, będę musiał zastosować inne metody. Teraz jednak jest pan zmęczony, pijany i przestraszony, dlatego mało z pana pożytku. Tak, że proszę jechać do domu, wypaść się, a jutro wrócimy do rozmowy.

– A nie przychodzi panu do głowy, że jutro mogę nie chcieć z panem rozmawiać?

– Nie, nie przychodzi. Zechce pan. I będzie pan ze mną rozmawiać.

– Interesujące. – Uśmiechnąłem się. – I nie boi się pan, że poskarżę się na pana naszym władzom?

– Nie. Nie boję się.

– Dlaczego?

– Dlatego, że bardzo pragnie pan żyć. A pańskie życie zależy teraz ode mnie. Do niewielu rzeczy pan się przyznał, ale i tak najciekawsze jeszcze przed nami – obiecał Mangust i roześmiał się odrażająco.

Czułem ostre pragnienie, żeby czubkiem buta kopnąć go pod stołem w goleń – tuż nad kostką – żeby potoczył się z wyciem po parkiecie, ściskając pogruchofaną nogę.

Ale nie wymierzyłem. Gdyż byłem zmęczony, pijany i przestraszony.

Nie pijany – skacowany.

Mangust wyjął portfel, i kiedy go otwierał, zauważyłem gruby zielony plik pięćdziesiątek. Nielegalnych. Cudzoziemiec nie może mieć takiej paczki pięćdziesięciorublowych banknotów. W banku wymieniają im pieniądze tylko na czerwoniutkie dziesiątaki.

A u tego drania – plik półsetek. Ma gdzieś tutaj metę. Nie od Majki przecież je wziął.

Mangust położył na stole jeden banknot – niezła zapłata za butelkę borżomi i rozmowę ze mną – wstał i, nie żegnając się, wyszedł.

Patrzyłem w ślad za nim, jak lekko i zręcznie szedł przez salę ku wyjściu, do holu, gdzie powinien był mu się przyjrzeć i zapamiętać na zawsze Kowczuk, i postanowienie, by zabić dziś Mangusta, szybko tajało we mnie.

Byłem nie w formie. To Mangust miał dziś fart i przewagę wynikającą z tego, że zaatakował pierwszy.

Trzeba się okopać głębiej. Wycofać się i dopiero potem uderzyć. Jak nauczał nasz tępawy „pierwszy marszałek” Woroszyłow: oszczędzając krwi walczyć na cudzym terytorium...

Luka w pamięci.

Kelner z rachunkiem w rękach.

Łomot orkiestry.

Tańczący, skaczący, wrzeszczący ludzie.

Miotające się dookoła gęby. Żujące, mokre wargi. Czyjaś broda w resztkach jedzenia. Połyskujące szkarłatem lysiny. Trzęsące się cycki. Migotanie barwnych dyskotekowych świateł na podium orkiestry. Wycie solisty-kastrata. Miękkie szturchnięcia tłustych dup.

Liliowy półmrok holu.

Białe fafle policzków szwajcarskiego admirała.

– Do jutra, Siemion... Jak Bóg da, jutro wszystko załatwimy...

– Twoja wola...

Deszcz na dworze. Dobrze by było lec twarzą w roztajały śnieg. Kompres z kałuży. Pić się chce. Pić. Zimnej wody. Albo zjeść śniegu. Poczuć w ustach chłód słonawej śniegowej kaszy, ostudzić przegrzany, wyeksploatowany motor.

A tu śnieg dookoła – pół na pół z błotem. Takiego śniegu przynieśli Mojżeszowi Koganowi. Prosto z chodnika zgarnęli w porcelanową spluwaczkę.

Audi, vide, sile.

Kogan powiedział, że jeżeli dadzą mu śniegu, podpisze wszystkie protokoły. Mińka już trzy dni mordował go okropnie. A przede wszystkim nie dawał spać. Tortura bezsenności działa skuteczniej niż jakiegokolwiek bicie. A w połączeniu z biciem – to pewniak.

W tej kwestii wszystko zostało zbadane, wypróbowane, sprawdzone. Przesłuchanie kończy się o świcie. Konwój za piętnaście szósta odstawia do celi

oskarżonego, który pada na wyrko i natychmiast zasypia. I równo o szóstej – pobudka. Wstawać! Siedzieć nie wolno, opierać się o ścianę nie wolno, stać z zamkniętymi oczami nie wolno.

Strażak pilnuje powierzonego mu „bezsennika” i ledwie tamten odrobinę opuści rzęsy, drze mordę:

– Ej, ty! Na ka! Nie spać! Otwieraj oczy!

Pod powiekami „bezsennika” tłuczone szkło, pieprz, rozżarzone węgle.

Do oskarżonych z „wnutrianki” zwracają się po pierwszej literze nazwiska – na a, na be, na wu. To dlatego, żeby nie rozpoznano gościa w sąsiedniej celi. Wykrzykują wszystkie litery alfabetu, tylko na igrek i na miękki czy twardy znak nie ma klientów.

We mgle, w bnym całuniecie półomdlenia dociąga „bezsennik” do dzwonka. I śpi dwanaście-piętnaście minut.

Więzienny lekarz Zodijew udowodnił naukowo, że przy takiej metodzie człowiek przez tydzień czy dwa nie umrze. Nie popadnie w obłąd. Nic mu się nie stanie. Jest tylko bardziej skłonny do ugody.

No a kwadrans po dwudziestej drugiej otwierają się drzwi, strażnik za ucho zwleka z wyrka chrypiącego „bezsennika”:

– Aresztant na ka! Pobudka! Na przesłuchanie!

Śledczy wyspał się w ciągu dnia, a jeśli w nocy zmorzy go senność, to zawsze można się zdrzemnąć godzinkę czy dwie w sąsiednim pustym gabinecie, a strażnik popilnuje stojącego pośrodku pokoju zeka. To się nazywa „stójka”: stołowa lampa dwusetka w oczy, stać porządnie, bez opierania się. Zemdlonego oblewają wodą, podnoszą – i wszystko od początku.

– Podpiszesz?

– Nie!

– To stój dalej, skurwysynu!

I stoi dalej. Do piątej trzydzieści rano. Przesłuchanie zakończone – do celi. Piętnaście minut – czarne, pełne koszmarów odrętwienie rozpalonego mózgu i – pobudka!

– Ej, ty! Na ka! Nie spać! Nie spać, kurwa! Otwieraj oczy!

Do dwudziestej drugiej. Dzwonek. Purpurowa fala krzyczącego snu. Po-o-o-budka! Na przesłuchanie!... I tak bez przerwy.

Osobiście nie spotkałem ani jednego „bezsennika”, który wytrzymałby dłużej niż dziesięć dni. Za tą granicą umiera osobowość człowieka – zostaje kawałek mięsa, który po prostu nie pojmuję, co to strach, miłość, oddanie, przysięga. Jest tylko piekło – w nim samym. I jest nieosiągalny raj – sen.

Marzenie o śnie identyfikowane z życiem. Życie – jako nieskończony słodki sen – zrównane ze śmiercią.

I na bazie tego równania życie = sen = śmierć można udowodnić dowolną teorię czasu.

Możesz Kogan stał trzy dni. Trzeba mu oddać sprawiedliwość – Żydek był twardy jak kamień. Może i dłużej by wytrzymał, ale Mińka się śpieszył i do spółki z Trefniakiem obrabiali Kogana ostro, na cztery ręce.

Wesoło, zdyszany z przejęcia, referował mi Mińka w bufecie:

– Ale się trafiło Żydzisko! Niemłody już przecież, a twardy, lotr! Ja go i kulaczkciem, i z fleka, a ten padalec głową kręci: nie podpiszę! No, dobra, pora chyba w wątrobę, pod żebra mu przyłożyć...

Możliwe, że u byłego akademika Kogana bezsenność paradoksalnie podwyższyła próg wytrzymałości na ból, bo biciem Mińka mało co wskórał. I dopiero w czwartą noc bliski obłądu Kogan zgodził się podpisać protokoły ze swoim przyznaniem się, jeśli...

– Co chcecie, piszcie... wszystko mi jedno... podpiszę... jeśli dacie po spać do rana...

– Podpisuj czysty blankiet, wtedy puszczam cię do celi! – ryknął Mińka.

– Nie... – wydyszał Kogan, puszczając krwawe bańki. – Najpierw spać... rano... podpiszę wszystko... Chciałem... chcę... zabić Stalina...

I Mińka pokpił sprawę: o pierwszej w nocy odprawił Kogana do celi. Sam zaś pracował do rana, dyktując maszynistce protokół przesłuchania Kogana i jego przyznanie się do winy.

A dla mnie zaczęła się najdłuższa, niepowtarzalna, straszliwa doba, kiedy śmierć parę razy otwierała mi swoje zimne, kościste ramiona.

I mimo wszystko kosa, śmignąwszy mi nad głową, chybiła celu.

Aż do tumoru – surowiczej fasolki.

Do spotkania z Mangustem.

Tej nocy znalazłem się na krawędzi zagłady, ponieważ popełniłem niewybaczalną w naszym Wielkim Domu nieroztropność. Na parę godzin wypuściłem spod kontroli Mińkę. Nie doceniłem jego pracowitości i jego idiotyzmu.

Mogę się tłumaczyć jedynie tym, że byłem w nocy zajęty pilniejszą, ważniejszą i bardziej niebezpieczną pracą. Przygotowywałem dossier na Krutowanowa.

Zadzwoił do mnie osobiście naczelnik sekretariatu Koczegarow i oznajmił, że generał Mieszik przyleciał z Kijowa do Moskwy i minister wzywa nas do siebie jutro o trzeciej w nocy. No cóż, wyglądało na to, że wszystkie

atuty znalazły się w rękach Abakumowa, i ostatecznie postawiłem przeciwko Krutowanowowi.

Tak więc mój brak koncentracji na nocnym przesłuchaniu Kogana można łatwo usprawiedliwić. Ale pracowaliśmy w Wydziale, gdzie za pomyłkę od razu, w pierwszej instancji, sądził nas Sędzia Najwyższy, i wszelkich usprawiedliwień wysłuchiwał wyłącznie u siebie, w niebiosach.

Wieczorem widziałem Kogana i doszedłem do wniosku, że jeszcze nie jest w pełni gotów, że jego przyznanie się do winy trzeba wymóc dodatkowymi groźbami, biciem, aresztowaniem brata, samokrytyką współpracowników. Tak więc trzeba jeszcze sporo popracować.

Gdy zakończywszy swoje sprawy, wszedłem rano do gabinetu Mińki i zobaczyłem jego rozpromienioną gębę, instynktownie wyczułem grożące niebezpieczeństwo.

– Ucz się, Paszuta, jak trzeba pracować! – Ze śmiechem wyciągnął ku mnie wystukany na maszynie protokół.

...Pierwszą naszą ofiarą został A.S. Szczerbakow, któremu, w zмовie z naczelnym lekarzem Armii Czerwonej, generałem służb medycznych profesorem M.S. Wowsim, przepisałem zbyt silnie działające lekarstwa i kazałem tak je przyjmować, że w krótkim czasie doprowadziło to do jego śmierci...

Szczególną nienawiścią darzyliśmy wiernego ucznia Stalina, sekretarza KC WKP(b) A.A. Żdanowa, i byliśmy szczęśliwi, kiedy od brytyjskich służb wywiadowczych (do których zostałem zwербowany w 1943 roku) otrzymaliśmy nakaz uśmiercenia tego płomiennego bolszewika... Żdanow był chory na serce i wraz z neuropatologiem, profesorem A.N. Grynsztajnem, łatwo udało nam się ustalić, że przeżył on zawał mięśnia sercowego. Zamiast leczyć Żdanowa, przekonaaliśmy go, że cierpi na nerwobóle związane ze zwyrodnieniem kręgosłupa i przepisaliśmy mu nadmiernie obciążające ćwiczenia fizyczne, w rezultacie których wkrótce zakończył życie...

...Pod koniec roku 1948 przez Szymelowicza, rezydenta szpiegowsko-terrorystycznej organizacji Joint w Moskwie, który dostał się na stanowisko naczelnego lekarza szpitala botkińskiego, otrzymaliśmy polecenie całkowitego wytrzebiecia kadr kierowniczych kraju...

...W celu urzeczywistnienia tego zamysłu pozyskaliśmy do współpracy jego lekarza, profesora I.N. Winogradowa, profesora M. Etingera..."

Dziewięć stronich maszynopisu. Spytałem:

– Gdzie drugi egzemplarz?

– Zaniósłem szefowi.
– Co-o-o-o?
– Przekazałem w porannej poczcie Wiktorowi Siemionyczewi. Niech się ucieszy – nie co dzień wykrywa się przecież takie spiski!...
– Ech, ty, półgłówku... – powiedziałem, przygnębiony. – Tuman. Kretyn. Idiota nieszcześny!

– Dlaczego? – zaniepokoił się Mińka.
– Nie ma czasu na wyjaśnianie, ty cepie bez mózgu! Biegiem leć do sekretariatu! Buty im liź! Albo powystrzelaj ich tam! Ale protokół odbierz z powrotem!...

– Ale dlaczego? Sam mówiłeś, że...
– Nie kombinuj, nie myśl, nie gadaj, to nie na twoją głowę! Rób, co ci mówię. Biegiem! Bo będzie za późno...

I poleciał. A ja zadzwoniłem na „wnutriankę” i kazałem pilnie dostawić na przesłuchanie Kogana.

Mińka wrócił za jakieś dziesięć minut – blady, wystraszony, z pustymi rękami.

– Gdzie protokół? – wrzasnąłem.
– Koczegarow już całą pocztę położył ministrowi na biurku... Dokumentu, który wylądował na biurku ministra, nie można wycofać. W sprawie, której dotyczy, musi być podjęta decyzja. I jeśli wezwany na przesłuchanie Kogan nie podpisze pierwszego egzemplarza protokołu – utną nam głowy.

Naruszyłem polecenie Abakumowa, by nie zajmować się teraz Żydami, świadomie nie wykonałem jego rozkazu, wiedząc, że kiedy ten jubilerskiej roboty majstersztyk, zbrodniczy spisek złoczyńców, ujrzy światło dzienne, to nawet wszechwładnej mocy Abakumowa nie wystarczy, by skryć go przed Bossem, i moja niesubordynacja od razu zmieni się w moje wielkie niewątpliwe zwycięstwo.

Ale kopia protokołu, spoczywająca w tej chwili na biurku ministra, świadczyła jedynie o bezczelnej samowoli, o głupim, aroganckim mieszanin się nic nieznaczących pionków mojego i Mińki kalibru do polityki głównych bojowników naszego państwa, do bratobójczej walki filarów naszego ukochanego imperium.

Wyjaśnianie tego wszystkiego Mińce nie miało sensu. Jakże miał, nierozgarnięty tępak, zrozumieć, że my ze swoimi znaczonymi błotkami nie możemy zasiąść do gry z karcianymi profesjonalistami, dopóki część z nich nie zgodzi się uznać naszej fałszywej szóстки za prawdziwego atutowego asa!

Patrzyłem przygnębiony na tego nadętego kretyna i myślałem, że jeśli minister do wieczora nie przeczyta jego protokołów i pisma przewodniego, to niewątpliwie najlepiej będzie Mińkę zlikwidować.

W Sałtykowie, niedaleko cegielni, widziałem doły do gaszenia wapna. Mińka przypadnie na zawsze. A w protokole nie ma mojego nazwiska.

Pozostaje jednak jeszcze Trefniak. Nieudolnie, ale wystarczająco zrozumiałe wyjaśni, skąd się wziął Kogan. A tym samym powie i o mnie. Są też inne riuminowskie macki.

I jest sam Kogan. Tak to może nie za bardzo by się interesowali, ale jeśli zniknie Mińka – to ho-ho!

Nie, już za późno. Nic się nie da zmienić. Runął Wielki Spisek. I ja razem z nim. Najprawdopodobniej nigdy nie zostanie zrealizowana znakomita w zamyśle sprawa lekarzy-morderców i trucicieli. I autor pomysłu też wkrótce się skończy.

Zadzwoił przenikliwie telefon, zgrzytnął jak papier ścierny po napiętych nerwach. Mińka, z miną zatroskanego prosiaka, złapał za słuchawkę:

– Riumin przy telefonie... Tak jest... Tak... Tutaj... Rozkaz... Natychmiast przekazę... Tak jest!

Powoli położył słuchawkę na widelki i rzeczowo oznajmił:

– Koczegarow cię szuka. Natychmiast do ministra...

Pociemniało mi w oczach, mdłości podeszły do gardła, strach sprawił, że mięśnie zwiotczały, kości stały się giętkie.

Może się zastrzelić? – przemknęła przez głowę niepewna myśl. Mińka z urazą spytał:

– Ciekawe, dlaczego minister wzywa ciebie, a nie mnie?

Ten pazerny bydlak nawet na krawędzi zagłady nie rozumiał, co się dzieje! Denerwował się, że ominie go zasłużona nagroda.

– Nie denerwuj się, Michaiile Kuźmiczu, jeszcze dzisiaj wezwie minister i ciebie – pocieszyłem go. – I jeżeli natychmiast nie uzyskasz na protokole podpisu Kogana, to żegnaj się z życiem!

– Jak to? – zdziwił się.

– Tak to...

Gnałem po schodach i korytarzach, choć lepiej by było nie spieszyć się, pomyśleć, spróbować podjąć jakieś decyzje.

Ale jakiś głos wołał wewnątrz mnie, że już o niczym nie mogę decydować, że całkowicie jestem zdany na cudzą wolę, i lepiej nie zwlekać, nie męczyć same-

go siebie, a poddać się jej od razu, rzucić się w nią z rozmachem, jak w lodowatą wodę. I los sam zdecyduje, czy będę jutro żywy, czy znajdę się w wannie z kwasem solnym jako śliska galareta z resztkami nadpalonego owłosienia.

Przebiegłem przez poczekalnię-wagon, gdzie jak zwykle kisiła się złota orda generałów. Koczegarow zerknął na mnie z uśmiechem i wskazał kciukiem na drzwi strasznego gabinetu.

Abakumow przy swoim kolosalnym biurku czytał jakieś papiery.

– Stawiam się na wasz rozkaz, towarzyszu generale!

Powoli podniósł na mnie ciężkie spojrzenie wycelował pozbawione tęczy źrenice.

Pomilczał złowieszczo i spytał:

– No?

Wzruszyłem ramionami.

– Jak tam sprawy? – spytał Abakumow.

– Normalnie – powiedziałem ostrożnie.

– Chodź tutaj...

Na nieswoich nogach dokużykałem do biurka, a minister wysunął szufladę i wyjął z niej lśniący pistolet.

I wtedy, jak Mińka, pomyślałem skonsternowany: dlaczego najpierw mnie, a nie jego?

Abakumow podrzucił pistolecik na krzepkiej dłoni, zrećnie chwycił i nieoczekiwanie rzucił mi go poprzez biurko. Chwyciłem spluwę w locie, rzucając się jak bramkarz, i nie wierząc własnym uszom, usłyszałem:

– Dziękuję za służbę... To prezent dla ciebie...

Zanim zdążyłem podziękować, zobaczyłem na rękojeści wykwinutego browninga wygrawerowany napis: KAPITANOWI W.A. SAPIEŻE OD MINISTRA BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWOWEGO UKRAINY P. MIESZIKA.

Patrząc w straszliwe źrenice Abakumowa, ogromne, na tle krwawo nalanych białek, nie mogłem zrozumieć: czy każe mi się zatrzeć, czy naprawdę dziękuje mi za służbę.

I co to za dziwny browning?

Ładna pięciostrzałowa zabawka. Damski fason. Nikiel i czerni, na rękojeści nakładka z kości słoniowej. A na niej – „Sapieże”...

Sapieha. Co to za jeden? Osobisty prezent od Mieszika. Teraz już dla mnie. Co to znaczy? Po prostu aluzja? Czy pistolet powinien jakoś wystrzelić? Myśl szybciej. Szybciej! Być może w tym browningu jest ratunek? „Sapieże od Mieszika”. Mamy się spotkać z Mieszikiem w tym gabinecie dziś w nocy. Ma potwierdzić moje słowa. A potwierdziwszy – napisać raport

na Krutowanowa. Tak... Może powinienem z tego pistoletu zabić Mieszika, i żeby pomyśleli, że to Sapieha? Nie, to jakiś idiotyzm...

– Bardzo dziękuję, Wiktorze Siemionyczu.

– Na zdrowie. – Uśmiechnął się stupodowym uśmiechem minister.

– A co, Sapieże już niepotrzebny? – Podrzuciłem browning na dłoni.

– Nie. Sapieha już się głupstwami nie interesuje.

– A kiedyś się interesował?

– Ho-ho! Jeszcze jak! To ulubieniec towarzysza Mieszika, osobisty adiutant. Wesolek i babiarcz: samą Miesziczichę posuwał...

– Ta-ak... Zdarza się... – mruknąłem dwuznacznie. Wiedziałem, że nie dla takich plotek wezwał mnie pilnie Abakumow. Uchylił dla mnie zamykaną na szyfr drzwiczki skrytki w swoim sejfie, pełnym osobistych sekretów stróży cudzych tajemnic. Pistolet był stamtąd, z tajnej skrytki. I Wiktor Siemionycz wyjął go najwyraźniej po to, żeby odebrać Mieszikowi wszelką ochotę do sprzeciwu. Krutowanowa należało wpakować do trumny w sposób bardzo zgrabny.

Ale dlaczego dał ten browning mnie? Jaka rola była mi przeznaczona w czekającym nas spektaklu z Mieszikiem?

– Zdarza się, zdarza... – zgodził się ni to złośliwie, ni to wesoło Abakumow. – Jak przyjdzie ochota, to i gęś kobyłę wychrobot. Tyle że Sapieże z Miesziczichą nie bardzo się powiodło. Wlaź na nią, jak karaluch na pajdę chleba, ale tak się spieszył, że nawet portek nie zdjął. A pistolecik ten, podarunek od ministra, miał w kieszeni. Od podskoków i namiętnych konwulsji zeskoczył bezpiecznik. No i domyśl się, co się stało?

– Niekontrolowany wystrzał? – Pomyślałem, że sądząc z tego, jak Abakumow ze mną rozmawia, nie czytał jeszcze protokołu, napisanego przez Mińkę, a to oznaczało, że mam jeszcze jakiś czas na manewr, że istnieje mikroskopijna szansa na przeżycie.

– Ano właśnie. Kula przebiła jego spodnie od munduru i jej tłuste udo. Powiedz teraz, co powinien był zrobić nasz przyjaciel Paszka Mieszik, wezwany przez służbę do swego zhańbionego domu?

– Udać, że nic się nie stało. Uznać to za nieszczęśliwy wypadek. Ścieriała żona kurz ze stołu i niechcący przestrelili sobie udo.

– Słusznie. Tak też postąpił Mieszik. I dał dupy...

– Dlaczego?

– Dlatego, że ja też udałem, że nic się nie stało... Skoro milczy, to i ja postanowiłem poczekać, popatrzeć, jak będzie próbował mnie przechytryć, jak swojego dziarskiego Sapiehę beze mnie karać zacznie.

– Doczekaliście się? – spytałem z żywym zainteresowaniem, jako że ta historia mogła stanowić wyjaśnienie mojej roli w grze z Mieszkiem, ale mogła także stanowić ostrzeżenie dla mnie.

– Naturalnie, że się doczekałem. Mnie, Pasza, przechytryć się nie da. Po pierwsze, wiem wszystko. Poza tym jestem cierpliwy, to dwa, i rozumiem bardzo dobrze zasady życia, to trzy. Trzeba tylko wszystko przewidzieć, przygotować się i czekać. No i pewnego dnia przeczytałem w komunikacie: „...zniknięcie kapitana służb bezpieczeństwa państwowego Sapiehy...”

Nie wiem, może się wtedy i wzdrygnąłem. A może dzięki wieloletniemu doświadczeniu udało mi się opanować. Jednak po raz pierwszy poczułem z lękiem, że Abakumow ma jakieś nadnaturalne zdolności odczytywania moich myśli, pobudek, głęboko ukrytych impulsów. Przecież zaledwie pół godziny temu rozpatrywałem możliwość zniknięcia Miñki Riumina w wapiennych dołach koło starej cegielni.

– Widzisz, jak to bywa – w zamyśleniu, nie spiesząc się, powiedział minister. – Wszedł Sapieha rano z ministerstwa, a do domu nie dotarł. I nikt go więcej nie widział. W każdym razie Paszka Mieszik tak uważa. I tylko ten oto pistolecik Sapiehy znalazł się u mnie w sejfie. Przypadkiem, ma się rozumieć... I stosowny raport. Takie to buty...

Zapadła cisza. Ja milczałem z powodu swojej niewyjaśnionej sytuacji, a minister, ponieważ był niezadowolony, że ze mną, nic nieznaczącym pionkiem, nędznym robakiem, musiał podzielić się jednym ze skarbów władcy cudzych sekretów. Wprawdzie dla dobra sprawy, ale i tak żal.

– Co mam zrobić? – spytałem.

– Nic. Noś ten pistolet zawsze i wszędzie. Jasne? Zawsze! Miałem wrażenie, że się domyśliłem.

– I dziś w nocy także?

– Powiedziałem, że zawsze! – krzyknął Abakumow, wyraźnie rozdrażniony.

– Zrozumiałem, Wiktorze Siemionyczu. Ale obowiązuje zakaz wchodzenia do waszego gabinetu z bronią.

– Powiem Koczegarowowi. Tobie będzie wolno.

Chyba zrozumiałem. Oczywiście nie wiedziałem wszystkiego, co zamierzał Abakumow, ale jedno było jasne: naszą konfrontację z Mieszkiem planuje on nie jako oficjalną procedurę, a coś w rodzaju przyjacielskiej rozmowy połączonej z popijawą, którą będzie starannie dyrygować. I nie chce informować Mieszika, że zna w szczegółach historię z Sapiehą. Na pewno

w jakiejś chwili poprosi mnie pod byle pretekstem o pistolet, pokaże Mieszikowi ten dobrze mu znany przedmiot, wpuści go w kompletną panikę, w przerażenie. I skoncentruje całą uwagę Mieszika na mnie – człowieku, który zna tajemnicę zabójstwa Sapiehy.

Po czymś takim Mieszik bezwarunkowo potwierdzi wszystko na temat saksońskiego diamentu, który przykleił się do rąk Krutowanowowi. I zniechędzi mnie śmiertelnie. Ogarnięty tym wzniosłym uczuciem, poprzez swoje dość rozległe powiązania zbierze na mój temat wszelkie możliwe świństwa, i przy pierwszej dogodnej okazji wręczy Abakumowowi. No i będziemy, obawiając się siebie i nienawidząc nawzajem, leżeć do spółki w należącem do ministra sejfie z szyfrowym zamkiem i pracować na niego bez wytchnienia, albowiem kto pierwszy przestanie, ten wyleci z gry.

Zniknie. Jak Sapieha.

Świetna akcja. Wprost fantastyczna. Jak mówią bilardziści – uderzenie na dwie luzy.

A minister siedział, bo babsku wsparłszy dłonią policzek, patrzył na mnie markotnie.

– Są jakieś pytania?

– Żadnych, towarzyszu generale! Wszystko zrozumiałem. Pistolet zawsze będę miał przy sobie. – I ostrożnie włożyłem browning do wewnętrznej kieszeni.

Abakumow westchnął i najwyraźniej nie ufając do końca mojej inteligencji, powiedział ze smutkiem:

– Mówili mi, że Paszka Mieszik zabronił ordynansowi czyszczenia jego butów. Wyłącznie pani ministrowa je czyści, niemal językiem do połyску pucuje, i sama go obuwa. Taką ma pokutę. A Paszka, jak się upije, to chlasta ją cholewą po gębie i przygaduje: „Ech, ty, stara kurwo, takiego chłopaka trzeba było przez ciebie... E-ech!...”

Wydałem nieokreślone chrząknięcie, a Wiktor Siemionycz mrugnął do mnie po koleżeńsku, i żebym się zanadto nie oddalał, nie odpywał ponad miarę od burty jego okrętu, zahaczył mnie bosakiem swojej wszechwiedzy, podciągnął bliżej:

– Uważasz, Paszuta, jak przeskoczysz w generały, nie bierz sobie zbyt zwawego adiutanta. Bo inaczej przyjdzie twojej Żydóweczce buty generalskie pucować... No, dobra, jesteś wolny. Możesz iść...

Doszedłem już prawie do drzwi, przeciąwszy na ukos ogromny gabinet, gdy usłyszałem za plecami:

– Przeczytałem protokół przesłuchania... tego... jak mu tam... Kogana.

Zamarłem. Serce zawisło w pustce klatki piersiowej. Powoli, bardzo powoli odwróciłem się. Abakumow wydał mi się nieskończenie daleki, jakbym patrzył na niego poprzez odwróconą lornetkę.

– ...Towar jak malinówka, gówna w nim połówka... Ten nasz śledczy... Riumin, czy jak mu tam... to niezły blagier... Stara się, ale taka sprawa nie na jego głowę... – I, uprzedzając mnie, dodał: – Mam nadzieję, że nic cię nie wiąże z tą sprawą?

– Nie – wykrztusiłem zamierającym ze strachu głosem.

– No to i dobrze. Ja teraz pojadę do domu zdrzemnąć się parę godzin, potem wrócę i sam przesłucham Kogana. I Riumina za jednym zamachem. Jeśli mi parch nie potwierdzi wszystkiego słowo w słowo, to Riuminowi język przez dupę wyrwę. Idź, wezwę cię.

Nie pamiętam, jak przemknąłem przez poczekalnię i długi korytarz, wysłany krwistoczerwonym chodnikiem. Schodami na górę, podest, jeszcze raz na górę, nie ma czasu, żeby czekać na windę, znowu długi korytarz, bieg na oślep, szarpnięcie drzwi gabinetu Riumina – i leżący na podłodze nieprzytomny Kogan, i Mińka nad nim, blade, zmieszany.

– No i co?! – krzyknąłem.

– Odmawia... – Rozłożył ręce Riumin. – Nie podpisuje, Żydzisko podłe...

Wziął ze stołu karafkę i zaczął lać wodę na głowę Kogana. Bulgocąca struga, splukując z twarzy krwawe zacieki, rozlewała się na jajecznożółtym parkiecie w brudną burą kałużę.

Kogan zamamrotał, zastękał przeciągle, wynurzając się powoli ze zbawczej pustki niepamięci, rozkleił spiekle usta, opuchłym purpurowym językiem spróbował uchwycić krople wody, spływające po czarnej, zmasakrowanej twarzy.

Ze zdziwieniem zauważyłem, że ma w ustach obie sztuczne szczęki, jakimś cudem ocalałe w ciągu tak długiego mordobicia.

– Minia, on musi podpisać protokół – powiedziałem, choć nadziei prawie już nie było. – Za parę godzin wezwie cię Abakumow, i jeśli Kogan nie potwierdzi tego, co jest w protokole – będzie z nami koniec...

– Jak to? – Mińka wytrzeszczył swoje białe gały na prosięcym ryle. – Jak to? Przecież sam mówiłeś...

– Mówiłem! Mówiłem! A kto cię, idioto, posłał z protokołem do ministra? Ale za późno teraz na dyskusje! Trzeba, żeby podpisał...

Kogan ocknął się do reszty, uniósł głowę, popatrzył na nas mętным wzrokiem i ochryple powiedział:

– Boże... Boże... Za co mnie... tak...

Otworzyły się drzwi i do gabinetu zajrzał Trefniak. Machnąłem ku niemu ręką – włącz! – a sam przykucnąłem obok Kogana i spytałem:

– Mojżeszu Borysowiczu, słyszycie mnie dobrze? Rozumiecie, co do was mówię?

Kogan przymknął oczy.

– Przez te parę dni wiele już zrozumieliście... – Staralem się mówić spokojnie i przekonująco. – I wczoraj podjęliście słuszną decyzję, żeby się otwarcie przyznać...

Kogan pokręcił głową:

– Wyście mnie... zameczyli... – wychrypiał.

– Mylicie się, Mojżeszu Borysowiczu! Nawet nie unieśliście jeszcze do ust kielicha goryczy! To, co przeżyliście, to tylko wstęp do rozmowy...

Mińka krzyknął:

– Zaraz, mordo parchata, zrobimy ci lewatywę z sody kaustycznej z tłuczonym szkłem!

Pokazałem Mińce pięść i zwróciłem się do Kogana:

– Proszę was, Mojżeszu Borysowiczu, nie zmuszajcie mnie do stosowania radykalnych środków. Nie mam czasu na dyskusję z wami. Nawet sobie nie wyobrażacie, jakie was czekają męki, jeśli nie powiecie całej prawdy. Opamiętajcie się, póki nie jest za późno...

Kogan chwycił się za gardło i zachrypiał znowu:

– Pali... pali wszystko... Boże miłosierny... jak pali... wszystko w środku... Śniegu... dajcie łyk śniegu... pali... śniegu... wtedy podpiszę...

– Ach, ty świnię kłamliwa! Ty psie! – wrzasnął falsetem Mińka. – Znowu chcesz nas zwieść! Pali go! A to się spal!

Ale ja widziałem, że tak czy owak wyjścia nie ma, i rozkazałem Trefniakowi:

– Przynieś śniegu!

– Skąd? – zdziwił się Trefniak.

– Z dupy! Leć na ulicę, durniu, zima przecież!...

Trefniak rozejrzał się bezradnie w poszukiwaniu naczynia, nie znalazł nic odpowiedniego, złapał stojącą w kącie białą fajansową spluwaczkę i powiedział:

– A niech tam! Z charkociną też zliże!

I wyszedł. Okno zaciągało się szarym śluzem świtu.

Mińka, zżerany przez wściekłość i strach, miotał się po gabinecie.

– Spróbuj tylko nie podpisać, kanalio! Wyrzęsz z ciebie twoją plugawą kosztowną wątrobę...

W ten sposób dodawał sobie otuchy. Potem podszedł do imponującej politurowanej skrzynki radioodbiornika Mir, nacisnął klawisz włącznika. Oczko wskaźnika nie zdążyło jeszcze nalać się zielenią, gdy runął na pokój, niczym z otchłani, bas Rejzena:

Szatan tam wyprawia bal,

Wyprawia tam bal!

Szatan tam wyprawia bal...

Na ziemi cały ludzki ród

Czci jedno tylko bożyszcze...

– Wyłącz! – krzyknąłem do Mińki, i Mefistofeles przepadł z cichnącym okrzykiem: „Szatantam... szatantam...”

– Chodźcie, Mojżeszu Borysowiczu, pomogę wam usiąść przy stole, zaraz przyniosą śnieg, a wy tymczasem podpiszcie protokół...

Kogan znowu uniósł głowę, przyjrzał się nam z Mińką lewym okiem. – prawe było zaklejone czarną śliwką – i cicho, z ogromnym zdziwieniem powiedział:

– Jacy... z was... młodzi jeszcze... chłopcy...

Wciągnął ze świstem powietrze, zamknął oko i zamamrotał ledwie dosłyszalnie, jakby sobie samemu coś wyjaśniał, analizował dopiero co pojętą rzecz:

– Młode komórki... nowotwory... stare komórki nie mają tej bezmyślnej... energii niszczenia... przerzuty... a pierwotny rak w mózgu... będziecie rosnąć... pożerać organizm... ludzi, państwo... dopóki go nie zabijecie... a wtedy zginiecie sami...

Przyszedł Trefniak z pełną sopluczką śniegu – brudnego, z piaskiem.

– Z chodnika... z przyzmy nabrałem – wyjaśnił rzeczowo.

Kogan długo mamlął to plugastwo, ale przetykać już nie mógł. Potem wypuścił z rąk sopluczkę, która stłukła się od uderzenia o podłogę, i śnieżna kasza zmieszała się na podłodze z czarną kałużą wody, wylanej przez Mińkę z karafki.

Starzec leżał przez chwilę nieruchomo, a my zamarliśmy, zdetonowani, nie wiedząc, co robić, dopóki nie uniósł głowy i nie wypluł na podłogę protez.

– Już mi niepotrzebne – szepnął. – Umieram...

Głowa jego głośno stuknęła o parkiet. Mińka rzucił się ku Koganowi z przenikliwym krzykiem, przechodzącym w szloch:

– Zdychaj, bydlaku, zdychaj, ścierwo! Nędznik przeklęty!...

I kopał go krótkimi grubymi nogami w żebra, w brzuch, pod nerki.

Siedziałem odrętwiały przy biurku. Nie miałem siły, by powstrzymać Riumina, choć widziałem, że Mojżesz Kogan jest już martwy.

W głowie miałem mgłę, cały byłem jak wypchany watą, tylko jedna jasna myśl kołatała mi się w świadomości: najprawdopodobniej za parę dni ludzie z Inspekcji Specjalnej będą sobie ze mną poczynać dokładnie tak, jak Mińka z Koganem.

Konwojenci wywlekli trupa. Rozjaśniło się. Ale zapomnieliśmy wyłączyć światło. Na podłodze walala się rozbita spluwaczka. Ciemniała brudna kałuża. Minuty – jak stulecia, godziny – jak jedno mgnienie. W wewnętrznej kieszeni czułem ciężar prezentu Abakumowa. Czyżby pozostało mi tylko takie wyjście z tej beznadziejnej sytuacji?

Zadzwoił telefon.

– Minister wzywa do siebie Riumina z aresztowanym Koganem...

Deszcz z krupą. Śnieg pól na pól z błotem. Pić się chce. Przysypany szarą śnieżną kaszą mercedes. Nabrałem jej trochę do ręki i zacząłem ssać. Nie, pragnienie nie przejdzie. Słono w ustach. Jakby od krwi. Spać się chce, ale i tak nie zasnę. Straszno być samemu. Trzeba cały czas pić – wówczas będzie lżej.

Co za dureń powiedział, że nie trzeba być kurą, żeby wyobrazić sobie, co czuje w kipiącym rosole? Nie wiercie w tę bzdurę. Wielka wiedza o gotowaniu się w rosole dostępna jest tylko kurze.

Nie ma gdzie się schować. Nie ma gdzie iść.

Jak nabrzmiała w piersi surowicza fasolka, jak się rozrosła – podeszła do samego gardła. Chwieje się ziemia pod nogami, nasz mały *orbis terrarum*, nasze wesolutkie terrarium.

Ale nawaliło śniegu! Niskie chmury z purpurową poświatą miasta płynęły nade mną grubymi kłębami.

Dobra, pojedę do druha swego i walecznego współautora Cezara Solonego o ksywie Promienica. Pojadę, tak czy inaczej nie mam się gdzie podziać. Życie się kończy. Upływa przydział czasu. Dziwna portmonetka, z której wyjmujemy zaśniedziałe miedziaki pozostałych dni.

Pojadę.

17. Krąg Kainowy

Pojechałem. Błoto, deszcz, mgła jak dym. Wycieraczki zgarnęły z przedniej szyby czarne przygarście mokrego śniegu. Młaskała pod kołami mokra breja – śnieg przemieszany z solą i piaskiem. Na pewno dlatego, że jestem prawdziwym patriotą, nigdy wcześniej nie przychodziło mi do głowy, jaki tu mimo wszystko okropny jest klimat! Diabli by go wzięli. Przecież inni ludzie żyją gdzieś tam pod palmami. W bungalowach. A my grzęźniemy w tym gównie.

Dokładniej mówiąc, współpatrioci grzęzną w gównie, a ja siedzę w mercedesie. Prawie nowym, na firmowych bieżnikowanych oponach. I tu, w ciepłej kapsule jego wnętrza, przy słodkich pedalskich pieniach magnetofonu, półpijany, czułem się jak pionier-odkrywca w kabinie pojazdu planetarnego, wędrujący po nieznannej pięknej planecie, ulepionej z gówna. Podlanego krwią.

Subtelnie błękitny orbis, zawsze w purpurowej łunie terrarum.

Latarnie uliczne rzucały na czarny asfalt żółtawe strumienie jodowego światła, przenikliwe, trującego. Żyjącym pod tymi latarniami obywatelom wyrosnie ogromne wole – kołyszający się pod brodą worek, coś w rodzaju przepukliny.

Jechałem przez wyludnione centrum, a po bokach pelzły w tył niewysokie, przysadziste nasze drapacze chmur, rzadkie i ciemne jak pniaki w ustach.

– „Piękniejszej niż nasza nie ma stolicy!” – zawylem, zagłuszając subtelne trele pedała, płynące z głośników, i od własnego krzyku zrobiło mi się nieco lżej. Przyhamowałem na czerwonym świetle, otworzyłem schowek i w samym kącie namacałem zawiniątko. Wytrząsałem z celofanowego woreczka, rozwinąłem szmatkę i dotykiem palców przeczytałem na gładkiej kości na wpół starty tekst: KAPITANOWI W.A. SAPIEŻE OD MINISTRA BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWOWEGO UKRAINY P. MIESZIKA.

„Noś ten pistolet zawsze i wszędzie! Jasne? Zawsze!”

„I dziś w nocy także?”

„Powiedziałem, że zawsze!”

Rozkaz sprzed trzydziestu lat zachowuje swoją moc. Dlatego że już kiedyś ocalił mi życie. I być może jeszcze kiedyś ocali. No więc noszę pistolecik przy sobie. Albo wożę w samochodzie. Malutki, damski browning, nikiel

i czerń, z kościanymi nakładkami na rękojeści. Napis niemal starty – nie, to nie raszpla czasu, to ja sam zdarłem pilnikiem litery z rękojeści, kiedy utraciły swój magiczny sens.

Upłynęły zaledwie trzy dziesięciolecia, głupio nawet nazywać to historią. Ale nad zachowaną wygrawerowaną dedykacją utworzyło się parę warstw geologicznych, pokładów śmierci. Jakie ręce trzymały ten pistolecik! W jakich niedostępnych sejfach go przechowywano! A teraz leży w schowku w moim aucie, nie mam gdzie go podziąć. Od dzisiejszego wieczoru stary rozkaz znów zyskuje moc – nosić wszędzie. I zawsze...

Mknąłem przez zaplute brudnym marcowym śniegiem miasto, przez centrum, na Prospekt Lenina, z wizytą do swego odrażającego druha Promienicy. Ciężar niklowanego browninga na sercu pogrążał mnie w głębinę przeszłości, tak jak ołowiane buty ciągną nurka z życia w niebyt. Sympatyczny przedmiot, który przeżył tylu gospodarzy! Przedmioty w ogóle są bardziej długowieczne niż ludzie, ale nie ma rzeczy bardziej długowiecznej niż broń.

...Chodziłem nieustannie po długim korytarzu, zasłanym krwistoczerwonym chodnikiem, rozświetlonym matowym blaskiem niezliczonych mosiężnych klamek u nieprzeliczonych drzwi. Wydeptałem bród przez ten stojący strumień krwi na trzecim piętrze Wydziału – przed wejściem do poczekalni wszechwładcy mego losu Wiktora Siemionycza Abakumowa.

Wepchnąłem do poczekalni obłąkanego ze strachu Mińkę i już godzinę chodziłem z jednego końca korytarza w drugi – zatrzymać się nie mogłem, stanie w tym korytarzu było zabronione, po pięciu minutach straż wewnętrzna zwróciłaby uwagę na gościa sterczącego pod drzwiami ministra. I chodziłem, chodziłem, ze skupionym wyrazem twarzy człowieka bardzo zajętego. Docierając do klatki schodowej od strony ulicy Dzierżyńskiego, robiłem zwrot i kierowałem się w drugi koniec, ku przejściu do nowego gmachu, zwróconego w stronę zaułka Furkasowskiego. A potem znów z powrotem. Nie mogłem stracić z oczu drzwi poczekalni. Mińka zaraz powinien stamtąd wyjść. Być może szczęśliwy, że zdołał się wybronić, może przygnębiony i wytrącony z równowagi. A może już pod konwojem.

Przekonywałem go, błagałem i groziłem, usiłowałem mu wytłumaczyć i zastraszyć go, dowodząc, że aby się uratować, musi jak najmniej mówić. Milczeć, udawać głupka, starać się przekonać ministra, że historia z Koganiem nie ma żadnego związku z większą akcją, że po prostu ten mosiek, zanim zdechł ze strachu, zdążył napisać różnych niestworzonych rzeczy. I najważniejsze – tłumaczyłem mu – to nie wspominać mojego nazwiska,

przeciągnąć sprawę w czasie, a ja tymczasem udowodnię Abakumowowi, że robiliśmy dokładnie to, co trzeba. Wbijalem Mińce do głowy, że jesteście niewielkim trybikiem w ogromnej grze politycznej, i minister celowo będzie udawał, że nic nie wie o przydzielonym nam zadaniu. Będzie w ten sposób sprawdzał, czy można Mińkę dopuścić do rozmowy z pierwszymi osobami w państwie...

Ten naiwny dziecinny belkot starałem się wbić w jego tępy, nieruchawy mózg, żeby wygrać na czasie. Na próżno. Mińka niczego nie pojmował. Zresztą gdyby był mądrzejszy, tym bardziej by mi nie uwierzył. Ale on po prostu nic nie rozumiał, ani jednego słowa, zupełnie jakbym nagle zaczął mówić po chińsku.

I gdy Abakumow powoli podsmażał go na diabelskiej patelni dywanu przed swoim biurkiem, ja miotałem się jak zaszczuty po korytarzu, usiłując znaleźć jakieś wyjście. Do głowy pchały mi się rozmaite głupoty, marzyłem, żeby Abakumow – choćby ze względu na dawne zasługi – nie zniszczył mnie całkiem, lecz zdegradował, skazał na zesłanie w jakieś zakazane miejsce, wyznaczył funkcję, którą pogardziłbym jeszcze wczoraj. Byłem gotów jechać na Magadan, przeklęte dzikie rubieże Gułagu, pilnować milionów więźniów, prowadzić koszmarną vegetację tam, gdzie żony oficerów pożyczają sobie nawzajem prezerwatywy i zwracają je po użyciu. Byłem gotów jechać na Litwę czy na Zakarpacie, gdzie bandyci, „zieloni” i banderowcy co noc strzelali i rżnęli naszych braci jak kury. Gdziekolwiek, byle nie tu...

Kiedy jednak ogromne dębowe drzwi wyrzuciły Mińkę na korytarz, od razu zrozumiałem bezpłodność moich marzeń o służbie w dowolnym punkcie kraju. Krach, całkowita zagłada były wypisane na świńskim ryju Mińki. Wytrzeszczone bezmyślne oczy, spięte konwulsyjnie blade fagle rumianej niedawno mordy. Krach, całkowity krach. Kiedy puszcza żelazne obręcze skurczu, rozleje się tu, w korytarzu, w mętną galaretowatą kałużę. Złapałem go za rękę i powlokłem za sobą, waląc go pod zębra:

– Ocknij się, opamiętaj się, kretynie... Co ci powiedział minister?

Mińka przeniósł na mnie beznamiętne spojrzenie śniętego sandacza i cicho szepnął:

– Oddaje mnie pod sąd... Krzyczał na mnie...

I na wspomnienie o krzyku Abakumowa wstrząsnął nim dreszcz.

– Mów, mów... – szturchałem go.

– Krzyczał, że to wszystko lipa... Że wszystko zmyśliłem... Kazał mi iść do wewnętrznego aresztu... Wszczął śledztwo służbowe... Kazał mi

przekazać sprawę naczelnikowi wydziału śledczego... Krzyczał, że nie ma żadnego spisku, że wie, czyje to sztuczki...

– Wymieniłeś moje nazwisko?

– Nawet słowa nie zdążyłem powiedzieć! Od progu zapytał, gdzie jest Kogan... A jak powiedziałem, że zdechł ten parch przekłety, od razu zaczął wrzeszczeć, że razem z Krutowanowem pchamy się przed orkiestrę... i obu nas posła do mamra...

Zatrzymaliśmy się na klatce schodowej. Mińka nadal gęgał coś żałośnie, a ja, ścisnąwszy skronie dłońmi, szybko, spazmatycznie myślałem. Przymierzałem się, czy zdołam się precyzyjnie przycisnąć przez rysującą się mikroskopijną szczelinę. Szczelina była prawie niedostrzegalna, nie szczelina, lecz maciupeńka dziurka, ucho igielne, przez które musiałbym precyzyjnie przycisnąć tego zasranego wielbłąda i sam za nim przeleźć, żeby znaleźć się w niewypowiedzianie pięknym raju, któremu na imię – życie. Raj – to życie. O Boże, życie to naprawdę najwspanialszy raj!

Z żalosego bełkotu Mińki wyciągnąłem dwa wnioski.

Po pierwsze – Abakumow uważa, że wykazanie spisku przeciwko Stalinowi i całemu rządowi służy nie jemu, lecz Krutowanowowi i stojącemu za nim Malenkowowi. Wyjście na światło dzienne takiej sprawy w jakiś sposób przeszkadza jemu i jego szefowi – Berii. Należy to potraktować jako aksjomat, nie zastanawiając się nad przyczynami danej sytuacji. Jeśli przeżyję – zrozumieć, a jeśli nie – to i tak nie ma to żadnego znaczenia.

Dwa. Skoro Abakumow w obecności takiego gnojka jak Mińka znieważał Krutowanowa, to znaczy, że już wykreślił naszego drogiego Siergieja Pietrowicza z listy wykonawców ról. A przecież finałowy spektakl pogrzebania Krutowanowa z uczestnictwem generała Mieszika i moim ma się odbyć dopiero dzisiejszej nocy, za dwanaście godzin, w gabinecie Abakumowa. Jeśli Krutowanow się dowie, że już skrojono dla niego białe kapcie, powinien wykazać więcej wyobraźni i wigoru niż mój tępy wieprz Mińka.

Trzeba tylko, żeby Abakumow nie ruszał mnie jeszcze parę godzin.

– Idziemy! – Szarpnąłem Mińkę za rękaw.

– Dokąd? – spytał oszołomiony, ale posłusznie ruszył za mną.

– Do Krutowanowa...

Mińka zamarł jak wkopany.

– Po co?

– Wszystko mu opowiemy. Nie bój się, pójdziemy razem... – Nie miałem już nic do stracenia, a puszczać ogłupiałego Mińkę samego i tak było bez sensu.

– Nie pójdę... nie pójdę... – Kręcił apatycznie głową. – Wrobiłeś mnie w to wszystko. Myślisz, że będę milczeć na przesłuchaniach? Powiem prawdę...

– Mińka, to twój jedyny ratunek – powiedziałem łagodnie.

– A twój? – krzyknął piskliwie.

– Ty o mnie teraz nie myśl. Sam o sobie pomyślę. I o tobie też. Dopóki mnie słuchałeś, wszystko było w porządku. Sam sobie biedy napytałeś. Po co bez potrzeby polazłeś do ministra z protokołami? Zrozum, tylko ja mogę cię teraz uratować, rób, jak mówię...

Ale moje przekonywania nie odniosły skutku. Mińka jęczał, lamentował, przeklinał dzień, w którym się poznaliśmy, i za żadne skarby nie zgadzał się iść do Krutowanowa. Ogarnęła mnie rozpacz, bezgraniczne znużenie: uczucie podobne do bezsilnej złości, jaką odczuwa pływak, usiłujący doholować do brzegu tonącego, który chwyta go za gardło, za ręce, dusi i topi.

Nic mi już nie pozostawało i podjąłem ostatnią próbę złapania go za włosy.

– Mińka, rób, jak uważasz. Zaraz zostaniesz aresztowany, to twoje ostatnie chwile na wolności, i odeślą cię na przesłuchanie do Inspekcji Specjalnej. Widziałeś, jak tam przesłuchują?

Przerażony, wsadził głowę w ramiona.

– Wpakowałeś się, Mińka, w bardzo poważną historię, i dlatego zastosują wobec ciebie trzeci stopień przesłuchania, „ekstra”. Bo będą chcieli, żebyś jak najszybciej wszystko powiedział.

– A co mam mówić?

– Nie wiem. Co będzie potrzebne Abakumowowi. Twoje nieszczęście polega właśnie na tym, że nie wiesz, co należy powiedzieć Abakumowowi. Dlatego poddadzą cię ekstraprzesłuchaniu. Wiesz, co to jest kaczy nos?

– No... takie szczypcy, z wąskimi końcówkami...

– Tak. No więc wsadzą ci je w nozdrza, zaczną wyłamywać nos. Rozumiesz? A to dopiero początek.

Mińka zamknął oczy, w gardle mu bulknęło, i przestraszyłem się, że mdleje. Znów dałem mu ostrego szturchańca w wątrobę, zamiast amoniaku, pociągnąłem za sobą:

– Idziemy, idziemy! Ty będziesz tylko siedział, a ja sam powiem Krutowanowowi wszystko, co trzeba. Chodźmy, szkoda czasu!

I Mińka ruszył się z miejsca. Znowu przeszliśmy przez korytarz wysłany purpurowym chodnikiem, obok straszliwych dębowych drzwi do poczekalni Abakumowa. Gdyby w tych drzwiach pojawił się teraz Abakumow, to

murowane, że zaprowadziłby nas z Mińką zupełnie gdzie indziej. Ale innej drogi nie było. Poczekalnia do gabinetu Krutowanowa znajdowała się właśnie tu, na tym piętrze, za ledwie parę drzwi dalej. Parę metrów, parę ciemnych, ciężkich drzwi, z wyczyszczonymi do połysku mosiężnymi klamkami. To przecież naturalne, że przeciwnicy w zapasach nie mogą się zmagać na odległość.

Weszliśmy do poczekalni. Wlokąc Mińkę za rękę, żeby nie zemdlął w ostatniej chwili, powiedziałem do dyżurnego adiutanta:

– Przekażcie towarzyszowi wiceministrowi, że na jego rozkaz przybył podpułkownik Chwatkin z bardzo pilną informacją...

Siergiej Pietrowicz miał w owym czasie równo trzydzieści pięć latek i już od wielu lat nosił generalskie pagony. Zaświadczam: już trzy dekady temu reprezentował on ten styl władzy, który w naszych czasach obowiązuje dygnitarzy partyjnych. Niewątpliwie był to jedyny człowiek w naszym urzędzie, któremu autentycznie zazdrościłem i do którego chciałbym być podobny. Również zewnętrznie.

Przypadek? Zbieg okoliczności? Szczęście? Czy znak? Krutowanow to jedyny spośród kierowników Wydziału, który nie zginął, nie ucierpiał, nie zniknął bez śladu. Do tej pory piastuje godność ministra.

Wtedy stał oparty plecami o okap kominka, z rękami założonymi po napoleońsku na piersi, i niewzruszenie popalając amerykańskiego papierosa lucky strike, słuchał mojego referatu o spisku na życie towarzysza Stalina i innych przywódców partii i rządu. Popielata tweedowa marynarka, modne szerokie spodnie, jedwabna koszula – wypisz wymaluj angielski lord, drugi Anthony Eden! Z jego twarzy nie sposób było wyczytać ani wzburzenia, ani współczucia, nawet szczególnego zainteresowania nie przejawiał. Zwykła służbowa uwaga. Raz tylko, gdy Mińka, odżywszy nieco, spróbował mi przerwać, rzucił mu krótko i chłodno, jakby splunął na mrozie:

– Siedźcie spokojnie! – I wielkopańsko, ledwie zauważalnie skinął głową w moim kierunku: – Kontynuujcie.

Kontynuowałem. Referowałem, opisywałem, udgwadniałem – wymieniałem nazwiska, daty, miejsca, realne i możliwe do wyobrażenia; zakładałem, analizowałem, nadawałem określony charakter różnym okolicznościom.

Niepowtarzalny moment natchnienia w walce o własne życie! Co tam Termopile! Uboga strategia Austerlitz, .. Niemrawa taktyka Stalingradu...

Absurdalne wymysły o talencie wodzów i ich zdolności przewidywania. Sukces albo krach wszystkich wielkich bitw zależy od tajnego rozdania kart przez graczy, siedzących piętro wyżej.

– Ciekawe... – rzucił Krutowanow, odepchnął się od kominka i wolnym krokiem podszedł do biurka. Wziął pilnik do paznokci i zaczął dokładnie szlifować paznokieć na małym palcu. Zapadła cisza, tylko pilnik ledwie dosłyszalnie zgrzytał, a Riumin sapał jak wieprz. Jak dramatyczna pauza na scenie, gdy bohater ma uczynić decydujący krok. Krok, od którego zależy cała dalsza fabuła operetki pod tytułem *Spisek żydowskich lekarzy, czyli nieudana próba otrucia Wielkiego Bossa...*

Rzecz polegała jednak na tym, że płomienna żarliwość mojego przekazu bynajmniej nie miała na celu skłonić Krutowanowa do uwierzenia mi. Podobnie jak zawodowa powaga i skupienie Krutowanowa nie świadczyły o jego zainteresowaniu. Wszystko to staowało elementy przedstawienia, które odgrywaliśmy przed pustą jeszcze salą, i Krutowanow występował równocześnie w charakterze inscenizatora, zmuszonego podjąć decyzję, czy zdołamy przekonać widzów o prawdziwości, wiarygodności, życiowym prawdopodobieństwie niezwykle, tragicznych spięć, które wymyśliłem, czy spektakl nada się na ten sezon, czy spodoba się Temu, Który Zamawia Muzykę.

Obaj zdawaliśmy sobie sprawę, że czekający nas spektakl to czysty wytwór wyobraźni, niemający żadnego osadzenia w rzeczywistości, i nawet sama sztuka też na razie nie istnieje, jest tylko genialny pomysł, który powinniśmy rozwijać, improwizować, reżyserować. Grać.

I patrząc na beznamietną twarz tego młodego człowieka, zajętego teraz wyłącznie polerowaniem swoich pięknych paznokci, nie wiedziałem, czy zrzuci za chwilę mnie i Mińkę, dwóch żalonych zasranych komedianłów, ze sceny życia, czy weźmie nas do swojej trupy i wypuści na proscenium najstraszniejszego przedstawienia w historii.

Brzęk! Dzyń! To rzucony na biurko pilnik. Obaj z Riuminem drgnęliśmy z wrażenia, a Krutowanow spytał równym głosem:

– Ciekawe, dlaczego przyszliście z tym do mnie?

W tym momencie nasze komedianctwo kończyło się, gdyż tak czy owak Krutowanow mógł wejść do gry, wyłącznie zdając sobie jasno sprawę z układu sił, i żadne chytrości w tym względzie nie miały sensu. Teraz mój los zależał od możliwości i planów Krutowanowa, które z kolei określała pozycja graczy najwyższego szczebla.

Patrząc mu prosto w oczy, powiedziałem:

– Ponieważ jesteście jedynym człowiekiem w ministerstwie, którego stać na niezależny od Wiktora Siemionowicza Abakumowa punkt widzenia...

– Ta-ak? – przeciągnął z zainteresowaniem. Widziałem, jak zapienił mu się na koniuszku języka pęcherzyk pytania „a skąd wam o tym wiadomo?”
– To znaczy, jeśli właściwie was zrozumiałem, że wasz punkt widzenia jest inny niż ministra?

– Tak jest, towarzyszu generale. Wiktor Siemionycz nie chce dostrzegać istnienia rozległego, rozgałęzionego żydowskiego spisku. Myślę, że z jakichś przyczyn jest to dla niego niewygodne.

Krutowanow uśmiechnął się mile. Uśmiechał się długo – przez cały ten czas, gdy wydostawał z równiutkiej, niezmiętej paczki nowego papierosa, ostrożnie postukując nią o blat biurka, i zapalał złotą zapalniczką Zippo. Uśmiech uleciał dopiero z pierwszą smugą papierosowego dymu, która, prosta i ostra jak klin, wbiła mi się w twarz pytaniem:

– W takim razie po co mi to potrzebne?

Powiedział to całkowicie obojętnym głosem.

Poczułem, że uchodzą ze mnie resztki sił... Krutowanow nie chce uczestniczyć w tej grze. Dlaczego? Może się obawia, że mam za krótkie ręce? A może uważa, że jeszcze nie czas na jego numer? Polityka to sztuka subtelna, i taki szczywany lis dobrze zdaje sobie sprawę, że jeśli zaproponowana przeze mnie partia się powiedzie – wygra wiele, niemal wszystko. Ale jeśli przegra, zapłaci życiem. No a przekazując nas z Mińką Abakumowowi, wprowadzie miłości ministra nie zyska – są wrogami raz na zawsze – ale zgromadzi jakieś drobne punkty w związku z jutrzejszym starciem. Nasze z Mińką czerepy pójdą na gałki liczydeł wielkiej polityki.

Ach, gdybym mógł powiedzieć Krutowanowowi, że w sejfie Abakumowa leży kłosek na niego, że Paszka Mieszik już przyjechał do Moskwy, że o trzeciej w nocy minister czeka na nas, że żadnych punktów Krutowanow na mnie nie zbierze, gdyż żadnej walki jutro nie będzie, czeka go pewna zagłada. Ale nie mogłem tego powiedzieć.

I w tym momencie zadzwonił telefon. Cienki, przenikliwy brzęczyk i głos adiutanta:

– Towarzyszu wiceministrze, chce z wami mówić generał Fitin...

Czort wie, jak by się to wszystko potoczyło, gdyby Krutowanow podniósł słuchawkę i swoim zwykłym uprzejmie-lodowatym tonem zaczął rozmawiać z Pawłem Michajłowiczem Fitinem o różnych sprawach i sprawkach nagromadzonych w ich eparchii. Ale on nagle ostro powiedział do mikrofonu:

– Jestem zajęty! Z nikim nie łączyć...

Przelotnie zerknął na mnie i od razu zdał sobie sprawę, że popełnił gafę, zdjął maskę swojej obojętności, przegnawszy bez słowa naczelnika zarządu głównego wywiadu politycznego. A popełniwszy błąd, brnął dalej, zniżając się wobec mnie do wyjaśnienia:

– Nawet w klozecie by mnie szukali... A zatem nie odpowiedzieliście, dlaczego miałbym zajmować się sprawami, które minister uważa za niewygodne dla siebie, jak byliście uprzejmi się wyrazić.

Dobra, skoro rozmowa ze mną jest ważniejsza niż spotkanie z Fitinem, niż jakiegokolwiek wydarzenia w naszym szpiegowskim świecie, to odpowiem wam na to pytanie, szanowny Sergiejju Pietrowiczu.

– Przypuszczam, że są one niewygodne dla Wiktora Siemionycza właśnie dlatego, że są wygodne dla was.

– Poproszę o dokładniejsze sformułowanie waszej myśli. – Niezwykle kurtuazyjnie skłonił ku mnie głowę Krutowanow.

– Wydaje mi się, że odkrycie rozległego żydowskiego spisku przeciwko przywódcom i filarom naszego państwa niezbyt cieszy Abakumowa...

– Nigdy bym nie pomyślał, że nasz Wiktor Siemionycz jest filosemitą – uśmiechnął się lekko Krutowanow. – Kto by w ogóle mógł przypuszczać, że z naszego ministra taki judofil, ideowy żydoman...

– Przypuszczalnie Wiktor Siemionycz nie lubi Żydów dokładnie tak samo, jak wszyscy pozostali. Ale wydaje mi się, że dostrzega on zagrożenie dla towarzysza Stalina ze strony grupy pracowników partyjnych, przygotowujących ogromny spis. Sprawa leningradzka to na razie tylko kwiatki. Jagódki planuje zerwać w Moskwie.

– Przypuszczacie tak, czy o tym wiecie? – zainteresował się leniwie, ale w tym obszernym gabinecie słychać już było zajadłe sapanie zwartych w śmiertelnych zapasach u podnóżka tronu Bossowego dwóch głównych zawodników, finalistów w wielkich zawodach twórców świata dobra i rozumu: Ławrentija Pawłowicza Berii i szwagra Krutowanowa, faflastego mopsa Georgija Maksymilianowicza Malenkowa.

– Przypuszczam, że wiem – powiedziałem.

Mińka, osłabły po niedawnych torturach, dawno straciwszy wątek tej niepojętej dla niego gry, odczuwający wyłącznie fizyczne wyczerpanie z powodu przepelniającego go strachu, nagle przeciągle, po babsku zajączał:

– Oj-oj-oj... – I, opamiętawszy się, z przerażeniem zakrył usta dłonią.

Krutowanow pokiwał głową i zauważył ze współczuciem:

– No cóż, krzepkiego macie współpracownika... Tak. Powiedzcie mi, proszę, na jakiej podstawie sądzicie, że znacie plany Abakumowa?

– Informacja z pierwszych rąk.
– A dokładniej?! Nazwiska, fakty...
– Nie, Siergieju Pietrowiczu, tego wam powiedzieć nie mogę. Na razie. Już i tak całkowicie oddałem się w wasze ręce. Muszę cokolwiek zostawić sobie jako zabezpieczenie...
– Śmieszycie mnie, Chwatkin. Czyżbyście sądzili, że coś wam pomoże, jeśli wasze opowiadanie mnie nie zainteresuje?
– Skąd mam wiedzieć, Siergieju Pietrowiczu... Ale mam nadzieję, że was zainteresuje.
– Skąd ta pewność? – Dobrodusznie zaśmiał się Krutowanow, i odchyliwszy się na oparcie krzesła, popatrzył na mnie z uwagą. Jak na jakiegoś ciekawego owada.
– Stąd, że moja głowa jest w waszych rękach. A nad waszą też wisi topór.
Długo patrzył na mnie, lekko skłoniwszy rasową głowę z nieskazitelnym przedziałkiem, i po jego jasnoniebieskich, z lekka wylupiastych oczach widziałem, że zastanawia się: czy rozdeptać mnie natychmiast, czy odłożyć na potem ten drobny zabieg. Ale pragnienie, by jaśniej zobaczyć kształt topo-
ra, wiszącego nad jego głową, wzięło górę.

Zaprawdę – lepiej z mądrym stracić, niż z głupim zyskać! O zbawcza mocy mądrości! Dzięki niej obaj do dziś żyjemy. Wszyscy inni odeszli z tego świata. Wszyscy.

Mądrość Krutowanowa jest tak wielka, że po trzydziestu latach Mangust zjawił się właśnie u mnie, a nie u niego.

A wtedy, napatrzwszy się na mnie do woli, powiedział, westchnąwszy ze smutkiem:

– Biedna Rosja... W żadnym kraju nie było tylu samozwańców, co na Rusi... Może dlatego, że naród nasz jest głupi i sam ich przywołuje? – I jako że pytanie było retoryczne, ani trochę nie interesowała go moja odpowiedź, od razu przysunął ku sobie szarą teczkę, którą położyłem na jego biurku, i zaczął szybko czytać. „Akta sprawy karnej A.G. Rozenbaum, M.B. Kogana i in., oskarżonych o popełnienie przestępstw z artykułów...”

Przez jakiś czas, który wydawał nam się z Mińka wiecznością – jako że żaden poeta świata nie oczekiwał wyroku mistrza z takim wzruszeniem – Krutowanow, nie przerywając czytania, wziął z kryształowej szklanki ostro zatemperowany ołówek i zaczął zakreślać grubymi czerwonymi liniami

poszczególne wiersze i ustępy. A niektóre strony protokołu zaznaczał papierowymi zakładkami.

Po czym zamknął teczkę i spytał:

– To wszystko?

Wyschłymi wargami wymówiłem z trudem:

– W przygotowaniu jest wielkie rozpracowanie operacyjno-agenturalne.

Krutowanow zmrużył oczy, powiódł ręką po włosach, które i bez tego leżały nienagannie, jeden przy drugim, wstał i powiedział:

– No cóż, jak mówili starożytni Rzymianie: *exitus acta probat*. Rezultat, mam nadzieję, usprawiedliwi moje działanie.

Oto i on, mój pierwszy nauczyciel łatwo dostępnej erudycji. Kolumb, mgliście wieszczący bezcenne skarby myśli, zawarte w niewydanym jeszcze w owych czasach *Słowniku wyrazów obcych*.

Zwrócił się do Mińki i rozkazał:

– Siadajcie, majorze Riumin, przy biurku, zbierzcie myśli i napiszcie jasne pismo przewodnie. Bez żadnych analiz – same fakty.

A sam podniósł słuchawkę telefonu wewnętrznego i wykręcił cztery cyfry:

– Dzień dobry, Georgiju Maksymilianowiczu... Tak, tak, to ja, Sierioża...

Boże święty... Sierioża! Delikatne, pieszczotliwe, dziecięce zdrobnienie: Sierioża! Towarzysz wiceminister bezpieczeństwa państwowego ZSRR generał Sierioża! W mordę jebany... Gdzie, na jakich wyżynach obraca się jego potężny szwagier, skoro ten wszechwładny lodowaty ludojad to tylko Sierioża? A może uniwersalność władzy bezprawia polega właśnie na tym, że Malenkow dzwoni do Wielkiego Bossa i drżącym głosem przedstawia się: „Josifie Wissarionowiczu, to ja, Żorik, wybaczenie, że was niepokoję...”

– Georgiju Maksymilianowiczu, mam do was wyjątkowej wagi sprawę... Bardzo poważnie... W każdym razie chciałbym, żebyście poznali sprawę i ocenili sami... Dobrze... Dziękuję bardzo... Tak jest, za godzinę...

Mińka, zagryzając koniuszek języka, pracowicie klecił pismo przewodnie. Jak każda nisko zorganizowana istota, nie potrafił planować swojej działalności, ale i przeszłe zdarzenia nie dręczyły go zbyt długo. Oderwał się od papieru i spytał:

– Pisać, że Wiktor Siemionycz...

– Nie trzeba! – ostro rzucił Krutowanow. Podszedł do Mińki, przeczytał przez jego ramię to, co napisał. – Wystarczy. Podpiszcie się i postawcie datę.

Wziął od niego kartkę, pomachał nią w powietrzu, czekając, aż wyschnie atrament, i wesoło powiedział:

– Kiedy doczekacie starości, Riumin, i przejście na zasłużoną emeryturę, będziecie mogli unieśmiertelnić swoje imię za pomocą pamiętników...

Mińka zgodliwie, nie rozumiejąc, o co chodzi, zachichotał, a ja pomyślałem, że jego życie niewarte jest teraz nawet kopiejkę. I moje też.

Krutowanow włożył pismo przewodnie do akt, schował je do dyplomacki i poradził:

– Zatytułujcie swoje wspomnienia: „Zapiski bęcwała”...

– Rozkaz, towarzyszu generale! – odmeldował się służbiście Mińka.

Krutowanow, jak gdyby czytając w moich myślach, dodał z namysłem:

– Wy, Riumin, chyba nie powinniście tu teraz pozostawać. Wezmę was ze sobą, wypadnie to bardziej przekonująco. Wyglądacie na niezwykle oddanego człowieka. Na pewno nie byłibyście w stanie oszukać partii, prawda?

– Ależ ja... ależ my... – zagulgotał Mińka. – Dopóki tchu w piersi, gotów jestem likwidować... wrogów naszej ojczyzny... tych dywersantów... parchów przeklętych, bez rodu, bez plemienia...

– Dlaczego „bez rodu, bez plemienia”? – zdziwił się Krutowanow. – Rodu oni izraelskiego, a plemienia – judejskiego...

– O, właśnie – judejskiego! Tak jest, towarzyszu wiceministrze! – ożywił się Mińka. Oczy mu się zaświeciły, okrzepł od przelkniętej tektury, chlusnęła zła krew w ceglane serce.

Krutowanow wyjął ze ściennej szafy jasne palto i kapelusz z szerokim rondem.

– Dobra – rzucił – jedziemy... Wezmę was, Chwatkin, bądźcie na miejscu...

Wszyscy razem wyszliśmy z gabinetu. Patrząc w ślad za nimi – Krutowanow szedł lekkim, zdecydowanym krokiem, z przyciśniętą do boku teczką, Mińka w pospiesznych, niezdarnych podskokach – z niepokojem myślałem o tym, że sprawa dopiero się zaczyna, nie wiadomo, jak się zakończy, i zadrzciałem beztroskiemu Mińce, niedomyślającemu się, że więcej tu nie wróci, jeśli Krutowanow nie dogada się ze szwagrem.

I jeszcze myślałem o tym, dlaczego Krutowanow zabrał do szwagra nie mnie, lecz Mińkę. Z jednej strony bardzo mnie to uradowało, z drugiej strony – zaniepokoiło i nieco uraziło. Wytłumaczyłem to sobie tak: Mińka, formalnie rzecz biorąc, już ponad godzinę jest aresztowany na rozkaz ministra, a akta sprawy powinien był zdać. Nie wiadomo, czy Abakumow przekazał jakieś wskazówki naczelnikowi inspekcji specjalnej, czy też odłożył sprawę do wieczora, ale bez względu na to Mińka tak czy owak nie wypełnił rozkazu ministra i w każdej chwili mógł być zatrzymany na terenie gma-

chu, skierowany na przemiał. Dlatego lepiej, na wszelki wypadek, wywieźć go razem z aktami sprawy z Urzędu. Tym bardziej, że jeśli Malenkov nie zechce włączać się w tę historię, to Mińka nawet nie musi wracać do Wydziału. Osobista ochrona Krutowanowa poradzi sobie z tym drobnym problemem.

Tak myślałem wtedy. I nie całkiem miałem rację. Jeszcze nie poznałem przenikliwości Krutowanowa. Abakumow nazywał mnie szachistą. Przeceniał mnie: grałem tylko w rosyjskie warcaby. Prawdziwym szachistą okazał się Krutowanow, on zawsze przewidywał wiele ruchów do przodu...

Spokojnie, Chwatkin! Nie pędź, już prawie jesteś na miejscu. Tu mieszka, tu żyje Promienica. Jesteśmy przyjaciółmi i współautorami, jakich świat nie widział. Cezar Solonyj to Murzyn narodowości żydowskiej. Murzyn literacki. A ja – czerwony plantator, biały pan. U mnie zamawiają temat, ja objaśniam Promienicy, o co chodzi. On pisze. Ja podpisuję i oddaję. Pieniądze pół na pół. Plus masa drobnych ulg, jakie wynikają dla niego z przyjaźni ze mną. Obaj jesteśmy zadowoleni. Jesteśmy przyjaciółmi. Razem pracujemy, razem odpoczywamy.

Prawie już zapomniałem o tym, że to mój stary, zakonserwowany agent.

Zresztą rzadko już obarczam go zleceniami. A jeśli nawet, są to zlecenia bardzo nieskomplikowane, w pewnym sensie nawet przyjemne. On przyjaźni się z cudzoziemcami. Z najróżniejszymi cudzoziemcami: pracownikami firm, dziennikarzami, tłumaczami, drobnymi dyplomatami. I cała jego robota polega na tym, by z nimi rozmawiać. Nie ciągnąć za język, nie wypytywać, Boże uchowaj! Po prostu rozmawiać. I wypłać coś od czasu do czasu. Wielka mi rzecz – wygadać się we właściwym czasie!

Promienica, drobna, nikomu nieznaną wtyczką, donosicielem onanistą – to jeden z zaworów rozdzielczych w bardzo długim, krętym kanale, którym nasz naród otrzymuje absolutnie pewną, całkowicie wiarygodną informację, zwaną „oszczerstwem zza miedzy”.

Dosyć często zdarza się, że Wydział chce przekazać naszemu narodowi jakąś wiadomość: kłamliwie-niepewną, oficjalnie-niewiarygodną. Na całym świecie służą do tego gazety. Ale nasz naród jest przecież szczególnie, do nikogo niepodobny. Jeśli wydrukować w gazecie – nie przeczytają. Jeśli przeczytają – nie zrozumieją. Jeśli zrozumieją – nie uwierzą. Trudny naród, niełatwi ludzie. Trzeba użyć fortelu.

Stawia się przed Promienicą zadanie, a on niby przypadkiem wygaduje się przed szwedzkim attaché, hiszpańskim sekretarzem ambasady, brazylijskim skrzypkiem, francuskim pracownikiem firmy, amerykańskim profesorem

slawistą. „Mój prywatny znajomy, odpowiedzialny pracownik KC, a niezależnie od tego zupełnie zwyczajny i bardzo inteligentny człowiek, możecie mi wierzyć, tacy też tam są, zwłaszcza z nowego, młodego pokolenia... otóż ten mój przyjaciel funkcjonariusz partyjny zdradził mi w wielkiej tajemnicy, że zahamowanie emigracji Żydów jest spowodowane przez prawicowych, ortodoksyjnych przywódców partii w związku z tym, że żydowscy emigranci, zamiast jechać do siebie, do Ziemi Obiecanej, rozjeżdżają się z Wiednia po całym świecie. Podobno gdyby udało się porozumieć z Zachodem co do tego, żeby wszystkich parchów wyprawić z Moskwy prosto do ich historycznej ojczyzny, to wtedy wszystko by było w porządku”.

Przytłaczająca większość całej tej cudzoziemskiej hałastry – serdecznych powierników Promienicy – w ogóle nie myśli ani o Żydach, ani o Wydziale, ani o emigracji. Mają w głowie tylko to, żeby załatwić w Moskwie swoje sprawy, napchać w kabzę jak najwięcej zielonych i zmyć się stąd na zawsze, jak z zadżumionej kolonii. Ale zawsze choć jeden podzieli się nowiną ze znajomym dziennikarzem, akredytowanym w Moskwie. Ten natychmiast telegrafuje do macierzystej gazety wiadomość: „z nieoficjalnych, zasługujących na zaufanie źródeł...” Nazajutrz ukazuje się to drukiem, a po upływie kolejnego dnia tę bzdurę nadaje już Głos Ameryki w przeglądzie *Ame-rykańska prasa o Związku Radzieckim*. No i świetnie! Chodzi nam przecież tylko o te dwa-trzy miliony świrusów, którzy co noc nielegalnie przykładają ucho do radia, żeby usłyszeć zza miedzy oszczerczy głos ojczysty, cieszący się z naszych trudności, których nie zdołaliśmy jeszcze usunąć. Ci nieszczęśliwi radiosłuchacze, nie wiadomo dlaczego niezadowolający się prawdziwą, postępową informacją radzieckiej prasy, nie zwracają uwagi na to, że zachodnie audycje to rozmowa głuchego z niemym.

I niemi, usłyszawszy opowieść głuchego, którą ten przeczytał ze ściągii Promienicy, z ożywieniem zaczynają sobie nawzajem opowiadać: „Słyszał pan? To przecież w Głosie Ameryki mówili! To BBC nadawało! Kto jak kto, ale oni przecież wiedzą! Oni nie kłamią!”

Jasne, nie kłamią. To porządne chłopaki. U nich się uważa, że kłamać wstyd. A u nas – nie wstyd. I nigdy nie było wstyd. Od tysiąca lat kłamiemy – przywykliśmy, spodobało nam się. Kłamiemy wszędzie, zawsze, wobec wszystkich. Okłamujemy siebie samych, okłamujemy innych, okłamujemy się nawzajem. Nasze nieustające kłamstwo – to projekcja innego życia, którego nie mamy.

Stop. Zdaje się, że dojechaliśmy. Nieznane miasto. Niby Moskwa, a tak naprawdę – to też kłamstwo. Dziwne miasto, w którym oprócz Promienicy

nikt nie mieszka. I te adresy: plac Ho Szi Mina, Prospekt 60-lecia Wielkiej Rewolucji Październikowej, ulica Salama Adila, przejazd Vittorio Codovila. Żaden moskwianin nie odpowie, gdzie znajduje się ta nekropolia.

Niewątpliwie mieszkają tu tylko Promienice.

Mój Promienica radośnie wyszczerzył zęby, stojąc w drzwiach, uniósł tłuste rączki, gościnnie zapraszając do domu:

– Któż to nas zaszczycił! Kogo ja widzę! – I zawołał w głąb mieszkania: – Nie, no tylko popatrzcie, kto do nas przyjechał!

I piał, i zawodził po cygańsku:

– Pasza Chwatkin nas nawiedził, Pał Jegorycz. drogi nasz!

Półmrok w pokojach, pełno ludzi, kłęby dymu tytoniowego i woń alkoholu, towarzystwo podzielone na grupki, każdy nawija, żeby sobie coś zalać. Wszelka zbieranina – od Sasa do lasa, a jeden wart drugiego.

Archimandryta ojciec Aleksander i gogusiowaty dyrektor sklepu spożywczego; znany waluciarz Firma Kakaszka i z lekka kablujący dysydent, który nie złożył jeszcze samokrytyki; powszechnie znany najpopularniejszy w Moskwie szpiegowski rezydent i żydowski artysta-przystojniaczek w kędzierzawej peruce, przypominającej mandżurską papachę.

Ikebana z frajerów i kanciarzy.

Kurewki, robiące za młode aktorki i początkujące poetki, tańczą z cudzoziemcami, rytmicznie potrząsają bujnymi kształtami pod skąpymi sukieneczkami, napierają ochoczo na ospałe zagraniczne ciała jędrnym cycem. A ci, apatyczne palanty, popatrują na boki, mrużą oczy zadowoleni – *beautiful! Very good!* O, całkiem inaczej wyobrażaliśmy sobie życie w Rosji...

Jasne, drodzy przyjaciele, wszystkoście sobie nieprawidłowo wyobrażali! Tu u nas jest pięknie i wesoło! I żyjemy otwarcie, z duszą na oścież! A lalunie nasze cyncate niemal za darmo! Gdzie w waszym ubogim świecie elektroniczno-syntetycznego zaspokajania potrzeb można zobaczyć tyle prawdziwych antyków, oryginalnych naszych narodowych rosyjskich staroci! Spójrzcie wokół: i grzelskie naczynia, i żostowskie tace, i palechskie deski, i chochłomskie kolorowe drewnianka, i drobne żeliwne kaslińskie rzeźby, i rostowska emalia, i wałdajski dzwoneczek wydzwania staroświeckim, ozdobnym pismem: „Kogo kocham, tego darzę”, i porcelana kuźniecka i korńłowska, i jajko Fabergégo złotem i emalią polśniewa... Uroczy chłam, absolutny *wonderful!*

Piękne życie wiedzie nasz naród, syte i radosne, można powiedzieć.

I wypłynęła mi na spotkanie skądś z głębin mieszkania, niczym rozpuchła topielica, Tamara Kuwałda – ukochana przyjaciółka Promienicy.

– Paszeńka, kochany, czemu sam? A gdzie Marineczka?

Przyjaźnimy się naszymi obłąkanymi domami.

Miałem ochotę powiedzieć jej parę ciepłych słów, kiedy nagle poczułem, że nasada języka tonie mi w podchodzących do gardła mdłościach. Westchnąłem kurczowo, czknąłem, powiedziałem do niej surowo: „Nie jestem żaden Paszeńka, jestem wieloryb-rzygacz”, odepchnąłem ją i rzuciłem się do WC. Wyprzedzając mnie, wprost z drzwi uderzyła w błękitną miskę klozetową zwarta struga rzygowin, i długo jeszcze, jak wygasły Wezuwiusz, wrzałem lawą nieprzetrawionego alkoholu i zakąski nad turkusowymi wodami jeziora Titicaca.

Wreszcie zapasy się wyczerpały i rzyganie ucichło, uniósłszy ze mnie ze cztery kilo deficytowych, nie do końca wykorzystanych produktów żywnościowych i kosztownego trunku, a także... surowiczą fasolkę. W piersi stało się spokojnie i przestronnie. I na duszy zelzało.

Nie dowierzając sam sobie, stałem w toalecie, wsłuchany w swoją wątrobę, bojąc się uwierzyć, że Najwyższy Dowódca znowu dał mi odroczenie. Możliwość wzięcia głębokiego oddechu była tak cudowna, że obawiałem się stąd ruszyć. Zdecydowałem, że zamieszkać w wychodku na zawsze.

A co? Źle mi tutaj? Znakomity wychodek, zwierciadło upodobań drobnych radzieckich parweniuszy: kolorowe kafelki, idyllicznie błękitna miska klozetowa, na półeczce tom Dostojewskiego i apteczne opakowanie seneidy. Podstawowa zasada wszystkich naszych *homines novi*: w wychodku *Biesy* i patentowany hinduski środek przeczyszczający. Co za skandal! W kraju brakuje żywności, a ci bez pomocy farmacji wysrać się nie mogą!

Trzasnąłem z gniewem drzwiami, wzburzony opuściłem toaletę, gdyż doszedłem do wniosku, że pogodzić mnie z tym niedoskonałym światem może tylko solidny kielich.

A w korytarzu czekała na mnie Kuwałda ze wzruszeniem na twarzy, na której widniały ślady dawnej urody. Posuwałem ją dwadzieścia lat temu, kiedy na jej twarzy widać było ślady niedawnej urody. Teraz zamiast urody ma klimakterium: szum jej przypliwów gorąca rozbrzmiewał mi w uszach, oceaniczna fala hormonów niosła chutliwe ciało Kuwałdy wprost na mnie.

– Idź w cholerę! – wrzasnąłem. – Ani słowa! Pogadamy latem! Muszę natychmiast wypić! – I umknąłem, zbijając z tropu wierną przyjaciółkę mojego najlepszego przyjaciela, była swoją ukochaną ze śladami byłej urody.

dy. Nie złość się, Kuwałda, ja się tak źle czuję i czasu zostało mi tak mało, że po prostu nie mogę go tracić na rozmowy ze wszystkimi swoimi byłymi ukochanymi, niezapomnianymi towarzyszkami życia.

Słabo pisnęła w ślad za mną:

– Przyszli amerykańscy korespondenci, chciałam cię przedstawić...

Na stole pełno było wspaniałych, zdobycznych trunków. Promienica to mistrz w wyciąganiu prezentów od tych wrednych zagranicznych skner. Whisky, dżin, campari, tonik, piwo w puszkach – było tu nad czym popracować. Nie tracąc ani sekundy, od razu jak kaszalot połknąłem dwie wielkie szklanki dżinu ze schweppesem.

I nagle odzyskałem słuch; do tej chwili ludzie mrowili się wokół mnie, machali rączkami i nóżkami jak w niemym kinie. A teraz doszedł dźwięk. Ojciec Aleksander opowiadał z z troską, że jego znajomy pop nauczył się karate i przed ostatkami poturbował paru komsomolców ateistów, którzy przyszli do świątyni, żeby porozrabiać po pijanemu. A teraz popa karatekę pozbawiają godności, jako chuligana...

Kablujący okazjonalnie dysydent opowiadał kurewkom coś antyradzieckiego, niesłychanie wywrotowego. Na pewno ma od KGB pozwolenie, żeby od godziny siedemnastej do dwudziestej trzeciej mówić, co mu ślina na język przyniesie.

Ukochany przez cały naród szpieg opowiadał Żydowi w peruce-papasze, jak udało mu się sfingować imperialistyczną prowokację, publikując na Zachodzie sfalszowane pamiętniki Swietłany Allilujewej, córki Stalina. A Żyd nie słuchał, wiercił się niecierpliwie, wypytywał ostrożnie, jak by tu poprzez szpiega dotrzeć do celników, człowiek musi przecież przewieźć przez granicę to i owo...

Gogusiowaty dyrektor gastronomii, przysłuchujący się im kątem ucha, machnął ręką:

– Ale problem, myślałby kto! Tyle co splunąć! Zadzwoń jutro, dam ci namiar...

Promienica poił Amerykańców samogonem, przekonywał-wychwalał-dowodził, że „domowe whisky na cukrze” to ulubiony w naszym narodzie trunek. Ci zlizywali siwuchę z brzegu szklanki, marszczyli się, cmokali językami.

Widocznie wyłączyłem się troszeczkę, gdyż nie zauważyłem, jak Promienica przyzełgował do mnie z najemnikami sprzedajnej brukowej prasy.

– Jest pan znanym pisarzem politycznym, profesorem prawa...

Co za łajdak z tej Promienicy... I tu człowiek nie ma chwili spokoju. Odwalcie się wszyscy ode mnie. Starszy Amerykanin miał dostojną fizjonomię wykształconego osła. Przez cały czas starannie przecierał szkła okularów, a ja czekałem, kiedy zaryczy przenikliwie „i-ha-ha! i-ha-ha!” z teksaskim akcentem. Drugi w ogóle nie miał twarzy: wyłącznie szkic, pospiesznie zrobiony portret pamięciowy.

– Czy zechciałby pan powiedzieć, co myślą w Rosji na temat Ameryki? – spytał starszy osiołek.

Spowaźniałem, zamyśliłem się głęboko, pytanie przecież nieproste, ważne, gołałem jeszcze jedną szklanice zagranicznej wódki i powoli wyrzekłem:

– Ten problem ma swoją prehistorię... Rzecz w tym, że kiedyś Ameryka podarowała Rosji statek parowy...

Obaj przysunęli się ku mnie blisko, młodszy – o nieprawdopodobnej głośnie, jakby złożonej przez antropologów z wykopanych resztek czerepu – wyciągnął z kieszeni notesik, wieczne pióro:

– *Sorry*... To bardzo ciekawe... Pozwoli pan, że będę notować?

– Naturalnie... Potem przeczyta pan to i wszystko stanie się jasne... A zatem statek. Ale parowiec ten miał ogromne koła... I przy tym wszystkim – co za skandal! – szalenie cichy chód. A więc podsumujmy: ogromne koła i szalenie cichy chód.

– Mówi pan o dostawach w ramach *lend-lease*? – uściślił osiołek w okularach.

– W pewnym sensie, aczkolwiek ta historia zaczęła się na długo przed wojną, w której wzięliśmy na siebie główny ciężar walki z faszyzmem. Teraz już wielu Amerykanów, otumanionych propagandą, zapomniało o tym statku, ale u nas go pamiętają, u nas nikt niczego nie zapomina. Ceremonii przekazania podarunku był nawet poświęcony film pod tytułem *Wołga, Wołga*...

Promienica, otworzywszy usta, słuchał osłupiały moich wynurzeń. Jego ostry profil Mefistofelesa z zakłopotania zaokrąglił się i nabral tępego wyrazu. Nic nie rozumiał, no i trudno się dziwić: to nie on widział Palacza z Trzeciego Wydziału Piekła do Spraw Eksploatacji, to nie jemu groziło powinowactwo z Mangustem i to nie on wyrzygał przed chwilą w wychodku groźną fasolkę o stalowych skrzydełkach, imieniem Tumor.

A młody, ten, który nie miał twarzy, radośnie zatrajkotał:

– Tak, tak, wiem, Wołga to jak u nas Missisipi...

– Tak jest, Wołga to jak Missisipi, a Wołga, Wołga – jak Missisipi i Missou-ri...

– Pan profesor Chwatkin żartuje. – Bez przekonania zachichotał Promienica, ale ja zerknąłem na niego groźnie.

– Jakie żarty?! Wszystko mogłoby ułożyć się inaczej, gdyby nie nieodpowiedzialne zachowanie jednego Amerykanina z dowództwa okrętu...

– Jakie zachowanie? Jak się nazywał ten Amerykanin? – naciskali najmici prasy bulwarowej.

– Nazwiska jego na razie, z w pełni zrozumiałych względów, wymienić nie mogę. Ale jego zachowanie było straszne. Otóż ten Amerykanin... ten Amerykanin wsadził palec w dupę...

– I-ha-ha! I-ha-ha! – zaryczał gazetowy muł.

– Co? Nie zrozumiałem! Co zrobił ten Amerykanin? – gorączkował się jego kolega.

Promienica zamknął oczy z przerażenia i ręką dawał znaki jednej ze swoich kurewek, żeby odciągnęła mnie od tych rekinów z Fleet Street.

– Co? Wyjął stamtąd równo jedno wielkie gówno!

Promienica haniebnie zrejterował, a zamiast niego podpłynęła ku mnie pulchna dziewczeczka, zalotna i subtelna jak dziurka w pipce. Powiodła powoli bursztynowym, kozim okiem, powiedziała leniwie:

– Co ty z tymi głupkami rozmawiasz, przecież oni się nie znają na żartach. Chodźmy stąd...

Jednak skonsternowani korespondenci nie rezygnowali, ciągnęli mnie za rękaw, pytali nerwowo:

– To, co pan powiedział, to przenośnia, aluzja, tak?

– Jasne, chłopaki, aluzja. Aluzja! Aluzja dysydentów na temat iluzji odwilży politycznej. Dobra, dosyć tego wymądrzania się, chodźcie, walniemy sobie po kielichu, od uczonych rozmów w gardle suszy!

Oni ochoczo nalali sobie po naparstku, akurat tyle, żeby wypłukać pyłek z oka. I ja sobie chlusałem solidnie do szklaneczki, i o tej dziewczynce o obfitych kształtach nie zapomniałem. Bardzo fajna kurewka.

– Jak się nazywasz, ptaszynko?

– Ptaszynko! – Zaśmiała się wesolutko. Usiadła obok na fotelu, założyła nogę na nogę: tłuściutkie, gładkie, marzenie poety Masturbaki. Co za sympatyczne dziewczątko! No po prostu świeża chrupiąca bułeczka, francuski croissant.

Tymczasem sprzedajny parzystokopytny pismak nie rezygnował:

– Wspomniał pan w rozmowie o dysydentach... Chciałbym się dowiedzieć, co pan myśli o perspektywach ruchu dysydenckiego w waszym kraju?

– W naszym kraju nie istnieje żaden ruch dysydencki. Nasze państwo jest od początku do końca dysydenckie, kraj powszechnej odmienności myślenia. Nikt nie mówi tego, co myśli...

Kurewka na wszelki wypadek odsunęła się ode mnie odrobinę, ale ja mocno chwyciłem ją za sprężyste, nabite udo.

– Spokojnie, ptaszynko, nie szarp się, w mieście są czerwoni. – I zwróciłem się do zamorskiego bucefała: – W większym czy mniejszym stopniu wszyscy u nas są dysydentami. To rezultat ogromnych swobód obywatelskich. Ten, kto siedział dwa razy to dwusydent, kto siedział raz – monosydent, komu w łagrze dopisali wyrok – nadsydent, a ten, kogo dopiero trzeba posadzić – niedosydent. O, tam w kącie siedzi słynny dysydent, ten, co whisky z kwaszoną kapustą zaiwania. To szalenie niezależny człowiek, niczym kiplingowski kot – chodzi własnymi drogami.

Ptaszynka zachichotała i znowu przysunęła się do mnie, a ja wsadziłem jej rękę pod spódniczkę i zacząłem głaskać jej delikatną skórkę. Pomyślałem sobie, że w czasach mojej młodości kobiety nie miały takiego ciała. Było bardziej rozlazłe. Rosły na kartoflach, kluskami się odżywiały. A teraz wcinają owoce, jarzyny, mięso.

A mój mierzynek wałachowaty z nieprawdopodobnym uporem usiłował dowiedzieć się ode mnie, jakie są granice ingerencji partii i Kej Dzi Bi w twórczość artystyczną.

– Partia nie ingeruje w pracę artysty. Ona go tylko wzywa, daje natchnienie i ukazuje kierunek. Co się zaś tyczy Kej Dzi Bi, to w ciągu całego mego życia ani razu się z nimi nie zetknąłem, i wiem tylko tyle, że w narodzie ten resort nazywany jest czule Committee of Good Boys, co po rosyjsku znaczy: Komitet Głównych Dobroczynców, czy Gwarantowanych Dobrodziejów, i całym szeregiem innych bardzo wyszukanych eufemizmów...

– Czy to mieszkanie jest na podsłuchu? – Zastrzygł uszami dziennikarzyna.

– Komu wy tam jesteście potrzebni! – Machnąłem ręką i już miałem się odwrócić ku dziewczynie, kiedy jak syczący jastrząb zwałił się na mnie Promienica.

– Uważaj, Paszka, bo się doigrasz! Jak będziesz tak gadał, dostaniesz w dupę!

– Zapamiętaj sobie: ten, kto leży na ziemi, nie ma już gdzie spać. Lepiej niech mnie dziewczynka-ptaszynka odprowadzi do twojego pokoju, muszę z pół godziny poleżeć, źle się czuję...

Promienica poruszył się niespokojnie, zamamrotał szybko, polykając zgłoski:

– Wiesz, to jakoś niezręcznie... przy Tamarce... przecież ona na sto procent zakabluje Marinie... będzie skandal... to przyjaciółki...

– Nie pieprz, Cezar. Lew Tolstoj już sto lat temu napisał w *Zmartwychwstaniu*: wszystkie szczęśliwe rodziny są nieszczęśliwe na swój własny sposób... No, idziemy do ciebie. Tylko butelczyny nie zapomnij, i szklanek... A ptaszynka do nas ciut później wpadnie. Wpadniesz, ptaszynko?

– Aha! – Zaświeciła wiewiórczymi ząbkami.

Wchłonięty alkohol uniósł mnie nad ziemią. Popłynąłem powoli i lekko. Ten czarodziejski hydrodynamiczny stan upojenia oddzielił mnie od stojących zielonych wód.

Półmrok i spokój gabinetu Promienicy. Mamrocze, kamienie w ustach przewraca telewizyjna spikerka, ocieżyła i stara jak piramida egipska, telewizorów swych napomina i leciutko straszy. Że niby pora późna, w pół do dziesiątej, ściszcie telewizor, jutro wasi ukochani współobywatele o bladym świetle pójdą zająć miejsca na swoich stanowiskach pracy, nie przeszkadzajcie im się zdrzemnąć, a i sami nie macie co kombinować, lepiej kładźcie się grzecznie do wyrka...

Niby o czymś tam opowiada, suka, a przy okazji nas podgląda.

Chociaż... po co niby mnie podglądać? O, proszę – cały jestem jak na dłoni, zwykły poczciwy ruski chłopak. Spać się tylko okropnie chce. Chyba i ptaszynka mi niepotrzebna. Wyciągnąć by się na tym tapczanie i zasnąć, na długo, na wiele lat...

Obudzę się potem – a tu nikogo nie ma.

Marina umarła ze starości.

Promienica wyjechał do Izraela – kablować w swojej historycznej ojczyźnie.

I zostanie mi tylko niejasne wspomnienie snu – o tym, jak przyjechał do mnie, żądając, bym odpowiadał za cudze grzechy, odrażający, niesamowity parch zwany Mangustem.

A groźna fasolka w mojej piersi, nieodżywiana jak należy moimi sokami organicznymi, zeschnęła się, skurczyła, zanikła.

Na tapczanie pode mną leżało coś twardego, boleśnie uciskało mnie w lędźwie, przeszkadzało się zdrzemnąć. Podniosłem się i wyciągnąłem spod siebie żółwia. Prawdziwego żywego żółwia. Wysuwał i chował na powrót pomarszczoną skórzaną główkę: spojrzy na mnie okrągłymi żydowskimi chytrymi oczkami i chowa się w skorupę. Ktoś, na pewno Promienica, napisał farbą na wierzchu skorupy: 300 LAT. Cholera go wie, może naprawdę ma

trzysta lat... Nikt nie widział, kiedy przyszedł na świat, a żyją te stwory, jak Żydzi, całe wieki. Dlatego że przebywają we wnętrzu swego szkieletu. Sam czytałem, że skorupa żółwia to szkielet zewnętrzny.

Gdybym sam żył wewnątrz swego szkieletu, niestraszny byłby mi August. I surowicza fasolka nie wyrosłaby mi w piersi. Wygląda na to, że przeżyje mnie ta kościana gadzina. Ale głupio... Po co jej takie długie życie? Dlaczego muszę umrzeć wcześniej? W ogóle to niesłuszne, żebym umierał wcześniej niż pozostali. O, gdybym mógł w ostatniej chwili przywołać koniec świata! Ale by było śmiechu!

Aż mnie skręcało z pragnienia, by zasnąć, zapomnieć, wyrzucić z głowy wszystkie te głupoty. Ale sen nie nadchodził. Już całkiem pogрузyłem się w szarą watę, powieki stały się ciężkie i chropawe jak żółw, którego trzymałem w rękach, i nagle jakby mnie ktoś szturchnął leciutko a ostro w bok – nie śpij!

Wstałem z tapczanu, zdziwiłem się, dlaczego ptaszynka nie przyszła jeszcze do mnie, ale wołać jej nie miałem siły. Otworzyłem okno. Od dziewiątego piętra do czarnego mokrego trotuaru jest bardzo daleko... Ile rzeczy człowiek przemyśli sobie, zanim tam doleci! Ile może sobie przypomnieć... A potem nieodczuwalne uderzenie – i słodki spokój niebytu, bardzo długi sen, gwarantowane zapomnienie.

Żółw niespokojnie zagmerał krótkimi ptasimi łapami, wysunął na zewnątrz główkę, zupełnie jakby pokazał figę, zobaczył mnie, ale nie spodobałem mu się – i zamknął krągłe oko, zasnuwszy je błoną.

Wszystko, co wcześniej przeżyliśmy, nie ma znaczenia, liczy się wyłącznie to, co nam jeszcze zostało. Jaki sens mają przeżyte wieki i zewnętrzny szkielet, jeśli ja – kruchy człowiek – przeżyję cię?

Ścisnąłem żółwia w dłoni, zamachnąłem się jak dyskobol, i na krótki czas przelotu po krzywej łukowatej dałem gadowi życie ptaka. Przeciął pasmo mroku, zakreślił czarną linię na żółtej łunie ulicznej latarni, zniknął na moment z pola widzenia w odbłasku jezdni. A potem – ostry tekturowy trzask. I cmoknięcie, podobne do pocałunku.

Przymknąłem okno i położyłem się na tapczanie. Szczelnie zacisnąłem powieki i powiedziałem sobie, że teraz na pewno zasnę. Nie gniótł mnie już w bok trzystuletni żółw. Jednostajnie brzęczało za ścianą wesolutkie towarzysstwo, bohaterowie audycji *W świecie zwierząt*. Boże, jaki jestem zmęczony, jak mi się chce spać. A sen nie przychodzi.

Do pokoju wśliznął się Promienica. W ręce butelka z nasadzoną na szyjkę szklanką.

– Nie śpisz?

– Nie śpię. Nie mogę spać w ciemności. Gdzie ptaszynka?

– Ptaszynka? A, ta... Już dawno pojechała z Amerykaninem.

– Dziwne... Przecież chciała przyjść do mnie...

– Akurat jesteś jej potrzebny... Ona daje tylko za walutę.

– Kłamiesz, zasańcu... Ty wredna trefna świnió! Wyrzucić taką sympatyczną kurewkę... Dobra, zabieraj się stąd w cholerę, będę spać!

Nalałem sobie pół szklanki, łąpczywie wypilem parę haustów, wyciągnąłem się na tapczanie. Kiedy zacząłem już zapadać w czarną otchłań snu, przenikliwie zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem ostry głos Krutowanowa:

– Chwatkin? Czemu od razu się nie zgłaszacie?

– Nie myślałem, że tak prędko wróćcie, towarzyszu generale. – Spojrzałem na świecący cyferblat zegarka. Była druga w nocy.

– Lepiej tyle nie myślcie, wyjdzie wam to na zdrowie. Durniów ceni się za to, że lepiej wypełniają rozkazy niż mądrzy...

– Tak jest, towarzyszu generale.

– Jesteście mi potrzebni. Przyjdźcie do gabinetu towarzysza Kobułowa. Ale to już! – I rzucił słuchawkę.

Pobiegnąłem do Kobułowa. Jego gabinet był o dwa piętra niżej niż mój. Biegłem, cofając się w czasie, tam, gdzie zmarły przed chwilą żółw był całkiem młody, nie skończył jeszcze dwustu siedemdziesięciu lat, a jego właściciel, Promienica, jeszcze nie został przeze mnie zwerbowany, zaś dziewczynka-ptaszynka, która uciekła z Amerykaninem, jeszcze nie przyszła na świat; tam, skąd po długiej, długiej pauzie, po długich, długich godzinach oczekiwania zadzwonił, po powrocie od Malenkowa, Krutowanow. Z jego pańskiego, kapryśnego tonu zrozumiałem, że los Abakumowa – drogiego mego szefa, ukochanego ministra Wiktora Siemionycza – jest przesądzony.

Ponieważ jestem starym komunistą ze służb specjalnych, KPZR-owcem z długim stażem – jestem także materialistą, marksistą. I wierzę w to, że świat jest zdeterminowany. Gdyby przyszła do mnie dziewczynka-ptaszynka, żółw dożyłby czterystu lat.

Bóg jeden wie, co stałoby się z nami wszystkimi, gdyby Mińka Riumin nie oddał do sekretariatu ministra niepodpisanych protokołów przesłuchań Kogana.

Zbiegałem z piątego piętra na trzecie, rozpaczliwie usiłując zrozumieć, dlaczego Krutowanow wzywa mnie nie do siebie, tylko do gabinetu Kobułowa. To, że Bogdan Zacharowicz Kobułow nie cierpiał Abakumowa, swego byłego protegowanego i pupila, nie miało żadnego znaczenia. U nas w Wydziale wszyscy się nawzajem nienawidzą. Krutowanowa Kobułow nie znosił jeszcze bardziej, jako że parweniusz Abakumow to mimo wszystko członek własnej klikki, bojowiec z kompanii Berii. A Krutowanow – to zajadły wróg, zwiadowca, który przedostał się na tyły. No, żeby powalić takiego zwierza, jak Wiktor Siemionycz, można zapomnieć o starych sporach, przynajmniej na jakiś czas, do następnego starcia.

Ale dlaczego w gabinecie Kobułowa? Przecież główną rolę w tym układzie odgrywa Krutowanow. To jego inicjatywa. Jego pierwszy ruch. Malenkow – to jego powinowaty, a nie Bogdana Zacharowicza.

Niezgłębione tajniki polityki, obłąkańcze intrygi policji politycznej, ormiańskie zagadki przestępczego magla!

Biegłem długim korytarzem. Zaszczuty Odyseusz, który musiał przepłynąć między Scyllą a Scyllą, jako że w naszym klimacie Charybdy nie mają racji bytu, częściowe przegrane u nas się nie zdarzają, a kiedy przychodzi czas, trzeba zapłacić wszystkim za wszystko.

Realnie biorąc, nie miałem żadnych szans. Jeśli mimo wszystko Abakumow utrzyma się na stanowisku, to niewątpliwie dowie się o mojej roli i rozedrze mnie na kawałki. Jeśli Krutowanow go dziś obali, to jutro na pewno zostanie ministrem: nie dla Kobułowa przecież Malenkow usunął Abakumowa! I znajdzie w sejfie dossier na swój temat, sporządzone przeze mnie. Wtedy Krutowanow każe mnie zlikwidować.

Jednak instynkt żołnierza z okopów podpowiadał mi, że na wojnie tylko głupi snuje długofalowe plany. Najważniejsze to przeżyć bieżący dzień.

Gnałem do gabinetu Kobułowa, mając nadzieję, że przeżyję dzisiejszą noc. I jedna jedyna myśl dodawała mi otuchy: kazano mi się stawić nie do gabinetu Krutowanowa, lecz do Kobułowa.

Wszedłem do poczekalni i zdumiałem się, że tak tu pusto. Przy samych drzwiach, złożony ogromne piąchy na kolanach, spokojnie siedziały monstrialne bydłaki z „dziewiątki”, sztuk pięć. Na tępych facjatach mieli wypisane „ochrona”. I nic poza tym.

Przy sekretarskim biurku siedział kobułowski oficer Gegeczkori, o pulchnej pryszczowatej twarzy, przypominającej kielbasę ozorkową, a na blacie biurka usadowił się urodziwy podpułkownik Otar Dzedżelawa, osobisty adiutant Ławrentija Pawłowicza Berii. Rozmawiali ze sobą półgłosem po gruzińsku i cicho chichotali. Na pewno gadali o babach.

Człowiek rosyjski, o otwartej duszy i ufnym sercu, jest bezsilny wobec tych szaszłyczników. Te zarazy zawsze trzymają się razem.

Bogdan Kobułow ciągnie za sobą brata Amajaka, też generała. Ten ma w swoim zaprzęgu słynnego futbolistę z tbiliskiego Dynamo – Dzedżelawę, a Dzedżelawa ma brata Otara, mało rozgarniętego kapitana, wielkiego psa na baby. Bogdan wkręca Otara na adiutanta wielkiego szefa – żeby zaopatrzył Ławrentija w świeży towar, i za trzy lata Otar staje się wszechmocny.

Nikogo w Wydziale nie boi się śliczny Otar, wszystkich głęboko, szczerze nienawidzi. A mnie szanuje. Przysięgliśmy sobie nawzajem dozonną przyjaźń. W moim konspiracyjnym mieszkaniu.

Kilka lat temu piękny Otar ukradł w czasie rewizji ze szklanki na nocnym stoliku solidną złotą szczękę. I przyniósł ją do mojego agenta, jubilera Zamoszki. I ja, jeszcze nie wiedząc, jaka kariera czeka Otara Dzedżelawę, obiecałem mu, że przymknę oko na tę historię.

Nie, nie zapomniał Otar Dzedżelawa przysięgi wierności, którą daliśmy sobie nawzajem, jak Hercen z Ogariewem. Zamachał ku mnie na powitanie ręką, jeszcze szerzej się uśmiechnął: chodź, chodź, mój kochany, czekają na ciebie!

Stara przyjaźń nie rdzewieje. Ciekawe, czy wziął Hercen od Ogariewa pisemne zobowiązanie współpracy? Czort wie, może i leży gdzieś w archiwum ich pokwitowanie dyskrecji, przecież to rewolucjoniści – naród nieufny, podejrzliwy, zły.

I ja szeroko się uśmiechnąłem, otworzyłem ramiona do uścisku, choć uśmiechać się nie miałem ochoty, raczej zapłakać ze strachu, napięcia i zmęczenia. Ale Dzedżelawa nie zaczął się ze mną ścisnąć, tylko skinął głową i wskazał na drzwi gabinetu – czekają na ciebie...

Jak się okazało, czekał na mnie Beria.

Już drugi raz czekał na mnie Beria. I znowu, jak wtedy, za pierwszym razem, otworzywszy drzwi, poczułem się tak, jakbym dostał kopniaka w żołądek.

Dzisiejsze oszołomy powiedziałyby: otacza go nieprzenikniona czarna aura. Zaświadczam, że wszyscy znani w historii zbrojcy, od Nerona do Maluty Skuratowa, od Torquemady do Himmlera, to w zestawieniu z naszym Ławrentijem Pałyczem po prostu słodkie gówno.

Wielki Boss budził mniejsze przerażenie, gdyż był w nim mimo wszystko urok wielkości i ogromnej siły. Od Berii emanował potężny prąd okrucieństwa, nienawiści i strachu.

A w ogóle to dziś, wiele lat później, myślę, że nie był człowiekiem. Pochodził z innej planety. Przybysze z jakiegoś odległego, niesamowitego świata

wsadzili w ludzką powłokę straszliwą antyduśzę i umieścili w fotelu naczelnika tajnej policji politycznej. Reszta dokonała się sama.

Siedział w fotelu pośrodku gabinetu i patrzył na mnie w milczeniu. Zjawa z sennego koszmaru. Ryżawa kobra o rozmiarach dużej świni. Błyski zyrandola odbijały się w jego łysinie i martwych kółkach binokli.

– Podpułkownik Chwatkin stawia się na rozkaz! – zameldowałem się zdrętwiałym językiem. I dopiero teraz dostrzegłem Kobułowa i Krutowanowa, siedzących nieco dalej.

Beria podniósł rękę i parę razy zgiął palec wskazujący – nie od razu się domyśliłem, że przywołuje mnie bliżej, na dywan, i usłyszałem jego przyciszony głos:

– Ti widział w Teatrze Małym sztukę *Pigmalion*?

– Tak jest, towarzyszu Beria, widziałem.

– No więc ja myślę, że zdrajca Abakumow to też *Pigmalion*...

– Trudno mi to ocenić, towarzyszu Beria!

– Jak to trudno? Według mnie, ulepił z gówna bestię, która ożyła i pożarła go... Ti mnie zrozumiał?

– Tak jest, towarzyszu Beria, zrozumiałem!

Beria uśmiechnął się krzywo. Twarz jego była jak pieczęć z laku: brązowa, nieubłagana, ostateczna.

A Kobułow zaniósł się chichotem, tak spodobał mu się żart szefa. Kręcił z upodobaniem głową, kudłatą jak niedźwiedzia dupa.

Krutowanow się nie śmiał. Wygląd miał obojętny, niczym klient w restauracji, który przysiadł się na moment do cudzego stolika. I dopiero kiedy nasze spojrzenia się spotkały, ledwie zauważalnie mrugnął do mnie. Zrozumiałem, że przypowieść o bestii odnosi się nie tylko do mnie. I nie tylko do Abakumowa.

Kobułow przeszedł się po gabinecie – brzuchaty, z pagonami, w lśniących butach – ze smutkiem zacmokał językiem:

– Wielka szkoda, że tacy ludzie jak Abakumow stają się szkodliwi dla naszej partii, dla naszej wielkiej sprawy i dla Josifa Wissarionowicza w szczególności... – Deklamował swój tekst, przeznaczony nie dla mnie, rzecz jasna. – Choć złe maniery od dawna wykazywał. Ileż to lat pracowaliśmy razem, ile mu pomagałem, kiedy jeszcze był młody! A on postronnym ludziom powiedział o mnie: „wredny czarnodupy pies”. Co za wstyd!

Krutowanow ze współczuciem pokiwał głową i powiedział serdecznie:

– Prawdziwy bolszewik, prawdziwy czekista internacjonalista nigdy by o was czegoś takiego nie powiedział, Bogdanie Zacharowiczu. Z takim sposobem myślenia można czort wie do czego dojść!

Z tej wymiany uprzejmości domyśliłem się, że Malenkov jeszcze nie zdążył skłonić Bossa, by mianował ministrem Krutowanowa, a Beria nie zdołał wsadzić w ten fotel Kobiłowa. Przepychanka trwa.

I w tym momencie zobaczyłem w rękach Krutowanowa teczkę Riumina, szare okładki akt sprawy *Lekarze-spiskowcy i mordercy*, teczkę z zakładkami, którą niedawno powiózł do Malenkowa. A więc zanim Beria ją dostał, musiała trafić do Stalina.

Wielki Boss przeczytał akta i na pewno zaopatrzył je w decyzję. I sądząc z tego, żeteczka pozostawała w rękach Krutowanowa, decyzja była całkiem możliwa do przyjęcia.

Beria zwrócił ku mnie wodnisto połyskujące szkiełka binokli i rozwarł usta – pękł krzywy szew chirurgiczny na brązowej, tępej mordzie:

– Stuchaj, ti... – Zrobił pauzę, całkiem jakby szukał słowa, które mogło oddać stopień jego pogardy i nienawiści wobec mnie, ale nie znalazł, machnął ręką i rozkazał: – Weź od Krutowanowa nakaz, idź z patrolem do Abakumowa, aresztuj go.

Przecinając ogromny gabinet, niczym piłka siatkowa, ścięta przez ustawionych dokoła graczy, próbowałem zrozumieć: czyżby naprawdę tak żalował Abakumowa i z tego powodu mnie nienawdził? Chyba nie. Przecież kiedy Beria rozmawiał ze mną ostatnim razem, po tym jak udekorował mnie Orderem Czerwonego Sztandaru i poza kolejnością awansował na majora, był ze mnie w pełni zadowolony. To przecież ja znalazłem prezydentowi ościennego państwa wierną i kochającą towarzyszkę życia. Ale i wtedy traktował mnie z takim samym wstrętem i nienawiścią...

Krutowanow otworzył teczkę i wyjął druk nakazu aresztowania. Ale ja nawet nie spojrzałem na niego. Patrzyłem na kartkę papieru, leżącą na samej górze. Nieliniowana, gładka stroniczka, pokryta równymi wierszami kancelaryjnego pisma Mińki Riumina. Pismo przewodnie Riumina do sprawy lekarzy. I w lewym rogu zamasztysty dopisek znajomym niebieskim ołówkiem:

BIĆ, BIĆ, BIĆ! J. STALIN

Swoją decyzją rozstrzygnął Wielki Boss hamletowską kwestię – bić albo nie bić. Jasne, bić!

Krutowanow spostrzegł, na co patrzę, i niezadowolony zamknął teczkę. Ale wszystko, co mogło mnie interesować, już widziałem. Na mocy tej decyzji do sprawy lekarzy zaangażowano cały Wydział.

Krutowanow pomachał w powietrzu wypełnionym blankietem nakazu aresztowania obywatela Wiktora Siemionowicza Abakumowa, oskarżonego o zdradę ojczyzny i szpiegostwo. Powiedział do Berii:

– Ławrentiju Pawłowiczu, nie ma tu jeszcze sankcji prokuratora generalnego. Beria uśmiechnął się budzącym grozę uśmieszkim i w szczelinie ust błysnęły mu złote koronki.

– I co mi zrobimy bez jego pozwolenia?

Kobułow znowu zaśmiał się wesolo:

– Po co ten bezsensowny formalizm? Nie jesteśmy biurokratami. Sam się za niego podpiszę... – Wziął nakaz do ręki i w kącie, pod stemplem „Sankcjonuję”, napisał drukowanymi literami: *R.G. RUDENKO*.

– Weź oddział ochrony z mojej poczekalni i idź do Abakumowa – powiedz mu, podając nakaz.

– On już wie? – spytałem.

– Domyśla się – wyjaśnił Kobułow. Miał wytrzeszczone, nalane krwią, błyszczące oczy, a ręce mu się trzęsły. – Naczelnik więzienia jest uprzedzony, umieścisz Abakumowa w bloku G, cela 118.

– Rozkaz. Czy mogę zadać pytanie, towarzyszu generale?

– No?

Zwróciłem się do Berii:

– Może nie brać konwoju? Trzeba go będzie z gabinetu przez wszystkie korytarze przeprowadzić, zrobi się wielka afera, spotkamy po drodze z setką ludzi...

– A co ti chcesz? – Beria wlepił we mnie podejrzliwe spojrzenie.

– Pójdę sam do Abakumowa, mnie żaden konwój nie jest potrzebny. Odprowadzę go do celi sam. Bogdan Zacharowicz wie, że gołymi rękami w minutę pięciu ludzi mogę zabić!

Kobułow uśmiechnął się dobrotliwie.

Beria zdjął z nosa motylka binokli, poruszył zaciętymi, złymi wargami, po czym spojrzął na mnie spode łba bladoniebieskimi oczami:

– Ti Abakumowa się nie boisz?

– Jasne, że nie – odparłem twardo. – Dlaczego miałbym się bać zdrajcy?

Beria włożył binokle, westchnął:

– W porządku, idź... Mój Dźedżelawa będzie czekać na ciebie w poczekalni. Kiedy wyjdiesz z Abakumowem z gabinetu, od razu oddasz Dźedżelawie klucze od sejfów.

– Rozkaz. Czy mogę odejść?

Beria milczał, patrząc na mnie, jakbym był powietrzem. Wówczas Krutowanow skinął na mnie ręką:

– Idźcie, Chwatkin, wykonajcie rozkaz. Kiedy wszystko zakończycie, oddajcie nakaz aresztowania naczelnikowi wydziału śledczego Riuminowi.

– Co-o-o? – wyrwało mi się mimo woli. – Ja... – Wydawało mi się, że się przestyszałem.

– ...naczelnikowi wydziału śledczego, pułkownikowi Riuminowi.

I w tym momencie spostrzegłem, że wszyscy trzej z zainteresowaniem mi się przyglądają. Oniemiałem. Nogi mi odjęło. Straciłem kontrolę nad sobą i z niedowierzaniem spytałem:

– Riuminowi?...

– Właśnie tak, Riuminowi – powiedział Krutowanow z zadowoleniem. Otworzył teczkę, zajrzał do niej i dodał: – Michaiłowi Kuźmiczowi Riuminowi... Dziś został mianowany na stanowisko naczelnika Wydziału Śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR. Jeśli się nie mylę, to wasz kolega?

– W pewnym sensie...

– No to świetnie! Możecie pogratulować Riuminowi okazanego mu przez partię i przez towarzysza Stalina tak ogromnego zaufania. A teraz idźcie...

Zrobiłem przepisowy zwrot, ale Krutowanow zatrzymał mnie na moment, położywszy dłoń na moim ramieniu, i po przyjacielsku, bez cienia uśmiechu, powiedział:

– Zależy mi na tym, żebyście zgodnie współpracowali z Riuminem. Dlatego wiedźcie: jeśli choć raz dacie mu do zrozumienia, że byliście kiedyś ważniejsi niż on, koniec z wami. Możecie przyjąć, że nigdy tego nie było, *lapsus memoriae*, omyłka pamięci. Zapamiętaliście?

– Tak jest – zsalutowałem. W głowie mi się kręciło. Bezwiednie dorzuciłem: – Dziękuję za radę.

– Nie ma potrzeby dziękować. – Nachylił swój nienaganny przedziałek. – To głupi lubią się uczyć. A mądry potrafi uczyć innych...

Jeszcze nikt w Wydziale nie wiedział o upadku Abakumowa, ale niewidzialne sejsmografy przekazały już sygnał trzęsienia ziemi. Nikt nie wiedział gdzie, kiedy, pod kim zatrzęsała się ziemska skorupa, ale szybkie wiry trwogi poniosły po korytarzach i gabinetach wieść o nadciągającym wstrząsie.

Najwyraźniej było to widać w poczekalni Abakumowa, długim „wagonie”, wypełnionym siedzącymi na odkładanych krzeselkach generałami, wydzielającymi ostry, piżmowy zapach strachu, zgnębnymi wyczekiwaniem. Ani jeden z nich nie dopuszczał myśli, że runął groźny wszechwładca ich losów, budzący grozę minister Wiktor Siemionycz – ale bezprzewodowy telegraf szpiclowania i donosicielstwa obwieścił już, że gdzieś na górze

doszło do starcia, i każdy z nich najchętniej trzymałby się teraz jak najdalej od „wagonu”. Ale nikt ich o zdanie w tej sprawie nie pytał – tu nikt nie przychodzi z własnej woli. I wili się na swoich odkładanych krzeselkach jak robaki, nie rozmawiali już między sobą, na wszelki wypadek, jako że nie wiadomo było na razie – kto dla kogo spośród obecnych stanie się jutro zwierzchnikiem, kto wyleci z pracy, a kto trafi do więzienia.

Panowała cisza. Powietrze zagęstniało od napięcia czekających. Zupełnie jak w pokoju oczekiwania w kostnicy, choć nikt z nich na razie nie domyślał się, że tam, za ogromnymi drzwiami-szafą, znajduje się trup. Oddychająca, poruszająca się, mówiąca, ubrana w generalski mundur mumia, której przeżyto już wszystkie żyły.

Kiedy wszedłem do poczekalni, wszyscy jak jeden mąż zwrócili się ku mnie i równie zgodnie odwrócili się, głęboko rozczarowani. Przecież do głowy im przyjść nie mogło, że to właśnie ja jestem ten główny paraszyta, upiorny patroszyciel i spowijacz, który ma włożyć ich pana i władcę do pojedynczej trumny numer 118 bloku G więzienia wewnętrznego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego.

Podszedłem do biurka Koczegarowa, rozmawiającego półgłosem od razu przez dwa telefony. Taki nawyk – jedna słuchawka przyciśnięta ramieniem, druga w ręce, abonenci rozłączeni, ale połączeni. Tłustozady mops podniósł na mnie zatroskane władcze spojrzenie i rzucił:

– Nie wolno...

Nadal gadał coś to do jednej, to do drugiej słuchawki, a ja stałem cierpliwie przy biurku. Dopóki znowu nie podniósł na mnie oczu. W tych jego szarych, zgnilych płwocinach pod okrągłymi okularami zapłonął gniew. Rzucił jedną ze słuchawek i powiedział ostrym głosem:

– Zjeżdżaj! Nic tu po tobie! Minister nikogo nie przyjmuje.

Spokojnie przycisnąłem widelki telefonu, przez który nadal rozmawiał, i Koczegarowowi opadła szczęka, jako że taki czyn mógł popęlić tylko człowiek obłąkany.

Nachyliłem się bliżej ku niemu i powiedziałem niegłośnie:

– Mnie wolno... – Wskazałem ręką na czekających generałów i poleciłem: – Niech się wszyscy rozejdą, mają dziś wolne...

Gęba Koczegarowa zmartwiała, wytrzeszczył mętne bielma. Miałem wrażenie, że słyszę, jak w środku coś mu się z chlupotem oberwało.

– Zaraz przyjdzie tu adiutant Berii, podpułkownik Dzedźelawa. Oddasz mu wszystkie klucze – ciągnąłem tym samym cichym, pozbawionym jakichkolwiek emocji głosem. Wskazałem na centralkę telefoniczną: – Odłączyłem kabel od gabinetu, wyłączyłem wszystkie telefony Wiktora Siemionycza...

– Co, co? – spytał ogłupiałym tonem Koczegarow.

– Rób, co ci każą, Koczegarow, jeśli ci życie mile. I niech ci nie przyjdzie do głowy wstawać z miejsca!

Do poczekalni wszedł Dzedżelawa i lekkim, tanecznym krokiem wczasowicza skierował się ku nam.

– To tyle. Odpraw interesantów – polecił Koczeganowowi. – Jeżeli Abakumow będzie cię wzywać dzwonkiem, nie waż się ruszyć z miejsca. A teraz oddaj podpułkownikowi pistolet...

I zamknąwszy na moment oczy, dałem nurka przez drzwi-szafę do gabinetu Abakumowa. Powiedziałem Berii, że się nie boję Wiktora Siemionycza, ale bałem się go jak diabli. Miałem swoje powody. Ale silniejsza niż strach przed obalonym ministrem była chęć przeżycia dzisiejszej nocy.

Siedział przy swoim niezmiernym biurku i w odrętwieniu patrzył na drzwi. Czekał na swojego parazytę. Nie na mnie, rzecz jasna. Kandelabr na suficie był zgaszony, paliła się tylko lampa na biurku, i Abakumow przysłał oczy dłonią, próbując dojrzeć, kto wchodzi.

Wreszcie zobaczył, że przyszedł nie wróg, nie morderca, nie podły Tataczyn, by wziąć go w jasyr, lecz własną pierśią wykarmiony jego pupił Paszka Chwatkin – i odetchnął z ulgą. Uradował się, pomachał mi ręką.

– Zgubili mnie, Pasza, zgubili mnie te sukinsyny, głównem obsmarowały przed towarzyszem Stalinem! – zawołał z goryczą i wściekłością.

Podszedłem bliżej do biurka, usiadłem w wielkim fotelu – ani razu nie zdarzyło mi się dotąd w nim siedzieć, nie na moją był rangę. I zobaczyłem, że Abakumow jest pijany w drobny mak.

– Pasza, wezwał mnie na Biuro Polityczne sam Josif Wissarionowicz... Słowa nie zdążyłem powiedzieć, a on do mnie: „Wy, Abakumow, jesteście niebezpiecznym dla partii człowiekiem, partia nie może wam ufać...” Pasza, mnie partia ufać nie może?

Milczałem. Zresztą niepotrzebny mu byłem jako rozmówca. On potrzebował słuchacza. Przypominał gorzko urażone dziecko. Ogromne, pijane dziecko w generalskim mundurze, które ni z tego, ni z owego ojciec wygonił nagle z domu.

W tyraniach nawet sprawiedliwa kara ma charakter okrutnego bezprawia.

– Pasza, powiedz sam: jeśli mnie nie można ufać, to komu jeszcze można ufać w tym kraju? Przecież ja niczym pies łańcuchowy strzegłem partii i towarzysza Stalina!

Siedziałem w milczeniu i przyglądałem się mojemu upadłemu szefowi. Rozwihrzyła się jego nabrylantynowana, zaczesana do tyłu, politycznie poprawna fryzura, włosy zwisały nad suchymi, rozpalonymi oczami, w głębi których mętnie pełgał ogieniek strachu.

– I co ja teraz zrobię?! Przecież całe życie przepracowałem w organach! Na innej robocie się nie znam i nie chcę się znać! Jestem urodzonym czekistą! Nie mogę kierować szkołami ani żadnym zjednoczeniem przemysłowym! I nie chcę!

W każdej epoce każdy faworyt spodziewa się w głębi ducha, że popadnie w niełaskę, czeka na to nieustannie, a kiedy niełaska przychodzi – i tak jest zaskoczony.

Wyjąłem z kieszeni nakaz aresztowania i bez słowa położyłem na biurku.

– Co to jest? – spytał zaskoczony Abakumow. Wziął kartkę do ręki, rozłożył i powoli, jak gdyby sylabizując, przeczytał, bezdźwięcznie poruszając wargami. Podniósł na mnie oczy i z wielkim zdziwieniem powiedział: – I to ty, właśnie ty zgodziłeś się mnie aresztować?

– Ja się nie zgodziłem. Ja poprosiłem, żeby mnie tu przysłano – odrzekałem spokojnie.

– Jakże ty... – zaczął Abakumow i zatkało go z gniewu.

– Cicho! Zgłosiłem się, żeby oszczędzić wam upokorzenia i udręki. Ale to sprawa drugorzędna...

– A co jest dla ciebie pierwszoplanowe?

– Zniszczenie niepotrzebnych wam papierów.

Zaśmiał się jadowicie:

– O, patrz, mam ich cały sejf. Czy uważasz, że któreś z nich są niepotrzebne? Na przykład dossier na Krutowanowa?

– No, chociażby. Jeśli jutro Krutowanow je znajdzie, to zabiją was jeszcze przed rozprawą...

Pokiwał głową, powiedział w pełni trzeźwym głosem:

– Ech ty, głupi! Tobie dossier na Krutowanowa cały świat przesłania, a ja mam ich w sejfie dziesiątki. Na wszystkich. I niech zostanie sejf nienaruszony. Jeszcze nie wiadomo, kto tu przyjdzie, i w tym, żeby wszystkie dokumenty były na miejscu, moja jedyna nadzieja na przeżycie...

– Jak uważacie, Wiktorze Siemionyczu – powiedziałem ze znużeniem, gdyż zrozumiałem, że nic nie wskóram. Pozostało poczekać, aż spróbuje zatelefonować. Wtedy można będzie odprowadzić go do aresztu.

I Abakumow podniósł słuchawkę „wierthuszki”. Wiedziałem, że będzie dzwonić do Stalina. Ale w słuchawce panowała cisza. Rzucił ją na widelki,

złapał aparat, podmuchał w mikrofon, rzucił, złapał słuchawkę zwykłego miejskiego telefonu. Wszystkie jednak milczały. Wtedy Abakumow zaczął naciskać przycisk dzwonka, którym wzywał Koczegarowa.

– Koczegarow nie przyjdzie, jego też aresztowano. Chyba pora już iść...
– powiedziałem.

Uśmiechnął się gorzko:

– Myślisz, że pora?

– Tak. Nie chcę, żeby zjawili się tu bandyci z ochrony Kobułowa. Okaleczą was po drodze.

Abakumow posiedział parę sekund, mocno zacisnąwszy powieki, jakby nie chciał obudzić się ze snu, a potem wstał zdecydowanie.

– Ech, ty, łajdaku – powiedział ze smutkiem. – Kombinuj dalej... Ja przecież twój raport o Żydówce konkubinie... wyrzuciłem. Dobra, chodźmy...

Raptem trzy minuty zajęło przejście od gabinetu ministra do celi numer 118 w więzieniu wewnętrznym.

Jeszcze trzy lata minęły do sądu nad Abakumowem.

I trzydzieści lat do tego twardego tapczanu, na którym leżeliśmy z umarłym przed chwilą trzystuletnim złotwim.

Bezmyślny, głupi, mamiący urok długiego życia. Boże, jak mi się chce spać! Jak marzę o tym, żeby zasnąć, i zostać zapomnianym, i zapomnieć – wszystko, wszystkich, na zawsze.

Ale nie mogę.

18. Tam gdzie raki zimują

To nie był sen, ani maligna, ani pijackie przywidzenie.

Strasliwa mara, zwid, majak. Omdlenie, pełne zdarzeń, ciszy, ruchu.

Pierwszy pojawił się w pokoju Promienica. Pomyślałem, że chce mnie obudzić, i udałem, że wciąż jeszcze śpię. Ale on przyszedł nie do mnie. Szurając pantoflami i powoli wodząc przed sobą wyciągniętymi rękami, brnął przez pokój, potykając się o meble, w napięciu wpatrując się w pustkę, bezdźwięcznie poruszając wargami.

– Cezar! – krzyknąłem przestraszony, ale on, nie słysząc mnie, przeszedł obok tapczanu, w kącie natrafił na krzesło, powoli opadł na nie i zmarł, niewidzącym wzrokiem patrząc mi w twarz.

– Cezar! – krzyknąłem znowu i zdałem sobie sprawę, że nie krzyczę, lecz szepczę. A on nie słyszy.

Przez uchylone drzwi weszła żona Cezara – Tamarka Kuwałda i dziewczynka-ptaszynka, która dawno pojechała z cudzoziemcami. Nie wydawały żadnego dźwięku. Były tak samo ślepe i tak samo martwo poruszały ustami. Rzuciłem się im na spotkanie, ale one przeszły obok, nie dostrzegając mnie.

– Co jest z wami? – zawołałem-zaszptałem, odwróciłem się i zobaczyłem w drzwiach ojca Aleksandra. – Ojcie świątobliwy! Co tu się dzieje?

Ale on nie zwrócił na mnie uwagi. Jakby mnie tu nie było. Albo jakby on był ślepy. Głuchy. Niemy.

Potem przyszli amerykańscy korespondenci. Nieoczekiwanie pojawiła się czuła moja przyjaciółka, towarzyska życia Marina. I nie robiła mi skandalu, nie wpadała w histerię: nie zauważyła mnie.

Nie wiadomo skąd pojawił się liliput Wiedźmankin i towarzysz broni Kiriasow. Kontaktowali się ze sobą bezdźwięcznie, jak śnięte sandacze, otwierając usta i obmacując się nawzajem palcami. Zmawiali się przeciwko mnie.

Pojawił się Mińka Riumin, ciężki, ślepo-głucho-niemy głaz w gabardynowym płaszczu pułkownika. Błądził w powietrzu obrzmiałymi, krótkopalcymi dłońmi niezdarne gamonia i bezgłośnie stękał. Szukał mnie.

I gdy wszyscy oni, nie zauważywszy mnie, krążyli po pokoju w czarnej ciszy, jak głębinowe ryby, rzuciłem się ku drzwiom, żeby uciec precz od ich ślepej nienawiści, ale na progu zderzyłem się z Abakumowem, który w milczeniu złapał mnie za pierś. Obejrzałem się w panice – pokój był wypełniony moimi znajomymi i nieznanymi, obcymi dla mnie ludźmi, żywymi i dawno umarłymi, snuły się po kątach dzieci, stali nieruchomo zastygli jak głązy starcy: wszyscy ślepi, głusi, niemi.

Abakumow ścisnął mnie coraz silniej, nie wydając żadnego dźwięku, w głębokich zapadliskach oczu mętnie błyskały dwa bielma, usta jego ścigał kurcz męki, dopóki nie wrzasnęliśmy jednocześnie:

– Tiflosurdia! Ti-flo-sur-di-i-a-a! – I ostry, nieznośny ból w piersi sprawił, że się obudziłem.

Tiflosurdia, nieznane mi słowo, poznane we śnie, budzące lęk, jak przenikliwy ból wewnątrz kośćca, coś mi przepowiadające czy wyjaśniające z życia, które odeszło i wróciło znowu jak płynąca pierścieniem rzeka.

Tiflosurdia. Ślepogłuchoniemota.

Co za niemożliwa do wytrzymania udręka zamieszkała w mojej piersi!

Niewielki tumor, fasolka raka rozrywa mnie od wewnątrz – otwiera mi oczy, wpuszcza poprzez szczeliny cierpienia dźwięk, zmusza mnie do mówienia.

Nie poddam się.

Rozprostowały się zielone fosforyzujące strzałki na zegarku – spałem raptem dziesięć minut. I nagle zrozumiałem jasno, że teraz aż do samej śmierci zostanie mi odjęty sen: zamiast snu będę się musiał zadowalać atakami tiflosurdii, przypominającym omdlenie pogrążeniem się w mroku niemoty.

Pozostanie tylko niecierpliwe oczekiwanie snu, cudowny moment zasypiania – pierwszy schodek mostu przerzuconego nad niebytem, bezpłodna nadzieja na przejście do innego, nowego życia – i od razu straszliwe obsunięcie się w ślepegłuchoniemy koszmara. I ratunkowa lina z otchłani – świdrujący ból, wywoływany przez stalowe skrzydelka fasolki imieniem tumor – epicentrum mojej na wpół zburzonej osobowości.

Snu więcej nie będzie. Trzeba teraz żyć bez snu, tak jak żyli pomiędzy przesłuchaniami moi „bezsennicy”. Zobaczmy, jak długo starczy mi sił, zanim ugnę się przed moim śledczym, któremu na imię – śmierć.

Pękl wymyślny krzywik, według którego los kreślił nieprawdopodobne zakrętaszy mego życia. Wyrzucają mnie poza nawias czasu, tak jak wyrzuca się z domu gościa, który się sprykrzył. Nie chcę! Jeszcze nie skończyliśmy jeść głównego dania, a i trunków pełno na stole! Dajcie mi mój deser i owoce!

Nie słuchają. „Dobra, dobra, kochany, pora na nas, jużesmy tu wszystkim wystarczająco nazawracali głowy...”

No cóż, mogę sobie pójść. Tym bardziej, że nikt mnie nie pyta o zgodę. Ale wy jeszcze sobie o mnie przypomnicie. Zawsze wam będę potrzebny, gdyż ja, właśnie ja – to bohater naszych beczasów.

Przycisnąłem klawisz tranzystora i do pokoju wkroczył absurdalny świat, któremu się znudziłem. Głupia spikerka radosnym głosem obwieszczała, że w zeszłym roku Turkmenia wyprodukowała sto czterdzieści osiem razy więcej energii atomowej niż przed rewolucją. W Moskwie otworzono klub milionerów: taksówkarz, który ma na liczniku milion kilometrów, tkaczka, która utkała milion metrów jedwabiu, hutnik, który wytopił milion ton stali... A w Polsce kolejny bunt, jak zawsze zajadły i beznadziejny... Zachodnioeuropejscy bojownicy o pokój na wielotysięcznych manifestacjach żądali, by ich rozbrojono i pozabijano...

Świat burzył się niczym chory żołądek od niewłaściwego jedzenia. Ten świat nie wie, co to ucisk w sercu, wstrząsa nim smród i łoskot spadających meteorów. A idźcie wy wszyscy do diabła! Ja i mój tumor żyjemy teraz sami, oddzieleni od was...

Długo leżałem bez czucia, bez myśli, bez sił – bez snu. Markotnie wsłuchiwałem się w ospałe poranne odgłosy: odległe chrapanie Promienicy, plusk i parskanie w łazience, szmer spuszczonej w toalecie wody, brzęk talerzy w kuchni. Wreszcie zebrałem siły i podniosłem słuchawkę.

Siedem krótkich obrotów tarczy, siedem słabych dźwięków w aparacie, ciągnące się w nieskończoność jak flaki z olejem sygnały – i nienawistny, ostry głos chlusnął mi w ucho strumieniem lodowatej wody:

– Doktor Zieleński przy telefonie.

– Witaj, Igor, to ja...

Pomilczał chwilę, tak jakby mnie sobie przypominał, choć wiedziałem, że pamięta mój głos nieustannie, w każdej chwili czeka na mój telefon, i ta pauza potrzebna mu była, żeby przełknąć podchodzącą do gardła grudę wzruszenia – wzruszenia mściciela, który doczekał się swego czasu, radośny spazm myśliwego, który wziął cel na muszkę.

– Słucham cię – odrzekł obojętnym głosem.

– Jakoś bardzo mi się pogorszyło, Igor... Żle się czuję.

– To normalne – powiedział z satysfakcją. – I tak miałeś wyjątkowo długi okres polepszenia... rzadki przypadek trwałej remisji.

– Igor, daj spokój żartom, ja przecież tylko tobie wierzę. Tylko ty możesz mi pomóc... Jesteś takim samym awanturnikiem, jak ja...

– To prawda, jesteśmy dosyć podobni. Z tą różnicą, że ja na własne ryzyko leczę ludzi, a ty ich zabijasz.

– Igor, ja nikogo nie zabijam... I z tamtą historią nie mam żadnego związku, to jakieś potworne nieporozumienie... Przecież jesteś mądrym człowiekiem, zrozum wreszcie, że minęło tyle lat i tyle się nagromadziło wokół tej sprawy wątków czysto osobistych, zmyślonych i bardzo wątpliwych, że nie można teraz...

Przerwał mi, warknąwszy w słuchawkę:

– Dzwonisz, żeby mi opowiadać te nikczemne idiotyzmy? Czego ode mnie chcesz?

– Żebyś spróbował mnie uratować jeszcze raz.

Zaśmiał się:

– Widzę, Chwatkin, że drogo cenisz swoje życie.

– Tak, Igor, cenię swoje życie. Może nie tak bardzo, ale jest mi jeszcze potrzebne.

– A zapomniałeś, co twój szef powiedział do mojego ojca? Kto drogo ceni własne życie, od tego tanio można kupić jego wolność...

Jasne, pamiętam, jak Krutowanow powiedział to do starego profesora Zieleńskiego. Ale co mnie teraz obchodzą ich uczone dysputy?

– Igor, moja wolność w ogóle nic nie kosztuje. Weź ją sobie za darmo, tylko mnie wylecz!

Znowu zaśmiał się z satysfakcją. W jego śmiechu był triumf zwycięzcy, upojenie zapaśnika, który położył rywala na łopatkę i zmusił go, żeby, upokorzony, prosił o litość. Co za głupi świat, co za głupi ludzie! Nawymyślaliście bzdur, że zliczyć trudno: przykazania, zakazy, przyzwolenia, to – naganne, a tamto – chwalebne, to – moralne, a tamto – niemoralne, to – dobrze, a tamto – źle! Na szczęście przygniatającej większości ludzi do głowy nie przychodzi, że cała ta głupota – to tylko chwiejne zasady gry o nazwie Życie. Gry! Wszystko to gra! Wszystko jest wymysłem. Realna jest tylko śmierć.

Odsunąć ode mnie tę straszną realność może teraz tylko Igor Zieleński, który cieszy się jak dziecko, że zmusił mnie, kata, do błagania o litość, do zastanowienia się nad zbrodniami, które popełniłem, a stąd już jest dla mnie możliwa tylko jedna droga – do skruchy i pokuty.

Hosanna! Jeśli droga do ratunku prowadzi dla mnie przez skruchę i pokutę – rzecz jasna, absolutnie intymną skruchę i w pełni sekretną pokutę – to gotów jestem, drogi mój Igorku, natychmiast dostarczyć ci szlachetnej, uduchowionej satysfakcji z widoku podupadłego fizycznie i skruszonego moralnie złoczyńcy Chwatkina.

Tylko mi pomóż!

– Naprawdę już zatroszczyłeś się o timusa? – spytał Zieleński.

– Nie... Nie mam go skąd wziąć...

– Ciekawe... To jak ja cię mam leczyć?

– Nie wiem. Muszę się z tobą naradzić.

– Dobra, przyjeżdżaj. Będę w laboratorium, wiesz, gdzie mnie znaleźć...

Tak, wiem, gdzie go znaleźć. Nie wiem, gdzie znaleźć timusa. Gdzie on jest – wielki mały władca mego losu? Timus – to zarodek mojego dziecka, splodzony przeze mnie i zabity, by mnie uratować. Skąd mam wziąć drugi? Przecież nie leżą na ulicy... A ukochana córeczka, Majka, do tego się nie nadaje, jest za stara. Timus – to grasicca niemowlęcia, wszechwładny dyspozytor i regulator naszego systemu immunologicznego, z czasem bez śladu wchłaniany przez organizm. Jak nasza niemądra idea własnej nieśmiertelności.

Pojadę do Zieleńskiego.

Wyszedłem od Promienicy w stanie tiflosurdii: zacisnąwszy zęby, zamknąwszy oczy, ogłuchły z nienawiści i wstrętu do mieszkańców tego domu. Szkoda,

że mają tu kuchenkę elektryczną, a nie gazową. Odkręciłbym im wszystkie kurki, żeby te lotry pozdychały we śnie, niczego nie zauważywszy...

Wsiadłem do popielatego od błota mercedesa, włączyłem silnik, potem wyjąłem z kieszeni marynarki pistolet i przełożyłem go do schowka w fotelu pasażera, wrzuciłem pierwszy bieg, gwałtownie puściłem sprzęgło – i pojechaliśmy.

Daleko trzeba jechać, przez całe miasto, na Szosę Kaszirską, do Centrum Onkologicznego, zwanego od nazwiska szefa Błochinwaldem. Przyjemne miejsce.

Tam, gdzie raki zimują. Nieogarniona wzrokiem kolekcja raków – czerniaki, melanoblastomy, płaskokomórkowe – niezliczone żwawe, krzepkie raczki. Sumiennie i obojętnie zjadają nas, nieubłagane i bezmyślnie, nie zdając sobie sprawy, że jeśli się w porę nie zatrzymają – zmienimy się w sinożółte zwłoki w prostym drewnianym futerale, i same zdechną z głodu. Ale rakowi nie przemówisz do rozsądku, on o swoje życie, o bezcelowe dzielenie się komórek w moim organizmie będzie się bić na śmierć.

Tak jak my wszyscy biliśmy się kiedyś, w tamtych niewiarygodnie odległych czasach, a mówiąc dokładniej, ćwierć wieku temu, kiedy udało mi się zawrzeć znajomość ze starym Zieleńskim, największym kardiologiem w naszym kraju, zdemaskowanym przeze mnie i Mińkę jako szpieg i truciciel. Nie wiadomo dlaczego, najbardziej zapamiętałem zdenerwowanie Mińki, spowodowane komplikacjami, jakie nastęrczało wycofanie ze wszystkich aptek mikstury na serce, zwanej od nazwiska wynalazcy kroplami Zieleńskiego.

Zieleńskiego objęła pierwsza fala aresztowań lekarzy. Zaczęto ich sadzać zaraz po tej pamiętnej nocy, kiedy nad szczątkami Abakumowa wyrósł nieoczekiwane Mińka Riumin. Na bezpośredni rozkaz Stalina stworzono dla niego specjalną nadbudówkę nad Wydziałem Śledczym – Referat Śledczy do Spraw Specjalnych, podległy bezpośrednio i wyłącznie ministrowi bezpieczeństwa państwowego.

Kiedy jednak Historia ma chęć sobie zażartować, nigdy nie zadowala się skromnymi uśmieszkami. Próżność kapryśnej damy Kliio może zaspokoić wyłącznie gromki, sardoniczny śmiech wszechświata. Kpina ze zdrowego rozsądku, z potocznych wyobrażeń, z całego bezmyślnego i pokornego świata polegała na tym, że ministra na razie nie było. A skoro nie było nikogo, komu mógłby się podporządkować Mińka, stał się on jak gdyby pełnoprawnym gospodarzem państwa.

Malenkowowi najwyraźniej nie starczało sił, żeby posadzić w ministerialnym fotelu Krutowanowa, a Berii nijak nie udawało się wsadzić weń Kobułowa, i dopóki nie odbyła się oficjalna koronacja nowego ministra, wszyscy zastępcy ostrożnie odsunęli się na bok, przepuszczając przodem nikomu niepodlegającego Mińkę, człowieka bez biografii, bez losu, bez osobowości, człowieka znikąd, najczarniejszego konia w tej obłąkanej gonitwie.

Przyjął mnie w swoim nowym gabinecie z dużą poczekalnią i ogłupiałym na skutek przemian, jakie zaszły, Trefniakiem przy biurku sekretarza – serdecznie, można rzec, po koleżeńsku, życzliwie, choć zgrzytliwa przywódca nuta wyraźnie już była wyczuwalna w jego głosie.

– Siła i odpowiedzialność – powiedział do mnie. – To jest, Paweł, nasz program: siła w walce z wrogami i odpowiedzialność przed partią bolszewicką z towarzyszem Stalinem na czele...

Miałem ochotę powiedzieć, żeby sobie w tyłek wsadził te durne sentencje, gdyż nie przywykłem jeszcze do myśli o tym, jak wysokiej rangi przywódcą jest teraz Mińka. I jeszcze nie wiedziałem, że nikomu nie podlega. A on wiedział. Ten niedouczonej, tępy arogant po prostu nie był w stanie zastanowić się nad wymyślnymi zakrętasami losu – przyjmował swoje wywyższenie jako rzecz naturalną, należną mu, nieuniknioną.

A może i był mądry tą jakąś swoją pierwotną, zwierzęcą mądrością? Przecież czas już dawno płynął wspak.

I nie posłałem go w diabły, nie powiedziałem nic, tylko zgodnie i skwapliwie pokiwałem głową, a Mińkę w pełni zadowolili moja reakcja.

– Czekają nas wielkie sprawy, Paweł – znacząco obwieścił Mińka. – Nie wolno nam nawalić... Kierowanie państwem to nie w kij dmuchał!

No no... A to ci dopiero przywódca nawy państwowej! Sternik się znalazł... Kmiot, zakuta pała.

– Trafieś w sedno, Mińka – odrzekłem.

A on zaśmiał się wesoło, nachylił się ku mnie przez biurko i wparłszy we mnie świńskie, krągłe, pozbawione rzęs ślepki, oznajmił:

– Tak w ogóle to zapamiętaj sobie, Paweł: jesteśmy starymi kumplami i w sytuacjach nieoficjalnych, gdzieś w domu czy na urlopie, możesz mi mówić po prostu – Michaile Kuźmiczu. A tutaj jestem jednym z kierowników najważniejszej instytucji władzy radzieckiej i zgodnie z regulaminem zwracaj się do mnie jak należy – per „towarzyszu pułkowniku”. Jasne?

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku! – Przypomniałem sobie przestrogę Krutowanowa i choć czułem wyjątkową odrazę, by zwracać się do tego

spasione go knura per „Michaile Kuźmiczu”, postanowiłem podporządkować się bez dyskusji. Nie ma co się szamotać po ciemku, nie ma co podejmować jakichkolwiek kroków, nie wiedząc na pewno, jaki jest potencjał sił przeciwnika. – Chciałem się tylko dowiedzieć, jakie będą wytyczne w sprawie lekarzy.

– Nie wyskakuj przed orkiestrę. – Surowo ściągnął płowe brewki. – Jak przyjdzie czas na twój numer, to cię poprosimy...

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku – powiedziałem. Widać było, że ten zwrot w moich ustach i możliwość wydawania mi rozkazów daje Mińce zmysłową rozkosz, tak jak prosiakowi tarzanie się w cieplej, błotnistej kałuży.

Wziął z szuflady cieniutką teczuszkę, wyjął z niej kartkę, na której wypisane były w słupku nazwiska, i wyciągnął ku mnie:

– O, tych trzeba zabrać i porządnie nad nimi popracować... Wowski, Kogan, laryngolog Feldman, neuropatolog Ettinger, Grinsztajn, osobisty lekarz Josifa Wissarionowicza – Majorow, profesorowie: Zieleński, Chessin, Winogradow, Herszman, Jegorow – i cała reszta, zgodnie z listą.

– Towarzyszu pułkowniku, może lepiej nie brać ich wszystkich od razu, nie mamy na nich jeszcze odpowiedniego materiału. Nie damy rady załatwić tej sprawy jak należy.

– Jak to nie damy? Damy! – uśmiechnął się Mińka. – A materiału mamy aż nadto. Decyzję towarzysza Stalina widziałeś?

Znowu otworzył teczkę i wyciągnął ku mnie pismo przewodnie do sprawy, które pisał wczoraj w gabinecie Krutowanowa.

„Bić! Bić! Bić! J. Stalin”.

– To właśnie jest nasz główny materiał: wytyczna Wielkiego Wodza! – z naciskiem powiedział Riumin. – I zakarbuuj sobie na nosie: ze wszystkich twoich chytrych tylko głupota wychodzi. Nie próbuj być zawsze najmądrzejszy ze wszystkich! Nie głupszy od ciebie siedzą nad tobą...

Niech mnie kaczki skopią... A to ci dopiero mądrała! A to ci chwat! Jak z miejsca się wstrzelił w ten niezgrabny, radosny podskok swego losu... A to ci posadnik* z Mińki! Wszystkich posadzi, jeśli tylko zdąży...

Najśmieszniejsze było to, że miałem w zanadru parę słów, żeby zgasić ekstazę tego żalostnego wieprzka. Ale mimo to odpowiedziałem:

– Rozkaz, towarzyszu pułkowniku, zakarbować sobie na nosie i nie starać się być najmądrzejszym ze wszystkich!

* W dawnej Rosji namiestnik książęcy.

I to nie dlatego, że posłuchałem rady Krutowanowa. Zanim odrobinę przycisnę Riumina, musiałem się zorientować, jaki układ łączył mnie z samym Siergiejem Pietrowiczem. Albowiem znajdowałem się teraz w pozycji człowieka, który usiłuje wziąć pod pachę dwa arbuzy.

Delikatność sytuacji polegała na tym, że chamstwo i prymitywne odzywki Mińki nie były w stanie ani mnie poniżyć, ani przestraszyć – zbyt głęboko nim pogardzałem, żeby się go bać albo na niego obrażać. No i nic zrobić ten bydlak na razie nie był w stanie. Ale nienagannie grzeczny, dobrze wychowany Krutowanow mógł mnie wykończyć w każdej chwili: przygotowane przeze mnie dossier przeciwko niemu wciąż spoczywało w bezpiecznym sejfie Abakumowa. I pytanie, kto stanie się gospodarzem krynicy wielkich tajemnic, wciąż pozostawało bez odpowiedzi.

Nie pora teraz zajmować się Mińką, pławiącym się rozkosznie w prostackiej pysze, trzeba za wszelką cenę rozerwać śmiertelnie niebezpieczny łańcuch, który w związku z dossier przykuwał mnie do Krutowanowa...

Poszedłem do siebie, zamknąłem drzwi gabinetu, wziąłem z sejfu akta tajnego informatora o ksywie Dym, i na kawałku papieru, żeby było przejrzysiej, zacząłem rysować schemat. Muszę przeanalizować cały łańcuch zależności, by przerwać go w miejscu, gdzie ogniwo jest najsłabsze.

A zatem...

Zacniemy od dossier w sejfie Abakumowa. Jest niedosiężne. Co zawiera? Co może tam być dla mnie niebezpiecznego? Ogólnie biorąc, wszystko. Ale nie ma tam ani jednej linijki napisanej moją ręką. Tylko raporty Dyma i informacje oficjalne. Kto dostarczał tych informacji – w naszym bajzlu trudno ustalić, tym bardziej że nierzadko podstawiałem tego czy owego spośród współpracowników. Ale w centralnej kartotece agentów znajduje się karta Dyma, i od razu ustala tam, że Dym to mój agent. Co prawda nic więcej tam nie ma, jako że Dym nie był płatnym agentem, i żadne wypłaty, które podlegałyby rejestracji, nie są w karcie zaznaczone. A zatem nie ma w karcie żadnych informacji o terminach, datach naszych kontaktów.

A w ogóle jak to cudownie, że tyle gatunków kapusiów zrodził świat, rozdzierany – w miarę przybliżania się do socjalizmu – coraz ostrzejszą walką klas!

Kapusie płatni – za wynagrodzenie pieniężne, jednorazowe, okresowe lub stałe.

Kapusie zwerbowani na mocy kompromitujących materiałów – kapujący w zamian za nasze milczenie.

Kapusie „na patriotyzm”, po cichu informujący nas o nieprawidłowym myśleniu, rozmowach i postępkach współobywateli.

Kapusie „na obietnicę” – za pomoc w awansie służbowym.

Kapusie-dzieci, kapusie-rodzice, sąsiedzi, koledzy z pracy, dozorczy, zwyczajni mało znani ludzie, kapujący to, co usłyszeli.

Zaświadczam: w każdej dużej rodzinie, w każdym mieszkaniu komunalnym, w każdym domu, w każdej instytucji byli kapusie.

Wszyscy donosili na wszystkich.

Wcale nie przesadzam. Takie prawa obowiązywały w latach powojennych. Egzekwować je nie było trudno, ponieważ każdy obywatel radziecki na swoje szczęście coś tam przeskrobał wobec władzy. Każdy miał przynajmniej jednego krewnego, który był aresztowany, połowa miała w rodzinie kogoś, kto był w niewoli albo na „czasowo okupowanym przez faszystów” terytorium, a co uważano za przestępstwo. No, nie mówiąc już o tym, że wiecznie głodni ludzie przez cały czas usiłowali przywłaszczyć sobie jakąś socjalistyczną własność, i wobec wszechobecnej czujności regularnie podpadali.

Nie, na brak informatorów nie mogliśmy narzekać. Było ich tylu, że wielu doniesień nie nadążaliśmy opracować. Dlatego nie wzbudzi podejrzeń fakt, że w ciągu trzech lat ani razu nie uciekałem się do pomocy Dyma. Przypuścimy, że chorował. To starszy człowiek...

Tak, tak... O tej historii wie Mieszik, ale Abakumow nie zdążył zorganizować nam bezpośredniej konfrontacji, a przez telefon na pewno niczego z nim nie omawiał, licząc na zaskoczenie.

Teczka agenta... Można z niej wyjąć wszystkie doniesienia Dyma za okres ostatnich trzech lat. I spalić. Dym chorował i o niczym nie donosił.

Ale jeśli dossier wpadnie w ręce Krutowanowa, to za godzinę Dym będzie przesłuchiwany u niego w gabinecie. Wycisną z mego kapusia nawet te szczegóły, o których sam zapomniałem. Po czym Dym rozwieje się bez śladu. A razem z nim znikną również i ja.

Och, ta nieodparta pokusa donosicielstwa, bez którego nie do pomyślenia jest jakakolwiek gra polityczna. Dokąd to prowadzi? Za pomocą donosów nie można się wykupić od zagrożenia ani niczego zyskać. Kręta ścieżka, znaczone kośćmi ofiar, prowadzi kapusia ku hańbie i śmierci.

Kiedy dossier wypłynie – a wypłynie bezwzględnie – Dym jest martwy. Umrze w męce i strachu. I ja też umrę. A tak być nie powinno.

I stopniowo wykrystalizowała się myśl, szczególnie wyrazista na schemacie, który nakreśliłem, że najślabsze ogniwo to właśnie Dym. Jeśli on zniknie, łańcuch zostanie rozerwany. Można potem przesłuchiwać Nikulce-

wą albo nawet Mieszika, ale wszystko to jest bardzo skomplikowane. Potrzebny jest do tego Krutowanowowi człowiek o takich możliwościach jak Abakumow. A taki pojawi się nieprędko.

Stało się jasne, że najsłabsze ogniwo w tym łańcuchu – to równocześnie to, które go najsilniej spaja.

Podarłem schemat na strzępki, włożyłem je do popielniczki i podpaliłem zapalką. Poczekalem, aż zmieniły się w kruche błonki popiołu, starannie roztarłem je na pył, który wyrzuciłem do kosza na śmieci. Otworzyłem szeroko lufcik, by pozbyć się woni spalenizny. W czasie, gdy pokój się wietrzył, wyjąłem z akt mojego bezcennego informatora wszystkie doniesienia z okresu ostatnich trzech lat i schowałem je do kieszeni, a teczkę wepchnąłem w głąb sejfu, modląc się rozpaczliwie, żebym już nigdy, do samej emerytury jej nie oglądał.

O, jak absurdalnie zadufani w sobie i ślepi jesteśmy w chwili objawienia ulotnych prawd, które wydają nam się przepowiednią przyszłości!

Minęło niecałe dwa i pół roku, i rozwiany, przepadły na zawsze Dym skierował mój los i drogi całej ludzkości w przeciwną stronę. W noc poprzedzającą śmierć Ławrentija Pawłowicza Berii...

Wyszedłem z wydziału, ulicą Puszeczną dotarłem do restauracji Savoy i z holu zadzwoniłem z automatu. Przecież u nas, w Wydziale, nigdy nie wiadomo, czyj telefon jest akurat na podsłuchu. A od tej chwili powinno być niemożliwe do udowodnienia, że widywaliśmy się z Dymem w ciągu ostatnich trzech lat.

– Iwan Siergieicz! Cześć! Poznajesz?...

– No a jak! Miałbym nie poznać? Głos masz wyjątkowy, inny niż wszyscy: ostry, energiczny... Jak tam żyjesz?

– Tęsknię za tobą. Dobrze by było się dziś zobaczyć, musimy pilnie pogadać o tym i owym...

– No to kłopot! Połamało mnie. Rozumiesz, korzonki... A jutro albo pojutrze się nie da?

– Iwanie Siergieiczu, kochany, wiesz, że ja ci głowy byle czym nie zawracam. A o korzonki swoje się nie martw, podstawię ci pod dom ogrzewany samochód. Moją pobiędę znasz, prawda?

– No a jak!

– Podjadę pod twój dom od tyłu, od Skatiernego Zaułka. Dokładnie o siódmej wyskakuj z chalupy, a ja cię zgamę. Zresztą cała rozmowa potrwa ze dwadzieścia minut, nie więcej. Wszystko jasne?

– *Ausgezeichnet!* – Zaśmiał się Iwan Siergiejewicz Zamoszkin, stary jubiler, agent o ksywie Dym.

Bez pośpiechu przespacerowałem się ulicą Puszczną i wróciłem do wydziału. Zjrzałem do poczekalni Mińki Riumina, gdzie Trefniak oznajmił mi pełnym szacunku tonem: „Michaił Kuźmicz pojechali do domu, żeby odpocząć, wrócą za jakieś dwie godziny”. Obiecałem przyjść znowu i poszedłem do Kati Szugajkinej, potłamsiłem trochę jej twarde jak kamień cycyki, odrzuciłem propozycję, żeby przelecieć ją tu i teraz, w gabinecie, tłumacząc się, że czeka na mnie Riumin. Obiecałem nadrobić to innym razem i ruszyłem do bufetu, gdzie wypilem herbatę z ciepłymi jeszcze pierożkami, opowiedziałem chłopakom najnowszy dowcip o tym, jak oficerowie sojusznicy spierali się, kto ma bardziej bystrego i sprytnego ordynansa, i z żalem pożegnałem się z nimi, mówiąc, że muszę pójść do Szugajkinej, żeby pomóc jej załatwić sprawę z jednym chytrym Żydkiem. Z bufetu skierowałem się prosto do gabinetu Kiriasowa i Podhajca, pokłapałem dziobem, poradziłem im wpaść do bufetu, gdzie dają jeszcze ciepłe pierożki i kanapki z lososiem, a wychodząc przykazałem, żeby jutro – ale to na mur! – leżała u mnie na biurku informacja w sprawie sabotażu w wydziale odlewniczym Fabryki Samochodów imienia Stalina...

Szykowałem sobie alibi. Na wszelki wypadek. Tylko starannie strzeżonego Pan Bóg strzeże. I alibi sobie konstruowałem nadzwyczaj starannie: w razie, gdyby pytano, mnóstwo ludzi, powołując się na siebie nawzajem, gotowych będzie potwierdzić niewymuszony charakter i ciągłość naszych kontaktów w ciągu całego wieczoru.

I dopiero po tym wszystkim zjawiłem się w poczekalni Kobułowa, gdzie z otwartych drzwi do gabinetu wywnioskowałem, że gospodarz jest nieobecny. Jego adiutant, Gegeczkori, po mojej wczorajszej wizycie spoglądała na mnie o wiele przyjaźniej.

– Jakież problemy, kochany?

– Wszystko w porządku. Chciałbym porozmawiać z Bogdanem Zacharyczem.

– Będzie po dwudziestej pierwszej.

– Mam do was prośbę: jestem u siebie w gabinecie – zadzwoncie, jak przyjdzie towarzysz Kobułow...

– W porządku, zrobione. A jak chcesz, to po prostu przyjdź koło dwudziestej pierwszej, zanim zbierze się tłum, przepuszczę cię pierwszego...

– Dzięki serdeczne... Wobec tego jestem u siebie...

Teraz można jechać. Wszystko, co zależało ode mnie, zrobiłem. W razie czego niech Krutowanow zrobi więcej.

Wdowiec Zamoszkin mieszkał sam. Gdzieś na Polance mieszkała jego zamężna córka z dwójgiem dzieci. Przez jakiś czas mogą nie zauważyć jego braku. Trzeba zrobić tak, żeby, zatraskując za sobą drzwiczki mojego samochodu, jakby zatrzasnął za sobą wieko trumny. Mówiąc obrazowo, rzecz jasna, jako że żadna trumna nie była przewidziana dla Iwana Siergieicza, który, nie bacząc na korzonki, żwawo dał nurka na tylne siedzenie mojego auta.

Wsiadł, przechylił się przez oparcie i trzykrotnie cmoknął mnie z tyłu w uszy. Lubił mnie. A i ja dobrze go traktowałem, z szacunkiem, jaki mamy dla prawdziwych fachowców. Bo Iwan Siergieicz Zamoszkin niewątpliwie był mistrzem kablowania.

– Jak tam żyjesz, stary druhu? Pewnie kobitki rzniesz bez opamiętania, co?

– Zdarza się. – Uśmiechnąłem się półgębkiem, ruszając pełnym gazem w stronę Sadowego Kolca.

– A ja, stary jebaka, zakończyłem już swoją bojową działalność. Ptaszek odmawia posłuszeństwa... A szkoda, oj, szkoda! To największa przyjemność w życiu...

– Nie narzekaj, Iwanie Siergieiczu, jeszcze ci sporo przyjemności w życiu zostało. Na przykład złoto, kamyczki ładne...

– Wszystko prawda, Pasza, to wielka satysfakcja: wziąć do ręki ładny kamyczek. Ale mimo wszystko jak ptaszek zaczyna wędnać, to już życie leci z górki, człowiek zmierza ku śmierci...

Patrzyłem na niego we wstecznym lusterku i myślałem, że ten śmieszny, podobny do pelikana człowieczek niewątpliwie radowałby się, pomimo uwiędłego ptaszka, swoim nudnym życiem, gdyby wiedział, że na zawsze opuszcza swój dom. On jednak niczego się nie domyślał. Dopiero spojrzawszy w okno, zaniepokoił się:

– O święci Pańscy, a gdzieżemy to zajechali? Chyba Sokół mijamy?

– Tak, Sokół... – Przemknęliśmy obok zjazdu na szosę wołokołamską i skręciliśmy na leningradzką. – Jeden człowiek ma potrzebną nam rzecz, ale boi się przyjechać do miasta. Przyjrzyj się temu drobiazgowi, ocenisz, co to jest, ile jest warte i do kogo mogło należeć. A potem odwieżę cię z powrotem do domu...

Mętnie białe zamglone pola, widać było dalekie światelka jakichś osad, skrajami podpełzała czerni lasu. Jeszcze z osiem kilometrów. Tam znajduje się miejsce, wskazane mi wczoraj przez gazetę „Wieczerniaja Moskwa”. Miejsce wiecznego spoczynku mojego agenta o ksywie Dym, starego jubilera Zamoszkin, uczonego pelikana, znającego zabawny sekret – że on i ja nie mamy i nigdy nie mieliśmy duszy. Nie nasza to wina ani nasza cnota, po prostu wrodzona cecha naszych organizmów.

Ach, z jaką przyjemnością porozmawiałby z Dymem Siergiej Pietrowicz Krutowanow! Ilu ciekawych rzeczy dowiedziałby się o mnie, o damie swego serca, Nikulcewej, o sobie samym... Ale nie mogę mu dostarczyć tej przyjemności.

A mój dziadyga tak czy owak nie ma wyboru: zarówno rozmowa ze mną, którą właśnie odbyliśmy, jak ewentualne spotkanie z Krutem skończyłyby się dla niego tak samo. Możliwe, że odrobinę zmieniłyby się okoliczności i miejsce pochówku. Aczkolwiek dla człowieka, który nie czuje w sobie duszy, miejsce i sposób pochówku nie mają znaczenia. Wykonawca wyroków Kasymbajew, mój znajomy, opowiadał kiedyś, że Kirgizi w ogóle nie mają cmentarzy – po prostu jest w górach miejsce, gdzie zostawia się zwłoki...

Czerwona strzałka szybkościomierza stała nieruchomo na sto dwadzieścia. Głucho szumiały opony na zamarzłym asfalcie. Nieliczne jadące z przeciwka samochody na oślep szperały po drodze żółtymi snopami światła.

Zamoszkin poruszył się na siedzeniu i spytał niespokojnie:

– Bał się jechać do miasta z tą rzeczą, a mnie się nie złęknie?

– Nie złęknie się, on cię nawet nie będzie widział.

– To jak w takim razie...

– Nie zwracaj mi głowy, o czym innym teraz myślę.

Zamilkł, ale fizycznie czułem jego wzburzenie. Wiercił się gorączkowo, niespokojnie sapał.

– Długo jeszcze? – nie wytrzymał.

– Już prawie dojechaliśmy... – Skręciłem z szosy na pokrytą kocimi łbami wiejską drogę, na oblodzonych kamieniach zarzucało tyłem samochodu, gdy objeżdżaliśmy śpiącą wioskę Chowrino i po stromiźnie powoli zjeżdżaliśmy nad brzeg rzeki Moskwy.

– To tu? – zapytał szeptem Zamoszkin.

– Tu. Wyjdźmy z samochodu, lepiej, żeby nas nikt nie widział...

Posłusznie, jak zahipnotyzowany, Zamoszkin wygramolił się na zewnątrz, zatrzasnął za sobą drzwi. Wokoło ciemność, choć oko wykol.

– Pasza, przecież tu nie ma żadnych domów. – Jak przestraszone dziecko chciał, żebym go uspokoił.

Wzięłem go pod rękę i troskliwie poprowadziłem ku krawędzi lodu na rzece. Moje oczy oswoiły się już z ciemnością.

– Nam, Siergieicz, w naszych sprawach światło i tłumy ludzi do niczego nie są potrzebne – wyjaśniłem mu. On jednak próbował wyrwać rękę, mamrzał:

– Coś ty wymyślił... jedźmy z powrotem.

Prowadziłem go po lodzie na środek rzeki, w napięciu wpatrując się w widniejący przed nami czarny pasek wody. Żeby tylko samemu nie wpaść...

Wczoraj w gazecie ukazał się triumfalny reportaż o tym, że pierwszy sormowski lodolańcaz rzeczny, przebiwszy lodowy pancierz, w środku zimy wpłynął do rzecznej Portu Północnego. Na cholerę to komu – kolejny głupi rekord, ale przez dobę woda na pewno nie zamrze.

Zamoszkin nagle stanął, zwrócił się ku mnie, chwycił mnie za ręce i gorąco, ze wzburzeniem zaszeptał:

– Pasza, tyś mnie tu przywiózł, żeby mnie zabić?

Zaśmiałem się nienaturalnie:

– Odbiło ci, Siergieicz, czy co? Po co bym miał cię zabijać?

– Nie wiem, po co, ale czuję: ty chcesz mnie zabić. Śmiercią od ciebie wieje...

– Przestań gadać głupoty, Siergieicz! – Byliśmy już obok czarnego, najezzonego krą toru wodnego. Wspięte bloki lodu zlutowane były cienką skorupką. – Spójrz lepiej o, tu, pod nogi!... Obejrzyj się!...

Odkleił się ode mnie, odwrócił się i pochylił głowę. Spod szalika wyrzwał tłusty kark. Zamachnąłem się i kantem dłoni, jak toporem, rąbnąłem ostro, kierując cios ku podstawie czaszki.

Chrupnął ledwie dosłyszalnie kręgosłup, z gardła dobył się mokry bulgot, i jubiler upadł na śnieg. Przykucnąłem obok niego, szybko przeszukałem wszystkie kieszenie: portfel, pęk kluczy, lupa, nożyczki do paznokci. Wszystkie te duperele zawiązałem w chusteczkę do nosa.

Potem podniosłem go – niezłe ważył staruszek! – i cisnąłem w ciemną otchłań przełomu. Ale trup się nie pogrążał, utrzymywała go na powierzchni zastygła już lodowa spoina. Wtedy mocno kopnąłem go w plecy. Rozległ się przeciągły trzask, lodowe bloki rozeszły się i pochłonęły Zamoszkiną. Na czarnej powierzchni wody ukazało się parę pęcherzy. Wrzuciłem w przełębel niewielki tobolek, zrobiony z chusteczki do nosa, otrzepałem ręce i poszedłem ku brzegowi.

Tu, za śluzami, prąd jest wartki, pod lodem daleko go zaniesie. Wcześniej niż w kwietniu nie wypłynie to, co zostanie po rybach. Wsiadłem do samochodu i pełnym gazem pogałem do Moskwy.

Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Teraz, kiedy się odrobinę zabezpieczyłem, jeśli chodzi o Krutowanowa, można będzie zrobić porządek z Mińką.

Po dwudziestej pierwszej przyjedzie do pracy Kobułow. Oczywiście przez cały wieczór czekałem na niego u siebie w gabinecie. Teraz obowiązkowo muszę się z nim zobaczyć i pogadać o jakichś bzdetach...

Przyhamowałem na światłach, obejrzałem się – okazuje się, przejechałem w ciągu trzydziestu lat z szosy leningradzkiej na kaszirską, moja popielata pobjeda zmieniła się w błękitnego mercedesa, prawie nowego, na firmowych, bieżnikowanych oponach. Ze skutego lodem brzegu rzeki Moskwy przeniosłem się do holu Centrum Onkologii.

Nieusuwalny, zatęchły zapach szpitala, milczący, wystraszeni chorzy, dodający sobie otuchy krewni, skamieniałe obojętne okrucieństwo na twarzach rejestratorek. Bezsensowne ludzkie wymysły na temat podniosłej grozy czyścica! O, tu właśnie jest czyściec. Dalej – pustka...

Zszedłem do podziemia, ruszyłem długim, krętym, betonowo-szarym korytarzem, mrużąc oczy przed oslepiającym blaskiem świetlówek. Korytarz kończył się poprzecznym tunelem. W prawo czy w lewo? Wygląda na to, że w lewo. Tak, tak, w lewo, za chwilę znowu będzie zakręt, za zakrętem tunel się rozwidła, wtedy na prawo, a tam poprowadzi mnie już przenikliwy odór wiwarium.

Niekończący się labirynt troski, bólu i strachu...

Kiedyś, dawno temu, takimi samymi podziemnymi korytarzami, prze-smykami i schodami szedł do mnie z więziennej celi twój ojciec, wielce szanowny Igorze. I ja go nie zabiłem, choć mogłem to uczynić. Nie powinniśmy się więc nienawidzić: po prostu na szachownicy życia dokonano roszady. A w tym, że wtedy umarł twój brat, nie ma mojej winy, po prostu okazało się, że miał za słabe nerwy, nie był przygotowany do tak poważnej, okrutnej gry, jak „Zdemaskowanie bandy lekarzy-morderców”.

Tabliczka na drzwiach: ZASTĘPCA ORDYNATORA ODDZIAŁU IMMUNOLOGICZNEGO I.K. ZIELEŃSKI. Otworzyłem drzwi, spojrzałem mu w twarz i ze znużeniem powiedziałem:

– No więc przywiozłem ci swego trupa...

– Niestety daleko ci jeszcze do tego, żeby być trupem. Oczywiście w sensie fizycznym – odparł z powagą.

– Fe, Igor! A co z twoimi chrześcijańskimi zasadami, z przysięgą Hipokratesa? Taki mądry człowiek, a taki niedobry...

– Prawdziwie mądry człowiek nie może być dobry, to jasne...

– Bzdura! Kompletny nonsens! Weź na przykład mnie...

– O tak, ty stanowisz przekonujący przykład. Bystry umysł i rozległa wiedza o życiu połączone z brakiem jakiegokolwiek dobroci, sumienia, duchowości.

– Nie masz racji, Igor. Dusza w ogóle nie istnieje.

– Jasne, jest tylko timus: grasicca zarodka. Tak? – spytał z nieukrywaną odrazą.

– Tak! A kiedy go nie ma, trzeba myśleć o duszy...

Odpowiedział mi coś, ale dźwięk nagle stopniowo zanikł, jak gdyby ściśniony pokrętłem potencjometru, i sam obraz Igora nagle zaczął się rozmywać, blaknąć, tracić ostrość, dopóki nie wchłonęło go mętne tło ściany. Nie było sensu pytać, gdzie się podział, wiedziałem, że język i wargi mnie nie posłuchają, że jestem niemy.

Tiflosurdia. Prostracja zmysłów – niemota, głuchota, ślepotą. Odseparowanie od świata. Wolność. Wolność w niewoli odosobnienia. Żyłem wewnątrz siebie, niczym w murach twierdzy. Stałem się grobem samego siebie. I tam, w środku, radośnie pożerał moje komórki tumor.

Wiele lat temu zabił tumora mój obrońca, mój nienarodzony syn – timus. Długi łańcuszek znajomości doprowadził mnie do Igora Zieleńskiego, już wtedy prowadzącego ryzykowne eksperymenty z układem immunologicznym. To on mnie poinformował, że dyspozytorem systemu immunologicznego człowieka jest grasicca – gruczoł wydzielania wewnętrznego w ludzkim zarodku. Grasicca kieruje powstawaniem nowych komórek, niezbędnych do rozwoju organizmu. Kiedy zaprogramuje i ureguluje ten złożony proces, zostaje wchłonięta przez tkanki normalnie funkcjonującego osobnika. Ale po paru dziesięcioleciach harmonia narodzin i śmierci naszych komórek nagle zostaje zakłócona: któraś z nich wyłamuje się z programu i zaczyna z szaloną prędkością gwałtownie się dzielić i rozmnażać. Powstaje guz, tumor, rak. I rośnie on tak długo, dopóki nas nie zabije.

Igor powiedział, że gdyby zrobić mi operację – transplantację do moich tkanek grasiccy, timusa, to zgodnie z niewyjaśnionymi na razie prawami immunologii timus podejmie swoją zwykłą działalność – programowanie i regulację życia komórek w moim organizmie, zdławi raka, rozłoży go i wyrzuci ze mnie precz.

Był jednak pewien szkopuł: timus musi mieć geny identyczne z moimi...
Potrzebny był timus mojego dziecka, splodzonego przeze mnie zarodka.

– Może pana uratować tylko jeden człowiek na świecie – powiedział wówczas Igor. – Kobieta, która zgodzi się poświęcić dla pana swoje przyszłe dziecko. Ma pan taką kobietę?

Miałem wiele kobiet. Należało wybrać jedną z nich, która zgodzi się na pewno. Nie było czasu sprawdzać ich uczuć do mnie. Przecież nie zamierzałem prowadzić z nimi wspólnego gospodarstwa.

Igor dał mi pół roku. Zgodnie ze swoim nawykiem, by planować każde działanie, oceniłem, że to bardzo napięty termin dla człowieka z rakiem płuc, rosnącym mu w śródpierśiu. W ciągu tych sześciu miesięcy musiałem znaleźć ją, jedyną na świecie, wytłumaczyć jej, że bez naszego wspólnego dziecka nie wyobrażam sobie wspólnego życia, zawrócić jej w głowie, zapłodnić, a potem jeszcze przez pięć miesięcy pieścić ją i hołubić, by następnie przekonać ją o konieczności wywołania przedwczesnego porodu i likwidacji płodu w celu wypreparowania z niego gruczolu grasicy...

Wiera Markina, cicha, potulna, nie pierwszej już młodości dziewczyna odebrała moją propozycję, byśmy połączyli nasze losy, jak grom z jasnego nieba. Do tej chwili niesłychanym darem losu była dla niej każda nasza randka. Wyczerpany pracą czy znużony bezczynnością, zły na cały świat czy przyjaźnie do niego nastawiony po wypiciu odpowiedniej dawki alkoholu – dzwoniłem do niej od czasu do czasu, w dzień czy w nocy – a ona, nieprzytomna ze szczęścia, gnała na spotkanie ze mną. Choć tak bardzo różniliśmy się od siebie, kochała mnie jakąś nierozumną miłością, bezmyślną namiętnością zwierzęcia, nie otrzymując nic w zamian za swoje uczucie.

Nawet jako mężczyzna mogłem jej dać bardzo niewiele, bo nigdy mnie tak naprawdę nie pociągała. Ale ona nie dbała o własną satysfakcję, chodziło jej o to, żeby mnie było dobrze. I z jakiegoś powodu złościło to mnie, dopóki złość nie przerosła w spokojną, obojętną pogardę.

Wierka w tym czasie zbliżała się już do trzydziestki, pracowała w zakładzie fryzjerskim, przyzwoicie zarabiała, miała zgrabną figurę i przyjemną dla oka, trudną do zapamiętania twarz. Ani razu nie udało mi się zobaczyć na tej twarzy gniewu, szczęścia ani nawet silnego wzruszenia, tylko wieczne, uprzedzająco grzeczne pytanie: dobrze ci ze mną, Paszeńka?

Pewnego razu jednak oznajmiłem, że chcę się z nią ożenić. I wtedy po raz pierwszy zobaczyłem na jej twarzy najpierw ogromne zdziwienie, a potem – szczęście.

Wkrótce powiedziała, że jest w ciąży. Jej twarz promieniowała radością.

Po paru miesiącach zatroskała się, czemu tak często kaszlę i krzywię się z bólu. Powiedziałem, że mam raka. I twarz jej powlókł całun strachu.

Następnie wyjaśniłem jej, że aby mnie uratować, należy wyjąć z jej brzucha płód i przeszczepić mi grasicę naszego wspólnego zarodka. Wówczas jej twarz zapłonęła złością.

Nie, nie – nie na mnie, skądże znowu! Była to złość na życie, na jego potworne okrucieństwo i niesprawiedliwość, na tę dramatyczną konieczność dokonania wyboru pomiędzy mężczyzną, którego kochała, a swoim przyszłym dzieckiem. Dzieckiem mężczyzny, którego kochała.

I bez wahania zdecydowała się oddać połowę swego szczęścia, by uratować życie złego, niemoralnego faceta, który z jakiegoś dziwnego powodu wydawał się jej najlepszy na świecie.

W sto osiemdziesiątym trzecim dniu, na trzy miesiące przed porodem, płód – okazało się, że to chłopczyk – został wyjęty i poddany sekcji. Igor zrobił mi operację przeszczepienia grasicy. Już wkrótce, bez żadnego rentgena, poczułem, że jadowita fasola w mojej piersi rozpущa się, więdnie, jest coraz słabsza. Malutka grasicą, mikroskopijny gruczoł mojego nienarodzonego syna, wszechmocny dyspozytor systemu immunologicznego, niezmordowanie rozkładał guz w moim śródpiersiu, dusił i dławił nowotwór w płucach, wyganiał ze mnie raka na cztery wiatry.

Oto co znaczy – krew z krwi, kość z kości, wspólny gen.

Wierka patrzyła na mnie z nieśmiałym błaganiem w oczach: dobrze ci, Paszeńka? A jeśli tak, to mam do ciebie jedną jedyną serdeczną prośbę – zrób mi nowego, drugiego syneczka w miejsce tego, który umarł, który się nie narodził.

I Igor Zieleński patrzył na mnie z satysfakcją i radością: bądź co bądź, uosabiałem głębię i precyzję jego naukowego myślenia. A on potwierdzał moją teorię, że prawdziwy uczonek – to człowiek stojący poza moralnością, jako że jego powołaniem jest obserwacja i ocena faktów. Wszystko, co znajduje się poza kręgiem interesujących go faktów, jest mu absolutnie obojętne, jeśli nie dotyczy go bezpośrednio.

Przecież ani razu nie dyskutował wówczas ze mną o moralnej stronie zagadnienia. I nie pytał, czy mam duszę, czy nie. Nie zastanawiał się, czy można mojego nienarodzonego syna uważać za człowieka. Czy mój syn miał duszę? Jeśli nie – to dlaczego? To był przecież w pełni zdolny do życia chłopczyk. A jeśli miał duszę, to czy doktor Igor Zieleński nie jest w sensie dosłownym współuczestnikiem morderstwa?

Logicznie biorąc, moja córka Majka powinna żywić wobec Igora, który zabił jej nienarodzonego brata, te same uczucia, jakie on żywi wobec mnie. Z tą różnicą, że Igor zabił jej brata własnoręcznie, a ja Żeni Zieleńskiego nawet palcem nie tknąłem. Umarł sam, sam tego chciał, traktował swoją śmierć jako sprawiedliwą karę za zdradę. I zachowanie swoje uważał za zdradę, choć w owych czasach nikomu nawet do głowy by nie przyszło określać takim słowem jego przypadek.

Ale Majka, na szczęście, nie słyszała o braciach Zieleńskich ani o ich ojcu. A i o własnym ojcu wie bardzo mało. Tak jak niewiele wiedział o mnie Igor Zieleński, dopóki nie wpadł do mojej sali w szpitalu z wychodzącymi z orbit oczami i nie wrzasnął od progu:

– Słuchaj, to prawda, że pracowałeś kiedyś w MGB? Że to ty jesteś tym pułkownikiem Chwatkinem?!

Nigdy nie chwalebę się bez potrzeby swoją dawną pracą. Ale wielkiej tajemnicy też z tego nie robię. Choć od czasów Chruszczowa trzeba mówić o tym ostrożnie: wiele nowych znajomości i przyjaźni rozwiąło się bez śladu, zaledwie napomknąłem o swojej dawnej karierze.

Reakcja Igora wcale mnie nie zdziwiła, ponieważ dobrze wiedziałem, czym jest synem i czym bratem. Miałem po prostu nadzieję, że ze względu na młody wiek nie zapamiętał mojego nazwiska i mętne wspomnienia o czasach, gdy aresztowano jego ojca, i o dramatycznych okolicznościach śmierci brata nie skojarzą mu się z moją osobą.

Tak się jednak, niestety, nie stało. Widać bardzo się chwalił swoim sukcesem i znaleźli się w jego kręgu ludzie, którzy dobrze mnie pamiętali. Dlatego powiedziałem ostrożnie:

– Tak, po wojnie pracowałem parę lat w organach. Ale chyba nie jestem „tym” pułkownikiem Chwatkinem. Za wysokie progi...

Dyszał ciężko, słowa kipiały mu na języku i wyrывały mu się z ust nieartykułowanymi dźwiękami, oszalałym mamrotaniem:

– Za wysokie progi?... A mój ojciec?... A mój brat?!... Ty morderco... ty kacie!...

– Igor, uwierz mi, to nieporozumienie! Zanim się spotkaliśmy, nigdy nawet nie słyszałem twojego nazwiska!

– Nie lżyj! Słyszałeś! O naszej rodzinie słyszeli wszyscy! Dlatego aresztowałeś mojego ojca, właśnie dlatego, że wszyscy słyszeli! Byłeś zastępcą Riumina, tego kata. Byłeś jego pomocnikiem!

– Igor, głupstwa opowiadasz! Byłem pełnomocnikiem operacyjnym, a Riumin stał na czele innego wydziału, zanim został zastępcą ministra. Dystans

między mną a nim był o wiele większy, niż między ministrem zdrowia a tobą. Czy ty odpowiadasz za działalność i wszystkie skandale twojego ministra?

– Co ma do tego minister? – Wrzask Igora przeszedł w pisk. – Co ty kręcisz? To ty jako ostatni z waszej cholernej bandy rozmawiałeś z moim bratem!... Przed jego śmiercią!... To ty, ty, łajdaku, go zabiłeś...

– Igor, ja nie mogę się na ciebie złościć, przecież uratowałeś mi życie...

– Tak, tak, niech mnie piekło pochłonie! Uratowałem życie mordercy!

– Słuchaj, Igor, wszystko ma swoje granice. Jesteś w tej chwili niepoczytalny i gadasz jak w malignie! Gdyby nie nasze stosunki...

– To prawda, gdyby nie nasze stosunki!... Ja, niestety, nie potrafię zabić... Ale ty sam zabiłeś swoją przyszłość... Pożarłeś własne dziecko... Minie jakiś czas i znowu będziesz siedzieć o, na tym krześle, i błagać mnie o ratunek... I ja, jeśli będę w stanie, znowu cię uratuję... Żebyś znowu i znowu pożerał swój pomiot, dopóki nie szczeniście wszyscy, wy kacie, przekłęci na wieki wieków... I zawsze będziesz pamiętał mojego brata, który za chwilową słabość zapłacił własnym życiem. Słyszysz, kacie: własnym życiem, własnym!... A nie cudzym...

Zaszlochał, zaszamotał się histerycznie. Nadbiegły siostry z kroplami i tabletkami, z trudem udało się go wyprowadzić. A ja jeszcze tego samego dnia wypisałem się z kliniki. Czort go wie: mówi, że nie umie zabić, a co tu jest do umienia? Ot, wstrzyknąć w żyłę trochę powietrza czy odrobinę cyjanku potasu dodać do lekarstwa – i cześć!

Nie, nie, lecznictwo jest u nas bezpłatne, nie zgadzam się na taką zapłatę, i w ogóle – dość już zajmować w klinice potrzebne komuś łóżko, na wszystko jest swój czas, pora jechać do domu.

Nie do Wierki, do siebie. Z racji wszystkich tych immunologicznych manipulacji Wierka całkiem mi obrzydła, zwłaszcza jej wiecznie błagalny wyraz twarzy – „wróć mi syneczka”. Nie mogę! Nie chcę! Nie będę! Mam was wszystkich dość. Zadzwoń mi do niej i powiedz mi:

– Nie szukaj mnie nigdy i nigdzie! Umarłem... – I rzuciłem słuchawkę.

Zadzwoń mi też do Zieleńskiego, poproszę, żeby mnie spokojnie wysłuchał:

– Twoje oskarżenia są tak bezsensowne, że sam możesz łatwo się o tym przekonać. Zwróć się oficjalnie na piśmie do kompetentnych organów, że niby odkryłeś niedobitego członka bandy Berii i Riumina i żądasz, by przeprowadzono lustrację popełnionych przez niego zbrodni. Przekonasz się wtedy, że nie mam żadnego związku...

– Niech cię szlag trafi! – krzyknął i rzucił słuchawkę.

Nie miałem wątpliwości, że i bez mojej rady napisze takie doniesienie. Nie miałem też wątpliwości co do jego rezultatów: po pierwsze, proces destalinizacji, deberiezacji, deemgiebezacji już się zakończył, a po drugie, w sprawie Zielenieńskiego nie zachowały się żadne ślady na piśmie.

Ja nie zajmowałem się profesorem Zielenieńskim. Nawet na oczy go nie widziałem. Rozmawiałem z jego synem, Żenią Zielenieńskim, studentem trzeciego roku wydziału medycyny. Było to jakieś dwa-trzy tygodnie przed śmiercią Wielkiego Bossa, a więc miesiąc przed zamknięciem sprawy lekarzy. W całym kraju pełną parą szła już ogólnonarodowa kampania osądzenia zbrodni żydowskich lekarzy i zdrajców Rosjan, przekupionych joint-syjonistycznym złotem. Zwrócił się do nas z prośbą o radę zastępcą dziekana wydziału medycyny: w ich murach kontynuuje naukę syn zdrajcy i truciciela, eks-profesora Zielenieńskiego, aresztowanego i zdemaskowanego przez organy bezpieczeństwa. I oto ten młody nędznik w odpowiedzi na propozycję komitetu komsomołu, by wystąpił na ogólnym zebraniu wydziału i skrytykował zbrodniczą działalność ojca – kategorycznie odmówił. Co z nim zrobić, z tym gadzim pomiotem?

Wezwano Żenię Zielenieńskiego na Łubiankę i nie wiem już, dlaczego Riu-min właśnie mnie kazał go przesłuchać. Ale ważna sprawa! Siedział przede mną na brzeżku krzesła i trząsł się ze strachu. Nie wiedział, co zrobić z rękami, przez cały czas przyglądał swoje i tak nienagannie uczesane włosy. Był to śliczny chłopiec – podobny do młodego Jesienina: jasnoblękitne oczy, bujna złocista czupryna, równy, prosty nos, i drżące, bezwładne wargi człowieka słabego. Młode medyczki na sam jego widok na pewno sikaly w majtki.

Gdzieś się wtedy spieszyłem i nie miałem czasu cackać się z tym słabeuszem.

– Doniesiono mi, że w pełni akceptujecie przestępczą działalność swego ojca? – spytałem z miejsca.

– Jak to?... Ja nic nie mówiłem...

– Przecież jesteście medykiem?

– Tak, studiuje na wydziale medycyny...

– A zatem nie mogliście się nie domyślać, że wasz ojciec przez wiele lat świadomie zabijał najlepszych ludzi naszego narodu?

– Co wy mówicie, towarzyszu pułkowniku!

– Obywatelu pułkowniku – poprawiłem go.

– Obywatelu pułkownika, mój ojciec to stary lekarz, uczestnik czterech wojen... Całe swoje życie poświęcił medycynie, leczeniu i ratowaniu ludzi, nawet mnie od dzieciństwa przyzwyczajał do myśli, że nie ma piękniejszego i bardziej wzniosłego zawodu... Jakże to?...

Pomilczałem chwilę i powiedziałem ze smutkiem:

– Mam wrażenie, że wszystko jest jasne, jeśli o was chodzi, Zieleński... Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Szkoda tylko waszej matki i nieletniego brata... Zdaje się, jest jeszcze całkiem malutki?

– Tak, Igor ma dopiero pięć lat, to późne dziecko, bardzo wątłe...

– Właściwie niepotrzebnie z wami rozmawiam w ten sposób. Jesteście już człowiekiem dorosłym i wasze miejsce jest w celi, obok ojca. Sądząc z tego, co słyszę... Ale macie szczęście, że organy bezpieczeństwa widzą swoją misję nie tylko w wymierzaniu wrogom kary, ale także w wychowywaniu tych, którzy nie stoczyli się jeszcze na samo dno.

– Czego ode mnie chcecie? – krzyknął, a do jego oczu napłynęły mu łzy.

– W tym cała rzecz, że ja niczego nie chcę od was, tylko dla was. Przy nadarzającej się okazji należy was посадzić. A to niemal na pewno oznacza wyrok śmierci dla waszego ojca.

– Dlaczego? – chlipnął Żenia.

– Sąd bierze pod uwagę bezpośrednio i pośrednio dowody winy. Prześstępstwa waszego ojca zostały w pełni zdemaskowane, ale kiedy w czasie rozprawy wyjdzie na jaw, że wychował sobie godnego następcę, już aresztowanego ideowego wroga ustroju, kontynuatora jego dywersyjnej działalności, to obawiam się, że jego los rozstrzygnie się ostatecznie i nieodwołalnie.

– Ale ja nic nie zrobiłem! – zakrzyczał w panicznym strachu Żenia.

– Ach, mój młody przyjacielu! Pewien mędrzec powiedział, że wszyscy rodzimy się jako oskarżeni i tylko niektórym udaje się udowodnić przed śmiercią swoją niewinność. Radzę się wam zastanowić nad rolą, jaką możecie odegrać, jeśli chodzi o los ojca. No i, rzecz jasna, nie należy zapominać o tym, kto będzie żywić waszą bezradną matkę, była panią profesorową, i nieletniego, wątłego braciszka... Na pomoc tatusia, jak się domyślacie, liczyć raczej nie ma co...

Jeszcze trochę pogawędziłem z nim w ten sposób i puściłem go, kiedy dał słowo, że dla dobra rodziny wystąpi na wałnym zebraniu wydziału z krytyką przestępczej działalności ojca.

Co też i uczynił.

Wrócił z zebrania do domu napisał na kartce: *Zdraycy nie powinni żyć wśród ludzi, bo zarażają ich swoją podłością. Wybaczcie mi, jeśli potrafiacie, bardzo was kocham, najdrożsi. Żenia.*

I powiesił się w swoim pokoju.

A za miesiąc starego wypuszczono z więzienia.

Najpierw powrócił dźwięk. Jak poprzez zatyczki do uszu usłyszałem ostry, zjadliwy głos Igora:

– ...jeśli masz rację, i życie to tylko gra, to faktycznie nie masz czego żałować. W grze obowiązują zasady, i sędzia, los, pokazał ci żółtą kartkę. Skoro nie masz timusa, to niedługo sędzia wyjmie czerwoną kartkę – i zabieraj się z boiska...

Potem pojawiło się światło i zobaczyłem przed sobą nienawistną gębę, która już nie dwoiła się, nie rozmywała, lecz wyraziście wyodrębniła się z otoczenia.

Szalenie mi kogoś przypominała, ale w mózgu kłębiła mi się gęsta mgła i w żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć – kogo mianowicie. Nie miałem siły, żeby zebrać się w sobie, zmobilizować ociężałą pamięć, choć widziałem tę twarz całkiem niedawno, być może wczoraj lub przedwczoraj. Gdybym spotykał się z tym człowiekiem trzydzieści lat temu, na przykład w poczekalni Kobułowa, od razu bym sobie przypomniał. Tamte odległe sprawy i zdarzenia pamiętałem zaskakująco wyraziście. Ale kogo, podobnego do Igora Zieleńskiego, widziałem wczoraj – nie pamiętam, choć zabij...

Potrząsnąłem głową, poruszyłem wargami i zdałem sobie sprawę, że jestem w stanie mówić, powrócił mi głos.

– To głupie i niesprawiedliwe – powiedziałem. – Mścisz się na mnie za czasy, w których przyszło nam żyć.

– Czasy? – powtórzył z naciskiem Igor. – Czasy bez ludzi to puste pojęcie. To ty i cała wasza kompania zmieniliście czasy w jedną wielką krwawą ranę. To wy, *comprachicos*, okaleczyliście cały naród, złamali jego naturę!

– Całego narodu bez jego zgody nie da się okaleczyć! Naród się zgadzał... A natury jego nie da się złamać... – Machnąłem ręką.

– Da się, da, i to jeszcze jak! – Złapał mnie za ramię i pociągnął za sobą: – Chodź, pokażę ci, co zrobiliście z ludźmi!

Bezwolnie szedłem za nim korytarzem, choć kompletnie nie interesowały mnie jego sądy; przecież on, uczoney głupek, nawet w koszmarnym śnie nie był w stanie zobaczyć tego, co ja wiedziałem o manipulowaniu całymi narodami.

Ale tu on był panem sytuacji. I posłusznie poszedłem za nim do wiwarium. Smród, martwe światła lamp, budzące dreszcz obrzydzenia szczury o czerwonych ogonach, kokoszące się w szklanych korytkach-zagrodach.

– Wyście przebudowali pamięć... O, tu są trzy grupy szczurów. Pierwsza grupa była przetrzymywana w ciemnej skrzynce o metalowej podłodze, przez którą przepuszczano impulsy elektryczne. Szczury na zawsze zapamiętały strach i ból, związane z panującą w skrzynce ciemnością... Kiedy ich dzieci zaganiano do ciemnej skrzynki, pozbawionej jakiejkolwiek elektryczności – wariowały, szalały jak ich rodzice... W ich mózgach nastąpiła funkcjonalna przebudowa pamięci pod wpływem peptydów, które zostały wyprodukowane przez organizmy ich wystraszonych rodziców. A ta grupa tutaj – to całkowicie inne szczury, którym wprowadzono peptydy drugiego pokolenia, i reagują one na zwyczajną ciemną skrzynkę dokładnie tak samo, jak te, które się w niej męczyły. Zrozumiałeś? Wyhodowaliście dziedziczny gen strachu, który paraliżuje ludzi bez jakiegokolwiek przymuszania czy zadawania mąk...

Bogdan Zacharowicz Kobułow, ciężko dysząc i sapiąc – widać przyjechał do ministerstwa bezpośrednio po obfitej uczcie – powiedział do mnie:

– Nie, nie mogę spełnić twojej prośby... nie mogę cię wziąć do siebie. Ty sobie nie zdajesz sprawy z sytuacji. Niedługo zrobi się tu rejwach, jakiego jeszcze u nas nie było. Spuścimy wrogom takie manto, żeby je wszyscy zapamiętali na sto lat.

Jego ogromny brzuch tkwił w specjalnie wyciętym wgłębieniu politurowanego biurka i sprawiał wrażenie osobliwego jaja w futerale. Pomyślałem, że kiedy pewnego razu to niesamowite jajo pęknie, najprawdopodobniej wykluje się z niego na świat dinozaur.

– W sprawie lekarzy inicjatywa przeszła w ręce Josifa Wissarionowicza. My z Ławrentijem Pawłowiczem zostaliśmy na boku... Stalin zlecił nadzór nad sprawą Krutowanowowi. Ja się nie chcę wtrącać: niech wszystko idzie swoją koleją... Siergiej Pietrowicz to człowiek rozumny, ale bardzo jeszcze młody... Poczekajmy... Jak dożyjemy – zobaczymy...

Kobułow miał na sobie kremową jedwabną koszulę z zawiniętymi rękawami. Grube, czarne odciski na łokciach były popękane jak wyschła ziemia.

– A za to, że sam przyszedłeś, należy cię pochwalić. Człowiek rozsądny nigdy nie zainwestuje całego majątku w jedno przedsięwzięcie...

– Towarzyszu generale, ja ze względów... – zacząłem wstawiać gadkę.

– Świetnie rozumiem twoje wzniosłe patriotyczne względy – przerwał mi Kobułow i pogardliwie machnął ręką. – I pochwalam. Żyjemy nie pierwszy i, mam nadzieję, nie ostatni dzień. A jeśli chodzi o tego osła Riumina, to siedź jak trusia. Muszę mieć informacje z pierwszej ręki.

Od Kobułowa ruszyłem do Mińki. Zżerała mnie złość na cały świat – i potwornie doskwierała mi własna bezradność. Wymyślony przeze mnie spektakl pt. *Sprawa lekarzy* rozgrywał się całkowicie niezależnie od mojej woli. I zmierzał w niekorzystnym dla mnie kierunku. Potrąciłem kamień, który wywołał lawinę. Jakie będą tego skutki, Bóg jeden wie...

A poza tym widziałem wyraźnie, że niedługo nastąpi w naszej kotłowni zmiana wachty i stara zmiana wraz z paliwem zostanie wrzucona do pieca. Ze wszystkich krańców Moskwy zwożono już na nasz okręt paliwo. Ale ile czasu potrwa jeszcze wachta – nie wie nikt, żaden człowiek na świecie. Przecież spuścić wszystkim takie manto, żeby je zapamiętali na sto lat – to niełatwa sprawa. I stoi teraz przede mną jedno zadanie: za wszelką cenę znaleźć szczelinę, przez którą uda mi się przedostać na trap, wyjść z kotłowni. Mój zryw w kierunku Kobułowa był właśnie próbą zajęcia miejsca na trapie. Ale Kobułow dał mi kopniaka i odepchnął od schodka – „nie waz się porzucać wachty przed jej zakończeniem...” Dobra, pójdę do Riumina.

Trefniak uprzedzająco grzecznie wstał na mój widok:

– Michaił Kuźmicz czekają na was, kazali, żebyście od razu wchodzili.

Michaił Kuźmicz przesłuchiwał jakiegoś Żyda w generalskim mundurze. I tak szczerze uradował się na mój widok, że zapomniał spytać, gdzie to pozwoliłem sobie się włóczyć.

– Proszę wejść, towarzyszu podpułkowniku. – Życzliwie pomachał mi ręką. – O, ten tutaj twierdzi, że jest akademikiem Wowski. A tymczasem w ogóle nie jesteś żadnym akademikiem, mordo parchata, tylko renegatem i mordercą... – I zadowolony z własnego kalamburu*, głośno zarechotał.

Miałem wrażenie, że Wowski patrzy na Mińkę z ogromnym zainteresowaniem. Tylko sinawa bladeść zdradzała jego wzburzenie. Cichym, odrobinę drżącym głosem powiedział:

– Nie macie prawa ze mną w ten sposób rozmawiać. Jesteście urzędnikiem państwowym, może nawet członkiem partii...

– A ty, parchu, też pewnie należysz do partii? – z jadowitym sarkazmem spytał Mińka.

* „W ogóle” to po rosyjsku *wowski*.

– Tak, jestem członkiem WKP(b) od 1918 roku. I chcę wam przypomnieć, że jestem naczelnym lekarzem Armii Radzieckiej, generałem służb medycznych. Walczyłem całą wojnę.

– A masz jakieś odznaczenia? – chytrze spytał Mińka.

– Mam dwadzieścia dwa odznaczenia państwowe...

– A wszystko to medale „Nie dopuścim faszystowskiego drania do wrót Erewania!” – Radośnie zarechotał Mińka, tak zręcznie załatwiwszy tego chwalipiętę, żydowskiego wojaka, na pewno pętającego się przez całą wojnę na tyłach.

Naśmiał się do syta i podjął:

– Słuchaj no, ty dzielny krawczyku, mošku nieszczęsny... Powiedz mi, co wasza szajka zamierzała zrobić, gdyby, załóżmy, udało wam się mimo wszystko uśmiercić towarzysza Stalina?

– Uważam to pytanie za polityczną prowokację i odmawiam dyskusji na ten temat – równie cicho, jak poprzednio, odpowiedział Wowski.

Na Mińkę wywierał już swój narkotyczny wpływ zapach bliskiej krwi. Wstawszy zza biurka, powoli skierował się ku skurczonemu na krześle akademikowi. Jedną ręką trzymał plecioną rękojeść swojego słynnego knuta, a drugą bez pośpiechu odwijał rzemień.

– Chwileczkę, towarzyszu pułkowniku – zatrzymałem go. – Chciałbym zadać aresztantowi pytanie...

– Zadawaj, zadawaj – zgodził się Mińka. – I jak nie odpowie, to tak zdzieję go w łeb, że w dupie mu zawyje!

– Powiedzcie, czy znane jest wam nazwisko burżuazyjnego nacjonalisty, zdrajcy ojczyzny i syjonistycznego szpiega, Salomona Michoelsa?

– Tak – ociężale kiwnął głową Wowski.

– Wybaczcie mi ciekawość, skąd?

– To mój brat.

Zadowolony Mińka szturchnął go rękojeścią knuta pod zębra.

– Wobec tego wiadomo wam, Mironie Siemionyczu, jak surowo musieliśmy postąpić z waszym bratem?

Kurcząc się z bólu i narastającego strachu, Wowski powiedział szeptem:

– Wiem, zabiliście go. W Mińsku. Biliście go łomem po głowie...

– No, w tego typu szczegóły ja nie wnikam, ale w zasadzie i wy, i my oceniamy sytuację prawidłowo. Dlatego apeluję do waszego zdrowego rozsądku: aby zmniejszyć straty do minimum, postarajcie się w miarę możliwości pomóc śledztwu.

– A czego ode mnie chcecie?

Wyciągnąłem ku niemu listę lekarzy, którzy mieli być dzisiaj wsadzeni do więzienia.

– Trzeba, żebyście szczerze i wyczerpująco opowiedzieli, jak w zмовie z innymi osobami zorganizowaliście spisek, mający na celu uśmiercenie towarzysza Stalina i jego współbojowników i jak zabraliście się do jego realizacji.

Wowski wziął listę, bardzo uważnie przeczytał ją do samego końca, przebiegł wzrokiem jeszcze raz i z westchnieniem położył na biurku.

– To kwiat radzieckiej medycyny – powiedział zgnębiony. – To tytany naszej nauki...

– No i dobrze! – warknął Mińka. – Towarzystwo odpowiednie, a parch dla towarzystwa szydło połknie!

Wowski popatrzył mu prosto w oczy i wyrzekł:

– Teraz nie mam wątpliwości, że spisek na życie Josifa Wissarionowicza istnieje. I że został zorganizowany właśnie tutaj. Powiem jako lekarz: Stalin to stary, chory człowiek. Jeśli zlikwidujecie wszystkie osoby z tej listy, zostanie pozbawiony wykwalifikowanej pomocy medycznej, a bez odpowiedniego leczenia prędko umrze. Wy chcecie go zabić!

Świsnął przenikliwie knut i rzemień jak żmija owinął się wokół pleców Wowsiego. Dławiąc się, Wowski zakrzyczał falsetem:

– Nie bijcie mnie! Niech będzie... Podpiszę wszystko co wam potrzebne...

Zakrył twarz rękami i ledwie dosłyszalnie powiedział:

– Świat runął! Nikogo już nie da się uratować... Ani zgubić...

I nazajutrz zwozili ich od rana do wieczora. I przez cały kolejny dzień. Przez cały tydzień. Przez wszystkie kolejne miesiące, jako że lista niepostrzymanie rosła, pęczniała, obejmowała już dziesiątki stron: aresztowani mogli milczeć czy wyć z bólu i strachu, trzymać się całymi tygodniami czy już w samochodzie opowiadać o tym, o co ich nawet jeszcze nie zapytano – ale w końcu wszyscy wymieniali nowe nazwiska i epidemia terroru, wyrwawszy się z gmachu MGB na ten blady, wystraszony świat, który wpatrywał się w nas jak sparaliżowany, hulala już po całym kraju.

– Wyhodowaliście dziedziczny gen strachu! – krzyczał Igor Zieleński...

Półgłówek! Może i ma rację, ale bynajmniej z tego nie wynika, że należy mnie tak surowo karać. Przecież dla każdego obserwatora jest dziś oczywiste, że życie to nie pole działania poszczególnych osobowości, życie to gra,

niekończący się teatr, i każdy człowiek odgrywa jedynie przydzieloną mu rolę. Napisany dla niego program.

– I to wszystko, co masz mi do powiedzenia? – spytałem Igora.

– A co mam ci powiedzieć? Ja i ty zawarliśmy umowę. Będę cię ratować, niszcząc twoje nasienie na tej ziemi. – Igor nachylił się ku mnie i szepnął mi w samo ucho: – Mam nadzieję, że pogrzebię w tobie twoją przyszłość!

I w tym momencie – jak nagle oparzenie, jak pełne i ostateczne przebudzenie – nastąpił błysk pamięci. Poczulem trwozę.

Zrozumiałem, że sam siebie zwabiłem w tę pułapkę.

Przypomniałem sobie, czyją twarz tak usilnie, z takim lękiem i odrazą starałem się przywołać w pamięci.

Z nienawiścią i złośliwą satysfakcją patrzył mi w oczy Palacz.

19. Dom Malutki Skuratowa*

Przebudziłem się. Z dusznej czarnej nory snu wypelzłem na świat mroczny, szary, zachlystujący się syfem marcowego popołudnia.

Nic mi się nie śniło, nie odpoczywałem, nie oddychałem – po prostu nie było mnie, nie żyłem. Tylko młody, bardzo zdrowy tuman może uwierzyć, że świat to obiektywna rzeczywistość, niezależna od naszej świadomości. Człowiek bezsilny, chory, stacza się w przepaść antynaukowej, idealistycznej prawdy: kiedy traci się pamięć, świat umiera.

Bo jeśli nie umiera, to na cholerę komu potrzebny ten spaskudzony wiosenną szarugą świat?

Nie, na pewno umiera.

W każdym razie mam taką nadzieję. Powinna przecież istnieć jakaś celowość w tym zadzumionym burdelu, który nazywamy życiem. A życie po mnie, beze mnie – jakiemu może służyć celowi?

Nie dla Mangusta wszak wzniesiono gmach świata! I nie dla Mariny!

Siedzi moja przyjaciółka, towarzyszka życia, w fotelu koło mego łóżka, łypie na mnie oczkami czułymi, przekrwionymi, pełnymi nienawiści. A łeb

* Gra słów. *Malutka* to po rosyjsku małe dziecko, maluszek, a *Maluta Skuratow* – znana postać w historii Rosji – to jeden z głównych opriczników, słynny ze szczególnego okrucieństwa.

szalikiem wełnianym – w poprzek gęby – ma owinięty. Może liczy, że jej nie rozpoznam?

Boże, jak mnie boli głowa!

A może to Marina rzuca na mnie urok? Kiedy śpię – czary nade mną odprawia, mózg mi tumani, fasolkę w piersi czarodziejską sztuką hoduje? No? Jak tam z tobą jest, moja lazurowa, jeśli chodzi o szamaństwo i czarną magię?

Wpatrzyłem się w jej oczęta, różowe jak u królika – i splunąłem! Pała z minusem, ty moja nierozłączna z moim majątkiem, ukochana wdowo.

Ikry ci brak, moja ty pozbawiona jakiegokolwiek duchowości chutliwa roślino...

Żeby czarować – trzeba mieć moc tajemną. Energię z innego wymiaru. Rimma ją miała. Nie chciała tego, a czarowała, tumańla, zaklinała i odprawiała gusła, dur i urok na mnie sprowadzała. Inaczej nie sposób wytłumaczyć jej władzy nade mną...

– Co tak patrzysz? – zapytałem Marinę głosem cichym, ochryplym i spokojnym. Nie miałem siły się awanturować.

– Patrzę i myślę, jak to jest, że takie lotry rodzą się na tym świecie – oznajmiła moja miodowa, promienna przyjaciółka.

– Poczytaj *Ginekologię* Sztekkela – mruknąłem. – Tekstu co prawda nie zrozumiesz, ale rysunki są w pełni zrozumiałe...

– Bydlak cholerny! Łajdak przekłęty! Sukinsyn plugawy!...

No i zaczęło się. Czego jak czego, ale złości jej nie brakuje.

Och, jak mi głowę rozsadza!

Marina westchnęła, nabrała powietrza do kolejnej serii wrzasków, a ja zdążyłem dzięki temu zapytać:

– Czemuś sobie gębę okręciła?

Jakby się w biegu potknęła, zatrzymała się na moment i powiedziała, nie zapomniawszy skrzywić się cierpiętniczo:

– Mam zapalenie stawu zuchwowego... – I podjęła swój wrzask, zachłystując się wyzwiskami.

– Szkoda, że nie masz stawu zuchwowego w języku – zauważyłem współczująco.

Mogę pogodzić się z tym, że ta budząca odruch wymiotny baba to moja legalna żona. Ale wdowa po mnie? W życiu!

Pozbawię cię tej złośliwej satysfakcji, nie dostarczę ci tego rozkosznie opłacalnego żalu, moja ty jędma wdówko, słodkie moje ukochanie, mój drogocenny mechanizm do rozładowywania napięć hormonalnych.

Wygląda na to, że twój troskliwy małżonek, odpływający poza horyzont bytu, zdradził swoje wzniosłe ideały materializmu i tonie w błocie idealizmu. W pełni reakcyjnie i pseudonaukowo odrzucam istnienie świata materialnego, jeśli nie postrzega go moja świadomość, kwiatuś ty mój zarzygany. Staczając się w mętne grzęzawisko szarlatańskiego solipsyzmu skłonny jestem twierdzić – i udowodnię to empirycznie, suko jedna – że osnową wszystkiego, co istnieje, jest idea absolutna, duch świata, któremu na imię Szatan.

A jako idealista – filozoficzny kontynuator idealizmu, czyli bezinteresowny, wzniosły marzyciel, posiadam rangę Nadzwyczajnego i Pełnomocnego Nuncjusza tegoż ducha świata. Co w tłumaczeniu na mowę potoczną oznacza: Starszy Pełnomocnik Operacyjny do Zadań Specjalnych. W rezerwie. On – mój Mocodawca – nie po to stworzył wasz żaloszny świat, żebym ja umarł, a wy żebyście tu pozostali bez opieki. Beze mnie.

Jak przyjdzie co do czego, to wam tu wszystkim Armageddon urzędę. A ty, Marina, pierwsza zobaczysz koniec świata. Nawet nie mrugniesz, jak przeniesiesz się z tego świata w jakiś tam inny...

Ona dalej gardłowała, a ja patrzyłem na nią poprzez przymrużone powieki i myślałem, że ze wszystkich niezliczonych wariantów pozbycia się Mariny wybiorę chyba uduszenie. Zastrzelić, zarznąć, utopić – to mało ciekawe. W takiej śmierci nie ma poezji walki żywego ciała z ciężarem walącej się nań pustki. Dźgnąć nożykiem w tętnicę szyjną – ciach, i po wszystkim! Nie ma rozpaczających z orbit gałek ocznych, jak gdyby pragnących ostatni raz popatrzeć na ten obrzydliwy – uroczy świat. Nie ma sardonicznej wściekłości, z jaką duszony droczy się z pozostającymi tu, po tej stronie, ukazując im purpurę i siność wywalającego się na wierzch języka. Mokrych drózek łez...

Tymi łzami generał Szkuro cały podkoszulek z przodu mi zamoczył. Wieszaliśmy ich na wewnętrznym dziedzińcu Lefortowa, w bramie garażu. Było ich pięciu – jak w popularnym francuskim filmie. Tyle że tamte Francuziki były zwykłymi żołnierzami, a ci tutaj – generałami. Włącznie z generałem Własowem.

Własow! Sprzedawczyk, judasz, zdrajca, niegodzien zaufania Wielkiego Bossa. Ach, jak mu wierzył Boss na początku wojny – własnego syna Jakowa posłał pod jego komendę! A Własowowi widać bardziej przypadły do gustu wąsiki Hitlera niż szczeciniasta ryżawa szczotka naszego przywódcy. Przeszedł, sukinsyn, na tamtą stronę wraz z wojskiem, zwrócił ostra

bagnetów przeciwko swemu dobroczyńcy, stworzył Rosyjską Armię Wyzwolenczą. I synaczka bossowego, nieszczęsnego pół-Żydka Jaszkę oddał nazistom. Zgnił chłopak w obozie koncentracyjnym. Zatlukły go gestapowskie bestie. Z początku, co prawda, Adolf Alojzowicz Schicklgruber rzucił przynętę Bossowi:

– Tak i tak – powiada – rozumiemy pańską ojcowską troskę o los starszego syna, na wojnie rozmaicie bywa, wiesz pan co? Wymieńmy się naszymi jeńcami: ja panu oddam Jakowa Josifowicza, bezcennego syneczka, a pan mnie – mojego generała, feldmarszałka von Paulusa, który, co tu gadać, nie popisał się pod Stalingradem. Zróbmy więc *change*, *Tausch* po naszymu, po niemiecku, czyli, po rosyjsku, wymianę...

Tylko nie wzięła pod uwagę ta faszystowska padlina, że my – ludzie radzieccy – mamy swoją dumę, na jeńców patrzymy z góry. Na naszych jeńców, rzecz jasna. Syn czy nie syn – my to olewamy. Zresztą cały ten Jaszka okazał się synem wątpliwej jakości, nie wypełnił nakazu tatki – żołnierz radziecki zawsze wybiera raczej śmierć niż niewolę. A to, że jest akurat bez broni, ranny czy okrażony – nie ma żadnego znaczenia. Jeśli drogi ci jest honor tatusia, jeśli imię twego Wielkiego Bossa jest dla ciebie święte – to choć własnymi rękami się rozedrzyj, a do niewoli – niu-niu! A ten wziął i zhańbił siwą głowę rodzica – nie zastrzelił się, nie udusił, nie rozplął jak kamfora.

I wyrzekł majestatycznie Boss w odpowiedzi na plugawą propozycję germańskiego ludożercy:

– Ja feldmarszałka na prostego żołnierza nie wymieniam...

Myślę, że właśnie wtedy po raz pierwszy naprawdę się przestraszył ludo-bójca Adolf – ujrzał na jawie zmaterializowaną ideę absolutnego satanizmu, występującego pod imieniem Bossa Wszystkich Narodów...

Przestraszył się, machnął ręką i kazał skończyć z Jaszką.

A raptem dwa lata później upolowaliśmy Własowa. W Czechosłowacji, pod koniec wojny. I skazaliśmy razem z jego pomagierami i niedobitymi wrogami jeszcze z czasów wojny domowej – atamanem Krasnowem i generałem Szkuro – na powieszenie.

Z ich straceniem pełno było zawracania głowy, jako że Ławrentij powiedział, iż najprawdopodobniej na wykonanie wyroku stawi się sam Wielki Boss. Jasna sprawa – każdy by chętnie popatrzył, jak jego przeciwnik wierzga nóżkami na linie.

Ale Boss nie przyszedł. Może zaniemógł, a może Ławr po prostu puścił plotkę – lubił czasami powołać się na naszego Wodza... W każdym razie

Boss na wykonanie wyroku się nie stawił i uroczystość wymierzenia sprawiedliwej kary została, można rzec, częściowo sknocona. Głównym gościem ceremonii stał się nasz minister, Wiktor Siemionowicz Abakumow – zjawisko samo w sobie niebywałe, ale po rozmowach o tym, iż sam Boss przyjdzie zacytować Własowowi stare przysłowie, że co ma wisieć, nie utonie, stanowiło to niejake rozczarowanie.

I warto było takie orły, jak ja i Kowszuk, na nogi stawiać!

Tak, tak! I tu trudziliśmy się z Siemionem ramię w ramię.

To znaczy on pracował, a ja kręciłem się koło zwierchników średniego szczebla, sypałem żarcikami, opowiadałem kawały.

We wrotach garażu postawiono ciężarówkę zis-5 z opuszczonymi klapami, a Siemion Kowszuk pokrzykiwał na szofera:

– I coś ty, zakuta pało, wyjechał na środek podwórza? Padnie komenda, dasz gaz, a oni pobiegną w skrzyni jak na stadionie!... Dawaj do tyłu, jeszcze, jeszcze, o, tak, tak, skrzynia powinna na pół metra z bramy wystawać... Podjeżdżaj dokładniej pod stryczki...

Z poprzecznej belki nadproża zwisało pięć białych stryczków z konopnej liny. Jeszcze wieczorem własnoręcznie zmajstrował je Kowszuk ze sznura do bielizny, „czterdziestki”, we dwoje złożonego, mydłem Czerwony Mak starannie wysmarowanego – nie znalazło się w więzieniu inne odpowiednie mydło, trzeba było drogi, perfumowany kosmetyk zmarnować.

A teraz stał Kowszuk na skrzyni-szafocie i oceniał długość stryczków – pętlę nałożył sobie na szyję, a prawą ręką podciągał i opuszczał wolny koniec liny, przerzucony przez belkę. Miał zatroskany wyraz twarzy rzemieślnika, który wykonuje skomplikowaną, trudną robotę.

– Siom, dla pewności sam spróbuj! – krzyknąłem i wszyscy ryknęli śmiechem.

Kowszuk podniósł na mnie ciężkie spojrzenie i spokojnie, poważnie rzucił:

– Nie mam co próbować. Ja tu jestem od czego innego...

Wesoły zbiorowy rechot ścichił. Wszyscy pomyśleli o tym samym: wystarczy, że Abakumow brwią poruszy, a Kowszuk natychmiast wsadzi w pętlę łeb kóregoś z nas. Wykona to bez wahania.

A Kowszuk uśmiechnął się i wyjaśnił pobłaźliwie nam, ciemięgom o białych rączkach:

– Tu jest potrzebna dokładność... Przecież to nie gęsi wędzone, żeby je pod strzechą podwieszać. Nawet twarzy się nie zobaczy... A za nisko też źle. Wisielec na szubienicy o ćwierć metra się wyciąga, czubkami butów po ziemi zacznie przebierać...

Wreszcie zaprowadził harmonię pomiędzy warunkami technologicznymi i estetyką czekającego nas widowiska, przerzucił wolne końce liny jeszcze raz przez belkę i zaciągnął żeglarski węzeł – na fest.

– Gotowe! – oznajmił. – Zapraszamy do golenia...

Pojawił się ponury, najwyraźniej pod dobrą datą Abakumow i prokurator Rudenko. Niewielki wewnętrzny dziedziniec szybko zapełnił się tłumem generałów i jakichś nadętych cywilów. Należałoby raczej powiedzieć – ubra-nych po cywilnemu, jako że cywile absolutnie nic tu nie mieli do roboty.

Jako pierwszego konwój doprowadził z zakratowanej żelaznej celi atama-na Krasnowa – w niebieskim zmiętym garniturze, z rękami związanymi za plecami linką. Zaskoczyło mnie, że jest taki stary – musiał mieć pod osiem-dziesiątkę. Trzęsący się, kaprawy dziadek o czerwonym nosie. Chyba nie zdawał sobie sprawy, po co go tu przyprowadzili, i tylko kręcił w tę i w tam-tą stronę siwą, wyleniałą głową zbyt długo żyjącego gąsiora.

Trzasnęły drzwi i, mrużąc oczy od światła, pojawił się otoczony świtą nadzorców generał Szkuro. W kawaleryjskich butach z cholewami, w ko-zackich szarawarach z lampasami i mundurze z oberwanymi pagonami, twardo, pewnie przeszedł przez dziedziniec i stanął przy opuszczonej klapie ciężarówki. Miał kołyszący się chód krzywonogiego korsarza.

Też miał związane ręce. Leciutko szturchnął ramieniem Krasnowa i wy-szczerzył zęby jak wilk:

– Cześć, Piotrze Nikołajewiczu!

– Andrieju Grigorowiczu, kochany, co tu się dzieje... Przecież obiecali nam...

– Oj, dobra! – Z wściekłością potrząsnął szczeciniastą głową Szkuro. – Obiecał czort cielaka, a dał kopniaka! Koniec z nami, Piotrze Nikołaiczu...

Kowszuk zrobił krok w ich kierunku, żeby uciąć te rozmowy w szeregu, ale Abakumow ledwie dostrzegalnie mrugnął – niech sobie na koniec pogawędzą. Wydaje mi się, że sam miał ochotę na nich popatrzeć. O czym my-ślał wtedy ten ponury, obdarzony niezwykle władzą człowiek? Przecież nie mógł wiedzieć, że i jemu zostało raptem siedem lat...

Szkuro rozejrział się i bezbłędnie wybrawszy Abakumowa, powiedział do niego ochryple:

– Ej, ty, antychryście! Daj rozkaz, żeby mi sznurek rozwiązali! Prawo-sławny człowiek powinien się przed śmiercią przeżegnać...

Abakumow uśmiechnął się:

– Ja ci i bez znaku krzyża grzechy odpuszczę... Jako starszy stopniem.

Szkuro zmrużył oczy w wąziutkie szczeliny:

– Ja zostałem generałem na polu walki, a ty, łajdaku, w katowni...

Abakumow zalał się krwawym rumieńcem, podszedł do Szкуро i, dźgając go palcem wskazującym w twarz, powiedział:

– Ge-ne-ra! Gówno z ciebie, a nie genera! Esaul zbiegły! Kobyle łajno! W Paryżu w cyrku wołyżerką na chleb jak ostatni dziad zarabiałeś...

No, dowalił nasz minister białogwardziście. Bo faktycznie tak było. Galopował Szкуро po maneżu w czerwonej kozackiej czerkiesce ze złotymi pagonami, zabawiał sytą burżuazyjną publikę. Tak nisko upadł dowódca Dzikiej Dywizji... I teraz, głupek, nie rozumiał, że Abakumow jest od niego starszy nie tylko stopniem, ale i stanowiskiem – dowodził nasz minister nie dywizją, lecz całym frontem. Najbliższym z legionów świata.

Starczo, bezsilnie popłakiwał Krasnow, skomlił cichutko, błagając rozjuszonego Szкуро:

– Nie trzeba, Andrieju Grigoriewiczu... Nie trzeba...

– Odwalcie się, Piotrze Nikolaiczu – warknął ze złością Szкуро. – Gdzieś go mam! Co tam, dwa razy nie powieszają...

– Ta-ak? – zdziwił się Abakumow i dał paluszką znak Kowszukowi, który nieregularnie kiwnął głową – solista-maestro może sobie pozwolić na nieco luźniejsze traktowanie służbowej subordynacji. Podciągnął taboret bliżej do ciężarówki, stękając, wgramolił się na niego, potem zadarł grubą nogę, włożył do skrzyni, i oceniwszy na oko, który ze zwieszającej się girlandy stryczków wygląda najbardziej sympatycznie, wybrał skrajny lewy. Powoli rozwiązał węzeł i przedłużył sznur o metr. A potem znowu zaciągnął węzeł, na amen.

Szкуро patrzył na manewry Kowszuka nieruchomym wzrokiem. Zaczęło wreszcie do niego docierać, że dowódca Dzikiej Armii może powiesić dowódcę Dzikiej Dywizji dwa razy, trzy razy – ile tylko zechce. Nie zdążył jednak nic powiedzieć, gdyż konwój doprowadził Własowa razem z jego pupilami. Jeden, pamiętam, nazywał się Żilenkow, a jak drugi – zapomniałem. Zdaje się, Truchin. Czy Truchanow... Obaj służyli w armii Własowa, kiedy był on jeszcze dowódcą radzieckim. Żilenkow – były sekretarz komitetu obwodowego – jako komisarz. A Truchin jako naczelnik wywiadu i kontrwywiadu. I w trójkę, sukinsyny sprzedajne, do Hitlera przeskoczyli. Tak, zdaje się, że Truchin miał na nazwisko. Ale teraz tam, na dziedzińcu więziennym, wszyscy wyglądali jak trusie.

Rzecz jasna, najważniejszą figurą z całej piątki był Własow, drogi nasz Andriej Andrieicz. Osobisty wróg Wielkiego Bossa. Jego fagasy mało kogo interesowały, a niedobici białogwardziści znaleźli się w ich kompanii całym przypadkowo.

Ale Boss na egzekucji się nie pojawił, a Szkuro swoją beczelnością rozdrażnił towarzysza Abakumowa i uwaga obecnych w całości skupiła się na generale cyrkowcu.

Własow wyglądał nieszczerólnie. W półwojskowym mundurze z wykładanym kołnierzem, w brudnych bryczesach, w butach ze zbyt szerokimi cholewami. Resztki wyłysiałych kędziorków sterczące niczym rogi na kwadratowej głowie. Grube rogowe okulary na zmartwiałej twarzy. Żilenkow, ujrawszy szubienicę, padł na asfalt i zaczął przeraźliwie, jak baba, zawodzić... Szkuro szturchał go w bok czubkiem buta i z nienawiścią, półgłosem mówił:

– Wstawaj... wstawaj, ty ścierwo...

Prokurator szybko, machinalnie, połykając końcówki słów, przeczytał odmowę skorzystania z prawa łaski. Zaczęto podsadzać skazanych na taboret, a stamtąd – do skrzyni ciężarówki. Przyjmował ich tam Kowszuk i rozstawiał stosownie do swojej artystycznej wizji. Atamana Krasnowa i Żilenkowa trzeba było wrzucić do ciężarówki. Sami nie mogli wejść – jeden ze starości, drugi – ze strachu. Konwojenci asystowali reżyserowi Sieńce, dopóki nie zaaranżował ostatecznej sceny pt. *Sprawiedliwa kara dla zdrajców ojczyzny*. Na lewo stał Szkuro, potem Krasnow, w środku – Własow, po nim – Żilenkow, a jako ostatni z prawej – Truchin.

Histeryczne wycie Żilenkowa, wściekle sapanie Szcury, pochlipywanie Krasnowa, przedśmiertna czkawka Własowa, nieme osłupienie Truchina, rzucane półgłosem przekleństwa konwojentów, ciężkie kroki Kowszuka...

Truchin kręcił głową, usiłując uniknąć pętli, Żilenkow popuścił mocz. Własow falsetem krzyknął do Siemiona, który zjął mu okulary:

– Zostawcie!

– Niepotrzebne ci już, niepotrzebne – lodowato odparł Kowszuk i schował okulary do kieszeni.

Abakumow machnął ręką i Siemion podszedł do szoferki, zastukał w żelazny dach:

– Dawaj, naprzód!

Zawył rozrusznik, ryknął silnik, kłębem siniego dymu buchnął nam w twarz, zadrzała ciężarówka, zazgrzytało piskliwie sprzęgło. Wisielcy stali zwartym szeregiem u skraju skrzyni jak biegacze, czekając na sygnał, by rzucić się do biegu na dystansie jednego kroku, gdzie na mecie czeka ich nicość.

Konwojenci zeskoczyli ze skrzyni, żeby nie przeszkadzać fotografowi, nie psuć swymi tępych mordami wyszukanej kompozycji Kowszuka. I sam Kowszuk przykucnął za plecami Własowa. Błyskał bez ustanku flesz fotografa...

Ciężarówka powoli ruszyła, przez moment skazańcy starali się złapać równowagę nad przepaścią o głębokości półtora metra, wyciągali szyje, jakby chcieli zmienić się w żyrafy. W tej ostatniej sekundzie, kiedy namydlona pętla na szyi zaczęła się zaciągać, Szkuro – jego sznur był dłuższy – krzyknął do Abakumowa:

– Pamiętaj! I ty tak będziesz zdychać...

A potem wszyscy razem runęli w dół, zatańczyli, zaszamotali się, zadźwięczały od napięcia białe liny, troskliwie uwiązane przez Kowszuka na belce solidnym marynarskim węzłem.

Żyłasty, muskularny Szkuro dostawał do ziemi. Niewiele – ze dwa-trzy centymetry – ale wystarczająco, żeby odepchnąć się obcasami, odrobinę osłabić dławiący ucisk. I znów zaciskająca się pętla wyciskała z niego ducha. Przekrwione oczy wyszły mu z orbit, na siniejącej twarzy stanęły dęba wąsy, spod których wypelźł na zewnątrz pogryziony do krwi język. Łzy ciekły mu strumieniami z oczu.

Nie wiem, jak długo szarpał się na linie – pięć sekund czy pięć minut. Czas zniknął, wszyscy staliśmy jak skamieniali. Świat nie oglądał dotąd tak porwijącego marionetkowego spektaklu. Na sznurach przed nami huštały się nie kukły, lecz generałowie. Spektakl zdawał się nie mieć końca, dopóki główny lalkarz nie szturchnął mnie w plecy: kończ!

Szkuro jeszcze żył. Niewypowiedziana, niemożliwa do wytrzymania męka zastęła w jego oszalałych oczach, ale widziałem, że jest jeszcze przytomny. Szturchnąwszy mnie w plecy, Abakumow podarował mu ogromną łaskę – uwolnienie od strasliwego cierpienia.

Postąpiłem krok naprzód, objąłem Szkurę za ramiona. Jego zalana łzami twarz znalazła się na wysokości mojej piersi. I odruchowo przywarł do mnie stary rzeźnik, albowiem pojął, że w tym objęciu odnajdzie wreszcie pokój. A ja, przysiadłszy gwałtownie, pociągnąłem w dół jego napięte ciało. W martwej ciszy ogłuszająco trzasnęły kości karku Szcury.

Odepchnąłem od siebie bezwładną kukłę uduszonego woltyżera. Cały podkoszulek miałem z przodu mokry od jego łez.

Ocknąłem się, kiedy Abakumow postukał mnie w plecy zgiętym palcem, jakby pukając do drzwi:

– Halo... Jutro polecisz do Berlina.

– Dlaczego do Berlina? – spytała z niepokojem Marina. – Mam jechać z tobą?

Potrząsnąłem głową i od bólu, który poczułem, obudziłem się na dobre.

Boże, jak mi trzeszczy w głowie – zupełnie jakby szwy mi się w czasie rozchodziły.

– Nie, Marinko, traweczko moja wiosenna, nigdzie nie jedziemy... Poplątało ci się... Coś tam przez sen mamrotałem... Głupi sen mi się przyśnił... Że pokręciłaś swoją śliczną główką nieostrożnie i od zapalenia stawu zuchwowego kark ci trzasnął... Chru-up! I koniec...

– Niedoczekanie twoje, ścierwo przekłęte! Prędej tobie, łajdaku, głowa z ramion spadnie, niż ja sobie kark skręcę – powiedziała z leniwą złością.

– Ale do Berlina to byś chciała pojechać? – spytałem.

– A kto by nie chciał? Ale doczekać się od ciebie...

– Kto wie, może się i doczekasz – obiecałem mgliście. Przecież Kertis doczekała się wtedy spotkania ze mną w Berlinie. Na przystanku U-Bahnu Zoo. A może ona się nazywała Kernis?

Wstałem z wysiłkiem i chwiejąc się, pobrnałem do kuchni. Ach, bezkresna nasza gastronomiczna pustynio! Otworzyłem lodówkę – dom sierot. Na talerzyku leżą dwie zmarszczone kielbaski, pokryte już malachitową patyną, niczym kopuła Soboru Isakijewskiego w Leningradzie. Topiony serek, przypominający kiel słonina. Słoiczek ketchupu. I to wszystko.

Tfu! Małpa. Nie udało mi się z moją ślubną.

W pojemniku na chleb znalazłem szarą przylepkę, którą potraktowałem jak żołnierski suchar. Rozmoczyłem ją pod kranem i zacząłem z rozkoszą żuć i cmoktać, rozdrabniając na żytnią kaszę. Jadłem ten posiłek nędzarza i z masochistyczną radością użalałem się nad sobą. Proszę – przyszła starość i choroba, a tu nie ma komu szklanki wody mi podać. Choć nie na szklankę wody miałem ochotę, potrzebna mi była szklanka wódki. Ale skąd ją wziąć?

Marineczka, czuła towarzyszka mego życia, suka czerwonoooka, jak kruk krwi mojej łaknie. Z tej pożądlivości staw zuchwowy sobie zwichnęła. A córeczka Majka, gadzina, włóczy się gdzieś po mieście ze swoim bandytą-syjonistą, hańbę i zgubę mi szykuje.

Cznięm na was, krewni moi kochani! Tylko wam się tak wydaje, żeście rodzicowi swemu, staremu faterowi do skóry się dobrali. Ty, Majka, młoda jesteś i głupia, fanaberie masz że ho-ho, po mamuśce swojej Rimmie odziedziczone, tylko swojej siły czarodziejskiej mamcia ci nie przekazała. A ja z natury jej nie miałem. Przeżyłem niczym prostoduszny motylek życie dosyć skomplikowane, powykręcane fantazyjnie, codziennym śmiertelnym ryzykiem najeżone, nawykły do swoich obowiązków. Cóż – nie znamy nie tylko swego jutra, ale i swoje wczoraj nie do końca ogarniamy.

A jeśli ktoś tego nie rozumie, czekają go różne niespodzianki. Marina na przykład ma w życiu jedno namiętne pragnienie – żeby zostać wdową po mnie, a ty, Majka, kochasz bez pamięci swojego odrażającego Żydowina, parcha cholernego. Na całość poszłaś – ojca rodzonego za trzydzieści wymieniających srebrników sprzedawałaś. Smutku gorzkiego, bolesnego sromu, dotkliwego wstydu nie zawahałaś się *faterowi* swemu starfńkiemu przyczynić. Tyle że wola nasza i świadome pragnienie w tej grze niewiele znaczą. Tu trzeba rozumieć tajemny ruch kart. Jakkolwiek byśmy potasowali talię, i jakkolwiek rozdali, i tak wychodzi na jedno: nienawistna Marina nadal jest moją żoną, a ty, Majka, jutro zostaniesz wdową.

Nie wiem, czy można narzeczoną traktować jako wdowę w przypadku przedwczesnego zgonu narzeczonego. Ale tak czy owak, uprzedzałem cię: niepotrzebny on ci jest, Majka! To nie partner dla ciebie. No i widzisz – teraz wyjdzie na moje: po cholere ci mąż nieboszczyk?

I niepotrzebnie się na mnie złościś. Ja ci przecież wyłącznie dobra życzę. I zawsze życzylem. To ja uratowałem ci życie w łonie twojej matki. A i po narodzeniu cię uratowałem – umarłabyś, wążła, półroczna, w więziennym domu dziecka. To ja, ja, ja cię stamtąd wyratowałem...

Nie, nie podasz ty mi szklanki wody w zgrzybiałości mej i niemocy! Sam muszę sobie radzić... Dożyłem do końca chlebową kaszę i, ciężko szurając nogami, powlokłem się do łazienki. Wyjąłem z apteczki brązowy pękaty flakonik z nalewką na porost włosów. To Marina, niepokojąc się, że łysina zaczęła mi odrobinę prześwitywać, odżałowała ze dwieście gramów spirytusu i zrobiła nalewkę na papryce i żeń-szeniu. Wstyd jej zostać wdową po łysym. Nawet w trumnie powinienem dbać o jej reputację... Nic z tego, najdroższa! Niepocieszony i łysy stać będę u twego łoża śmierci, pogrążony w smutku, niemniej całkowicie żywy. A przyszlą łysinę mam głęboko w nosie – teraz zdrowie ważniejsze. Nie mówiąc o tym, że my – antynaukowi idealisci – to, czego nie widzimy i czego sobie nie uświadamiamy, traktujemy jako rzeczy nieistniejące. Rzekomo zaczynającej mi prześwitywać na ciemieniu łysiny nie widzę i nie czuję, a kaca i brak klina – jeszcze jak!

Nalałem płynu na porost włosów do plastikowego kubka – do połowy, dopełniłem zimną wodą z kranu. Ciecz zmętniała, pobieleła, speniła się, jakby ze złości. Aż strach patrzeć, ale przecież to nie armagnac w kryształowym kieliszku!

Wlałem tę lurę w siebie, jakbym rozżarzony nóż wraził...

Złapałem się za futrynę, wsparłem o drzwi, żeby nie upaść, postępując z bólu i wściekłości.

Płyn do włosów ryczał we mnie, kipiał i wybuchał, syczał żółtym płomieniem, kremując moje wnętrze szybko i bez reszty.

Przysiadłem na brzegu wanny, odetchnąłem bezsilnie, i poczułem, jak z krateru tej palącej udręki uniósł się w górę opar rozluźnienia, mgła niepa-mięci, pierwszy obłoczek zbliżającego się spokoju.

Odkręciłem kran i długo pilem, cmokając jak koń, zalewając sobie wodą twarz i pierś. Teraz będzie dobrze. No i widzisz, córciu, dałem sobie radę sam, nie potrzebuję od ciebie szklanki wody. W pełni wystarczyła mi szklanka płynu na porost włosów. No i świetnie! Nie mam do ciebie żalu. Tylu rzeczy nie rozumiesz. I tylu nie wiesz, na szczęście...

Na przykład tego, jak wiozłem cię z domu małego dziecka, gdzie zostałaś oddana po aresztowaniu Rimmy, twojej mamci. Nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc – gdyby ktoś się dowiedział, że cię stamtąd zabrałem, łeb by mi urwali. Albowiem przeznaczeniem twoim było umrzeć w tym właśnie domu małego dziecka, gdzie umieszczono dzieci przestępców politycznych, wrogów narodu, żeby ich złe nasienie nie zachwaszczało nieskazitelnie lazurowego błękitu naszej promiennej przyszłości.

Nie, oczywiście, że nie wszystkie tam umierały! Ale przeżywały z reguły dzieci starsze – te, które potrafiły już same jeść, powiedzieć, co im dolega. Niemowlaki, rzecz jasna, mamie były przygotowane do walki klasowej. Trafiały tutaj nie tylko bez jakichkolwiek badań lekarskich, ale i bez nazwisk. Wyłącznie z numerem – Wielki Boss zapewnił nas, że za straszliwe zbrodnie rodziców dzieci odpowiedzialności nie ponoszą. Syn nie odpowiada za ojca. A córka tym bardziej. I nie ma potrzeby, by niewinne maleństwa dźwigały ciężar hańby, jaką okryte były plugawe nazwiska ich występnych rodziców. Dlatego nazwiska im zabierano, zostawały tylko numery. A potem, jeśli dzieci przeżyły, nadawano im nowe imiona, nowe nazwiska.

Dom Malutki Skuratowa.

I gdybym cię, córeczko, nie zabrał wtedy z tego inkubatora, w którym hodowany był *homo novus*, a ty, na przekór losowi, jaki ci był przeznaczony, zdołałaś mimo wszystko nie umrzeć w tym dziecięcym obozie koncentracyjnym, to żyłabyś sobie teraz śpiewająco, nie podejrzewając, że jesteś Majka Pawłowna Lurie, czy Chwatkina, jak ci tam lepiej pasuje, i nie szykowałabyś się zostać frau Mangust, vel Borovitz. I nie musiałabyś się martwić, że wkrótce zostaniesz narzeczoną-wdową. Przeżyłabyś zupełnie inne życie...

A wtedy wiozłem cię w swojej pobiedzie, położywszy na tylnym siedzeniu. Malutkie zawiniątko w bajowym kocyku, na którym była czarna pie-

część numeru. I żebyś nie stoczyła się na podłogę, ściągnąłem zawiniątko swoim oficerskim pasem, a sprzączkę przymocowałem do klamki.

Wstrząsał mną dreszcz mijającego napięcia i strachu. Z powodu tego bajowego tobołka, który zawierał sześć kilo szkieletu, obciążonego pokrytą liszajami skórą, o mały włos nie załatwiłem się na amen.

Dyrektor domu dziecka, Alechnowicz, powiedział, jękając się, że nie ma prawa wydać niemowlęcia bez pisemnego rozkazu naczelnika Gułagu, generała dywizji Riasnego. Boże, jakich wymyślnych musiałem użyć forteli, żeby poznać twój numer – 07348! Nie miałas przecież ani imienia, ani nazwiska. A ja nie miałem dostępu do twoich dokumentów. A wypytywać szczegółowo było trudno, albowiem za jedno pytanie, które wzbudziłoby czyjąkolwiek podejrzliwość, łeb by mi urwali.

O, wielkie dobrodziejstwo powszechnego kablowania, sycąca manno wszechogarniającego donosicielstwa, ożywczy wietrzyku poufnej informacji! Poprzez trzecie, czwarte, piąte ręce dowiadywałem się, pod jakim numerem zostałaś zarejestrowana – inaczej znalezienie cię byłoby niemożliwe.

W tej grze obowiązywały dwa warunki. Pierwszy – nikt nie mógł ani przez mgnienie oka pomyśleć, że działam we własnym interesie. Inaczej, zgodnie z nieubłaganymi prawami donosicielstwa, mój informator, drżąca przede mną kreatura, od razu stałby się moim panem, posiadaczem mojej najskrytszej tajemnicy.

W grze tej istniał też drugi warunek: o moich manewrach pod żadnym pozorem nie mógł się dowiedzieć Mińka Riumin, który chętnie zapolowałby na mnie na całej linii. Tak, teraz nie miałby już nic przeciw temu, by unicestwić mnie bez śladu, ale przy całej swojej krwiożerczości rzeźnika z bazaru Mińka zdawał sobie sprawę, że nie może mnie jeszcze połknąć, ma za małą paszczkę, może się udławić. Musiał mieć na mnie jakiegoś niepodlegającego dyskusji haka. I wówczas ten tępy bandyta wykonał olśniewający ruch. Osaczył mnie z dwóch stron...

Należy tu wziąć pod uwagę pewną skomplikowaną okoliczność. Z chwilą, gdy w cyrku przekazałem Abakumowowi raport o swoim występym związku z Rimmą, miał on mnie w swojej kieszeni, biorąc pod zastaw moją karierę i moje życie. I dopóki ten krwawy właściciel lombardu piastował swoje stanowisko, byłem nietykalny, stanowiąc część jego majątku. Jednak na skutek absurdałnego splątania dróg życiowych jego protekcja, jego osobista ochrona mego bezpieczeństwa zakończyła się w momencie, gdy właśnie ja zaprowadziłem Abakumowa do celi numer 118 w bloku G więzienia wewnętrznego.

I, zdając sobie sprawę ze śmiertelnego niebezpieczeństwa, jakie niosły ze sobą dalsze kontakty z Rimką, nie mogłem się zmusić do tego, by ją porzucić. Zaczarowała mnie Żydówka przeklęta, zaklęła, urok na mnie rzuciła. Nienawidziła mnie, ale tolerowała. Wciąż miała nadzieję, że wyciągnę z lochu jej dawno nieżyjącego tatuśka. Do głowy jej nie przychodziło, że dawno uleciał on szarym dymem w te strefy wolności, do których nasz nowy minister, Siemion Denisowicz Ignatiew, nie miał dostępu...

A Mińka Riumin za jednym zamachem rozwiązał wszystkie te moje problemy. Zdawał sobie sprawę, że kwitu zastawnego, który wypisałem niegdyś dla Abakumowa, nie dostanie ode mnie, choćby pękł. I postanowił wziąć go od Rimmy. Wysłał mnie na tydzień w delegację do Kijowa i wezwał do siebie Rimkę.

Nie bił jej, nie krzyczał, nie groził swoim strasliwym knutem. Rozmawiał z nią miło, życzliwie, ze współczuciem. A współczuć było czemu – dał jej przecież do wglądu cieniutką teczuszkę z aktami profesora Luriego, oskarżonego o szpiegostwo i sabotaż, którego sprawa została zamknięta w związku ze śmiercią oskarżonego. Tak jest, wasz ojciec dawno nie żyje, Rimmo Moisiejewna, umarł na ostrą niewydolność serca, o, tu jest na ten temat informacja w aktach... A dlaczego byliście przekonani, że jest żywy i zdrowy? Informowano was inaczej? Kto? A czy widujecie się z Pawłem Jegorowiczem Chwatkinem? Nie znacie takiego? No jak to? Dlaczego mówicie nieprawdę? Tak w ogóle to, rzecz jasna, mógłbym was z miejsca zaaresztować... Ale mnie nie są potrzebne wasze cierpienia... Pomyślcie o tym w wolnej chwili... I napiszcie wszystko... Gwarantuję wam...

Ten osioł, nie znając Rimmy, nie mógł zrozumieć, że wypiera się mnie tak kategorycznie nie z miłości i nie ze strachu, a ze wstydu. Jakby ją prosił, żeby mu szczerze, otwarcie, szczegółowo opisała, jak współżyje, powiedzmy, z psem. Z kundlem. Czy z kozłem.

Nic mu nie napisała. I nic nie powiedziała. Mińka nie mógł wiedzieć tego, co ja ze zdziwieniem i niepokojem dawno już u niej obserwowałem. Powoli, nieodwracalnie dojrzywał w niej straszny stan – brak strachu. Zjawisko zawsze i wszędzie patologiczne, a w naszych warunkach – czyste szaleństwo, albowiem skutek jego mógł być tylko jeden – śmierć w męce i pohańbieniu.

Wybór między godną śmiercią a niegodnym życiem nie istniał. Huśtawka losu bujała się pomiędzy plugawym umieraniem a haniebną kaźnią. Mińka z dumą opowiedział mi kawał, za który posadzili dwóch studentów

Instytutu Teatralnego: „Żyjemy jak w tramwaju: połowa siedzi, a reszta się trzęsie”...

Wszechobecny strach, rzecz jasna, nikomu nie gwarantował uniknięcia represji, ale ten, kto go utracił – był bezwzględnie skazany na rychły koniec. Brak lęku w tych czasach przejawiał się, niczym obłąkanie, w zachowaniu, w słowach, w wyrazie twarzy.

Po raz pierwszy zauważyłem u Rimmy oznaki nienormalności właśnie w wyrazie twarzy. Jakoś całkiem niepostrzeżenie utraciła dawną pokorę, zamknięcie w kręgu własnych obaw, smutków i trosk.

Podniosła, niczym Wij, ciężkie semickie powieki, zawsze opuszczone ku ziemi, i popatrzyła mi w twarz. Boże wszechmogący! Jej oczy były ogromne jak jeziora, brązowe i słodkie jak grylazowe iryski. I nie było w nich strachu ani zmieszania. Nawet pogardy i nienawiści nie było.

Na pewno zrozumiała, że ich żydowski czas to niekończąca się, płynąca pierścieniem rzeka, i nie ma sensu bać się mnie, Mińki Riumina czy nowego ministra Siemiona Ignatiewa. Ona i Bossa się nie bała. Była szalona.

Cichym głosem powiedziała:

– Mamie nic nie mów o ojcu. Niech ma nadzieję...

– Dobrze – zgodziłem się pokornie. – Ja przecież i tobie nie mówiłem...

– Wiem. – Szarpnęła głowę i po raz pierwszy zobaczyłem w bujnej szopie jej czarnych kędziorów śnieżnobiałe nitki. Serce ścisnęło mi się z miłości i współczucia, z namiętnego pragnienia, by rzucić się ku niej i przygarnąć do piersi tę piękną, ukochaną, przekłętą głowę. – Wiem. Spakowałam twoje rzeczy do walizki. Zabieraj ją i idź stąd. Na zawsze. Nigdy więcej się nie zobaczymy...

– Zobaczymy się – powiedziałem z przekonaniem. – Jesteśmy z tobą jak kajdaniarze połączeni wspólnym łańcuchem... Nie możemy się rozłączyć. Mamy dziecko...

I w tym momencie ona się roześmiała. Roześmiała się! Po raz pierwszy! Nigdy dotąd, ani razu, nie widziałem, żeby się śmiała! Ale teraz śmiała się i jej twarz, opromieniona złym śmiechem, stała się jeszcze piękniejsza. To była twarz całkiem nieznaney mi kobiety. I wtedy pomyślałem, że warto by zobaczyć, jak ta twarz będzie wyglądała podczas tortur.

– Na moim końcu łańcucha możesz się powiesić – powiedziała spokojnie.

– A dziecko należy do mnie. Mam nadzieję, że nigdy się nie dowie, kim był jej ojciec...

– A kim ja jestem według ciebie? – spytałem szyderczo, choć wcale nie było mi do śmiechu. Intuicyjnie czułem, że wyrwała się z moich sidła. Na zawsze.

– Jesteś katem – powiedziała cicho i beznamyślnie. – Oprawcą, siepaczem, katem. Mordercą. Obojętnym, spokojnym mordercą. Bądź przeklęty na wieki wieków... I nasienie twoje niech będzie przeklęte...

– Cicho bądź, idiotko! Co ty bredzisz? Własne dziecko przeklinasz...

Rimma pokiwała głową:

– Nikt z nas nie wie, za czyje grzechy pokutuje. I Majka jest już przeklęta, i ja jestem przeklęta za to, że nie umarłam, tylko dałam jej życie...

O, terrorze wspomnień!

Odcięła się ode mnie w jednej chwili, bez najmniejszego wahania, a ja po raz pierwszy w życiu poczułem rozdwojenie jaźni. Myślałem wyłącznie o Rimmie – płakałem po niej we śnie, a obudziwszy się, bez ustanku kombinowałem – jak by tu ją bez śladu usunąć.

Rzecz w tym, że na zdrowy rozum należało ją już dawno zlikwidować. Rimma powinna była zniknąć bez śladu. Zwłaszcza biorąc pod uwagę szybko rosnącą potęgę Riumina i jego twarde postanowienie, by mnie załatwić. Związek z Rimką był znakomitym hakiem na mnie. Podtrzymując nasze stosunki, grałem w samobójczym cyrkowym numerze, ostrzejszym niż rosyjska ruletka.

Dopóki mnie jednak nie wyrzuciła, wymyślałem każdego dnia nowe powody i preteksty – byleby tylko przedłużyć jeszcze choć trochę tę nieprzemijającą magię, wonny majak, baśń, omam, długi, czarowny sen na jawie...

Ale zostawić Mińce w charakterze świadka mojej ukochanej, przeklętej Żydówki, która przyszła do mnie z sennego marzenia – nie mogłem.

A i uraza – jątrzący się strup na sercu – nie dawała mi spokoju. Odrywałem Rimkę od siebie z trzaskiem, niczym deskę od płotu. Czasem zauważałem, że odruchowo zaciskam pięści, łapałem się na myśli, że duszę Rimkę, rwę ją na strzępy, wydłubuję jej oczy, bezdenne, brązowe, słodkie jak iryski.

Czerwona mgła zaćmiewająca umysł, narkotyczny kop, jaki daje słony smak cudzej krwi, nirwana mordy...

Na nic takiego nie mogłem sobie pozwolić, byłem przecież profesjonalistą. Należało zlikwidować Rimkę bez śladu – zanim dobierze się do niej Mińka.

I kiedy znalazłem pewny, wykluczający przegraną wariant – okazało się, że się spóźniłem: Mińka uprzedził mnie i posadził Rimkę.

O, kaprysy losu! Ja kochałem Rimkę jak nigdy nikogo na świecie, a mimo to postanowiłem ją zabić. Mińka nienawidził jej i gardził nią – jednym

z ziarenek wrednego judejskiego plemienia – i aresztując ją, uratował jej życie.

Boże, dzięki Ci, że w rezultacie swego wulkanicznego wlotu ta zakuta pała nie zmańdrzała ani na jotę! Mógł przecież, gdyby właściwie wykorzystał Rimmę, dowalić mi tak, że po wieki wieków kości bym nie pozbiierał! Ale miałem szczęście – Siergiejowi Pietrowiczowi Krutowanowowi nie był potrzebny mądry rywal za plecami.

I Mińka, powalczwszy tydzień z Rimmą i nie dostawszy od niej ani jednego dowodu przeciwko mnie, przekazał ją na posiedzenie OSO.

OSO. Magiczne słowo – Nadzwyczajne Posiedzenie Sądu* przy Ministrze Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR, słynna „trojka”. Najwyższe osiągnięcie światowego wymiaru sprawiedliwości, szczyt rozwoju myśli prawnej, najsprawiedliwszy ze wszystkich trybunałów, sąd-areopag, najmędrszy ze wszystkich sanhedrynów!

Trojka! Sąd, gdzie niepotrzebne są sentymentalne głupoty w rodzaju wystąpień przedstawicieli obu stron, gdzie całkowicie zbędne jest nieczne manipulowanie dowodami, gdzie nie istnieją adwokaci, gdzie nie ma nawet samej sprawy i niepotrzebny jest oskarżony. O tym, że był sądzony, skazany przez „trojkę”, dowiaduje się bezpośrednio przed rozstrzelaniem albo – jeśli miał szczęście – już w łagrze.

Ech, trojka! Trojko, jak ptak lotna, kto cię wymyślił? – słusznie zastanawiał się nasz narodowy klasyk. I całkiem rozsądnie zauważył, że mógł cię zrodzić tylko bardzo zdolny naród, ta ziemia, co nie lubi żartować, skąd rozbiegłaś się na pół świata...

Po wizjonersku podkreślił Nikołaj Wasiljewicz Gogol, że trojka – to wcale nie zwykłe sanie, wynalezione przez jarosławskiego czy wołogodzkiego wieśniaka, i woźnica Riumin nie jest w niemieckich zdobycznych kawalerskich butach, i siedzi czort wie na czym...

Półtorej setki lat temu spytał pisarz z jakimś niedowierzaniem: „Czyż i ty, Rusi, nie pędzisz naprzód niczym dziarska, nieposkromiona trojka? Odpowiedz!”

Nie odpowiada. Pędzi. Dwanaście i pół miliona ludzi przewiozła na sobie trojka – na Sybir, na Kołymę, na tamten świat.

Przystanął zdumiony takim dziwem Gogol: nie błyskawica to czasem, grom z jasnego nieba? Co oznacza ten budzący przerażenie pęd? I co za

* *Osoboję Sudiebnoje Sowieszczanije* (OSO).

nieznana siła zamknięta jest w tych wronach koniach, jakich nie oglądał dotąd świat?

Pomyślał, pozastanawiał się obserwator zakichany, nie doczekał się odpowiedzi – trojka odpowiedzi nie udziela, i powiedział nam w sekrecie, tak jak mnie meldowali w raportach moi informatorzy: „mknie, mijając wszystko, co tylko jest na ziemi, i patrząc z ukosa, usuwają się na bok i dają jej wolną drogę inne narody i państwa”...

A Rimmie trojka dała wolną drogę do BAM*-łagru z wyrokiem dziesięcioletnim. Ale odsiedziała tylko trzy lata i siedem miesięcy...

Dowiedziałem się o aresztowaniu Rimmy dopiero na trzeci dzień, i to zupełnie przypadkowo. Dzięki kuriozalnemu zdarzeniu, z jakich składa się długi i nudny dramat naszego życia.

W kancelarii złowiłem skrajem ucha, że kapitan Damkin z drugiego oddziału operacyjnego został poddany aresztowi administracyjnemu i wszczęto przeciwko niemu postępowanie służbowe w związku z faktem spekulacji. Wyszukiwałem w kartotece potrzebne mi dokumenty i słuchałem, jak Kiriasow ze śmiechem opowiada Kati Szugajkinej o idiotycznej historii – Damkin ukradł podczas rewizji maszynę do pisania i odniósł ją wczoraj do komisju. Tyle że w sklepie okazało się, iż maszyna jest nietypowa – wózek chodził w niej nie z prawej strony w lewą, lecz na odwrót, i czcionka to nie alfabet łaciński ani cyrylica, tylko powykręcane żydowskie kulfony.

W sytuacji ogólnego braku zaufania do Żydów fakt ten wydał się pracownikom komisju podejrzany, wezwali gliniarzy, ci zatrzymali Damkina, który okazał legitymację pełnomocnika operacyjnego MGB. Gliniarze dali nam cynk, nasi wysłali patrol...

Przekładałem machinalnie papiery, nie widząc ani jednej litery, cały zamieniłem się w słuch, a serce z łomotem tłukło mi się w piersi. Wiedziałem, przeczynałam, w czym mieszkaniu przeprowadzono rewizję, podczas której kapitan Damkin świsnął starego czarnego underwooda z wózkiem, który przesuwał się w odwrotną stronę.

Maszyna ta stała w byłym gabinecie byłego profesora Lurie, bezimiennego włóczęgi, „specjalnego” klienta krematorium, który siwym dymem uleciał w nocne jesienne niebo półtora roku temu. Naturalnie nikt z tej maszyny nie korzystał – była to pamiątka po ojcu profesora, znawcy Talmudu, filozofie i pisarzu, który układał swoje żydowskie baśnie, posługując się

* *Bajkalo-Amurskaja Magistral* – linia kolejowa na Syberii, zbudowana przez więźniów.

underwoodem o wstecznym biegu i zaszyfrowanych kabalarskich znakach zamiast normalnych ludzkich liter...

Jasne, mógł to być zbieg okoliczności, może w Moskwie była jeszcze jedna taka maszyna, ale Katia Szugajkina szczerze pożałowała Dainkina:

– Jak człowiek nie ma szczęścia, to od rodzonej siostry trypra złapie... Słowo daję, żeby taki niefart! Przecież taka maszyna jedna na milion może się trafić...

A Kiriasow wysunął przypuszczenie:

– Pewnie moški specjalnie chłopakowi świnię podłożyły...

Wyszedłem z gmachu, ze stacji metra Plac Dzierżyńskiego zadzwoniłem do starego domu w Sokolnikach.

Buczał sygnał w słuchawce, a ja stałem w budce zamknąwszy oczy i w ustach czułem gorzki smak przemarzłych pestek jabłka. Wsparłem czoło o szybę, słuchałem długich, urywanych dźwięków i czułem, jak pali mnie i piecze pod powiekami. Zapomniałem już, że rano zamierzałem zastrzelić Rimkę z pistoletu kapitana Sapiehy, małego niklowanego browninga, który wręczył mi były minister, a obecnie więzień, W.S. Abakumow. Ten pistolecik miał połączyć ze sobą losy dwojga przepadłych bez śladu istot.

Myślałem o okrutnym losie, jaki czeka moją głupią żydowską kretynekę, carewnę moją ukochaną, czarodziejkę moją przekłątą. Myślałem o tym, jak będą ją godzinami trzymać na nogach, w czasie stójki, bić na przesłuchaniach, morzyć głodem, jak będą ją gwałcić konwojenci i strażnicy, lizać kryminalistki-lezby. Od tej myśli poczułem tak piekielny ból, że nagle jęknąłem na głos, a przechodząca obok kobieta spytała:

– Źle się pan czuje?

Nie, nie, nic takiego... Wszystko w porządku...

Nikt nie podnosił słuchawki w Sokolnikach – nie wiedziałem jeszcze, że w dniu, gdy aresztowano Rimkę, jej matkę zabiła apopleksja i Fira zniknęła bez śladu w jednej z tych wspólnych mogił dla ludzi bez rodu, plemienia i nazwiska.

A Majkę odwieziono do Domu Małego Dziecka i przekazano na podstawie zlecenia o numerze 07348.

I teraz ten białoruski trep, Alechnowicz, jękając się ze strachu, z pogroźką w głosie mówi, że bez decyzji naczelnika Gułagu-u nie może wydać mi Majki. Że niby nie ma prawa.

Ach, ty bulwo buraczana! Zaśmiałem się pobłaźliwie i wyjąłem z górnej kieszeni legitymację w kolorze wiśniowym, ze złotym tłoczonym napisem „MGB ZSRR”. Otworzyłem ją i pokazałem Alechnowiczowi tak, że duży

palec przykrywał – zupełnie przypadkowo – górną część zdjęcia. Alechnowicz wyciągnął drżącą dłoń, a ja cofnąłem legitymację.

– Bez rąk! – warknąłem półgłosem. – Co to, czytać nie umiesz?

Wytrzeszczając oczy, Alechnowicz przeczytał na głos drętwiącymi wargami:

– „Naczelnik Wydziału Śledczego do Spraw Specjalnych MGB ZSRR, pułkownik Michaił Kuźmicz Riumin”... – Głos jego zamarł w schrypłym szepcie.

Tak, przyszło mi zapożyczyć się u byłego przyjaciela, a obecnego zwierzchnika. Był na trzydniowym zwolnieniu w szpitalu, przecież tak cenni ludzie muszą kontrolować stan swego zdrowia wyjątkowo starannie. A jego żona, Wala Cybikowa, przyjmowała w tym czasie mnie.

Nie powiedziałem jej, rzecz jasna, że wziąłem sobie z domowego gabinetu Mińki jego czerwoną książeczkę. Przecież żyliśmy w świecie pogańskim, z jego wszechogarniającym systemem amuletów, tabu i świętych symboli. Jednym z najświętszych i najbardziej nietykalnych były nasze służbowe legitymacje – za jej utratę pracownik momentalnie wylatywał z organów. Jasne, w owym czasie Mińka miał już taką pozycję, że nie wyrzuciliby go z powodu głupiej czerwonej książeczki, ale nawet dla wiceministra utrata legitymacji służbowej wiązałyby się ze znacznymi nieprzyjemnościami.

A ja chciałem po prostu podłożyć Mińce świnię, nie domyślając się jeszcze, jak przyda mi się jego dokument w rozmowie z Alechnowiczem. I świsnąwszy legitymację, radowałem się świadomości własnej bezkarności, jako że Mińce w głowie by nie powstało coś takiego – całkowita utrata czujności przez jego ukochaną małżonkę Cybikową, która nie tylko gacha do łóżka wpuściła, ale w dodatku umożliwiła mu spokojne grzebanie w biurku swego przebywającego na zwolnieniu małżonka.

Świat to szalenie skomplikowana konstrukcja. Opierający się Alechnowicz uratował Mińkę od nieprzyjemności, jako że postraszywszy jak należy białowłosego, białookiego Białorusa, wyrwawszy Majkę z domu Malutki Skuratowa, tego samego wieczoru pojechałem do Cybikowej i po cichu położyłem legitymację na miejsce. Teraz ważne było dla mnie, żeby nadal przebywała u swego prawowitego gospodarza...

I powiedziałem do Alechnowicza niemal życzliwie:

– Moje nazwisko jest wam, naturalnie, znane?

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku... – poruszył zdrewniałymi wargami Alechnowicz.

Powoli zamknąłem legitymację i niespieszным ruchem włożyłem ją do kieszeni.

– A nazwisko niemowlęcia o numerze 07348 jest wam znane?
– W żadnym wypadku, towarzyszu pułkowniku – pokręcił głową dyrektor specobozu koncentracyjnego dla dzieci. – Przecież przekazują je nam na podstawie nakazu...

– Bardzo dobrze. – Skinąłem głową i dodałem: – Dobrze dla was.

– Dlaczego? – zdziwił się ten świniopas w białym kitlu.

– Dlatego, że najlepiej będzie dla was, dla waszego własnego spokoju, jeśli zapomnicie i ten numer... Możecie przyjąć, że ze względu na bezpieczeństwo państwa – tu wskazałem palcem portret Berii na ścianie – to dziecko nigdy nie zostało wam przekazane, nigdy go u was nie było i nikt go od was nie zabierał... Macie zapomnieć wszystko raz na zawsze...

– Ale bez decyzji generała Riasnego... – wyjąkał Alechnowicz. – Odpowiadam za te dzieci...

– To już wasz problem – zaśmiałem się. – Na pewno dzieci u was chorują, umierają... Zresztą Riasny nic nie ma tu do gadania. To tyle. Dawajcie dziecko, i to szybko. I zapamiętajcie jeszcze jedno... O to niemowlę nikt was nigdy nie powinien pytać. Ale gdyby mimo wszystko pojawił się ktoś, kto interesowałby się jego losem, skierujcie go do sekretariatu Ławrentija Pawłowicza Berii. Tam zaspokoją jego ciekawość...

Nigdy więcej nie widziałem Alechnowicza. Nie wiem, co się z nim stało – może się rozpił, może został profesorem nauk pedagogicznych, może umarł.

Co do jednego nie mam wątpliwości: nawet na Sądzie Ostatecznym, przed obliczem Boskim nie zająknie się na temat losu niemowlęcia, przekazanego na podstawie zlecenia nr 07348...

Na lotnisku Wnukowo wręczyłem ten skrzący, zasikany tobolek mojemu ojcu, którego poprzedniego dnia wezwałem telegramem do Moskwy. Wsadziłem ich poza kolejką w wieczorny samolot i odlecieli do Soczi, gdzie pod osłoną moich znajomości rodzice prowadzili uzdrowiskowo-kułackie gospodarstwo. A po miesiącu mój tata za niewielką łapówkę w radzie wiejskiej wyrobił Majce dokumenty i załatwił jej adopcję. Tak że widzisz, Majka, jakie to wszystko skomplikowane – jesteś dla mnie i córką, i siostrą zarazem. I okropnie mi przykro, że po tych wszystkich komplikacjach twój narzeczony, Mangust, będzie musiał jutro umrzeć, pozostawiając cię w roli nieformalnej wdowy, a mnie pogrążając w smutku podwójnie: i po narzeczonym córki zapłacę, i po absztyfikancie siostry lżę uronię.

Cicho i spokojnie było w zielonawym półmroku łązienki. Rozgałęzione wodorosty wspomnień ukryły mnie, schowały, rozgrzały, wzruszyły przyjemnie. Całkiem niesłusznie nazywała mnie Rimma mordercą i potworem.

Nieprawda, wcale mi się to wszystko nie podoba. Konieczność mnie zmusza. Ja przecież nie szukałem Mangusta, to on mnie znalazł. Znalazł – i pikliwym głosem Mariny zaczął się drzeć pod drzwiami łazienki:

– Wyłaż, do jasnej cholery! Twój Niemiec żydowski dzwoni. Koniecznie chce z tobą rozmawiać...

No i widzisz, synku – nie ja jestem katem, tylko ty – gluptasem, skoro nie chcesz się odczepić.

20. Nie, nie masz racji, Fauście...

Świdrujący, przenikliwy głos Mangusta niczym bormaszyna przebił mi błonę bębenkową, jak wiertło wdarł się w mój drzemiący mózg, ukołysany wspomnieniami, otumaniony płynem na porost włosów.

Ciekawe, czy od wewnątrz, poprzez krew, ten płyn też działa na łysinę? Czy tylko poprzez wcieranie? Warto wiedzieć...

– Co chciałby pan wiedzieć? – powtórzył Mangust.

– Chciałbym wiedzieć, gdzie ty się podziewasz, zięciu mój kochany! Teraz już przecież jesteśmy niczym papużki nierozłączki...

– No proszę, nigdy bym nie pomyślał, że stęskni się pan za mną, drogi *fater* – zaśmiał się sucho Mangust.

– I nie masz racji! – zapewniłem gorąco. – Dla mnie rozmowy z tobą to i ból, i błogość zarazem! Dusza ożywa...

– Gotów jestem panu pomóc pod tym względem – parsknął Mangust.

– Ano właśnie! Kołaczcie, a będzie wam otworzone, jak powiedziano w Piśmie – zacytowałem z lubością.

Magnust z tamtej strony drutu widać z radości aż głową pokręcił – dobiegł mnie brzęk jego łańcuszków, wisiorków i naszyjników:

– Nie wątpię, że w swoim Wydziale posługiwaliście się na co dzień tym przykazaniem*!

– Bywało, bywało... – zgodziłem się lekko. – I sami kołataliśmy, i na kołatanie otwieraliśmy. Sam widzisz: w mojej i twojej pracy bez kołatania ani rusz...

– Moja praca jest inna niż pańska – stwierdził zimno.

* Gra słów. „Kołaczcie” to po rosyjsku *stuczitie* (stukajcie), a równocześnie *stukar'* to w języku potocznym donosić, kablować.

– No, tego nigdy na pewno nie wiadomo. W każdym razie przed zakończeniem pracy... Ale nie w tym rzecz. Ostatnio przyszła mi do głowy pewna bardzo istotna myśl...

– Zauważyłem już, że nieistotne myśli nie przychodzą panu do głowy – z powagą powiedział Mangust.

– Słusznie zauważyłeś, synku. I dla ciebie jest tu nad czym się zastanowić: Faust nie miał racji!

– W jakim sensie? – stropił się Mangust.

– Nie po to, co trzeba, zwracał się do Mefistofelesa, nie o młodość należało go prosić...

Mangust wstrzymał się przez chwilę z odpowiedzią, na pewno szybkoćku kombinował swoim chytrym żydowskim rozumkiem – co za świnię zamierzam mu podłożyć?

– A o co należało prosić Mefistofelesa? – zadał w końcu przewidziane dla niego pytanie.

– O długie życie. Rozumiesz? Nie o przywrócenie młodości – żaden z tego pożytek, tylko o przedłużenie starości. Trzeba się było targować nie o przeszłość, a o przyszłość...

Mangust zastanawiał się przez moment.

– Nie... Ta pańska myśl nie jest zbyt trafna.

– Dlaczego? – zdziwiłem się.

– Dlatego, że nie rozumie pan warunków gry. Nie jestem Mefistofelesem i kupować pańskiej duszy nie mam zamiaru. Zresztą najprawdopodobniej nie ma pan nic do sprzedania. Brakuje panu towaru...

– A czegoś ty chcesz?

– Żeby pan za swoją przyszłość zapłacił swoją przeszłością...

– Głupia transakcja – westchnąłem. – Zwykle za swoją przeszłość płaci się przyszłością...

– Tak – przyznał Mangust. – W wypadku, gdy ktoś szuka zemsty...

– A ty?

– A ja chcę sądu. Prawdy. Nauki dla innych ludzi.

– W takim razie niełatwą znalazłeś sobie robótkę – powiedziałem ze współczuciem.

– Nie szkodzi, nie narzekam. – I zapewnił mnie: – Starczy mi sił...

Głupia, zarozumiała bestia, sama rwąca się w sidła. W porządku, jeśli potrzebny ci jest sąd – jestem gotów. Przyjdę ze swoim adwokatem. Z Sieńką Kowszukiem.

Mangust, zaniepokojony moim milczeniem, szybko zaproponował:

– Może się spotkamy? Pospacerujemy sobie, porozmawiamy... A potem, jeśli będzie pan miał ochotę, zjemy razem obiad...

Aha... Ja jeszcze naszego poprzedniego obiadu nie strawiłem. Pospacerujemy... Boi się podsłuchu... No dobra.

– Z chęcią – zgodziłem się. – Podaj czas i miejsce...

– Za godzinę. Koło pańskiego domu, na ulicy...

Sądu mu się zachciało! Widzieliście go... Może bym się i nie sprzeciwiał, żeby za pomocą mojej przeszłości dał naukę przyszłym pokoleniom, gdyby w ten wielki proces budowania prawdy nie zaplątał się pewien nieistotny drobiazg – moja teraźniejszość. Mój gorzki, bezsilny, beznadziejny, skacowany dzień dzisiejszy. Przyszłe pokolenia, które dzięki Mangustowi będą żyć odtąd wyłącznie w prawdzie, i bohaterowie okropnej przeszłości, przepadłej jakby na zawsze – wszyscy oni mają gdzieś mój dzień dzisiejszy. A ja nie. I proszę nie zapominać o drobnym, ale dość istotnym szczególe: ja – to jedyny most, który łączy z sobą otchłanie zetłalej przeszłości i nieziszczono-ego jeszcze jutra.

Dlatego z głębi gorącego serca, z całą partyjną pryncypialnością zawołam na cały świat: nie chcę! Nie chcę, żeby nieprzeliczone hordy umarłych, zamęczonych, zabitych szły po mnie – po moście – z przeszłości w przyszłość.

Jest ich tak wielu i tak zgodnie będą wołać o sąd, o sprawiedliwość, o karę, że powstanie rezonans. I most – moja teraźniejszość – zadrży, trzaśnie, runie w topiel niebytu.

Nie, drogi zięciu, nie mogę wyjść panu naprzeciw.

Odmawiam.

A w trybunale, który powołał pan nielegalnie, pozakonstytucyjnie, niezgodnie z prawem, moje interesy – jestem o tym przekonany – potrafi godnie reprezentować mój stary adwokat, wierny mój obrońca praw człowieka Siefika Kowszuk. Winien on przekonująco i w sposób solidnie uargumentowany wyjaśnić, dlaczego, w jakich okolicznościach i w jakim celu został pozbawiony życia w obozie Persza, należącym do Peczorskiego Systemu Łagrów Głównego Zarządu Łagrów MGB ZSRR, więzień Eleazar Abramowicz Nannos, lat siedemdziesiąt sześć, odbywający karę z artykułów 58-1, 58-10, 58-11 i 59-3 w skromnym wymiarze dwudziestu pięciu lat.

Należy koniecznie wziąć pod uwagę, że polityka penitencjarna radzieckiego systemu prawnego nigdy nie uważała kary za cel sam w sobie, a już broń Boże za zemstę czy odwet, a miała na celu wyłącznie reedukację niedostatecznie uświadomionych współobywateli. Zakładało się, iż w pełni zredukowany Eleazar Nannos w kwiecie wieku – będzie miał raptem sto

jeden lat – wyjdzie po odbyciu kary na wolność i rozpocznie nowe, szczęśliwe życie. Żadne przeszkody na drodze do realizacji tego celu nie były przewidziane. Tyle że on sam tego nie chciał, z głupoty swojej i żydowskiego uporu wolał umrzeć. Jak to się mówi – wolna wola...

Audi, vide, sile.

W tym czasie mieliśmy już nowego ministra, Siemiona Denisycza Ignatiewa. Spadł jak grom z jasnego nieba! Taki sobie bezdzwięczny, niezbyt rzucający się w oczy grom...

Po aresztowaniu Abakumowa w Wydziale stało się jasne, że cała kompania Berii ma przechlapane. Na proscenium wyszedł szwagier i pupil Malenkowa, Krutowanow. To on wywalił Abakumowa, na podstawie jego materiałów wszechwładca naszego bezpieczeństwa został osadzony w celi numer 118 bloku G i nikt nie miał wątpliwości, że jak nie dziś, to jutro Krutowanow przesiądzie się do gabinetu Prezesa Zarządu Towarzystwa Ubezpieczeniowego Rosja.

A przecież nie nadszedł żaden rozkaz o pozbawieniu Abakumowa godności ministra! I żadnego rozporządzenia o wyznaczeniu kogokolwiek na stanowisko pełniącego jego obowiązki też nie było. Cuda! Czysta fantastyka! Pociąg z przekłętej przeszłości w świetlaną przyszłość jechał bez maszynisty. Automatyzm dyscypliny strachu gnał nasz parowóz naprzód. Następnym przystanek – komunizm.

Opustoszała tylko poczekalnia Abakumowa – długi „wagon”, zniknął bez śladu konduktor Koczegarow i całą poranną pocztę noszono do podpisu Krutowanowowi. Teraz w jego poczekalni dyszał strachem i wzburzeniem tłum generałów, który momentalnie przewędrował tu z „wagonu” Abakumowa. Nie wiem, kiedy spał w owym czasie Krut, gdyż wyjeżdżał z Łubianki około siódmej rano, a o dziesiątej trzydzięści – świeży, nienagannie uczesany, w eleganckim garniturze, pachnący angielską lawendową wodą kolońską – rozpoczynał codzienne zebranie operacyjne. O trzeciej jechał na obiad, o szóstej wracał do gabinetu. A potem do rana – referaty, raporty, wytyczne, opeery, polecenia, instrukcje.

Teraz on prowadził grę.

Nie wiem – i nikt się nigdy nie dowie – czy obiecał mu coś Wielki Boss, czy szepnął mu o czymś szwagier, czy też rozumiało się to jakoś samo przez się, a może swoją inicjatywą, wyraziście zademonstrowaną wiernością, gigantyczną pracowitością chciał udowodnić, że nie ma i być nie może innego pretendenta do fotela głównego ubezpieczyciela Rosji.

A cała szajka Berii cofnęła się daleko w głąb boiska, na pozycje obrony. Jakby paraliż ich chwycił – władza wymykała im się z rąk. Było oczywiste, że Najwyższy Boss w tej rundzie zdecydował się dać po uszach swemu mingreelskiemu bratu* Ławrentijowi i wynieść w górę chama z gębą jak u baby, Malenkowa.

Śmieszne... W rękach krwiożerczych wojowników Berii spoczywało trzy czwarte mocy najstraszliwszego mechanizmu karania na świecie. Wystarczyłoby, żeby sprawnie zabrali się do działania, a nie tylko z Malenkowa i jego kompanii, ale i z samego na pół zdechłego dziadygi Soso Dżugaszwilego nie zostałby nawet smród.

Ale konstrukcja tej diabelskiej maszyny polegała właśnie na tym, że nie byli w stanie skrzyknąć się i umówić nawet w obliczu realnego zagrożenia wspólną katastrofą.

Siedzieli w swoich wspaniałych gabinetach i pokornie, cierpliwie czekali na rozkaz o mianowaniu Kruta ministrem, po czym mieli zostać rozeznani, zdegradowani, część aresztowana, a ten i ów zabity.

Albowiem wiedzieli jedno – nie wolno się umawiać! Trzydzieści lat z okładem – bez wolnych dni, świąt i urlopów – żyli dziwnym życiem, które w całości, wyłącznie, bez reszty składało się z kłamstwa, obmowy, intryg, donosicielstwa, wszechobecnej zdrady, obowiązkowej obłudy, pochlebczej hipokryzji, lokajskiej unizoności i katowskiego braku miłosierdzia. I zapamiętywali jak pacierz, że każde ludzkie zachowanie, każdy odruch normalności jest karany więzieniem i śmiercią.

Porażający fakt – miliony ludzi stracono tu za uczestnictwo w spiskach. A ja jestem pewien, że pierwszy prawdziwy spisek w tym kraju został zawiązany dopiero wtedy, kiedy przestano karać za spiski nieistniejące! Tak, tak, tak! Jestem pewien, gdyż to ja byłem pomysłodawcą, sprężyną i realizatorem tego spisku!

Zaświadczam: to był wymyślony we właściwym czasie, prawidłowo zorganizowany i z głową zrealizowany spisek.

A nazywał się on: „Likwidacja wroga narodu, angielskiego szpiega, musawatyści i dasznaka**”, członka Prezydium KC KPZR, pierwszego zastępcy Prezesa Rady Ministrów ZSRR Ł.P. Berii”...

* Mingrele albo Megrele – południowokaukaska grupa narodowościowa, żyjąca w północno-zachodniej części Gruzjińskiej SSR.

** Dasznacy – członkowie armeńskiej partii Dasznakcutiun, uchodzącej za burżuazyjno-nacjonalistyczną oraz kontrrewolucyjną; mussawatyści – członkowie analogicznej partii gruzińskiej.

Ale miało to miejsce dopiero za dwa i pół roku, a wówczas wszystkie te krwawe zgredy pochowały się po norach i czekały ze strachem na mianowanie nowego ministra bezpieczeństwa państwowego ZSRR.

I wreszcie gruchnęło... Towarzysz Stalin udowodnił wszystkim, dlaczego ani Ławrucha, ani Malenkow, ani Kaganowicz – w ogóle nikt z jego szajki nie może się z nim mierzyć.

Mianował ministrem Siemiona Denisowicza Ignatiewa.

Nie chwackiego, nieustraszonego lotrzyka Krutowanowa, nie wyrafinowanego kata Kobułowa, nie terrorystę Sudoplatowa, nie szpiega Fitina, nie mordercę Ruchadze i nie któregoś ze swoich podrastających, cienkoszyich młodych atamanów.

Ignatiewa! Minister nicości państwowej, Siemion Denisycz – ani osobowość, ani profesjonalista w dziedzinie śledztwa – mógł zagwarantować Bossowi jedno: bezlitosną walkę klanów w Wydziale wraz z nieuniknionym informowaniem góry o każdym nielojalnym słowie czy zachowaniu konkurenta. I o to chodziło!

O wielka, wyrafinowana kapryśności zakrętów losu! Szerniał, skamieniał ze złości i poniżenia Krut, a ja wreszcie, po raz pierwszy od tygodni, mogłem westchnąć z ulgą. Albowiem klucze od głównego zbiornika tajemnic Abakumowa, gdzie leżało moje dossier na Kruta, trafiły do kieszeni tej ponurej istoty o ciężkim nosie, nowego głównego ubezpieczyciela Rosji o pozbawionej jakiegokolwiek wyrazu twarzy.

Drugiego dnia pracy Ignatiew zarządził zebranie całego rozszerzonego kierownictwa i aktywu ministerstwa. Mińka przez zaciśnięte zęby wycedził: „Siergiej Pietrowicz Krutowanow kazał, żebyś był obecny”. Z jego gęby widać było, że nie akceptuje decyzji szefa – na diabła komu obecność szeregowych urzędników, skoro ja i wy, towarzyszu generale, i tak stoimy już niemal przy samym źłobie... Ale ja od razu się zorientowałem, że Krut, ten diabeł wcielony, planuje nowy zakręt niekończącej się intrygi w walce o ten śliski, niepewny fotel.

Ze wszystkich cnót Ignatiewa największe wrażenie zrobiło na mnie jego zamilowanie do higieny. Na biurku leżał koło niego stosik białych papierowych serwetek, i kiedy rozlegał się dzwonek telefonu rządowego, Ignatiew brał serwetkę, starannie owijał nią słuchawkę i dopiero wtedy podnosił ją do ucha: „Słucham, Ignatiew...” Z paroma osobami spośród obecnych przywitał się uściskiem ręki i od razu z błękitnego flakonika spryskał dłoń perfumami Ognie Moskwy i starannie wytarł ją serwetką.

I wyrzekł do nas swe pierwsze słowo, ważne i groźne:

– Dość!

Wszyscy zamarliśmy, a on rozwinął myśl:

– Dość, towarzysze, tej ffeijności, tego liberalizmu! Pora, żebyśmy zabrali się do roboty i wszystkich naszych wrogów, wrogów naszej ojczyzny, partii i towarzysza Stalina ffcili ostro za kark!

Zerknąłem na rozanielone lico Mińki Riumina i zrozumiałem, że odtąd z szacunku dla dykcji nowego ministra będzie zwracać się do mnie per „Ffatkin”.

A Ignatiew tokował w upojeniu:

– Dość ffalenia się i raportowania o sukcesach! Odtąd będziemy je musieli zademonstrować...

O tak, jego wymowa robiła silne wrażenie. Kwakające, bulgocące mamrotanie. Do wczoraj był kierownikiem wydziału partyjnych, związkowych i komsomolskich organów KC WKP(b). Wąską specjalista od organów.

– ...i wtedy partia postawi piątkę nam, jeśli wszyscy będziemy pracować tak, jak pułkownik Riumin... – ciągnął minister.

Mińka dumnie, acz wstydliwie opuścił prosiące oczka.

– A pracować na trójkę z minusem albo na dwójkę z plusem nie pozwoli nam towarzysz Stalin... Groźba syjonistycznej agresji rośnie...

Z pewnością Ignatiew był kiedyś nauczycielem. Nie, nauczycielem był ojczulek Nestor Machno. A ten właśnie mówi, że rozpoczął swoją karierę od prestiżowego stanowiska posterunkowego w Chersoniu.

Ach, papo Jo, wyrafinowany smakoszu ostrych dań! Co za niezwykle upiekleś nam wszystkim przekładaniec – ze zbrodniarzy i tumanów, katów i zer.

S.D. Ignatiew – Służbisty Dureń, *Sicherheitdienst* naszego bezpieczeństwa – wciąż mówił, gulgotał, wyjaśniał, wystawiał nam wszystkim oceny, a po jego obrzęklej twarzy o cienkich, złych wargach niespokojnie pelzały kosmate, szare brwi, jak syte myszy po talerzu.

Niewątpliwie bardzo mu się podobało zostać ministrem, gdyż mógł wszystkich pouczać i stawiać oceny. Ani na chwilę nie zastanawiał się, czym się to skończy.

A było nad czym się zastanowić, oj, było.

Nieodkupiony grzech Kaina – zabójstwo bliźniego swego – uczyniono zasadą, osnową nieprzerwanego potoku przemysłowej produkcji. Logika zdarzeń, czy raczej pozbawiony jakiegokolwiek logiki absurd tego, co się zdarzało, podpowiadał, że wkrótce w naszej kotłowni nastąpi wielka zmiana wachty.

Bo tak w ogóle to przecież naturalne, że sadza się Tupolewa za to, iż sprzedał Messerschmittowi plany myśliwca. I niech nie próbuje tłumaczyć się tym, że nigdy nie projektował myśliwców, a wyłącznie bombowce. To detal.

Nic szczególnego nie ma w tym, że przymknęli profesora Gumilowa, który odmówił dobrowolnego datku na pomnik Iwana Groźnego. Przyjdźcie, powiedział, kiedy będziecie zbierać na pomnik Maluty Skuratowa. Jasne, kogo miał na myśli.

Normalne, że aresztowano osobistego lekarza Stalina, który zamierzał powoli truć go za pomocą trutki na myszy. Tenże Winogradow przyznał się do wszystkiego, kiedy go wzięli, i dodał przy tym: tylko ludzie i szczury zabijają sobie podobnych, nie doświadczając uczucia głodu...

Jasne, to nic strasznego, że pozamykali już prawie wszystkich – od pedałów do esperantystów, od Niemców do Gagauzów, trzynastoletnie dziewczynki i otępiałych staruszków.

W pełni naturalne wydawało się, że pożar i dzuma terroru przedarły się na bratnie ościenne terytoria. W Bułgarii ich Wydział – Wytriasznije Raboty – wytrząsał flaki z Kosty Trajczewa i jego współpracowników. W Rumunii dzielna Securitate Siguranca rozszyfrowała pajęczą szpiegowską sieć Any Pajker. Czechosłowacka Statni Bezpečnost zabezpieczyła skuteczne wypadnięcie z okna Masaryka i zabrała się za Rudolfa Słanskiego. Laszlo Rajk poleciał z Budapesztu prosto do raju. A titowska Gławniacza młóciła kogo popadnie, wszystkich jak leci. Podobała mi się nazwa jugosłowiańskiego Wydziału – Gławniacza, choć, rzecz jasna, najglówniejsi byliśmy my.

Audi, vide, sile.

Stopniowo robiło się jednak coraz gorzej.

Strach było pomyśleć, że w tym samym gmachu, w celi 118 więzienia wewnętrznego, siedzi wczorajszy minister Abakumow, a sąsiednie cele pomalutku wypełniają się jego zausznikami i pomagierami. Jeśli za jednym zamachem przenosi się z gabinetów do cel dwudziestu dziewięciu generałów Wydziału – to znaczy, że cała wachta wkrótce zostanie wymieniona.

I nie zdawały sobie z tego sprawy tylko takie głupki jak nowy minister Ignatiew, albo ci, którzy po prostu bali się o tym myśleć, ogłuszeni gromkim apelem „Bij Żyda!”, które to hasło świat ukochał od czasu zburzenia ich świątyni.

Wiedziałem, że wkrótce zacznie się wielkie mordowanie, po prostu ogólna masakra, w której polegną wszyscy – i prawi, i winowajcy. Tym bardziej

że żadni prawi już nie istnieli. Wszyscy byli winowajcami, jako że nawet do ludzi przestali być podobni, zmienili się w jakieś dziwne istoty, jakby nie przyszli na świat w normalnych porodówkach, tylko zostali wyjęci z osobliwych pieców do wypalania czy spadli z taśmy produkcyjnej, i przyjmowały ich nie położne, tylko kontrolerzy jakości technicznej.

Tak, życie zbliżyło się do granicy powszechnego odczłowoczenia. Głodni, zidiociali ze zmęczenia obywatele, przebudziwszy się rankiem, zanosili dziękczynną modlitwę do Najwyższego Bossa i zaczęli kląć Żydów kosmopolitów, przez których niewdzięczny, pazerny świat zapomniał, że proch wymyślili wcale nie Chińczycy, tylko ruski wynalazca Wasilij Porchow, kompasem posługiwano się już w czasach kniazia Igora, parowóz Polzunowa popelzł, buchając parą, wcześniej niż parowóz Fultona, a drań Marconi zerznął radiodbiornik od Popowa, i nie było żadnego Gutenberga, ponieważ jako pierwszy wydrukował książkę diak Fiodorow – nieważne, że sto lat po Niemcu z Meinz, był pierwszy i już, Paryż rozbłysł elektrycznymi lampami Jabłoczkina, najlepsze na świecie jabłuszka wyhodował Miczuřin, który zginął, strącony przez szpiegów-wajsmanistów z wyhodowanej przez siebie żurawiny, a pierwszy samolot na świecie skonstruował Możajski, nieważne, że przypominał on skrzydlaty parowóz i nigdy nie wzbił się w powietrze...

A pod każdym innym względem ludzie ci powinni być szczęśliwi, albowiem dzięki nam byli jak ptaki niebieskie – pozbawieni trosk. Nie śmieli wspominać o dniu wczorajszym i bali się myśleć o jutrze. Dziwnie niefrasobliwy żywot – nikt, kto zaczął rankiem orać brudę w polu, nie wiedział, czy skończy ją wieczorem. I rozpalając ogień w piecu, nie wiedział, czy zdoła spróbować chleba z tego wypieku.

Tak, ten świat był gotów, żebyśmy go wykończyli. I my też byliśmy do tego gotowi. Mieliśmy nadzieję, że nie będzie nam w tym przeszkadzać nowy minister, który obwieścił obecnie:

– Nie istnieją żadne przeszkody, żebyśmy pracowali efektywnie! Z problemami państwowymi będziemy się zwracać do towarzysza Stalina, ze sprawami dotyczącymi resortu proszę śmiało zwracać się do mnie, ffordzić bez względu na porę, rozpatrzę wszystko bez zwłoki. Musi nam to wyjść, towarzysze!

No cóż, istotnie nam wyszło – bokiem. Zwróciliśmy się do Ignatiewa z wielką sprawą operacyjno-śledczą „Lekarze-mordercy”, a teraz Mangust zwraca się do mnie z pytaniami i roszczeniami.

Co, ja mam za nich odpowiadać? Obawiam się, że to nadmiar łaski dla mnie, skromnego specjalisty od techniki bezpieczeństwa, oczywiście bez-

pieczeństwa państwowego. Pomysł był mój, co prawda, to prawda. No, ale sama sprawa – to zadanie absolutnie nie na moje siły. Myślę, że wyłącznie na pierwszym zebraniu organizacyjnym w sprawie lekarzy-morderców S.D. Ignatiew zebrał więcej ludzi, niż pracuje ich w całym twoim plugawym Mosadzie, drogi zięciu!

S.D. Ignatiew w milczeniu, nie przerywając, słuchał referatu Krutowanowa. Z pewnością miał wielką ochotę przerwać swemu błyskotliwemu zastępcy, pouczyć go, wystawić mu ocenę, ale niezbyt dobrze się orientował w specyfice operacyjnych kombinacji i obawiał się, że może palnąć jakieś głupstwo. A że jak każdy pracownik partyjny przywykł wkładać całą duszę w każdą sprawę, którą zlecono mu przedwczoraj, ciężkimi westchnieniami kwitował słowa Krutowanowa o zbrodniczych knowaniach profesorów trucielei.

Ignatiew znaczył referat Kruta westchnieniami, jak znakami przestankowymi – były nawet westchnienia pytające.

– Naród i partia nie wybaczą nam, jeśli nie wyrwiemy tych ffastów z korzeniami – pouczył nas.

A to prymityw! Mimo wszystko jednak lepszy niż krwawy zbój Abakumow... Czytałem to w twarzy Kruta i zgadzałem się z nim.

Wkrótce jednak okazało się, jak bardzo się obaj myliliśmy. Nie doceniliśmy S.D.

Niepokromiony bojownik Krutowanow, już kombinując następny rozdział intrygi, szepnął do mnie po koleżeńsku, z zaufaniem;

– Niezły gość z tego Siemiona Denisycza! – Pomilczał, przygryzł wargę i dorzucił: – Szkoda tylko, że jakiś taki kusy...

A kusy facecik Ignatiew, rozejrzawszy się pomalutku, umościwszy się wygodnie w ministerialnym fotelu, zapoznawszy się z grą i jej uczestnikami, zaznajomił się również bez pośpiechu ze spizarnią tajemnic w swoim sejfie, należącym niegdyś do Abakumowa. Znalazł moje dossier na Kruta, wywłócił je z bezdennej głębi głównej przechowalni tajemnic państwa i zręcznie je wykorzystał...

Ale to było potem. Wtedy zajmowaliśmy się nadawaniem kształtu sprawie, nad którą pracowaliśmy. Stworzona specjalnie dla Mińki Riumina komórka do spraw specjalnych wyodrębniła się z wydziału śledczego na prawach głównego komitetu i rosła jak na drożdżach. Wkrótce na Mińkę pracowało ponad stu śledczych. No a operatywników to już nikt nie liczył... Gdyby te chłopaki nie były takimi cepami, to mogliby raz-dwa

wyuczyć się w trybie eksternistycznym na lekarzy, bo każdego dnia przez wiele godzin pracowali z kwiatem radzieckiej myśli medycznej. Chyba ani jednego profesora o tęgim łbie nie przeoczyliśmy, wszystkich sprowadziliśmy do naszego podziemia!

W miejsce nieboszczyka Mojżesza Kogana wzięliśmy jego bratanka – Borysa Borysycza.

W miejsce skopanego na śmierć Etingera wzięliśmy jego syna.

W miejsce straconego Szymielowicza – uczciwie, na podstawie wyroku – przyskrzyniliśmy Rapoporta.

Żeby profesorowi Michaiłowi Jegorowowi się nie nudziło, wsadziliśmy razem z nim profesora Piotra Jegorowa.

Preobrażeńskiemu daliśmy do towarzystwa Zieleńskiego.

Winogradowowi – Szereszewskiego. Fejglowi – Feldmana. Gelsztajnowi – Grinsztajna, Zbarskiemu – Sierejskiego, jednemu Niezlinowi – drugiego Niezlina...

Końca nie było widać wszystkim tym szychom i luminarzom. Ale w celach ich luminescencja szybko mętniała...

Dziwne by zresztą było oczekiwać od nich, żeby świecili pełnym blaskiem, skoro powoli, ale konsekwentnie skłaniano ich do uczestnictwa w spektaklu, który miał się zakończyć dosyć nietypowo dla wykonawców głównych ról: na tle opadającej powoli kurtyny, na tle burzy oklasków, przechodzących w owacje, którym wtórują zachwycone okrzyki milionów widzów – wszystkich aktorów wieszają. I to nie w żadnym przenośnym sensie, lecz dosłownie – na stryczku.

W tym celu w scenariuszu zostało nawet przewidziane wydanie przez Radę Najwyższą specjalnego dekretu – o orzeczeniu wyroku śmierci przez powieszenie. I to nie gdziekolwiek, w ciemnym zaułku, w wilgotnej piwnicy, w głuchym podziemiu, lecz na najbardziej eksponowanym miejscu, na placu Czerwonym, w samym sercu naszego stołecznego grodu.

Słowo daję – wcale nie żartuję! Żebym się tak z miejsca nie ruszył! To Lutostański wymyślił. Widziałem, jak płomiennie, z jaką pasją forsuje on pośród naszych bęcwałów ten obłąkany plan, i widziałem, że bliski jest triumfu dwu wiodących idei swego życia – pogńębienia i kaźni Żydów oraz ostatecznego pohańbienia radzieckiej państwowości. Lutostański przekonywał, agitował i udowadniał, i wkrótce uznano, że nie może być innego finału tego krwawego spektaklu.

Nie wiem, czy ktokolwiek zdawał sobie sprawę, że jeśli ta publiczna egzekucja dojdzie do skutku, to nasza ojczyzna zostanie na zawsze wykluczo-

na ze wspólnoty cywilizowanych narodów i cała nasza przyszłość poniesie niepowetowaną stratę, ale nikt nie sprzeciwił się Lutostańskiemu.

I ja też powściągliwie, ale ciepło, z nutką zawiści wychwalałem ten reżyserki pomysł dotyczący czekającego nas niebywałego spektaklu.

Co prawda nikt się zanadto moją opinią nie interesował. Zdarzyła się ciekawa rzecz – stałem się niezauważalny na szarym tle kulisy, skąd bynajmniej nie starałem się wysuwać, dopóki na proscenium rozwijała się tak efektowna akcja i święcił triumfy główny bohater-amant, Mińka Riumin, wraz ze swoją kompanią drapieźnych zer.

Taka rzecz jest typowa dla teatru. Kiedy sztuka zostaje zaakceptowana i zatwierdzona do wystawienia, wówczas dramaturg zaczyna przeszkadzać swoją obecnością. Chce dawać rady, wskazówki, uważa, że ma prawo mieszać się w decyzje i pomysły reżysera, poprawia aktorów, jest niezadowolony z rekwizytów, wścieka się na charakterizatorki, denerwuje na operatorów oświetlenia. Najlepiej jest dla autora, żeby zniknął aż do premiery.

W tamtych czasach nic nie wiedziałem o teatrze, ale doskonale zdawałem sobie sprawę ze wszystkiego, co dotyczy naszego Wydziału, i dlatego zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, żeby nie tylko usunąć się z widoku, ale i swoje autorstwo tego koszmarnego sztuczdyła zatrzeć w pamięci żyjących. Tym bardziej że pretendentów do nieśmiertelnej sławy w związku z przedstawieniem *Mordercy w białych kitlach* było aż nadto.

Trzeba oddać sprawiedliwość Lutostańskiemu – wykazał niepospolite zdolności organizacyjne. Był tak zajęty, że porzucił nawet ulubione zajęcie – wycinanie kwiatów z papieru. Korzystając z próżni w subtelnej duszy Riumina, przypominającej na pewno świńskie jelito – ja odszedłem przecież na drugi plan – Władysław Hipolitowicz Lutostański zamieszkał tam jako druh-soliter. Przesiadywał u Mińki godzinami, dzieląc się z nim swoimi pomysłami i planami, które nazajutrz Riumin ujawniał w formie rozkazów, rozporządzeń i wytycznych. Lutostański trafnie podsunął mu myśl, żeby wprowadzić specjalizację w pracy aparatu: jedni zajmowali się tylko śledztwem, drudzy – planowaniem wersji wydarzeń, inni – opracowaniem perspektywicznym, jeszcze inni – urabianiem opinii społecznej. Tak więc cała ta grupa była zajęta tworzeniem mitów. Wymyślali głupie bajki, a sieć agentów, kapusiów i kablowników rozprzestrzeniała je w mgnieniu oka po mieście i w całym kraju. A z racji osobliwego prymitywizmu naszego narodu te beznadziejne bzdury przyjmowano jak ewangeliczne objawienie.

Na przykład...

Lekarka-Żydówka w przedszkolu zaraziła dzieci wszami i dudem płamistym. Młody Żydek-lekarz dodawał do zastrzyków po pół gramu acetonu i trzydzieści sześć osób zostało sparaliżowanych...

Były naczelny lekarz-Żydzisko dał brygadzie malarek, które odnawiały poliklinikę, dwa litry spirytusu metylowego w charakterze leku na kaca – jedna kobieta zmarła, siedem oślepiło...

Żydolog-urológ pod pozorem operacji wykastrował młodego chłopaka, byłego frontowca, bohatera-inwalidę...

Moškolog-nefrolog w pełni zdrowemu człowiekowi wyciął nerkę...

Rentgenolog – parch zawszony – po godzinie trzymał ludzi w kabinie i czterdzieści siedem osób zachorowało na białaczkę, było to w zakładowej przychodni w fabryce Dynamo...

W Szpitalu Miejskim numer 13 anestezjolog – syjonistyczna kreatura – jak tylko chirurg się odwrócił, odłączył tlen pacjentom-Rosjanom, i umierali na stole operacyjnym, nie odzyskując świadomości...

Nie odzyskując świadomości.

Według mnie wszyscy żyliśmy, nie odzyskując świadomości.

Kraj był pełen tych pogłosek – ludzie odmawiali chodzenia do lekarzy-Żydów, kogoś tam pobito, kogoś innego zatłukli na amen. Ale wszystko to było zaledwie zapowiedzią nadciągającej nawałnicy narodowego gniewu, lekkim zefirkiem, który wyprzedził huragan ogólnoludzkiego oburzenia. Gdyż wkrótce miał się odbyć PROCES, a po procesie miała nastąpić publiczna EGZEKUCJA, po egzekucji wielki POGROM, a dopiero potem, dla tych, co zostaną, przewidziano WYGNANIE.

Mój Boże, właśnie z racji tego niespełnionego wygnania muszę zaraz włożyć spodnie i iść na spotkanie z Mangustem. Albowiem właśnie z powodu planowanego wygnania przyszło mi zawrzeć znajomość z jego dziadkiem – rabbim Eleazarem Nannosem...

Pora wkładać spodnie. Spodenki wy moje popielate, porteczki flanelowe, szarawary wy moje, u Yves Saint-Laurenta utkane! Gdzieście się zaprzepaściły? Przecież nie mogłyście zginąć w niebycie, tak jak moje mundurowe granatowe bryczesy z błękitną wypustką. Przepadły w przepaści czasu moje bryczesy wraz z wytwornym mundurem pułkownika o solidnie wywatowanych ramionach. Nigdy nie żałowałem pieniędzy na ubranie – nie zniżałem się do noszenia przydziałowych mundurów. Mnie mundur szył wybitny krawiec – ryski Żyd Jaszka Gajer. Ach, jak on znakomicie szył! Pracował tak, jak nikt już dziś nie pracuje. Albowiem starał się nie z sumienności, tylko ze strachu! Ze strachu ten Żydziór, krojąc materiał, pieścił go i głaskał.

Nie tak dawno spotkałem na ulicy Jazkę Gajera. Postarzał się, narzekal, że roboty nie ma: nikt już nie szyje garniturów. Wszyscy jego klienci albo umarli, albo wyjechali, albo noszą zagraniczne ubrania. Tak jak ja, na przykład...

Nie jestem dla ciebie żadnym przykładem, Jaszka. Nic nie rozumiesz, głupi krawczyku. Moja tweedowa marynarka od Pierre'a Cardina to wnuczka dawno umarłego, szytego na zamówienie munduru pułkownika. Jego spadkobierczyni. Następczyni i przedstawicielka prawna.

Podobnie jak krawat od Trevira. A trzewiki z cielęcej skóry firmy ET – to dobrze wychowani, eleganccy potomkowie moich do blasku wyczyszczonych chromowych butów z cholewami. I w miejsce bujnej szopy lekko wijących się, ciemnoblonde włosów – staranna fryzura z salonu Sason Vidal, maskująca początki łysiny na ciemieniu, której tak się wstydzi moja najdroższa żoneczka Marina...

No i ja sam – nieśmiały, subtelny intelektualista, cichy, nieszkodliwy poczciwina – jestem odległym mutantem, nierozpoznawalnym potomkiem mojego dalekiego praszczura, pułkownika P.J. Chwatkina, starszego pełnomocnika operacyjnego do specjalnych poruczeń przy ministrze bezpieczeństwa państwowego.

I ty, skórkowany zięciu in spe, nie budź we mnie głosu przodka, nie trwóż mego pogrążonego w anabiotycznym śnie zwierza, nie zmuszaj mnie, bym zmienił moje komfortowe obuwie marki ET na podkute buty z cholewami!

– Marina! Wychodzę, będę pod wieczór... – krzyknąłem w głąb mieszkania, gdzie mieszkała moja płoworyza baba-jaga, która latała na miotle po kuchni, wydając jakieś niecenzurowane dźwięki.

Tak, chyba pójdę. Pójdę na spotkanie z moim przyszłym nieboszczykiem zięciem, Mangustem Teodoryczem. Winda ze szczęknieniem rozwarła plastikowe szczęki drzwi, połknęła mnie jak kawałek mięsa, spuściła huczącym przewodem pokarmowym szybu na parter, żeby wyrzucić mnie tam na świat. Żołądek trawiący siebie samego.

I ostatnia ostoja na skraju tej przepaści – Tichon Iwanycz, pokrewna dusza. Udekorowany różnokolorowymi listewkami strażniczych orderów, wojskowych medali, z odznaką weterana wojny. Ja też mam taką. Tyle że nie powiemy nikomu, ani on, ani ja, gdzie i z kim wojowaliśmy, jakich granic broniliśmy, gdzie ten front, który nie podlega u nas żadnym zmianom.

– Spocznij! – zakomenderowałem leniwie, a on uśmiechnął się, kiwnął mi głową nieregulaminowo, familiarnie.

– Samochód na pana czeka, Pawle Jegoryczu – oznajmił, czyniąc aluzję, że dobrze widzi, jakie po mnie zagraniczne auta podjeżdżają.

Ach, ty wampirku mój kochany, zawsze na posterunku! Nie oblizuj z radości swoich bladych warg, nie raduj się, prostoduszny konwojencie! Nie twojego kablowania teraz się obawiam, nie twój chytry uśmieszek wywołuje drżenie mego serca! Czarniawy kędzierzawy Aryjczyk, czekający za kierownicą mercedesa, to nie zwierzyzna, którąś w porę wypatrzył i osaczył. On jest tu myśliwym! Poluje na mnie lub na ciebie, ty zakuta pało. I żeby go przechytryć, muszę przypomnieć sobie wszystkie sekrety mego nietypowego rzemiosła, ożywić w sobie drżące instynkty – umiejętność i gotowość, by zabić jako pierwszy.

Nie będę z tobą rozmawiać, konwojencie ty mój czujny, strażniku nasz niezmordowany, wartowniku, cerberze. Nie ma co tracić sił. Tylko palec wskazujący uniosłem i uprzedziłem go surowo:

– Czuwaj!

Otworzyłem drzwiczki mercedesa, ciężkie, lakierowane, bezgłośne, umieściłem swoje udręczone kacem ciało na twardych, sprężystych poduszkach, spojrzałem na złośliwą mordę Mangusta i powiedziałem do niego delikatnie:

– Witaj, kochany synku! Jak to się u was mówi: *gut szabes!* A u nas jest taka piosenka: „Dziś mój kochany Abrasza wolne ma, dziś idziemy razem do niego – on i ja”.

Magnust pokręcił głową, zadrgały, zabrzączały jego łańcuszki i naszyjniki:

– Nie, dziś jeszcze nie idzie pan do mnie do domu. Za wcześnie... Jeszcze pan nie jest gotowy...

Samochód basowo ryknął silnikiem, wyrwaliśmy do przodu po brudnej, zasyfionej pluchą dróżce osiedlowej, wzbijając z sykiem fontanny śniegowego błota.

– Jak nie jestem gotowy, no to nie, cóż robić – rozłożyłem ręce. – A jeśli można, to uchyl, Mangustik, rąbka tajemnicy: kiedy spotka mnie ten zaszczyt i zaznam waszej serdecznej, tradycyjnej judejskiej gościnności?

Mangust przejechał na czerwonym świetle, skręcił w Szosę Leningradzką, pomknął w kierunku centrum. Wzdychał, cmokał językiem, kręcił głową, jakby sam z sobą się naradzał, podejmował ważną decyzję, aż wreszcie rzekł:

– Kiedy dostanę od pana *affidavit*.

– Boże, a to co znów takiego? – sploszyłem się.

Mangust, nie odrywając spojrzenia od jezdni, powiedział z pogardą:

– Sądzę, że jako profesor prawa wie pan doskonale: affidavit to oświadczenie złożone pod przysięgą...

– Ach tak!... – westchnąłem z ulgą, zamknąłem oczy, skacowany i znużony, a potem spytałem cicho: – A kogóż to zamierzasz sądzić?

– Pana osobiście, okoliczności i czasy! – wyrębał Mangust, całkiem jakby mi z pistoletu nad uchem wygarnął.

– No nie! – westchnąłem ze znużeniem. – Aleś się do mnie przyczepił! Rzeczywiście, potrzebny ci jestem ze swoimi marnymi sprawkami...

Auto płynnie weszło w zakręt przed placem Czerwonym, minęło Maneż, zostawiło z lewej strony zębatą, purpurową bryłę Kremla, lekko wspięło się na Kamienny Most.

Mangust milczał i uśmiechał się plugawym, rusozłazym uśmiechem. Słowo daję – diabeł mi zadał pokutę!

– Słuchaj, synku, przecież zapraszałeś mnie na przechadzkę. I co, będziemy w samochodzie płuca wentylować? – zainteresowałem się.

– Nie, skąd – uspokoił mnie Mangust. – Pospacerujemy sobie po świeżym powietrzu. Jedziemy na daczę... Do sanatorium, by tak rzec.

Mercedes mknął Szosą Kałuską w kierunku pierścienia.

– O, to świetnie! Potrzebne mi jest świeże powietrze. Zdrowie już nie to... Starość nie radość, synku. Ty jesteś zdrowy, młody, na razie nie rozumiesz tego. Ale kiedy człowiek, jak ja na przykład, znajdzie się u progu biologicznej zagłady, rozpadu tkanek, gnicia ciała, wyparowania ducha... cóż, nie jest wtedy łatwo...

Mangust westchnął ze współczuciem:

– Z takim samopoczuciem lżej panu będzie przyjąć to, co nieuniknione...

– Ojej, Mangustik, o czym ty mówisz? – Udałem, że się przestraszyłem. – Zamierzasz mnie zabić?

Zabawne, jak wszystko powraca niczym fala – tysiąc lat temu właśnie tak wiozłem samochodem swojego agenta-jubilera. Ale w odróżnieniu od agenta Dyma nie bałem się, że Mangust zastrzeli mnie albo utopi. Rzecz w tym, że ja chciałem, by agent Zamoszkin zamilkł na zawsze, a Mangust chciał, że bym gađał, ile wlezie, sięgając pamięcią w przeszłość.

Mangust uśmiechał się krzywo, coś tam pomruczał, a wreszcie nieoczekiwanie serio powiedział:

– Zabijać pana nie ma sensu. Czasem mi się wydaje, że jest pan nieśmiertelny, tak jak ludzkie zło...

– Dzięki serdeczne, synku, za dobre słowo! No, a dokąd w takim razie jedziemy? Co to za sanatorium?

Nie odwracając się ku mnie, Mangust rzucił sucho:

– Sanatorium imienia Berii...

Proszę, co wymyślił ten łotr... Eksperyment śledczy, wizja lokalna.

Z prawej strony mignął drogowskaz: DOM PRACY TWÓRCZEJ ARCHITEKTÓW SUCHANOWO – 1 KM. Mercedes przemknął obok pałacyku z łuszczącymi się ścianami, skręcił w lewo i zatrzymał się z piskiem, wzbijając fontanny mokrego, brudnego śniegu. Trzypiętrowa budowla za parkanem, mnóstwo snujących się szarych jak myszy postaci w milicyjnych mundurach – teraz jest tu jakaś szkoła milicyjna. Słyszałem o tym, ale na własne oczy nie widziałem. Nie byłem tu od lat. Chyba od tamtego czasu...

„Suchanowka”. Sanatorium imienia Berii. Najstraszliwsze więzienie śledcze MGB. Tak, chyba niewielu ludzi stąd wyszło. Na pewno nie został ani jeden, kto mógłby sensownie opowiedzieć, co tu się działo przez szereg lat...

– A zatem, drogi *Fater*, widzę, że udało mi się obudzić w pańskim gorącym sercu czekisty nostalgiczne wspomnienia – powiedział spokojnie, z przekonaniem Mangust. – Pospacerujmy sobie razem po tych sielankowych alejkach i powspominajmy, co przeżył pan w tym miejscu na krótko przed śmiercią Stalina...

– Coś ci się pokielbaśilo, synku. – Wzruszyłem ramionami i wyszedłem z samochodu na powietrze. – Ja z Suchanówką nie mam żadnego związku – moi klienci tu nie siedzieli... Nie przypominam sobie, kiedy tu byłem...

Mangust ujął mnie krzepko pod rękę i spacerkiem, niespiesznie poprowadził wokół Suchanówki, wzdłuż niekończącego się parkanu, w kierunku domu pracy twórczej. Jak oszalałe darły się w nagich koronach drzew gawrony, wiatr niósł słonawy zapach wilgoci i butwiejącego drewna.

– Rozumiem, że na progu biologicznej zagłady człowiekowi słabnie pamięć, zacierają się takie drobiazgi, jak plan likwidacji całego narodu. Ale ja panu pomogę: będę panu przypominać detale, podsuwać części układanki, a pan stworzy z nich cały obraz... A zatem jest styczeń 1953 roku. Spaceruje pan tą alejką z doktor Ludmiłą Gawriłowną Kowszuk. Jej, mam nadzieję, pan nie zapomniał? Przecież stworzył ją pan jak Pigmalion Galateę...

Prawdę mówi Żydoaryjczyk, parch przeklęty. Wyrzeźbiłem z gówna swoją Galateę, ożywiłem ją pomiędzy kartonowymi okładkami akt, dałem jej niezwykłą, nieprawdopodobną sławę. Ale Pigmalion ożenił się ze swoim ożywionym kawałkiem kamienia. A ja się z Ludką nie ożeniłem, obszedłem się z nią całkiem inaczej...

Jak ludzie radzieccy wiedzą ze sztuki postępowego pisarza angielskiego Bernarda Shaw, profesor Higgins i pułkownik Pickering wzięli z ulicy pro-

stą dziewuchę i zrobili z niej lady o nienagannyh manierach. Ja przeprowadziłem redukcję etatów, łącząc pułkownika i uczonego w jednej postaci – w sobie samym. I z bezmyślnej dziewczki o kształtnym ciele zrobiłem narodową bohaterkę, która swoją sławą zaćmiła wszystkie znane kobiety w ojczyźnej historii. To był gwiazdny lot – piękny i krótki. Jej nazwisko znało ćwierć miliarda ludzi – niemało, prawda? A cała historia z Ludką Kowszuk – od początku do końca, od wschodu do zachodu, od powstania do upadku – cała ta historia trwała niespełna rok.

I wziąłem ją nie z ulicy, lecz z restauracji Moskwa. Na urodzinach mojego towarzysza broni Siemiona Kowszuka – jej rodzzonego brata.

Ale to była biba! Przyjechałem nieco spóźniony i prawie wszyscy byli już mocno pijani. Ona siedziała u szczytu stołu obok drzemiącego błogo Siemiona – ucieleśnienie jego genealogii, jego rodu, jego wiecznej samotności. Duża, urodziwa, z popielatoblond warkoczem, upiętym w wysoką koronę.

Odepchnąłem jej sąsiada z prawej strony – jakiegoś nieznaczącego gnojka, usiadłem obok niej i nalałem po kieliszku koniaku.

– Za naszą znajomość! – stuknąłem się z nią.

– Paszka! – Nachylił się ku mnie Siemion. – To moja siostra, Ludoczka! Nie próbuj się do niej dobierać, ona jest czysta jak kwiat...

– Słuchaj no, kwiecie czysty – zwróciłem się do Ludki – co oni wszyscy tak się prędko urzęnęli?

– Nie wiem. – Wzruszyła krągłymi ramionami i mrugnęła malachitowozielonym okiem. – Pewnie są zmęczeni... Ciągłe denerwują się w pracy...

– A ty się w pracy nie denerwujesz? – zainteresowałem się.

– Nie – pokręciła głową i różowym, ostrym jak u kota języczkiem oblizała pulchną dolną wargę. – Ja mam dobrą pracę, spokojną...

Siemion szarpnął siostrę za rękę.

– Ty, Ludka... Uważaj na niego. Nawet się nie obejrzysz, jak będzie ci leżał między nogami i mrucał jak kot...

– Odczep się ze swoimi głupotami! – zachnęła się Ludka.

– Głupotami? – powtórzył urażony Kowszuk. – Ty go jeszcze nie znasz! To orzeł! Jeden taki w całym Wydziale! Daleko zajdzie, jak nie dostanę rozkazu, żeby go przystopować...

Nawet uchem nie zastrzygłem, leciutko pogłaskałem jej dłoń i powiedziałem łagodnie:

– Nie zwracaj na niego uwagi. Mówiłaś o swojej pracy...

– Pracuję w szpitalu kremlowskim. Jako fizjoterapeutka...

A to ci dopiero czysty kwiat! Już my dobrze wiemy, czemu w Kremlówce biorą na fizykoterapię, do masażu, do wodnych zabiegów takie oto młode ładne panny!

A tymczasem uroczystość nabierała tempa. Dzielni moi koledzy, towarzysze, a częściowo i podwładni, zmęczeni ciężką, nerwową pracą, hulali na całego. Jeden spał, porządnie ułożywszy twarz w półmisku z rybą, drugi narzygał w końcu stołu, dwóch próbowało się na ręce, wsparłszy łokcie o blat i nadawszy się tak, że aż żyły wystąpiły im na szyjach, fruwały przekleństwa, Stołbow w zadumie jadł rękami wprost z półmiska kraby w majonezie, wszyscy pili łapczywie, a Lutostański tańczył.

To trzeba było zobaczyć... Zdaje się, że on jeden przyszedł na popijawę w mundurze, i teraz świętował swoje pięć minut. Pewnym krokiem podchodził do któregoś ze stolików, nie pytając nikogo o pozwolenie brał za rękę siedzącą tam kobietę i szedł z nią tańczyć. I żaden z bohaterских kawalerów nie przegnał go w diabły, nie posadził baby siłą z powrotem na miejsce, a galantowi Władysławowi Hipolitowiczowi nie nakładł po mordzie. Gdyż ta szczudłonoga, wylupiastooka szarańcza miała na sobie kuloodporny pancerz majora bezpieczeństwa państwowego.

Zabawne to było widowisko – tańcząca szarańcza wielkości człowieka. Lutostański tańczył dobrze, zgrabnie, zręcznie, lekko. I zaskakująco nieprzyzwoicie. Przyciskał do siebie partnerkę tak, że wszystkimi swoimi miękkimi krągłościami wchodziła we wszystkie giętke przeguby jego tułowia, a on ją tłamsił, przyciskał, wyginał aż do samej podłogi, podrzuczał na siebie, i za każdym zwrotem jego sucha, cienka noga, opięta granatową nogawką bryczesów, znajdowała się między jej udami. To były dziwne tańce. Pośrodku sali, na oczach oszołomionych kawalerów rozbierał swoje partnerki, podniecał je, gwałcił. Kiedy milkła muzyka, kobiety wyglądały jak zjebane.

Ale nikt nie pisał ani słowa – Lutostański miał na sobie ochronny mundur z błękitnymi wypustkami. I tak go rozpałyły te tańce, przypominające seksualną gimnastykę, że z rozpędu złapał Ludkę Kowszuk za rękę i szastnął nogą:

– Pozwolicie?

– Wynocha – powiedziałem do niego uprzejmie.

– Co, co? – spytał zdziwiony, wciąż jeszcze pogrążony w swojej taneczno-erotycznej ekstazie.

– Nic – wzruszyłem ramionami. – Grzecznie ci proponuję, żebyś zabierał się stąd w cholerę... To nie dla ciebie dziewczyna.

On jednak – czy to wypił tego wieczoru za dużo, czy też jego ospałe hormony od woni kobiecego potu i wody kolońskiej się wzburzyły – nagle ten zasrany Lach zapomniał o swoim podszytym strachem opanowaniu i spytał wyzywająco:

– A to niby dlaczego?

I wytrzeszczył na mnie ogromne szarozielone oczy wisielca.

– Dlatego, że zwieracz masz słaby – roześmiałem się głośno. – Jak się dowiesz, kto ją obtańcowuje, to na środku sali się zsikasz...

Ludka popatrzyła na mnie uważnie, nieco wystraszona, a Lutostański od razu się wyleczył z napadu dzielności, zabelkotał coś niezrozumiale, zagęgał, skłonił się parokrotnie, a ja życzliwie, po koleżeńsku powiedziałem do niego:

– Idź, Władysławie Hipolitowiczu, idź tańczyć, nie kręć się tutaj. Nic tu po tobie...

Dał nurka w gąszcz tańczących ciał. Ludka, przysunąwszy się do mnie bliżej, spytała:

– A kto mnie obtańcowuje?

– Ja.

– Jakoś nie zauważyłam. – Uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

– Po prostu jeszcze o tym nie wiesz. Nie zdążyłem ci powiedzieć...

Po godzinie wszyscy byli już nieprzytomni. Nikt nie zauważył, jak wyszliśmy. Był środek nocy, wiosna. Tęgi wiatr hulał po placu Maneżowym. Miasto drzemało czujnie jak żołnierz w okopie. Ludzie spali trwożnym snem, przywierając do swoich łóżek kurczowo, niczym do kochanków, ściskali w objęciach poduszki i wtulali się w kokony kołder, gdyż wiedzieli, że w każdej chwili mogą ich wyciągnąć z pościeli, do której nie wrócą już nigdy. A my – wyciągający ludzi z pościeli – ponieważ wiedzieliśmy, że jutro mogą wyciągnąć nas samych, nigdy nie spaliśmy w nocy. Czy pracowaliśmy, czy odpoczywaliśmy – noc była naszym dniem.

I tej nocy także nie spałem. Ludka zajmowała narożny pokój w mieszkaniu komunalnym, i kiedy szliśmy korytarzem, szeptała półgłosem:

– Nie stukaj obcasami... Sąsiedzi... Jakoś niezręcznie... Boję się...

A ja się zaśmiałem:

– Pluń na to... Niedługo przeniesiesz się do dużego, osobnego mieszkania.

Zachichotała cichutko:

– A co, własne mi odstąpisz?

Nie zdawała sobie, głupia, sprawy, jaką rolę jej wyznaczyłem w przyszłej sztuce. Nie wiedziała, że bohaterce narodowej, zbawicielce ojczyzny, nie godzi się mieszkać w zwykłej komunalce...

Leżałem, wsparłszy nogi o wezglowie łóżka, a Ludka myła się w wielkiej emaliowanej miednicy, i spazmy żądy łapały mnie niepowstrzymanie, jak czkawka. W półmroku pokoju świeciło białą jej gładkie ciało, po którym spływały strumyczki wody. Ciężkie naręcze włosów opadło na plecy – gęsta peleryna aż do samej krągłej, wystającej pupki, przypominającej dwa świeże, jeszcze gorące bochenki. I dźwięczące od sprężystości piłki piersi. Nie ma co mówić, słodka kobietka... Ciekawe, których to spierniczałych ministrów i marszałków ożywiała swoją fizykoterapią w kremlowskiej klinice?

Interesowało mnie to nie z zazdrości, lecz ze względów zawodowych. Nawet gdyby nie przyszła mi do głowy genialna myśl, żeby wprowadzić ją do gry, i tak bym jej nie puścił ot tak sobie. Ta babeczka – przy prawidłowym z nią postępowaniu – mogłaby stać się niezastąpioną agentką.

Ale ja wymyśliłem dla niej inne, wyższe przeznaczenie. Wyzaczyłem jej rolę zbawicielki ojczyzny...

Tak, była świetna w łóżku. Wszystko wyszło fantastycznie – ze śpiewami, z krzykiem, z czułym pojękiwaniem i z radosnym, rozpaczliwym szlochem spełnienia.

Nie wiem, czy wygłodniała była od fizykoterapeutycznej mordęgi, zwanej życiem seksualnym naszych dowódców, czy też może utrafiłem w jej gust – ale zasnęła dopiero nad ranem.

Tajała noc, bezgłośnie gęstniało światło. Jej twarz na poduszce wylaniała się jak obraz na zanurzonej w wywoływaczu papierze fotograficznym. Znikała tajemniczość mroku i obok siebie widziałem po prostacku przystojną twarz jej brata Siemiona. Poczulem do niej wstręt.

A Ludka chyba poczuła to przez sen, obudziła się i nie otwierając oczu powiedziała szybko, prosząco:

– Ożeń się ze mną, żołnierzyku... Dobrze ci będzie ze mną... Tylko ciebie będę kochać...

Pocałowałem ją w zamknięte oczy i szepnąłem:

– Ja ci nie jestem potrzebny... Za rok wydam cię za mąż za marszałka...

– Marszałkowie to stare dziady...

– Za rok będą inni marszałkowie... Nowi... Młodzi...

Ukąsiła mnie leciutko w ucho i spytała:

– A po kiego ja będę potrzebna młodemu marszałkowi?

Przygarnąłem ją do siebie:

– Słuchaj się mnie tylko, a za rok marszałkowie będą czuli się zaszczyconymi, jeśli będą mogli pocałować cię w rękę...

21. Idy marcowe

Aleja zmieniła się grząskie śnieżno-wodne bagno. Czulem, jak lodowacieją mi przemokłe nogi, jak tracę czucie w palcach, jak sztywnieją mi z zimna kolana, jak chłód podchodzi do żołądka, do serca, zalewa mnie całego, wywołując nie dreszcze, a lodowatą skostniałość. To nie marcowa roztajała breja mnie zamrażała, to zimne kurzawki czasu wyrwały mnie z głębin i wlokły kamienistym korytem wspomnień, żebym pogrążył się w tej choleralnej pierścieniowatej rzece czasu.

Na końcu dróżki ciemniała przystań – Dom Pracy Twórczej Architektów, stary szlachecki dwór, sprofanowany nowoczesnym wystrojem. Tak, właśnie tędy, po tej alei przechadzaliśmy się z Ludką Kowszuk, której udzielałem instrukcji przed wielką naradą z udziałem naszego niezapomnianego ministra, tow. S.D. Ignatiewa. To była próba generalna przed czekającym nas spektaklem i zwołaliśmy na tę naradę wszystkich uczestników przedstawienia, całą trupę, wszystkich obsadzonych przez reżysera aktorów.

A Mangust leciutko szturchał mnie łokciem w bok:

– No, dalej, dalej... Niech pan wspomina... Ma pan o czym...

O tak, mam o czym wspominać. Tylko nie mam ochoty. I odpowiedziałem mu drżącymi z zimna i napięcia wargami:

– Nie mogę... Przemarzęm... Nie mam siły...

Mangust zaśmiał się złośliwie:

– Zaraz temu zaradzimy.

Weszliśmy do holu Domu Pracy Twórczej. Sądząc z tego, jak pewnie się tu poruszał, jak ludzie nie wiadomo dlaczego się z nim witali, był tu nie po raz pierwszy. Zachowywał spokój i pewność siebie – swój człowiek!

Co prawda, ta syjonistyczna morda wszędzie zachowywała się bardzo pewnie. Oni przecież wszędzie są u nas swoi.

W szatni na wieszaku kołysało się, niczym wisielcy, parę futer. Cisnąłem na drewniany kontuar swoją kurtkę i drżąc, ruszyłem za Mangustem, który otworzył ogromne szklane drzwi i skierował się do bufetu. Panował tu czerwono-czarny półmrok, było ciepło, emanowało życiem. Popchnął mnie do stolika, a sam podszedł do baru:

– Dużo kawy i koniak...

Zachłannie wypilem z kieliszka złocisty płyn i serce, jak od kropli walerianowych, szarpnęło się, zaszamotało w piersi, zastukało, zaczęło kołatać,

rozbijając pokrywającą je lodową skorupkę. Siedziałem w ciepłe, w ciszy, w koniakowym półmroku, czułem, jak uchodzi ze mnie chłód, i chciałem tylko jednego – żeby Mangust przepadł, a ja żebym mógł pozostać tu na zawsze. Ale Mangust nie zamierzał nigdzie przepaść.

– Niech pan wspomina! – powtarzał od czasu do czasu. – Ma pan o czym wspominać.

Powtarzał to jak zaklęcie. I ja, nienawidząc go i usiłując się mu przeciwstawić, mimo to cofałem się pamięcią wstecz. Nie chciałem, żeby te wspomnienia wracały do mnie, ale one roily się natrętnie, atakowały jaskrawymi, ani trochę niezbłakłymi obrazami przeszłości. A przecież miałem nadzieję, że ta przeszłość przepadła na zawsze.

Do bufetu wwalila się wielka grupa naszych wspaniałych architektów z zagranicznymi gośćmi, ni to Holendrami, ni to Szwedami. Śmiech, żarty, gwar rozmów, poklepywanie się po plecach. Nasi wciskali im kit o konieczności współpracy w celu umocnienia kulturalnych i twórczych więzi, a cudzoziemcy jak gęsi bełkotali w odpowiedzi: o-la-lo-la-go-go-la-lo-la...

Bufetowa włączyła stojące na kontuarze radio i głos lektora radośnie obwieścił, że będzie teraz transmitowany koncert orkiestry reprezentacyjnej komendantury moskiewskiego Kremla i zespołu pieśni i tańca wojsk konwojowych MSW.

Podniosłem ciężką głowę, popatrzyłem Mangustowi prosto w oczy i powiedziałem szczerze, z głębi serca:

– Na próżno się cieszysz, drogi mój zięciu, Manguście Teodorowiczu! Nie odniosłeś żadnego zwycięstwa. *Heute* należy do was, a *morgen* do nas. Wy, cudzoziemska hołota, zawsze będziecie tańczyć, jak wam zagra zespół wojsk konwojowych.

Pokiwał głową Mangust:

– Nie zawsze. Właśnie dlatego chcę usłyszeć od pana prawdę.

– Na co ci ona? – rozłożyłem ręce. – Ta prawda już teraz nie jest straszna, a śmieszna.

– No to pośmiejemy się razem – odparł grzecznie Mangust, a ja uniosłem do ust jeszcze jeden kieliszek.

Rozkoszna fala gorąca podtopiła lodowiec, w który wmarzłem. Strasznie zachciało mi się spać. Ale Mangust zjadliwie spytał:

– Ta narada w Suchanowce odbyła się przed oficjalnym podaniem informacji o lekarzach-trucicielach?

– Tak – kiwnąłem głową. – Jakieś trzy-cztery dni wcześniej. Na tej naradzie została podjęta decyzja o przyspieszeniu akcji o dwa miesiące...

Z trudem mówiłem. Język mnie nie słuchał, ledwie poruszały się wargi i słowa zamierały mi w ustach.

Boże, jak ja dokładnie pamiętam tekst tego obwieszczenia! Być może dlatego, że pierwszy jego wariant napisałem własnoręcznie. Teraz, po paru dziesięcioleciach, znów pojawiła mi się przed oczami ta stronica gazety...

...Organy bezpieczeństwa państwowego wpadły na trop terrorystycznej grupy lekarzy, którzy postawili sobie za cel – poprzez nieprawidłowe leczenie – skrócenie życia działaczy partyjnych i państwowych ZSRR. Szpieдры, truciele, mordercy, zaprzędawszy się obcemu wywiadowi, włożywszy na twarz maski profesorów medycyny, wykonywali swoją wrogą robotę, korzystając z okazanego im zaufania. Lekarze-dywersanci, bestie, mordercy podeptali święty sztandar nauki, zohydźili swymi strasźliwymi zbrodniami honor uczonych. Podła ręka zabójców i trucielei dosięgła towarzyszy A.A. Żdanowa i A.S. Szczerbakowa, którzy stali się ofiarami tej bandy potworów w ludzkim ciele. Lekarze-przestępcy umyślnie ignorowali wyniki badań chorych, stawiali im nieprawidłowe diagnozy, przepisywali niewłaściwe, zgubne dla życia „leczenie”.

Organy bezpieczeństwa państwowego rozszyfrowały bandę godnych najwyższej pogardy najmitów imperializmu. Wszyscy oni za dolary i funty szterlingi sprzedali się obcym wywiadam, zgodnie z ich wytycznymi prowadźili swoją wywrotową, destrukcyjną działalność.

Działalnością większości uczestników grupy terrorystycznej kierował wywiad amerykański. Wowski, B. Kogan, Feldman, Grynsztajn, Etinger i inni – ci lekarze mordercy – zostali zwerbowani przez międzynarodową burżuazyjno-nacjonalistyczną organizację „Joint”, która jest filią wywiadu amerykańskiego. Podczas śledztwa aresztowany Wowski wyjawiał, że polecenie wytrzeźbienia kadr kierowniczych ZSRR otrzymał poprzez moskiewskiego lekarza Szymielowicza i znanego burżuazyjnego nacjonalistę żydowskiego Michoelsa. Inni uczestnicy spisku – Winogradow, M. Kogan, Jegorow – byli długoletnimi agentami wywiadu angielskiego, zgodnie z jego wytycznymi od dawna prowadźili przestępczą działalność. Lekarze-mordercy postawili sobie za zadanie usunięcie z szeregów najbardziej umiłowanych przez naród dowódców wojskowych – marszałków: Wasilewskiego, Goworowa, Koniewa, Sztemienki. Przestępcza banda wrogów naszej ojczyzny, która zaprzedała się ludoźercom, właścicielom niewolników z USA i Anglii, została schwytana na gorącym uczynku. Nienawistnych najmitów imperializmu czeka

surowa i sprawiedliwa kara. Śledztwo zostanie zakończone w najbliższym czasie...

– A dlaczego trzeba było przyspieszyć? – spytał Mangust.

– Miał miejsce przeciek. I koniowi zdarza się potknąć – rozłożyłem ręce.

Taak... I naszemu rączemu rumakowi – Wydziałowi – zdarzyło się potknięcie. To potknięcie czy raczej pęknięcie w ochronnym pancerzu naszej tajności miało miejsce w końcu pięćdziesiątego drugiego roku, kiedy sprawa lekarzy szła już pełną parą i więzienie wewnętrzne, Lefortowo i Butyrka były zapełnione w związku z czekającym nas aktem słusznego, sprawiedliwego odwetu. Tę szczelinę w niewzruszonym murze naszej ścisłej poufności przebił Jacob Finn – nasz stary rezydent w Kanadzie. Szacowny Kanadyjczyk Jacob Finn, którego świat znał niegdyś pod nazwiskiem Jakowa Naumowicza Chałfina, był pracownikiem ze starego naboru, doświadczonym i chytrym szpiegiem. Wyjechał na placówkę zagraniczną kilkadziesiąt lat temu, jeszcze za czasów kierownika wywiadu strategicznego, Artuzowa.

Na Zachodzie Chałfin odniósł wielki sukces finansowy, stał się poważnym biznesmenem i równie znakomitym organizatorem siatki szpiegowskiej w całej Ameryce Północnej. Właśnie poprzez niego nawiązano kontakt z małżonkami Rosenberгами, którzy później wykradli sekret amerykańskiej bomby atomowej. I oto – przed generalną wymianą wszystkich żydowskich kadr – wezwano Finna do Moskwy na instruktaż. W rzeczywistości zamierzano go posłuchać, przyjrzeć się jego starym kontaktom w Moskwie, podretuszować dane operacyjne pod kątem przyszłej sprawy i wtrącić go w podziemia.

Jednak Jacob Finn, pokręciwszy się przez tydzień w centrali, szybko skapował, co jest grane. Widać mózg kapitalistycznego przedsiębiorcy, urobiony w czekistowskiej szkole, działa sprawniej niż u reszty ludzi... W każdym razie Jasza Chałfin zorientował się, co grozi tu w najbliższym czasie całemu jego semickiemu plemieniu. I zrobił numer, jakiego świat nie widział.

Człowiek ten sprzeniewierzył się świętej dla nas wszystkim zasadzie dyscypliny. Nikomu nie przyszło do głowy, że skoro padła komenda: „Siadać na śnieg! Ręce na kark!”, to zamiast spokojnie siedzieć i cierpliwie czekać na kulę w tył głowy, człowiek może wstać i pobiec czy pomaleńku odczołgać się na bok, nie wypełnić rozkazu. A Jacob Finn to zrobił.

Urwał się swoim aniołom stróżom, którzy pilnowali go przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, wyjechał do Leningradu i ze swoim kanadyjskim paszportem przeszedł przez granicę do Finlandii, jako że nikomu nie przy-

szło do głowy, żeby poinformować wszystkie punkty kontroli granicznej o konieczności zatrzymania obywatela kanadyjskiego Jacoba Finna. I wyjechał! W ogóle to myślę, że miał kilka zapasowych paszportów z wizami. A z Finlandii dał dyla do Ameryki, gdzie oddał się w ręce CIA, szczegółowo informując ich o szykującym się procesie Żydów.

Tak w ogóle to bardzo nam pomogła tępota naszych odwiecznych rywali – amerykańskich szpiegów. W ich uczonych głowach nie mogło się pomieścić, że w ogóle ktoś zdołał wymyślić tak zbrodniczy, zuchwały i idiotyczny plan, jak ukaranie całego narodu poprzez oskarżenie jego lekarzy. Dlatego informację Jacoba Finna potraktowano z przymrużeniem oka, aczkolwiek coś niecoś zaczęli sprawdzać i pojedyncze, oderwane wiadomości zaczęły się przesączać do prasy, opinii publicznej i kół kongresmanów. I wówczas podjęto u nas decyzję – należy przeprowadzić deportację Żydów w terminie pilnym, dopóki Amerykanie nie ocknęli się na dobre. W tym celu zebrał nas wszystkich w Suchanowce Siemion Denisycz Ignatiew.

I moja subtelna gołąbeczka o białym ciele, Luda Kowszuk, już brała w nim udział, jako że na skutek moich wysiłków stała się jedną z centralnych figur rozgrywających. Od tamtej pamiętnej nocy, kiedy przyobiecalem jej sławę bohaterki narodowej, Ludka bardzo poszła do przodu. Dzięki mojemu wstawiennictwu i rekomendacjom przeniesiono ją na pierwszy oddział ogólny lecznicy kremlowskiej. Ludka opanowała elektrokardiografię i stała się asystentką tych wszystkich profesorów – żydowskich mądrali. Chciałem, żeby mogła w sposób fachowy wyjaśnić, w jaki sposób usiłowali oni otruć, zabić, zamordować, zamęczyć naszych nieszczęsnych, bezradnych przywódców. Jej zeznania jako świadka były głównym dowodem oskarżenia.

Każdego dnia płakała i mówiła, że nie spamięta wszystkiego, a ja uspokojałem ją, pieściłem, tłumaczyłem i obiecałem twardo, że jeszcze miesiąc, jeszcze tydzień, jeszcze dzień – a stanie się znana na całym świecie. I tę część swojej obietnicy spełniłem, gdyż po upływie tygodnia od chwili nakrycia bandy lekarzy-morderców i trucicieli we wszystkich gazetach opublikowana została decyzja Prezydium Rady Najwyższej ZSRR o przyznaniu jej Orderu Lenina za pomoc, okazaną władzom w rozszyfrowaniu spisku.

Ech, ty moja słodka, bezmózga, napalona patriotko z niezłym ciałkiem! Czyś ty mogła sobie kiedykolwiek wyobrazić, że na twój adres będą przychodzić tysiące listów, że niezliczeni listonosze z wypchanymi torbami przyniosą ci niezliczone telegramy, że słynni pisarze będą publikować w gazetach pełne zachwyty teksty na twój temat, że poeci i grafomani poświęcą ci

swoje natchnione wiersze? Zapamiętałem, nie wiadomo dlaczego, jeden z nich:

*Hańba wam, łotry, niegodziwcy,
Imiona wasze przeklnie świat.
A ty, patriotko nasza dzielna
Żyj w sercach Rosjan tysiąc lat!*

Ale to wszystko było potem. A wtedy, w korpusie administracyjnym Suchanowki, siedzieliśmy obok siebie, ścisaliśmy twoje buchające żarem biodro, uspokajając cię, że jestem tutaj, blisko, i że będę z tobą do końca. I tę część obietnicy również spełniłem. Byliśmy razem aż do twojego końca.

Siemion Denisycz osobiście pochwalił Ludkę, a nas pouczył:

– Uczcie się, uczcie od prostej rosyjskiej kobiety... – gęgał – jak należy kochać ojczyznę i niczego się nie bać...

Wyrzekłszy te słowa, Siemion Denisycz zamyślił się na chwilę, a tłuste myszy brwi pełzały mu po twarzy. Powiedział w zadumie, jakby zastanawiając się na głos:

– Przecież ona podjęła walkę z całą grupą profesorów, mających wszelkie możliwe tytuły i stopnie naukowe, o znanych nazwiskach! Trudno jej było, bardzo trudno, ale nie opuściła rąk, choć pewnie wyśmiewali ją za ignorancję, oskarżali o lekkomyślność. I zwyciężyła w tej jakże trudnej, wyczerpującej walce. Przecież ta sfera ma wszędzie swoich ludzi...

Z zachwytem i szacunkiem słuchaliśmy tak wysokiej oceny trudu Ludmiły Gawriłowny, z uznaniem kręciliśmy głowami, cmokali, wzdychali z zawiścią, że tak bezbłędnie odegrała rolę, którą dla niej napisaliśmy. Potem od ogólnopatriotycznej liryki przeszliśmy do spraw przyziemnych. Naczelnik Gułagu, generał Riasnoj, wyjaśnił nam złożoność problemu jednoczesnej deportacji dwóch milionów Żydów.

– Przerzucić z jednego końca kraju w drugi dwa miliony Żydków, to nie to, co trzepać konia w kieszeni – powiedział obrazowo. – Pomyślcie sobie: jeśli ustawić ich w kolumnę po pięciu, to jak długa będzie ta kolumna?

W obecności ministra Riasnoj za wszelką cenę starał się wykazać trudności stojące przed nim zadania, ściągając z nas całą koldrę sukcesu.

– A więc, licząc z grubsza... – Riasnoj zmarszczył mądre czoło, ale nie mogąc poradzić sobie z zawilościami arytmetyki, wyciągnął notes. – Krok marszowy w kolumnie to jeden metr, co równa się odstępowi pomiędzy szeregami. Pięciotysięczny oddział utworzy kolumnę kilometrowej długości. Dla jej ochrony potrzebny jest pluton konwojentów. Do miejsc załadun-

ku deportowanych ustawi się w sumie kolejka o długości czterystu kilometrów. Plus cztery dywizje konwoju. No, jest tu specjalista z Ministerstwa Komunikacji, on nam powie, ile będziemy potrzebowali wagonów. Ja myślę, że jeśli wziąć zwykły wagon bydłęcy na czterdzieści osób, to można upchnąć w nim z osiemdziesięciu Żydów. Oczywiście bez rzeczy.

Nastąpiły niekończące się wyliczenia matematyczne. Specjalista od komunikacji w mundurze generała wojsk kolejowych zaczął się spierać z Riasnym. Przy okazji wyszło na jaw, że w naszym tradycyjnym bajzlu nie zostało zdecydowane, dokąd ostatecznie mamy ich powieźć: na półwysep Tajmyr, wstępnie zaproponowane miejsce rozlokowania, czy na kraniec Syberii – do Birobidżanu. Do Birobidżanu jest prawie trzykrotnie dalej, ale połączenia kolejowe umożliwią sprawniejszą deportację. Dlatego po długiej dyskusji podjęto decyzję, że proponujemy rządowi, by punktem docelowym był Birobidżan, gdzie już istnieje jakies ich operetkowe państwo.

Ignatiew zakończył spór, zadając istotne pytanie:

– Muszę zapytać towarzysza Stalina, co robić z pół-Żydami. Takimi, gdzie tylko jedno z rodziców jest Żydem.

Zaczęli się zażarcie spierać. Mińka Riumin kategorycznie nastawał, by przesiedlić wszystkich, którzy mają w sobie żydowską krew – bez wyjątku.

– Półśrodków dla pół-Żydków stosować nie będziemy – zadrwił.

Ignatiew zastanowił się:

– No, a jak będzie z rodzinami? Tego, kto ma męża Żyda czy żonę Żydówkę też zabieramy?

Mińka rąbnął bez wahania:

– Albo niech się ich wyrzekną, albo niech jada z nimi. Ale wyrzec się mają poprzez obwieszczenie publiczne, żeby żadnych niedomówień w tej sprawie nie było...

Generał Riasnoj, naradziwszy się z dowódcą wojsk konwojowych, poprosił o co najmniej dwa miesiące na przygotowanie operacji.

Lutostański, który siedział przygaszony, nie mogąc uczestniczyć w rozmowie tak wysokich szarż, w końcu nie wytrzymał i cienkim głosem spytał:

– A jak będzie z Lewitanem?

Wszyscy na moment zamilkli i zwrócili się ku niemu.

– A co? – spytał Ignatiew.

– No, bądź co bądź, to ulubieniec narodu, głos naszego kraju – powiedział Lutostański, zachichotał wrednie i pośpiesznie dodał: – Mam propozycję. Może by tak nagrać na taśmie magnetofonowej jego komunikat o wyjeździe

wszystkich Żydów do nowych miejsc pobytu? Puścimy ją przez radio, a on w tym czasie będzie się już trząść w eszelonie. – I radośnie zatarł rękę.

Wszyscy się roześmiali.

– No cóż, niezły pomysł – aprobująco kiwnął głową Ignatiew.

Uskrzydłony sukcesem Lutostański posunął się dalej i natychmiast dostał po łapach.

– A jak będzie z Kaganowiczem?

Ignatiew przeniósł na niego ciężkie spojrzenie malutkich oczek w otocze ciężkich worków:

– To już nie wasze zmartwienie, majorze.

Odsunął go od rozmowy, tak jak strzepuje się okruch ze stołu. Jednak słowa Lutostańskiego najwyraźniej skłoniły go do zastanowienia się nad złożonością sytuacji, jeśli chodzi o głównego reprezentanta Żydów przed obliczem Bossa. Pokręcił w zadumie głową i rzekł:

– Myślę, że Josif Wissarionowicz, tak jak Frystus, sprawi cud – tam, w Bi-robidżanie wskrzesi im ich cufnącego Łazara Moisieicza...

Wszyscy uśmiechnęli się ostrożnie, zachichotali, a ja zdałem sobie sprawę, że Kaganowicz jest spisany na straty. Takie żarty na temat członków Biura Politycznego wypowiada się u nas na głos wtedy, kiedy ich los jest już przesądzony.

Naczelnik wywiadu Fitin zapytał, jak ta akcja odbije się na sytuacji międzynarodowej. Rządy USA i Europy Zachodniej mogą podjąć bardzo zdecydowane działanie w odpowiedzi na deportację Żydów. Ignatiew machnął ręką:

– Niczego nie podejmą! Josif Wissarionowicz powiedział mi wyraźnie, że z powodu Żydów wojny z Zachodem nie będzie...

Mińka zacichotał:

– Ci frajerzy zawsze się nas boją...

Potem zaczęła się dyskusja na temat spraw formalnych, związanych z wyrzuceniem Żydów z kraju i ich likwidacją. Tu szczególnie perorował Mińka Riumin. Wyjaśnił, że po egzekucji głównych oskarżonych w procesie lekarzy w dużych miastach zaczną się spontaniczne pogromy, które potrwać około tygodnia. Będzie to normalna reakcja prawdziwych patriotów, autentycznych obywateli, zwykłych radzieckich ludzi na bandyckie czyny zdrajców ojczyzny – trucieli, morderców i dywersantów. Następnie rząd wyjdzie naprzeciw pragnieniom pozostałych przy życiu uczciwych Żydów, niemających żadnego związku z tym straszliwym przestępstwem, by przesiedlić ich do zamkniętej strefy na stały pobyt. Konieczne jest, żeby na czele

tego exodusu stanął jakiś nieoficjalny, cieszący się autorytetem żydowski lider...

Słuchając Mińki, zdałem sobie sprawę, że są to dalekosiężne plany Władysława Hipolitowicza Lutostańskiego. Nie porzucił on swoich nadziei, by wykończyć Żydów ich własnymi rękami. A Mińka z przekonaniem zakończył:

– W tej sprawie posiadamy interesujące materiały, które w ciągu tygodnia przedstawię wam do zatwierdzenia...

...Wciąż jeszcze przebywałem tam, na naradzie, w obejmującej wiele dziesięcioleci przepaści czasu, zdawałoby się minionego, zapomnianego. Bałem się, że Mangust może rozszyfrować moje myśli i zrobić ze mnie most pomiędzy przeszłością a przyszłością. Ale on odwrócił się, wyjął portfel, rozłożył jego skórzane, pryszczate okładki i wyjął plik banknotów. Kiedy rozdzielał sklezione nowiutkie dziesiątki, na stolik wypadła jego hotelowa wizytówka. Nie zdążyłem niczego więcej zobaczyć, oprócz nazwy hotelu – Sputnik.

Łyknałem koniaku i zaproponowałem swojemu oprawcy:

– Rozejdźmy się po dobremu. Nie ma po co tego wszystkiego wspominać. Pozostały tam same cienie i widma. Wszystko to zniknęło na zawsze. Ja przeżyłem ich wszystkich i jest to moja jedyna wina wobec ciebie. Byłem przecież tylko żołnierzem tej poległej armii...

Mangust w milczeniu patrzył w stół, przesuając po jego polerowanej powierzchni kieliszek z koniakiem, po czym odchylił się na oparcie krzesła, uśmiechnął się i powiedział niemal ze smutkiem:

– Kiedy rozmawiam z panem, to zawsze przypomina mi się mowa obrończa Fouquier-Tinville’a.

– To on też u nas służył? – spytałem.

– Nie – pokręcił głową Mangust. – Fouquier-Tinville nie służył u was. To był prokurator generalny Francji w czasach Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Ten niewielki człowieczek, były sklepikarz, wysłał na gilotynę tysiące ludzi. Pośród nich była cała rodzina królewska, Danton, Camil Desmoulins, Jacques Roux, Hébert, Chaumette, Couthon, Robespierre, Saint-Just. Wszystkim im ściał głowy...

Nachyliłem się ku Mangustowi:

– I cóż powiedział ten niezwykły człowiek?

– Kiedy sądzili go termidorianie, wyjaśnił: należało tu przyprowadzić nie mnie, tylko moich przełożonych, których rozkazy wykonywałem... Myślę, że powinien pan, szanowny pułkowniku, wypisać to na swoich sztandarach.

- A po co? Termidor jeszcze nie nastąpił. A ty mnie sądzić nie możesz.
- Mówiłem już panu, pułkowniku, że nie jestem sądem i nie zamierzam oceniać stopnia pańskiej winy.
- To czego chcesz w takim razie?
- Chcę prawdy! Chcę się dowiedzieć, jak pan zabił rabiego Eleazara Nannosa.
- Ja nie zabiłem twojego dziadka – odparłem znużony. – W ogóle nic o nim nie wiedziałem, wszystko to wymyślił Lutostański.
- Ale rozmowy z moim dziadkiem prowadził pan. Lutostański go tylko męczył – westchnął gorzko Mangust.

To była prawda. Niemało wiedział na temat naszej przeszłości, trzeba mu to przyznać... Ten cholerny Żydziór, Merzon, najwyraźniej rozgadał się tam u nich na całego. Czy wytrzęśli z niego informacje, czy wyrzuty sumienia tak go dręczyły? Tak czy owak, prawdę mówi przysłowie – Żyd rozgrzeszony to jak koń leczony. Niepotrzebnie pożałowałem wtedy Merzona!

Ale tłumaczyć tego Mangustowi nie było sensu. Powiedziałem tylko, że owszem, rozmowy z Eleazarem Nannosem prowadziłem ja, ale wyłącznie jako starszy rangą, a przy tym wypełniając rozkaz wiceministra bezpieczeństwa państwowego Riumina.

Mangust westchnął i spytał:

- On także kazał panu prowadzić rozmowy z Raulem Wallenbergiem?
- Nie, nie kazał. Robiłem to z własnej inicjatywy. I tylko mając na celu zmniejszenie cierpienia waszego narodu. Gdyby Wallenberg przyjął nasze warunki, wszystkim byłoby lżej...

Bóg widzi – święta prawda! Gdyby Wallenberg, który przetrwał na dolnym poziomie suchanowskiego więzienia, przyjął nasze warunki, wszystkim wyszłoby to na dobre. Ale on, Wareg parchaty, skandynawski sukinyś, żydowski najmita, nie przyjął naszych warunków, i wszystkim w rezultacie się pogorszyło, a w pierwszej kolejności jemu samemu.

Ponad rok trzymali go na oddziale o zaostrowym reżimie. Było to specjalne pomieszczenie w piwnicy, wysokie na półtora metra, i, rzecz jasna, więzień wzrostu Wallenberga nie miał tam komfortowych warunków. Dzień i noc siedział przygarbiony, i kiedy przyprowadzono go do mnie, był już nieodwracalnie garbaty. Dolny poziom miał jeszcze tę istotną właściwość, że wzdłuż ścian biegły rury grzewcze, o które nie sposób było się oprzeć – emanowało z nich gorąco i smród farby. A zamiast podłogi była ułożona żelazna krata, pod którą z subtelnym szelestem i romantycznym szmerem

plynęły ścieki. Zimą różnica temperatur między podłogą a sufitem wynosiła w tych celach dwadzieścia stopni.

Kiedy zobaczyłem Wallenberga po raz pierwszy, mimo woli zwróciłem uwagę na to, że ma zniekształcone reumatyzmem ręce. Zachowywał się u nas słynny bohater bardzo cicho, był wystraszony, niemal zaszczuty. Ale ja już miałem niejaki doświadczenie z takimi barankami i wiedziałem, że złamać go będzie trudno, o ile sam nie wyjdzie nam naprzeciw.

– Czy potrzebny jest panu tłumacz? – spytałem. – Czy może już osłuchał się pan z naszym językiem?

Skwapliwie pokiwał głową:

– Tak, mogę mówić po rosyjsku.

– W takim razie pogadamy w cztery oczy. Jakąkolwiek umowę byśmy zawarli, zostanie to między nami, w wypadku, jeśli przyjmie pan moją propozycję. A jeśli z jakichś powodów nie będzie panu ona odpowiadać, również i to pozostanie nic nieznającym szczegółom pańskiej biografii.

Wallenberg patrzył w podłogę. Wiedział już, że więzień nigdy nie może patrzeć śledczemu w oczy.

– Słucham was – powiedział cicho. Zdziwiło mnie, że w jego głosie, w całej zgarbionej sylwetce nie było trwożnego oczekiwania na zmianę losu, które tak często dawało się zaobserwować u wyciągniętych z celi więźniów z długim wyrokiem.

– Panie Wallenberg, zostałem upoważniony, aby uczynić panu propozycję. Propozycja ta jest nieskomplikowana, nieobciążająca i całkowicie etyczna. Rzecz w tym, że ze względów bezpieczeństwa państwowego z jednej strony, a w trosce o bezpieczeństwo ludności żydowskiej w ZSRR z drugiej, rząd podjął decyzję o deportacji Żydów do jednego z oddalonych regionów kraju. Celem tej akcji jest zachowanie ich tożsamości i dziedzictwa kulturalnego...

Wallenberg ledwie zauważalnie się uśmiechnął i przelotnie musnął mnie spojrzeniem.

– Widzę – powiedział – że daleko w tym się posunęliście...

Nie miałem czasu ani chęci, żeby z nim dyskutować.

– Tak – powiedziałem. – Proponujemy panu swego rodzaju misję. Polega ona na tym, żeby porozmawiał pan z Eleazarem Nannosem, który do czasu aresztowania był jednym z głównych rabinów na terenie ZSRR i nosi samowznaczący tytuł wileńskiego *gaona*. Odpowiada to randze metropolity w cywilizowanych religiach.

Równie szybko jak poprzednio Wallenberg zerknął na mnie i powiedział:

– Miałem wiele do czynienia z Żydami i doskonale wiem, kto to jest cadyk. Ale o czym miałbym z nim rozmawiać?

– O tym, żeby stanął na czele tego żydowskiego exodusu. Jesteśmy zainteresowani tym, żeby pomysł zmiany miejsca pobytu wyszedł od samych Żydów i ich duchowych przywódców. Nie wydaje nam się słuszne, żeby na czele tego ruchu stanęli zajmujący oficjalne państwowe stanowiska radzieccy Żydzi. Zakładamy, że ruch powinien się zrodzić wewnątrz ich środowiska...

Wallenberg w milczeniu wpatrywał się w czubki swoich aresztanckich buciorów. Wreszcie, nie podnosząc wzroku, spytał:

– Co, boicie się żydowskiego powstania?

Roześmiałem się:

– Chyba całkiem stracił pan rozum za kratkami. O jakim powstaniu może być mowa? Do żadnego powstania nie dopuścimy. Ale dla wszystkich będzie o wiele lepiej, jeśli przejazd Żydów do nowego miejsca pobytu odbędzie się szybko, sprawnie, w atmosferze duchowej jedności całego narodu, bez jakichkolwiek ekscesów.

Wallenberg pokiwał głową.

– Chcecie, żeby Żydzi potwierdzili wobec przedstawicieli światowej społeczności dobrowolność pójścia na zesłanie?

– Nie – uśmiechnąłem się. – Chcemy zaproponować Eleazarowi Nannosowi rolę nowego, współczesnego Mojżesza.

Wallenberg westchnął i powoli powiedział:

– Nie rozumiem, jaka rola jest przewidziana dla mnie.

– Bardzo prosta. Nannos na pewno dobrze wie, kim pan jest. Wystarczająco dobrze znany jest pan ze swojej prożydowskiej działalności. Ze względu na trudny charakter tego starca chcemy, żeby pogadał pan z nim i wytłumaczył mu dobre strony planu, który proponujemy.

– A jeśli cadyk odmówi?

– W takim razie zgubi swój naród, gdyż trzecia możliwość nie istnieje; albo spokojnie, w sposób zorganizowany przejadą do nowego miejsca pobytu, albo będą musieli niepotrzebnie umrzeć.

Wallenberg znów westchnął głęboko.

– A dlaczego ja miałbym to zrobić?

– Nie dlatego, a po co – poprawiłem go. – Jeśli zdoła pan przekonać Eleazara Nannosa, wówczas pozwolimy panu wyjechać do ojczyzny...

Wallenberg ani drgnął, na zewnątrz pozostał tak samo spokojny, jak dotąd. Po krótkim milczeniu powiedział:

– Trzymacie mnie tutaj osiem lat i któregoś dnia będziecie zmuszeni mnie wypuścić. Nawet jeśli nie zrobię tego draństwa. Gotów jestem poczekać jeszcze parę lat.

Wstałem, przespacerowałem się po pokoju, podszedłem do niego i położyłem mu rękę na ramieniu.

– Niech pan na to nie liczy, panie Wallenberg. To, co pan w tej chwili powiedział, jest głupie. Dla pańskiego kraju i pańskiej rodziny dawno jest pan martwy. Pańskie ślady zostały zatarte na zawsze. I jeśli nie okaże pan zdrowego rozsądku, nie zechce nam pomóc, to nigdy pan stąd nie wyjdzie, zniknie pan bez wieści...

Wallenberg znowu westchnął spazmatycznie.

– Przez te lata odczyłem się czemukolwiek dziwić. Tak czy owak nie pozwolę, by moje nazwisko i nazwisko cadyka Eleazara Nannosa miały posłużyć do zatuszowania sprawy wymordowania całego narodu. Nie bałem się na Węgrzech gestapo, nie złąknę się i was...

Wszystko to mówił cichym, piskliwym, wystraszonym głosem.

Rozłożyłem ręce:

– Może pan jeszcze pomyśleć nad tym parę dni. Jeśli zmieni pan zdanie, proszę mnie powiadomić, że jest pan gotów do podjęcia rozmów. W przeciwnym razie zginie pan tu bez wieści.

Nigdy więcej go nie widziałem. Po czterech latach od tego spotkania Gromyko powiadomił Szwedów, że Wallenberg 17 lipca czterdziestego siódmego roku zmarł w szpitalu więzienia wewnętrznego na skutek ataku serca. Nie wiem, czy Wallenberg żyje w tej chwili, czy już umarł, ale w sześć lat po jego rzekomej śmierci rozmawiałem z nim. Był garbaty, powykrzywiany przez reumatyzm, niemal łysy, ale wewnątrz był twardy jak stal. Bo wówczas faktycznie się nie zgodził!

I przyszło mi z Lutostańskim lecieć do łagiernego punktu Persza na samej północy Peczerskiego Systemu Łagrów.

Peczorąg był faktyczną stolicą autonomicznej północnej republiki Komi. Zaiste komiczna to była republika. Każdy człowiek, przepuszczony przez naszą maszynę reedukacji, nauczył się tutaj komicznego stosunku do wszelkich życiowych doświadczeń na wolności. W celu reedukacji zbłąkanych dusz zostały stworzone niezbędne warunki, no i niesłuchanie sprzyjał temu miejscowy klimat. Latem bagno dookoła i nieprzeniknione chmary komarów i muszek; zimą orzeźwiający mrozek do pięćdziesięciu pięciu stopni

Celsjusza. I obyczaje tu panowały stosowne do tego przytulnego klimatu. Kiedy podjechaliśmy do bramy komendantury łagru Persza, przy budce strażniczej zobaczyliśmy zastrzelonego więźnia i leżącą osobno odrąbaną głowę o obwisłych włosach. Naczelnik łagpunktu, Ananko, idąc wzrokiem za moim spojrzeniem, wyjaśnił:

– Urkowie* odrąbali dziś szpadlem głowę kierownikowi stołówki.

– Czemu się tak zdenerwowali? – zainteresowałem się.

– A, nie zgadzał się im wydawać dodatkowych porcji słoniny, a gorącego urki nie jedzą.

– Kierownik pewnie był z politycznych?

– Jasne. – Uśmiechnął się Ananko. – Swego by Urki tak nie załatwili.

Zaprowadził nas do biura i spytał:

– Najpierw zjemy obiad? Czy chcecie z kimś porozmawiać?

Lutostański, pijany z niecierpliwości, by porozmawiać z cadykiem, zaproponował, żeby najpierw porozmawiać. A ja kazałem najpierw podać obiad. Naczelnik łagpunktu ugościł nas pieczoną niedźwiedziną, siomgą z własnego polowu, pieczonymi kartoflami, gotowanym mięsem z chrzaniem i wielką ilością wódki. Potem przeszliśmy do części operacyjnej, gdzie czekał już na nas doprowadzony więzień Eleazar Nannos, numer Z-3116.

Eleazar Nannos siedział na taborecie w kącie pokoju. Wygląd miał majestatyczny i nieszczęsny zarazem. Jasnoniebieskie dziecięce oczy pod nisko naciągniętą na czoło łagierną uszanką, srebrzysta broda na zatłuszczonym łagiernym chałacie i podwinięte pod siebie nogi w zniszczonych walonkach. Wyglądał jak prorok, który wpadł przez nieuwagę do dołu na śmieci. Lutostański szybko zwrócił się do naczelnika łagru, Ananki, i spytał ostrym głosem:

– Proszę wyjaśnić, dlaczego więzień jest nieogolony?

Zaskoczony Ananko zakręcił się w miejscu, zamamrotał niepewnie:

– Tak jakby miał pozwolenie... zgodnie z jego funkcją...

– Co wy tu znowu wymyślicie? – Lutostański podszedł bliżej. – Od kogo miał pozwolenie? Istnieje ogólnie obowiązująca, nienaruszalna zasada: więzień powinien być czysto ubrany, ogolony i umyty. Jeszcze dziś macie zgościć mu brodę.

Ananko stanął na baczność i zameldował:

– Tak jest!

* Złodzieje.

Nannos spojrzął z ukosa na Lutostańskiego. Nic nie powiedział, choć rozumiał, co go czeka. Właściwie nic strasznego, żadnego bólu ani cierpienia, po prostu trzeba przestrzegać porządku! Jednakże ogolony cadyk to coś w rodzaju oskubanego orła.

Nannos ze swoim dumnie-nieszczęsnym wyglądem sprawiał wrażenie, że nie rozumie po rosyjsku albo nie chce z nami rozmawiać. Zwróciłem Anance uwagę, że, być może, niekoniecznie trzeba golić osadzonego, jeśli rzeczywiście jest osobą duchowną. Niech tylko potwierdzi ten swój stan. Nannos nawet brodą nie poruszył, nie chciał połknąć przynęty. Wówczas rozkazałem Lutostańskiemu:

– Władysławie Hipolitowiczu, proszę wyjaśnić osadzonemu Nannosowi, jaką mamy do niego sprawę.

Lutostański, przechadzając się po gabinecie i zwracając się nie tylko do Nannosa, ale i do nas wszystkich, szczegółowo opowiedział o potwornym przestępstwie, które popełnili Żydzi przeciwko naszemu narodowi, naszej ojczyźnie i w szczególności przeciwko towarzyszowi Stalinowi. Wyjaśnił, jakie wypływają z tego nieuniknione następstwa dla tego złośliwego ludku. Po czym zaproponował Nannosowi, żeby ogłosił swoim współplemieńcom konieczność dobrowolnego przesiedlenia się do Birobidżanu.

Nannos słuchał go, jak poprzednio, biernie, w ogóle nie reagując. Całym swoim wyglądem dawał do zrozumienia, że barwna opowieść Lutostańskiego w żadnej mierze go nie dotyczy. Zawołałem do Merzona:

– Spytajcie go po żydowsku, czy rozumiał, co powiedział do niego major Lutostański?

Merzon coś zaszwargotał do Nannosa. Z potoku słów wyłowilem zwrot „rabbi”.

Nannos kiwnął głową i krótko powiedział coś do Merzona. Ten zwrócił się do mnie:

– Nannos rozumiał, co mówił do niego Władysław Hipolitowicz.

– I co? – zainteresowałem się. – Chce się zastanowić, czy gotów jest od razu dać odpowiedź?

Merzon przełożył pytanie na żydowski i Nannos bez pośpiechu, wyraźnie wymówił gardłowo parę słów. Merzon przetłumaczył:

– Rabbi nie ma się nad czym zastanawiać, gotów jest odpowiedzieć natychmiast.

Skinąłem głową. Nannos długo mówił coś do Merzona, po czym ten, zacinając się i uciekając wystraszoną spojrzeniem w bok, wyrecytował:

– Wy chcecie wymordować Żydów... Nie pierwsi w historii i chyba nie ostatni... Ale nikt spośród tych wszystkich, którzy usiłowali w ciągu trzech tysięcy lat wymordować Żydów, nie pomyślał, że żyjącego narodu nie da się zgładzić, jeśli on sam nie zapragnie umrzeć... Narody umierają, kiedy wypełnią swoje zadanie... Żydzi mogą umrzeć dopiero wtedy, kiedy dadzą światu nowe prawo Boże, łączące ludzi z naszymi dalekimi praojcami... Po tym, jak Mesjasz przyniesie nam wielką łaskę i mądrość...

– Niech on przestanie nam tu wciskać swoją idealistyczną ciemnotę – powiedział Lutostański. – Została mu złożona bardzo konkretna propozycja i albo ją przyjmuje, albo zdechnie jeszcze dziś jak pies!

Po czym zwrócił się do mnie:

– Coś takiego, Pawle Jegoryczu... Naród zuchwalców! Przecież to u nich jest napisane, że Bóg powiedział: „Was jedynych uznałem ze wszystkich plemion na tej ziemi i ukarzę was za wszystkie grzechy wasze”. Może to on nam polecił ukarać ich za wszystkie ich grzechy? – zadrwił Lutostański i roześmiał się głośno.

Nie byłem przekonany, czy Merzon tłumaczy wszystko jak należy, i zwróciłem się do niego:

– Upewnij się jeszcze raz, czy Nannos zrozumiał wszystko, co zostało mu powiedziane.

Merzon szybko zagadał do cadyka i po chwili zwrócił się do mnie zmieszany, rozkładając ręce:

– Więzień powiedział, że król Salomon rozumiał język obłąkanych...

Żał mi było patrzeć na Merzona. Stał obok mnie i miałem wrażenie, że z dławiącego go napięcia i strachu wydziela ostrą woń acetonu.

– Powiedz rabinowi, Merzon, że jeśli nie przyjmie naszej propozycji, to Żydzi i tak zostaną deportowani siłą, a on będzie winien ich nieuchronnej zagłady. Czy rozumie, jaką bierze na siebie odpowiedzialność?

Opanowanie zdradziło rabina. Nie czekając na przekład Merzona, powiedział gardłowo, z akcentem, ale bardzo wyraźnie:

– Rozumiem... Niestety, wy nie rozumiecie, że kiedy stanę na Sądzie przed Najwyższym Panem, to nie będzie mi On zarzucał, że nie stałem się w tym życiu Mojżeszem. On mi będzie zarzucał, że nie chciałem być rabim Eleazarem.

Lutostański przerwał mu:

– Nie ma co z nim gadać, Pawle Jegoryczu, oni nie rozumieją ludzkiego języka.

Obrócił w palcach zapalniczkę Merzona, ćwierknął kóleczką, zapłonął złocisty języczek, przystawił zapalniczkę do twarzy rabina i płomień liznął siwą brodę starca. W pokoju rozeszła się ostra woń palonej sierści. Nannos szarpnął głową i z ogromnego, błękitnego oka spłynęła łza. Odchyłał się ze strachem od Lutostańskiego, który przybliżał do niego syczący płomień zapalniczki, ale z uporem mamrotał cicho:

– Świat zła i niegodziwości rodzi zapomnienie...

Lutostański ucieszył się:

– Dla ciebie, stary, faktycznie nadchodzi świat zapomnienia. Na razie nie jesteś jeszcze gotów do rozmowy z nami, trzeba, żebyś się zastanowił. Zraz zdejmy z ciebie łagierny chałat i na golasa, żeby ci się lepiej myślało, postoisz trochę na dworze...

Potem zwrócił się do naczelnika łagru i rozkazał:

– Rozbierzcie go co nieco i zamknijcie na noc do karceru. Myślę, że jutro rano będzie bardziej zgodny...

Starzec uniósł głowę i cicho powiedział:

– Nie będę bardziej zgodny ani dziś, ani jutro, nigdy... Każdy Żyd powinien pamiętać, że jest ogniwem łańcucha od Adama do Mesjasza, i nie uczynicie mnie mordercą narodu mojego...

– Stary dumniu! – wrzasnął Lutostański. – Jeszcze zaśpiewasz inaczej!

Starzec wstał z krzesła i pewnie domyśliwszy się, że ja tu jestem starszy stopniem, rzekł mocnym głosem, niemal bez żydowskiego akcentu:

– Nie wiecie, co czynicie. Powiadam wam: już wkrótce dobro i zło staną się nieodróżnialne... świt zaćmi się zmierzchem... Słowo będzie jak milczenie, a niemota okaże się prawdą... I prawda ta to strach, i strach wasz okaże się śmiercią!...

Lutostański bez zamachu uderzył go kościstą piąstką w twarz i zawołał:

– Do karceru! Rozebrać go i won stąd!

Widziałem, że nie uda się nam złamać Nannosa, dlatego nie protestowałem, kiedy, rozebranego, wepchnięto go do nieogrzewanego łagrowego karceru. Do rana stary zamarzł...

I ten obłąkany Mangust chce, żebym teraz to wszystko opowiedział jemu! Żebym przypomniał sobie wszystkie szczegóły śmierci Nannosa w celu osądzenia mojej w tym roli. O nie, nie doczeka się tego ode mnie! Nie ma Lutostańskiego, nie ma Merzona, a i Ananko z pewnością dawno już gdzieś zgnił.

Nie ma nad nami sędziów.

Ja jeden przeżyłem ich wszystkich i nic nikomu nie powiem. Nigdy! Żadnej skruchy, żadnego tłumaczenia się...

22. Odyseusz-53

Mercedes Mangusta parsknął wszystkimi fibrami i filtrami sforsowanego silnika, trysnął białym dymkiem z rury wydechowej i wessał się w szary półmrok nadciągającego wieczoru. Na zakręcie mignął wściekle czerwonym światłem, niczym nalany krwią okiem, i zniknął.

A ja zostałem na tej brudnej ulicy, po której hulał przejmujący, wilgotny wiatr. Nie miałem sił ani bojowego zapалу. Ten cholerny Mangust wysysa ze mnie życiową siłę – pranę. Trzeba go zabić, do jasnej Anielki, nie ma innego wyjścia. Po dobremu się nie odczepi.

W budce telefonicznej żółtawe, przykurzone światło, zatęchły smród moczu – kolor i woń beznadziejności. Wyciągnąłem garść dwukopiejek – obowiązkowy zapas bezdomnego, szlajającego się po łąbach faceta. Ale nie baby były mi teraz potrzebne, rozpaczliwie był mi potrzebny samochód. Nie taksówka, nie żadna okazja, nie mój śliczny lśniący mercedes na prawie nowych fińskich oponach.

Cudzy, niczyj, bezimienny. Szary, niepozorny, nierzucający się w oczy. Niechby i marny – potrzebuję go raptem na jeden wieczór. Chyba pożyczę od kogoś ze znajomych. Najlepiej od Promienicy! Przecież jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Przyjaciele powinni sobie nawzajem pomagać w trudnych chwilach. A ja przeżywam właśnie trudną chwilę. Ciężką godzinę. Męczący dzień. Koszmarny czas. Umykające życie. Ile mi tam Palacz odmierzył – do końca miesiąca?

Brzęknęła moneta w telefonie i syty, koci głos Cezara potokiem patoki popłynął mi w ucho. Pogadaliśmy o tym, o owym.

– Pojedziemy na baby? – zaproponowałem. – Wypilibyśmy, zabawili się... Są dwie fest kobitki.

Głos Promienicy przycichł, coś zaszeleściło, pewnie przykrywał mikrofon dłonią, żeby nie usłyszała żona.

– Nie mogę, Pasza... Wczoraj ostro zabalowałem... Tamarka szalu dostała... Muszę w domu posiedzieć, trochę punktów zyskać...

– No, to bywaj... Pozdrowienia dla Tamarki...

Cisnąłem słuchawkę i wybrałem numer Kowszuka w jego knajpianej Szwajcarii.

Odebrał któryś z jego fagasów i powiedział z szacunkiem:

– Zaraz poprosimy Siemiona Gawrzyłycza...

Prosilili długo, na pewno szwajcarski admirał własnoręcznie „śmietankę” przyrządzał, zmęczyło mnie już przestępowanie z nogi na nogę w ciasnocie, zimnie i smrodzie telefonicznej budki, kiedy wreszcie usłyszałem jego głos:

– Kowszuk, słucham...

– To ja, Sienia... Poznajesz mnie, druhu?

Pomilczał jakiś czas, po czym westchnął ciężko:

– I czemu ty, Paszka, tak się wszystkiego boisz? Wszystkich się wystrze-gasz, po imieniu się nie przedstawiasz... Mój telefon nie jest na podsłu-chu... Wiem o tym...

– No i świetnie, Sienia... Ale gdybym nie był ostrożny, to dzwoniłbym teraz do ciebie z tamtego świata. Możesz się urwać z pracy?

– Kiedy?

– Przyjadę za godzinę. Jesteś gotów?

Zaśmiał się:

– Ja zawsze jestem gotów... Ale przyjeźdź lepiej za jakieś dwie godzinki. Goście się przeredzą, łatwiej będzie mi się urwać...

I jeszcze jeden telefon – informacja miejska, 09. Zajęte. Zajęte... Długie sygnały... Zajęte... No, wreszcie!

– Czy mógłbym prosić o telefon recepcji hotelu Sputnik? Tak tak, Sputnik na Prospekcie Lenina... Zapisuję, 234-15-26... Dziękuję...

To tyle. Pora poszukać samochodu.

Szybko złapałem okazję i pogałem pod dom Promienicy. Odtajałem w au-cie, zdrzemnąłem się i poprzez senną marę myślałem, że siedzący w domu Promienica na pewno z chęcią da mi swojego odrapanego żiguli w kolorze wyrzyganego winegretu. Czego tu żałować? To nie mercedes. Przecież je-steśmy przyjaciółmi. Znam jego żiguli jak własne pięć palców – ileż to razy jeździliśmy nim razem... I przycisk alarmu po lewej stronie kierownicy pod tablicą rozdzielczą. Gdyby Promienica wiedział, że potrzebne mi jest jego żalosne auto, sam by mi je podprowadził, a nie zmuszałby mnie, żebym jechał po nie przez pół miasta.

Kłopot tylko z tym, że wczoraj podpadł Kuwałdzie i teraz musi zdobyć punkty na łonie rodziny. A co najważniejsze – w żadnym razie nie może

wiedzieć, że będę dziś jeździć jego samochodem. To będzie taki nasz mały sekret, intymna tajemnica, jak to pomiędzy przyjaciółmi.

Kazałem kierowcy zatrzymać się jedną przecznicę od domu Promienicy i poszedłem na podwórko, gdzie zwykle trzymał samochód. Oto i on, zabłocony, bury, niezauważalny! Jeszcze ciepły po całodziennym krzątaniu Promienicy, którzy lata jak kot z pęcherzem wokół swoich plugawych interesików.

Wyjąłem z kieszeni gazetę, złożyłem kilkakrotnie i owinąłem nią prawą rękę. Rąbnąłem kantem dłoni w kąt okienka wywietrznika – zameczek poleciał z brzękiem i grzechotem w głąb auta. Szybko włożyłem rękę do środka, namacałem klamkę, szarpnąłem i błyskawicznie dałem nurka za kierownicę. Mam dziesięć sekund! W dziesięć sekund muszę znaleźć guzik alarmu, w przeciwnym razie ten skurwiel zawyje, rozedrze się na całą dzielnicę – poderwie na nogi mojego zbierającego punkty druha Promienicę, zaalarmuje sąsiadów, ściągnie mi na łeb patrol milicji...

Liczę w myśli upływające sekundy – tysiąc sto jeden... tysiąc sto dwa... tysiąc sto trzy... – a równocześnie gorączkowo macam ręką pod tablicą. Przewody, śrubki, rurki, jakieś żelastwo... Przecież gdzieś tu jest, ten cholerny wyłącznik! Co za ścierwo z tej Promienicy, z tą jego żydowską podejrzliwością i pazernością – żeby tak schować ten przelącznik! Przed najbliższym przyjacielem! Co by nie mówić, oni są jednak chorobliwie przywiązani do majątku...

Tysiąc sto dziewięć... Zaraz zawyje to draństwo!

Jest! Znalazłem! Przytk!

Uf! Odetchnąłem głęboko, bez pośpiechu znalazłem pęczek przewodów od stacyjki i wyrwałem go w całości spod osłony. Czerwony przewód – zawsze od startera – zamkniemy na krótko. Kichnął, zaskoczył jeszcze nieostygły silniczek – pojechaliśmy, pojechaliśmy!

Pojechaliśmy na Prospekt Leningradzki, do hotelu Sowietkaja, do restauracji Jar, do marmurowego przybytku portiera, ku ostatniej mojej ostoi – do Sieńki Kowszuka, nieustraszonego mojego Piereswieta, który miał skruszyć plugawego judeo-mongolskiego najeźdźcę.

Jaki dziś dzień? Nie pamiętam. Wszystko mi się w głowie przemieszało. Jest marzec. Początek? Czy koniec? Nie mogę się zorientować. Wielki Boss umarł mniej więcej o tej porze, w taką samą ohydłą pogodę. Tak, tak, niosłem jego zwłoki, ostrożnie stąpając po marcowych kałużach stającej śniegowej brei. Umarł tuż przed rozpoczęciem historycznego widowiska *Idy*

marcowe. Wszystko było już gotowe. Teraz już nie pamiętam dokładnie, ale zdaje się, że na tydzień przed oficjalnym rozpoczęciem procesu lekarzy trucieli.

Jeszcze w przeddzień Lutostański chichotał i cieszył się jak wampir, który nassał się krwi do woli:

– Tak właśnie nazwiemy operację: „Idy *marcowe*”! Tylko że tak naprawdę to będą nie idy, a Żydy... Oj, zatańczą sobie na lince, zatańczą...

Był bezgranicznie, bezdennie szczęśliwy – spełniało się marzenie jego życia: likwidacja Żydów. I niewątpliwie czuł uzasadnioną dumę – wniósł przecież swój ważki wkład w zorganizowanie im wszystkim Armageddonu. Jednakże Lutostański nie zdawał sobie sprawy, że nie jest w ludzkiej mocy ustalanie granic życia i wyznaczanie godziny wiecznego spoczynku. Nie mógł wiedzieć, że jutro zaśnie na zawsze Wielki Boss. Dlatego też swój własny los wyobrażał sobie niezbyt trafnie. Skąd miał wiedzieć, że niecałą dobę później wraz z trzema innymi osobistościami, szczególnie zaufanymi, wniosę do sali sekcyjnej ciężkie jak głaz zwłoki Wielkiego Ojca...

Nie mógł sobie nawet w koszmarnym śnie wyobrazić ten cherlawy Polaček, że jutro przyjdzie mi patrzeć, jak prosektoży na moich oczach ćwiartują, siekają, piłują i tną na kawałeczki lekko cuchnące cielesne resztki Wodza Narodów.

Kręciło mi się w głowie i mdliło mnie z lekka, kiedy na niepewnych nogach wyszedłem z tego teatru anatomii, rozmyślając o nieprzewidywalności ludzkich losów.

Rozpustna wesoła posługaczka, Keto Dżugaszwili, miała siedmioro dzieci. Wszystkie prócz jednego umarły w niemowlęctwie. Został tylko najdroższy ze wszystkich, najukochańszy Soso, którego chciano oddać na służbę Bogu – wyuczyć na duchownego. A został sługą diabła.

Wyszedłem wówczas na ulicę, w szary *marcowy* poranek, przesycony wonią wilgoci i zbliżającej się wiosny. Przy drzwiach kręcił się wystraszony Lutostański. Zobaczył mnie i pośpiesznie, skwapliwie rzucił mi się na spotkanie:

– Pawle Jegoryczu, pilnie wzywa Krutowanow...

Nie patrząc na niego, bez słowa ruszyłem ku czekającej na nas na Sadowej pobiedzie. Pomyślałem, że Lutostański jeszcze nie chwyta sytuacji: zwracać się do mnie per „ty” boi się, a per „wy” – nie chce. Dlatego starannie unika jakichkolwiek zaimków. A to idiota! Gdyby plunął mi w twarz

albo pocałował w rękę – i tak nic już zmienić się nie da. Jego rola niepowracającego palacza kotłowego zbliżyła się do finału...

Po korytarzach i piętach Wydziału miotali się zdezorientowani, spanikowani bojownicy naszego niewidzialnego frontu. Wszyscy już wiedzieli o zgonie Wszechwładcy, ale dopóki nie wydano oficjalnego komunikatu, dyskusje o rozmiarach ogólnonarodowej straty były niewskazane. Świadomość nieokreśloności własnego losu sprawiła, że te lotry stały się jak gdyby bezcielesne.

Zostawiłem Lutostańskiego koło poczekalni Krutowanowa i kazałem mu czekać na mój powrót – nie wiadomo, jakie będą dyspozycje.

Adiutant, tkwiący samotnie w pustej poczekalni, wskazał mi głową drzwi:

– Wejdźcie, Siergiej Pietrowicz czeka na was.

Krutowanow siedział przy wielkim, pustym biurku i w zadumie patrzył przez okno na tonący w brudnej śniegowej brei plac Dzierżyńskiego. Spojrzał na mnie i przyłożył palec do ust. Wskazał na radio telefon, z którego dochodził nabrzmiały boleścią głos żydowskiego diakona Lewitana:

– Chory znajduje się w stanie śpiączki...

Zostawiano narodowi nadzieję – ich wielki wódz jest poważnie chory, ale w życiu różnie bywa, jest przecież nieśmiertelny, jeszcze wróci do steru, jeszcze będzie ich wychowywać i opiekować się nimi, bronić ich przed wszelkimi zagrożeniami tego wrogiego świata. Miliony ludzi, zmarłych przy radioodbiornikach, nie wiedziało, że ich wódz nie jest chory, że jest trupem. I że teraz będą musieli żyć po nowemu.

Krutowanow wskazał głową stojący naprzeciw fotel i spytał:

– Byliście tam?

– Tak jest. Byłem obecny przy sekcji.

Nieoczekiwanie Krutowanow się uśmiechnął:

– Nic szczególnego nie zauważyliście?

Pokręciłem głową. Krutowanow odchylił się na oparcie fotela i mocno, z chrzęstem się przeciągnął. Była to jedyna oznaka tego, jak jest zmęczony. Miał na sobie elegancki garnitur, wykrochmaloną błękitną koszulę i francuski krawat, a w nienagannym przedziałku i w całej jego wypielęgnowanej prezencji nie było ani śladu tego śmiertelnego napięcia, w jakim przeżył ostatnią dobę.

Powolnymi, jak gdyby leniwymi ruchami wyjął z paczki amerykańskiego papierosa lucky strike, pstryknął zapalniczką. W tej leniwej powolności widziałem wprawę leśnego zwierza, który przytaił się w zasadzce.

– A zatem, *genosse* Chwatkin, wydaje mi się, że jak mówi Eklezjasta – przyszedł czas wstrzymywania się od pieszczot...

Rozważnie milczałem.

– Zdajecie sobie sprawę, co się teraz będzie działo? – Nachylił się ku mnie poprzez biurko.

Na wszelki wypadek rozłożyłem ręce:

– Myślę, że nikt tego nie wie...

– Dlaczego? – Wzruszył ramionami Krutowanow. – W sumie nietrudno to sobie wyobrazić. Wszystko prawdopodobnie będzie tak, jak w kronice diaka Iwana Timofiejewa o śmierci Wielkiego Monarchy Iwana Groźnego.

Zamilkł, przyglądając się uważnie swoim wypolerowanym paznokciom, a ja spytałem ostrożnie:

– Czy są w niej jakieś wskazówki dotyczące nas?

Krutowanów odchrząknął.

– Chyba tak... Iwan Timofiejew napisał: „Bojarzy długo nie mogli uwierzyć, że cara Iwana nie ma już pomiędzy żywymi. Kiedy jednak zrozumieli, że to nie sen, lecz zdarzyło się naprawdę, wielmoże, którzy dotąd nie mieli własnego zdania, odżyli”. No właśnie! Należy to wziąć pod uwagę...

– A co możemy zrobić? – zainteresowałem się rzeczowo.

– No, na początek mam dla was dobrą wiadomość. Jutro na miejsce Siewiona Denisycza Ignatiewa przyjdzie nowy minister...

– Kto?

– Ławrentij Pawłowicz Beria – spokojnie, bez jednego drgnięcia powieką oznajmił Krutowanow. – Od dziś nasze ministerstwo w ogóle nie istnieje...

Zamarłem.

– Jak to?

– Podjęto decyzję o likwidacji Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego. Zostaje włączone do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na prawach głównego wydziału. Na czele nowego ministerstwa stanie członek Prezydium KC KPZR, pierwszy zastępca Prezesa Rady Ministrów Ławrentij Pawłowicz Beria.

Odetchnąłem chwilę i spytałem:

– Jakie wynikają stąd wnioski dla nas?

Zdawałem sobie sprawę, że Krutowanowa w żadnej mierze nie interesują moje sądy. Powinienem tylko właściwie reagować na jego słowa. W ogóle to nie była rozmowa, tylko instrukcja, którą bezwzględnie należało wypełnić.

Nie wspominając o tym ani jednym słowem, Krutowanow dawał mi do zrozumienia, że łączy nas sprawa żydowskich lekarzy.

– Mamy dwie możliwości – powiedział Krutowanow, bawiąc się leżącą na biurku zapalniczką. – Albo cierpliwie czekać na rozwój wypadków, z całą pewnością wielce dla nas niekorzystny, albo aktywnie uczestniczyć w tym, co się dzieje...

– W jaki sposób?

– W jaki sposób? – powtórzył, cedząc słowa, i popatrzył na mnie uważnie, jakby jeszcze raz oceniając, czy nadaje się do tej poważnej roboty, czy też traci bez potrzeby czas. – Trzeba zrobić parę drobiazków, żeby w miarę możliwości zabezpieczyć naszą przyszłość...

– Jestem gotów – skinąłem głową.

– Kariera mojego pupila Riumina i całej waszej przestępczej ferajny jest skończona. To tylko kwestia czasu. Mówię o tym szczerze, ponieważ jest mi potrzebna wasza pomoc. W całym tym budynku – zatoczył ręką szeroki krąg – nie jestem skłonny ufać nikomu, a wam w szczególności. Liczę jednak na waszą inteligencję i myślę, że zdajecie sobie sprawę ze wspólnoty niektórych naszych interesów. Nie będę ukrywał, że bardzo uważnie przeczytałem wasze akta...

– Dziękuję.

– Nie zwracajcie sobie głowy podziękowaniami. A zatem, zaobserwowałem w waszej karierze niejaką ewolucję. Najpierw byliście naszym Skorzennym, potem stopniowo wcieliliście się w rolę Eichmanna – zrobił pauzę, i natychmiast z niej skorzystałem.

– Siergieju Pietrowiczu, ja nie pasuję do roli Eichmanna. Jeśli ktoś przeanalizuje tę historię, to naszym Eichmannem będzie Riumin. Ja nie jestem człowiekiem ambitnym, nigdy nie włożyłem szefostwu w oczy i swojego udziału w sprawie nie dokumentowałem, ani w przesłuchaniach, ani w rewizjach, ani w konfrontacjach. Nawet sprawozdań nie pisałem...

Krutowanow roześmiał się.

– Zauważyłem to! I pochwalam. Cała ta historia z żydowskim spiskiem już umarła. I pochowa ją w ciągu najbliższych dni Beria...

– Dlaczego tak sądzicie?

– Polityka – wzruszył ramionami Krutowanow. – Jakkolwiek by to było śmieszne, Beria wystąpi teraz jako wybitny filosemita i żydoman. Jestem głęboko przekonany, że wkrótce zamknie tę sprawę. Dlatego naszym zadaniem jest uprzedzić go i powołać komisję likwidacyjną...

Długo patrzyłem w jego lodowate stalowszare oczy.

– Jak to sobie wyobrażacie?

– No, przecież nie muszę wam wyjaśniać szczegółów! – rzekł Krutowanow. – Macie swoje doświadczenie. Trzeba, żeby zniknął Lutostański i wasz ukochany świadek, Ludmiła Gawriłowna Kowszук. Od dziś w związku z pogrzebem Wodza zacznie się w Moskwie niesłychany bajzel. Wykorzystajcie to. Riumina biorę na siebie. Wszystko jasne?

Kiwnąłem głową.

– Zgadza się? Jesteście gotowi? – Napierał, świdrując mnie lodowatym spojrzeniem.

– Tak, jestem gotów. Zrobię to.

– To nie rozkaz – nieoczekiwanie cicho, łagodnie powiedział Krutowanow. – To moja dobra koleżeńska rada. Żeby przeżyć czasy, które nadchodzą, powinniśmy zejść w podziemie. Tak czy owak bez nas się nie obejdą, wspomnicie kiedyś moje słowo...

– Oczywiście – zgodziłem się. – Chciałbym tego doczekać...

– Doczekacie – zapewnił mnie Krutowanow. Wstał z fotela, przespacerował się po gabinecie, po czym stanął na wprost mnie i leniwie kołysząc się z pięt na palce, powiedział powoli: – Róbcie to, co wam mówię, a obaj doczekamy...

Podniosłem się, a ten zimny drań zrobił nagle rzecz niewyobrażalną – objął mnie ramieniem! I ciepło, życzliwie mówił, odprowadzając mnie do drzwi:

– Zapamiętajcie sobie, Chwatkin, na całe życie: najważniejszym bohaterским czynem Odyseusza było to, że przeżył. Ten nasz ulubiony szkolny bohater to tchórz, prowokator, łajdak i zdrajca... Ale przeżył wszystkich i po wiekach został uznany za człowieka mądrego, nieustraszonego, szlachetnego. Trzeba tylko przeżyć...

Zrealizowałem jego testament – obaj przeżyliśmy. Dziś on jest ministrem handlu. A ja mknę przez mglisty mrok na spotkanie z Sieńką Kowszukiem.

Na korytarzu w pobliżu gabinetu Krutowanowa czekał mnie z utęsknieniem Lutostański. Był przekonany, że przyniosę jakieś nadzwyczajne wiadomości, wskazówki, wytyczne na przyszłość. Ale na pewno nie przyszłoby mu do głowy, jak niezwykle wytyczne co do jego osoby niosłem od ministra. Klepnąłem go po ramieniu i szepnąłem:

– Dobra jest! Nie przejmuj się, wszystko będzie w porządku...

Patrzył mi przypochlebnie w oczy i na jego rozdygotanej twarzy pojawiło się pytanie: czy już czas uciec od Miñki? Czy też można się jeszcze trzymać dotychczasowego mecenasa?

Zatrzymałem się, udając głęboki namysł:

– Gdzie możemy usiąść, żeby pogadać?

– A o co chodzi? – Skwapliwie przysunął się Lutostański.

– Musimy razem przygotować jeden taki chytry dokumencik. – Uśmiechnąłem się. – To będzie sprytny haczyk na twoich przyjaciół – Żydów-medyków... – Po czym machnąłem ręką: – Nie, tu nam dziś nikt nie da popracować. Wiesz co, chyba pojedziemy do ciebie do domu. Nikogo tam nie ma?

– Jasne, że nie – rozłożył ręce Lutostański. – Przecież jestem kawalerem, bez żadnych zobowiązań...

Wstąpiliśmy razem do mojego gabinetu, wyjąłem z sejfu butelkę koniaku, włożyłem ją do kieszeni palta.

– Znajdzie się u ciebie jakaś zakąska? – spytałem.

– Ależ Pawle Jegoryczu! Przecież zaledwie wczoraj dostaliśmy przydział...

– No to jazda!

Jechaliśmy moim samochodem przez szare, wystraszone, zapaskudzone miasto, przycichłe przed wielką biedą. Skręciliśmy z Puszczanej na Nieglinkę. Z naprzeciwna już płynęła w kierunku centrum ludzka rzeka – tysiące ludzi chciało się pożegnać ze swoim ukochanym dręczycielem. Z trudem wydostaliśmy się z placu Trubnego. Do głowy mi wtedy nie przyszło, że za parę godzin w tym miejskim leju zostanie zabitych, stratowanych, wdeptanych w ziemię ponad tysiąc osób. Wspaniała stypa po odchodzącym Wielkim Dręczycielu...

Lutostański mieszkał na Palisze w starym czteropiętrowym domu z zasykanymi schodami. Z zadowoleniem odnotowałem, że na klatce schodowej nie miał żadnych sąsiadów. W mieszkaniu – pokój z kuchnią – panowała sterylna czystość i apteczny porządek. Surowość i asceza, zlągodzona wazonami pełnymi papierowych kwiatów.

Powiesiłem swoje palto obok płaszcza Lutostańskiego i w półmroku przedpokoiku ukradkiem wyjąłem z jego kieszeni pistolet – wiele razy widziałem, jak ten bohaterski oficer operacyjny wkłada swego waltera do prawej wewnętrznej kieszeni płaszcza.

A Lutostański krzątał się już w kuchni, przygotowując zakąskę. W kącie stało kartonowe pudło z produktami żywnościowymi – przydziałem, jaki

nam ostatnio wydano. Lutostański wyjął wędzoną kielbasę, czerwoną kulę holenderskiego sera, szproty, bułkę paryską, zaczął szykować kanapki.

Zatrzymałem go:

– Poczekaj! Chodź tu, wypijmy po szklaneczce, uczcijmy pamięć wielkiego człowieka... Żal serce ścisza...

Rozlałem przyniesiony koniak do szklanek od herbaty i rozkazałem:

– Do dna! Za świętej pamięci Josifa Wissarionowicza!

Ssałem swój koniaczek i obserwowałem uważnie znad krawędzi szklanek, jak wychodzą z orbit ogromne oczy szarańczy, jak Lutostański traci dech i dławi się ognistym płynem – ale odmówić nie śmiał, dopił do końca.

– Tak... Teraz popracujmy troszkę, a zakąsimy i jeszcze wypijemy później – zaproponowałem. – Daj tylko parę kartek papieru...

Lutostański wyjął z małego biurka plik papieru kancelaryjnego, wy dostał z kieszeni chińskie wieczne pióro.

– W porządku! Pisać będziesz ty, rzecz jasna, masz do tego dobrą rękę...

Przeszedłem się po pokoju i zacząłem dyktować:

– Do Ministra Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR, towarzysza S.D. Ignatiewa...

Lutostański wykaligrafował zdanie swoim artystycznym, równiutkim piśmem i podniósł głowę:

– A od kogo?

– Poczekaj. Na razie nie trzeba... To projekt pisma od Wowsiego. Na końcu podpiszemy go z wszystkimi tytułami. Że niby zwraca się do Ignatiewa jak generał do generała...

– A nie trzeba tego pisma zatytułować? – spytał Lutostański. – Co to jest? Podanie, wyjaśnienie, skarga?

– Nie trzeba. Pisz dalej... „Zdałem sobie sprawę, że moje dalsze życie nie ma sensu. Popeliłem wiele strasznych przestępstw i nie mam odwagi patrzeć dłużej w oczy moim kolegom. To ważne, żeby umieć w porę pożegnać się z życiem...” Zapisaleś?

Lutostański wysunął z przejęcia koniuszek języka, ozdabiając szczególnie wymyślnymi zakrętasami ostatnie słowa.

– Tak – kiwnął głową. – Dalej...

Spojrzał na mnie i widać coś wyczytał w mojej twarzy, gdyż szybko zamrugał ogromnymi, wytrzeszczonymi oczyma piśmiennego owada, w których pojawiły się łzy.

– Co, Pawle Jegoryczu? Co? – spytał bez tchu.

Zaśmiałem się, położyłem mu rękę na ramieniu.

– Nic, wszystko w porządku... Pisz dalej... Na czym tam stanęliśmy?

Stałem już za jego plecami, a on zwracał ku mnie głowę i równocześnie chował ją ze strachem w ramiona, usiłując uchwycić moje spojrzenie. I w tym momencie uderzyłem go kantem dłoni w kark – nie był to cios śmiertelny, chodziło tylko o to, żeby go ogłuszyć. Nie pozwoliłem mu upaść w przód i powaliłem na podłogę razem z krzesłem. Potem wyjąłem z kieszeni jego waltera, rozwarłem mu zęby, uniosłem lufę nieco w górę, opierając podniebienie – i nacisnąłem spust...

Taki cichy strzał, a pół głowy rozleciało się po pokoju.

Teraz należało bez nerwów wszystko zrobić porządnie, z pomysłuńkiem, naukowo.

Wróciłem do przedpokoju, wyjąłem z kieszeni palta rękawiczki i chusteczkę do nosa. Również do tej chwili uważałem, starając się niczego nie dotykać rękami. Włożyłem rękawiczki i starannie wytarłem waltera chusteczką, po czym włożyłem pistolet w jeszcze ciepłą dłoń Lutostańskiego. Najtrudniej było wepchnąć jego palec wskazujący pod języczek spustu.

Przedśmiertny list przesunąłem na środek stołu – żeby było bardziej malowniczo.

Ze stołu w kuchni zabrałem kanapki, poszedłem do toalety, wrzuciłem je do miski klozetowej i dwa razy spuściłem wodę – zgodnie z moimi wyobrażeniami człowiek, który ma zamiar umrzeć, nie powinien napychać sobie brzucha. Swoją szklankę włożyłem do kieszeni palta, ubrałem się i wyszedłem z mieszkania, zamknąwszy bezszelestnie drzwi.

Niepowracający palacz kotłowy zakończył swoją wachtę.

Audi, vide, sile...

Chyba przyjechałem pod hotel Sowietskaja za wcześnie, bo przyszło mi czekać na Kowszuka dosyć długo. Ze zmęczenia, z tłących się jeszcze resztek żaru spirytualiów, jakie zaliczyłem w ciągu dnia, z nieustannego, podsytego strachem napięcia, tak opadłem z sił, że sam nie wiem kiedy zadrze małem. Czekałem, czekałem na Kowszuka i usnąłem – całkiem jakby worek narzucili mi na głowę. Sen pochłoniął mnie najwyżej na trzy minuty, ale był głęboki i czarny jak przerebel. A wynurzyłem się zeń, zobaczywszy przed przednią szybą ociężałą, kwadratową sylwetkę Siemiona. Otworzyłem drzwiczki. Kowszuk w milczeniu, ciężko usiadł obok, odwrócił się ku oknu.

– Jak tam nastrój, Siemion?

– Ja mam zawsze normalny nastrój – odrzekł niespiesznie, z namysłem. – Jedziemy...

Ile lat minęło od tamtej pory? Jaki staż mają moje marcowe wspomnienia? A, co tam! Nie ma sensu liczyć. Minęły nie lata, nie dziesięciolecia – minęły epoki historyczne, przemknęły jak sen geologiczne ery. W ciągu tego czasu umarła cała ludzkość i narodziła się nowa, urosła i teraz radośnie się starzeje. Po co mają wiedzieć o tym wszystkim?

– Siemion, nie masz czasem ochoty pójść na emeryturę?

– Ja jestem na emeryturze... – rzucił przez zaciśnięte usta.

– Ja mam na myśli prawdziwą emeryturę; żeby całkiem dać sobie spokój, odpocząć.

Siemion chrząknął, ni to się uśmiechnął, ni to gorzko westchnął:

– Po czym mam odpoczywać? Wcale nie jestem zmęczony. Sił mi nie brak. I pracuję z przyjemnością. Mam normalną pracę...

– Zazdroszczę ci! Ja bym chciał pójść na emeryturę i mieć święty spokój.

– Spokoju mu się zachciało! – parsknął jak koń Kowszuk. – Patrzcie go, szycha..

Szturchnąłem go w ramię:

– Ech, Siemion, stary druhu, źle sobie wyobrazasz moje życie...

– Ja tam twojego życia w ogóle nie chcę sobie wyobrazać – zapewnił mnie Kowszuk. – Od początku do końca na kłamstwie i draństwach się opiera...

– Dobra, niech ci będzie – zgodziłem się. – No to pogadajmy o sprawie.

– Pogadajmy – skinął głową Kowszuk.

– Znaczący, sytuacja jest taka... Nasz klient mieszka w hotelu Sputnik. Bywałem tam wiele razy. Nie ma po co wchodzić w oczy dyżurnym przy głównym wejściu. Wejdiesz od podwórza przez podziemia restauracji. Drzwi tam są zawsze otwarte, bez przerwy kręcą się ludzie i nikt na ciebie nie zwróci uwagi.

– Mam iść przez knajpę w palcie? – z niezadowoleniem spytał Kowszuk.

– A skąd! Pokażę ci drzwi. Jak wejdiesz, na lewo są schody dla obsługi. Miniesz schody, wejdiesz do przedsionka magazynu, a stamtąd windą towarową wjedziesz na piąte piętro. On ma numer telefonu 15-26, a więc mieszka na piątym piętrze w pokoju 26. To jest na prawo od dyżurnej, za rogiem, dyżurna nie widzi drzwi do pokoju. I tu też jest wyjście z windy towarowej. No, a jak dostać się do pokoju, nie muszę cię uczyć.

– Jasna sprawa, wiem to lepiej od ciebie – powiedział ze złością Kowszuk.

– A czemu się złościsz? – spytałem. – Robimy razem to, co konieczne...

– Tak, ty będziesz czekać w samochodzie, a ja tam sam nadstawiać karku. Ładna współpraca, nie ma co...

– Spokojnie! Gwarantuję ci, że wszystko pójdzie jak należy! Załatwisz sprawę, zjedziesz windą towarową, a tam ja już będę czekać na ciebie pod drzwiami. Cała historia zajmie nam pięć minut.

– Zobaczymy – powiedział ponuro Kowszuk.

– Czym będziesz pracować? – spytałem na wszelki wypadek.

Kowszuk w milczeniu odchylił połą, na której zobaczyłem długi kuchenny nóż na pętelce z linki. Zamieniliśmy jeszcze parę nic nieznaczących słów, zanim podjechalśmy pod hotel. Skręciłem z prospektu, na ulicy Uljanowej zrobiłem zakręt w kształcie litery U, wjechałem na dziedziniec hotelu i zahamowałem przy tylnym wejściu do restauracji.

– O, za tymi zaspami będę na ciebie czekać – pokazałem Siemionowi.

Kowszuk otworzył drzwiczki i wygramolił się jak niedźwiedź na zewnątrz. Potem odwrócił się:

– Chciałem cię uprzedzić, Paszka... Jeśli przyszykowałeś mi jakieś draństwo, bardzo się rozczarujesz.

– Sienia, przyjacielu drogi! O czym ty mówisz? – zachnąłem się.

– O niczym. Ja cię tylko uprzedzam. Żebyś pamiętał. Dobra, idę...

Krzyknąłem w ślad za nim:

– Siemion, wszystko będzie dobrze! Powodzenia!

– Idź w cholere! – rzucił ze złością przez ramię.

I zniknął za drzwiami kuchni restauracyjnej.

Odjechałem dwadzieścia metrów w głąb podwórka i przycupnąłem za jakimiś bakami, skrzyniami, kontenerami. Widok zasłaniały trochę przyzmy brudnego śniegu, który najwyraźniej zgarniali tutaj przez całą zimę. Wyłączyłem światła postojowe i siedziałem w ciemności, kołysany odgłosem warczącego silnika. Szumiał nawiew ciepłego powietrza, a pomimo to wstrząsał mną dreszcz. Morzył mnie sen. Dziwne, ale nie czułem żadnego podniecenia ani strachu. Wiedziałem na pewno, że zaraz przyjdzie Siemion, wróci z akcji szwajcarski admirał i skończy się moja udręka. Z Kowszukiem jakoś się tam rozliczę. Teraz najważniejsze, żeby zniknął Mangust! Scześnie on, a wraz z nim rozpuści się drzemiąca w mojej piersi fasolka o żelaznych skrzydełkach, skończy się ten urok, przepadnie, rozwieje się na zawsze wspo-

mnienie o Palaczu, z jego odrażającą powierzchownością i straszliwą pogroźką...

Siedziałem i podrzemywałem w ciepłym, przepelnionym smrodem benzyny wnętrzu sfatygowanego żiguli Promienicy.

Było cicho i ciemno, z nieba prosił drobny mokry śnieg. I nagle, jak gdyby patrząc na siebie z zewnątrz, pomyślałem: jestem nieprawdopodobnie młody! Starzy ludzie – emeryci, profesorowie, pisarze, laureaci – nie wjeżdżają po nocach kradzionymi samochodami na tylne podwórka, nie wyprawiają na akcję najemnych morderców, nie walczą na śmierć i życie z przyjezdnymi terrorystami! Może i ma rację Mangust, że jestem nieśmiertelny jak ludzkie zło?

W takim razie czego mam się bać? Przecież czynienie zła nie dawało mi szczególnej satysfakcji, to był po prostu mój sposób na życie. Dlatego tak żywa jest pamięć tamtych uczuć, postępków, zdarzeń. I obrazy przeszłości są tak barwne i wyraziste, jakby wszystko to miało miejsce nie parę dziesięcioleci temu, lecz zdarzyło się raptem dziś rano – ze mną, ze wszystkimi otaczającymi mnie ludźmi, ze światem, w którym wówczas żyłem.

Nieobecność Lutostańskiego zauważono po paru dniach. Tak jak zakładałem, nikt nie zamierzał zajmować się na serio jego śmiercią. W tym koszmarnej bałaganie, w tej historycznej panice i ogólnym zagubieniu, jakie panowały w czasie pogrzebu Wielkiego Bossa, nikogo nie obchodził plugawy Polaczek, któremu nagle przyszło do głowy, żeby się po pijanemu zastrzelić. A w dodatku napisać hańbiący, sentymentalny list o jakichś tam przestępstwach... Jakie niby przestępstwa mógł popełnić starszy oficer MGB, oprócz zdrady ojczyzny?

Nikomun niepotrzebny człowiek, nikogo niekochający i przez nikogo niekochany, rozpląnął się bez śladu. W pewnym sensie było to nawet ciekawe – przecież w naszym Wydziale nic nie przepadało bez śladu. Ale w owym czasie nie mieliśmy głowy do majora Lutostańskiego, gdyż Wydział ogarnął chaos reorganizacji. Rozwiązanie ministerstwa i włączenie nas do MSW to była po prostu katastrofa. Wkrótce miały się zacząć przesunięcia personalne, zwolnienia, degradacje, aresztowania i zsyłki. Wszystko to, co ma miejsce, kiedy przychodzi nowa miotła, która swoimi żelaznymi prętami będzie wymiatać nas ze wszystkich komórek i gniazd, w które przez długie lata wrastaliśmy, urządaliśmy się, organizowali sobie życie, otaczając się stopniowo swoimi ludźmi. Było w pełni jasne – najpierw rozgonią nas,

a potem zacznie się nowy ostry zakręt. Kolejna zmiana wachty palaczy kołowych była tuż-tuż.

Grom gruchnął nazajutrz po pogrzebie Bossa – Beria zwolnił z pracy Mińkę Riumina. Sprawa lekarzy – setki tomów, dziesiątki aresztowanych – została zdjeta z planu i przekazana komisji pod przewodnictwem generała Włodzimierskiego.

Byłego wiceministra, naczelnika wydziału śledczego do spraw specjalnych, Michaiła Kuźmicza Riumina, na razie nie ruszali. Siedział w domu, bez przerwy pijany, od czasu do czasu dzwonił do mnie, płakał i prosił, żebym mu wytłumaczył, podpowiedział, pomógł, przyjechał, razem wypił – jak za dawnych dobrych czasów...

Pojechałem, bo musiałem z nim pogadać. Mieszkanie było zapuszczone, panował w nim chaos, jak po rewizji.

Skacowany, opuchły jak wisielec Mińka długo obsłiniał mnie w przedpokoju pocałunkami, i kiedy mnie obejmował, czułem, że drży jak galareta.

Najwyraźniej zamierzał urządzić długą, pełną łzawych wspomnień popiawę, ale ja zaprowadziłem go za rękę do gabinetu, posadziłem i krótko rozkazałem:

– Słuchaj uważnie, nie mamy czasu.

Mińka skwapliwie pokiwał głową.

– Tylko patrzeć, jak zacznę z tobą rozmawiać, przesłuchiwać, wypytywać, straszyć i obwiniać. Mogą cię wsadzić do celi. Zapamiętaj sobie jedno! Już raz cię uratowałem i wzniosłeś się na sam szczyt. Jeśli zrobisz wszystko, co ci powiem, to znowu wrócisz na swoje stanowisko. Rozumiesz?

– Rozumiem, rozumiem, zrobię wszystko, co trzeba!

– Zapomnij na zawsze nazwiska swoich podwładnych, zaczynając ode mnie, a na ostatnim pracowniku operacyjnym kończąc. My to drobne plotki, nie pomożemy ci w śledztwie, nie zasłonisz się nami przed sądem. Byłeś działaczem państwowymi wypełniałeś polecenia trzech osób – Stalina, Malenkowa i Ignatiewa. Za pojedyncze błędy i niedopatrzienia, jeśli chodzi o sprawę lekarzy, nie odpowiadasz. Trzymaj się tej linii, a Malenkow, ratując Krutowanowa, uratuje i ciebie. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem, zrozumiałem... Tak właśnie będę mówić... Tylko mnie nie porzucaj... Zadzwoni, powiedz, co słyhać...

Ale nie musiałem zadawać sobie trudu i dzwonić. Dwa tygodnie później, na pierwszego kwietnia, Beria wymyślił ogólnonarodowy primaaprilisowy

żart: aresztował Mińkę i kazał wypuścić wszystkich lekarzy, wobec których toczyło się śledztwo.

A ja w tym czasie, niczym czuły trubadur, myślałem wyłącznie o swojej ukochanej, o wspaniałej patriotce i ogólnonarodowej bohaterce, o wymyślonej przeze mnie walecznej przyjaciółce Galatei, o stworzonej moimi własnymi drżącymi rękami Elizabeth Dolittle, figurującej w dokumentach jako „starszy ordynator oddziału kardiologicznego Szpitala Kremłowskiego Ludmiła Gawriłowna Kowszuk”.

Z moją dziewczyną było marnie. Całkiem do kitu. Rzecz jasna, nie potrafiła ogarnąć skali perturbacji, jakie miały miejsce w państwie, zaiste tektonicznych rozłamów naszej planety, zwanej Ziemią Wstecznictwa, ale intuicją kota, który narozrabiał, czuła, że niedługo czekają ją wielkie nieprzyjemności. Mówiła do mnie ze łzami:

– Paszeńka, i co teraz? Przecież obiecałeś, że wszystko będzie dobrze...

Obejmowałem ją, śmiałem się, dodawałem jej otuchy:

– A zdarzyło się, żebym nie spełnił czegoś, co ci obiecałem? Wszystko będzie dobrze! Jesteś słynną, ukochaną przez cały naród kobietą, prawdziwą bohaterką... Masz Order Lenina, prawda? A ja nie mam!

Odpychała mnie ze złością:

– A na czorta mi ten order! Chętnie bym go oddała! Chciałabym, żeby wszystko było tak jak dawniej...

– To niemożliwe. Ale słuchaj, co ci mówię, a wszystko będzie w porządku...

I nagle tająca kra, na której wszyscyśmy dryfowali, pękła z trzaskiem – władza nie chciała czekać, aż Ludka odda im z powrotem Order Lenina. W gazecie „Prawda” opublikowano decyzję o pozbawieniu jej tego najwyższego odznaczenia państwowego.

Niesłychany numer! Za mojej pamięci nigdy się nic podobnego nie wydarzyło.

Ludka zawodziła w słuchawkę, miotała się histerycznie, dławiąc się krzykiem i smarkami:

– Pójdę... wszystko opowiem... boję się... To ty... ja nie chciałam...

– Cicho bądź! Przystań się drzeć i uspokój się! Przyjedź do mnie wieczorem. O dziesiątej. Porozmawiamy, zastanowimy się, co robić. Do zobaczenia wieczorem...

Gdy ściemniło się, pojechałem na ulicę Gorkiego – do MChAT-u. Przez okrągłą dobę był tu czynny bar. Nie wiadomo dlaczego właśnie tutaj

przyjeżdżali na kolację taksówkarze z całego miasta. Pokręciłem się z kwadrans, rozglądając się, oceniając sytuację. W końcu zdecydowałem się. Podjechał kolejny samochód z zielonym światelkiem, kierowca zatrzasnął drzwi i dał nura do knajpki. Nawet nie zamknął drzwi na kluczyk, a o alarmach jeszcze w tamtym czasie nikt nie miał pojęcia.

Poprzez szkło witryny widziałem z zewnątrz, jak taksówkarz ustawił się w kolejce do odbioru dań. I czując, jak wszystko w środku mi kamienieje, wydałem sobie rozkaz: spokojnie, bez paniki!

Otworzyłem porysowane jak szachownica drzwiczki pobiedy, usiadłem za kierownicą, wsunąłem w otwór kluczyk od swojego samochodu i przekręciłem na siłę. Zapalił!

Wrzuciłem pierwszy bieg i wolniutko, bezgłośnie odjechałem z postoju. Wiedziałem, że co najmniej przez godzinę nikt tego samochodu nie będzie szukać. A potem – niech szukają. To już nie będzie miało żadnego znaczenia...

Zatrzymałem się koło przystanku autobusowego – właśnie tu powinna była wysiąść Ludka. Siedziałem w taksówce z włączonym licznikiem, który tykał i szemrał, licząc upływający czas i ruble, których nie będzie miał kto zapłacić. Nie było w tej chwili na świecie przyrządu, który mógłby bardziej wyraziście zademonstrować, jak niewiele jest warte ludzkie życie.

Ostry kwietniowy wiatr kolebał na słupie uliczną latarnię. Jej żarówka widocznie dożywała swego czasu, bo od porywów wiatru to rozbłyskiwała mętnym żółtym światłem, to gasła i wszystko powlekała szara mgła. Na ulicy było całkiem pusto. Ludzie mogli pojawić się tylko wraz z autobusem, którym miała przyjechać Ludka.

Spóźniła się jakieś dziesięć minut. Ale mój taksometr był najwyraźniej włączony tylko dla niej – wysiadła z autobusu sama.

Prawdę mówiąc, nie miało to już większego znaczenia – nawet gdyby byli tam jeszcze jacyś przechodnie, nie zawahałbym się.

Coś żałośnie sierocego było w jej zgarbionej nagle, zmalalej sylwetce, zginęła bez śladu jej dumna postawa. Niezgrabnie przebierała po trotuarze długimi nogami. Modny biały prochowiec wisiał na niej bezkształtnie i z tyłu podobna była do chudej, zmęczonej staruchy.

Latarnia to zapalała się, to gasła, i od tych rozbłysków światła wydawało się, że Ludka skacze – niezręcznie, zrywami – z jawy we mgłę.

Nie wiadomo dlaczego przypomniało mi się, jak kiedyś, pieszcząc ją, powiedziałem: „Ty mój Kopciuszku!” A ona zaśmiała się ochryple: „Jestem

Kopciuszkiem, którego po dwunastej dogania książę, żeby dać mu pantoflem w leb...”

Potrząsnąłem głową i powolutku ruszyłem naprzód, czekając na chwilę, kiedy będzie przechodzić przez ulicę. Widziałem, jak zatrzymała się, obejrziała i zesła z chodnika na jezdnię.

Błysnęło żółte światło latarni. Wrzuciłem drugi bieg, puściłem sprzęgło i nacisnąłem gaz. Ryk silnika, pisk opon. Zgasła latarnia – tylko plama płaszcza bieli się na jezdni. Kierownica w prawo! Szybciej!

Gorąca stalowo-olejowa śmierć nadlatywała na nią z ciemności, a ona powoli, jak we śnie, odwracała się ku mnie. Włączyłem światła drogowe – oślepiłem ją, sparaliżowałem. Zapamiętałem na całe życie jej zniekształconą przeobrażeniem twarz, szeroko rozwarłe oczy, rozdarte niemym krzykiem usta. Zdażyła się jeszcze szarpnąć, uskoczyć, i musiałem odrobinę poruszyć kierownicą. Pobieda uderzyła ją lewym błotnikiem z głuchym mlaszczącym odgłosem. W mlecznym stożku reflektorów zobaczyłem jej odlatujący na bok pantofel. Samochód podskoczył, przejechałszy po niej tylnym kołem...

Ryk silnika, przenikliwy pisk opon na zakrętach, obłądny rajd przez miasto. Zatrzymałem się na Ordynce, zgasilem światła, wyjąłem chusteczkę, długo plułem na nią, potem starannie, powoli przetarłem kierownicę, dźwignię zmiany biegów, przełączniki świateł, klamkę, wyjąłem swój kluczyczek ze stacyjki, wysiadłem z samochodu, zatrasnąłem drzwiczki i poszedłem w kierunku domu, mamrocząc półgłosem: „Ożeń się ze mną, żołnierzyku...”

Boże, całe szczęście, że Siemion nic nie wie o łączących nas rodzinnych więzach! W przeciwnym razie pewnie by się na mnie obraził, a nóż kuchenny naostrzyłby nie na Mangusta.

Dobrze, że o niczym nie wie. Teraz potrzebne jest tylko jedno – żeby szybko i po cichu zaklął Mangusta, wrócił tu, w wilgotną, cuchnącą oślizgłość hotelowego podwórka – ja go piorunem odstawię do jego Sowietkiej, obejmę serdecznie i rozstaniemy się na zawsze. Na zawsze! Spotkamy się z nim i jego siostrzycą Ludką dopiero na tamtym świecie – za tysiąc lat. A wszystko, co działo się z nami tu, w tej plugawej, krwawej otchłani, zostanie na zawsze zapomniane i bez reszty wybaczone.

Wierzę w to! Inaczej być nie może!

A teraz chcę tylko jednego – żeby Siemion jak najszybciej przyszedł, zwałił się ciężko do samochodu i powiedział: „To tyle, załatwione, jedziemy”, żeby cała ta przeklęta historia z Mangustem się skończyła.

Ale Siemion nie przychodził. Upływały minuty, smętnie sypał śnieg, napięcie rosło, a Kowszuka wciąż nie było. Wlepiałem oczy w ciemność, wpatrując się w nieliczne oświetlone okna i próbując odgadnąć, gdzie jest pokój Mangusta, co się tam dzieje. Ale tak jakby nic się nie działo. Zасыpiający hotel wyglądał jak kazamata nudy i sennego odurzenia.

A potem na moment odwróciłem uwagę i nagle wydało mi się, że coś czarnego, dużego przeleciało wzdłuż fasady budynku i plasnęło glucho o ziemię. Poczekalem jeszcze parę chwil, nasłuchując, ale było jak przedtem cicho i smętnie. Może mi się przywidziało? Znów utkwilem wzrok w ciemności, wpatrując się w okna piątego piętra. I nagle zobaczyłem z lewej strony fasady, że okienko w oświetlonym szybie windy jest otwarte i wiatr porusza ramą. Po cichutku wyszedłem z auta, nie wyłączając silnika, i ruszyłem ku drzwiom tylnego wejścia do restauracji. Dróżka prowadziła do wielkiej zasy brudnego, podtajalego śniegu. Ostrożnie podszedłem bliżej i zobaczyłem, że w zaspie siedzi Sieńka Kowszuk. W jakiejś dziwnej, niezgrabnej pozycji, odrzuciwszy na bok jedną nogę i opuściwszy głowę na pierś, tak jakby szedł, szedł, i nagle, poczuwszy nieprzeparłe zmęczenie, przysiadł w kupie mokrego śniegu. Pstryknąłem zapalniczką, uniosłem mu głowę. Kowszuk zwrócił na mnie niewidzące spojrzenie przymrużonych błyszczących oczu. Z ust ciekła mu strużka krwi. Był martwy.

Serce stanęło mi w piersi. Bałem się odwrócić – ta szara, mroczna cisza powinna była wybuchnąć wystrzałem w plecy albo pchnięciem noża. Czujnie, niemal na palcach, zacząłem się cofać do samochodu. Nie odrywałem spojrzenia od siedzącego martwo w zaspie Siemiona. W pewnej chwili potknąłem się, zaczepiłem o coś nogą czy się pośliznąłem. Zamachałem rękami, starając się utrzymać na nogach, rzuciłem się biegiem. W ślad za mną leciał przeciągły, chrypiący świst. Dobiegłem do auta, szarpnąłem klamkę – świst zamilkł. Obejrzałem się i w piersi coś mi zabulgotało, zaświstało. A więc uciekałem przed własnym świszczącym oddechem! Uspokajająco mruczał silnik porzuconego żiguli. Skoczyłem na siedzenie, jednym szarpnięciem wrzuciłem wsteczny bieg, zawróciłem i wyjechałem z podwórka. Szybciej! Szybciej! Szybciej do domu! Schować się!

To niemożliwe! To sen. To koszmar mnie dręczy. Mangust zabił profesjonalnego mordercę Sieńkę? Jak to się mogło stać? Wyrzucił go z okna piątego piętra... Martwego? Czy żywego? Boże, co tam się stało?

Przeleciałem przez miasto jak wyrzucony z procy kamień, wjechałem w zaułek przy stacji metra Aeroport, porzuciłem samochód i biegiem – przez

podmarzłe kałuże – pognałem do domu. Biegłem, potykałem się, padałem, dyszałem, umierałem. Pierś rozrywał ostry ból, oblewałem się gorącym słonym potem i trząśł mnie lodowaty dreszcz – przemokłem na wskroś. I kiedy sił już nie miałem, bez tchu szarpnąłem wreszcie uchwyt drzwi wejściowych do własnego domu, półżywy ze zmęczenia i strachu.

Tichon podejrzliwie spojrział na mnie swoimi białymi ślepiami, pokiwał z dezaprobatą głową i powiedział:

– No no, nieźle pan sobie dzisiaj zabalował, Pawle Jegoryczu...

Nie miałem siły z nim rozmawiać. Wcisnąłem guzik windy. Rozsunęły się z cichym skrzypieniem drzwi, wbiegłem do kabiny i nagle usłyszałem za plecami głos:

– Żadna ciemność nie jest równie nieprzenikniona, jak ta, która poprzedza świt...

Odwrociłem się gwałtownie i zobaczyłem, że na miejscu kochanego mojego strażnika Tichona Iwancyza siedzi Palacz. Śmieje się niemym, straszonym śmiechem. Porusza powolutku przed sobą długim, zakrzywionym palcem, oblizuje się długim sinym językiem.

– Żadna ciemność nie jest równie nieprzenikniona, jak ta, która poprzedza świt – powtórzył. – Zapamiętaj to...

Z krzykiem runąłem w głąb kabiny. Żelazne skrzydła drzwi zasunęły się z łoskotem, zahuczały mi nad głową liny i tarcze, poleciałem w górę. Na klatce schodowej płonęło przerażające sine światło. Nie trafiając kluczem w dziurkę zamka, długo szamotałem się pod drzwiami. Czuję, że wstrząsa mną suche łkanie bez łez, że ze strachu i bólu drży we mnie każda komórka. Pchnąłem drzwi, wpadłem do mieszkania i ogarnęła mnie jakaś dziwna cisza. Zapaliłem światło w przedpokoju, krzyknąłem: „Marina!” Głos mój zabrzmiał przeraźliwie głośno, budząc echo. Na podłodze wały się jakieś szmatki, papiery, zgniecione gazety. Przeszedłem do jadalni, włączyłem światło i zdałem sobie sprawę, że zwariowałem – trafiłem do cudzego mieszkania. Nie, to nie moje mieszkanie. Zupełnie puste, z ogołocionymi ścianami, bez mebli. Wszedłem do sypialni – ta sama pustynia. Czy może to mimo wszystko mój dom? Ale gdzie jest świat rzeczy, zwieziony przeze mnie z całej kuli ziemskiej i troskliwie zorganizowany przez Marinę? Wyparował?

W kuchni zdjęte były nawet półki. Na stojącym pośrodku taborecie leżała kartka. Podniosłem ją trzęsącą się ręką. Znajomymi kulfonami Mariny nabazgrane było pospiesznie: *Mam cię dość. Niech cię szlag trafi. Odchodzę.*

Cisnąłem kartkę na podłogę i pomyślałem, że to niemożliwe, że wszystko to mi się śni. Czy można ogołocić dom w ciągu paru godzin? Może pomagał jej Palacz?

Oparłem się o ścianę, ale nie mogłem ustać – drżały mi ze zmęczenia kolana i powolutku osunąłem się na podłogę. Ogarnęła mnie straszna, przypominająca omdlenie pustka. Siedziałem na podłodze w spustoszonej, splugawionym domu i płakałem ze słabości, strachu, z żalu nad sobą. I w podświadomości szemrał, grasejował gardłowy głos Eleazara Nannosa:

– Opamiętasz się, kiedy przyjdzie na ciebie wielka męka zbliżającej się pustki...

23. Nóż w plecy

Dzwon, gong, bicie na alarm – brzęk, wizg i loskot metalowej lawiny. Jeszcze nie przebudziwszy się na dobre, uprzytomniłem sobie, że to szaleje dzwonek przy drzwiach wejściowych. Otworzyłem opuchłe ślepię – i niktzemny, wrogi świat jak rozwścieczony pies rzucił się na mnie bezradnego, powalonego. Zmrużyłem oczy ze strachu.

Byłem pokonany. Leżałem na podłodze swojej kuchni. Komu ja chciałem przypomnieć, że leżącego się nie kopie? Zaszczuty skuliłem się w kącie i słuchałem ogłuszającego larum u drzwi.

Ten natarczywy dzwon, który niby brzęczący łańcuch wciągał mnie w odrażający świat, rozbudził równocześnie ból, który zamieszkał w moim zdrętwiałym ciele.

Nie byłem już człowiekiem. Nie byłem pułkownikiem ani pisarzem, ani profesorem, nie byłem równym gościem ani Don Juanem, tylko żalonym zbiornikiem najróżniejszych bólów. Muzeum wszelakich cierpień. Przenikliwe wycie nerwów, głuche stękanie nalanej czarną krwią i żółcią wątroby, donośne łomotanie serca, trzask pękających kości klatki piersiowej. Wszystko rwie, dźga i kole.

A dzwonek hałasował nieubłaganie przy wejściu. Nie otwierając oczu, jęcząc i stękając, zacząłem się unosić, opierać rękami o ścianę. Z trudem uniosłem się do pozycji stojącej i z rezygnacją ruszyłem poprzez zaśmiecony korytarz ku wejściu. Odsunąłem zasuwę. Byłem przekonany, że za drzwiami stoi Mangust. Albo Palacz. Albo martwy Kowszuk. Albo Marina. Albo coś równie odrażającego. Pchnąłem wierzaje swego na wprost zburzonego

home, który był niegdyś moim *castle* – i ujrzałem jakiegoś całkiem sympatycznego stwora z torbą pocztową.

– Przesyłka polecona do pana! – oznajmił i wyciągnął ku mnie kartonowy cylinder, półmetrowej długości rurę, oklejoną jaskrawymi papierkami ze stemplami pocztowymi.

– Proszę pokwitować odbiór – powiedział listonosz i popatrzył na mnie badawczo.

– Nie mam czym pisać – burknąłem.

Podał mi ołówek wraz z pokwitowaniem.

– Proszę zaznaczyć, że doręczono o dwunastej dwadzieścia...

Napisałem, zacząłem szukać po kieszeniach drobnych na napiwek, a ten gad wyszczerzył z pogardą zęby:

– Niech się pan nie fatyguje... Doręczenie jest opłacone.

I zniknął bez śladu.

Zatrzasnąłem drzwi, wróciłem do kuchni i ciężko opadłem na taboret. Pomyślałem, że przypominam teraz miejskiego kangura Cybikowa, konkubina wesołej prostytutki Nadźki, syna mojego nieboszczyka kolegi, współtowarzysza i przełożonego Mińki Riumina.

Co to za przesyłka? Skąd? Od kogo? Od nikogo nie spodziewam się żadnej korespondencji. Chciałbym, żeby wszyscy zapomnieli o moim istnieniu. Nie ma mnie, jestem nieobecny...

Drżącymi rękami zdarłem taśmę klejącą, rozerwałem papier ze stemplem i zdjąłem kartonowe wieczko. Odwróciłem tubę, potrząsałem – w środku coś głucho zastukało i nagle wypadł stamtąd długi nóż, przeleciał mi między kolanami i wbił się w parkiet, kołysząc się wahadłowo.

Nie miałem siły nawet się przestraszyć – to był nóż Sieńki Kowszuka. Nóż, który wczoraj naostrzył na Mangusta. Zajrzałem do wnętrza tuby. Były tam jeszcze jakieś kartki. Wyciągnąłem je na świat, rozłożyłem – list od Mangusta.

Szanowny Fater!

Przekazuję z pewnością ważny dla pana dokument oraz miłutki souvenir, który wczoraj mi pan przysłał. Dziękuję! O szesnastej będę czekać koło pańskiego domu. Proszę nie zapomnieć! Niech pan weźmie ze sobą swój paszport.

Magnus Teodor Borowitz

No cóż, niezły początek. Zacząłem czytać drugą kartkę – i serce mi stanęło. Nawet bóle, tak dojmujące, nagle zniknęły, stały się po prostu tłem koszmarnego przebudzenia. Zapomniałem o wszystkim. Donos trupa... Sądząc po zaczernionych brzegach stronicy, była to kserokopia. Kserokopia listu Sieńki Kowszuka.

Do

kompetentnych organów

od majora KGB w stanie spoczynku Siemiona Gawritowicza Kowszuka
Raport

Na wypadek, gdyby coś się ze mną stało, uważam za niezbędne powiadomić organy o następujących faktach.

Były mój zwierzchnik, pułkownik P.J. Chwatkin, w zeszłym tygodniu powiadomił mnie, że kierownictwo zleciło mi zlikwidowanie amerykańsko-izraelskiego szpiega. Chwatkin powiedział, że posiada niezbędne upoważnienia do przeprowadzenia tej akcji. Jednak znając Chwatkina od lat, uważam za celowe podanie kierownictwu do wiadomości, że Chwatkin jest człowiekiem niepewnym pod względem moralnym i politycznym. Mógł sam utrzymywać szpiegowskie kontakty z zachodnimi specjuszabami, a teraz być może chce zatrzeć ślady i pozbyć się niewygodnego świadka.

W przeszłości Chwatkin był jednym z inicjatorów i organizatorów słynnej „sprawy lekarzy”, do której realizacji wciągnął moją siostrę Ludmiłę, pracującą wówczas w lecznicy kremlowskiej. Po zamknięciu tamtej sprawy, aby zatrzeć swoje uczestnictwo w niej, Chwatkin – jak przypuszczam – zabił ją albo sam, albo przy pomocy kogoś z podwładnych. Jestem przekonany, że uczynił to za zgodą ówczesnego MWD-MGB. Jednak żadnych przekonujących dowodów na ten temat nie posiadam.

Przez wszystkie te lata nie podnosiłem danej kwestii, gdyż sądziłem, że śmierć mojej siostry była niezbędna ze względów bezpieczeństwa naszego kraju. Dlatego też, jako czekista i komunista, milczałem. Wiem, że Chwatkin do dziś nie został pociągnięty do odpowiedzialności ze względu na rolę, jaką odegrał w spisku przeciwko byłemu ministrowi spraw wewnętrznych Ł.P. Berii.

Uważam za celowe sporządzenie tego raportu na wypadek, gdyby zdarzyło się ze mną coś nieoczekiwanego, a równocześnie okazało się, że Chwatkin nie realizował zadania zleconego przez kierownictwo, tylko działał na własną rękę.

Siemion Kowszuk

A to dopiero... To znaczy, że przez wszystkie te lata albo wiedział, albo się domyślał, albo podejrzewał. I milczał, czekał na stosowną porę. I proszę, jak wyszło – mimo wszystko na niego wcześniej przyszła kryśka.

Co do jednego powiedział prawdę: wiele zostało mi wybaczone ze względu na rolę, jaką odegrałem w życiu naszego drogiego Ławrentija Pawłowicza. Wszyscy oni poszli pod ścianę, do mamra, albo zostali zdegradowani bez prawa do emerytury. A ja wypłynąłem...

...Wtedy, od chwili aresztowania Mińki Riumina i jego osławionej ferajny, wiedziałem, że dostałem tylko czasowe odroczenie, krótkoterminowe. Beria, obwieściwszy światu swoje umiłowanie prawdy i swoją zakichaną sprawiedliwość, wypuścił z więzienia lekarzy i teraz musiał pokazowo ukarać niegodziwców, którzy przypadkiem wkręcili się do naszego kryształowo czystego Wydziału i skalali naszą świątynię socjalistycznej praworządności.

Zostało to ogłoszone wszem i wobec. A równocześnie wydano dyrektywę, która wstrząsnęła naszymi bojownikami do głębi duszy, gdyż był to zwiastun nadciągającej katastrofy. Do wiadomości całego zespołu śledczo-operacyjnego zostało podane ustne wprawdzie, ale przerażające rozporządzenie Berii: zabrania się bić! Wykluczone są wszelkie rodzaje fizycznego nacisku na oskarżonych!

Dzięki ci, Boże! Albowiem dopóki Mińki i jego współtowarzyszy nie biją, to przez jakiś czas wytrzyma i będzie milczał, licząc – idiota! – na pomoc Krutowanowa i moje współdziałanie. Ale później Mińka Riumin i pozostali bezwzględnie rozgadają się na przesłuchaniach i opowiedzą o mojej roli w całej tej genialnej, niestety niedokończonej inscenizacji. Moje nazwisko tak czy owak wypłynie, o ile nie zyskam jakiejś skutecznej osłony. Za dzień, za tydzień, za miesiąc nieuchronnie wezmą mnie za rączki i cisną w podziemia, do sąsiedniej z Mińką celi.

Konieczna mi była osłona. Ale jaką osłonę można znaleźć przed samym Ławrentijem, nieogarnionym jak niebios a nieubłaganym jak rozsierzony archanioł?

Drżałem i myślałem, trząłem się i kombinowałem, truchlałem i przymierzalem się do pomysłów – nieprzerwanie, niezmordowanie, bez wytchnienia.

• I wymyśliłem. Zasłoną przed Berią mógł być tylko sam Beria. Jednak wymyśliłem!

Czy raczej należałoby powiedzieć, pomógł mi przypadek. Ale ja byłem przygotowany na taki przypadek. Po prostu spotkałem w restauracji Aragwi Otara Dzedżelawę.

Trudno uwierzyć w coś takiego – Otar Dzedżelawa, legendarny bohater, który zmienił bieg historii ludzkości. Stanowisko miał w Wydziale szczególnie – adiutant Berii, pełnomocnik operacyjny do specjalnych poruczeń. Miał ich Beria dwóch – pułkownika Sarkisowa, śliskiego Ormiaszkę, i Dzedżelawę. Sarkisow był adiutantem od wszystkich oficjalnych, „służbowych” spraw. A specjalność otrzymywanych przez Dzedżelawę poruczeń polegała na tym, że zajmował się dostarczaniem kurew dla swojego szefa.

Był on chłopcem bardzo ładnym, bardzo głupim i całkiem niezłym. I bardzo blisko związanym z szefem. Można powiedzieć – intymnie. Ale i ze mną miał piękny Otar pewne intymne sekrety. Związane ze złotą sztuczną szczęką, którą ukradł podczas rewizji.

Bóg świadkiem, że niezbyt go dręczyłem. Zdawałem sobie sprawę, że na moim pigmejskim poziomie jego informacje są dla mnie bezużyteczne, a nawet mogą być niebezpieczne. Słodki kęsek to nie ten, który możesz odgryźć, a ten, który jesteś w stanie przełknąć. I stosunki nasze z Dzedżelawą ułożyły się miło, przyjaźnie, aczkolwiek od czasu do czasu przypominałem mu, że ma wobec mnie niewielki dług...

W ów bez troski majowy wieczór wraz z Dzedżelawą i dwoma jego kolegami- czarnodupcami piliśmy w knajpie Aragwi kachetyńskie wino, wcinali sacywi i szaszłyki, wygłaszali toasty i opowiadali sprośne kawały. Przy dwudziestej butelce Dzedżelawa powiedział mi, że mnie kocha jak brata. A ja podniosłem na to róg z winem i powiedziałem, że kocham go jak młodszego brata, albowiem braterska miłość do młodszego brata jest mocniejsza, bardziej odpowiedzialna. Wówczas Otar uronił łzę, ucałował mnie i obwieścił:

– Bracie mój przybrany, Pawle! Miesiąc! Miesiąc raptem został! Za miesiąc człowiek, który jest dla mnie droższy niż rodzony ojciec, ważniejszy niż Bóg, siła mojego rozumu i żar mojego serca, będzie pierwszym w tym kraju! A ja – generałem! A ty, Pasza, będziesz u mnie pracował!...

Kiedy wpychałem Dzedżelawę w drzwiczki czarnego zisa, był już całkiem gotów – jak kawał drewna.

Zis z wyciem syreny pomknął ulicą Gorkiego, a ja podszedłem do najbliższego automatu i zadzwoniłem do Krutowanowa. Wrzuciłem w szczelinę monetę i rozpocząłem najbardziej ryzykowną grę mojego życia.

Krutowanow w ogóle nie był zdziwiony moim telefonem, jakbym każdego dnia dzwonił do niego po nocy.

– Przespacerować się? – powtórzył i nie zastanawiając się ani przez chwilę, zgodził się: – Czemu nie? Zaraz się ubiorę i wyjdę. Przewentylujemy się trochę, rozprostujemy zmęczone członki...

Łebski gość – nie chciał, żeby ochrona przy jego drzwiach wejściowych widziała, że łączę do niego po nocy. I, rzecz jasna, bał się podsłuchu u siebie w mieszkaniu. Krutowanow zdawał sobie sprawę, że jeśli dzwonię do niego do domu w środku nocy, to lepiej jest porozmawiać na ulicy.

Normalna sprawa – dwóch romantycznych młodzieńców spaceruje sobie po nocnej wiosennej Moskwie i podziwia srebrzysty sierp malejącego księżyca.

A kiedy narozkoszowaliśmy się do woli impresjonistycznym pejzażem i zakończyłem liryczną arię o bracie swym młodszym Otariku, Krutowanow tak się rozczulił, że aż uściskał mi dłoń.

– Ogólnie biorąc, tego właśnie się spodziewałem – powiedział. – Tak też zakładałem, że potrzebny mu będzie miesiąc-dwa. Ale to bardzo cenna informacja... Co możemy zrobić?

Wytrzymałem jego rentgenowskie spojrzenie i spokojnie powiedziałem:

– Możemy zrobić tylko jedno: uprzedzić bieg wydarzeń...

Uśmiechnął się.

– A krzepy nam wystarczy? Rączki nie za krótkie?

– To bez znaczenia. Jeśli krzepy nam nie wystarczy, wielu z nas skrócą o głowę...

– Bez wątpienia. I na litość nie ma co liczyć... Jutro o czternastej zero zero czekajcie na mnie na szosie możajskiej pod sklepem Dieta – rzekł Krutowanow.

Nigdy nie zadawałem mu zbyt wielu pytań. I nie omyliłem się w swoich oczekiwaniach – następnego dnia pojechaliśmy na miłą pogawędkę na dach do Malenkowa.

Nasz obwistolicy premier w białym mundurze siedział w ogrodzie przy stoliku do herbaty, a naprzeciw niego – plecami do mnie – rozwalił się w fotelu jakiś łysy grubas. Obszedłem stół, żeby się przywitać, i zobaczyłem, że herbatę z premierem pije nasz pierwszy sekretarz KC – sam Nikita Sergejewicz. I on pofatygował się na spotkanie ze mną! No, no... Nie codziennie zdarza mi się gadać z dwiema najważniejszymi osobami w państwie! Uściskał mi dłoń wodzowie, posadzili między sobą w wyplatany

trzciniowym fotelu. Krutowanow powstał chwilę, rozglądając się dookoła, a potem wszedł na ganek i zniknął w drzwiach domu.

– Napijecie się herbaty? Czy może kawy? – spytał Malenkow. Nie było to przecież zebranie, żadna odprawa, tylko towarzyskie spotkanie, przyjacielska wizyta.

Gdy Nikita Siergiejewicz własnoręcznie nalewał mi herbatę, z domu wyszedł Krutowanow z tacą kanapek. Najprawdopodobniej sprawdzał, czy nikt tam nie podsłuchuje. Czekala nas rozmowa niewątpliwie przyjacielska, ale niezbyt bezpieczna – po co etatowe wtyczki wodzić na pokuszenie! Wybrałem kanapkę z soczystą różową szynką, dokładnie taką, jakie wciął Chruszczow w dniu zaślębia Wielkiego Bossa, a on mnie dobrodusznie zachęcał:

– Jedz, jedz! Dawniej na Rusi przyszłego robotnika oceniali po apetycie.

Uśmiechnąłem się:

– No, pod tym względem wszystko u mnie w porządku.

– Tak? Siergiej Pietrowicz mówi, że i pod innymi względami wszystko u was w porządku – rzekł Malenkow, uśmiechając się sztucznie.

Skromnie spuściłem oczy. Chruszczow nie mógł wytrzymać, od razu wziął byka za rogi:

– Jak myślisz, synku, można wierzyć temu czarnodupcowi? Jak mu tam... Dźdźdźelawie?

– Myślę, że można – wzruszyłem ramionami. – To człowiek ze ścisłego kręgu Berii, domownik, można powiedzieć. Mają wspólne zainteresowania i rozrywki, razem się bawią, a w takich chwilach człowiek jest bardziej otwarty, swobodny, chętny do rozmowy. A i polecenia wydaje się poprzez ludzi bliskich.

– I co, sądzicie, że to się może Berii udać? – krzywo uśmiechnął się Malenkow, ale widziałem, że ze strachu trzęsą się jego galaretowate fafle policzków.

– Jeśli nie zostaną podjęte działania uprzedzające, to niewątpliwie powinno się udać. Bez problemu! – zapewniłem ich, wchodząc w rolę doradcy państwowego.

– A jakież to działania uprzedzające można podjąć? – z niedowierzaniem spytał Chruszczow.

– Potrzebna jest pomoc osób postronnych. Na przykład wojska – powiedziałem. – Wiele sił nie potrzeba. Ważne, żeby sensownie i skutecznie odizolować Ławrentija Pałycza.

– A jak go izolujesz? – spytał Chruszczow. – Tamańską dywizją szturmować Łubiankę?

– Nie, nie, tak nie da rady! – zamachałem rękami. – Żeby postawić na nogi dywizję, trzeba zaangażować tylu ludzi, że w jeden dzień informacja dotrze do Berii...

– A co masz na myśli?

– Odciąć Berię od systemu ochrony. A wtedy nikt z Łubianki nie pójdzie za niego na barykady.

– Jesteście o tym przekonani? – spytał Malenkow.

– Naturalnie. Problem w tym, jak go izolować – powiedziałem. – To sprawa trudniejsza, niż się wydaje.

– Nikomu nic się nie wydaje! – rozłościł się Krutowanow. Drażniło go, że już się oswoiłem na placu boju i rozmawiam z tymi dupiastymi pierdzielami jak równy z równym. – Wszyscy tu zdają sobie sprawę z powagi sytuacji. Wojska nie da się użyć, bo wszystkie obiekty rządowe, w których bywa Ławrentij, wszystkie sfery jego działalności podlegają ochronie „dziewiątki”. A Dziewiąty Wydział podlega tylko jemu, i na każdy rozkaz ochrona otworzy ogień...

Miał rację. Również na Kreml nie ma wstępu żaden uzbrojony oficer armii. Zgodnie z rozkazem komendantury Kremla wejście z bronią na teren naszej świątyni jest zabronione dla wszystkich.

Dokończyłem kanapkę i powiedziałem:

– Tę kwestię należy nieco rozwinąć...

– To znaczy? – zainteresował się Chruszczow.

– Berii wszędzie towarzyszy osobista ochrona złożona z czterech min-grejskich osilków. Piąty to Dzedżelawa albo Sarkisow. Plus uzbrojony kierowca. Czyli w sumie sześciu-siedmiu uzbrojonych, specjalnie przygotowanych ludzi. Zwerbowanie ich jest niemożliwe, a w każdym razie mało prawdopodobne. Zresztą nie ma na to czasu...

– To co z nimi zrobić, w dupę ich pocałować czy jak? – zapytał bezradnie Chruszczow.

– Trzeba ich wybić... Co do jednego.

Operacja została wyznaczona na siedemnastego czerwca. Początkowo zamierzaliśmy jej dokonać dwunastego czerwca, ale Beria poleciał do Berlina, gdzie musiał szybkoitko zdusić rebelię naszych Niemców, cokolwiek już zmęczonych budowaniem socjalizmu.

Wraz z generałem Greczko przemiesili nieco czołgami tłumy zbuntowanych fryców, świńtuchów niewdzięcznych, których niedawno oswobodziliśmy od brunatnej dżumy faszyzmu, proponując w zamian szkarlatną rozkosz mającego wkrótce nastąpić komunizmu.

Postrzelali trochę, rzecz jasna trudno się bez tego obyć w podobnej sytuacji, zgarnęli, kogo trzeba. Zmieściwszy się w terminie, jak przy wiosennych siewach, wrócił Ławrentij do naszego stołecznego grodu. Prosto z lotniska pomknął na posiedzenie Prezydium KC.

Trzeba przyznać, że Niemcy zbuntowali się niezwykle w porę, bowiem w ciągu pięciu dni nieobecności Berii można się tu było spokojnie dogadać w wielu sprawach.

Miałem zamówioną przepustkę na Kreml na godzinę dwunastą, w samo południe. Okazałem legitymację warcie zewnętrznej przy Wieży Spasskiej, przeszedłem przez kołowrót wykrywacza metali – punkt kontroli broni. Zabłysło zielone światelko – można wchodzić, broni nie stwierdzono. Druga warta, potem jeszcze dwóch kontrolerów z „dziewiątki” – uważne spojrzenie na twarz, potem na zdjęcie w czerwonej książeczce, znowu na twarz, strażnik poklepał mnie po kieszeniach – broni nie ma. Ech, wy frajerzy – mój oręż zawsze jest przy mnie. Ja sam jestem orężem...

Skręciłem w prawo, wzdłuż zębatego czerwonego muru, ku zielonej, zamkniętej na głucho bramie pałacyku Rady Ministrów. Jeszcze jedna warta, tu stoi ich trzech – obmacanie, spojrzenie w twarz, na fotkę, znowu w twarz, wartownik porównał wpis w legitymacji z nazwiskiem na blankiecie przepustki.

– Przechodźcie! – zakomenderował. – Jak będziecie wracać, nie zapomnijcie wymeldować przepustki i zaznaczyć godziny wyjścia. Inaczej nie zostaniecie wypuszczeni...

Ech, ty dupo konwojencka! Nie wiesz, że mojej przepustce przeznaczone jest, żeby pozostała niewymeldowana. Jakkolwiek sprawy się ułożą, wyjdę stąd nie na własnych nogach – albo przemknę ze świstem rządowym zisem, albo wywiozą mnie specjalnym wozem jako trupa.

Ostatnia warta przed wejściem do sali obrad – w szklanym kiosku dwóch lejtnantów utkwilo wzrok w legitymacji, o mało co jej nie wylizali:

– Możecie przechodzić...

Wszedłem na drugie piętro, powoli ruszyłem długim, niekończącym się korytarzem ku wielkiej poczekalni przed salą posiedzeń Prezydium KC. Znalazłem właściwe drzwi i cichutko, nieśmiało wśliznąłem się do środka.

Dwa ogromne biurka zastawione telefonami, krwistoczerwone chodniki na żółtym jak jajko parkiecie, brązowe kandelabry, niezliczone krzesła wzdłuż ścian. Na krzesłach – oficerowie do zleceń specjalnych, adiutanci i sekretarze czytali dokumenty w tekturowych teczuszkach, przerzucali gazetki, ziewali półgębkiem, czekając na swoich mocodawców, obradujących za ogromnymi dwuskrzydłowymi drzwiami.

Nieopodał wejścia do sali zebrała się osobista ochrona Ławrentija – czterech przypominających dzikie bestie mingrelców. Czuli się tu jak u siebie w domu – dwóch siedziało okrakiem na krzesłach, jeden usadowił się na dywanie, podwinąwszy nogi pod siebie, czwarty – żyłasty, drobny, smagło-żółty – szczerząc złote zęby, opowiadał po gruzińsku jakieś kawały, a pozostali rzeli gromko, beztrasko. Biurowe szczury-sekretarze zezowali na nich z obawą. W odległym kącie siedziało dwóch oficerów armii. To na pewno moi asystenci – adiutanci Żukowa. Po paru minutach do poczekalni władował się, dysząc ciężko, wielki, brzuchaty generał Batycki, dowodzący przeciwpowietrzną obroną Moskwy.

No, nie ma co mówić – potężny hufiec! Gówno, a nie pomocnicy. Wiedziałem już, że sukces zależy teraz tylko ode mnie, od moich zawodowych umiejętności i od mojego fartu. Bóg świadkiem, nie czulem ani strachu, ani szczególnego podniecenia. Wiedziałem, że moim atutem będzie zaskoczenie.

Otworzyły się drzwi sali posiedzeń Prezydium i na palcach wyszedł stamtąd Dżedżelawa z walizką-dyplomatką w rękach. Skierował się ku ochroniarzom szefa i powiedziawszy coś po gruzińsku, oddał im walizeczkę. W tym momencie zobaczył mnie i zawołał:

– Hej, *biczo!* *Gamardżoba!* *Garimardżos!*

Zamachałem na powitanie łapami i ruszyłem mu na spotkanie. Uśmiechałem się do niego promiennie, a on wrzeszczał na całą poczekalnię, jak na tyfliskim bazarze:

– Co ty tu robisz, kochany?

Czuli się tutaj gospodarzami. Cóż, właściwie tak też było... Uściskaliśmy się pośrodku tego długiego pokoju pod zawistnymi, nieprzyjaznymi spojrzzeniami gryziopiórów, objąłem go za ramiona i poprowadziłem z powrotem w kierunku ochroniarzy. Świadomie nie zbliżałem się do nich wcześniej, żeby nie zwracać na siebie ich uwagi.

Generał Batycki – jedyny spośród obecnych, który znał moje zadanie – uważnie śledził moje manewry, głośno, jak byk, sapał i miał tak wystraszony wyraz twarzy, że mogło to zwrócić uwagę ochroniarzy.

Podeszliśmy do nich tuż-tuż. I w tym momencie moja ręka ześliznęła się z ramienia na pas Dźdźeławy, błyskawicznym ruchem wyrwałem z kabury jego waltera i łokciem uderzyłem go mocno w twarz. Dźdźeława bezgłośnie zwałił się za moimi plecami, a ja już leciałem naprzód, albowiem miałem teraz do dyspozycji tylko tę krótką chwilę, dopóki czterej ochroniarze niczego jeszcze nie zauważyli.

Nie znaliśmy wtedy karate, ale wiedzieliśmy, jak trzeba skutecznie uderzyć. Podskok, kopniak w brzuch, przewrót i od razu uderzenie głową w twarz następnego. Potem zaczęto to nazywać „majgeri”. Wychwyciłem zza pasa dowcipnisiowi – drobnemu, żylastemu, śniademu – pistolet samopowtarzalny i tą ciężką żelazną maszynką przyłożyłem w ucho trzeciemu, potem natychmiastowy zwrot i kopa w jaja temu, co siedział, drań bezczelny, na dywanie. W urzędzie państwowym!

Dwóch leżało na podłodze obok Dźdźeławy, jeden skurczył się na krześle, zasłaniając dłońmi rozbitą twarz, czwarty, drobny, uparty bydlak, powoli podnosił się na nogi. Nie dając mu wytchnienia, z rozbiegu uderzyłem go głową w pierś. Z głuchym stukiem rąbnął o ścianę i osunął się jak worek na podłogę.

Głucha cisza, sapanie, zapach krwi i potu, młasczące odgłosy uderzeń, szelest papierków w rękach ogłupiałych ze strachu sekretarzy i ciężki tupot biegnących mi na pomoc wojskowych.

Niezręczni, niewyćwiczeni w walce wręcz, padali na leżących ochroniarzy jak bramkarze na boisku.

– Broń! Zabierzcie broń! – świszczącym szeptem wydawałem im komendy, a oni, wyrwawszy ochroniarzom gnaty z kabur, ze strachu tłukli ich nimi po głowach, aż krew bryzgała na żółty parkiet. Niepotrzebnie się wysilali – ochrona była już wyłączona z akcji. Dźdźeława ze strachem i smutkiem wytrzeszczał na mnie swoje śliczne, po baraniemu bezmyślne oczy.

Nie wiadomo skąd pojawiło się jeszcze dwóch wojskowych, wyciągnęli z kieszeni krótkie nylonowe linki i zaskakująco zręcznie skrępowali poruszających się jeszcze ochroniarzy. Ci chłopcy pewnie byli z wywiadu wojskowego – podkomendni marszałka Żukowa. W tym momencie znowu uchyliły się drzwi wielkiej sali i wysliznął się stamtąd blady, zatroskany Żukow, podzwaniający orderami jak koń cyrkowy nabijaną blaszkami uprzężą. Obrzucił wzrokiem pole bitwy i zwrócił się do Batyckiego:

– W porządku?

Apoplektyczny generał, ciężko dysząc, wskazał ręką na mnie:

– Ten... dał sobie radę...

– Za mną! – zakomenderował Żukow. Nie wiedział jeszcze, że ta garstka reżników, która podążyła za nim do wielkiej sali, to ostatnia w jego życiu zwycięska armia. Wszystkie następne bitwy generał przegrał.

Do tej pory pamiętam twarze osłupiałych wodzów. Replika ulubionego obrazu radzieckiej dziatwy – *Aresztowanie Rządu Tymczasowego*.

U szczytu stołu Chruszczow z łysiną czerwoną jak dupa pawiana. Trzęsąca się, pofałdowana morda Malenkowa. Trzymający się ze strachu za bródkę Bułganin. Trupi blask szkiełek binokli Mołotowa...

Na twarzy Berii widniało ogromne zdumienie. Nie strach, nie złość – lecz właśnie zdumienie. Patrzył, jak biegnę ku niemu poprzez salę i oprócz niedowierzania morda tego czarnego demona nic nie wyrażała. Dopiero kiedy byłem już przy jego biurku, powoli – jak w zwolnionym kadrze, jak w dręczącym śnie o pogoni – sięgnął do tylnej kieszeni spodni. Ale już było za późno.

Szturchnąłem go lufą waltera w pofałdowany tłusty kark i w tym samym momencie, przycisnąwszy mu rękę do krawędzi biurka, wyciągnąłem z jego kieszeni niklowaną berettę. Nie dając mu czasu na opamiętanie, wojskowi przechwycili go ode mnie i wykręcili mu ręce do tyłu.

Nasz drogi Nikita Siergiejewicz opamiętał się pierwszy, poderwał się i ochryplym głosem, szybko niczym diaczek zatrajkotał:

– Pojawił się problem antypaństwowej działalności członka Prezydium KC, pierwszego wiceprezesa...

– Nie ma czasu! – ryknął Żukow.

Chwyciliśmy wciąż jeszcze milczącego Berię pod ręce, wywlekliśmy go przez drugie drzwi do pokoju wypoczynkowego, a stamtąd, tylnymi schodami, w dół, w kierunku korytarza, prowadzącego do służbowego wejścia na dziedzińcu wewnętrznym.

I w tym momencie Beria się ocknął. Wrzasnął tak, że ze strachu uszy przywarły mi do czaszki. Z tej wściekłości powinny były rozpuścić mu się złote koronki na zębach.

– Łotry!... Na pomoc!... Wszystkich rozstrzelam!...

Z całej siły rąbnąłem go w wątrobę. Zachłysnął się wrzaskiem, a ja, drżąc ze strachu i złości, szepnąłem:

– Jeszcze raz otwórz pysk, a zastrzelę cię na miejscu, sukinyne pierdolino!

Beria tylko czkał i coś głośno bulgotało w jego wielkim, spasionym brzuchu.

Biegiem! Biegiem! Co sił targaliśmy tego stukilowego tuczniaka. Pewnie pobiliśmy rekord świata w biegu z przeszkodami z ministrem policji pod pachą. Marmurowe schody doprowadziły nas do tylnego wejścia, do ostatniej warty. Nudził się tu samotny, młodziutki lejtnant, który, ujrzawszy nas, najpierw nie mógł uwierzyć własnym oczom, po czym niepewnie sięgnął do kabury.

Batycki uprzedził go, w biegu wystrzelił mu w pierś, i lejtnant runął koło swojej budki, nie zdążywszy wyjąć pistoletu.

Przy drzwiach stał, cicho poparskując silnikiem, czarny zis-110 Żukowa z otwartymi na oścież tylnymi drzwiami – oficer-kierowca zabezpieczał nasze wyjście. Jednym szarpnięciem – o rany, co za niesamowicie ciężki wieprz – cisnęliśmy Berię do środka limuzyny, rzuciliśmy na podłogę i nakryliśmy zdartym z kanapy pokrowcem. Powskakiwaliśmy w ślad za nim do kabiny, a Batycki ciężko zwałił się na przednie siedzenie. Klik-klik-klik – zatrzasnęły się drzwi i sofer pomknął ku bramie Wieży Spasskiej. Przyhamował koło posterunku. Strażnicy rozpoznali Batyckiego, a nas wzięli za jego asystę. Droga wolna!

Pędziliśmy przez Moskwę jak opętani. W prawo, obok Cerkwi Wasyla Błogosławionego na most, pod prąd – w lewo, na trasę nadrzeczną w kierunku koszar. Beria, ciężko sapiąc pod przykryciem, darł się z podłogi:

– Idioci!... Zastanówcie się!... Co robicie!... Wieźcie mnie na Łubiankę!... Jutro wszyscy będziecie generałami!... A ty, Batycki, zostaniesz marszałkiem!... Na Łubiankę...

Pół roku później ze śmiechem czytałem w gazetach o sędzie nad Berią i jego pomagierami. Ale nikt, za żadne pieniądze, nie znajdzie świadka tego wydarzenia. Przecież jeszcze tej nocy rozstrzelano go w podziemiach koszar. Ze względów taktycznych. Dla uproszczenia kwestii. U nas sąd powinien być nie tylko sprawiedliwy, ale i szybki. No i należało uwolnić jego pozostającą na razie na wolności kompanię od pokusy sprzeciwu. Bez walki zostali aresztowani jeszcze tego samego dnia Kobułow, Diekanozow, Goglidze, Mieszik, Włodzimirski, tłum generałów – cała jego waleczna zbójcka szajka...

Audi, vide, sile.

W radzieckich kalendarzach, wypełnionych wszelkiego rodzaju datami bez znaczenia, wymyślonymi rocznicami nieistotnych zdarzeń, nie jest odnotowany ten dzień. Co po raz kolejny świadczy o ludzkiej głupocie.

Gdyby mieli choć odrobinę rozumu, to powinni byli zaznaczyć tę datę na czerwono i mierzyć swój czas nie według kalendarza juliańskiego czy gregoriańskiego, nie zgodnie z astrologią, lecz począwszy od tego właśnie dnia.

Albowiem siedemnastego czerwca 1953 roku zakończyła się epoka. Epoka Wielkiego Terroru.

Nie pojawił się żaden wielki wódz i zaczęła się epoka małego terroru, wybiórczego. Potem epoka rehabilitacji. Potem stagnacji. Potem...

Właśnie, co było potem?

Po tygodniu wezwał mnie Krutowanow i uroczyście oznajmił, że za wkład w dzieło likwidacji wroga narodu, Berii, zdecydowano uhonorować mnie wysoką nagrodą. Partia i rząd wyrażają mi swoją wdzięczność. Georgij Maksymilianowicz i Nikita Siergiejewicz nadzwyczaj wysoko ocenili moje zasługi.

Krutowanow podszedł do mnie, poklepał po ramieniu i powiedział:

– A ja wywalczyłem dla was największą nagrodę w systemie naszego ministerstwa.

Czujnie, wyczekująco milczałem. Uśmiechnął się i oznajmił:

– Przechodźcie w stan spoczynku. Przyobiecano mi dla was pełną emeryturę i w przyszłości, mam nadzieję, nikt was o nic nie będzie pytał. Myślę, że jesteście w stanie to docenić...

Oto moja spowiedź, drogi zięciu. Tego chciałeś ode mnie? Czy może jeszcze czegoś? Pytaj! Opowiem ci. Albo napiszę. Dostaniesz swoje świadectwo. I podpiszę się: „Pański sługa, Paweł Chwatkin”.

Koniec gry. Rzućmy się sobie w objęcia i zatańczmy w rytmie sonaty cis-moll Chopina, zwanej potocznie *Marszem pogrzebowym*. To dla nas najlepszy szlagier.

Mam już cały obraz wydarzeń i rozumiem teraz mój manewr.

Sytuacja jest całkiem prosta. Z rodzinnej ziemi, z ojczyściwego gniazda chcesz mnie wykurzyć, ty judejskie ścierwo. Nieugięcie prowadzisz mnie do zagiętych głady.

Nie, na razie nie jestem gotów jechać z tobą za granicę, kając się za grzechy, być ostrzeżeniem dla przyszlých pokoleń.

A jakby zrobić coś takiego, co w szachach nazywa się roszadą? Ty zostajesz tu, w mojej kochanej, znękannej ojczyźnie. A ja jadę tam, do twojej ohydnej, burżuazyjnej rzeczywistości. Ale to zamiana na zawsze! Czy tu, czy tam – nam obu będzie razem za ciasno.

No to co? Spróbujemy? Tu – tutaj. A ja – tam...

Przecież to takie proste. Ostatni lot windą w dół. Ulica – niekończący się mrok i ohyda zaplutej śniegiem, zimnej wiosny. Wsiądę do swego błękitnego mercedesa, wetknę kluczyk w stacyjkę, zamruczy silnik, zaryczy głucho, zakolyszą się wahadłowo wycieraczki, zgamiając z szyby wilgoć i śnieg, włączę cichą muzykę i odchyłę się na oparcie, włożę rękę w kieszeń pokrowca na oparciu fotela pasażera, gdzie leży mały, ale ciężki browning, pistolet Sapiehy, prezent od niezapomnianego Wiktora Siemionycza. „Noś go odtąd zawsze”...

Spisz się dobrze ostatni raz, mój spadku po głupim napalonym Sapieżel!

Pówoli płynął czas, nijaki i szary, jak to mętne niebo, jak ten plugawy, nedorzeczny śnieżny opad, jak nasze zasyfione, byle jakie życie. Potem pojawił się Mangust. Szedł z naprzeciwka. Patrząc na jego sprężysty krok drapieźnika, myślałem o tym, że wkrótce powinien się zakończyć cały ten bezsensowny bajzel. Otworzył drzwiczki, usiadł obok mnie i powiedział:

- Jedziemy.
- Kierunek? – spytałem.
- Port lotniczy Szeremietiewo.
- Masz bilety?

Mangust skinął głową, poklepał się po kieszeni.

– A gdzie Majka? – przypomniałem sobie.
– Znajdzie nas – uspokoił mnie. – Wszyscy, którzy przewinęli się przez nasze życie, znajdują nas... Ich lista jest długa... Przypominają orszak pogrzebowy. Wszyscy na nas czekają...

Mkniemy po szosie poprzez pluchę, deszcz, rozbryzgi błota. Tyle razy przekraczałem ten dziwny próg pozbawienia życia innej żywej istoty, że całkiem mi to spowszedniało. Drobiazg! Potrzebny jest fart, profesjonalizm i doświadczenie.

Kiedy będziemy się zbliżać do mostu na rzece Moskwie, zrobi się już ciemno.

Płynnie przyhamowałem, zatrzymałem samochód.

– Muszę przetrzeć szybę, jest taka zapocona, że nic nie widać... Jeszcze się zabijemy na drodze do wolności. Pochyl się troszeczkę...

Mangust patrzył na mnie podejrzliwie i jakoś nieprzyjaźnie. A ja wsunąłem rękę za oparcie jego siedzenia, do kieszeni w pokrowcu, namacałem pistolet Sapiehy, już odbezpieczony.

– Czego pan tam szuka? – spytał czujnie Mangust.

– Szmatki...

Chciał spojrzeć do tyłu, ale ja, nie wyjmując ręki z kieszeni pokrowca, już zwróciłem lufę w przód i nacisnąłem spust...

Wystrzał był prawie niedosłyszalny. Z tym cichym, wacianym klapnięciem znalazł się następny, i następny, dopóki nie wystrzelałem całego magazynka.

Mangust patrzył mi w twarz, nie odrywając wzroku, i tylko za każdym kolejnym wystrzałem drgał, jak gdyby przestraszony jego odgłosem. Szarpnął się ostatni raz i powoli osiadł, zsunął się z siedzenia w dół.

Wyjąłem rękę z kieszeni na pięć razy przestrzelonym fotelu, położyłem pistolet pod przednią szybę – dzięki wam, Wiktorze Siemionyczu, wieczny wam odpoczynek, drogi towarzyszu Abakumow.

Potem wyjąłem z wewnętrznej kieszeni Mangusta gruby portfel. Pomiedzy skórzanymi skrzydełkami leżały dwie niebieskie koperty Air France. Otworzyłem jedną – bilet pierwszej klasy – monsieur Paweł Chwatkin. Włożyłem go do swojego paszportu, wytrząsałem walutę, poupychałem ją po kieszeniach. Wsiadłem z samochodu, otworzyłem drzwiczki od strony pasażera, wywlokłem Mangusta z kabiny, podciągnąłem do barierki i przetrzuciłem przez poręcz.

Leciał ku szaroburej wodzie nieskończenie długo...

Potem rzuciłem w ślad za nim pistolet Sapiehy i niepotrzebny mi portfel. Usiadłem za kierownicą i pomknąłem po źle oświetlonej drodze w stronę Szeremietiewa.

Przekradnę się! Mam paszport z wizą wielokrotną. Mam bilet do Paryża i jakieś tam drobne miedziaki. Przejdę przez kontrolę i odlecę. Tak właśnie przekradł się kiedyś stary rezydent Finn... A w Paryżu ujawnię się. Mangust, ty od samego początku nie miałeś ze mną szans. Jeszcze talia nie została rozdana, a ja już miałem w rękach same atuty. Ja wszędzie i zawsze będę potrzebny. Wszystkim – komunistom, imperialistom, antysemitom i syjonistom, KGB i CIA, w ZSRR i w USA, wczoraj, dziś i jutro.

Pojawię się jutro u moich wczorajszych wrogów i wyjaśnię, że ze względów ideowych przeszedłem na ich stronę. Niby że sumienie obywatelskie nie daje mi spokoju. Dręczyło, dręczyło, aż wreszcie stało się to nie do wytrzymania – nie mogę żyć w warunkach totalitarnego zniewolenia, nierozliczonych grzechów państwa!

Tak, to prawda! Pracowałem na bardzo odpowiedzialnym stanowisku w tajnej policji. Ale teraz wzniosłem się na nowy poziom duchowego rozwoju!

Już wieki temu papież Klemens powiedział wam, liberalno-demokratycznym bęcwałom: „Jeden skruszony złoczyńca miłszy jest Panu, niż stu sprawiedliwych”.

A skłonił mnie do tego etycznego czynu Mangust Teodorowicz, mój powinowaty, krew z krwi.

Tak jest, był u mnie. Z radością, ucałowawszy go i do serca przycisnąwszy, przyjąłem jego propozycję, by opowiedzieć światu czy specsłużbom, czy komu tam będzie trzeba, o wszystkich zbrodniach reżimu. Jestem gotów! Cokolwiek wiem – wszystko opowiem, ze wszystkimi będę współpracował, wszystkim pomogę!

Ale ten reżim policyjny jest okropny – w przeddzień wyjazdu KGB trafiło na nasz ślad. Mangusta nie stawil się na ostatnie spotkanie ze mną. Najprawdopodobniej padł ofiarą tych zawodowych morderców z Wydziału. A może, jak Wallenberg, siedzi gdzieś w zapomnieniu, w bezimiennym głuchym lochu? Trzeba walczyć o jego uwolnienie zjednoczonym wysiłkiem całego wolnego świata.

Wszystko to nic trudnego. Te wymuskane żłoby nic o nas nie wiedzą. Zaoferuję swoje usługi tym zachodnim ekspertom, konsultantom, radcom – specjalistom od spraw sowieckich. Wytrawnym, błyskoliwym, głębokim.

Moja specjalność – to zapewnienie państwu bezpieczeństwa, trzymanie za mordę poszczególnych ludzi. To profesja wieczna i wszędzie niezbędna...

A ty, Mangust, niepotrzebnie tak usiłowałeś dokopać się do prawdy. Twój błąd polega na tym, że walczyłeś ze mną jak z człowiekiem. A ja – to państwo, cały ten świat...

Kiedy z dna rzeki Moskwy duch twój wzniesie się w górę, przebije się przez naszą cuchnącą, zasyfioną atmosferę, odszukaj tam duszę starego oszczercy, markiza de Custine'a*, i poproś, żeby powtórzył ci to, co stwierdził już sto pięćdziesiąt lat temu: „Kiedy narodom koniecznie potrzebna jest prawda, nie znają jej. A kiedy wreszcie prawda do nich dociera, nikogo już nie interesuje, albowiem nadużycia poprzedniego reżimu są ludziom obojętne”.

Ja – to obalony reżim. Zapomnijcie o mnie. Pojadę na lotnisko. Dam drapaka. Wyrwę się. Odlecę. Dziś w nocy będę w Paryżu. Jestem nieśmiertelny...

* Markiz de Custine – XVIII-wieczny francuski arystokrata, autor książki stanowiącej relację z jego podróży po Rosji. Jego wrażenia były bardzo negatywne.

Co się ze mną dzieje? Gdzie ja jestem? Na lotnisku?

A może tak jak poprzednio leżę na podłodze u siebie w kuchni? Chory, bezsilny, pijany? Zżerany przez raka i strach?

Może to wszystko mi się śni? Może w ogóle nic się nie wydarzyło, wszystko to zwykły wymysł?

Jasne, że wymysł. Niezależnie od tego, że wydarzyło się naprawdę.

Moskwa, 1980–1984